

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ



HÅKAN NESSER

STOWARZYSZENIE LEWORĘCZNYCH

CZARNA OWCA

HÅKAN NESSER

STOWARZYSZENIE LEWORĘCZNYCH

Przełożyła Iwona Jędrzejewska

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

33

CZEŚĆ DRUGA

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

CZEŚĆ TRZECIA

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

Tytuł oryginalny: *DE VÅNSTERHÄNTAS FÖRENING*

Redakcja: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: Kav Studio Pola Rusiłowicz

Ilustracja na okładce: Victor Tongdee © Adobe Stock

Korekta: Katarzyna Rojek, Beata Wójcik

Copyright © Håkan Nesser, 2018

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland

Copyright © for the Polish translation by Iwona Jędrzejewska, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-185-9

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Niektóre szczegóły w niniejszej książce, takie jak nazwy ulic, adresy, banki, osoby, wydarzenia, nazwy miast i krajów, odbiegają od tak zwanej rzeczywistości.

Inne natomiast odzwierciedlają ją nieco lepiej.

„I jaki sens budzić się rano, jeżeli człowiek
nie próbuje zrównoważyć ogromu znanych sił świata
jakąś potęgą z własnego życia?”

Don DeLillo *Podziemia*

„The gods looked from their mountain and shrugged”

Paul Auster, *4321*

CZĘŚĆ PIERWSZA

1957–1958, Oosterby i okolice

Marten Winckelstroop dorastał z dwiema ułomnościami. Nie miał ojca i był mańkutem.

To, że nie ma ojca, uświadomił sobie już wcześniej. Najprawdopodobniej w wieku trzech lat czy coś koło tego, bo właśnie wtedy jego matka Louise Henriette Winckelstroop zaczęła wbijać do głowy swojemu jedynakowi podstawowe prawdy życiowe. Na przykład to, że tacy, co to paradują w długich portkach i kapeluszu, a czasem nawet mają brodę i wąsy, bo są zbyt leniwi, żeby się golić, nie mają czego szukać w rodzinie Winckelstroopów.

Tak się sprawy miały.

I nigdy żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że ten brak męskiego pierwiastka może być jakąś wadą. Ani przez moment. Osobnicy rodzaju męskiego, i młodzi, i starzy – naturalnie z wyjątkiem Martena – to tylko utrapienie i zbędny balast. Tak to już ten świat jest urządzony. Pewnie czasami przydaliby się do jakichś cięższych robót albo czyszczenia szamba, o innych już czynnościach nie wspominając, ale to wszystko, i nic poza tym.

Marten już od najmłodszych lat czuł, że jego lewa ręka jest o wiele przydatniejsza niż prawa do różnego rodzaju dłubaniny – od smarków począwszy, na innych aktywnościach skończywszy – ale tę naturalną przypadłość w pełni sobie uświadomił dopiero wtedy, kiedy skończył siedem lat i parę miesięcy. Kiedy to pewnego pięknego jesiennego dnia, z lekką bryzą wiejącą od morza, roku Pańskiego 1957 mały Marten wraz z innymi drżącymi ze strachu, gładko przyczesanymi siedmiolatkami z okolicy dostał się pod skrzydła

i opiekę panny Bolster, nauczycielki szkoły podstawowej w Oosterby. Chodzi o szkołę sześćioletnią, bo na tej samej dużej działce, ale po drugiej stronie żywopłotu, na terenie rozciągającym się między strażą pożarną a kościołem, była jeszcze jedna szkoła – dla starszych.

Zbudowana była z cegły, to znaczy szkoła dla maluchów. Miała cztery sale, wliczając pracownię techniczną, a na poddaszu pokoje mieszkalne panny Bolster i dyrektora Klitschke. Parę lat wcześniej szkoła świętowała swój siedemdziesiąty piąty jubileusz. Ta dla starszych była dwa lata młodsza. Jednak tego, ile właściwie lat miała panna Bolster, nikt dobrze nie wiedział. Wielu twierdziło, że była tam od zawsze. To wcale nie głupia myśl, że i ona była zrobiona z cegły, z tych, co to zostały po wybudowaniu szkoły.

W każdym razie panna Margarete Bolster była silna i niejedno w życiu widziała. Wychowała nie tylko starsze rodzeństwo tej drżącej ze strachu gromadki, ale też ich rodziców. I jeśli w tym ciągle zmieniającym się świecie było coś stałego i niezmiennego, to z pewnością była to panna Bolster.

I jeszcze jedno – leworęczność była przez nią surowo zabroniona. Definitywnie. I nieodwołalnie.

Podobnie jak nie do zaakceptowania był brak ojca. A wcale niewykluczone, że te dwie rzeczy w jakiś niewytłumaczalny sposób miały ze sobą coś wspólnego. Na sprawy czysto rodzinne panna Bolster nie miała wpływu, ale jeśli mowa o tym, w której ręce należy trzymać pióro, kredę czy igłę do szycia – tu istniały bardzo szczegółowe wytyczne.

I odpowiednie metody, żeby te niewydarzone dzieciaki naprowadzić na właściwą ścieżkę. Szczególnie jedna. To znaczy jedna metoda. W taki oto właśnie sposób, już w drugim dniu szkoły, zresztą równie słonecznym i pięknym jak ten pierwszy, i z taką samą bryzą z północnego zachodu, Marten Winckelstroop zaznajomił się z tak zwaną rękawicą korekcyjną. Była zrobiona ze skóry i pachniała odrobinę kupą, trochę więcej owcą, a najbardziej starym potem, i już przed porannym psalmem ciasno siedziała na lewej ręce Martena. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było zdejmować aż do zakończenia lekcji.

Właściwie bardziej przypominała torbę niż rękawicę bez palców, wypchaną grubym końskim włosiem. Panna Bolster używała jej przez długie lata i w ten oto sposób leczyła jeszcze dłuższe zastępy domniemanych mańkutów.

W szkole w Oosterby było więcej takich rękawic, więc Marten nie był osamotniony. W tej samej ławce co Marten, najbliżej katedry (żeby mieć ich na oku i w razie potrzeby zdzielić linijką), siedział ciemnowłosy Rejmus Fiste, który oprócz tego, że był mańkutom, miał jeszcze inne braki. Na przykład się jąkał i niezupełnie był godny zaufania, jeśli chodzi o dotarcie na czas do toalety.

Tyle że Rejmus Fiste miał tatę. A ten pracował w mieście jako piekarz i w swoim czasie też był leworęczny. W zasadzie był w dalszym ciągu, dokładniej mówiąc, ponieważ chodził do innej szkoły, która nie podjęła żadnych kroków, żeby go z tego „upośledzenia” wyleczyć. A jednak, w jakiś niewytłumaczalny sposób, i tak piekł dobry chleb.

– Ta Bolster to wstrętna baba – zwierzył się Marten swojemu nowemu bratu w niedoli po jakimś tygodniu od rozpoczęcia roku szkolnego.

– Trzeba by ją ukatrupić.

Stali we dwóch pod rozłożystym kasztanem, obok sali gimnastycznej, i czekali na koniec przerwy śniadaniowej. Rejmus pokiwał tylko głową, ale jak zwykle nie wydobył z siebie ani jednego sensownego słowa. Obaj splunęli w trawę i poboksowali się chwilę swoimi workami wyściełanymi końskim włosiem, a potem zadzwonił dzwonek na lekcję.

Ale było jak było i z pewnymi rzeczami rzeczywiście należało coś zrobić. Jeśli nie dzisiaj, to w przyszłości.

Czas mijał. Dni, tygodnie, miesiące. Pod koniec grudnia przyszło Boże Narodzenie. Przez całą jesień Marten i Rejmus wytrwale walczyli, żeby pisać prawą ręką, ale i tak nikt ich nie mógł odczytać. Nawet oni sami, a w szczególności panna Bolster. Jąkanie Rejmusa też wymagało zreformowania, ale nie wszystko naraz, po kolei – najpierw smarkacz musi opanować pisanie prawą ręką, dopiero potem będzie można zacząć pracować nad mową.

Tak ustalone priorytety zaowocowały naturalnie tym, że Rejmus nie był odpytywany na lekcjach, ponieważ sformułowanie choćby najprostszej odpowiedzi zabierało mu niemiłosiernie dużo czasu. Koledzy z klasy, jak wąż w raju czy Mojżesz przekraczający Morze Czerwone, nieustannie byli katowani – a to tabliczką mnożenia, a to geografią... Ale nie Rejmus. Ten nigdy nie był pytany. Właściwie to nawet się cieszył z takiego porządku rzeczy i zwierzył się Martenowi, że wcale mu nie śpieszno do pozbycia się worka z ręki.

Rękawica wciąż trochę pachniała kupą i owcą, ale z czasem można się było przyzwyczaić – wystarczyło trochę własnego zapachu i obaj przyjaciele, oczywiście w tajemnicy, jednogłośnie doszli do wniosku, że rękawica wcale nie jest taka zła. Świetnie się w niej boksuje i koniec końców założona jest na najlepszą rękę.

W jaki sposób Rejmus komunikował się z kolegą, nikt nie wiedział, ale też nikogo to nie obchodziło. Ot, para cudaczna sama w sobie, dwa dziwaki... A może po prostu Marten miał wystarczająco dużo cierpliwości do kolegi, który w bólach i męczarniach wydukiwał z siebie kolejne słowa.

A może porozumiewali się językiem migowym. Choć jeśli tak, to tylko jedną ręką.

Marten potrafił oczywiście normalnie mówić, jeśli zaś chodzi o ułomności Rejmusa, to ten przynajmniej nie był głuchy.

Jeden fakt nie budził jednak żadnych wątpliwości: obaj byli na ostatnim lub przedostatnim miejscu w klasie.

Styczeń 1958 roku rozpoczął się przejmującym wiatrem z północy – największym, jak sięgnąć pamięcią. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem kanały Gruyder i Birkenberje, jeden po drugim, zamarzały, a kiedy w sobotę i niedzielę podmuchy wiatru trochę osłabły, ludzie jeździli na łyżwach na jeziorze Ooster. Nie była to jakaś szczególnie długa trasa, najwyżej pięć czy sześć kilometrów, ale jadąc pod wiatr, człowiek czuł, jakby się wspinał na jakiś szczyt. Z kolei droga powrotna była o wiele łatwiejsza.

Pierwszaki na łyżwach nie jeździły. Wiatr by ich zdmuchnął.

W klasie panna Bolster rozpałała w kominku, aż trzeszczało. Inspektor szkolny z Kaalbringen był na wizytacji przez pół dnia i skonstatował, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, pominąwszy oczywiście fakt, że Rejmus Fiste z pierwszej ławki skorzystał z okazji i nasikał w majtki. Wy tłumaczenie było takie, że z powodu swojego jąkania nie mógł, albo też nie zdążył, zapytać, czy może wyjść do toalety, tak więc cała sytuacja w żaden sposób nie obciążała nauczania jako takiego. Dwa siarczyste policzki i sprawę można było uznać za załatwioną.

Tego samego dnia wieczorem Marten i Rejmus spotkali się w domu u tego pierwszego, na Beerenstraat, na strychu, który tak bardzo lubili, choć ta maleńka klitka pod spadzistym dachem z wejściem od szczytowej ściany budynku należała raczej do właściciela domu, pana Flindermanna, niż do lokatorów z najwyższego piętra, czyli panny Winckelstroop i jej jedynaka. Jednak pan Flindermann z czasem zrobił się za ciężki, żeby się wspinać po stromej drabinie, więc jeśli tylko smarkacze nic nie popsuli i nie robili hałasu, patrzył na to przez palce. Dobrze pamiętał, że sześćdziesiąt lat temu, a może i więcej, sam też tam przesiadywał całymi godzinami, żeby zejść z oczu ojcu, kiedy ten wracał z pracy pijany i chciał wygarbować skórę swojej gromadce. Ten dom był w jego rodzinie od trzech generacji. No a Marten i ten jego kolega... jak mu tam... byli jeszcze za młodzi, żeby palić w ukryciu czy popijać trunki.

– Pomyślałem sobie – powiedział Marten, kiedy się rozsiedli oparci o komin, który grzał im plecy. – Że najwyższy czas założyć klub.

– K-k-k-k...? – zapytał Rejmus.

– Właśnie – odpowiedział Marten. – Takie stowarzyszenie.

– S-s-s-s...? – zapytał Rejmus.

– Nieważne, jak to nazwiemy – kontynuował Marten. – Napiszemy statut, będziemy robić zebrania i jeszcze... no, jak to się nazywa...?

– C-c-c...? – dukał Rejmus.

– Co? – zapytał Marten.

– Ce-ce-ce... – próbował Rejmus.

– Centralę? – dopytywał Marten.

– N-n-nie! – odparł Rejmus.

Po kilku minutach wyjaśniło się, że chodzi o słowo „cel”. Marten nie bardzo wiedział, co to znaczy, ale Rejmus miał w głowie dużo więcej słów niż te, które był w stanie z siebie wydusić. Dobrze i to.

– Okej – odpowiedział Marten. – Określimy sobie jakiś cel.

Rejmus pokiwał głową.

– I jeszcze karty członkowskie – kontynuował Marten. – Musimy sobie wyrobić karty członkowskie. Z numerem. Ja będę numerem jeden, ty numerem dwa. Ty je zrób, bo rysujesz lepiej niż ja. Papierowe, nie za duże, nie za małe, tak żeby się zmieściły w portfelu. Kapujesz?

Rejmus uniósł kciuk do góry na znak, że rozumie.

– Na razie wystarczy nam dwóch członków. Jak będziemy chcieli kogoś jeszcze, wymyślimy jakiś egzamin.

– Eg-eg-zamin? – wycisnął z siebie Rejmus.

– Ale tylko dla nowych członków. My nie potrzebujemy zdawać żadnego egzaminu, bo to my założyliśmy klub. Choć chyba „stowarzyszenie” brzmi lepiej, jest jakby... dłuższe. Też tak uważasz?

Rejmus znów uniósł kciuk do góry. Zdrapując sobie strup z ramienia, Marten zastanawiał się przez chwilę.

– Na razie olewamy cel – powiedział. – Ale musimy wymyślić nazwę. To ważniejsze. Przecież musi być coś napisane na karcie członkowskiej, poza tym to będzie dobrze wyglądało.

– L-l-l-l... – zaczął Rejmus z zapalem.

– Co? – znów dopytywał Marten.

– L-l-l-l... – powtórzył Rejmus, wymachując lewą ręką Martenowi przed oczami. – L-l-le...

– Super! – wykrzyknął Marten. – Trafiłeś w sedno jak ślepa kura... czy jak to się tam mówi. Stowarzyszenie Leworęcznych! Tak się będziemy nazywać.

Był dwudziesty piąty stycznia 1958 roku. Około siódmej wieczorem. W ich życiu zaczął się właśnie nowy rozdział.

Październik 2012, Maardam

– Prawdy z czasem ulegają zmianie.

– Jakie prawdy?

– Tak to już jest – mówił dalej Mahler, przyglądając się swojemu gasnącemu cygaru, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. – Wszystko według pewnych wzorów. Człowiek uczy się zauważać nawet najmniejsze ruchy. Nie rozumie ich, ale uczy się je przewidywać. Oczywiście po czasie... Nie wiem, czy się nad tym zastanawiałeś...

– Przewidywać? – zapytał Van Veeteren. – Po czasie?

Mahler nie odpowiedział. Van Veeteren uniósł dłoń, żeby wykonać kolejny ruch, ale opuścił ją i westchnął głęboko.

– Ty podstępny oszuście – powiedział. – Gadasz tak tylko po to, żeby mnie rozproszyć.

Mahler nie spuszczał wzroku z cygara. Nie miał nic do powiedzenia.

– Robisz to już od trzydziestu lat, a ja godzę się na to od dwudziestu dziewięciu. Najbardziej irytujące jest to, że...

– Co w tym irytującego? – zapytał Mahler po dłuższej przerwie.

– Irytujące jest to, że to działa – odpowiedział Van Veeteren.

– Naprawdę? – zdziwił się Mahler.

– Powinieneś być zdyskwalifikowany. Albo przynajmniej stracić pionek... za każdym razem.

Mahler przez chwilę studiował szachownicę.

– Jak widzisz, w tej chwili stać mnie na utratę pionka.

Ściągnął usta w coś, co miało przypominać uśmiech. Czy raczej przypominało w zamierzonych czasach młodości.

– Naprawdę siedzimy tak już od trzydziestu lat?

– Z małymi przerwami – odpowiedział Van Veeteren. – Powinniśmy powiesić na ścianie tabliczkę z naszymi imionami. Jeśli dobrze policzyć, to chyba nawet... trzydzieści pięć.

– Pewnie czekają z tym, aż umrzemy – odparł Mahler. Włożył cygaro między wargi i z miną lekkiej rezygnacji zaczął badać szachownicę. – No, chyba już gorzej być nie może.

Van Veeteren nie wykonał żadnego ruchu, tylko odchylił się do tyłu. Obrzucił wzrokiem pokój i pomyślał, że to tylko mały, nic nieznaczący epizod. Lokale stowarzyszenia liczyły więcej niż czterysta lat. Po pożarze, pod koniec dziewiętnastego wieku, były odnowione. Więc z historycznego punktu widzenia ich własny czas, jego i Mahlera, nic nie znaczył. Był zaledwie mniej niż dziesiątą częścią całości. Nie była to budująca myśl, zwłaszcza kiedy ból w plecach znów dawał o sobie znać. W części lędźwiowej po lewej stronie. Czasami też po prawej. Taka mocna jedynka w skali od jednego do pięciu, rzadko więcej.

– Nie młodniejemy – powiedział Van Veeteren. – O co chodziło z tymi zmieniającymi się prawdami?

– Nic szczególnego – odpowiedział Mahler.

– Nic szczególnego? – zdziwił się Van Veeteren.

– Takie małe spostrzeżenie. Właściwie to bardziej pasuje w poezji niż w nauce. Przyszło mi do głowy tylko dlatego, że o ile dobrze pamiętam, już kiedyś mieliśmy dokładnie taką samą sytuację.

– Co? – zdziwił się Van Veeteren. – Tak, zdaje się, że to tak zwana...

– Obrona skandynawska – dokończył za niego Mahler. – Nie twierdzą, że cała partia była identyczna, tylko ten jeden ruch. Tracisz tempo po każdej roszadzie i zaczynasz się zastanawiać... dokładnie tak jak wtedy... czy przesunąć skoczkę na E3 czy na D6. O ile się nie mylę, to była jesień osiemdziesiątego ósmego albo

osiemdziesiątego dziewiątego. To tylko takie skojarzenie... chociaż diabli wiedzą, co to ma wspólnego z prawdą. Jeśli się głębiej zastanowić.

Van Veeteren otworzył usta i po chwili zamknął. Mahler zapalił cygaro. Van Veeteren obserwował go.

– Ile ci stuknęło? W zeszłym roku czy dwa lata temu skończyłeś osiemdziesiąt?

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu – odpowiedział Van Veeteren.

– Dwa lata temu – odparł Mahler. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale ty wciąż jeszcze jesteś młodzieniaszkiem. Siedemdziesiąt pięć za dwa tygodnie... Właściwie to jeszcze nie dojrzałeś do tego, żeby rozumieć zawilosci prawdy.

– Siedemdziesiąt pięć... – Van Veeteren westchnął. – Skaranie boskie.

– Nie dostałem zaproszenia na urodziny – powiedział Mahler, próbując przywołać swój stary dobry uśmiech. – Choć, szczerze mówiąc, wcale na to nie liczyłem.

– A przyszedłbyś?

– Jasne, że nie.

– Ani ty, ani ja nie obchodzimy urodzin – odparł Van Veeteren. – W każdym razie razem. Razem gramy tylko w szachy.

Mahler pokiwał głową w zamyśleniu.

– Zgadza się – rzekł. – Czy to znaczy, że ten dzień minie niezauważalnie dla reszty ludzkości?

– Wyjeżdżamy – odpowiedział Van Veeteren.

– A to coś nowego!

– Daleko jak cholera. Do Nowej Zelandii.

Na czole Mahlera pojawiła się zmarszczka zatroskania.

– Słyszałem, że łatwo o zawał w tak długiej podróży.

– Nawet u takich siedemdziesięciopięcioletnich młodzieniaszków jak ja?

– Nigdy nic nie wiadomo – odpowiedział Mahler. – Ale skąd pomysł z Nową Zelandią?

– Dlaczego nie? Robią tam dobre pinot noir.

Mahler wzruszył ramionami.

– To pomysł Ulrike – wyjaśnił Van Veeteren po krótkiej pauzie. – Ma tam jakichś znajomych.

– Facet?

– Nie, do diabła. Przyjaciółkę ze szkoły, której nie widziała pięćdziesiąt lat.

– Rozumiem – odezwał się Mahler. – Tak, w ciągu pięćdziesięciu lat stare prawdy nie są już tymi samymi prawdami.

Van Veeteren wypił łyk piwa i zastanawiał się, co takiego Mahler miał na myśli. Ale nic mu nie przychodziło do głowy. To zmęczenie, pomyślał. Po prostu jestem zmęczony. Stary i zmęczony. I nie jestem w stanie sformułować sensownych pytań. Słowa pojawiają się i znikają... jak przelotny deszcz. A ten tam jest jeszcze starszy. Poza tym kłamię mu w żywe oczy, ale przecież tak uzgodniliśmy z Ulrike.

– A tak na marginesie, to już kawałek czasu, jak nic nie wyprodukowałeś – powiedział Van Veeteren. – Jakies pięć lat.

– Siedem – poprawił go Mahler. – Trochę czasu minęło.

– Dlaczego tak długo?

– Mój wydawca postanowił iść na emeryturę. A nikt inny mnie nie rozumie.

– Jak on się nazywa?

– Brahms. Eugen G. Brahms. Nie więcej niż siedemdziesiąt osiem lat, ale ma problem z kolanami. W każdym razie tak mówi.

– A co kolana mają wspólnego z poezją?

– Też zadaję sobie to pytanie. Ale ma już kogoś na swoje miejsce, więc zobaczymy, co z tego wyniknie.

Van Veeteren wypił łyk piwa i próbował nadążyć za myślą, która pełzała między jego uszami jak wąż po rozgrzanych kamieniach.

– Nad czym tak dumasz – zapytał Mahler, kiedy minęła minuta albo dwie. – Zasnąłeś? W każdym razie nie wyglądasz, jakbyś zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Mam ci przypomnieć, co zrobiłeś w osiemdziesiątym ósmym?

- Będę wdzięczny – odpowiedział Van Veeteren. – Bardzo proszę.
- No to d szesć – odparł Mahler.
- Skoczek?
- Zgadza się.
- A jak się skończyła partia?
- Przegrałeś – powiedział Mahler.

Pół godziny później Van Veeteren był w drodze do domu. Skoczek na E3 też nie pomógł i po około czterdziestu ruchach musiał się poddać. Wieczór przypieczętowali małą szklaneczką dżinu i jak zwykle pożegnali się przed sklepem z winami Bijnerta, na rogu Zwille i Falckstraat. Mahler prawie od czterdziestu lat mieszkał na Deijkstraa. Van Veeteren pamiętał, że w starym, zadymionym mieszkaniu poety postawił swoją nogę zaledwie dwa razy, i prawdopodobnie już tego więcej nie robi. On i Mahler nie przyjaźnili się w dosłownym tego słowa znaczeniu, spotykali się raz albo dwa razy w miesiącu na partię szachów. I to wszystko.

Dokładnie mówiąc.

A tak swoją drogą, to Mahlerowi nie zostało już wiele czasu. Na szczęście miał syna, który na pewno zajmie się jego pochówkiem, ale najpierw musi wrócić z Ameryki Południowej. Z Boliwii czy Kolumbii, Van Veeteren nigdy nie mógł zapamiętać skąd.

Kiedy nadejdzie czas.

Ale może się zdarzyć, że to on będzie pierwszy, prawda? Podniósł kołnierz płaszcza, żeby się ochronić przed wiatrem, który nagle pojawił się nad Langgraacht, i pomyślał, że to właściwie nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby pożegnał się z tym światem przed Ulrike. Myśl, że mógłby dokonać żywota w samotności, bardzo mu się nie podobała. Kilka dni temu śniła mu się jego własna śmierć. Że był kawałkiem zapomnianej wątrobianki, którą ktoś zostawił w lodówce na talerzu, kiedy zaś pół roku później ten ktoś otworzył drzwi lodówki – a była to z pewnością młoda, piękna kobieta – Van Veeteren bardzo się zawstydził swojego podgniętego, spleśniałego stanu, tymczasem kobieta,

z odrobiną zawodu i oskarżenia w głosie, wykrzyknęła: „Ależ komisarzu, jak panu nie wstyd!”.

Tak, rzeczywiście nazwała go „komisarzem” i zanim z obrzydzeniem zamknęła drzwi lodówki, Van Veeteren uświadomił sobie, że to przecież Ewa Moreno.

Młoda Ewa Moreno, ta sama, która wiele lat temu pojawiła się w Wydziale Kryminalnym komisariatu policji w Maardam, podczas gdy on sam wciąż jeszcze był jak jego piasta i kotwica.

Piasta i kotwica? Czy można być jednym i drugim? Zastanawiał się, skręcając w Kellnerstraat. Czy można być czymś, co się kręci, a zarazem tkwi nieruchomo? Czy raczej czymś, co tkwi nieruchomo, ale próbuje się kręcić? Takie właśnie jest jego życie? A może to tylko słowa, które przez przypadek przyszły mu do głowy?

Kopnął karton od pizzy do kanału i uświadomił sobie, że odkąd ją widział ostatni raz, minęło wiele lat. Sporo czasu upłynęło też od dnia, kiedy spotkał swoich kolegów z pracy. Wprawdzie Münster był u niego w antykwariacie wiosną, jakieś pół roku temu, poza tym któregoś letniego wieczoru na Grote Markt natknął się na Rootha, ale... to by było na tyle.

Münster... Jemu zostały jakieś dwa, trzy lata do końca. Moreno, Rooth i Jung... Jezu Chryste, pomyślał. To były czasy.

Minęło już dziesięć lat, odkąd ostatni raz dołożył swoją małą cegiełkę do kryminalistyki. „Sprawa G.” Nigdy wcześniej nie był tak blisko śmierci jak wtedy. Potem też nie. To cholerne wałkowanie śmierci, akurat dziś wieczorem, skonstatował, i chroniąc się przed wiatrem, skręcił na Moerkerlaan. Po dwudziestu krokach machinalnie podniósł wzrok i między zasłonami zobaczył, że na trzecim piętrze pod numerem czternastym wciąż pali się światło. Najpewniej Ulrike zasnęła z książką. Miała ją odwiedzić dawna przyjaciółka, ale pewnie już wyszła. Było nieco przed północą. Poza tym Ulrike wspominała, że właściwie to wcale nie ma ochoty spotkać się z Agnieszką, czy jak jej tam było.

Może się pokłóciły. Van Veeteren, bez wchodzenia w szczegóły, domyślał się, że muszą być między nimi jakieś stare niesnaski.

Siedemdziesiąt pięć, pomyślał, otwierając drzwi. Za dwa tygodnie wejść w trzecią kwartę życia. A to już bliżej końca niż początku.

I nie zamierzał, do diabła, tego wielkiego dnia spędzić w Nowej Zelandii.

Wymyślili to z Ulrike, na wypadek gdyby jakimś szaleńcom przyszło do głowy celebrować jego urodziny.

Na przykład córce z Paryża czy któremuś z wnuków. „Co chciałbyś na urodziny?” To pytanie i tak padło z Paryża. „Telegram”, odpowiedział, bez bliższej refleksji, czy aby telegramy wciąż jeszcze istnieją w realnym świecie.

Ulrike zdążyła już zgasić lampę, kiedy Van Veeteren próbował cicho wsunąć się do sypialni. Ale znów ją zapaliła.

– I jak ci poszło? – zapytała.

– Co takiego?

– No partyjka szachów, oczywiście.

Nigdy o to nie pytała. Van Veeteren domyślał się, że był to wstęp do czegoś innego.

– Przegrałem – odpowiedział. – Mahler z każdym rokiem jest coraz gorszy. A ty, przyjemnie spędziłaś czas z Agnieszką?

– Z Paulą.

– Myślałem, że ma na imię Agnieszka.

– Agnieszka była dwa tygodnie temu.

– O, przepraszam. I co, było warto?

– Może przez godzinę. Potem zrobiło się poważnie. Wyszła o dziesiątej. I dobrze.

– Rozumiem.

– Ale jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Dzwonił Münster.

– Münster?

– Tak, chciał z tobą rozmawiać. Miał jakąś sprawę.

– To dlaczego dzwonił tutaj?

– Zostawiłeś komórkę w domu. Nie wiem dlaczego, ale odebrałam.

– Ale nie chodziło chyba o te cholerne urodziny? Powiedziałaś mu, że wyjeżdżamy?

Ulrike usiadła na łóżku. Van Veeteren pomyślał, że choć stuknęła jej już siedemdziesiątka, to wygląda na sześćdziesiąt. A nawet na trzydzieści pięć. Czym sobie zasłużył na taką kobietę cud? Zadawał sobie to pytanie trzy razy dziennie i w dalszym ciągu nie znał odpowiedzi.

Czasami... ślepa łaska waży więcej niż cnota.

Dobrze, pomyślał Van Veeteren. Nareszcie jakaś sensowna myśl.

– Nie chodziło o urodziny – odpowiedziała Ulrike. – Miał inną sprawę... ale nie wiem jaką.

– Nie wiesz jaką?

– Nie. Odniosłam wrażenie, że chodzi o... no wiesz...

– O co?

Ulrike uśmiechnęła się ostrożnie.

– O jakąś... jak to powiedzieć... o jakieś stare śledztwo.

Van Veeteren poczuł zgagę. Pomyślał, że nie powinien pić więcej dzinu.

– Co to za sprawa?

– Nie jestem pewna. Powiedział, że wstąpi jutro do antykwariatu. Prosił, żebym ci przekazała... Prosił, żebyś był przygotowany.

– Przygotowany?

– Tak powiedział.

– Do diabła – rzucił Van Veeteren.

Wrzesień 1991, Loewingen

Kiedy dziesiątego września, w dzień swoich urodzin, Qvintus Maasenegger stał w łazience i oglądał swoją twarz w lustrze, skonstatował trzy rzeczy.

Miał czterdzieści trzy lata.

Wyglądał na pięćdziesiąt trzy.

A czuł się na sześćdziesiąt trzy.

Powinien zacząć trenować.

Sporo o tym myślał, szczególnie w ostatnich latach, ale nic nigdy z tego nie wychodziło. Zawsze coś stało na przeszkodzie. Takie jest życie, i to nie tylko jeśli chodzi o utrzymanie formy, ale w ogóle. Wszystkie długofalowe plany i strategie brały w łeb, bo przypadek zawsze rzucał jakieś kłody pod nogi. Życie to loteria.

A co, nie? Stał jeszcze chwilę przed lustrem i próbował policzyć, ile miał kobiet, bo to też jeden z ważnych aspektów życia. Ile kobiet miał w sumie i ilu z nich obiecał, że spędzi z nimi resztę życia? Ile z nich mówiło, że jest z niego niezłe ciacho albo coś w tym stylu? Jednak gdy doszedł do dwunastej z kolei, poddał się. Teraz zaczął liczyć, ile miał prac, i to zarówno długo-, jak i krótkoterminowych. Długoterminowych nie było szczególnie wiele, odkąd jako dwudziestotrzylatek rzucił pracę w kamieniołomie w Mindelo – po tym, jak zrobił dziecko córce dyrektora – i zaciągnął się na statek jako marynarz. To była okropna historia; kiedy tylko o niej znów pomyślał, stracił rachubę i przestał liczyć. Dziewczyna miała na imię Marion i należała do tego typu lasek, które się pamięta – czy się tego chce, czy nie. Może powinien był wziąć

odpowiedzialność i się z nią ożenić, ale prawda była taka... Tak, prawda była taka, że nie to stanowiło problem. Nietrudno było zauważyć, że tata dyrektor miał inne plany wobec swojej córki. I jakiś cholerny Qvintus Maasenegger, włóczęga, nie mógł zrujnować życia jego córce. Więc kiedy po roku spędzonym na morzu Qvintus wrócił, okazało się, że dziecko nigdy się nie urodziło, a Marion była już dla niego stracona, w ramionach jakiegoś oficera lotnictwa. Ich oprawione w ramkę zdjęcie ślubne stało do ogólnego wglądu na wystawie w zakładzie fotograficznym Wautera na rynku w Mindelo.

Tak czy owak, trochę tych jego prac było, ale szkoda sobie nimi zaprzętać głowę. Teraz Qvintus i tak był bezrobotny.

Qvintus Maasenegger westchnął, kilka razy splukał twarz zimną wodą i umył zęby. Palcem wskazującym i kciukiem ścisnął na chwilę swoje blade, sflaczałe mięśnie brzucha i postanowił, że musi zacząć ćwiczyć. Pogoda raczej zachęcała do tego typu aktywności – skonstatował, wyglądając najpierw przez okno w łazience, a piętnaście minut później siedząc przy stole w kuchni z pierwszą tego dnia kawą i papierosem w ręku. Niemrawe jesienne słońce żeglowało nad trybunami boiska po czystym, bezchmurnym niebie. Zero wiatru, jakieś piętnaście stopni. Czyli w sam raz na jogging.

Co prawdopodobnie by się ziściło, gdyby nie dochodzący z przedpokoju szelest, który wszystko zmienił. Listonosz przyniósł pocztę, z dużym prawdopodobieństwem rachunki, wezwania do zapłaty i stertę reklam z produktami, których Qvintus nie potrzebował i nigdy nie będzie potrzebował. Nie spodziewał się niczego innego, mimo to zadał sobie trud, by sprawdzić.

Trzy przesyłki, to wszystko. Dwóch z nich się spodziewał – jedna była z banku, druga z firmy ściągającej wierzytelności. Trzecią była jasnoniebieska koperta bez nadawcy i wzmianki o zawartości. Ktoś kanciastymi, czarnymi wersalikami zapisał na niej jego imię i nazwisko. Dwa listy z upomnieniami odłożył na stolik w korytarzu, niebieską kopertę wziął ze sobą i wrócił do kuchni. Z szuflady wyjął nóż, usiadł za stołem i otworzył kopertę.

Do diabła! – pomyślał. Pewnie życzenia urodzinowe od jakiejś laski, która wciąż o nim pamięta i chce go zaprosić na kolację... *Dream on, baby*. Z drugiej strony, czyż to nie jedyna rozsądna rzecz w tym świecie, która się liczy? Marzyć.

Tekst napisany był na maszynie i zajmował pół strony. Qvintus przeczytał go trzykrotnie, za każdym razem z coraz większym zdziwieniem. Właściwie „zdziwienie” to może złe słowo, bo to, co się w nim obudziło, było czymś zupełnie innym. Był to jakiś niewróżący nic dobrego niepokój, stara przewina, która, jak mu się wydawało, spoczywała dwa metry pod ziemią i z którą nie miał najmniejszej ochoty się skonfrontować.

To ta przekłeta historia, krótko mówiąc.

Drogi Qvintusie Maaseneggerze!

Niniejszym wzywam Cię do stawienia się na nadzwyczajne spotkanie Stowarzyszenia Leworęcznych. Upłynęło już wiele lat, ale jak wiesz, członkostwo w SL jest dożywotnie. Czyny rodzą konsekwencje: dobre uczynki są nagradzane, złe muszą zostać odkupione. Jednak najważniejsza jest przyjemność z ponownego spotkania. Zapewniam Cię, że będziesz żałował, jeśli się nie pojawisz.

Miejsce: Pensjonat U Molly, Oosterby.

Godzina: 17.00, sobota, 28 września.

Cel: smaczne jedzenie, drinki, sensowne rozmowy w przyjemnym towarzystwie starych dobrych przyjaciół. Nocleg z soboty na niedzielę w jednoosobowych pokojach, które są do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny, od soboty od godz. 14.00.

Serdecznie zapraszamy!

Zarząd

RSVP: 011 – 161718

PS Spal ten list po przeczytaniu. Chyba rozumiesz dlaczego?

Qvintus włożył list do koperty i siedział przez chwilę, podczas gdy myśli szalały mu po głowie. Stowarzyszenie Leworęcznych? Ci cholerni głupcy! Co to wszystko, do diabła, miało znaczyć? W swoim pozbawionym szczególnego sensu życiu Qvintus Maasenegger nie dostawał zbyt wielu prywatnych listów, ale ten, który leżał teraz przed nim na lepkim stole, był niewątpliwie najdziwniejszym, jaki kiedykolwiek dostał.

„Nadzwyczajne spotkanie”?

„Niniejszym wzywam Cię...”?

„Członkostwo jest dożywotnie...”?

Co to, kurwa, za sformułowania?!

„Czynny rodzą konsekwencje”?

„Będziesz żałował, jeśli się nie pojawisz”. I jeszcze „Spal ten list po przeczytaniu. Chyba rozumiesz dlaczego?”.

I nagle to zakopane głęboko wspomnienie wypłynęło na powierzchnię.

Dziewczynka.

Zink.

Bliźniaczki. To, co się wydarzyło. Pieniądze.

Dlaczego, do diabła ciężkiego, ten list spadł na niego jak grom z jasnego nieba właśnie dzisiaj? Po tylu latach. Minęło już chyba ze dwadzieścia – Qvintus próbował policzyć i wyszło mu że chyba nawet dwadzieścia dwa. Tak, to się stało wiosną 1969.

Qvintus Maasenegger podrapał się po głowie i zobaczył, że pod paznokciami został mu tłusty łupież. Ale jak ten bełkot ma się do tego, co się wtedy stało? Qvintus zrobił wysiłek umysłowy i przeniósł się do czasów sprzed prawie ćwierćwiecza. Do młodszych lat w tej zasranej dziurze.

Jak on się nazywał, ten lokal? Ta cała paczka... W każdym razie imiona pamiętał.

Marten jakiś-tam, Rejmus jakiś-tam i Kuno jakiś-tam... No i bliźniaczki. Trudne do rozróżnienia. Ładne jak cholera. Jedna z nich była nawet chętna, ale

zdaje się, że już kręciła z jakimś kolesiem. No i Zink...

Zink.

Qvintus Maasenegger aż zadrżał, kiedy o nim pomyślał.

I jeszcze Pensjonat U Molly. Jezu Chryste! Qvintus pokiwał głową i wyszedł z kuchni. Poszedł do pokoju i zaczął chodzić bez celu. Z listem w ręku.

„Spal ten list...” Zapamiętał kilka wieczorów w Pensjonacie U Molly, w tej rozpadającej się ruderze gdzieś na skraju... Jak to się nazywało? Cypel Leroy. Spędził tam noc z jakąś laską.

A może kilka nocy, jeśli miał być szczerzy. Ale na pewno z jedną laską. Selmą Verhoven, z tym swoim słynnym uśmiechem i czerwonymi warkoczami. Nie było to jakieś udane doświadczenie, jeśli się bliżej zastanowić, ale z drugiej strony miał wtedy nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Selma musiała mieć jakieś dwadzieścia lat i wyśmiała go, że wytrysnął za szybko.

Bezsensowne wspomnienie! A wszystko przez ten przekłety list.

Nie znał jakoś dobrze pozostałych z tej paczki. Wszyscy byli młodszy o rok albo dwa i założyli ten swój klub na długo, zanim on się tam pojawił. Nagle przypomniał sobie, jak się nazywało to ich lokum. Jaskinia! To w tej cholerniej szczurzej dziurze... Nie, nie chciał o tym myśleć... Jeśli udało mu się to przez tyle lat, to niech tak zostanie.

I teraz, milion lat później, znów się mają spotkać w Pensjonacie U Molly!

Właściwie po co? Do jasnej cholery, po co?

Poszedł do sypialni i wyciągnął się na łóżku. Leżał i wpatrywał się w odpadający od wilgoci sufit. Myśli międkły mu się w głowie. Zapalił kolejnego papierosa i próbował wrócić myślami do przeszłości. Pojawił się tam pewnej jesieni i nareszcie dostał coś, co można było nazwać dzieciństwem. Augustus Flinders bez przerwy podkreślał, żeby Qvintus przypadkiem nie zapomniał, komu to zawdzięcza.

Żeby był wdzięczny, że ktoś się nad nim zlitował. Żeby był wdzięczny, że mógł zamieszkać w tym dużym gospodarstwie wśród normalnych ludzi,

z Augustusem i Elmirą Flindersami i ich dwiema córkami Malwiną i Reginą. Żeby był wdzięczny, że wieczorami mógł siedzieć za ich dużym dębowym stołem, słuchać modlitwy taty Augustusa oraz jego pełnych miłości Pańskiej rad i wywodów.

Żeby mógł siedzieć między swoimi młodszymi siostrami – tak, ma się rozumieć, że nie były jego siostrami, i miał to sobie raz na zawsze wbić do głowy. Był raczej parobkiem niż synem, czego Augustus nie omieszkął zaznaczać, bo krew jest gęstsza niż woda, a zwykła miedź nigdy nie będzie złotem.

Zagroda Hoffenhaase nie była tak duża, jak mogło się wydawać ze słów Augustusa Flindersa, ale dostatecznie duża, żeby znalazła się robota dla pary młodych, silnych rąk. Gospodarstwo położone było na skraju Breijvinskirke, rzut kamieniem od morza, a i do szkoły w Oosterby nie było daleko, ze dwadzieścia minut rowerem rano i dwadzieścia pięć z powrotem, bo po południu zawsze jechało się pod wiatr. Zwierzęta i zboże, a jakże! Zanim wszyscy zdążyli zasiąść do wieczornej modlitwy i wieczerzy, on musiał poświęcić jeszcze czas, jakieś dwie czy trzy godziny, na pracę.

Jeśli istniało na tym świecie coś, w czym Augustus Flinders i jego pasierb – czy jak to tam się nazywa – byli zgodni, to była to kwestia dotycząca książek, odrabiania lekcji i tym podobnych; obaj uważali, że wszystkie te mądrości można sobie z powodzeniem darować. Że to zdecydowanie przereklamowana sprawa.

Oczywiście oprócz Biblii.

Qvintus Maasenegger zgasił papierosa i poszedł do łazienki, żeby się wysikać. Pochłapał się wodą pod pachami i znów się zamyślił.

Siedem lat.

Kiedy tam się pojawił, skończył dziesięć. Siedemnaście, kiedy stamtąd zwiął.

Malvina miała czternaście. Jeszcze za młoda, jak na tamte czasy, i głupia jak gęś, bo dzień po tym, jak to się stało, poszła i wszystko wygadała matce.

To, że jeszcze tej samej zimy tata Augustus dokonał żywota i że te trzy gęsi musiały sprzedać gospodarstwo, jakoś nie zasmuciło Qvintusa. Jednak po półrocznej włóczędze po Hamburgu i Maardam wrócił na stare śmieci. I tak nie zapuścił nigdzie korzeni, a w przetwórnicy ryb zawsze potrzebują rąk do pracy.

Stowarzyszenie Leworęcznych. Dwie niczego sobie siostry. Jedną z nich Qvintus przeleciał, jak należy.

Ale która to była...

Wspomnienia się obudziły. Namieszały nieprzyjemnie i znów próbowały popaść w zapomnienie.

Ten szaleniec Zink... Ta dziewczynka... Pieniądze.

Nie, niech to szlag, pomyślał. Różowo nie jest. Usiadł na brzegu łóżka. Spojrzał na brudne prześcieradło i postanowił poczekać z praniem i sprzątnięciem na lepszą okazję.

A co z treningiem?

Bzdury. Na zachodzie niebo było błękitne, więc postanowił obejść swoje urodziny butelką pilsnera na promie do Trinde.

Potem się zobaczy. Na wszystko przyjdzie czas. Kto wie, może nawet na tych wariatów U Molly.

Mimo wszystko.

Ale zanim wyszedł z domu, zapisał coś na kartce i schował ją do szuflady w sypialni, tam, gdzie przechowywał ważne dokumenty. Następnie w zlewku w kuchni spalił list.

Październik 2012, Maardam

Kiedy wysiadał z tramwaju, padało. Zastanawiał się, ile parasoli zostawił w domu. A ile w antykwariacie. Pewnie z tuzin, ogólnie licząc. Zresztą z przystanku na Koplers Plejn do ulicy Kupinski było nie więcej niż dwieście metrów, poza tym i tak już zdążyła mu zmoknąć głowa. Może to nawet i zdrowo. Właściwie to był już w tym wieku, że przyszedł czas na kapelusz.

Jego przystań wciąż nazywała się Krantze, litery w kolorze matowego złota wymalowane były, w kształcie łuku, na wystawie i na drzwiach wejściowych. Krantze zmarł kilka lat temu, zresztą już wcześniej był wykupiony, ale nie było powodu zmieniać nazwy antykwariatu, który działał od ponad stu lat. On sam zaczął tu spędzać całe dni pod koniec lat dziewięćdziesiątych, oczywiście nie wszystkie, ale większość. I to już od samego początku. Czasami siedem, osiem godzin, jednak najczęściej ze trzy czy cztery. Podejrzywał, że Ulrike też chętnie się go pozbywała z domu, zwłaszcza odkąd sama przeszła na emeryturę. Zresztą, choć to dość podejrzane, w gruncie rzeczy wyszło im na dobre. Bardzo ją kochał, tak samo jak kochał dobre wino, co wcale nie oznaczało, że musi go pić cztery litry dziennie...

Na drzwiach nie było żadnej informacji o godzinach otwarcia. Jedyne tabliczka, którą odwracał w razie potrzeby. Otwarte – Zamknięte. Przy czym „Zamknięte” wcale nie oznaczało, że go tam nie było. Z każdym rokiem coraz bardziej lubił książki i z każdym rokiem pojawiała się coraz mniej klientów – oczywiście oprócz garstki tych, którzy mieszkali w pobliżu i traktowali antykwariat jak bibliotekę. Wybierali dobrą powieść czy zbiór esejów, po chwili

dyskusji płacili dziesięć euro i oddawali z powrotem za tę samą cenę, za jaką kupili. *Gentlemen's agreement*.

Pani Martinus, na przykład. Pan Klimke z psem i stary pianista Herkert, któremu stuknęło już pewnie dziewięćdziesiąt, a może nawet sto lat, ale wciąż miał umysł żywy jak potok alpejski. Do tego typu klienteli należała również pewna piękna młoda kobieta. Zaczęła odwiedzać antykwariat w ostatnim roku, gdy tylko zamieszkała w tym samym budynku. Była w głębokiej żałobie po śmierci syna. Po kilku miesiącach Van Veeteren zwierzył się jej, że on też miał syna; że jego syn też zmarł. Przed trzynastoma laty, licząc od teraz, ale mimo wszystko...

Kiedy już sobie wybrała książki na cały tydzień, Van Veeteren zapraszał ją na szklaneczkę porto i za każdym razem zastanawiał się, czy Ulrike byłaby zazdrosna, gdyby się o tym dowiedziała.

Na pewno nie. Dzielilo go od panny Kuijvers jakieś czterdzieści lat, poza tym nie miał wobec niej żadnych zamiarów. Zastanawiał się, skąd mu to przyszło do głowy, ale sam fakt, że mógł tak pomyśleć, nawet jeśli z dystansem, oznaczał, że takie myśli w nim tkwiły, czyż nie?

Otworzył drzwi i wszedł w sterty książek i kurzu. Nie chciało mu się odwracać tabliczki. Jeśli Münster będzie chciał zrealizować swoją groźbę i faktycznie złoży mu wizytę, zadzwoni dzwonkiem. Przecież nie jest idiotą.

Jeśli w sprawie urodzin, to go wyrzucę, pomyślał Van Veeteren, nastawił kawę i usiadł na obrotowym krześle w kanciapie, skąd nie był widoczny z ulicy.

I wyląduje z głową w rynsztoku. Będzie miał za swoje.

Ale jeśli nie w sprawie urodzin, to właściwie po co?

Diabli wiedzą.

Deszcz przestał padać tuż przed jedenastą, a Münster pojawił się kwadrans później. Wyglądał szczuplej, niż go Van Veeteren zapamiętał. Może dlatego, że chętniej pamiętał go z czasów jego aktywności. W latach osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych. Sam Van Veeteren też był wtedy w znacznie lepszej

kondycji i spędzali razem pięćdziesiąt godzin w tygodniu. Czasami nawet sto. Uświadomił sobie, że Münster musi być teraz starszy, niż on był wtedy, jeśli takie spostrzeżenie miało w ogóle jakiś sens.

– Dzień dobry – powiedział Münster. – Dobrze wyglądasz.

To nie był najlepszy wstęp. Najwyraźniej Münster też to zrozumiał, bo nerwowo zakasłał. Wyglądał na zakłopotanego. Dokładnie tak samo jak dwadzieścia lat temu, kiedy popełnił jakąś gafę, pomyślał Van Veeteren. Stare nawyki się nie zmieniają.

Münster nie należał do tych, co to ciągle popełniają gafy – byli inni, lepsi w tej kwestii od niego. Wręcz przeciwnie, jeśli był ktoś, komu komisarz ślepo ufał, albo przynajmniej w osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu procentach, to był to właśnie inspektor Münster.

I znów to samo: inspektor Münster, komisarz Van Veeteren. Uświadomił sobie, że tylko tak o nich myśli. Ale... jest jak jest i niektórych rzeczy nie da się zmienić. Psiakrew, kiedy już nadejdzie ten dzień, na pewno napiszą mi na nagrobku „komisarz”.

O ile dobrze pamiętał, to od siedmiu czy ośmiu lat Münster też był komisarzem. Po odejściu Reinharta.

– Hm – odpowiedział Van Veeteren. – Może skończmy z tymi uprzejmościami. Czego chcesz?

– Słyszałem, że na dniach masz urodziny – odparł Münster.

Ciąg dalszy wcale nie lepszy niż wstęp.

– Wejdz i siadaj – rzekł Van Veeteren. – Ale jeśli przyszedłeś, żeby o tym rozmawiać, to równie dobrze możesz już iść. Wyjeżdżamy z Ulrike do Nowej Zelandii. A jeśli komuś przyjdzie do głowy, żeby składać mi życzenia, to po nim.

– Słyszałem – odparł Münster.

– Co? – zapytał Van Veeteren. – Co takiego słyszałeś?

– Ulrike mi powiedziała. Wczoraj z nią rozmawiałem.

– Ach tak – Van Veeteren był zdziwiony.

Minęło kilka pełnych wahania sekund. Münster się wyprostował.

– Ale nie po to tu przyszedłem.

– To świetnie – odpowiedział Van Veeteren. – Możesz dostać kawy albo parę kropli porto. Albo i jedno, i drugie... W sam raz na taką pogodę.

– Jestem na służbie – odrzekł Münster i usiadł na obrotowym krześle. – Kawa wystarczy.

– A więc jesteś tu służbowo? – zdziwił się Van Veeteren i napełnił kawiarkę.

– Tak – odparł Münster. – Niestety...

– Wstrzymaj się z tym, co mi chcesz powiedzieć, aż zrobię kawę – zaproponował Van Veeteren. – Chcę spokojnie usiąść, jeśli to coś ważnego.

Minęła minuta. Münster siedział i trzymał usta na kłódkę. Ręce na kolanach, wzrok wędrujący po półkach z książkami.

Zawsze był w tym dobry, pomyślał Van Veeteren. Dla niektórych cisza jest problemem, ale nie dla Münstera.

Jeszcze uznam, że nauczył się tego ode mnie, pomyślał.

Tak jak wielu innych rzeczy.

– Już – powiedział Van Veeteren, kiedy wrócił z kawą i usiadł na swoim krześle obrotowym. – O co chodzi tym razem?

– Jeśli powiem Oosterby, to wystarczy? – zaczął Münster.

– Oosterby? – powtórzył Van Veeteren.

– Tak, Oosterby – odparł Münster. – Niedaleko Beerenzee i Werdingen. Jesień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego, żeby być bardziej precyzyjnym.

Van Veeteren zmarszczył czoło i popił łyk kawy.

– Pensjonat U Molly – powiedział Münster.

– Stowarzyszenie Leworęcznych? – zapytał Van Veeteren.

– Zgadza się.

– Dwadzieścia lat temu.

– Dwadzieścia jeden.

– Ale to przecież nie był jakiś skomplikowany przypadek, prawda?

– No nie.

– Może trochę na początku, ale potem już nie. I co się stało?

Münster milczał przez chwilę i wyglądał, jakby czuł się winien. Jakby chciał zaraz przeprosić.

– Znaleźli Qvintusa Maaseneggera.

– Maaseneggera? – chciał się upewnić Van Veeteren. – Czy to nie był ten, co...

– Niestety – odpowiedział Münster. – I w tym tkwi problem. Pomyślałem, że może będziesz chciał wiedzieć...

Jak na zamówienie byłemu komisarzowi coś strzyknęło w lędźwiach. Przełknął przekleństwo i pomyślał, że naprawdę niczym sobie na to nie zasłużył.

1960–1961, Oosterby i okolice

Tata Kuna Blavatskyego był producentem filmowym.

Miał dziko rosnące, kruczoczarne włosy i głęboko osadzone brązowe oczy o wilgotnych źrenicach, w których zakochiwały się wszystkie kobiety. Przynajmniej tak twierdził w gronie najbliższych przyjaciół – że to przez te jego oczy – ale przyjaciele, stukając się z nim kieliszkiem, protestowali i zapewniali go, że inne jego cechy też są równie ważne. Jak chociażby umięśniona klatka piersiowa, słusznej wielkości penis, no i niczego sobie fortunka.

I to te walory powodowały, że wokół Isidora Blavatskyego zawsze kręciło się stadko osobniczek płci pięknej. Ciągnęły jak muchy do miodu. Jego przyjaciele – tak samo dobrze sytuowani i ulepieni z tej samej gliny co on, może tylko odrobinę niżej stojący w społecznej hierarchii – gustowali w podobnych porównaniach. Ma się rozumieć, pod nieobecność owych dam.

Zresztą muchy były obecne tylko wtedy, kiedy kręcono romantyczne komedie w wiejskich pejzażach. Były bardzo pożądane, aby podczas wojny postawić na duchu rekrutów, ale w 1945 roku zrezygnowano z tego wiejskiego gatunku, który w świecie filmu tkwił gdzieś na rubieżach kultury. Jednakże to wszystko nie miało nic wspólnego ze sprawą.

Kobiety lgnęły do niego jak muchy do miodu – takie były fakty.

Mama Kuna była jedną z tych aktorek, które pod koniec lat czterdziestych grywały rozbierane, ale wymagające rólki w filmach taty Isidora, przez niego zresztą reżyserowanych. A ponieważ szybko zaszła w ciążę i nie podjęto w tej

kwestii odpowiednich kroków, zorganizowano ślub. Kiedy Kuno się urodził, jego tata miał czterdzieści trzy lata, a mama dwadzieścia trzy. Był rok 1949.

Rodzina osiedliła się w domu z kamienia na Armastenstraat w Maardam, nad kanałem, kilka ulic od zbudowanego po wojnie w ekspresowym tempie studia filmowego o wdzięcznie brzmiącej nazwie Fabryka Filmowa Futurum, na co dzień nazywanego w skrócie FFF.

Małżeństwo trwało cztery lata. Mimo iż do rozkładu pożycia doszło z winy taty Isidora, to on – zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i z ogólnie panującymi normami – dostał opiekę nad chłopcem. Z kolei mama chłopca (miała na imię Blanche, pseudonim artystyczny Blasia), kiedy sprawy się dokonały, wzięła swój los we własne ręce. Po otrzymaniu pokaźnej sumy jako plastra na zranioną duszę wsiadła na statek i przez Atlantyk udała się do Hollywood w poszukiwaniu lukratywnej posady.

Nikt już więcej o niej nie usłyszał. Ani jej nie zobaczył na białym płótnie ekranu, w każdym razie nie w kinach starej Europy. Ale może wyszła korzystnie za mąż, kto wie?

Kuno widział swoją mamę ostatni raz, kiedy miał cztery lata i już wtedy był dobrze odżywionym chłopcem o flegmatycznym usposobieniu i w grubych okularach. Najbardziej interesowało go przeglądanie książek z obrazkami i jedzenie słodczy. W szczególności lukrecji.

Z innych cech charakterystycznych warto wymienić tę, że moczył się w nocy i był leworęczny.

Następna kobieta, która zaciągnęła Isidora do ołtarza, nazywała się Disabelle Lemoncourt. Zagrała syrenę w filmie *Marynarz i miłość*. Pobrali się w kościele Keymerk w grudniu 1956 roku, a dwa lata później wyprowadzili się z Maardam i zamieszkali na wybrzeżu. Kupili starą willę po właścicielu fabryki na przedmieściach Oosterby, na Szykownym Wzgórzu z widokiem na przystań, morze i wysepki Kleppener i Buygen. Kupili też duży jacht. A ponieważ tego samego roku Isidor kończył pięćdziesiąt lat, zaczął sobie uświadamiać, że jego

bujne-chmurne lata powoli się kończą. Kuno poszedł do szkoły, Disabelle zrezygnowała ze sceny, a Isidor z bezpiecznej odległości zajął się głównie nadzorowaniem swoich inwestycji w projekty filmowe. Pieniądzy im nie brakowało. A nowe wciąż napływały. Znakiem firmowym FFF były śmiech i łzy, tak teraz, jak i przedtem. Z przewagą łez, tak szczerze mówiąc.

Żeglowanie stało się największą pasją i słabością Isidora Blavatskyego już od końca lat pięćdziesiątych i pozostało nią przez resztę jego życia. Disabelle okazała się najlepszym majtkiem, więc każdego lata robili długie wyprawy przez Bałtyk, Kanał Kiloński i wokół Wysp Brytyjskich. A niekiedy nawet wzdłuż Zatoki Biskajskiej i Półwyspu Iberyjskiego.

Kuno był równie niezdarny na morzu co na lądzie, ale po krótkim czasie nauczył się panować nad chorobą morską i utrzymywać równowagę na pokładzie. Jednak większość czasu spędzał w kajucie, gdzie leżał pod kocem, jadł lukrecję i czytał gazetki, podczas gdy morze bujało go swymi rytmicznymi ruchami, i tymi nierytmicznymi też. Jego tata i macocha zgodni byli co do tego, że najlepiej będzie zostawić go w spokoju.

Lato 1960 roku było niezwykle piękne, szczególnie pod koniec, z tego też powodu Isidor i Disabelle postanowili, że nie będą się śpieszyć z powrotem do domu.

Pływali więc wokół brytyjskich wysepek Guernsey, Jersey i Sark kilka tygodni dłużej i to tam poznali mnóstwo żeglujących przyjaciół. Do przystani w Oosterby zawinęli dopiero pod koniec września. Kuno skończył wtedy jedenaście lat i w normalnej sytuacji zaczynałby czwartą klasę, czyli swój pierwszy rok w szkole dla starszych uczniów pod ciężką, ale sprawiedliwą ręką magistra Pommerstena.

Jednak tak się nie stało. Chłopak ledwo sobie poradził z wymaganiami trzeciej klasy, więc kiedy pojawił się w szkole spóźniony ponad trzy tygodnie, panna Bolster i magister Pommersten po długich naradach jednomyślnie doszli do wniosku, że dość tego. Kuno Blavatsky zostanie jeszcze jeden rok w trzeciej klasie. Niektórym młodym ludziom nauka idzie jak po grudzie i Kuno

najwyraźniej zaliczał się do tej kategorii. Niezaprzeczalnym i smutnym dowodem na to był fakt, że po trzech latach ćwiczeń wciąż pisał lewą ręką.

Nie dziwiło więc, że stosunkowo szybko zyskał nowych przyjaciół w postaci Martena Winckelstroopa i Rejmusa Fiste. Swój ciągnie do swego. Tak ciężko myślących jak to trio panna Bolster nie pamiętała w swojej wieloletniej pedagogicznej karierze.

I nie miała pojęcia, że Stowarzyszenie Leworęcznych zyskało nowego członka w osobie Kuna Blavatskyego. Też dobrze.

– W porządku – powiedział Marten Winckelstroop. – I pamiętaj, że to tajemnica. Jeśli puścisz parę z ust, nie żyjesz.

– Nie ży-ży... nie żyjesz – dodał Rejmus Fiste.

– Nic nie powiem – zapewnił Kuno Blavatsky. – A zresztą komu? Przecież nie mam żadnych kumpli.

Jak zwykle siedzieli na strychu u Martena. Dla Kuna to nie była zwyczajna rzecz, bo to był jego pierwszy raz. Tymczasem obaj jego nowi kumple w tej ciasnej, ale miłej dziurze spędzili już setki godzin. Żeby nie powiedzieć tysiące.

– Dobrze – powiedział Marten. – Czyli morda w kubek. Ten, kto należy do Stowarzyszenia Leworęcznych, musi... musi... No jak to się nazywa?

– U-u-u... – spróbował Rejmus.

– Właśnie – odrzekł Marten. – Musi umieć trzymać język za zębami i być silnym.

– Taki właśnie jestem – odparł Kuno. – Umieję trzymać język za zębami i jestem silny. Posiłujemy się na ręce, to zobaczycie.

Kuno Blavatsky rzeczywiście był wyrośnięty jak na swój wiek i to, że był o rok starszy od swoich nowych kompanów, wcale nie było takie złe. I Marten, i Rejmus czuli, że ich stowarzyszenie potrzebuje takiego zastrzyku świeżej energii. Wiosną i latem jakoś kiepsko im szło z zebraniem i działalnością, a już z całą pewnością żaden z nich nie pamiętał, co się stało z zasadami i celem stowarzyszenia.

Ale od jesieni 1960 roku sprawy przybrały inny bieg. Rejmus zrobił nowe legitymacje członkowskie, bo stare gdzieś przepadły, krwią ślubowali sobie wierność aż do śmierci i jako dowód na to, że zarówno stowarzyszenie, jak i jego członkowie dojrzeli, zapoczątkowali zebrania, na których potajemnie palili papierosy, z niezawodną przebiegłością podkradane przez Kuna z barku rodziców w ich dużym domu na Szykownym Wzgórzu.

Powstał nowy regulamin, napisany lewą ręką. Będą się witać poprzez porządny uścisk lewej ręki, a jeśli któryś ją złamie (nawet we dwóch razem Rejmus i Marten nie byli w stanie pokonać tego wypchanego lukrecją Kuna), to zawsze w zanadru była prawa dłoń schowana za plecami.

Pod koniec maja następnego roku na kilka tygodni przed rozpoczęciem wakacji zmarła panna Bolster. Niektórzy twierdzili, że stało się to w bardzo dziwnych okolicznościach, jednak większość, na przykład policja, uważała, że to po prostu wypadek z tragicznym finałem. Panna Bolster najzwyczajniej w świecie spadła ze schodów i złamała kark, kiedy ze swojego pokoiku na poddaszu schodziła do szkoły.

Zdarzyło się to w nocy z czwartku na piątek. Znalazł ją magister Klitschke, kiedy o ósmej rano schodził z góry, żeby zadzwonić dzwonkiem na pierwszą lekcję, i natychmiast skonstatował, że panna Bolster jest sztywna jak pień.

Flaga zawisała w połowie masztu i przez półtora dnia w szkole dla młodszych uczniów w Oosterby nie odbywały się lekcje. Przez drugą połowę soboty życie toczyło się już normalnym trybem.

Jaki interes miała panna Bolster, żeby w środku nocy schodzić na dół do szkoły? Policja zadawała to pytanie nie tylko sobie, ale i innym (przy pomocy termometru i obducenta Bluma można było stwierdzić, że zgon nastąpił około pierwszej w nocy). Padały hipotezy, że musiała czegoś zapomnieć z klasy, może dziennika, niepoprawionych sprawdzianów albo jakiegoś innego przedmiotu natury dydaktycznej. Jednak wkrótce jednomyślnie stwierdzono, że prawdopodobnie leżała w łóżku i poprawiała sprawdziany z geografii, z rzek

i jezior, i być może chciała coś sprawdzić na mapie. Zostawiła zapaloną lampkę nocną, ale żeby nie obudzić magistra Klitschke, który spał w sąsiednim pokoju, nie zapaliła światła na korytarzu. Gdy schodziła, załamał się pod nią stopień, a wraz z nim stara, stuletnia już balustrada. Tak, z całą pewnością był to nieszczęśliwy wypadek.

Albo przeznaczenie, jak ktoś zauważył. A że magistra Klitschke nie obudził huk i łomot, które najpewniej towarzyszyły pannie Bolster w jej ostatniej drodze, to niezbity dowód na to, że miał zdrowy, mocny sen. To zaś z kolei jak ułał pasowało do innych cech jego charakteru i do wyznawanych przez niego zasad.

W każdym razie panna Bolster zmarła na służbie, czego nie omieszkła zaznaczyć pastor Zimmermann w czasie ceremonii pogrzebowej, która odbyła się dziesięć dni później w wypełnionym po brzegi kościele w Oosterby.

Fakt, że do zdarzenia doszło w środku nocy, stanowi niezbity dowód na to, że panna Bolster do ostatniej chwili zajęta była wychowywaniem młodego pokolenia. Tak jak zawsze.

Na strychu u Martena Winckelstroopa odbywała się skromna uroczystość. Mus jabłkowy, suchary cynamonowe i trzy papierosy marki Camorra, czyli bez żadnych zbytków. Śmierć nie wymaga wystawności. Przeciwnie: żąda szacunku i powściągliwości.

Jako że wakacje stały u progu, kiedy panna Bolster opuszczała życie doczesne, jej następczynię znaleziono dopiero przed rozpoczęciem kolejnego roku szkolnego. Nazywała się Felicia Fromm, miała trzydzieści lat i zamiast zamieszkać w tym pechowym lokum nauczycielskim, wybrała mieszkanie w miasteczku. Tuż przy rynku, a dokładniej mówiąc: dwa piętra nad kinem Rex.

Miała blond włosy związane w koński ogon i sporo ludzi mawiało, że reprezentuje nowe czasy. Był rok 1961, a ona już była w posiadaniu gramofonu, kiedy zaś spacerowała po klasie, wokół unosił się dyskretny, acz bardzo wyraźny zapach perfum.

Mawiano, że francuskich.

Tej samej jesieni w szkole w Oosterby czwartą klasę zaczęły bliźniaczki Behrens.

Październik 2012, Maardam/Kolmar

– Zaczyna padać – powiedziała Ulrike Fremdli. – Nie mówiąc już o wietrze.

– Nad morzem będzie jeszcze gorzej – odparł Van Veeteren.

– Nie mam nic przeciwko spacerom w wietrze.

– Z każdym krokiem stajemy się młodszy – odrzekł Van Veeteren.

Siedzieli w samochodzie. Minęli Klagenburg. Prowadziła Ulrike. Van Veeteren siedział na miejscu pasażera, na kolanach trzymając teczkę. Było kilka minut po jedenastej, a oni mieli przed sobą jeszcze trzy, cztery godziny jazdy.

– Szczerze mówiąc, czuję się trochę jak jakiś przestępca – odezwała się Ulrike, kiedy zjeżdżali z ronda. – Albo uciekinier.

– Nie masz powodu – odpowiedział Van Veeteren. – To był mój pomysł i ja biorę za niego całą odpowiedzialność, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.

Ulrike się uśmiechnęła.

– Choć z drugiej strony nie mam nic przeciwko temu, żeby się poczuć jak przestępca. Wręcz przeciwnie. W naszym wieku potrzeba trochę odmiany, a to się wydaje ekscytujące.

– A może nawet trochę romantyczne... – dodał Van Veeteren.

– Absolutnie – odparła Ulrike i położyła dłoń na jego udzie. – Dwa tygodnie incognito, w częściowo zamkniętym starym pensjonacie. Wygląda na to, że nie będzie tam zbyt wielu gości. No i wszyscy myślą, że jesteśmy w Nowej Zelandii. Rzeczywiście zabrałeś dwanaście butelek wina?

– Nie wiem, jakie tam panują zwyczaje – odpowiedział Van Veeteren.

– W końcu siedemdziesiąt pięć lat obchodzi się tylko raz w życiu.

– Albo wcale. To też jakieś wyjście.

– Kocham cię – powiedziała Ulrike. – Mówię tak na wszelki wypadek, gdybyś nie wiedział.

– Dziękuję. I z wzajemnością. Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił.

– Dyskusyjna sprawa. Ale zmieniając temat... Powiedz mi lepiej, o czym Münster chciał z tobą rozmawiać.

Van Veeteren siedział w milczeniu.

– Co za sprawę miał do ciebie? – powtórzyła Ulrike.

– A już miałem nadzieję, że nie zapytasz – odrzekł Van Veeteren.

Ulrike zabrała rękę i popatrzyła na niego.

– Ale zapytałam.

– Może włączymy jakąś muzykę – powiedział Van Veeteren. – Brahmsa? Albo Villa-Lobosa?

– Nie – zaprotestowała Ulrike Fremdli. – Choć niedługo skończysz tyle lat, ile skończysz, to jeszcze musisz się nauczyć tego i owego.

– Czego na przykład?

– Na przykład tego, że nie opłaca się wymigiwać od odpowiedzi.

– Hm – Zastanawiał się. Rzucił okiem na szare niebo i spróbował: – Pewnie będzie padać, tak jak zapowiadali.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała Ulrike.

– *All right, all right* – odparł. – Pozwól mi najpierw zebrać myśli.

– Masz pięć minut – ostrzegła go Ulrike.

Van Veeteren potrzebował tylko trzech.

– Właściwie to nic szczególnego.

Ulrike obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Czysto policyjna sprawa. Nietrudna do rozwiązania, nawet jeśli cała historia była bardzo dziwna. A raczej niezwykła. Przez wszystkie te lata miało się do czynienia z niezwykłymi przypadkami. Właściwie to można powiedzieć, że niezwykłe przypadki to norma... Tak, to nawet niegłupia uwaga. Nie uważasz?

– Chcę usłyszeć, co to za sprawa. Niepotrzebne mi twoje filozofowanie.

– A więc w ten sposób? – rzekł Van Veeteren. – No dobrze, Münster chciał ze mną porozmawiać, bo pojawiły się nowe okoliczności zdarzenia, które miało miejsce ponad dwadzieścia lat temu. Okoliczności, które... jak to się mówi... postawiły... nie, raczej powinienem powiedzieć stawiają sprawy nieco na głowie. Chodzi o stare śledztwo... Hm...

– Nie mówi się „nieco na głowie” – odparła Ulrike. – Albo coś stoi na głowie, albo nie.

– Niech ci będzie – zgodził się Van Veeteren. – Ale jeśli będziesz mi cały czas przerywać, to nigdy się nie dowiesz, co to takiego. Może jednak Brahms, mimo wszystko? Koncert na wiolonczelę świetnie by pasował w taki dzień. Albo Elgar?

Ulrike Fremdli uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Van Veeteren westchnął i wyjął z torby cienką teczkę.

– Zabrałem część papierów. Przyniósł mi je do antykwariatu... To znaczy Münster.

Ulrike czekała cierpliwie. Van Veeteren odkaszlnął i poprawił się na siedzeniu.

– A więc tak... – zaczął. – Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. Miejsce nazywało się... chociaż pewnie w dalszym ciągu się nazywa... Oosterby. Tak się składa, że leży nie więcej niż dwadzieścia pięć, może trzydzieści kilometrów od naszego pensjonatu. Wiem, że wygląda to trochę tak, jakbyśmy właśnie tam jechali, ale takie zbiegi okoliczności przestały mnie już dziwić.

– Dalej – poganiała go Ulrike.

– Kiedyś we wszystkim doszukiwałem się schematów i pochłaniało to mnóstwo energii. Ale to było kiedyś. Lubimy schematy, dlatego wydaje nam się, że je znajdujemy, podczas gdy...

– No, no, robi się coraz ciekawiej... Co dalej?

– Podczas gdy to my sami je sobie konstruujemy. Po prostu tak pracuje nasz umysł. Porządek w chaosie za wszelką cenę... Ale przecież filozofia nie bardzo cię dzisiaj interesuje, o ile dobrze zrozumiałem... Druga zasada termodynamiki? Prawo entropii?

– Niespecjalnie interesujące, szczególnie dzisiaj – odpowiedziała Ulrike, kiedy wjeżdżali na autostradę do Aarlach. – Okej?

Van Veeteren zastanawiał się przez chwilę.

– Cztery ciała – skonstatował.

– Cztery ciała?

– Tak. I od samego początku było jasne, że zostali zamordowani. Pierwszy na miejscu zbrodni pojawił się szef policji Wilkerson, a on nie był głupi. Miał na tyle rozumu, żeby natychmiast wezwać posiłki. Dlatego ja i Münster tam pojechaliśmy. Było to mniej więcej o tej samej porze roku co teraz... może kilka tygodni różnicy... dwadzieścia jeden lat temu... I też w pensjonacie... Miejmy tylko nadzieję, że historia się nie powtórzy...

Van Veeteren czekał na replikę ze strony Ulrike, ale ona milczała.

No tak, pomyślał. Już to przerabiała.

– To był Pensjonat U Molly – kontynuował. – I to ona zidentyfikowała ciała. A raczej próbowała je zidentyfikować. Nieszczęsna kobieta, prowadziła to miejsce przez całe swoje życie, jeśli mnie pamięć nie myli. Pamiętam zdjęcia tych osób... Niewiele z nich zostało...

– Dlaczego? – zapytała Ulrike.

– Spłonęli żywcem. A dokładniej mówiąc, został z nich węgiel. Zidentyfikowanie, kto jest kto, zajęło trochę czasu. Molly nie była na sto procent pewna wszystkich nazwisk, mimo iż wynajęli u niej pokoje.

– A powinna?

– Tak by się mogło wydawać. Twierdziła, że wszyscy się wpisali do księgi hotelowej, tyle że księga też spłonęła. Wkrótce potem wyjaśniło się, że to... Tak, tak chyba było.

– Podpalenie?

– Tak, do takich wniosków doszliśmy.

– I co, złapaliście podpalacza?

Zanim odpowiedział, Van Veeteren zadudnił palcami w teczkę. Ulrike siedziała w milczeniu i czekała.

– I tak, i nie.

– I tak, i nie?! A co to za odpowiedź? Złapaliście go czy nie?

Van Veeteren wyjął z kieszeni koszuli wykałaczkę i zaczął się jej przyglądać.

– Zidentyfikowaliśmy przestępcę, ale go nie ujęliśmy. Pojechaliśmy z Münsterem na miejsce zbrodni kilka dni po pożarze i jeśli dobrze pamiętam, spędziliśmy z miejscowymi policjantami tydzień. Jak już mówiłem, wszyscy byliśmy dość zgodni. Nie było tam nic szczególnego, no może oprócz tego, że nam przepadł.

– Przestępca?

– Tak.

– I do tej pory jest na wolności? Powiedziałeś... dwadzieścia lat?

– Dwadzieścia jeden – poprawił ją Van Veeteren. – Ale nie powiedziałbym, że jest na wolności. I w tym cały problem... To dlatego Münster chciał ze mną rozmawiać.

– Nie bardzo rozumiem.

– Ja też nie.

Van Veeteren zaczął przeglądać papiery, ale Ulrike mu przerwała:

– Czy szanowny pan komisarz mógłby wyrażać się jaśniej? Wydaje mi się, że zapaliła ci się w głowie lampka... Pewnie sporo o tym pisali... Dość spektakularna sprawa, co?

– Zgadza się – przyznał Van Veeteren. – Z pewnością było to spektakularne. To musiało być kilka lat wcześniej, nim cię poznałem. I tak, oczywiście dużo się o tym pisało. Na pewno czytałaś.

– Mów dalej... Co się wydarzyło? Co to byli za ludzie?

– I w tym tkwi cały problem – odparł Van Veeteren, przełamał wykałaczkę i włożył ją z powrotem do kieszeni. – To była grupa starych znajomych.

Wszyscy w tym samym wieku, około czterdziestki, znali się jeszcze z czasów szkolnych... a można nawet powiedzieć, że od dziecka. No właśnie... w tym sęk, bo jak mówię, że byli starymi znajomymi, to wcale nie znaczy, że wciąż mieli ze sobą kontakt. Po prostu przyjaźnili się przedtem... czyli... no tak, to musiało być jakoś w latach sześćdziesiątych.

– Kiedy byli dziećmi, innymi słowy – doprecyzowała Ulrike.

– Kiedy byli dziećmi i trochę później, już jako nastolatki. Tamten wieczór spędzali w pensjonacie U Molly, bo mieli jakiś zjazd czy coś, żeby... No właśnie... Po co, u diabła? Po co ludzie spotykają się w taki sposób? Pewnie żeby wspominać dawne czasy. Może dawne krzywdy? I co? I się pokłócić? Mówię ci to dlatego, że do takich wniosków wtedy doszliśmy, i musimy mieć jasność...

– My? – przerwała mu Ulrike. – Jeśli o mnie chodzi, to nie mam żadnej jasności. Może więc byś zaczął jeszcze raz od początku, co?

– Od początku? – mruknął Van Veeteren. – Przecież ci mówię. Poza tym kto wie, gdzie tu jest początek, a gdzie koniec? Myślę, że źródło sprawy tkwi w latach sześćdziesiątych albo jeszcze wcześniej... i dlatego, tak jak powiedział Münster, jeszcze raz musimy zrewidować to, do czego doszliśmy dwadzieścia czy dwadzieścia jeden lat temu.

– Na przykład co? – zaciekała się Ulrike.

– Na przykład naszego wytypowanego przestępcę.

– Tego, co wam uciekł? – dopytywała Ulrike.

– On wcale nie uciekł – odpowiedział Van Veeteren z głębokim westchnieniem. – On też zginął.

– Co? – zdziwiła się Ulrike.

– Tak jak powiedziałem: on też zginął.

– Dziękuję, słyszałam. Ale nie znaleźliście ciała. To dlatego, że było doszczętnie spalone?

– Nie było spalone. Zostało zakopane w lesie, niedaleko pensjonatu. I bardzo możliwe, że leżało tam od tamtej pory.

– Co takiego?

– To dlatego Münster się do mnie odezwał.

– Rozumiem. Ale przecież nie mógł podpalić swoich przyjaciół, a potem sam się pogrzebać?

– Oceniam to jako raczej nieprawdopodobne – zgodził się z nią Van Veeteren. Ulrike siedziała przez chwilę w milczeniu.

– To był na pewno on? – zapytała po chwili. – Ten nowy trup... jest... był tamtym przestępcą? Bo jeśli tak, to rzeczywiście macie problem.

– Też tak mi się wydaje – odparł Van Veeteren. – I pomyśleć, że tak łatwo mnie w to znów wciągnął ten cholerny Münster.

– A wolałbyś, żeby tego nie zrobił? – zapytała Ulrike z ostrożnością w głosie.

– Oczywiście, że nie – zachnął się Van Veeteren. – Za kogo ty mnie masz?

– Ale to naprawdę dziwne, że wybraliśmy akurat ten pensjonat... tak blisko... Ile mówiłeś? Trzydzieści kilometrów?

– W każdym razie nie więcej niż trzydzieści pięć – odpowiedział Van Veeteren i odłożył teczkę. – Myślisz, że jest już za późno na szukanie biletów do Nowej Zelandii?

Godzinę później, po zatankowaniu, siedzieli z kawą przy stole piknikowym w przydrożnym barze w pobliżu Kolmaru. Deszcz, wbrew przewidywaniom, przestał padać, a ponieważ siedzieli osłonięci od wiatru, Ulrike powiedziała, że pogoda zasługuje na miano „dojrzałego lata”.

– Jeśli już, to jego ostatnich podrygów – zasugerował Van Veeteren.

Potem oboje milczeli. Van Veeteren przeżuwał kanapkę z serem, Ulrike bagietkę z salami, jednak przede wszystkim przeżywali opowieść, którą on powoli i z unikami właśnie z siebie wyrzucił.

Pożar pensjonatu U Molly pod Oosterby dwudziestego ósmego września 1991 roku (a konkretnie w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego), w którym życie straciły cztery osoby (a właściwie pięć).

Ulrike aż trudno było w to uwierzyć. Brzmiało to tak nieprawdopodobnie... ale może faktycznie jest tak, jak kiedyś mawiał Van Veeteren, i „to, co najbardziej prawdopodobne, często okazuje się nieprawdopodobne”. Co to jednak miałyby znaczyć w tym przypadku? Dawniej Van Veeteren lubił rzucać takimi dwuznacznościami, z wiekiem coraz rzadziej, choć jednak nie całkiem.

„Każda prawda dźwiga swoje przeciwieństwo”.

„Wszystko jest względne, tak samo jak prawda i fałsz”.

Chociaż to ostatnie to chyba cytata z Mahlera, starego poety, z którym Van Veeteren grywa w szachy.

W każdym razie, zastanawiała się Ulrike Fremdli, pożar pensjonatu U Molly to robota diabła. Zdaje się, że i to jest cytata z Van Veeterena.

Wrzesień 1991, Oosterby.

Birgitte Behrens nie mogła zasnąć.

Może dlatego, że w oknie nie było zasłon, a może był inny powód.

Na przykład taki, że po kolacji wypła duży kubek kawy. Namówił ją miły kelner, a ona nie potrafiła odmówić.

Nawet czegoś tak trywialnego jak kawa po jedzeniu. Pomyślała, że zawsze tak było. Wrodzona uprzejmość to w siedmiu na dziesięć przypadków zaleta w sytuacjach społecznych, w pozostałych – to katastrofa. A jeśli nawet nie katastrofa, to w każdym razie porażka. Kopniak, który trafiał w nią samą i powodował, że ludzie tracili do niej szacunek. Prawda, że tak było? Rozmawiała o tym ze swoimi terapeutami, zwłaszcza z ostatnim, z którym spotkała się sześć razy po rozwodzie, a którego teraz odłożyła na półkę. „Chcesz, żeby wszyscy czuli się dobrze?”, zapytał, a raczej stwierdził. „Próbujesz brać odpowiedzialność za ludzi wokół siebie? Ratować siebie i innych z konfliktów? Popraw mnie, jeśli się mylę”.

Nie poprawiła go. To też było typowe. Nawet jeśli niezupełnie trafił w dziesiątkę, nawet jeśli były rzeczy, o których nie miał pojęcia, to jednak nie chciała pozbawiać go poczucia, że dokonał właściwej analizy. Właściwego opisu jej rzekomego życia duchowego i motywów działania. Przecież o to chodzi – żeby czuć złość i rozczarowanie swoim terapeutą, i mówić o tym głośno. Ale nie w przypadku Birgitte Behrens. Ona swoje rozczarowanie słodziła uprzejmością, a kiedy stamtąd wychodziła, rzadko miała poczucie, że wyniosła z terapii coś pożytecznego.

A już na pewno nie wtedy, kiedy w samotności płakała z tęsknoty za Carlosem. Kiedy czuła brak sensu w swoim życiu. Terapia była dla niej sposobem na zabicie czasu. I jeśli nawet czasami czuła wściekłość, to zawsze po czasie i zawsze kierowała ją przeciwko sobie samej.

Jej pierwszym terapeutą była kobieta. Birgitte wciąż nie mogła zdecydować, jaką rolę odgrywa płęć, jeśli chodzi o znalezienie profesjonalnego przewodnika w życiu. Wiedziała tylko, że odgrywa. Jej wakacyjny przewodnik duchowy był w jej wieku, najwyżej pięć lat starszy, i od samego początku było wiadomo, że jego największą zaletą było to, że ani trochę nie przypominał Carlosa. Gdyby było odwrotnie, natychmiast by z niego zrezygnowała. Nawet jeśli miałyby go to zranić.

A więc wbrew wrodzonej uprzejmości. Dlaczego muszę być tak cholernie uprzejma? – zastanawiała się. Dlatego że mam taką siostrę, jaką mam?

W każdym razie więcej już się nie spotka ani z Carlosem, ani z terapeutą. Nadchodzący tydzień zapoczątkował, jak by to pewnie nazwały magazyny kobiece, jej „nowe życie”. Zresztą jak to nazwać inaczej. Nowa praca, nowe miasto, nowe mieszkanie, bez mężczyzny. To punkt zwrotny, przypuszczalnie najważniejszy w całym życiu, i gdyby nie ten przeklęty zjazd, byłaby już na miejscu, w Sorbinowie. W dodatku udawanie Clary nie było okolicznością sprzyjającą. Ale... jak to bywa... jest jak jest.

Udawanie Clary!

– Wpycha się w moje życie, wpycha się w moje myśli! Do diabła! Dlaczego zawsze życie mojej siostry jest ważniejsze niż moje własne?

Birgitte zauważyła, że mówi sama do siebie. A raczej mamrocze pod nosem. To prawdopodobnie zły znak. Prawdopodobnie coś, co też wymagałoby kilku godzin terapii, jeśli tylko miałyby ochotę.

Do diabła!

– Musisz mi pomóc – powiedziała Clara. – Potrzebuję kilku dni z Kostadinem, żeby podjąć decyzję co dalej.

Kostadino (co za imię?!) był kochankiem Clary od pół roku, może trochę dłużej, bo Clara nie zawsze uważała za konieczne informować siostrę bliźniaczkę o sytuacji. „Prywatny detektyw”, tyle się dowiedziała. Rzeczywiście tacy istnieją po tej stronie Atlantyku? Mąż Clary miał na imię Hugo, byli małżeństwem od czterech lat, mniej więcej tak samo długo jak na świecie był ich syn Florian, i te dwie rzeczy, oczywiście, miały ze sobą sporo wspólnego. Birgitte spotkała Hugona parokrotnie i za każdym razem zdawał jej się coraz bardziej niesympatyczny. Zajmowała się Florianem kilka razy, ale to było dawno, kiedy chłopiec miał nie więcej niż rok, dwa lata, nie było więc okazji do kontaktu. Ogólnie mówiąc, relacje z Clarą polegały na tym... zresztą zawsze tak było... że Birgitte czuła się wykorzystywana. W ten czy inny sposób. Clara żyła dla siebie i na swoich warunkach. A Birgitte żyła, bo... bo inni od czasu do czasu jej potrzebowali. Szczególnie potrzebowała jej Clara. Kurwa mać!

Westchnęła i pomyślała, że za dużo przeklina w myślach. Zapaliła lampkę nocną. Uznała, że latarnię za jej oknem musiał postawić jakiś złośliwy architekt, który najwidoczniej nie chciał, żeby goście hotelu Carmen spali. A brak zasłon w oknach mógł świadczyć tylko o tym, że... że był żonaty z cierpiącą na ciągłe zaparcia właścicielką hotelu, która była taką samą mizantropką jak jej mąż.

Skąd się to u mnie wzięło? – zastanawiała się Birgitte Behrens. Powinnam siedzieć nad Morzem Śródziemnym i pisać książki, a nie leżeć tutaj i się zadręczać.

I kiedy pomyślała o zadręczaniu się, uznała, że to jest dokładnie to, co teraz robi. Zadręcza się! Ale nie tyle własną niedoskonałością i wybujałym ego swojej siostry, co raczej nadchodzącym dniem. Dokładnie tym.

Powrotem.

Piękne słowo, szczególnie na odległość, gdy nie przypiera do muru.

Powrót do Oosterby. Mieszkała w tym sennym miasteczku między dziesiątym i dziewiętnastym rokiem życia, a żaden inny czas w młodości człowieka nie jest tak ważny dla jego rozwoju. Ogólnie mówiąc. To czas, kiedy odkrywa się świat

i jego uwarunkowania – relacje, nadzieje, miłość, zawód, cokolwiek. To przejście z dzieciństwa w dorosłość. To wielkie oczekiwanie na dorosłość. I nie dotyczyło to tylko Birgitte, lecz wszystkich.

Gospodarstwo pod Oosterby. Nowa rodzina, która wprowadziła się do starego domu otoczonego topolami. Ich nowy tata, który pojawił się w ich życiu bardzo szybko i którego Birgitte bała się od samego początku. Nerwy mamy. Pewność siebie Clary. Rynek z fontanną, która nigdy nie działała. The Blue Anchor. Przystań z falochronami i strome schody prowadzące na wzgórze.

Koledzy. Wrogowie. Pierwszy pocałunek. Pierwszy stosunek. To swędzenie po i ta dziwna paczka leworęcznych.

Jaskinia.

Chociaż to Clara była w niej bardziej aktywna. Przedrzeźnianie ojczyma Reina, kiedy wypił parę kieliszków. Jego błyszczące oczy i jego ohydny tatuaż na plecach.

Kot Fix i kot Monster.

I Clara. Przede wszystkim Clara. I te wszystkie dni i wszystkie godziny, rozmowy z nią. Słowa, kłótnie, kompromisy.

Kłamstwa i ciężar wyrzutów sumienia. Żeby tylko chronić siostrę.

Madeleine. To, co się wydarzyło i o czym przez całe życie próbowała zapomnieć. O czym nigdy nie powiedziała żadnemu ze swoich terapeutów. Pod żadnym pozorem. To niewinne dziecko.

Oosterby w moich snach, myślała. Czy może raczej koszmary senne, bo to znacznie lepsze określenie.

Spotkanie po latach, tak powiedziała Clara. Z jakiegoś tam powodu w pensjonacie U Molly, ale w sumie to nawet logiczne. Tylko mała grupa. Skontaktowali się z nią listownie, tyle dowiedziała się Birgitte, bez żadnych szczegółów.

Raczej nie była entuzjastyczna i zadowolona. Ale była to jedyna szansa, żeby Clara spotkała się z Kostadinem. Zresztą nikt, do diabła, nie zauważył różnicy,

nie po ponad dwudziestu latach. Przecież robiły to z powodzeniem już tyle razy.

– A Rejmus? – zapytała Birgitte. – Czy pomyślałaś, jak sobie z nim poradzę?

– Nie widziałam go ponad dwadzieścia lat – zapewniała ją Clara. – Zresztą nigdy nic poważnego między nami nie było. Ciało to tylko ciało.

„Ciało to tylko ciało”? Ach tak! A ja jestem tylko głupią gęsią, pomyślała Birgitte Behrens. Miłą i łatwowierną gęsią, którą każdy może mieć. Kurwa mać!

Kostadino... Birgitte nigdy go nie spotkała, ale była ciekawa, jak wygląda mężczyzna o takim imieniu. I jaki jest?

Wcale się nie zrobiła śpiąca od tych myśli. Nałała sobie kieliszek porto i usiadła przy stole. Otworzyła dziennik i zaczęła czytać to, co napisała w ciągu ostatniego tygodnia.

A kiedy kończyła te dwanaście zapisanych przez siebie stron, usłyszała, jak za cienką ścianą hotelową kocha się jakaś para. Słyszać było głównie kobietę i Birgitte zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie jej dane przeżyć coś takiego jeszcze raz. Albo przynajmniej otrzeć się o takie przeżycie, bo najwyraźniej miała z tego ogromną przyjemność, ona, ta obca kobieta... A może to był samotny mężczyzna, który się masturbował przy filmie pornograficznym? Nie wiadomo.

Dlaczego przyjechałam tu dzień wcześniej? Przez chwilę się zastanawiała. Na litość boską, po co?

Przyjęcie miało być dopiero nazajutrz, w sobotę wieczorem, więc na tę pierwszą noc zarezerwowała pokój w hotelu Carmen. Drugą noc spędzi już U Molly. Pomyślała sobie, że najpierw, jeszcze przed wielkim spotkaniem po latach, w tym starym pensjonacie, odwiedzi stare kąty. Wypije kawę w The Blue Anchor, jeśli jeszcze istnieje, może pojedzie do ich starego domu i zobaczy, jak duże już są topole, a nawet odwiedzi dawną przyjaciółkę (faktycznie jakąś miała?). Powłóczy się po wybrzeżu i pójdzie do kościoła. Lunch zje w Zeeblicku albo w hotelu Żaglowiec... Tak, może kilka tygodni temu taka myśl byłaby przyjemna, nawet atrakcyjna. Przecież nie było jej tu od dwudziestu lat.

Ale nie skontaktowała się ze swoją fikcyjną przyjaciółką (Dorthe, to byłaby chyba ona, jeśli już). A to, że w Żaglowcu nie było ani jednego wolnego miejsca i że musiała zjeść w tym obskurnym hotelu Carmen, wcale jej nie zniechęciło.

Przyjechała, kiedy robiło się ciemno i padał deszcz. Nie wzięła żadnej z taksówek, które stały przed starym dworcem, bo pomyślała, że miło będzie zrobić sobie spacer ze stacji. Kiedy już doszła do hotelu, skwaszony portier powiedział, że nie może znaleźć jej nazwiska w systemie, ale nie szkodzi, bo i tak mają kilka wolnych pokoi.

Restauracja zamykała się za pół godziny, jeśli chciałyby coś zjeść.

Kelner był raczej miły. Tak miły, że namówił ją na kawę i kieliszek koniaku po kolacji – i dlatego potem, jak jakiś wybrakowany odrzut, zmuszona była siedzieć i gapić się na nędznie oświetloną tylną ścianę straży pożarnej i słuchać tej lubieżnie stękającej kobiety. Zamiast smacznie spać.

Śniadanie serwowano tylko do wpół do dziesiątej, więc nie zdziwiłaby się, gdyby zasnęła i nie zdążyła zjeść.

Kurwa mać, pomyślała dokładnie w tym momencie, kiedy kobieta zza ściany wreszcie miała orgazm. Wróciła do pustego hotelowego łóżka i zaczęła myśleć o siostrze. Znów. Była jak dziurawy ząb, w którym nie sposób nie grzebać.

Clara Behrens bardzo wcześnie nauczyła się przepychać łokciami i pojawiła się na świecie dwadzieścia pięć minut przed swoją siostrą.

„Nasz Pan nie lubił pośpiechu, szczególnie wtedy, kiedy pozwolił naszej małej Birgitte pojawić się wśród nas”. Właśnie tych słów lubił używać jej tata, jej prawdziwy tata, kiedy rodzinie i znajomym opowiadał o swoich bliźniaczkach.

Kiedy uważał, że potrzebne jest wytłumaczenie, dlaczego Clara jest taka przedsiębiorcza i do przodu, podczas gdy Birgitte do każdej nowej rzeczy i obcych ludzi podchodzi z największą ostrożnością. Coś jak mysz, która niezauważenie próbuje umknąć przed kotem.

To o myszy także pochodziło od taty Rubena i jeśli się głębiej zastanowiła, właściwie nie było takie głupie. W dzieciństwie zawsze czuła się jak małe, zalęknione zwierzątko. I choć teraz Clara nie zawsze była kotem – aż tak źle nie było – to jednak z czasem wcale nie stały się do siebie bardziej podobne. Wręcz przeciwnie: twarde jeszcze stwardniało, a miękkie bardziej zmiękło.

Ale wygląd pozostał. Siostry Behrens były tak do siebie podobne, że nawet ich rodzice nie mogli ich rozróżnić. W każdym razie nie podczas przelotnej, powierzchownej inspekcji, więc zdarzało im się, jak to często zdarza się bliźniętom, to wykorzystywać. Udawały jedna drugą. Czasami robiły to dla korzyści, a dokładniej mówiąc, dla korzyści Clary, czasami tylko dla zabawy.

Co najdziwniejsze, Birgitte nigdy nie miała problemu z wejściem w rolę Clary. Jakby jej nieśmiałość i nieporadność zniknęły w momencie, kiedy stawała się swoją siostrą. Była wtedy pewna siebie i odważna, a nawet zabawna. Wiele razy zastanawiała się, jak to się dzieje. Że to takie proste. Czy dlatego, że nie musiała czuć się odpowiedzialna za to, co powiedziała i zrobiła? Czy tylko o to chodziło?

I dlaczego nie używała tej sztuczki w innych sytuacjach? Zarówno wcześniej, jak i później, w dorosłym życiu, kiedy potrzebowała więcej pewności siebie? Dlaczego nie udawała, że jest swoją siostrą, tak po prostu?

Ale podziw i zazdrość już jej minęły. Clara się zmieniła, zaczęła się bardziej kontrolować, więc myśl, żeby się z nią zamienić miejscami, nie była już tak pociągająca. Właściwie w ogóle nie była.

Chociaż teraz to zrobiła... Tak, bo Clara tak bardzo ją prosiła, że zdecydowała się jej pomóc. Dlaczego miałyby tego nie zrobić?

Powinnam była jej odmówić, pomyślała i uniosła wzrok. Tym razem powinnam była to zrobić.

Spojrzała na brudnożółtą latarnię i zauważyła, że zaczęło padać. Drobny, gęsty deszczyk, który pamiętała z lat, kiedy tu jeszcze mieszkała. Przychodził znad morza, kurtyna mikroskopijnych kropli wirujących w powietrzu, które ani

myślały opaść na ziemię. Tak to przynajmniej wyglądało. I nagle poczuła radość, że znów tu jest, że wróciła.

Przynajmniej cień radości. Czego mam się bać? – myślała. Przecież to Clara tu siedzi, nie ja.

– To cholerne stowarzyszenie – powiedziała któregoś dnia Clara. – To tam mi się wszystko zaczęło psuć. Chętnie bym się dowiedziała, jak im się teraz żyje, tym stukniętym półgłówkom, ale w tę sobotę po prostu nie mogę jechać. Muszę uporządkować swoje życie, teraz albo nigdy. Proszę cię! Zwrócę ci wszystkie koszty. Zgoda?

„Uporządkować swoje życie”? Dzięki, przynajmniej ten cel może dzielić ze swoją siostrą.

Poszła do łazienki, żeby się wysikać. Wróciła do łóżka i zgasila lampkę.

„To cholerne stowarzyszenie”? „Stuknięte półgłówki”?

I Clara, i ona, obie siostry, były członkami „cholernego stowarzyszenia”, ale to Clara była tą aktywną. Piwo, trochę trawki i mnóstwo rocka w ich zapyziałym lokum – ich spelunie i azylu jednocześnie. Jeśli chodziło o Birgitte, to coraz rzadziej tam przychodziła, zwłaszcza kiedy była w liceum. Stowarzyszenie miało też swoją nazwę, coś związanego z leworęcznością... Stowarzyszenie Leworęcznych czy jakiś podobny bełkot.

Clara mówiła, że na zjeździe będzie nie więcej niż pięć, sześć osób, może nawet mniej, a wymieniła dwie z nich: Rejmusa Fiste i Qvintusa Maaseneggera. Birgitte obu ich pamiętała, choć jak przez mgłę. Rejmus Fiste przez jakiś czas chodził z Clarą. Ładny, nieśmiały chłopak. Nie było najmniejszych wątpliwości, kto w tym związku rządził. Zresztą Birgitte nie spotkała żadnego z tych „stukniętych półgłówków”, odkąd się stąd wyprowadziła, ale gdzieś słyszała, że Qvintusowi Maaseneggerowi jakoś w życiu nie wyszło. Że nawet siedział w więzieniu, jeśli się nie myli, i że mówiło się o nim tylko w tym kontekście. Jeśli w ogóle. Kradzież łodzi, pobicia, historie w tym rodzaju. I „pożyczony” samochód, w którym Birgitte też siedziała. Z wyrzutami sumienia.

Czy Clara z nim też kręciła?

Boże! Od tego pytania nagle ją zemdliło. A jeśli Clara przespała się z Maaseneggerem i on teraz czeka na powtórkę? Może Rejmus Fiste też? W co ona, do diabła, się wpakowała?

I nagle pojawiła się w jej głowie mała Madeleine. Najgorsze z możliwych.

Ale to była już zupełnie inna historia.

A może wcale nie?

Skąd nagle pojawiło się to pytanie? Zrzuciła z siebie kołdrę i zaczęła chodzić po ciasnym pokoju. Spostrzegła, że jest za dziesięć druga, że deszcz przestał padać i że nad dachem ratusza pojawił się nieśmiały księżyc.

„Niewyjaśnione”. Nagle przypomniała sobie, że siostra tego właśnie słowa użyła. Było coś niewyjaśnionego i stąd to spotkanie. Dlatego tak ważne było, żeby ona – a właściwie Clara – pojawiła się jutro wieczorem w tym obskurnym pensjonacie.

Co to takiego? Co było „niewyjaśnione”? Coś między jej siostrą a Qvintusem Maaseneggerem i tymi pozostałymi typkami, kimkolwiek byli? Dobre pytanie... nawet bardzo dobre.

Ja chyba oszalałam, pomyślała Birgitte Behrens. Muszę się jakoś z tego wywinąć. Jutro z samego rana biorę pierwszy pociąg i wyjeżdżam. Powiem, że miałam atak woreczka żółciowego, cokolwiek.

Ale siedem godzin później, gdy jadła śniadanie w mało atrakcyjnej restauracji hotelu Carmen, przemyślała sprawę. Przez pożółkłe okna wpadało słońce. Zapowiadał się piękny dzień.

Jestem moją siostrą, powtarzała sobie. Dzisiaj w ciągu dnia i wieczorem nazywam się Clara Behrens, a Clara Behrens nigdy by nie stchórzyła i nie poddała się z powodu jakichś nocnych lęków podczas kilku bezsennych godzin. Nigdy w życiu.

Postanowiła trzymać się tej myśli i tego postanowienia.

Niech będzie, co ma być.

Październik 2012, Oosterby i okolice

– Co to jest?

Van Veeteren otworzył nową teczkę i zaczął przeglądać papiery. Znów siedzieli w samochodzie. Do celu mieli jeszcze godzinę i dwadzieścia minut. Przynajmniej według GPS-a. Van Veeteren dobrze wiedział, że nigdy by go sobie nie kupił, gdyby nie pewna kobieta, jego żona, Ulrike Fremdli. I że nie ma pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

O czym on w zasadzie rozmyślał? Zdziwił się, skonsternowany. Z czym, a może z kim niby nie potrafił sobie poradzić? Z GPS-em czy może z...?

– Co to jest? – powtórzyła Ulrike.

Van Veeteren potrząsnął głową.

– Ciała – odpowiedział lakonicznie. – To znaczy ci spaleni.

– Dlaczego nie zdążyli uciec?

– Dobre pytanie – odparł.

– Które wymaga odpowiedzi – zripostowała Ulrike.

– Może jakiś środek nasenny – rzekł Van Veeteren po chwili namysłu. – Ale to tylko teoria. I nie udało się jej potwierdzić... Spalone ciała... Trudna sprawa. Jeśli nie byli zbyt pijani i nie spali, to powinni byli zdążyć. A jednak wszyscy zostali w jadalni.

– Cztery osoby, tak?

– Zgadza się. Trzech mężczyzn i jedna kobieta.

– Przeczytaj mi ich imiona... jeśli masz już papiery pod ręką.

– Po co?

– Rób, o co cię proszę. To ja jestem kapitanem na tym statku.

Van Veeteren odchrząknął i zaczął czytać:

– Kuno Blavatsky, czterdzieści dwa lata, przedsiębiorca. Rejmus Fiste, czterdzieści jeden lat, strażnik więzienny. Clara Behrens, czterdzieści jeden lat, na zwolnieniu lekarskim, bezrobotna, jedyna kobieta w tej grupie, i jeszcze...

– Ciekawe... – przerwała mu Ulrike.

– Co takiego?

– Dlaczego samotna kobieta zadaje się z trzema facetami.

– Też się z Münsterem wtedy zastanawialiśmy, ale nie znaleźliśmy żadnego logicznego wytłumaczenia. Zostało sporo niejasności, bo... tak, bo byliśmy przekonani, że mamy sprawcę.

– Rozumiem – odparła Ulrike. – Jak się nazywał ten czwarty?

– Marten Winckelstroop – przeczytał Van Veeteren. – Czterdzieści jeden lat, pisarz.

– Pisarz?

– Według książki telefonicznej. Dorobek: jedna powieść. Wyszła w połowie lat osiemdziesiątych, sprzedała się w niecałych stu egzemplarzach, jeśli dobrze pamiętam. Można więc przypuszczać, że to nie jedyne jego źródło utrzymania.

– Bardzo prawdopodobne – odpowiedziała Ulrike. – A skąd przypuszczenie, że to właśnie ten, którego ciało znaleźliście, podpalił kolegów? Wyleciało mi z głowy jego imię...

– Qvintus Maasenegger – westchnął Van Veeteren. – Z zeznań świadków. Za stołem zasiadło pięć osób tamtego wieczoru. I czworo z nich straciło życie.

– Właścicielka pensjonatu. To ona była świadkiem, tak? Molly...?

– Zgadza się – potwierdził Van Veeteren. – Molly Hansen. Było to... co tu dużo gadać...

Van Veeteren zamilkł i na chwilę spojrział w boczną szybę. Na rozległym polu rolnik pakował na przyczepę siano zawinięte w plastikową folię. Nad lasem chmara ptaków kierowała się na południe, gdzie niebo nagle zrobiło się niebieskie.

Czy to ma jakiś sens? – pomyślał Van Veeteren. Dlaczego po tylu latach znów muszę wracać do tej starej sprawy? To jak odgrzewane kluchy.

Odpuść sobie!

Ale to nie były żadne odgrzewane kluchy, w tym cały problem. Wszystko było starannie zapakowane przez dwadzieścia lat – aż do momentu, kiedy Münster pojawił się z nowymi informacjami. Że ich sprawca najprawdopodobniej nie był żadnym sprawcą, tylko ofiarą.

Case closed. Okropna i niezrozumiała historia, ale nie na tyle, by któryś z nich zastanawiał się nad nią przez te wszystkie lata. Ani Münster, ani on. Nie pamiętał, żeby rozmawiali o tym choćby jeden jedyny raz po zakończeniu sprawy.

To znaczy po tym, jak uznali ją za zakończoną.

Co to Mahler powiedział przedwczoraj? „Prawdy z czasem ulegają zmianie”? Co to, do diabła, miało znaczyć?

– Molly Hansen? – przypomniała mu Ulrike.

– Hm, no tak – mruknął Van Veeteren i znów powędrował wzrokiem przed siebie. – Było w niej coś dziwnego, czego nie mogłem rozgryźć. Ale spotkałem się z nią dwa razy i nie znalazłem pretekstu, żeby się w to jakoś szczególnie wgłębiać.

– Przecież spłonął jej pensjonat z czterema osobami w środku... Dobrze zrozumiałam?

– Zgadza się.

– I? Bo słyszę, że masz wątpliwości.

– Tak, chyba tak. Molly Hansen z pewnością przeżyła szok i doznała traumy, ale... było coś jeszcze... Pamiętam, że się nad tym zastanawiałem, tylko że nie było okazji, by się w to wgryźć.

– Nie ma co narażać na szwank opinii policji, napastując ofiarę, tak?

Van Veeteren potrząsnął głową.

– Nie, tym się zupełnie nie przejmowałem... A teraz musi mieć jakieś osiemdziesiąt lat.

– To ona żyje?

– Münster tak twierdzi. Wilkerson też.

– Jaki Wilkerson?

– Szef tutejszej policji. Nadzorował śledztwo, zanim my się tu pojawiliśmy. On też pewnie ma teraz z osiemdziesiąt lat. Pomyśleć, że jest jeszcze tylu ludzi, którzy są starsi ode mnie... Potraktować to jako dobry znak czy zły, jak sądzisz?

Ulrike uśmiechnęła się i położyła mu rękę na ramieniu.

– To po prostu znaczy, że masz jeszcze przed sobą sporo dobrych lat życia. A co innego?

– Pożyjemy, zobaczymy – wymamrotał Van Veeteren, zamknął oczy i zatopił się w myślach.

– Obudzę cię, jak dojedziemy – powiedziała Ulrike.

Pensjonat nazywał się Kaarshuis i położony był na skraju małego nadbrzeżnego miasteczka Friesenbirge. Długi dwupiętrowy drewniany budynek z widokiem na bukowy las z tyłu i morze od strony porośniętego żytem i rzędem niskich sosen pagórka. Ich pokój znajdował się u szczytu budynku, oddalony od recepcji i jadalni. Kiedy Van Veeteren wyszedł na spory balkon, by wciągnąć w nozdrza haust słonego morskiego powietrza, pomyślał, że w takim miejscu jak to mógłby bez żadnego problemu spędzić co najmniej pół roku.

A nawet cały rok. Albo tyle, ile mu zostało.

To znaczy, dopóki będzie miał Ulrike u swojego boku, bo to podstawowy warunek, żeby chciało mu się w ogóle żyć. Taka była prawda. Miał tylko nadzieję, że jej przemyślenia idą w tym samym kierunku. Gdy jednak Ulrike zniecka otoczyła go ramieniem i przycisnęła się do niego, odniósł nieodparte wrażenie, że tak właśnie jest.

– To naprawdę niegłupie – powiedziała Ulrike. – Chcesz się wykąpać przed obiadem czy napijemy się po lampce wina? Mamy jeszcze godzinę.

– Że niby w morzu?

– Tak.

– To może lampka czerwonego wina i krótki spacer? – zaproponował Van Veeteren. – Wolę się kąpać rano... a najlepiej w ogóle. Mamy przecież październik, moja droga.

– Wiem – odpowiedziała Ulrike i zaczęła się śmiać. – Twoja wola jest moim rozkazem.

– Moja wola? – zapytał Van Veeteren.

– Twoja wola – odparła Ulrike. – Poza tym masz urodziny.

– To jeszcze ponad tydzień.

– To też wiem. Postawiłam krzyżyk w kalendarzu, na wszelki wypadek.

– Da się to wymazać?

– Nie sądzę. Sprawa przesądzona, że się tak wyrażę.

– Kiedy znaleźli tego Maaseneggera?

Ulrike pochyliła się nad stołem, oparta na ramionach, i wbiła w niego wzrok. Van Veeteren zrozumiał, że nie ma sensu się opierać i że chyba nie ma teraz na to ochoty. Byli tuż przed deserem. A wszystko ma swój czas.

– Dwa tygodnie temu – odpowiedział. – Jeśli dobrze zrozumiałem Münstera. Zidentyfikowanie go zabrało im trochę czasu. Zresztą nic dziwnego, skoro leżał zakopany ponad dwadzieścia lat.

– Przyczyną śmierci było uderzenie w głowę...?

– Najprawdopodobniej. Młotek czy coś w tym rodzaju, prosto w głowę. Przypuszczalnie jedno uderzenie, ale mocne i dokładne.

– Łatwo jest zabić – powiedziała Ulrike i zafrasowanym wzrokiem spojrzała na kartę dań. – Zdecydowanie za łatwo. Myślę, że zadowolę się tylko kawą.

– Ja też – odpowiedział Van Veeteren. – I może coś do tego...

– Calvados?

– Koniak.

– Nie zmieniłeś zdania.

– No nie. Niezmienny jak pory roku, jak to się mówi.

Kelnerka niezauważenie podeszła do ich stolika i przyjęła zamówienie. Pozostali goście, dwie pary w średnim wieku, prawdopodobnie ze Skandynawii,

wstały i skinęły im uprzejmie głowami, wychodząc ze stołówki. Ulrike się odwzajemniła, a następnie oparła głowę w dłoniach. Było widać, że bije się z myślami. Drążyć dalej czy dać mu spokój?

– Ale ty byłeś zadowolony ze śledztwa, prawda? – zapytała w końcu. – Nie wysiliłeś swojej słynnej intuicji? Nie wyczułeś, że coś jest nie tak.

– Aż tak słynna to ona nie była – zaprzeczył Van Veeteren po chwili namysłu. – I nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z nas miał jakieś wątpliwości. To była klarowna sprawa... niestety. Na przyjęciu spotyka się pięć osób. Cztery z nich giną, a piąta znika. Mężczyzna. Przypuszczalnie to on wszystko zorganizował. Nie zapominaj, że w dziewięciu sprawach na dziesięć rozwiązanie jest proste i oczywiste.

– Tak, wiem – odpowiedziała Ulrike. – Ale nie szukaliście go?

– Oczywiście, że szukaliśmy. Wszędzie. Wszczęliśmy poszukiwania zaraz po tym, co się stało, ale niestety wcale nie tak trudno się skutecznie ukryć...

– Szczególnie jeśli jest się zakopanym w lesie...

Van Veeteren zrobił grymas.

– Szczególnie wtedy... Ale w Europie jest parę tysięcy osób, których szuka policja... przestępców różnego kalibru. Część z nich na pewno nie żyje, ale wielu się ukrywa, większość pewnie poza granicami Europy... I zapewne każdy z nich ma dobry powód.

Ulrike zastanawiała się przez chwilę.

– A ten, który to rzeczywiście zrobił... bo przecież to musiała być ta sama osoba... ten, który spalił tę czwórkę i zabił piątego... on też musiał mieć dobry powód, żeby się ukryć?

– I to jeszcze jaki – przytaknął Van Veeteren. – Jeśli ma się pięć istnień ludzkich na sumieniu, to jest za co odpowiadać przed społeczeństwem.

– Tyle że on też może już nie żyć.

– Bardzo możliwe – westchnął Van Veeteren. – A wtedy odpowie przed innym sądem.

Ich kawa i dwa małe kieliszki pojawiły się na stole. Kelnerka zapytała, czy rachunek zapisać na pokój. Van Veeteren skinął głową.

– Będziemy tu przez najbliższe dwa tygodnie, więc proszę dać znać, jeśli będziecie potrzebować zaliczkę.

Kelnerka kiwnęła głową i się uśmiechnęła.

– Mamy waszą kartę.

No tak, oczywiście, pomyślał Van Veeteren. Ach, te dzisiejsze czasy. Nawet najmniejszy rachunek nie ujdzie płazem.

– Co zamierzasz robić? – zapytała Ulrike, kiedy zostali sami i sączyli trunki z kieliszków. – Coś mi się wydaje, że już masz jakiś plan.

Van Veeteren próbował patrzeć przez okno, ale w szybie widział tylko ich odbicia. Ulrike czekała.

– No i co? – zapytała po dziesięciu sekundach.

– Rozmawialiśmy o tym z Münsterem... – wtrącił niby mimochodem Van Veeteren.

– Ach tak?

– Można by tam przynajmniej pojechać i się rozejrzeć. To nie jest tak daleko stąd... jak już mówiłem.

Ulrike pokiwała głową i wybuchnęła śmiechem.

– A więc powiedziałaś Münsterowi, że nie jedziemy do Nowej Zelandii, tak?

– Hm... no tak, nie miałem wyjścia. Ale Münster będzie milczał jak grób. Niech no tylko puści parę z ust...

– Münster to Münster – powiedziała Ulrike.

– Na sto procent. Mamy mordercę na wolności... Oczywiście jeśli jeszcze żyje. On albo ona, bo nie możemy wykluczyć i tej możliwości.

– Oczywiście – zgodziła się Ulrike. – Kobiety też swoje potrafią.

– Nigdy w to nie wątpiłem – powiedział Van Veeteren. – W każdym razie mam numer telefonu do obecnego szefa policji, gdyby nam się nudziło... Do dawnego zresztą też.

– Do Wilkersona?

– Zgadza się.

– A jak nazywa się ten nowy?

– Zapomniałem – odpowiedział Van Veeteren. – Jakoś z końcówką -vic, o ile się nie mylę. Petrovic czy Markovic?

Ulrike odchyliła się do tyłu i uśmiechnęła.

– W takim razie proponuję, żebyśmy zajęli się tym już jutro. Żeby ta stara sprawa nie popsowała ci urodzin.

– Tego by już było za wiele – powiedział Van Veeteren. – Może pojedziemy tam od razu po śniadaniu, co ty na to?

– Masz na myśli po kąpieli i po śniadaniu? – zapytała Ulrike.

– Zobaczymy jutro – odparł Van Veeteren i spojrział na zegarek. – Wpół do jedenastej. Wypijmy do końca i chodźmy do pokoju. Może obejrzymy jakiś film...

– Czytasz w moich myślach – rzekła Ulrike.

Styczeń 1963, Oosterby i okolice

Marten Winckelstroop postukał młotkiem w stół.

Właściwie to powinien być młotek sędziowski, drewniany, taki, jakiego używają w sądzie w amerykańskich filmach, które tak uwielbia jego mama. Marten nigdy nie widział czegoś takiego na własne oczy... ale co tam, trzeba się zadowolić tym, co się ma.

– Witam na zebraniu Stowarzyszenia Leworęcznych – powiedział. – Zaczynamy. Kto jest... jak to się mówi?... obecny?

– Ja – odparł Kuno Blavatsky i podniósł rękę.

– J-j-ja! – wydusił z siebie Rejmus Fiste.

– Dobrze – powiedział Marten. – Zanotuję.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której notował w leżącym na stole zeszycie. I Kuno, i Rejmus siedzieli cicho i czekali, bo przecież nie gada się na zebraniu, przynajmniej nie na początku. Żaden z nich nie bardzo wiedział, o czym będą dyskutować tym razem. To przewodniczący odpowiadał za takie rzeczy, a przewodniczący w tym roku, podobnie jak w poprzednim i jeszcze poprzednim, nazywał się Marten Winckelstroop. Zresztą może był nim dożywotnio. Obowiązki sekretarza pełnił Rejmus, do którego należało protokołowanie... ale wyglądało na to, że dzisiaj Marten i tym się zajmie. Może chciał tylko zanotować, kto jest obecny, a potem przekazać zielony zeszyt protokolantowi...

Kuno z kolei był skarbnikiem, ale jako że Stowarzyszenie nigdy nie miało żadnych pieniędzy, a tym bardziej żadnego skarbu, funkcja ta nie wymagała

szczególnie dużego wysiłku. Kuno nie należał do tych, co to się uskarżają, wysiłek nie leżał w jego naturze, z powodzeniem więc wystarczało mu, że siedział sobie gdzieś w kącie.

Kasa Stowarzyszenia świeciła pustkami, wobec czego Kuno od czasu do czasu dorzucał jakiś grosz – na napoje czy słodczyce – nie licząc papierosów, które podkradał tacie, producentowi filmowemu, z barku w ich pięknej willi na Szykownym Wzgórzu. Schylać się pół metra i podkradać coś z szafki z alkoholami to aktywność, która będzie go zajmowała przez kolejne kilka lat.

Marten przekazał Rejmusowi zeszyt i ołówek, po czym odchrząknął.

– Pomyślałem o jednej rzeczy... Jest nas tylko trzech... Przydałoby się trochę więcej.

Kuno zmarszczył czoło, a Rejmus notował.

– Masz rację – powiedział Kuno po chwili. – Przydałoby się nas... no nie wiem... czterech czy pięciu?

– A-a-ale... – zaczął Rejmus.

– Tak? – zachęcił go Marten.

– Al-ale... k-kto? – dokończył pytanie Rejmus.

– No właśnie – odparł Kuno. – Kto?

– O tym też pomyślałem – odpowiedział Marten.

– N-n-nie... – wydukał Rejmus.

– Nie kto? – zdziwił się Marten.

– N-nie Janos i P-P-Pieter w każdym razie.

Janos i Pieter chodzili do tej samej klasy co trzej członkowie Stowarzyszenia. Byli silni jak niedźwiedzie i grali w piłkę w drużynie młodzików.

– Jasne, że oni nie – powiedział Marten i parsknął. – Nie są nawet leworęczni.

– No właśnie – przytaknął Kuno. – Praworęczne gnojki, obaj.

Rejmus pokiwał głową i znów coś zapisał, choć nie do końca wiadomo co.

– A więc kogo znamy, kto jest leworęczny? – spytał Marten z chytrym uśmiechem.

I Kuno, i Rejmus czuli, że to musi być podchwytliwe pytanie. Tak intensywnie się zastanawiali, że powietrze w małym pokoiku na strychu zrobiło się aż gęste, żaden z nich jednak nie mógł znaleźć odpowiedzi. Wprawdzie w Oosterby i okolicy mieszkało kilka osób, które mimo wieloletnich wysiłków nieżyjącej już panny Bolster wołały pisać lewą ręką, ale to powinien być ktoś w ich wieku, najchętniej z tej samej klasy... Nie no, kurwa, przecież gdzieś muszą być jacyś sensowni kandydaci.

– Nikt wam nie przychodzi do głowy? – podpytywał Marten, kiedy spostrzegł, że w mózgach kolegów pusto jak w portfelu u studenta.

– Nie... chyba nie – odpowiedział Kuno.

Rejmus potrząsnął głową.

Marten znów odchrząknął.

– Hm. A Clara i Birgitte?

Na trzy sekundy zapanowała grobowa cisza. Rejmusowi aż opadła szczęka, a Kuno wytrzeszczył oczy.

– Dziewczyny...? – Kuno aż zasyczał. – Chcesz, żeby... żeby dziewczyny były członkami naszego stowarzyszenia? Czyś ty...?

Rejmus zamknął usta i złamał czubek ołówka. To było nadzwyczaj długie i burzliwe zebranie. Nie dlatego, że kwestia dopuszczenia kobiet (Rejmus użył słowa „kobiety” w protokole) do tego dotychczas wyłącznie męskiego stowarzyszenia dzieliła jego członków, ale dlatego, że nie sposób było wymyślić, jak to, kurwa, będzie dalej.

Krótko po ogłoszeniu przez Martena tej sensacyjnej propozycji Kuno i Rejmus zrozumieli, o co chodzi. W końcu mieli już skończone dwanaście lat – Kuno nawet trzynaście – a siostry Behrens, Clara i Birgitte, podobne jak dwie krople wody, były najładniejszymi kobietami w całej szkole.

– Człowiekowi s-s-s-s-staje od samego patrzenia na nie – wyrwało się Rejmusowi podczas debaty.

S-s-s-s-staje! Niełatwe słowo dla warg takiego jąkały jak Rejmus.

– Gina Lollobrigida razy dwa. – Kuno odwołał się do swojej odziedziczonej wiedzy ze świata filmu.

– Właśnie – zgodził się Marten, nie mając zielonego pojęcia, kto to taki ta tajemnicza Gina. – Uważam, że się... jak by to powiedzieć?... przydadzą?... w Stowarzyszeniu. W dodatku obie są leworęczne, co nie?

– K-k-kurewsko leworęczne – skonstatował Rejmus i zaczął scyzorykiem temperować ołówek, żeby móc dalej notować. Bo było to, bez dwóch zdań, zebranie, na którym nic nie mogło umknąć uwadze.

Ale jak to zrobić? Kurwa, jak? Po bolesnym ataku przenikliwości i samokrytyki członkowie Stowarzyszenia Leworęcznych wspólnie doszli do wniosku, że to wcale nie takie pewne, że siostry Behrens wpadną w zachwyt i będą piąć peany, że zostały wybrane do tego najwspanialszego i najbystrzejszego grona. Może podziękują... odmówią...? W najgorszym razie wybuchną tym swoim szyderyczym śmiechem na sam pomysł i powiedzą swoim dobroczyńcom, żeby szli do diabła. Ciężko przewidzieć... Nawet bardzo młode kobiety mogą być trudne do rozgryzienia, trzej współcześni muszkietierowie doszli więc do wniosku, że potrzebny tu jest finezyjny plan.

Zabrało im to cały wieczór, ale w drodze do domu Kuno i Rejmus byli zgodni co do strategii działania. Wprawdzie Rejmus był nieco sceptyczny, bo całkiem dużo spadło na jego barki... żeby nie powiedzieć wszystko.

Powód tego stanu rzeczy mógł mu schlebiać czy raczej powinien mu schlebiać, gdyby tylko Rejmus Fiste nie był Rejmusem Fiste.

Dobrze wyglądał i ładnie śpiewał. I nic nie mógł poradzić ani na jedno, ani na drugie.

Byli tacy, którzy twierdzili, że jest podobny do Jamesa Deana – bardzo nieśmiałego Jamesa Deana, a jak wiadomo, nieśmiałość bywa atrakcyjna.

O tym, że miał dobry głos, nikt by się nie dowiedział, gdyby panna Bolster nie zmarła, a na jej miejsce nie przysłała Felicia Fromm, która szczęśliwie towarzyszyła swoim uczniom w starszych klasach, co dla jej poprzedniczki było nie do pomyślenia. Ta przemiła młoda nauczycielka grała na gitarze i twierdziła,

że jeśli piętnaście minut dziennie poświęcą na muzykę i śpiew, będą się lepiej czuć i będą mieć lepsze wyniki w nauce. Taka myśl nigdy by się nie mogła zrodzić pod jajowatą czaszką panny Margarete Bolster, ale ta, dzięki Bogu, spoczywała już w ziemi. Zamilkła na wieki. Rękawice korekcyjne zostały spalone, magister Klitschke i Pommersten byli na dobrej drodze do osobistej przemiany, a w klasie czwartej w semestrze zimowym nikt już dokładnie nie pamięta z jakiego powodu, Rejmus Fiste zaśpiewał *Hang Down Your Head, Tom Dooley* do akompaniamentu gitarowego panny Fromm i... jak to kurewsko dobrze brzmiało! Nawet głuchy jak pień by to przyznał.

Ale najdziwniejsze było to, że kiedy Rejmus śpiewał, w ogóle się nie jękał, a gdy tydzień później wykonał piosenkę Elvisa Presleya *Love Me Tender* (do tego samego akompaniamentu), dwie dziewczyny tak się wzruszyły, że aż się rozpląkały z głębi swoich dziewczęcych serc. I nie mogły przestać.

Żadna z płaczek nie była siostrą Behrens, ale nie miało to większego znaczenia. Powoli, lecz nieubłagane, szczególnie w semestrze zimowym, Rejmus Fiste stał się pewnego rodzaju bohaterem romantycznym szkoły w Oosterby. Dziewczyny durzyły się w nim, najczęściej na odległość, i choć była to dopiero piąta klasa, bez najmniejszych wątpliwości znalazłyby się takie, które chętnie by go przytuliły, a nawet skradły mu jakiś pocałunek. Jeśli, oczywiście, Rejmus Fiste nie byłby tym, kim był, czyli nieśmiałym i bojaźliwym samotnym wilkiem.

Ale teraz liczyło się to, co powiedział o bliźniaczkach Behrens. Że miały coś, od czego człowiekowi stawał. Było to stwierdzenie, z którym w pełni się zgadzał i z którego wcale nie miał zamiaru się wycofywać. Może istniały jakieś niewytłumaczalne siły, potężniejsze niż najbardziej nieśmiała nieśmiałość. Dlatego też po niedługim czasie dał się namówić kolegom na podjęcie się tego trudnego zadania.

O siostrach Behrens, oprócz tego że były śliczne jak Gina Lollo-coś-tam, wiadomo było tyle, że mieszkały w gospodarstwie pod Oosterby. Do klasy

dołączyły półtora roku temu, obie były leworęczne i do szkoły dojeżdżały autobusem. Przynajmniej zimą, bo przy cieplejszej pogodzie jeździły rowerem – ich jednoślady były nowoczesne, z przerzutkami, jeden żółty, drugi czerwony, ale która siostra jeździła na którym, trudno było zgadnąć. Możliwe, że w niektóre dni zamieniały się rowerami.

Jak już wspomniano, próby rozróżnienia ich skazane były na niepowodzenie. Rzadko miały na sobie takie samo ubranie, ale zdarzało się, że spódnicę w kratkę, którą Clara miała na sobie w poniedziałek, we wtorek nosiła Birgitte. Albo na przykład Birgitte po południu nosiła bransoletkę, którą Clara miała na sobie przed południem. Przynajmniej tyle było wiadomo.

Czasami któraś z nich miała umalowane usta – i to najprawdopodobniej była Clara.

Z innymi dziewczynami z klasy siostry Behrens się nie przyjaźniły. I rzadko widywano je oddzielnie, prawie wszędzie chodziły razem. Jeśli któraś się przeziębila i była nieobecna w szkole, druga też. Teraz, w piątej klasie, zaczęły im już rosnać piersi – może to o nich tak rozmyślał Rejmus. Tak czy owak, nie był w tym odosobniony, z całą pewnością.

Do ataku przystąpił w sobotę pod koniec stycznia. To było sprytne i udane posunięcie. Na lekcji wychowawczej, na ostatniej godzinie ostatniego dnia tygodnia, Rejmus zaśpiewał nową piosenkę Elvisa Presleya *Are You Lonesome Tonight*, i to nie raz, ale na prośbę wszystkich aż dwa razy... I ani jedno oko nie pozostało suche. Ten dzień należał do niego. Nałożył na włosy brylantynę, za radą Martena Winckelstroopa, i dostał całusa od panny Fromm.

Nie dziwiło więc, że niecałą godzinę później Clara Behrens została czwartym członkiem Stowarzyszenia Leworęcznych. Birgitte Behrens poprosiła o czas do namysłu, ale nikt nie wierzył, że jedna siostra zrobi coś bez drugiej.

– Kurwa, byłeś naprawdę dobry – stwierdził Marten Winckelstroop tego samego wieczoru na strychu na Beerenstraat. – Jutro zebranie. Myślę, że obie przyjdą.

- Zajeście – zgodził się Kuno Blavatsky.
 - B-b-byłem tak zdenerwowany, że o mało nie z-z-z... – zaczął swoje wyznanie Rejmus Fiste.
 - Co? – dopytywał Marten.
 - Nie zrobiłem w m-majtki – powiedział Rejmus. – Sz-sz-sz...
 - No co?
 - Szczególnie kiedy mnie po-poc-pocałowała.
 - Pocałowała cię? – wykrzyknął Marten.
- Rejmus pokiwał głową.
- W co? – zapytał Kuno.
 - W us-us-usta – odpowiedział Rejmus Fiste.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Były komisarz policji Wilkerson przyjął byłego komisarza policji Van Veeterena u siebie w Kernten. To mała, posępna wioska położona mniej więcej w połowie drogi między pensjonatem we Friesenbirge a Oosterby. Spotkali się w związku z pożarem pensjonatu U Molly jesienią 1991 roku. Van Veeteren zastanawiał się w duchu, jak można zamieszkać w Kenten, które leży siedem czy osiem kilometrów w głąb lądu, zamiast gdzieś na wybrzeżu. Jeśli, oczywiście, ma się wybór.

Wilkerson już wtedy dojeżdżał codziennie do pracy. Może się tu urodził. Mieszkanie, które wychodziło na dróżkę rowerową i na niekoszone boisko do piłki nożnej, wydawało się zamieszkałe, żeby nie powiedzieć zagracone. Sądząc po liczbie fotografii wiszących na ścianach oraz innych drobiazgach mających sporo lat na karku – brzydkich ozdobach, rakietach tenisowych, dyplomach, wyszywanych poduszkach na sofie, łóżeczku dla lalek, wiszącej nad kominkiem parze białych łyżew do jazdy figurowej – mieszkała tu kiedyś rodzina. Obecnie stacjonował tylko Wilkerson we własnym męskim towarzystwie, ponad wszelką wątpliwość. Van Veeteren przez moment miał klaustrofobiczną wizję tego, jak by wyglądało jego własne życie, gdyby Ulrike Fremdli nie postanowiła go uporządkować.

Do tego Wilkerson nie miał stopy. Od dwudziestu jeden lat, więc coś się musiało wydarzyć.

– Odmrożenie – wyjaśnił, kiedy rozsiedli się w kuchni przy stole, na którym stał dzbanek z kawą, słoik z dżemem i herbatniki. Albo z poprzedniego dnia,

albo świeżo nakryte. – Wyprawa górską w północnej Norwegii dziesięć lat temu. Zawsze lubiłem wędrowki po górach. To była moja ostatnia.

– Ciesz się, że została ci chociaż jedna – powiedział Van Veeteren.

– Cieszę się – odparł Wilkerson. – Mam cholernie dobrą protezę. Ale w domu jej nie noszę. Chcesz zobaczyć? Czy protezy cię nie interesują?

– Szczerze mówiąc, nie – przyznał Van Veeteren. – Chciałbym porozmawiać o tym, co się stało w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym. Słyszałem, że pojawiły się jakieś nowe fakty.

– Ciało – odpowiedział Wilkerson i zrobił grymas, który przypominał zgorzkniały uśmiech. – Właśnie to się pojawiło. Szlag by to trafił.

Czy ten facet jest przy zdrowych zmysłach? Van Veeteren się zastanawiał. Trudno ocenić, mówił zaskakująco szybko i dobitnie, mimo iż skończył już osiemdziesiąt trzy lata – tak powiedział Münster – ale w tonie jego głosu i w tym, co mówił, było coś, co wysyłało sygnał alarmowy. Pożar pensjonatu był z pewnością najbardziej spektakularnym przypadkiem w całej jego karierze, więc to, co się teraz pojawiło, na pewno miało dla niego znaczenie.

Cztery ciała i błędnie wytypowany sprawca.

Obecnie pięć ciał i sprawca na wolności. Tak się sprawy przedstawiają? Wystarczający powód, żeby się gorzko zaśmiać.

Albo martwy sprawca. Tak też może być... Ale jeśli sprawca był w tym samym wieku co jego ofiary, to dzisiaj powinien mieć nie więcej niż sześćdziesiąt lat – powinien albo powinna. To prawie szczeniak, pomyślał Van Veeteren. Przypuszczalnie jeszcze żyje i z takiego założenia trzeba wyjść. W każdym razie nie należy zakładać, że jest odwrotnie.

Ale kto to może być? I co, do cholery, tam się wtedy stało?

Innymi słowy: motyw. I nieśmiertelne pytanie: dlaczego? Śledztwo z dziewięćdziesiątego pierwszego było fiaskiem, praktycznie rzecz biorąc – przez dwadzieścia jeden lat wytrzymało próbę czasu, a dzisiaj warte jest nie więcej niż... amputowana stopa. Na myśl o tym, że znowu trzeba usiąść i na nowo przejrzeć wszystkie papiery, zbierało się na wymioty. Tyle w skrócie.

Ale ja nie mam z tym nic wspólnego, pomyślał Van Veeteren. Za cholerę. Jestem na emeryturze od stu lat. Teraz jestem, co najwyżej, tylko zwykłym antykwariuszem.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – rzucił Van Veeteren. Nic się nie stanie, jak Wilkerson trochę pospekuluje.

– Kawy?

– Tak, dziękuję. Czarną poproszę.

– Kropla jałowcówki?

– Chętnie.

Wilkerson nalał kawy z dzbanka, a z wyciągniętej z szafki butelki bez etykietki dolał alkoholu.

– Niech to wszystko szlag – zaklął. – Nie wiem, co powiedzieć. Prawie nie śpię, odkąd o tym usłyszałem.

No tak, pomyślał Van Veeteren. Nie daje mu to spokoju. Można powiedzieć, że wciąż siedzi w tym jedną nogą.

– Cukier?

– Chętnie.

Wilkerson wypił łyk kawy i zamlaskał ze smakiem.

– Ale przecież wtedy wszyscy byliśmy co do tego zgodni, prawda? Nie przypominam sobie, żeby któryś z nas... albo ktoś od was, przyjezdnych... miał poczucie, że idziemy w złym kierunku. Mówię o tym przeklętym Maaseneggerze... Pasował jak ulał do roli mordercy i wszyscy tak uważaliśmy, czy nie tak?

– No tak – zgodził się Van Veeteren. – Tak niestety było. Ale czasami człowiek błądzi. Rozmawiałeś z nowym szefem policji... Nie pamiętam, jak się nazywa...

– Radovic – odpowiedział Wilkerson. – Peter Radovic. Trochę już z nim gadałem. Sam do mnie zadzwonił... Przesiedzieliśmy całe popołudnie w Oosterby. Dobry facet, przyszedł po Mollenhejmie, który mnie zastąpił... Pamiętasz Mollenhejma?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Umarł nagle, na służbie. Dostał ataku serca, kiedy siedział za biurkiem, i to niecały miesiąc przed emeryturą. Ale co zrobić.

– Właśnie – potwierdził Van Veeteren. – Czy Radovic... albo ty... macie jakikolwiek pomysł... coś, co rzuciłoby nowe światło na sprawę?

– Niewiele – odparł Wilkerson i posmarował herbatnika dżemem. – Ale cały czas nad tym pracuje... to znaczy Radovic. Zakładam, że masz zamiar odwiedzić Oosterby.

– Zobaczymy – odpowiedział Van Veeteren. – Tak się składa, że jestem w pobliżu z zupełnie innych powodów, ale może zamienię z nim kilka słów.

– Powinieneś to zrobić – stwierdził Wilkerson. – To dobry facet... jak już mówiłem.

Włożył herbatnika do ust i zaczął wolno przeżuwać. Van Veeteren napił się kawy i zrobił grymas.

– A ta Molly? – zapytał. – Właścicielka pensjonatu... Wiesz, czy jeszcze żyje?

Wilkerson skinął głową i przesunął językiem wzdłuż zębów w poszukiwaniu resztek herbatników i dżemu.

– Chyba tak – skonstatował z niechęcią w głosie. – Jest w moim wieku, ale czy opłaca się w ogóle z nią rozmawiać, to całkiem inna sprawa... Już dwadzieścia lat temu była niezupełnie zdrowa na umyśle... mówiąc szczerze. I na pewno nie jest lepiej.

– Ale wtedy była w szoku – podkreślił Van Veeteren.

– Diabli wiedzą – powiedział Wilkerson. – Już przedtem trudno się było z nią dogadać. To nie był pierwszy raz, kiedy mieliśmy z nią do czynienia.

– Nie pamiętam dokładnie – przyznał Van Veeteren. – Spotkałem ją tylko w przelocie... chyba podczas przesłuchania, może dwóch, jeśli dobrze pamiętam. A ty miałeś z nią kontakt już wcześniej, tak?

– Trudno to nazwać kontaktem – powiedział Wilkerson. – Jej pensjonat miał opinię... Może powiem inaczej: było na nią trochę zgłoszeń...

– Jakich zgłoszeń?

– To co zwykle. Sprzedaż alkoholu nieletnim, nadużycia podatkowe... a w każdym razie niejasności z księgowaniem... Poza tym jakieś kurwy.

– Ale nie była skazana?

– Nie. Musiała wybulić sporo pieniędzy na spłatę zaległego podatku, ale sprawa nie trafiła do sądu.

Van Veeteren się zamyślił.

– Ale była głównym świadkiem. Przecież cała ta historia z pożarem opiera się na jej zeznaniach...

– Zgadza się – odpowiedział Wilkerson. – Ale jaki miałyby powód, żeby kłamać? Poza tym potwierdzili to kucharz i dziewczyna do pomocy. Ta cholerna zgraja wynajęła cały pensjonat na jeden dzień i jedną noc. Pamiętasz, jak się nazywali?

– Stowarzyszenie... jakies-tam?

– Tak, Stowarzyszenie Leworęcznych. Piątce cwaniaków, którzy się wychowali w Oosterby w pięćdziesiątych, sześćdziesiątych latach, zachciało się nagle spotkania. Czworo z nich spłonęło, piąty znikł... Tak, nieszczególnie skomplikowane. Cholernie paskudne, ale nietrudne do rozwiązania.

– Aż do teraz – dodał Van Veeteren.

– Aż do teraz – powtórzył Wilkerson i westchnął. – Do wszystkich diabłów! Mieszka w domu starców.

– Kto? – zapytał Van Veeteren, choć domyślał się, że nie chodzi o wszystkich diabłów.

– Ta cała Molly – odparł Wilkerson. – Miejsce się chyba nazywa Jesienne Słońce czy jakoś równie bełkotliwie. Gdzieś pod Oosterby.

– Ale nie kontaktowałeś się z nią w związku z nowymi faktami?

– Jestem na emeryturze od osiemnastu lat – przypomniał mu Wilkerson.

Piętnaście minut później Van Veeteren siedział z Ulrike w samochodzie w drodze powrotnej.

– Nieciekawa dziura – powiedziała Ulrike. – Znalazłam jakąś kawiarnię, ale była zamknięta. Poza tym sklep spożywczy, kościół i szkołę. Trzy osoby na ulicy, jeśli dobrze policzyłam. I co, rozwiązałeś sprawę?

– Niezupełnie – odpowiedział Van Veeteren. – Ale nie przeprowadzimy się tutaj, obiecuję.

– To świetnie – odparła Ulrike i włączyła silnik. – Teraz jedziemy wzdłuż morza. Chcesz, żebyśmy zahaczyli o Oosterby, tak jak planowaliśmy?

– Nie za bardzo – odpowiedział Van Veeteren – ale miejmy to już za sobą. Szef tamtejszej policji chce się spotkać po lunchu.

– A Molly Hansen?

– Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem – odparł Van Veeteren.

– Cokolwiek sobie zażyczysz – powiedziała Ulrike.

Oosterby, w porównaniu z Kernten, miało więcej do zaoferowania. Na przykład słońce i niezwykle błękitne niebo. Na przykład odremontowaną restaurację portową o nazwie Zeeblick. Zjedli w niej przyzwoity lunch rybny, potem Ulrike udała się na spacer wzdłuż wybrzeża, a Van Veeteren poszedł do komisariatu policji. Znajdował się na rynku. Od razu go rozpoznał. Najwyraźniej budynek ominęły jakieś większe zmiany, odkąd był tu ostatni raz we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Kiedy otworzył drzwi i wszedł do środka, miał nieprzyjemne wrażenie *déjà vu*.

Déjà vu i porażki.

Peter Radovic wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Był wysoki, szeroki w ramionach i Van Veeteren domyślał się, że kilka dobrych lat musiał przepracować poza biurem, zanim przyjął czysto administracyjną rolę szefa policji, z biurkiem i komputerem jako głównymi narzędziami pracy. Przywitał się mocnym uściskiem dłoni, co dawało nadzieję, że ma tyle samo mocy w mózgu co w mięśniach.

Van Veeteren odepchnął od siebie tę przesadną myśl, usiadł na wskazanym mu fotelu i podziękował za kawę, herbatę czy wodę. Radovic zajął miejsce za

biurkiem i otworzył teczkę z dokumentami.

– Miło, że się pofatygowałeś – zaczął i może naprawdę miał to na myśli. Choć prawdopodobnie nie. Bo co niby ten stary emerytowany policjant kryminalny z dużego miasta, który już tu był dwadzieścia lat temu i dał plamę, dzisiaj miałby do zaoferowania?

Ale ta opinia w żaden sposób nie odzwierciedliła się na życzliwej twarzy Radovica. Wręcz przeciwnie, odbiła się jak kwaśna zgaga z wnętrza Van Veeterena, który zapragnął zdławić ją w sobie.

Muszę się pozbyć tej paranoi związanej z wiekiem, pomyślał, jeśli moja wizyta tutaj ma w ogóle mieć jakiś sens.

– Dziękuję – odpowiedział grzecznie. – Nie chcę się wtrącać, ale jeśli masz jakieś przemyślenia i chciałbyś się nimi podzielić, to...

– Oczywiście – odpowiedział Radovic.

– Jestem po prostu ciekawy – kontynuował Van Veeteren. – A ponieważ jestem tu przejazdem z zupełnie innych...

– Nie musisz się tłumaczyć – przerwał mu Radovic. – Mam ogromny szacunek do twoich osiągnięć, nawet jeśli w tym konkretnym przypadku wyciągnąłeś pusty los.

Ostatnim słowom towarzyszył uśmiech. Co powiedział stary Wilkerson? „Dobry facet”? To mogło znaczyć cokolwiek, ale raczej nie było dezaprobatą. Chociaż ten „pusty los”... I że to niby on go wyciągnął?

Van Veeteren postanowił to zignorować.

– Miałbyś coś przeciwko temu, żeby mi opisać sytuację? – poprosił Van Veeteren. – W skrócie, oczywiście.

Inspektor Radovic skinął głową i zaczął opowiadać.

Dziesiątego października, w środę, dwa tygodnie temu, starsze małżeństwo było na spacerze w lesie niedaleko Libbenholtz. Kobieta udała się za potrzebą do wyschniętego rowu i tam znalazła ciało. Dokładniej rękę, która wystawała spod grubej warstwy liści. A jeśli z ziemi wystaje ręka, to jest to wystarczający

powód, by podejrzewać, że jest tam też reszta ciała. Więc kobieta wysikała się, zawołała męża i razem zadzwonili na policję.

Słuszna i zdecydowana interwencja. Nic do dodania. Okazało się, że kobieta, która dokonała odkrycia, była pielęgniarką. Nieraz widziała ciało, chociaż może nieco świeższe... Jej mąż był kierowcą autobusu, a wcześniej brygadzystą w fabryce ryb.

To zajmie cały dzień, pomyślał Van Veeteren, kiedy Radovic na chwilę przerwał. Co on, do diabła, pisze książkę czy co?

– Nie jest dla mnie ważne, jak się nazywali czy jaki mieli kolor włosów – powiedział. – Wystarczy mi tylko ogólny zarys.

Rysy twarzy szefa policji zeszytniały, ale nie zaatakował. Zamiast tego powoli i spokojnie zaczął opowiadać, jakie działania podjęła policja; jak im się udało zidentyfikować ciało dzięki informacjom w portfelu, który, o dziwo, przetrwał w wilgotnej ziemi dwadzieścia lat. To był Qvintus Leopold Maasenegger. Urodzony piętnastego września 1948 roku. Ostatni adres to Farmersteeg w Loewingen. Ostatni raz widziany żywy w pensjonacie U Molly w Oosterby dwudziestego ósmego września 1991. Podejrzany o pozbawienie życia czworga osób i poszukiwany aż do teraz.

Powód zgonu: silne uderzenie w głowę. Ostrożna hipoteza: ponieważ ciało zostało znalezione mniej niż dwieście metrów od miejsca, w którym kiedyś znajdował się pensjonat U Molly, wydaje się prawdopodobne, a przynajmniej nie niemożliwe, że to tam Maasenegger został zamordowany i z pensjonatu przeniesiony do lasu na swój ostatni spoczynek. Prawdopodobnie jeszcze tej samej nocy, kiedy spłonął pensjonat razem z czterema pozostałymi członkami Stowarzyszenia Leworęcznych, którzy zostali odurzeni i dlatego nie byli w stanie wydostać się z płonącego budynku. Chodzi o noc z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego września 1991.

Van Veeteren podziękował i zapytał, czy to możliwe, że Maaseneggera zakopano później. Zdaniem Radovica było to prawdopodobne. Ale on w to nie wierzył.

Według wstępnych oględzin techników kryminalnych z Maardam ciało musiało leżeć w ziemi przynajmniej pięć lat. A nawet dłużej. Po dwudziestym ósmym września dwadzieścia jeden lat temu ślad po Qvintusie Maaseneggerze zaginał. Nikt go nie widział ani w Oosterby, ani w jego rodzinnej miejscowości Loewingen, ani nigdzie indziej. Wobec braku informacji założono, że musiał zostać zamordowany tego samego wieczoru co pozostali goście pensjonatu, lecz z tą różnicą, że on został zabity uderzeniem w głowę, ich zaś odurzono i spalono żywcem.

– Czy szanowny pan komisarz ma jakiś komentarz do tego, co powiedziałem?

Ostatnie zdanie Radovica Van Veeteren potraktował jako delikatną koleżeńską ironię i zaznaczył, że od niepamiętnych czasów nie jest komisarzem, a jako amator nie dostrzegł absolutnie żadnego błędu w tak błyskotliwej konkluzji.

– Ale ciało było pięć – dodał. – Prawda? Tamtego wieczoru wszyscy uczestniczyli w tym spotkaniu. Maasenegger i pozostała czwórka. Czy zatem mordercą mógł być jakiś bandzior, który przypadkiem się tam znalazł... albo psychopata, który uciekł z zakładu...? Nie przypominam sobie, żebyśmy wtedy brali to pod uwagę.

– Wtedy mnie tu jeszcze nie było – zaznaczył Radovic. – Ale oczywiście przejrzałem całą dokumentację w ostatnich dniach. Prawdopodobnie zarezerwowali pensjonat na kilka tygodni przed imprezą, Molly Hansen nie była jednak pewna, kto zadzwonił. Dwadzieścia lat temu wydawało jej się, że Maasenegger, ale to tylko przypuszczenie.

– W każdym razie był to mężczyzna – przypomniał sobie Van Veeteren. – Pamiętam, że nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Próbowaliśmy ją naprowadzić na Maaseneggera... I poszła zdecydowanie dalej niż tylko przypuszczenie. Oczywiście jeśli dobrze pamiętam.

– To by się zgadzało z tym, co czytałem – potwierdził Radovic. – W księdze hotelowej, która doszczętnie spłonęła, miała wpisanych pięćoro gości. Na szczęście ich nazwiska miała też w swoim notesie w domu, co bardzo ułatwiło identyfikację.

– Winckelstroop, Fiste i Blavatsky – przypomniał sobie Van Veeteren. – I jedna kobieta, Clara Behrens. Ten, co tam grał pierwsze skrzypce... nieważne, jak się nazywał... musiał się nieźle nagłówkować, jeśli chodzi o nazwę tego ich klubu. Jeśli dobrze pamiętam to było Stowarzyszenie Leworęcznych. Pewnie i to Molly Hansen zapisała w swoim notatniku, co?

– Oczywiście – potwierdził Radovic i podejrzliwie pokiwał głową. – Pięć jednoosobowych pokoi i trzydaniowa kolacja. Kucharz skończył pracę przed deserem i kawą... mniej więcej za piętnaście jedenasta, ale tak się umówili. Dziewczyna, która pomagała w kuchni, wyszła o siódmej, Molly około wpół do dziewiątej.

– Pożar wybuchł około pierwszej – dodał Van Veeteren. – Kiedy strażacy dostali informację o pożarze?

– O pierwszej dwadzieścia osiem – odpowiedział Radovic. – I to chyba tyle.

– A nazwiska kucharza i dziewczyny? – chciał wiedzieć Van Veeteren. – Wyleciały mi z głowy.

Radovic zaczął wertować papiery.

– Volker Hermann i Rebecca Klejne. Rozmawiałem z nią, mieszka w okolicy. Hermanna jeszcze nie znaleźliśmy.

– Rozumiem – powiedział Van Veeteren i pomyślał, że nawet jeśli to prawda, to z pewnością zmodyfikowana. Żeby nie powiedzieć zakłamana. Jeśli było coś, czego teraz nie rozumiał, to właśnie tego.

– A Molly? Rozmawiałeś z nią?

Radovic rozłożył ręce.

– Naturalnie. Choć nie jest już najmłodsza, a poza tym ma lekką sklerozę.

W jakiej on będzie formie za osiem lat? – rozmyślał Van Veeteren, kiedy wyszedł z komisariatu i skierował się do portu, żeby sprawdzić, czy Ulrike wróciła już ze spaceru. Jeśli chodzi o wiek, niewiele różniło go od Molly Hansen. Siedemdziesiąt pięć *versus* osiemdziesiąt trzy.

Z drugiej strony taki Mahler, jasny na umyśle jak student matematyki, no i wciąż wygrywa trzy na pięć partii szachowych... Ale czy to porównanie ma w ogóle jakiś sens? Przecież sprawność umysłowa Mahlera nie może być punktem odniesienia dla jego zdrowia. Ani obecnego, ani przyszłego.

Włożył ręce do kieszeni spodni i próbował strząsnąć z siebie nieprzyjemne uczucie, którego nie potrafił nazwać. Czy to ma coś wspólnego z tą nierozwiązaną sprawą, czy chodzi raczej o jego ogólny stan i ujawniającą się mizantropię?

A może w jakiś złośliwie wyrefinowany sposób wszystkie te rzeczy mają ze sobą coś wspólnego?

Oczywiście, że tak, nawet osioł by się domyślił.

Molly Hansen? Znów o niej pomyślał. Czy z tą starą ropuchą też będę musiał usiąść twarzą w twarz?

Wrzesień 1991, Linzhuisen

List przyszedł pocztą w czwartek przed południem. A po przeczytaniu Kuno Blavatsky natychmiast go spalił – zgodnie z instrukcją. To czysty przypadek, że był w swojej willi, kiedy przyszedł listonosz. I pomyślał, że to nawet dobrze, bo nie będzie musiał nic mówić Minnie.

Minna to jego żona i matka dwojga jego dzieci. Małżeństwem byli już od ponad dziesięciu lat, a ich związek i szczęście opierały się na szczerości. To jednak wcale nie oznaczało, że Minna zażądałaby przeczytania tej dziwnej wiadomości, ale jeśli zobaczyłaby kopertę, na pewno by o nią zapytała.

I Kuno musiałby odpowiedzieć na jej pytanie. Oraz sfabrykować jakieś kłamstwo.

To, że ominęła go ta komplikacja, przyniosło ograniczone korzyści i było łułem szczęścia. Przynajmniej miał czas, żeby wymyślić jakąś wiarygodną historię. To, że będzie musiał pojechać do Oosterby na spotkanie w starym pensjonacie, zrozumiał natychmiast po przeczytaniu listu. Konsekwencje odmowy zdawały się gorsze. Przez całe popołudnie siedział w biurze i zastanawiał się – rozumował tak racjonalnie, jak tylko umiał, trzymając jednocześnie nerwy na wodzy – ale kiedy tuż po piątej znalazł się w swoim samochodzie, nie potrafił podjąć decyzji.

Pensjonat U Molly, sobota, za trzy tygodnie. Dwudziestego ósmego września. Chyba nie było wyjścia.

Ale co powiedzieć Minnie. Jedno było pewne: zasada szczerości w tym konkretnym przypadku nie obowiązywała.

– Miałem bardzo miły telefon – powiedział. – Od kumpla z liceum.

Było to następnego dnia, w piątek wieczorem przy kolacji.

– Naprawdę? – odparła Minna i wytarła sos pomidorowy z brody trzyletniego Martina. – Z Werdingen?

– Tak – potwierdził Kuno. – Zaprosił mnie na małą uroczystość, ale sam nie wiem...

– To miło z jego strony.

– Może, ale jeśli dobrze zrozumiałem, zaproszenie jest tylko dla mnie. Mamy być bez żon... Wiesz, coś w rodzaju spotkania klasowego.

– Hm – mruknęła Minna.

Siedziała w milczeniu i przez chwilę patrzyła na Kuna. A on poczuł, że za moment spaghetti utknie mu w gardle. Wydawało mu się, że Minna przeszywa go na wskroś. Tak jakby rozumiała, że coś tu się nie zgadza. Choć znów aż tak wielkiej nieprawdy jej nie powiedział... Zamienił list na telefon, małą miejscinę na wybrzeżu na trochę większą... O co tyle krzyku?

– A kiedy to ma być? – zapytała i wtedy udało mu się przełknąć makaron.

Czy w jej głosie słychać było jakiś ślad podejrzenia? Czy zauważyła, że coś przed nią ukrywa? Nie był pewien. Ale jeśli widać było, jaki jest zdenerwowany, to nawet pięciolatek by się zorientował, że coś tu nie gra.

A tak się akurat składało, że pięciolatka siedziała z nimi przy stole – to była starsza siostra Martina Helly. I kiedy mówił o dacie spotkania, Helly przewróciła szklankę z mlekiem. Uwaga natychmiast została skierowana na ścierkę, na pół metra papieru kuchennego do ratowania obrusa, więc Kuno pomyślał, że został ocalony.

Ale ze mnie pajac. Nie czuję się panem w swoim własnym domu. Przez całe życie wszystkiego się boję, i to wcale nie przechodzi z wiekiem.

Tematu nie podejmowali aż do niedzieli wieczór, kiedy dzieci już leżały w łóżkach, a oni siedzieli przed telewizorem i czekali na quiz sportowy, który zawsze oglądali. Odpowiadali na pytania razem z uczestnikami. Minna

zapisywała rezultaty w notesie; znała odpowiedzi na dwa razy więcej pytań niż Kuno. Właściwie istniały tylko dwie dziedziny, w których Kuno pokonałby żonę: film i modele samochodów.

Jednak pytania z dziedziny filmu zdarzały się rzadko, a samochody znikły już pół roku temu.

– Jeśli chodzi o to Werdingen – zaczęła Minna – to uważam, że powinieneś pojechać. W weekend w mieście będzie moja siostra, więc coś razem wymyślimy. Oczywiście jeśli chcesz.

– Nie jestem pewny – odpowiedział Kuno. – Na pewno byłoby fajnie, ale...

– Ale co?

Nie mógł przecież powiedzieć, że kamień spadł mu z serca, bo od początku o to chodziło, więc wymamrotał tylko pod nosem, że przemyśli sprawę i zdecyduje rano.

– Zrobisz, jak zechcesz – odparła Minna spokojnym głosem. – O, zaczyna się program.

Więc w poniedziałek po południu zadzwonił pod numer, który podał Qvintus Maasenegger, i wyjaśnił pokrótce, że dwudziestego ósmego będzie U Molly.

– Okej – odpowiedział Qvintus. – Wygląda na to, że stawimy się w komplecie. Najwyższy czas, żebyśmy się spotkali, nie?

– Absolutnie – odpowiedział Kuno Blavatsky. – Rzeczywiście, najwyższy czas.

– Mamy trochę do przegadania.

– No tak...

– Parę rzeczy do wyprostowania, jak to się mówi. Trochę za długo to wszystko było zamiatane pod dywan... Też tak myślisz?

– Sam nie wiem... – odparł Kuno.

– Nie wiem... zawsze to twoje nie wiem... Nic się nie zmieniłeś. Nigdy niczego nie byłeś pewien. Zawsze ten sam Kuno.

– Tak uważasz...? – Kuno próbował się zaśmiać. Tyle że brzmiał raczej jak królik złapany w sidła i plujący krwią.

– Ale jesteś mile widziany – powiedział Qvintus. – A więc sobota dwudziestego ósmego. Zaczynamy drinkiem powitalnym o piątej, ale można się już meldować od drugiej, jeśli chciałbyś się rozejrzeć po okolicy. Nie było cię tam chyba od...

– Odkąd skończyłem liceum. Od wakacji w sześćdziesiątym dziewiątym.

– No właśnie – potwierdził Qvintus. – Niektórzy opuszczają scenę... I pewnie mają swoje powody.

– Tak... się po prostu złożyło – odpowiedział Kuno.

– Git, że możesz się wyrwać – zakończył Qvintus. – No to się widzimy.

– Cześć – odrzekł Kuno Blavatsky i ostrożnie odłożył słuchawkę.

W dniach poprzedzających spotkanie zastanawiał się, czy nie zadzwonić do kogoś z pozostałych. Ale po co – tego już nie zdołał wymyślić. Co by miał powiedzieć? Że ma obawy? Że boi się wracać do Oosterby i jest ciekawy, czy oni czują to samo?

Nie wiedział. Marten i Rejmus... Było minęło. Nie był pewien, czy oni też mają podobne dylematy. Może jakoś to sobie poukładali? Po tym, co się stało, z nikim się nie kontaktował, więc trudno ocenić, jak się teraz sprawy mają z tą ich lojalnością. A dziewczyny? Czy raczej Clara? Komu może zaufać? Czy w ogóle może zaufać chociaż jednemu z nich? Na dobrą sprawę nawet dobrze nie wiedział, co się wtedy stało... No właśnie.

Nie powinienem był w tym uczestniczyć. Trzeba było się inaczej zachować, postawić się.

Ale się nie postawił. Nic nie zrobił. Drzwi się otworzyły i on je przekroczył. Miał wtedy dziewiętnaście lat... a trudno odpowiadać za błędy popełnione w tak młodym wieku.

W każdym razie nie przez całe życie.

W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego września Kuno Blavatsky nie zmrużył oka, więc kiedy rano wsiadł do samochodu i pomachał na

pożegnanie żonie i dzieciom, chwyciła go tak silna panika, że prawie wybuchnął płaczem.

Już nigdy do nich nie wrócę, pomyślał. To ostatni raz, kiedy ich widzę. Zmierzam ku własnej zgubie.

Ale do takich uczuć, do tego rodzaju lęków separacyjnych był przyzwyczajony. Ruszył w drogę w słońcu, nie spoglądając w tylne lusterko.

Październik 2012, Oosterby i okolice

– Właściwie to dlaczego spotkali się tamtego wieczoru? Przecież musi być coś wiadomo?

Ulrike Fremdli pociągnęła go ostrożnie za rękę, żeby szedł po bardziej zbitym piasku, bliżej wody. Spacerowali w wietrze już prawie godzinę, Van Veeteren niósł w plecaku kawę i kanapki. Na skraju lasu zauważył jakiś niski budynek. Prawdopodobnie to opuszczony bunkier, jeszcze z czasów wojny. Dobre miejsce do wyprowadzania psów, ale Ulrike najwyraźniej jeszcze go nie zauważyła.

A może woli pospacerować jeszcze z pół godziny, tak jak to często robi. Gdy na nią spoglądał, stwierdzał, że wygląda na kilka lat młodszą, niż w rzeczywistości była.

– Jeśli zatrzymamy się na kawę, to ci trochę opowiem.

– A jeśli pójdziemy dalej?

– To nie usłyszysz ode mnie ani słowa.

– Chcesz już wracać?

– Tak. Istnieje ryzyko, że zacznie padać.

Ulrike zatrzymała się i rozejrzała wokół. Zaśmiała się.

– A niby z czego, mój drogi?

– Deszcz może nadejść znad morza – wyjaśnił Van Veeteren i spojrzał w kierunku ogromnej chmury. – Wiesz przecież, że mam nosa, jeśli chodzi o pogodę.

– Dziękuję ci bardzo za takie prognozy – powiedziała Ulrike. – A dlaczego po prostu nie powiesz, że jesteś zmęczony?

– Dlatego, że jestem uparciuchem, który przechodzi kryzys wieku średniego – odparł Van Veeteren – jeśli koniecznie musisz wiedzieć.

– Okej – powiedziała Ulrike. – W takim razie napijemy się kawy. Chcesz tam, przy tym bunkrze, tak?

– Właśnie tak – zgodził się Van Veeteren. – Miło, że choć raz wzięłaś sobie moje słowa do serca.

– Dobrze, dobrze, tylko pamiętaj, że cię o coś pytałam – przypomniała mu Ulrike.

– Najpierw usiądźmy.

– Właściwie to nie wiem – przyznał Van Veeteren, kiedy usiedli w zacisznym miejscu pod podziurawioną betonową ścianą. – To było jakieś spotkanie po latach. Cała piątka chodziła do jednej szkoły w Oosterby, czworo z nich nawet do jednej klasy.

– A kto z nich chodził do innej klasy?

– Maasenegger. Był w tej samej szkole, ale klasę wyżej. Może nawet dwie, już nie pamiętam. To w szkole założyli ten swój klub...

– Rzeczywiście wszyscy byli leworęczni?

– Najwyraźniej. Przynajmniej według zeznań naocznych świadków, bo trudno zobaczyć na spalonym ciele, czy delikwent był leworęczny, czy nie.

– Serio? – Ulrike ugryzła kanapkę z jajkiem. – A w ogóle da się zidentyfikować zwęglone ciało?

– To zależy, jak długo wystawione było na działanie płomieni. W tym wypadku nie należało to do rzeczy szczególnie skomplikowanych. Na przykład zęby się nie palą, ale detale techniczne nigdy mnie jakoś bardzo nie zajmowały.

– Okej. Wróćmy jednak do mojego pytania... Powiedziałeś, że to był jakiś zjazd, tak?

– W każdym razie nie było nic, co by temu przeczyło – kontynuował Van Veeteren. – Tak twierdziły rodziny i znajomi ofiar, choć szczegółów nie znali. Molly Hansen mówiła to samo. Jeśli by wiedziała, że spotkanie skończy się

czterema czy pięcioma ofiarami i spalonym pensjonatem, to pewnie by odmówiła. Wyraźnie to podkreślała.

– Naprawdę? – upewniała się Ulrike. – A kto to wszystko zorganizował? Czy była to wspólna inicjatywa, czy może... jakiejś pojedynczej osoby?

Van Veeteren zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli dobrze pamiętam, to Molly Hansen rozmawiała przez telefon tylko z Maaseneggerem. Przynajmniej tak jej się wydawało. W każdym razie z jedną osobą. Prawdopodobnie to on zadzwonił, zamówił pokoje i zorganizował całe spotkanie... Ale zaplanować mogli to razem. Mówiła, że takie odniosła wrażenie... Może dlatego, że powiedział „my”. To wszystko, ale pamiętaj: pamięć jest zawodna.

– To ważne rzeczy, prawda?

– Bez wątpienia.

– Jeśli za tym wszystkim stał Maasenegger, to podejrzenia wobec niego były uzasadnione, prawda?

– Owszem, ale nie było pewności.

– Dlaczego?

– Po prostu nie można było tego udowodnić. Czy taka odpowiedź wystarczy, pani inkwizytor?

Ulrike się uśmiechnęła.

– Akceptuję ją. I jeszcze jedno: czy w pensjonacie nie było innych gości?

– Nie. Był już zamknięty. To był ostatni weekend przed końcem sezonu, jeśli się nie mylę. Molly Hansen zgodziła się, bo potrzebowała pieniędzy.

– Musieli pewnie dobrze jej zapłacić.

– Zapłacili z góry.

– No a pensjonat spłonął... Hm.

– I to doszczętnie. Parę kanistrów benzyny zrobiło swoje.

– Ale był ubezpieczony?

Van Veeteren skinął głową.

– I to na niezłą sumkę, jeśli się nie mylę. Więc nie poniosła wielkich strat finansowych. Z drugiej strony prowadziła to miejsce przez prawie czterdzieści lat... i pewnie traktowała to jako dzieło życia. Kupiła budynek na początku lat pięćdziesiątych: najpierw w nim mieszkała, a po niedługim czasie przerobiła na pensjonat.

– Ale w czasie kiedy spłonął, już tam nie mieszkała?

– Nie. Miała mieszkanie w miasteczku.

– A co tam było przedtem?

– Przed pensjonatem?

– Tak.

– Nie mam pojęcia. Jakiś sklepik wielobranżowy... a może już od początku było to pomyślane jako pokoje dla gości... Nie pamiętam. W każdym razie budynek powstał na przełomie wieków.

Ulrike przez chwilę siedziała w milczeniu i obserwowała stado mew unoszonych przez wiatr.

– Czy to rzeczywiście było zaplanowane? – zapytała. – Czy nie było na przykład tak, że po prostu wypili trochę za dużo... i wywiązała się jakaś kłótnia czy coś w tym rodzaju?

– I ktoś z wściekłości podpalił pensjonat... Czy o to ci chodzi?

– Na przykład... W każdym razie wszystko wskazywało na Maaseneggera... Bo to na nim się od początku skupiliście, tak?

Van Veeteren westchnął.

– Oczywiście istnieje możliwość – powiedział – że to nie było zaplanowane... Ale pożar wybuchł, poza tym ktoś użył benzyny, żeby się lepiej paliło. Ta drewniana buda poszła z dymem, i to doszczętnie, w ciągu godziny.

– A oni nie uciekli, bo byli odurzeni, tak?

– To tylko hipoteza. Ale wszystkie cztery ciała zostały znalezione w stołówce i nie było na nich śladu przemocy. Poza tym to był parter, więc nietrudno się było wydostać na zewnątrz.

– I przez te wszystkie lata nie było ani śladu po tym całym Maaseneggerze?

– Nic.

– No to sprytnie – skostatowała Ulrike Fremdli po chwili namysłu. – Niezła robota.

– Niezła robota? Co masz na myśli?

– No cała taktyka... Ten, kto to rzeczywiście zrobił, oszukał policję, tak by wszyscy uwierzyli, że to nie on jest winien. Dlatego ofiarę numer pięć zakopał w innym miejscu, nie tam, gdzie znaleziono pozostałą czwórkę. Powiedziałabym nawet, że to... godne podziwu.

– Godne podziwu?! – wybuchnął Van Veeteren. – Czy ty przypadkiem nie doląłeś sobie czegoś do kawy?

– No może trochę się zagalopowałam... – Ulrike zmarszczyła czoło. – Nie o to mi chodziło... Ale przyznasz, że to całkiem... sprytne... Czy to lepiej brzmi w uszach starego policjanta?

– Sprytne? – wymamrotał Van Veeteren. – Niech będzie i tak, cholera jasna. Jeśli to było tak pomyślane od samego początku, to trudno zaprzeczyć.

– A teraz sprawca czuje się zupełnie bezpieczny – kontynuowała Ulrike jak natchniona. – Nie sądzisz, że może już wiedzieć, że znaleziono piątą ofiarę? Może siedzi tu, w Oosterby, śledząc w prasie rozwój wypadków... I ma z tego nawet trochę satysfakcji... Ha, no i proszę bardzo, sporządziłam ci... jak to się nazywa?... profil psychologiczny przestępcy. Na mój koszt. Co ty na to?

– Co ja na to? – zapytał Van Veeteren. – Ja na to, że za mocno się w to angażujesz. Może już pójdziemy i zajmiemy się czymś innym?

– Spróbować nigdy nie zaszkodzi – powiedziała Ulrike Fremdli i wylała kawę na piasek. – Nie przepadam za kawą z termosu.

Szli w milczeniu przez jakieś dziesięć minut. Van Veeteren się zatrzymał.

– A tak na marginesie...

– Tak?

– Mogłabyś przejrzeć przesłuchanie z dziewięćdziesiątego pierwszego, to nie będziesz musiała tyle pytać.

– Przecież minęły całe wieki, odkąd coś powiedziałam – zaprotestowała Ulrike.

– Ale widać, że od pytań aż się gotujesz – odparł Van Veeteren.

– Ha, ha, ha. – I Ulrike naprawdę się zaśmiała.

Znów ruszyli. Po minucie Ulrike dała Van Veeterenowi kuksańca w bok.

– A gdzie one są? Te przesłuchania... I pytam czysto hipotetycznie...

– Czysto hipotetycznie... – odpowiedział jej Van Veeteren. – Czysto hipotetycznie są w kilku teczkach na komisariacie w Oosterby. O, widzisz, zaczyna padać! A nie mówiłem?

– Idziemy z wiatrem – skwitowała Ulrike. – Trochę deszczu na plecach nie zaszkodzi.

Teczek było pięć i musieli obiecać, że zwrócą je w ciągu kilku dni. Najwyżej po tygodniu. Komisarz Radovic powiedział, że to niezupełnie zgodne z regulaminem, ale Van Veeterenowi się nie odmawia. A Van Veeteren pominął milczeniem fakt, że to jego żona wtyka nos w nie swoje sprawy, a nie on.

Kiedy znów byli w Oosterby – drugi raz w ciągu tych kilku dni – skorzystali z okazji i pojechali obejrzeć miejsce, gdzie kiedyś stał pensjonat U Molly. Budowano tam dwie wille i teraz między dwoma na wpół gotowymi betonowymi szkieletami stały zaparkowane koparki. Zewsząd dochodził stukot maszyn, wiercenie, a specjalna tablica informowała, że to teren budowy i że rodzice powinni pilnować dzieci.

Van Veeteren i Ulrike zaparkowali i dalej, około stu metrów, poszli pieszo. Skręcili w stronę lasu, zgodnie ze wskazówkami Radovica, i zaraz za zakrętem natknęli się na rów, gdzie trzy tygodnie wcześniej znaleziono zwłoki Qvintusa Maaseneggera. Miejsce w dalszym ciągu było zabezpieczone taśmą policyjną, a teren wokół, jakieś dwadzieścia pięć metrów kwadratowych, przeszukany. Dokładniej rzecz ujmując: przekopany.

– Fuj – zachnęła się Ulrike. – Pomyśl tylko... leżeć w takim miejscu przez dwadzieścia lat...

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Kiedy jest się martwym, to chyba nie ma znaczenia, gdzie się leży, nie sądzisz?

– Ale przecież musiał mieć jakichś krewnych...

– Niewielu, jeśli dobrze pamiętam. Nie miał żony ani dzieci. Ale możesz to sprawdzić w teczkach.

– I tak zrobię – zapewniła Ulrike. – Zaufaj mi.

Gdybyśmy byli o pięćdziesiąt lat młodszy, pewnie zaproponowałyby, żebyśmy otworzyli biuro detektywistyczne, pomyślał Van Veeteren. Całe szczęście, że mamy to dodatkowe pół wieku na karku.

Wieczorem Ulrike poważnie podeszła do swojego zajęcia. Więc kiedy zjedli wcześniejszą kolację, Van Veeteren odpoczywał na łóżku z nowo przetłumaczoną powieścią Germunda Reina i madrygałami Monteverdiego w uszach, a Ulrike siedziała w fotelu przy oknie i metodycznie przeglądała cały materiał ze śledztwa z 1991 roku. Strona po stronie, zeznanie po zeznaniu.

Tym, co ich łączyło tego deszczowego wieczoru, było kilka rodzajów sera od Huydermanna na Falckstraat w Maardam oraz pinot noir z Nowej Zelandii. Rzeczywiście, nie najgorzej, a zważywszy, że powszechnie sądzono, iż znajdują się teraz właśnie w Nowej Zelandii, całość można było potraktować jako małą daninę złożoną na ołtarzu prawdy.

Jeszcze niezupełnie jesteśmy straceni, pomyślał Van Veeteren, kiedy otwierał butelkę wina. Takimi oto czynkami próbujemy zmyć nasze kłamstwa.

A kiedy on już zasnął – tuż przed północą – Ulrike wciąż jeszcze siedziała w skupieniu przy oknie i czytała.

1965–1968, Oosterby i okolice

Lokal miał dwadzieścia cztery metry kwadratowe, lodówkę i toaletę.

Stowarzyszenie weszło w jego posiadanie tuż po Bożym Narodzeniu w 1965 roku i niewątpliwie to on przyczynił się do wzmocnienia jedności grupy. Miesięczny czynsz stanowiła drobna kwota, co też miało znaczenie. Wszyscy członkowie byli przecież nastolatkami i chodzili jeszcze do szkoły – począwszy od połowy lat sześćdziesiątych do szkoły Erasmus w Werdingen, jedynej większej miejscowości na tym wietrznym wybrzeżu, położonej dwanaście minut pociągiem od Oosterby.

Gdyby jednak nie było ich stać na opłacenie czynszu, to i tak nic by się nie stało. Lokal należał bowiem do taty Rejmusa Fiste. Była to ciasna klitka w suterenie, w dole Dorffstraat, pięćdziesiąt metrów od samej piekarni, ale całkiem niepraktyczna, jeśli chodzi o cele związane z wypiekaniem chleba.

Praktyczne natomiast było to, że Rejmus nie musiał siedzieć w domu na Kastanjenstraat. Po tragicznej śmierci Clary Fiste (gruźlica, kiedy jej jedyny syn miał zaledwie pięć lat) tata Rejmond potrzebował u swojego boku nowej kobiety. I wkrótce ją znalazł. Nazywała się Bea-Marie, była dziesięć lat od niego młodsza i miała dwie córki z poprzedniego małżeństwa, sześć- i ośmioletnią, podczas gdy Rejmus miał już piętnaście lat. Chrzanić to, jak miały na imię, po prostu w domu było za głośno, za ciasno – krótko mówiąc: nie do wytrzymania.

Więc zaciszny lokal na Dorffstraat był dobrym rozwiązaniem dla wszystkich stron. Przez wiele lat to strych Martena Winckelstroopa był dla nich wygodnym azylem, ale matka Martena, Louise Henriette Winckelstroop, z wiekiem

bynajmniej nie łagodniała... Cóż było robić, w końcu wszystko ma swój czas. Po krótkiej debacie nowa klatka została nazwana Jaskinią i już po miesiącu użytkowania zyskała najbardziej niezbędne wyposażenie: dwie wygodne sofy (w postaci kilku siedzeń samochodowych ze złomowiska Egera), stół (dwie postawione do góry nogami skrzynki po piwie), lampę (jarzeniówkę ze zwisającym z sufitu kablem) oraz gramofon. Ponadto dwadzieścia płyt winylowych, w tym tylko kilka nabytych drogą kupna, większość zaś skradzionych ze sklepu muzycznego Polygram w Werdingen.

The Rolling Stones. The Kinks. The Animals. Bob Dylan. I jeśli pojawienie się w szkole w Oosterby Felicii Fromm zapoczątkowało nadejście tak zwanych nowych czasów, to właśnie to były te „nowe czasy”. Bezdyskusyjnie. Czuło się je w powietrzu i w ciele – *the times they are a-changin’*.

Przy odrobinie wysiłku w lodówce znalazło się też miejsce dla dwudziestu sześciu puszek piwa. Jaskinia miała grube betonowe ściany, żadnych okien i żadnych sąsiadów. Równie dobrze mogłaby się nazywać Bunkrem.

W dalszym ciągu przewodniczącym był Marten, i to głównie on kradł płyty. Wprawdzie ze względu na swój rozmiar rzucały się w oczy, ale w specjalnej kieszeni, którą Marten przyszył po wewnętrznej stronie swojej amerykańskiej kurtki militarnej, mieściły się elegancko – pasowały jak ulał. Szczególnie jeśli miał do pomocy Kuna czy Rejmusa albo obu naraz. *With a little help from my friends*, jak już wkrótce zwykli mawiać.

Ale nie można było przesadzać, więc od czasu do czasu płacili żywą gotówką. Byłoby podejrzane, gdyby przesiadywali w sklepie trzy razy w tygodniu, grzebiąc w płytach i nic nie kupując. Żaden z nich nie miał ochoty wpaść. Kumpla ze szkoły złapali w dwóch parach wranglerów i trzech koszulach, kiedy próbował przemknąć się między kasami w sklepie naprzeciwko Polygramu. Skończyło się problemami zarówno w szkole, jak i w domu. Poważnymi problemami.

Ale muzyka była potrzebna. Papierosy też. Niezbędne było też piwo.

Choć na dłuższą metę i czysto hipotetycznie na pierwszym miejscu zawsze były dziewczyny.

Na szczęście znalazły się i one. Na przykład Clara i Birgitte Behrens; nie były jedyne, ale były najlepsze. Co do tego zapanowała jednomyślność, bez potrzeby werbalizowania spraw, obie bowiem były pełnoprawnymi członkiniami Stowarzyszenia Leworęcznych, i to już od kilku lat. Czasami nie było wiadomo, która jest która. Nawet Rejmus (który trochę się obmacywał z Clarą, ale tylko na sucho, kiedy jeszcze chodzili do szkoły w Oosterby) nigdy nie był pewien, że to ona, a nie jej siostra, kiedy przeciągała mu palcami po włosach, mówiąc, że musi je zapuścić jeszcze parę centymetrów.

A jednak to była Clara, bo jeśli coś odróżniało od siebie bliźniaczki (zakładając, że w ogóle coś takiego było), to to, że Clara na więcej sobie pozwalała. Potrafiła we wtorkowy wieczór (tuż przed sprawdzianem z matematyki następnego dnia rano) wypić pięć piw, i to tylko dlatego, że nasza ją na to ochota. To ona też wpadła na pomysł, co by tu robić w tej zapadłej dziurze. W wakacje 1966 roku razem z Birgitte cztery tygodnie pracowały przy zbieraniu ziemniaków w Leerenhejde. Zarobiły niezłe pieniądze i pojechały do Londynu, gdzie wszystko przepuściły w ciągu paru dni. Marten i Rejmus mieli do nich dołączyć, ale sprawa rozeszła się po kościach. Z różnych powodów, choć najważniejszym był brak forsy. Kiedy w połowie sierpnia bliźniaczki wróciły do domu, Clara zaczęła palić hasz i to prawdopodobnie wtedy nabawiła się choroby wenerycznej. To pierwsze nie było żadną tajemnicą, o tym drugim się nie mówiło.

Z czasem – jesienią, zimą i wiosną tamtego roku i kolejnego – z lokalu na Dorffstraat w Oosterby zaczęła też korzystać inna młodzież. Nie było tych osób wiele, ale i tak zawsze musiały otrzymać pozwolenie członków stowarzyszenia. Prawo do lokalu miał oczywiście kwintet leworęcznych: Marten Winckelstroop, Rejmus Fiste, Kuno Blavatsky oraz siostry Behrens. Bez potrzeby podejmowania jakichś szczególnych kroków ich siostrzano-braterska więź jeszcze się wzmocniła – trudno było rozstrzygnąć, czy to dzięki ich leworęczności (świętej

pamięci panna Bolster żadnego z nich nie uleczyła), czy z innych powodów. Ale po co to w ogóle rozstrzygać? Spotykali się mniej więcej regularnie w swojej Jaskini, zaplanowali i przeprowadzili udaną kradzież z samochodu dostawczego browaru – cztery skrzynki piwa oraz parę nowych damskich kozaków z białej skóry, które z niewyjaśnionych przyczyn znajdowały się w przyczepie – a kiedy Clara rozwiązała swój problem zdrowotny, tę małą tajemnicę poliszynela, znów zaczęła chodzić z Rejmusem. To, co wcześniej było tylko obmacywaniem się – mniej lub bardziej zaawansowanym – teraz przeszło w sporadyczne i dla Rejmusa trochę frustrujące stosunki płciowe. I jeśli nawet nie był jej pewien, jeśli ich miłość cielesna często przypominała wędrówkę po polu minowym, szczególnie dla młodego i zahamowanego samca, to mimo wszystko przeważały pozytywne doświadczenia. Kiedy Rejmus skończył siedemnaście lat, mógł się przechwalać, że pieprzył się więcej niż dziesięć razy, w czym oczywiście bił na głowę swoich klasowych kolegów z Erasmusa.

Rejmus nie należał do tych, co to się chwala i chełpią. Wprawdzie jego jąkanie w tamtym okresie już znikło, jednak wciąż pozostał cichym i spokojnym typem.

Przede wszystkim cichym. Nikomu nie opowiadał, co robią z Clarą. Nawet Martenowi. A Marten był na tyle dżentelmenem, czy raczej na tyle zahamowany, żeby nie pytać.

Choć może po prostu był zajęty swoim ukradkowym podkochiwaniem się w Birgitte, która nie była tak wyzwolona pod tym względem jak jej siostra.

Zresztą chodziły słuchy, w tym najgorszym ze światów, że spotyka się w tajemnicy z chłopakiem z Oostwerdingen. Niełatwo było się tego dowiedzieć, nie było też żadnej cholernej okazji, żeby o to zapytać. Mimo wypitych piw, wypalonych papierosów i wciąż powiększającej się kolekcji płyt. Kiedy policzyli swoje zbiory pod koniec maja 1967 roku, ich liczba dochodziła do pięćdziesięciu dwóch. Liczba parzysta i całkiem pokaźna, zważywszy na okoliczności.

Tego samego maja Stowarzyszenie Leworęcznych zyskało szóstego członka. I z czasem okazało się, że był to początek końca ich grupy. Tak, kiedy Marten

i Rejmus kilka lat później o tym rozmawiali – z powodu zaistniałych okoliczności i wkrótce przed tym, jak ich drogi na dobre się rozeszły – doszli do takiego właśnie wniosku. Bez szczególnego zastanawiania się i wielkich dyskusji.

Nazywał się Qvintus Maasenegger i był kilka lat od nich starszy.

I też leworęczny. Clara Behrens przedstawiała go, opisując jako stuprocentowego twardziela i godnego zaufania gościa. Z którego ich stowarzyszenie będzie miało korzyść – bo przecież, kurwa, przyda się trochę nowych kogutów w tym kurniku, co nie?

Nie bardzo było wiadomo, o co jej chodzi z tym kurnikiem, skoro i tak było mniej kur niż kogutów, a równie niejasne pozostawało to, w jaki sposób go w ogóle poznała. Pojawiła się z nim pewnego piątkowego wieczoru... zresztą nieważne... kiedy pozostali członkowie, Birgitte też, siedzieli, palili papierosy i słuchali amerykańskiej kapeli The Doors – i od razu wydał się im znajomy.

– Czy ty, kurwa, czasem też nie chodziłeś do szkoły w Oosterby? – zapytał Marten.

To było bardzo trafne spostrzeżenie. Qvintus chodził do klasy wyżej, ale w tym wieku taka różnica to jak morze. Poza tym kiedyś był łyсы, a teraz miał włosy do ramion.

– Zwiąłeś czy jak? – zapytał z ciekawością Kuno. – Zajebicie!

– Ta – odpowiedział Qvintus. – Czasami trzeba, *that's life*.

– W-właśnie – wydukał Rejmus. – *Break on through to the other side*.

– Co? – zapytał Kuno.

– To lepiej słuchaj – odpowiedział Rejmus.

– Co za zajebista gadka – rzekł Qvintus.

– On ma prawo jazdy – poinformowała Clara. – Mamy więcej piwa? Mieli.

Ale niestety nie mieli samochodu. Kuno Blavatsky próbował ich przekonać, że byłoby lepiej, gdyby ten godny zaufania twardziel miał samochód, a nie tylko prawo jazdy. Bezskutecznie.

Przecież zawsze można pożyczyć.

To znaczy... samochód.

Co nie?

Na początku nikt nie rozumiał, co kryło się pod pojęciem „pożyczyć”, ale już niebawem wszystko stało się jasne. Zwłaszcza w pewną czerwcową sobotę, kiedy Qvintus Maasenegger pojawił się w Jaskini i zapytał, czy ktoś z członków Stowarzyszenia miałby ochotę wybrać się na przejażdżkę na wybrzeże. Gdy Marten i Kuno (gdzie się podziewał Rejmus tego popołudnia, nikt nie wiedział) pojawili się na Dorffstraat, siostry siedziały już na tylnym siedzeniu dość starej i dość zardzewiałej mazdy, która z włączonym silnikiem stała zaparkowana przy chodniku. Zza opuszczonych szyb słychać było chichotanie. Na pewno chichotała Clara, Birgitte wyglądała raczej na zdenerwowaną, choć próbowała się uśmiechać. Bo nawet jeśli siostry zdawały się podobne jak dwie krople wody, w środku były zupełnie inne. Marten zauważył to już dawno temu. Nieważne... Słońce świeciło na niezwykle błękitnym i obiecującym niebie, było lato, a parę kilometrów dalej, za cyplem Leroy, znajdowała się mała, schowana plaża. Idealna w taki dzień jak ten, co nie?

– Co nie? – zapytał Qvintus retorycznie.

Pod warunkiem że będzie samochód. I znalazł się, jak widać. „Pożyczony”.

Jeśli panowie Marten i Kuno przyniosą kilka piw z lodówki z tej szczurzej dziury, to też mogą się zabrać... Parę papierosów też by się przydało, a i benzyna przecież kosztuje, co oni sobie, kurwa, myślą?

Jebany zarozumialec, pomyślał Marten, ale zatrzymał tę myśl dla siebie. Być może to samo słowo – albo podobne – przyszło do głowy Kunowi, ale ponieważ Marten się nie postawił, to i on siedział cicho. Zszedł po schodach, otworzył ciężkie antywłamaniowe drzwi (tylko członkowie numer jeden, numer dwa

i numer trzy mieli klucz) i po minucie był z powrotem z siedmioma puszkami zimnego piwa. Żyje się tylko raz, a może dziewczyny będą się kąpać nago...

Dziewczyny nie kąpały się nago, ale jedna z nich – to musiała być Clara – opalała się topless. Może dobrze się złożyło, że Rejmusa nie było z nimi, bo Qvintus Maasenegger skorzystał z okazji i trochę sobie pozwolił. Pytanie tylko, czy Clara miała coś przeciwko temu – nie żeby się zgadzała na dotykanie swoich kształtnych sutków czy żeby się całowali, ale pozwalała mu spróbować wszystkiego po trochu. Kuno i Marten leżeli kilka metrów dalej i czuli się nieswojo, Birgitte pewnie też (jeśli to była ona, a nie odwrotnie, co byłoby cholernie dziwne), bo leżała z kapeluszem na twarzy i udawała, że śpi.

Po chwili słońce schowało się za szare chmury i wszyscy wrócili do „pożyczonego” samochodu, który ruszył z dużym trudem. Qvintus tłumaczył, że gaźnik jest do dupy. Nie od razu pojechali do miasta. Za radą kierowcy zatrzymali się w pensjonacie U Molly. A potem przez dwie godziny siedzieli tam na zewnątrz, palili papierosy i pili piwo. Do czasu, aż im starczyło pieniędzy. To znaczy aż starczyło Kunowi, który i tym razem, jak zwykle, był przy kasie.

Mówił w zasadzie tylko Qvintus Maasenegger. Głównie opowiadał o tym, jak to się super żyje w Hamburgu i Maardam, dwóch zajebistych miastach, w których mieszkał, kiedy zwiął z domu. Było zajebiście!

To dlaczego tam nie zostałeś? – pomyślał Marten i pewnie Kuno też, ale żaden z nich się nie odezwał. A dziewczyny, przynajmniej Clara (prawdopodobnie Clara), słuchały z zainteresowaniem i zadawały głupie, acz entuzjastyczne pytania.

Zaczynało się ściemniać, kiedy opuszczali pensjonat. I może dlatego stało się to, co się stało. Wprawdzie „pożyczona” mazda zastartowała już przy pierwszej próbie, ale okazało się, że brakuje w niej reflektorów. Odcinek drogi do rynku w Oosterby wynosił najwyżej pięć kilometrów – wystarczająco, żeby po ciemku Qvintus nie wyrobił się na zakręcie i zjechał z drogi.

Szybkość nie była duża i nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Tylko Kuno nabił sobie guza, Clara zaś (albo Birgitte) złamała paznokieć. Samochód dachował i zatrzymał się między dwoma drzewami. Ponieważ Qvintus skonsumował trochę za dużo piwa, a do miasteczka było nie więcej niż piętnaście minut drogi, postanowili zostawić sprawę samej sobie.

Kluczyki zostawili w samochodzie. I jeśli ktoś do tej pory jeszcze nie zrozumiał, o co chodziło z tym „pożyczaniem”, to niech da znać.

Trochę później, ale jeszcze tego samego lata, Isidor Blavatsky miał wypadek na Bałtyku i utonął, a kilka miesięcy po tym, jak spoczął w ziemi, macocha Kuna Disabelle Lemoncourt postanowiła sprzedać willę na Szykownym Wzgórzu. Morze zabrało jej nie tylko męża, ale i jego żagłówkę Mirabelle, a że kochała ich oboje z całego serca, nie pozostało nic, co by ją wiązało z Oosterby.

No może poza Kunem, ale jemu zostało półtora roku do skończenia szkoły, a potem pewnie wyfrunie z rodzinnego gniazda. Na początku stycznia następnego roku Disabelle wróciła do Maardam, do swoich korzeni, a Kuno zamieszkał w Werdingen w willi dwie ulice od szkoły. Decyzja w dużym stopniu była wspólna. Kuno odziedziczył po ojcu spadek – niestety, zamknięty w akcjach do czasu, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat. Jednak punktualnie dwudziestego piątego dnia każdego miesiąca, za pośrednictwem firmy adwokackiej Steglitz & Finkes, dostawał solidny zasiłek. Szkoda tylko że młody Kuno miał niezwykłą zdolność do przepuszczania płynących do niego strumieniem pieniędzy.

Willę po producencie filmowym kupili Kettenerowie, Boris i Louise. Oni również należeli do świata filmu i też im się dobrze powodziło – według niektórych nawet bardzo dobrze. Mieli dwoje dzieci: introwertycznego trzynastolatka Ludviga i dziewięcioletnią córkę. Dziewczynka miała na imię Madeleine i była oczkiem w głowie zarówno mamy, jak i taty.

Po roku jej imię miało się znaleźć na ustach wszystkich.

Październik 2012, Oosterby i okolice

– Mimo wszystko to trochę dziwne – odezwała się Ulrike Fremdli.

– Co takiego? – zastanawiał się Van Veeteren.

– No to spotkanie po latach... Wybacz, że ciągle do tego wracam. W jakim celu oni się tam w ogóle spotkali? Nikt z ich bliskich nie miał zielonego pojęcia.

Ulrike i Van Veeteren właśnie zjedli późne śniadanie w jadalni Kaarshuis. Ulrike przyznała się, że siedziała i czytała do piętnaście po pierwszej, co w praktyce oznaczało, że do za piętnaście druga. Ustalili, że zaczną dzień od spaceru, ale się rozmyślili. Nie dlatego, że za długo spali – po prostu padało.

– Nigdy tego do końca nie wyjaśniono – stwierdził Van Veeteren.

– Dlaczego?

– Bo to nie było ważne pytanie. Niestety.

– To głupio.

– Z pewnością. Ale zawsze tak jest, kiedy sprawcę znajdzie się już na początku śledztwa... albo kiedy się komuś tylko tak wydaje... Dlaczego ludzie organizują takie spotkania? Żeby dojść do wniosku, że się postarzel, żeby ponarzekać, że kiedyś wszystko było lepsze? Nie rozumiem tego typu zapędów i nigdy nie rozumiałem.

– Te rozważania możemy odłożyć na później, prawda? – powiedziała Ulrike.

– Coś mi mówi, że mieli zupełnie inny cel niż tylko ten nostalgiczny. Jeśli dobrze zrozumiałam, to twierdziliście, że to Maasenegger wszystko zorganizował, tak?

– Zgadza się. Tak twierdzono.

– „Twierdzono”?

– No dobrze, twierdziliśmy.

Van Veeteren westchnął. Ulrike się przeciągnęła.

– Ten sam Maasenegger, który znikł po pożarze i dlatego tak perfekcyjnie pasował do roli sprawcy. Czy w tym punkcie były jakieś wątpliwości?

– W jakim punkcie?

– Że to on był inicjatorem.

Van Veeteren zamyślił się na chwilę.

– Teraz są – odpowiedział. – Dwadzieścia lat temu nikt się w to nie wgłębił... niestety. I to był błąd.

– A może to był ktoś inny z tej grupy? Przecież nie można wykluczyć, że to na przykład Fiste czy Winckelstroop? Albo Blavatsky? Jeśli dobrze zrozumiałam, to ze śledztwa wynika, że ta trójka była najaktywniejsza w Stowarzyszeniu. W każdym razie tak zeznała jedna z sióstr... Zapomniałam, jak się nazywa... Na pewno nie Brigitte Bardot?

– Nie, Brigitte Bardot nie miała z tym nic wspólnego – odparł Van Veeteren. – Jestem tego najzupełniej pewien. Birgitte Behrens natomiast już tak. O ile się nie mylę, też była zaproszona, ale odmówiła... i tym samym się uratowała. W sumie tych leworęcznych nie było więcej niż sześć sztuk. Czy nie tak jest w zeznaniu BB?

– Tak, zgadza się – potwierdziła Ulrike. – I że nie uczestniczyła w spotkaniu, ponieważ, cytuję, „nie miała czasu”. Zaczynała właśnie nową pracę czy coś takiego. Poza tym nigdy nie była szczególnie aktywnym członkiem Stowarzyszenia. Jak ci się wydaje, czy ona też by spłonęła, gdyby tam pojechała?

– A co ty sądzisz? – zapytał Van Veeteren.

– Bardzo prawdopodobne – powiedziała Ulrike. – Dolać ci kawy?

– Niech będzie – odparł Van Veeteren i wyjrzał przez okno. – Deszcz ani myśli przestać padać.

– Idealna pogoda, żeby leżeć i rozwiązywać zagadki – rzekła Ulrike z uśmiechem. – Zgodzisz się ze mną? Pamiętaj, że do twoich urodzin zostały tylko cztery dni.

– Masz jakąś dziwną przyjemność z ciągłego przypominania mi o tym – stwierdził Van Veeteren.

– Oczywiście – odpowiedziała Ulrike – mój książkę.

– Książkę?

– A dlaczego nie?

– Bo książęta chodzą w krótkich spodenkach i baraszkuje w trawie – odparł Van Veeteren.

– W takim razie muszę przynieść aparat – rzekła Ulrike z uśmiechem. – Powiedz, kiedy będziesz gotowy.

– Posłuchaj tego – zaczęła jakieś pół godziny później. Wrócili już do pokoju i rozsiedli się wygodnie, każde w swoim fotelu w wykuszu okna, gdzie deszcz, choć jakby mniejszy, dalej stukał o szyby i parapet zewnętrzny. – To zeznanie żony Martena Winckelstroopa.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Van Veeteren i stłumił ziewnięcie.

– Siedzisz i ziewasz, kiedy ja cię próbuję rozerwać?

– Nie ziewam, to po prostu brak tlenu.

– A jaka to różnica?

– Są różne zdania na ten temat.

– Nie sądzę. Ale słuchaj, czytam na głos. Laura Frege-Winckelstroop: „Nie wiedziałam, że miał jechać do Oosterby. Myślałam, że jest na kursie w Aarlach. Tak mi powiedział. Jakaś konferencja czy coś takiego, ale zaraz... nie, nie, to było coś w związku z jego nową książką. Miał się chyba spotkać ze swoim wydawcą... Nie, nie pamiętam. W każdym razie o Oosterby nie wspominał z całą pewnością”. A więc z tego wynika, że pani Winckelstroop nie była zbyt dobrze poinformowana.

– Może nie byli najszcześliwszym małżeństwem na świecie – odparł Van Veeteren.

Ulrike skinęła głową.

– Pewnie nie. Nie mieli dzieci i zamierzali się rozwieść, tak powiedziała na przesłuchaniu. Ale żadna nowa książka pióra Winckelstroopa nie wyszła... pośmiertnie też nie, o ile się dobrze orientuję.

– A co z Blavatskym i Rejmusem Fiste? – zapytał Van Veeteren. – Nie pamiętam dokładnie...

Ulrike zaczęła kartkować przesłuchanie.

– Blavatsky powiedział, że dostał zaproszenie na zjazd klasowy w Werdingen, coś w rodzaju spotkania po latach. Ale nie wiadomo, dlaczego zmienił miejsce. Zgadza się: chodził do liceum w Werdingen, zresztą wszyscy tam chodzili, ale dlaczego nie powiedział, że jedzie do Oosterby? Przecież to tylko dwadzieścia kilometrów różnicy. Dlaczego musiał to ukryć? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Nie na poczekaniu. A Fiste?

– Powiedział żonie, że jedzie na spotkanie do Oosterby. Nazwał to „spotkaniem klasowym”.

– I podał właściwe miejsce?

– Tak.

– Nic o leworęcznych kolegach?

– Nie.

Van Veeteren ziewnął.

– Prawdy z czasem ulegają zmianie i musimy o tym pamiętać.

– Co takiego?

– To takie powiedzenie. Może utniemy sobie małą drzemkę w oczekiwaniu na słońce?

– A co to znaczy?

– Co takiego?

– To powiedzenie.

– Nie wiem – odpowiedział Van Veeteren – ale się dowiem.

– Okej – rzekła Ulrike. – To powiedz, jak się dowiesz. A drzemkę popieram. Nie są już z nas takie młodzieniaszki.

– Nie mogę sobie przypomnieć, żebym w ogóle kiedyś był jakimś młodzieniaszkiem – odparł Van Veeteren.

Zamiast słońca pojawiła się szara, niedeszczowa chmura. Poza tym kapryśny wietrzyk znad morza. Od pani Sinclair, właścicielki hotelu, Ulrike i Van Veeteren dowiedzieli się, że przez las prowadzi wspaniały szlak wędrowny, który oplata stary kamieniołom. Postanowili skorzystać z tej rekomendacji.

– Obliczyłem, że odkąd cię poznałem, obszedłem raz kulę ziemską – powiedział Van Veeteren, kiedy udali się w drogę.

– Czyżbyś czegoś żałował? – zapytała Ulrike.

– Może czterech, najwyżej pięciu kroków – odpowiedział Van Veeteren.

Poszli za głosem serca i zatrzymali się na kawę w wiosce Zerfenheule, leżącej pół godziny drogi od Friesenbirge, która sto lat temu była centrum wydobywania wapnia. Usiedli pod ogromnym dębem na wygodnych krzesłach. Kawiarnia położona była na wzniesieniu z widokiem na dawną kopalnię, gdzie natura, niskie krzewy i trawa rosnąca wokół powstałych glinianek, próbowała odbudować to, co kiedyś zniszczył człowiek.

– Tutaj człowiek przynajmniej czuje się młody – skonstatowała Ulrike, jakby rozmowa z przedpołudnia wciąż nad nimi wisiała.

– W sensie geologicznym, tak? – zapytał Van Veeteren. – Wiek skał i tym podobne?

– Myślałam raczej o tym dębem – odparła Ulrike. – Musi mieć co najmniej sto lat, no i przeżył kopalnię.

Van Veeteren pokiwał głową i czekał. Podczas całej wycieczki unikali rozmów na temat wydarzeń w pensjonacie U Molly w 1991 roku, ale Van Veeteren dobrze wiedział, że to tylko kwestia czasu. Ulrike to Ulrike. Więc kiedy na stole pojawiły się dwa piwa i dwie kanapki, przerwa w dochodzeniu dobiegła końca.

– Motyw? – zapytała.

– Motyw? – powtórzył za nią Van Veeteren.

– Tak. Powiedz, do czego doszliście w tej kwestii. I nie mów mi, że nie pamiętasz.

– Spokojnie – odpowiedział Van Veeteren. – Doskonale pamiętam, że do niczego nie doszliśmy.

– Jak to? – zdziwiła się Ulrike. – To czym ty i Münster się właściwie zajmowaliście? Bo jeśli tak, to musiało być naprawdę gówniane śledztwo.

– Dziękuję, że mi o tym przypominasz – zachnął się Van Veeteren i wypił łyk piwa. – Ale trafiłaś w sedno. To było gówniane śledztwo dlatego, że...

– ...że od razu postanowiliście, kto będzie przestępcą. Dziękuję, rozumiem. Ale jeśli nawet byliście pewni, że to on, to przecież musieliście sobie zadawać pytanie „dlaczego?”. Czy to na pewno ten słynny komisarz Van Veeteren, który siedzi naprzeciwko mnie? Który nie popełnił ani jednego błędu w swojej trzydziestoletniej karierze i który rozwiązał wszystkie...

– Stop! – przerwał jej Van Veeteren. – To oczywiste, że szukaliśmy, ale niestety Maasenegger dość dobrze pasował do roli sprawcy, do człowieka, który... który byłby zdolny do czegoś takiego.

Ulrike nie skomentowała. Jadła kanapkę i pokazała, żeby kontynuował.

I Van Veeteren kontynuował:

– Był z niego niezły skurwysyn, nie będę owijał w bawełnę. Nie za morderstwo, ale był wiele razy notowany i sześć razy sądzony. Najpoważniejsze przestępstwo to napad z bronią w rękę ze skutkiem śmiertelnym. Nie on trzymał broń, ale został skazany za współudział, bo prowadził samochód, którym uciekali. Dostał dziesięć miesięcy, jeśli się nie mylę... Lubił też grozić ludziom, szczególnie kobietom, które go zostawiły... Raz nawet siedział w psychiatryku. Wydaje mi się, że Münster rozmawiał z lekarzem, który go prowadził... Tak, tak...

– I?

Van Veeteren zasepił się na chwilę i spojrział na gęstą koronę dębu. Zastanawiał się, jak to możliwe, że coś, co liczy tyle lat, może mieć liście, które nie mają jeszcze roku. I nigdy nie będą miały... Wiele z nich już zmieniło barwę na żółtą i czerwoną. Były piękne. Dlaczego tak samo nie może być z ludźmi? Śmierć i piękno razem, czy to zbyt wiele...?

– I? – powtórzyła Ulrike.

Z wysiłkiem znalazł wąż.

– Hm... a więc motyw... o to pytałaś. Maasenegger dużo mówił o zemście, przynajmniej tak twierdził lekarz, z którym Münster rozmawiał. Chciał coś wyprostować, coś, co mu w życiu poszło nie tak... ukarać osoby, które w ten czy inny sposób stały mu na drodze. Typowy rozbitek życiowy, innymi słowy.

– A więc spotkanie w pensjonacie było pretekstem do zemsty?

– Najprościej mówiąc. Przynajmniej w teorii, która wyglądała na dość prawdopodobną.

– A dokładnie za co chciał się zemścić?

– Nie wiadomo – odpowiedział Van Veeteren.

– Nie wiadomo?

– Niestety.

– Czyli mściwy typek, który chciał się trochę zrewanżować, tak?

Van Veeteren wypił łyk piwa.

– Cholera – powiedziała Ulrike. – A ten opis Maaseneggera... Wszyscy się pod nim podpisali? Jedna z sióstr, ta, która przeżyła... Birgitte Behrens... ona też?

– Na sto procent – potwierdził Van Veeteren. – Wszyscy, którzy zeznawali. Pamiętam, że ktoś go nawet nazwał „syfalistyczną świnią”. Może nawet Birgitte Behrens.

– Do tego wszystkiego miał syfilis?

– Nie było na to żadnych dowodów. Poza tym to nie było miejsce na zajmowanie się takimi sprawami, bo...

– ...bo znikł. Dziękuję, wiem. I chyba... chyba zaczyna mi się coś klarować.

– Świetnie – powiedział Van Veeteren. – Założę się, że niedługo i plan działania będziesz miała opracowany.

– Już mam, i to od rana – odparła Ulrike. – Nie wspominałam o tym?

1968, Oosterby i okolice

Birgitte Behrens nie mogła zrozumieć, w jaki sposób Clara dostała pracę. Kiedy ją zapytała, siostra odpowiedziała wymijająco, dlatego więcej już o tym nie rozmawiały. Może dlatego, że Birgitte uświadomiła sobie, że i tak się nie dowie. Były bliźniaczkami, więc takie rzeczy albo się wiedziało, albo się ich domyślało bez wchodzenia w szczegóły. A Clara nie miała zamiaru o tym mówić. Widocznie miała powód.

Najważniejsze było nie to, w jaki sposób, tylko że w ogóle ją dostała.

Że obie miały pracę. Zajębiście prostą i dobrze płatną robotę do końca sierpnia, a może i dłużej.

Opiekunka do dzieci. Może to nie najbardziej atrakcyjne zajęcie na świecie, ale przecież obie jeszcze chodziły do szkoły, zresztą to nie na wieczność. Ani jedno, ani drugie.

Na początku, w ciągu roku szkolnego, pojedyncze wieczory, niektóre soboty i niedziele; potem, kiedy zaczną się wakacje, częściej. Pojedyncze nocowania też mogły się zdarzyć.

Tak było pomyślane i tak się stało.

Dwoje dzieci, trzynastoletni Ludvig i dziewięcioletnia Madeleine.

Nie żadne maluchy, krótko mówiąc. Żadnej zmiany pieluch czy paćkania przy jedzeniu. Żadnego przebierania kilka razy dziennie, wiązania butów. Ludvig miał jakiś mały defekt, ale chodził do zwykłej szkoły, choć przez kolegów był lubiany jak lis w kurniku. W domu każdą chwilę spędzał w swoim pokoju, czytając i coś

pisząc w grubych zeszytach. Prawie nigdy nic nie mówił, ale ani Clara, ani Birgitte nie miały wrażenia, że jest do nich wrogo nastawiony.

Siostra była jego przeciwieństwem. Wesoły i otwarty dzieciak, któremu buzia się nie zamykała i który śmiał się całymi dniami. Tak słodki, że jej tata mówił, że byłaby warta przynajmniej sto wielbłądów, gdyby mieszkali w Arabii, a nie w północnej Europie.

Rodzina miała jakieś związki z Arabią. Tata Boris pracował przy filmie *Lawrence z Arabii*, który kilka lat wcześniej wyświetlany był na ekranach kin całego świata. Niewykluczone, że to wtedy narodziła się fortuna, bo jeśli w rodzinie Kettenerów było coś, czego nie brakowało, to właśnie pieniędzy. Do starej willi po Blavatskych wprowadzili się w styczniu, a już w wakacje cały dom był wyremontowany i wyposażony w wielki basen w kształcie nerki. Z trampoliną i oświetleniem podwodnym. Na Szykownym Wzgórzu w Oosterby stało nie więcej niż siedem domów, a Willa Valentino (ochrzczone tak po ulubionym aktorze mamy Borisa Kettenera; zresztą oboje zmarli dwudziestego trzeciego sierpnia, tylko w odstępnie czterdziestu lat) w mgnieniu oka z numeru cztery albo pięć w lokalnym rankingu przesunęła się na pierwszą pozycję i była najelegantsza ze wszystkich tam stojących. Bez dwóch zdań.

Mama Louise też pracowała w branży filmowej, choć niezupełnie wiadomo, w jakiej roli. W każdym razie aktorką nie była. A może i była, ale kiedy rodzina przeniosła się do Oosterby, głównie przechadzała się wzdłuż plaży, ubrana w swoje kolorowe suknie przypominające pawie pióra – najchętniej nieśpiesznie, leniwym krokiem. Patrzyła na morze i wyglądała tajemniczo. Niektórzy twierdzili, że jest szalona, ale Clara i Birgitte mogły to wkrótce zdementować. Louise Kettener zawsze była miła i ujmująco grzeczna. To, czy miała jakiś zawód – a może jakieś inne zajęcie, w szerokim tego słowa znaczeniu – było osnute mgłą tajemnicy, ale wiadomo było, że pisała wiersze i trochę komponowała. To drugie działo się głównie przy dużym, białym fortepianie, który stał pod wielkim oknem z widokiem na basen i zatokę. Przy takich okazjach – i zostało to jasno powiedziane – nie wolno jej było przeszkadzać, ale

choć zakazy odbijały się jak groch o ścianę, nigdy nie było z tego powodu konfliktów.

Właściwie w Willi Valentino nie było żadnych konfliktów. Birgitte myślała sobie czasami, że jeśli są na tym świecie szczęśliwe rodziny, to rodzina Kettenerów do takich właśnie należy. Oczywiście można by dyskutować, czy Ludvig podpadał pod pojęcie „szczęśliwy”, ale żył na swoich własnych warunkach, co zresztą odnosiło się do wszystkich mieszkańców Willi Valentino. I może dlatego (napisała Birgitte w swoim pamiętniku) wszyscy tak bardzo się lubili. Właśnie dlatego, że każde z nich miało poczucie wolności. Boris i Louise Kettener byli już po czterdziestce, ale Birgitte widziała, jak się czasami przytulają, wymieniają czułości, jakby wciąż byli nastolatkami.

I kochali swoje dzieci. Szczególnie kochali Madeleine, a już tata Boris świata poza swoją córeczką nie widział.

– Powiedziałem sto wielbłądów? Oczywiście miałem na myśli tysiąc.

Rodziców z zasady nie było w domu, kiedy Clara lub Birgitte zajmowały się dziećmi. Były zwykłymi opiekunkami, nie żadnymi *au pair*. Zresztą czy to ważne... *Au pair* to nowoczesna nazwa, ale żeby zasłużyć na ten tytuł, trzeba było wyjechać za granicę i mieszkać u rodziny. I zajmować się domem, gotowaniem, praniem, robieniem zakupów i tym podobnymi sprawami. Takich wymagań Kettenerowie nie mieli. Chodziło tylko o pilnowanie dzieci, żeby nie broiły, żeby nie zrobiły sobie krzywdy, żeby o odpowiedniej porze znalazły się w łóżkach, a wcześniej odrobiły lekcje. Przygotowanie jedzenia wchodziło oczywiście w grę, ale najczęściej sprowadzało się do podgrzania obiadu, który czekał w kuchni, w wielkiej, błyszczącej metalowej lodówce. Albo jakiegoś makaronu czy kielbasek.

I tak dwa albo trzy razy w tygodniu. Zazwyczaj Louise i Boris wracali do domu między siódmą a ósmą wieczorem. Czasami razem, ale zawsze przynajmniej jedno z nich.

Raz w tygodniu wieczór.

Po zakończeniu roku szkolnego, ponieważ wszystko szło gładko, również nocowanie. Od czasu do czasu. Siostry dzieliły się w zależności od potrzeb, choć i tak nikt nie wiedział, czy to Clara, czy Birgitte. Do najulubieńszych zabaw Madeleine należało zgadywanie, która z sióstr jest tym razem w Willi Valentino. I nigdy nie była na sto procent pewna, bo czasami zdarzało się, że Clara udawała Birgitte, a Birgitte Clarę. Madeleine próbowała rozwiązać problem w ten sposób, że wyjawiała jakąś swoją tajemnicę jednej z nich, a ta absolutnie nie mogła jej zdradzić siostrze bliźniaczce. Dziewczynka jednak nie miała pewności, czy siostry przypadkiem nie zażartowały sobie z niej za plecami. Której można zaufać? Tak czy owak, wszystko to było tylko niewinną zabawą, która dzięki tym tajemnicom stawała się jeszcze atrakcyjniejsza.

„Jeśli kiedyś będę miała dziecko, to chciałabym, żeby było takie jak Madeleine Kettener”, napisała Birgitte Behrens w swoim pamiętniku w połowie czerwca.

„To naprawdę dziwne, że rodzeństwo może być tak różne”, napisała Birgitte kilka tygodni później. „Wprawdzie nie są bliźniakami, tak jak ja i Clara, ale mimo wszystko. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście mają tych samych rodziców”.

Całe wakacje – z wyjątkiem kilku krótkich weekendowych wycieczek – Kettenerowie spędzili w swoim świeżo wyremontowanym domu. Boris był zaangażowany w film kręcony w okolicach starego kamieniołomu pod Friesenbirge, zresztą i tak nie mieli ochoty nigdzie wyjeżdżać. W Oosterby było tak pięknie o tej porze roku. To bezpretensjonalne wybrzeże zaczynało żyć i przyciągało turystów; nie żadne hordy, ale wystarczająco dużo, żeby hotel Żaglowiec zapełnił się gośćmi. Podobnie jak trzy czy cztery inne hoteliki, które w czasie ciemnych zimowych dni stały zamknięte na cztery spusty. Zeeblick. The Blue Anchor. U Molly. Z daleka i z bliska przypływały łódki, które cumowały na przystani, zostawały przez kilka dni i płynęły dalej. Po co więc

latem opuszczać Oosterby, skoro na Szykownym Wzgórzu ma się piękny dom ze wspaniałym widokiem?

Clara i Birgitte dzieliły się opieką, a pod koniec lipca i na początku sierpnia każda po kolei wzięła dwa tygodnie wolnego. Do Anglii tego roku nie wyjechały. Clara pojechała pod namiot do Sorbinowa ze swoim nowym chłopakiem, po trzech dniach z nim zerwała, wróciła do domu i znów zaczęła kręcić z Rejmusem. Birgitte pojechała do ciotki do Berlina, żeby szlifować niemiecki, i pewnego wieczoru upiła się w klubie nocnym, a rano obudziła się w łóżku z trzydziestopięcioletnią lesbijką. Nawet jeśli napisała w dzienniku, że nic nie pamięta z tamtej nocy, to mimo wszystko nauczyła się dwóch rzeczy: co znaczą żal i skrucha oraz że nie jest homoseksualna.

We wrześniu 1968 roku pięcioro członków Stowarzyszenia Leworęcznych rozpoczęło swój ostatni rok nauki w szkole Erasmus w Werdingen. Kuno Blavatsky większą część wakacji spędził u swojej macochy w Maardam, gdzie pracował w agencji filmowej. A ponieważ nie miał już w Oosterby domu, jego wizyty w Jaskini stały się trochę rzadsze. Rejmus, Marten i siostry Behrens (a przynajmniej Clara) spędzali trzy, czasem cztery wieczory w tygodniu w swojej wspaniałej klitce na Dorffstraat. Z papierosami, piwem i ciągle powiększającym się zbiorem płyt. Przybyły też nowy wzmacniacz i wieże domowej roboty, teraz więc, gdy tylko podkręcili głośność, nie musieli już słuchać utyskiwań i tego, co ktoś ma do powiedzenia w sprawie repertuaru. Grateful Dead. Jimi Hendrix. The Mothers of Invention z Frankiem Zappą. The Who. Zaczęły się też pojawiać nowe osoby, choć bez przesady, bo wciąż pamiętali, że to jednak ich stowarzyszenie – azyl dla leworęcznych. Z czasem wprowadzono zasadę, że praworęczni muszą opłacić wejście dwoma piwami, choć rzadko udawało się to wyegzekwować. A przecież to powinno być bardzo proste...

Od czasu do czasu zdarzał się jakiś mocniejszy drink, ale nigdy za dużo.

Od czasu do czasu zdarzał się jakiś skręt, ale nigdy za dużo.

Na aukcji kupili niedrogo starą sofę, która zajęła jedną czwartą podłogi, ale spokojnie mieściła kilka osób normalnego wzrostu, kiedy chcieli kogoś przenocować.

Z tym też jednak szczególnie nie przesadzali.

Siódmy członek Stowarzyszenia Leworęcznych Qvintus Maasenegger przez większą część wakacji pracował. Co to była za robota, nikt nie wiedział, ale najwyraźniej musiała mu się podobać. Kiedy w połowie września wrócił do Oosterby i fabryki ryb (gdzie zawsze potrzeba rąk do pracy), skończył z „pożyczaniem” samochodów, bo sprawił sobie własną furę. Była to jaskrawozielona Dyna Panhard Tigre i jeśli nawet z jazdą po drogach było ciężko, to świetnie nadawała się do przesiadywania na rynku w Oosterby w słoneczne jesienne soboty. Bezdachowiec, jak to się potocznie mówiło.

Najchętniej z jedną lub kilkoma dziewczynami. Na przykład z siostrami Behrens. W każdym razie na pewno z Clarą.

Za pośrednictwem Qvintusa Maaseneggera w Jaskini pojawił się niejaki Zink. Wydarzyło się to w piątkowy wieczór pod koniec października. Prawie wszyscy członkowie byli na miejscu, nawet Kuno – oraz dwie dziewczyny z Gerlach, Wilma i Henriette, które czasami się pojawiały. Nie było tylko Birgitte, która w tym czasie opiekowała się dziećmi na Szykownym Wzgórzu. Miała przyjść później, ale to nic pewnego, bo jesienią jej wizyty były z różnych powodów coraz rzadsze.

– Zink? – zapytał z ciekawością Marten Winckelstroop.

– Tyle wystarczy – odpowiedział Qvintus Maasenegger.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Van Veeteren wybudził się z koszmaru sennego. A raczej wyrwał się z niego, przynajmniej tak to czuł. Śniło mu się, że jest w sądzie, jako oskarżony, więcej nie pamiętał. Bardzo możliwe, że przegrał. Był niewinny, niczym panna młoda, ale nie umiał się wybronić. Nikt nie wierzył w jego niewinność, nawet Ulrike, która siedziała na sali i wyglądała na bardzo zawiedzioną. Jeśli się nie myli, to chyba nawet wyszła, zanim zdążył się obudzić.

Samo oskarżenie? Kompletnie nic nie pamięta.

Znaczenie tego snu? Nie warto się nad tym zastanawiać.

Odwrócił głowę i spojrzął na zegarek. Pięć po trzeciej. Właśnie zaczęła się godzina duchów.

Począł do piętnaście po i wstał. Ostrożnie, jak złodziej, żeby nie obudzić Ulrike, która spała obok niego bezpiecznym i w pełni zasłużonym snem. Poprawił jej kołdrę, w ciemności znalazł szlafrok i usiadł na fotelu przy oknie.

Brzask nad morzem przechodził w odcienie od ciemnoszarego do czarnego. Ale może to tylko przywidzenie, trudno powiedzieć. Jedyne, co może teraz zrobić, żeby nie zakłócać ciszy i ciemności, to rozmyślać.

Tyle że przedmiot tych rozmyślań nie pozwolił się wybrać – był, jaki był, i cofnął Van Veeterena w przeszłość. Dwadzieścia lat wstecz, kiedy jeszcze był pięćdziesięcioletnim młodzieniaszkiem, a nie antykwariuszem, któremu niedługo stuknie setka.

Śledztwo. Tak, to o to chodziło. To przeklęte ciało, które miało należeć do zbiegłego mordercy, a okazało się ciałem ofiary, przeleżało zakopane w ziemi

przez prawie dwadzieścia lat. Pewnie dlatego się obudził. I pewnie dlatego wielką pomyłką byłoby, gdyby znów zasnął.

Bo o co innego może chodzić?

Nie ma cienia wątpliwości.

Van Veeteren westchnął i poprawił szlafrok.

A więc – błędził w kłębowisku myśli – od czego zacząć? Jak teraz postąpi szanowny pan komisarz?

Zaczął od tamtego wieczoru. Bo od czegoż by innego?

Dwudziesty ósmy września 1991 roku. Jesienna sobota, pięcioro przyjaciół spotyka się w pensjonacie U Molly. Kilka kilometrów pod Oosterby. Czwooro z nich zostaje żywcem spalonych, piąty zostaje zakopany w lesie i odnaleziony po ponad dwudziestu latach.

Co już wiedział?

A raczej co wtedy wydawało mu się, że wie? Tamtej jesieni spędził tu z Münsterem cały tydzień, żeby dopilnować, czy aby śledztwo nie zbacza z właściwych torów.

To był tylko tydzień? Chyba tak. W każdym razie pamięta, że drogę z Maardam i z powrotem przejechali samochodem. Münster prowadził w obie strony.

Mieszkali w hotelu Żaglowiec. Cztery albo pięć nocy. Hotel wciąż jeszcze stoi, mijali go wczoraj z Ulrike.

Całe dni spędzali z Münsterem na komisariacie, przesłuchując świadków – w zasadzie tylko tym się zajmowali. Dyskutowali i analizowali fakty z nadzorującym śledztwo Wilkersonem i sześcioma innymi policjantami. Tylko jeden był z Oosterby (rudy, niedoświadczony aspirant Simmring czy Simmering?), pozostali zostali odkomenderowani z Werdingen. Żeby tak jak on i Münster dołożyć swoją cegiełkę do sprawy. Nie była jakoś szczególnie skomplikowana. W każdym razie wtedy tak im się wydawało. Wszyscy byli co do tego zgodni. I wszyscy tak cholernie się pomylili.

Bo ten wieczór w starym pensjonacie U Molly nie przebiegał tak, jak sądzili.

Tak właściwie to już sama lista uczestników się nie zgadzała. Musiało tam być sześć osób, a nie pięć. Pięć ofiar i jeden sprawca. Nie cztery ofiary i jeden sprawca.

A może?

Van Veeteren zamknął oczy i próbował znaleźć jakąś dziurę w swojej konkluzji. Można sobie wyobrazić na przykład, że ktoś z tej czwórki, która spłonęła, wcześniej zabił Maaseneggera, ciało zakopał w lesie, potem dołączył do reszty kolegów, a następnie dał się podpalić razem z wszystkimi... Czy to możliwe?

W każdym razie nie niemożliwe. Oczywiście jako hipoteza. A zatem następne pytanie: dlaczego? Jak spaczony umysł trzeba mieć, żeby wypocić motyw, który wytłumaczyłby takie zachowanie?

Nie, pomyślał Van Veeteren z przekonaniem. To jednak niemożliwe. Trzeba odrzucić tę hipotezę.

Westchnął i przykrył nogi szlafrokiem. Skonstatował, że ciemnoszara smuga światła budzącego się świtu wciąż była ciemnoszara. Spojrzał na zegarek.

Wpół do czwartej. Myślami wrócił do dwudziestego ósmego września 1991 roku.

To Maasenegger zainicjował ten zjazd. Wszystko na to wskazywało.

Wszystko.

Ale co znaczy to „wszystko”?

W tym kontekście oznaczało to po prostu Molly Hansen. Bo to ona rozmawiała z Maaseneggerem przez telefon. A przynajmniej sądziła, że właśnie z nim rozmawia. Przystała na jego propozycję: otworzyła pensjonat na pół soboty i pół niedzieli, żeby starzy znajomi mogli się spotkać po latach. Powspominać, dobrze zjeść, dobrze wypić. I przespać się jedną noc.

Śniadanie w niedzielę o godzinie dziewiątej – tak było uzgodnione. Pensjonat był zamknięty dla innych gości. Według zgodnych zeznań świadków (a mowa

o osobach, które mieszkały w pobliżu, i tych, których obudził blask płomieni) pożar zaczął się tuż po pierwszej w nocy, a według szefa straży pożarnej (Van Veeteren zapamiętał go jako rosnącego chłopca z przypalonymi końcówkami wąsów... ale czy to w ogóle możliwe?) trzy godziny później było już po wszystkim. Ekipa dotarła na miejsce dwadzieścia minut po otrzymaniu zgłoszenia, ale jeśli jest coś, co płonie w sekundę, to właśnie takie stare drewniane chałupy rodem z poprzedniego wieku.

Taaak, z poprzedniego wieku, pomyślał Van Veeteren. Czas płynie...

Oprócz Molly Hansen byli też inni świadkowie. Przynajmniej kilkoro, na przykład młoda Rebecca Klejne, która zajmowała się sprząaniem pokoi i która wtedy serwowała kolację gościom. Tym samym gościom, którzy potem spłonęli. Mieszkała w pobliżu i to jej ojciec zadzwonił po straż pożarną, a potem oboje stali przez godzinę i tylko patrzyli na ten płonący nocny spektakl.

Jak się człowiek postara, to jednak trochę jeszcze pamięta, pomyślał Van Veeteren. Nie jest ze mną tak źle, jak by się mogło wydawać.

Bardzo pomogła mu Ulrike, która wnikliwie przejrzała dokumenty ze śledztwa. Nie należy ani przeceniać własnych możliwości, ani nie doceniać możliwości towarzyszkę życia.

Ale czy kiedykolwiek nie doceniał Ulrike Fremdli? Bardzo rzadko. Z drugiej strony też jej nie przeceniał.

Nie po to jednak tu siedzi, żeby się zastanawiać nad Ulrike.

Wracamy do śledztwa, panie komisarzu, wyszeptał mu głos rozsądku. No, dalej!

Był jeszcze kucharz – nazywał się Volker Hermann – ale ani on, ani panna Klejne nie znali nazwisk gości. W każdym razie tak twierdzili, a nie było powodu, żeby im nie wierzyć w tym względzie. Zresztą w każdym innym też. Volker Hermann całe sobotnie przedpołudnie spędził w kuchni, przygotowując dania na kolację. Trochę pomagały mu Molly Hansen i Rebecca Klejne, ale to on jako ostatni opuścił pensjonat – tuż po podaniu deseru i kawy, około jedenastej.

Potem goście zostali sami. Wcześniej uzgodniono, że będą mogli częstować się napojami i serami z lodówki, ale muszą wszystko zapisać na kartce. Trzeba ludziom ufać – taka była dewiza Molly Hansen, przynajmniej dopóki pozostawała w tej branży.

Dewiza, która z powodzeniem sprawdzała się przez te wszystkie lata, ale tamtej nocy, z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego września 1991 roku, zawiodła.

Przynajmniej dwie godziny, podsumował Van Veeteren i ziewnął. Jeśli zeznania kucharza są prawdziwe, to tyle czasu goście spędzili sami, bez osób trzecich. Innymi słowy, tyle czasu minęło, zanim pensjonat szlag trafił.

Czy świadkowie zauważyli jakieś napięcia między gośćmi?

Ani śladu, według zeznań właścicielki, która poszła do domu tuż po wpół do dziewiątej.

Nie, żadnych, twierdziła Rebecca Klejne, która wyszła godzinę wcześniej. W tym czasie wszyscy byli na miejscu. To znaczy cała piątka. Nie szóstka. I nic nie wskazywało na to, że dla czworga z nich to ostatni wieczór w ich życiu. (A raczej dla całej piątki, jak się okazało dwadzieścia jeden lat później). Absolutnie nic, zapewniała panna Klejne, która spotkała ich tylko w przelocie, kiedy odbierali klucze do pokoju. I na werandzie, i w ogrodzie, kiedy nakrywała do stołu.

Jakieś napięcia? Nie. Ani kucharz, ani dziewczyna nic nie zauważyli. Goście byli oczywiście rozweseleni, trochę podpici, głośni. Jak to zwykle bywa, szczególnie że był już kwadrans przed jedenastą. To wtedy kucharz skończył pracę i poszedł do domu.

Van Veeteren osobiście rozmawiał z każdym z trojga świadków, a i Münster, o ile dobrze pamięta, cały czas był obecny przy przesłuchaniu. Próbowali ich przyciskać pytaniami o Maaseneggera, ale z mizernym rezultatem. Panna Klejne, na przykład, nawet nie wiedziała, który z nich był tym, który nie spłonął.

Czy przyjechali oddzielnie, czy całą grupą?

Dwaj przyjechali razem – Winckelstroop i Fiste, jak się okazało. Pozostali przybyli osobno. I wszyscy między trzecią a piątą po południu, zgodnie z planem. Dwie osoby w międzyczasie zdążyły jeszcze iść na spacer, prawda?

Tak, Rebecca Klejne była tego pewna.

Tuż po piątej impreza zaczęła się na dobre. Kilka kieliszków wina musującego i parę prostych przekąsek na pięknej oszklonej werandzie. Wszystko zgodnie z planem.

Czy coś zwróciło uwagę?

Kompletnie nic, jeśli o to chodzi.

Ulrike poruszyła się na łóżku, ale się nie obudziła. Ciemnoszary brzask nad morzem stał się kilka odcieni jaśniejszy. Tak się przynajmniej wydawało Van Veeterenowi. Spojrzał na zegarek.

Dziesięć po czwartej. Jeszcze dziesięć minut, postanowił. Następne pytanie.

Następne pytanie?

Polowanie na Maaseneggera. Domniemanego sprawcę. Czy to tak łatwo kupione rozwiązanie nie powinno było budzić podejrzeń?

I tak, wcześniej czy później go znajdą – tak sądzili. Zdjęcie Maaseneggera było we wszystkich większych gazetach, a całą sprawę szeroko komentowano w większości znaczących kanałów telewizyjnych w całej Europie. Był podejrzany o zamordowanie czterech osób i poszukiwany w stu krajach. Ileż to krajów znajduje się na świecie? Pieprzyć to. Mimo wszystko nie tak łatwo się ukrywać – tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Ale nie jest to niemożliwe. Mieszkanie w Walsbergu pod Loewingen przeczesane metr po metrze, jego sąsiedzi i znajomi przesłuchani po kilka razy aż do końca 1991 roku. Z Maaseneggera było niezłe ziółko; istniał w rejestrach policyjnych, przez całe lato przed tym fatalnym wrześniem był bezrobotny, a garstka przyjaciół, jaką miał, była tego samego pokroju co on. Obibok, cytując komisarza Wilkersona. Bezdzienny, nigdy nieżonaty, oboje rodzice nie żyli od połowy lat osiemdziesiątych. Mściwy? O tak, mogą to potwierdzić ci, którzy go znają.

Zdolny do zaplanowania i przeprowadzenia czegoś takiego? Na pewno, twierdzą te same źródła. Istny oprych i kryminalista.

Jedynym krewnym, jakiego udało się odnaleźć, była o dziesięć lat młodsza przyrodnia siostra Leonie. prostytutka i narkomanka przez większą część życia, wtedy – czyli na początku lat dziewięćdziesiątych – pod troskliwymi skrzydłami Pana w sekcie Złoty Klasztor U Kresu Drogi, gdzieś na przedmieściach Rotterdamu. Van Veeteren nigdy jej nie spotkał, ale Münster tak. I szczerze odradzał wszelki z nią kontakt.

Van Veeteren poprawił się w fotelu i wrócił do przerwanej myśli. Czy nie należy przyjąć nieprawdopodobnego? Uznać niedorzeczność tego, że takiemu ptaszkowi jak Maasenegger udawało się ukrywać przed policją – i wszystkimi innymi detektywami – przez te wszystkie lata? Czy nie należałoby raczej przyjąć, że on po prostu nie żyje?

Ależ tak, oczywiście. Łatwo powiedzieć po dwudziestu latach.

Ale nie po to Van Veeteren siedzi i gapi się w brzask, żeby stwierdzić to, co już wie? Że popełniono niewybaczalny błąd i że morderca wciąż jest na wolności.

Czy nie należało...? To pytanie retoryczne i przejrzyste jak szklanka octu, a jednocześnie równie irytujące jak nastoletni wyrostek na szkolnej potańcówce.

A to co znowu? – zadumał się Van Veeteren. Czy ja tak pomyślałem? Przecież na szkolnej potańcówce nie byłem od sześćdziesięciu lat, jeśli w ogóle kiedykolwiek mi się to zdarzyło. Lepiej wracać do łóżka, zanim człowiek zupełnie nie utonie w dzieciństwie.

Do cholery z tym, skonstatował, kiedy dotarł do łazienki, nie zapalając światła, do cholery z tym pytaniem, które krążyło nad nim w ciemności i próbowało się przenieść dwadzieścia lat wstecz. I ze wstydem, jaki w związku z nim odczuwał.

Zasłużony wstyd po marnie wykonanej policyjnej robocie.

Czy wtedy też tam obchodziłem urodziny? – pomyślał dość obojętnie, kiedy ostrożnie kładł się obok Ulrike, żeby pożywić się jej kobiecym ciepłem. –

Pięćdziesiąte czwarte. Czysta młodość...

Nie, wtedy obchodziłem je wcześniej, w październiku, zresztą prywatne sprawy nie miały tu znaczenia. Już sama myśl, że mógł dostać prezent od intendenta Münstera czy kawę do łóżka była zupełnie niedorzeczna.

A Molly Hansen? Myśl o niej pojawiła mu się w głowie tuż przed zaśnięciem.

Głęboko i melancholijnie westchnął.

Chyba nie miał wyjścia.

Dom starców Jesienne Słońce?

Osiemdziesiąt trzy lata i nieuprzejma?

Tak, z takimi ludźmi rozmawiał już nieraz w przeszłości. Miał więc w tej kwestii niejaki doświadczenie.

Wrzesień 1991, Oosterby i okolice

– Kopę lat.

– No tak.

– Jesteś w świetnej formie.

Rejmus Fiste zachichotał.

– Ha, ha. To już chyba z piętnaście lat.

– Zgadza się. Myślałem o tym dzisiaj rano... Mecz w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. I twój, przypadkiem, wygrali przez tego karnego, niesłusznie podyktowanego.

– Niesłusznie? Wjechał buciarąmi prosto na kolano. Powinien zostać dożywotnio zdyskwalifikowany, rzeźnik jeden... Jak on się nazywał? Fritze?

– Heinze. Holger Heinze, niemiecki wóz pancerny wypożyczony od Schalke. Grał u nas dwa sezony. Ale chuj z tym, fajnie cię widzieć. Niezła bryka.

– To wskakuj, mańkucie. Mamy trzy godziny na pogadanie o dupie Maryni, zanim zaczniemy wypominki. Bo chyba o to tu chodzi, nie?

Rzucając miękką torbę na tylne siedzenie, Rejmus Fiste zaczął się śmiać, choć wyszło to dość sztucznie. Zajął miejsce obok kierowcy i zsunął okulary słoneczne na czoło. Marten Winckelstroop dał mu kuksańca w ramię. Facet jakby się skurczył, pomyślał o Rejmusie Fiste. Może choruje albo co. Czy wcześniej nie był trochę wyższy i masywniejszy?

Oczywiście nie na początku, nie w pierwszych latach w pokoiku na poddaszu ani potem w szkole w Oosterby. Ale później... w „okresie burzy i naporu” w Jaskini... choć wtedy nie był chyba taki blady i anemiczny...

– Nic się nie zmieniłeś – powiedział Marten. – Pomyśl tylko, kurwa... znamy się już tak długo. Pamiętasz pannę Bolster?

– Trudno jej nie pamiętać – powiedział Rejmus Fiste.

– I ta jej cholerna rękawica!

– Pieprzony wynalazek! A ty, co teraz robisz? Tylko nie mów, że żyjesz z pisania?

Marten Winckelstroop potrząsnął głową i ruszył z parkingu. Słońce raziło przez szybę, więc Rejmus założył okulary. Marten wyjął swoje z kieszeni koszuli. Dwóch cwaniaczków w ciemnych okularach, pomyślał. Jak w filmie. Jakbyśmy mieli coś do ukrycia.

To była nieprzyjemna myśl. Dotykała czegoś, czego nie chciał dotykać. W każdym razie jeszcze nie teraz. Zdarzenie. W ostatnich latach, kiedy tylko ta myśl pojawiała się w jego głowie, próbował to wszystko zredukować do tego właśnie słowa. Zdarzenie.

A pojawiała się, oj pojawiała.

– No? – ponaglił Rejmus. – Co robisz, kiedy nie piszesz?

– Piszę – odpowiedział Marten.

– Zajebicie urozmaicona robota – skomentował Rejmus.

– Właśnie. Ale kiedy nie piszę książek, to nie piszę książek. Trochę dziennikarskiej roboty i tekstów reklamowych. Czasami wpadnie jakiś artykuł. A ty jesteś strażnikiem więziennym, tak?

– Zgadza się – odparł Rejmus Fiste. – Ktoś to musi robić.

– A co z twoją karierą piosenkarza?

W przedostatniej klasie Rejmus zaczął śpiewać w kapeli The Blue Flames. Chyba przez cały rok, o ile Marten dobrze pamiętał. W każdym razie słyszał ich w 1969, po... zdarzeniu... zanim na dobre wyjechał z Oosterby. Rejmus też grał na gitarze, nie tylko śpiewał, ubrany w błyszczącą fioletową koszulę i buty na wysokich obcasach.

Marten postanowił, że nie będzie mu przypominał o tym występie, a Rejmusowi niespecjalnie chciało się opowiadać o czasach, kiedy był lokalną

gwiazdą rocka.

– Nie, kurwa, już dawno dałem sobie z tym spokój. Wyjechałem do Aarlach i zacząłem zakuwać... Wiesz, jak jest. Poznałem Maren, moją żonę, potem prawie zaraz urodziło nam się dziecko. Przerwałem studia i zacząłem robotę w więzieniu. Dzieciaki kosztują... A ty nie masz...?

Marten pokręcił głową.

– Tak się jakoś złożyło.

– Życie.

Marten skinął głową.

– Dziwne, że tak totalnie straciliśmy kontakt – kontynuował Rejmus. – Ale zdarza się... To pewnie przez... no wiesz...

Poczekaj, pomyślał Marten. Nie tak od razu. Pogadajmy o czymś normalnym, zanim znów wdepniemy w to gówno.

Ale nie bardzo wiedział, jak zacząć, a coś trzeba było powiedzieć.

– Myślisz, że dlatego jedziemy do Oosterby? Przez to, co wtedy...?

Natychmiast pożałował, ale słowo się rzekło. Rejmus siedział przez chwilę w milczeniu i wyglądał przez okno.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu. – Trzeba mieć nadzieję, że są inne powody, choć to może naiwne.

– W każdym razie będziesz miał okazję spotkać Clare, nie? – Tylko to przyszło Martenowi do głowy. – Bo rozumiem, że będzie... Miałeś z nią jakiś kontakt w ostatnich latach? W końcu trochę razem... No wiesz, trochę tak, trochę tak, ale zawsze coś...

– Od tamtego czasu jej nie widziałem – odpowiedział Rejmus. – I nie, nie mam z nią żadnego kontaktu. Nawet nie wiem, co się u niej dzieje. Myślisz, że Birgitte też będzie?

– Nie wiadomo – odparł Marten. – To znaczy, w liście nic o tym nie było.

– No nie było. Zobaczymy – rzekł Rejmus, a Marten pomyślał nagle, że zabrzmiał, jakby był całkiem obcy. Jak ledwie żywy autostopowicz, którego on z jakiegoś powodu wziął do samochodu.

Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, pomyślał. Nie tymi, którymi byliśmy kiedyś. Zabrzmiało to jak trywialna i nieprzyjemna prawda, pewien rodzaj zawodu, nawet jeśli nie bardzo wiedział, co miałyby być tym zawodem.

Albo może rozumiał to nazbyt dobrze.

– Ojciec nie żyje – kontynuował Rejmus po kłopotliwej pauzie. – Ale pewnie słyszałeś... Piekarnia z całym tym gównem została sprzedana jakiejś sieci. Potrzymani ją jeszcze przez dwa lata, a potem ogłosili bankructwo.

– Szkoda.

– Ta. Zburzyli całą ulicę, z tego co słyszałem. Ale sam nie byłem i nie widziałem. Teraz stoi tam jakieś centrum handlowe, tam, gdzie była... to znaczy na miejscu Jaskini.

– Tyle też się zdążyłem dowiedzieć – powiedział Marten. – I też tam nie byłem. Właściwie to jeszcze zdążymy zrobić rundkę po mieście, zanim pojedziemy do Molly...

Rejmus przytaknął.

– A twoja mama? Wciąż tam mieszka?

– Nie – odparł Marten. – Wyjechała do Lingen, kiedy ja się wyprowadziłem. Spotkała nawet jakiegoś nowego faceta. Ale zmarła pięć lat temu. Rak gardła.

– O kurwa – rzekł Rejmus.

– Ta – odparł Marten.

– Była zawsze taka żywa. Dobrze ją pamiętam...

– Żywa to za mało powiedziane – stwierdził Marten. – Ale lepiej mów, jak ci się pracuje w tym więzieniu. To musi być kurewsko trudne.

– A żebyś wiedział – odrzekł Rejmus.

– Może będzie fajnie, mimo wszystko – skonstatował Rejmus sto pięćdziesiąt kilometrów później. Nabrali benzyny, wypili kawę i mieli jeszcze godzinę jazdy na wybrzeże. – Nigdy nie wiadomo.

Marten wzruszył ramionami. Mimo iż krążyli wokół tematu, w rozmowie starali się omijać Oosterby. Rozmawiali o życiu, choć dość ogólnikowo. Marten

o swoim pisarstwie i dwóch nieudanych związkach, z Renatą i z Claire, też bardzo ogólnikowo. O podróżach dla „Globetrotter Magazine”. O piłce nożnej i gospodarce. Rejmus opowiadał o swoim siedemnastoletnim związku z Maren. Że daje mu poczucie bezpieczeństwa i jest zupełnie normalne. Nie może się skarżyć. Dzieci mają przyjaciół, a praca w więzieniu jest, jaka jest, jak to praca. Więzienie Zertenhof pod Aarlach, jedno z najpilniej strzeżonych w kraju. Codzienne przebywanie z ludźmi, którzy często na swoim sumieniu mają kilka istnień ludzkich, ma oczywiście swoje złe strony, ale jaka praca ich nie ma? „Zatwardziali”, tak Rejmus nazywał niektórych więźniów. A innych: „straceńcy”.

Ci pierwsi znaleźli najlepszy sposób na przeżycie w takim miejscu jak Zertenhof, przynajmniej tak twierdził Rejmus. Po prostu stwardnieli. I dotyczyło to zarówno więźniów, jak i tych, którzy tam tylko pracowali. Niestety, taka była prawda.

Być jak kabina prysznicowa wyłożona kafelkami, po której wszystko spływa. O to chodziło.

Marten pomyślał, że to główna bolączka w życiu Rejmusa. Codzienna walka z cynizmem, ale, do cholery, przecież w sumie każdy tak ma. Nawet ci, którzy nie są strażnikami więziennymi.

– Na początku było łatwiej – opowiadał Rejmus. – Nie dać się... Ale gównu lubi się odkładać i człowiek napatrzy się na tyle okrucieństwa, że w końcu się poddaje. Chce wierzyć, że w każdym jest coś dobrego, ale kiedy nie znajduje się na to dowodów... to jak, do cholery, utrzymać tę wiarę?

– Wiarę?

– Nazywaj to sobie, jak chcesz.

– Jasne, w każdym człowieku jest coś dobrego – rzekł Marten. – Jeden czy dwa wyjątki nie znaczą przecież, że trzeba tracić wiarę w człowieczeństwo, co nie?

– Pewnie tak – westchnął Rejmus. – Masz rację. Najprościej byłoby zrobić selekcję. Ale z kamienia nie wyciśniesz krwi... a może łez. Smutno jest, kiedy...

– Kiedy co?

– Kiedy zgaśnie nadzieja, którą się kiedyś miało.

– Hm?

– Na przykład młode chłopaki, które popełnią w życiu jakiś głupi błąd, na pewno chciałyby go naprawić, gdyby dać im szansę. Zamiast tego lądują w więzieniu i... tam twardnieją.

Zink, pomyślał Marten i miał już na końcu języka, żeby pociągnąć ten temat dalej, a jednak tak się nie stało. Więc siedzieli w milczeniu przez kilka minut, podczas których Marten zastanawiał się, czy Rejmusowi też to samo przyszło do głowy.

Nie, on się nad tym nie zastanawiał. On to wiedział.

Obawy. To, co zostało pogrzebane. Zdarzenie.

– Zobaczmy – odpowiedział Marten na nadzieję Rejmusa, że może będzie całkiem fajnie, mimo wszystko. – Przynajmniej spotkamy się z Kuno.

– Kuno – rzekł Rejmus i się zaśmiał. – Dzwonił do mnie.

– Kuno do ciebie dzwonił?

Rejmus przytaknął.

– W tygodniu, chyba w poniedziałek. Wydawał się niespokojny.

– Niespokojny?

– Tak. Miałeś z nim jakiś kontakt?

– Nie. A ty?

– W ogóle. Nie rozmawiałem z nim od... od jakichś dwudziestu lat.

– To tak jak ja. A czym się tak niepokoił?

– Nie mam pojęcia. Nie rozmawialiśmy o tym. Powiedziałem tylko, że wydawał się, a nie że był zaniepokojony.

Marten pomyślał, że właśnie tego się spodziewał. Kuno był... zawsze był... zawsze pękał.

– W takim razie o czym gadaliście? Po co do ciebie zadzwonił?

– Chciał tylko wiedzieć, czy się wybieram na spotkanie. I czy ty też będziesz. Poza tym jakieś szczegóły techniczne... kiedy będziemy na miejscu... Właściwie to tylko tyle.

– Gdzie on w ogóle mieszka?

– W Linzhuisen. Chyba przyjedzie samochodem. Wspominaliśmy też trochę Stowarzyszenie...

– Stowarzyszenie Leworęcznych?

– Ta.

– Co konkretnie?

– Nic szczególnego. Kuno uważał, że na początku było bardzo fajnie.

– Trudno się z nim nie zgodzić.

– On był chyba najbardziej samotny z nas wszystkich, co nie? To dla niego wiele znaczyło... przynajmniej na początku.

– Wierzę. Jaki z tego wniosek?

– Co?

– Powiedziałeś, że Kuno wydawał się zaniepokojony. Nie chciałeś wiedzieć dlaczego?

Rejmus Fiste milczał przez kilka sekund. Gapił się przez okno na nudny równinny krajobraz i rozważał odpowiedź. Albo jej szukał. A kiedy nadeszła, nie była żadnym zaskoczeniem.

– Przecież wiesz tak samo jak ja. – Rejmus wziął głęboki oddech i złożył ręce na piersi.

– Naprawdę? Kontynuuj.

– Niby dlaczego?

– Bo cię o to proszę.

Rejmus westchnął.

– Okej. Nie widzieliśmy się od dwudziestu lat, ani ty, ani ja, ani Kuno, i nigdy nie mieliśmy okazji pogadać o tym, co się stało. Ani z Maaseneggerem, ani z dziewczynami... mam na myśli Clare... Zamietliśmy to pod dywan, a teraz

wszyscy sramy w portki ze strachu, że... że komuś przyszło do głowy, żeby to wszystko wyciągnąć na światło dzienne. Popraw mnie, jeśli się mylę.

„Komuś”? Marten Winckelstroop zastanawiał się przez dziesięć sekund, chociaż z powodzeniem wystarczyłyby dwie.

– Dlaczego, kurwa, miałbym cię poprawiać? – odparł. – Ale...

– Ale co?

– Nic takiego. Pomyślałem tylko, że gdybym wierzył, że Bóg istnieje, to teraz bym się do niego pomodlił.

Co mi strzeliło do łba, żeby to powiedzieć? – pomyślał sobie. Dziwne.

Próbował to zatuszować śmiechem, ale mu nie wyszło.

– W każdym razie modlitwa nie zaszkodzi – powiedział Rejmus Fiste.

– Pewnie nie – odparł Marten Winckelstroop.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Budynek położony był w dolinie, kilka kilometrów w głębi lądu. Otoczony wysokim lasem bukowym. Van Veeteren zastanawiał się, co za geniusz wymyślił nazwę Jesienne Słońce. Kiedy z Ulrike zaparkowali przed bramą, dochodziła jedenasta przed południem. Mimo iż niebo było niebieskie i czyste, ceglany budynek spowijały głębokie cienie. Jedyнным znakiem jakiegokolwiek życia był mężczyzna w średnim wieku, w czapce z daszkiem założonej tył na przód, który stał przed płonąca góra śmieci i palił fajkę. Komisarz Radovic mówił, że to miejsce ma bogatą historię od początku powstania jakieś sto lat temu: sanatorium, dom dla kobiet z nerwicą, koszary wojskowe, obóz jeniecki, kolonia artystów, zakład odwykowy dla narkomanów, a potem – od początku wieku – dom starców. Ostatni przystanek przed śmiercią. Aktualna liczba mieszkańców dochodziła do czterdziestu sześciu, a Molly Hansen należała do mieszkających tu najdłużej, od jesieni 2002 roku. Wymeldowania z przyczyn... jak by to powiedzieć... naturalnych, zresztą podobnie jak rekrutacja nowych mieszkańców, wynosiły średnio sześciu pensjonariuszy rocznie, wyjaśnił Radovic. Dlaczego chciało mu się sprawdzać takie informacje? Może jego ojciec albo matka byli tu zamknięci...

Zamknięci? Van Veeteren strząsnął z siebie pewien rodzaj nieprzyjemnego uczucia, na chwilę ścisnął dłoń Ulrike i wysiadł z samochodu. Ulrike otworzyła szybę.

– Jesteś pewien, że mam tu poczekać?

Nagle Van Veeteren pożałował.

– Nie, do diabła, chodź ze mną. Pomyśl tylko, co by było, gdyby mnie nie wypuścili.

Ulrike się uśmiechnęła.

– Na pewno tego chcesz? – dopytał Van Veeteren.

– Jasne, że chcę. To się świetnie wpisuje w mój plan, poza tym zawsze lepiej czworo oczu niż dwoje, nie?

– To uszu będziemy używać w pierwszym rzędzie – powiedział Van Veeteren.

– No tak – odparła Ulrike Fremdli.

Pokój, w którym czekali, miał bladozielone ściany w bladoczerwone motywy kwiatowe. W rogu stał duży, wiekowy telewizor i dwie sofy. Na prawie pustych regałach leżało parę gier planszowych i około dwudziestu książek. To wszystko sprawiało mylne wrażenie, że pokój jest ośmiokątny. W dużym i pięknym oknie ze szprosami – które wychodziło na płonący stos śmieci i dozorcę (Van Veeteren założył wstępnie, że tym właśnie zajmuje się ten mężczyzna, wciąż bowiem palił fajkę i nie ruszał się z miejsca) – stał rząd anemicznych kwiatów doniczkowych niewiadomego gatunku. Kobieta, która ich przyjęła, przedstawiła się jako siostra Meijskens i wyjaśniła, że znajdują się w jednym z pokoi gościnnych i że nikt im tu nie będzie przeszkadzał. Poinformowała również, że wielu mieszkańców domu ma demencję, niektórzy mniej zaawansowaną, inni bardziej... dlatego niech nie dziwi ich wysoki płot i zamknięta brama. Chodzi o to, żeby wszyscy mieszkańcy, zarówno ci z bardziej, jak i ci z mniej zaawansowaną demencją, mieli możliwość przebywania na świeżym powietrzu bez ryzyka, że się zgubią gdzieś w lesie.

Następnie siostra Meijskens zniknęła za podwójnymi drzwiami, żeby przyprowadzić pannę Molly Hildegard Hansen.

Ulrike położyła rękę na kolanie Van Veeterena i spojrzała na niego z lekkim niepokojem.

– Niezbyt tu przyjemnie.

– To prawda.

- Nie wygląda na miłe miejsce na stare lata.
- Może wcale nie chodzi o to, żeby było miłe i przyjemne.
- Dlaczego tak mówisz?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Możemy zapytać Molly Hansen, jak ona to widzi. Mieszka tu już dziesięć lat.

– Możemy to zrobić – westchnęła Ulrike. W tym samym momencie otworzyły się drzwi, w których pojawiła się siostra Meijskens, prowadząc pod rękę pannę Hansen.

Molly Hansen miała na sobie długą suknię koloru czerwonego wina, która roznosiła delikatną woń kamfory. Pewnie miała w szafie ubrania, które wkładała tylko na specjalne okazje. Resztkę włosów schowała pod dużym niebieskim beretem. Jej szczupła, pociągła twarz była nieco asymetryczna. Być może przeszła udar. Przywitała się cicho i dość szorstko, podała rękę, usiadła w fotelu i zwróciła się do siostry Meijskens:

– Możesz nas teraz zostawić samych. Nie chcemy, żeby nam ktoś przeszkadzał. I podaj moim gościom przynajmniej po szklance wody.

Jej głos był ochrypły, ale wyraźny. Siostra Meijskens kiwnęła powściągliwie głową i zniknęła za drzwiami.

– Z nimi tak trzeba – wyjaśniła Molly Hansen z grymasem na twarzy. – Czego chcecie, bo nie mam za dużo czasu?

Van Veeteren przedstawił ich i przypomniał, że już się wcześniej spotkali.

– Pamiętam. Ta okropna historia... Czy to się nigdy nie skończy? Oboje jesteście policjantami?

– W pewnym sensie – odpowiedziała Ulrike Fremdli ku zdziwieniu Van Veeterena. – Ja pracuję jako psycholog policyjny.

– Jako kto? Ach tak...? – rzekła Molly Hansen, spoglądając podejrzliwie na Ulrike. – No dobrze.

Van Veeteren odchrząknął.

– Pewnie pani słyszała, co się stało? Komisarz Radovic był tu i rozmawiał z panią, prawda?

Molly Hansen zacisnęła na chwilę szczęki, zanim odpowiedziała.

– Tak, był. Mówił, że znaleźli nowe ciało... Jakże on się nazywał?

– Maasenegger. Qvintus Maasenegger.

– Maasenegger, tak. To on to zrobił. Chociaż teraz wygląda to trochę inaczej... Nie wiadomo, co o tym myśleć.

– Dlatego tu jesteśmy – odezwał się Van Veeteren. – Żeby się dowiedzieć, co o tym myśleć.

– Byłoby dobrze, gdyby pani mogła nam w tym pomóc – dodała Ulrike.

– Nic nie pamiętam – powiedziała Molly Hansen. – I nie chcę pamiętać.

– Wątpię, żeby pani nie pamiętała – odparł Van Veeteren. – Na stare lata dni płyną monotonnie i niewiele się dzieje, więc pamiętamy stare dzieje. Chyba się pani ze mną zgodzi?

– Co? – zapytała Molly Hansen, odwróciła głowę i spojrzała na Ulrike. – O czym on mówi?

– Chyba chodzi mu o to, że pani na pewno pamięta tę wrześniewą sobotę, kiedy spłonął pensjonat – wyjaśniła jej Ulrike.

– A, wy znowu o tym? – parsknęła Molly Hansen. – Może i coś pamiętam.

– Doskonale – potwierdził Van Veeteren. – A ma pani coś przeciwko temu, żebyśmy zadali kilka pytań?

– A dlaczego miałabym mieć? – zachnęła się Molly Hansen i spojrzała na Van Veeterena. – Teraz nikt mnie już o nic nie pyta. Tak to jest. Był tu szef policji i trochę rozmawialiśmy, jakiś tydzień temu, dokładnie nie pamiętam.

– A więc jesień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku – kontynuował Van Veeteren niestrudzenie. – Osoby, które wtedy przyjechały do pensjonatu... Czy pani je pamięta?

– A co mam nie pamiętać – odparła Molly Hansen. – Muszę tylko chwilę pomyśleć. To była jedna kobieta i czterech mężczyzn. Nie byli zupełnie obcy,

nawet jeśli ich nie widziałam od... od wielu lat... tak, dokładnie od końca lat sześćdziesiątych.

– Pamięta pani, jak się nazywali?

– To była straszna tragedia – powiedziała Molly Hansen. – I dla nich, i dla mnie. Najbardziej dla mnie.

– Bez wątpienia – wtrąciła Ulrike. – Martwi się nie skarżą... A pani prowadziła ten pensjonat przez tyle lat, prawda?

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego – odparła Molly Hansen. – Trzydzieści osiem lat... a potem nagle wszystko poszło z dymem. Parę lat przed pensjonatem miałam tam dom. Niech to diabli, do dzisiaj nie mogę o tym zapomnieć... Kupiłam go tanio od pewnego Austriaka. Nazywał się Prensler i był nazistą.

– To musiał być straszny szok dla pani – powiedziała Ulrike. – To, co się tam wtedy stało?

– Niech się pani postawi na moim miejscu – odparła Molly i wyciągnęła chustkę do nosa. – Śni mi się to... eee... yyy...

– Tak? – dopytała Ulrike.

– Śni mi się to osiem nocy w tygodniu.

– A nazwiska gości? – zapytał Van Veeteren.

– Ma pan na myśli tych skurwieli – poprawiła go Molly Hansen. – Po co wam one? To przecież ten Maasen-Maasenegger... To on to wszystko zorganizował i ich tak urządził.

– Mamy trochę nowych faktów – zaznaczyła Ulrike.

– Gównu mnie to obchodzi. I tak uważam, że to on. To był skurwysyn, jakich mało. Zgniłe jajo już od małego, nawet mi się nie chce gadać o tym ścierwie. I po co to wszystko, możecie mi, do cholery jasnej, powiedzieć? Po co? Mam co innego do roboty niż siedzieć tu i...

– A pozostali? – przerwał jej Van Veeteren.

Przez chwilę wydawało się, że Molly Hansen zaraz splunie na swoich gości. Kiedy przełknęła ślinę, rozprostowała swoją kościstą dłoń. Rozczapierzyła palce

i siedziała w milczeniu przez kilka sekund, jakby chciała przetrwać to, o czym rozmawiali.

– Kobieta nazywała się Clara coś-tam. Ci trzej mężczyźni... oprócz Maaseneggera... to Blavatsky, Finster i Winckelstroop. Nikt obcy... przecież widziałam, jak dorastali... ciągle kręcili się tu jako nastolatki. I Finster... czy jak mu tam... i Winckelstroop, ale szczególnie ten Maasenegger, ten, co dzwonił, ten sprawca... No... przynajmniej do teraz. Bo tak to się u was nazywa, sprawca, prawda? Mamę Winckelstroopa trochę znałam. Kiedy to się wydarzyło, już nie żyła, zmarła dużo wcześniej... A niech to diabli! Wszystkich nas to czeka.

Molly Hansen wcisnęła się w fotel, jakby ten wywód wysał z niej resztki sił.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła siostra Meijskens z karafką wody i trzema szklankami na tacy.

– Ktoś jeszcze?

Siostra Meijskens zostawiła ich samych. Molly Hansen wypijała dwie szklanki wody, wylewając parę kropli na sukienkę.

– Ktoś jeszcze?

– Czy ktoś jeszcze był wtedy w pensjonacie?

Molly Hansen stanowczo potrząsnęła głową.

– Byłam sama jak palec. Ja, kucharz i dziewczyna do pomocy, kucharz został najdłużej... ale i on wyszedł, tak jak się umówiliśmy. A potem wybuchł pożar, ale to już wiecie... Czy możemy już przestać o tym gadać?

– Jak palec? – zdziwiła się Ulrike.

– To takie powiedzenie – wyjaśniła Molly Hansen.

– Co pani może powiedzieć o Qvintusie Maaseneggerze? – zapytał Van Veeteren.

– O kim?

– O Qvintusie Maaseneggerze – powtórzył Van Veeteren. – Kiedy rozmawialiśmy dwadzieścia lat temu, powiedziała pani, że zachowywał się dziwnie.

– Tak powiedziałam?

– Twierdziła pani, że był gburowaty i że dawał dokładne instrukcje, jak ma być podane jedzenie.

– Pewnie dlatego, że chciał ich otruć... zanim ich podpalił.

– Ale teraz okazuje się, że wcale tak nie musiało być.

– Mógł przecież...

– Tak?

– Mógł przecież ich otruć, podpalić... a potem ktoś zabił jego, prawda? Mówiłam już to szefowi policji... nie pamiętam, jak się nazywa...

– Radovic.

– No właśnie, Radovic. Chociaż jego tu jeszcze nie było, kiedy się to wszystko stało... ale niech będzie. Ten poprzedni nazywał się jakoś inaczej.

– Ludzie różnie się nazywają – odparł Van Veeteren. – Ale pani twierdzi, że to Maasenegger, tak? Że to on podpalił pensjonat i spalił tych ludzi?

Molly Hansen ściągnęła usta w prostą kreskę i spojrzała w sufit.

– Tego nie powiedziałam. A macie lepszy pomysł?

– Na razie nie – przyznał Van Veeteren. – A jaki, pani zdaniem, mógł mieć motyw? Nie przypominam sobie, żebyśmy o tym rozmawiali poprzednim razem.

– Motyw?

– Tak, motyw.

Molly Hansen siedziała przez chwilę w milczeniu ze wzrokiem wbitym w sufit albo w stary, zakurzony żyrandol, który wisiał na środku pokoju i wyglądał, jakby ostatnio był używany ćwierć wieku temu.

– Motyw jak motyw... To był po prostu jakiś wariat – skonstatowała w końcu Molly Hansen. – Zemścił się za coś, co mu zrobili, ale... ja tam nie wiem. Ludzie są, jacy są...

– Ale pani jest pewna, że to on zadzwonił i zarezerwował pensjonat, tak? – zapytała Ulrike.

– A kto inny?

– Dwadzieścia jeden lat temu nie była pani taka pewna.

Molly Hansen spojrzała w okno i udawała, że nie usłyszała pytania.

– Zapomniałem, jak się nazywała ta dziewczyna... – rzekł Van Veeteren. – Ta, która pomagała w pensjonacie.

– Rebecca – odpowiedziała Molly Hansen. – Rebecca Klejne. To była dobra dziewczyna, ale wyszła za mąż, zmieniła nazwisko i ślad po niej zaginął. Zresztą wszystko jedno, i tak nie ma już pensjonatu.

– A kucharz?

Molly Hansen zamyśliła się.

– Hermann – przypomniała sobie. – To było jego nazwisko, ale tak na niego mówiłam. Był chyba Niemcem... Tak, załóżę się, że był Niemcem.

– Długo u pani pracował? – zapytała Ulrike.

– Tylko tamtego lata. To był zdolny kucharz. Ale nie wiem, skąd się u niego wzięło zainteresowanie gotowaniem.

– Co przygotował tamtego wieczoru, pamięta pani?

Van Veeteren odchylił się w fotelu do tyłu i pozwolił, aby pani psycholog policyjna kontynuowała.

– Ragoût – odpowiedziała Molly Hansen. – To była jego specjalność. Coś z krewetkami na przystawkę.

– A deser?

– Co?

– Deser?

– Zdaje się, że lody z jagodami... Robił je przez całe lato i miał spory zapas.

– Ma pani dobrą pamięć.

– O, już nie taką dobrą jak kiedyś, ale co nieco jeszcze pamiętam...

– Rozumiem. Było też pewnie coś do picia, o ile dobrze zrozumiałam, tak?

– No jasne, że było coś do picia – odpowiedziała Molly Hansen z parsknięciem. – Jak tak bez alkoholu?

– A pamięta pani, co pili?

– To, co zwykle. Coś musującego na początek, włoskiego, nie za drogiego... potem białe wino, potem czerwone i coś słodkiego na deser. Mieliśmy spory

zapas alkoholu. I...

– I co?

– Nie przerywaj mi. Koniak i likier do kawy, ma się rozumieć... Sery i więcej wina czekało w kuchni, gdyby chcieli... Boże drogi, wszystko się zmarnowało! Takie nieszczęście... szczególnie dla mnie, ale nikogo to nie obchodzi. Nie chcę już o tym myśleć!

Wyjęła chustkę i wysmarkała nos. Ulrike wymieniła spojrzenie z Van Veeterenem, który dyskretnie kiwnął do niej głową.

– Czy Qvintus Maasenegger powiedział pani, dlaczego mieli się spotkać? Kiedy dzwonił i robił rezerwację albo może już na miejscu?

Molly Hansen zastanawiała się przez chwilę. Albo po prostu wpatrywała się w żyrandol na suficie. A może próbowała odkopać w pamięci jakieś nowe przekleństwa. Skurczyła się, a jej twarz przybrała jeszcze bardziej nieregularny kształt.

– To cholerne spotkanie... – powiedziała w końcu. – W latach sześćdziesiątych założyli jakieś stowarzyszenie... jak byli jeszcze dziećmi. Wszyscy musieli być leworęczni. Ale przecież nie trzeba zaraz za to umierać... Co poradzić, że się jest mańkutom? Nie, już dosyć, zostawcie mnie w spokoju, nie mam już siły o tym myśleć...

I nagle Molly zaczęła płakać. To był suchy, konwulsyjny płacz. Głowa opadła jej na klatkę piersiową, a jej dłonie nerwowo szarpały chustkę do nosa leżącą na kolanach.

Też sędzę, że już wystarczy, pomyślał Van Veeteren. Co my robimy? Co chcemy tym osiągnąć?

Ulrike pochyliła się do przodu i położyła rękę na kolanach Molly Hansen. Tak samo jak pół godziny wcześniej, kiedy położyła rękę na jego kolanach. To porównanie przywołało w nim jakieś nieprzyjemne odczucie. Czas już się stąd wynosić, pomyślał. Nad morze. Na świeże powietrze, do wody. Natychmiast!

W tym samym momencie, jakby podsłuchiwała i czytała w jego myślach, siostra Meijskens otworzyła drzwi i powiedziała, że panna Hansen musi się

położyć i odpocząć.

– Co za smutna osoba. Jeśli będę taka sama jak ona, utop mnie w wannie. Obiecay mi to.

– Nie mamy wanny. O czym rozmawiałaś z siostrą Meijskens?

Ulrike zwlekała chwilę z odpowiedzią, podczas gdy Van Veeteren siedział w samochodzie, obserwując dozorcę i coraz większy płonący stos.

– O niczym szczególnym – odparła Ulrike i opuściła szybę samochodu. – Wymieniłyśmy grzeczności i pomówiłyśmy trochę ogólnie o jej stanie.

– O stanie Molly Hansen?

– A o czym?

– Rozumiem. A więc to na tym polega praca psychologa policyjnego, tak?

– Właśnie tak – odpowiedziała Ulrike. – Tej biedaczce zostały tylko dwa rodzaje emocji. Jest albo wściekła, co jest najczęstsze, albo płacze. Co za beznadziejne życie... Chyba nigdy nie jest za późno na to, żeby sprawić sobie wannę, zgodzisz się ze mną? Ale najpierw zjemy lunch gdzieś nad morzem.

– Dwa kieliszki rieslinga postawią mnie na nogi – powiedział Van Veeteren. – Nie rozumiem, dlaczego cię tam ciągnąłem... i siebie też.

– Nie chodzi o to, żebyśmy wszystko rozumieli – odparła Ulrike Fremdli. – Pamiętasz, co mówiłeś wczoraj? Prawdy z czasem ulegają zmianie?

– To był cytat – wymamrotał Van Veeteren i wyjechał z bramy, która otworzyła się za pomocą jakiegoś tajemniczego mechanizmu. Zapewne tego samego, za pomocą którego zostali tu wpuszczeni, najprawdopodobniej pilota ukrytego w przepastnej kieszeni krępego dozorczy. – Nigdy nie twierdziłem, że wiem, co to znaczy.

– Już dobrze, dobrze – powiedziała Ulrike.

1968–1969, Oosterby i okolice

– Jim Morrison? – powiedziała Birgitte Behrens. – Nie, chyba nie.

– Trochę więcej włosów – odparła Clara. – Takie same usta i takie same oczy. Przekonasz się, jak się spotkamy następnym razem.

– Sypiacie już ze sobą?

– A jakie to ma znaczenie?

Birgitte pomyślała, że to bardzo typowe dla ich rozmowy. Clara rzuciła jakieś stwierdzenie, ona coś jej odpowiedziała, w każdym razie nie zgodziła się z nią, i rozmowa się skończyła. W tym konkretnym przypadku nawet nie wiedziała, co siostra miała na myśli. Prawdopodobnie nie spała z Zinkiem, ale podobała jej się myśl, że inni tak uważają. Zostawiła pytanie zawieszony w kuszącej i nieco ryzykownej niewiedzy.

Z drugiej strony, pomyślała Birgitte, zaatakowałam ją tym pytaniem. Poza tym wcale nie chciałam ciągnąć tej rozmowy.

W zasadzie jakiej w ogóle rozmowy? Clara tylko stwierdziła, że Zink jest podobny do solisty The Doors i to wszystko. Jeśli nie ma lepszego tematu do rozmowy, to lepiej się zamknąć i nic nie mówić.

Między siostrami coś się działo. I to już od roku, kiedy Birgitte głębiej się nad tym zastanowiła. A może dużo dłużej. Ale widocznie tak musi być, szczególnie między bliźniaczkami. Nie tylko od rodziców trzeba się oddzielić, od rodzeństwa też, zwłaszcza od tego, z którym się gnieźdzymy już w macicy. Zwłaszcza od Clary.

A jednak to intensywne uczucie bliskości zostaje – różnica polega tylko na tym, że raz się pojawia, raz znika. Kiedy napotykała wzrok Clary, wciąż miała to przyprawiające o zawrót głowy uczucie, jakby widziała siebie w lustrze – i to nie tylko twarz, ale również to, co jest w środku. Myśli, uczucia, własne ja. I nie potrzeba było do tego słów, wiedziała bowiem, że osoba w lustrze doświadcza tego samego co ona. Po prostu wiedziała. Jakby życie i cały świat wstrzymały na chwilę oddech, żeby się nad tym zastanowić. Tak, na pewno tak jest, tak jest z nami. Ja i Clara, Birgitte i ja. Oznacza to jednocześnie poczucie bezpieczeństwa, ale i pewne ograniczenie. Coś, co chcemy zachować i czego zarazem chcemy się pozbyć, coś, co przyprawia... o zawrót głowy?

Ale te intensywne spojrzenia nie spotykały się już tak często, biegły w innych kierunkach. W niektórych momentach czuło się je wręcz jako przeciwieństwa. Jej siostra wydawała się osobą, o której ona nic nie wie. Jest obca w takim samym stopniu, jak obcy są nam inni ludzie.

„Może jestem na drodze do jakiegoś szaleństwa”, pisała Birgitte w swoim pamiętniku. „A może jest to naturalny krok w moim stawaniu się kobietą. Dorosłą, niezależną jednostką wkraczającą w życie, z rozumem i uczuciami w odpowiednich proporcjach. Szaleństwo, miejmy nadzieję, to coś zupełnie innego”.

Nie zawsze łatwo znaleźć właściwą perspektywę, jeśli chodzi o własne życie. Ale była przynajmniej zadowolona ze sformułowania o rozumie i uczuciach...

Co do jednego zaś miała pewność: ten pieprzony Zink wcale nie przypominał Jima Morrisona. Niezależnie od tego, ile by mu się włosów przyczepiło.

Opieka nad dziećmi Kettenerów przebiegała zgodnie z planem przez całą jesień – pracę podzieliły równo na dwie części. Ponieważ zajęcie nie było w najmniejszym stopniu obciążające ani dla Clary, ani dla Birgitte, nigdy nie było konfliktów o godziny czy płacę. Boris Kettener płacił gotówką pod koniec każdego miesiąca i jeśli trzeba było coś zaokrąglić, to zawsze zaokrąglał w górę. Obie siostry były zgodne co do tego, że trudno sobie wyobrazić lepszy sposób na zarabianie pieniędzy, kiedy się jest w ostatniej klasie liceum.

Owszem, był jeszcze jeden sposób, ale objawił się dopiero pod koniec stycznia i dotyczył tylko jednej z sióstr.

Ludvig Kettener był, jaki był. Wszystko odbywało się zgodnie z rutyną. Jeśli tylko każda rzecz była na swoim miejscu; jeśli jedzenie podane było w taki sam sposób jak zawsze, widelec i nóż po prawej stronie talerza, szklanka z wodą po lewej stronie; jeśli nikt nie przekładał jego ubrań i go nie atakował pytaniami czy nieoczekiwanymi stwierdzeniami – funkcjonował w zgodzie i zadowoleniu. Chodził do szkoły specjalnej w Werdingen i codziennie był dowożony i odwożony samochodem przez kierowcę. Pojedyncze razy jeździł z mamą Louise albo tatą Borisem, ale najczęściej wprawiało go to w niepokój i trochę stresowało, ponieważ żadne z rodziców najwyraźniej nie rozumiało znaczenia wyjścia punktualnie, co do sekundy.

W domu, poza posiłkami, większość czasu spędzał w swoim pokoju. O ile Birgitte dobrze się orientowała, pracował nad większym projektem dotyczącym spisu wszystkich fabryk rowerów w Europie, a może nawet i na całym świecie. Miał mnóstwo grubych katalogów ustawionych w rzędzie na biurku i na półce nad łóżkiem. W równych odstępach czasu przychodziły paczki z nowymi katalogami, które zamawiał z różnych bibliotek i księgarni. Sama praca polegała na tym, że z różnych źródeł przepisywał informacje do dwóch grubych zeszytów. Oba były czarne i zawsze, kiedy nie było go w domu, leżały jeden na drugim, w tym samym miejscu, na środku biurka. Trzy dobrze zaostrzone ołówki niezmiennie po prawej stronie. I jedna niebieska gumka.

Oprócz tego interesowała go matematyka, szczególnie geometria euklidesowa, w której to dziedzinie, jak wynikało z raportów szkolnych, przejawiał niezwykle zdolności. Nikt nigdy nie twierdził, że z inteligencją Ludviga było coś nie tak.

Jedynym, co akceptował podczas pracy – i to tylko w nieznacznym stopniu – były wizyty jego młodszej siostry. Madeleine zawsze mogła przyjść i przytulić się do swojego o cztery lata starszego brata, który w innych przypadkach unikał

kontakty fizycznego. Kiedy jednak siostrzyczka ze śmiechem rzucała mu się na szyję, pękała w nim cała skorupa. Obejmował ją, tulił, a czasami, jeśli Birgitte dobrze zauważyła, trzymał ją w ramionach nawet chwilę dłużej.

I jeśli zdarzało jej się być świadkiem tej nagłej siostrzano-braterskiej bliskości – nie więcej niż trzy, cztery razy w ciągu jesieni – za każdym razem w niej też się coś otwierało i była bliska płaczu.

„Czy tak właśnie wygląda życie?” – pisała w swoim dzienniku. „Czy chwile całkowitego szczęścia są a) krótkie, b) nieoczekiwane c) intensywne?”

Był okres, szczególnie pewnej wietrznej i zimnej jesieni i jeszcze zimniejszej zimy, że Birgitte Behrens chętnie obcowała sama ze sobą i swoimi przemyśleniami w pamiętniku. Niełatwo było stwierdzić, czy to dlatego, że oddaliły się od siebie z Clarą, czy też z innego powodu. Ale w sumie nie miało to żadnego znaczenia. Najważniejsze było to, że mogła się do kogoś zwrócić. Nawet jeśli tym kimś była ona sama.

Spędzanie czasu na Szykownym Wzgórzu w Willi Valentino, w eleganckim i pełnym spokoju domu Kettenerów, sprawiało, że czuła się wyróżniona. Czasami Birgitte zastanawiała się nawet, czy powinna brać pieniądze. Chodziła tam chociażby po to, żeby wyjść z domu. Bo jej dom był tonącym statkiem. Kiedy się tam wprowadzali, podwórko obsadzone topolami było usłaną różami, lecz kruchą obietnicą. Siostry miały po dziesięć lat, mama wciąż jeszcze była zakochana w Reinie, a Rein był dopiero w początkowym stadium swojego alkoholizmu. Ale Birgitte miała dosyć pisania w pamiętniku o wszystkich niesnaskach, kłótniach i sprzeczkach. I tak zamierzała wyprowadzić się z domu, gdy tylko skończy liceum. Potem na kozetkach u psychoanalityków przepracowywała ciągle zmiany nastrojów u matki oraz przynoszące zawód i rozczarowanie zachowanie ojca. Przynajmniej na tyle, na ile było jej to potrzebne. Kiedy jest się nastolatkiem, liczy się tylko własne życie.

To proste. A nawet może za proste.

Zbyt naiwne?

Nie, kurwa!

Czy w takim razie jej obraz Borisa i Louise Kettenerów też był naiwny? Czy to możliwe, że było im ze sobą tak dobrze, choć byli już dojrzałi i mieli dzieci? Czy w tym szczodrym uśmiechu sławnego producenta filmowego nie skrywał się jakiś mrok? Dlaczego jego żona wychodziła na tak długie, samotne spacerunki nad morze, niezależnie od tego, czy świeciło słońce, czy padał deszcz? Czy ich pełne miłości odnośenie się do siebie nie było tylko fałszywą grą? Szczęśliwym małżeństwem na pokaz?

Właściwie to nie było żadnych pytań, które Birgitte by sobie szczerze stawiała. Były tylko zapiski w pamiętniku, bo kiedy się pisze pamiętnik, chętnie się wszystko analizuje, żeby chociaż sobie pokazać, że umie się kwestionować. Nic nie było takie, na jakie wyglądało, i wielu jej kuzynów ze wsi tego doświadczyło.

Śmiała się z tych zgrabnie sformułowanych myśli, które tak ładnie razem pasowały. Przypuszczalnie gdzieś przeczytanych i przywłaszczonych sobie, a może jednak stworzonych w jej własnej głowie.

Kiedy tak leżała, czytając trzem misiom i jednej zasłuchanej dziesięcioletniej dziewczynce książki o Narnii, nie miała żadnych wątpliwości, że świat, przynajmniej w niektórych miejscach i w niektórych sytuacjach, nie mógłby być lepiej urządzony.

Co za wspaniały dzieciak, myślała sobie, leżąc jeszcze przez chwilę w łóżku, dopóki ten wspaniały dzieciak nie zasnął. Żeby tylko nie spotkała go żadna krzywda. Przenigdy.

Ale krzywda przyszła.

Dwudziesty szósty stycznia 1969 roku był zwykłą, monotonną niedzielą. Aż do godziny czwartej po południu. Typowo zimowa pogoda, przynajmniej pięć stopni mrozu i niewielkie przelotne opady śniegu. Boris i Louise Kettenerowie wyjechali na weekend i mieli wrócić w niedzielę około siódmej wieczorem. Taka była umowa, a siostry z różnych powodów podzieliły się opieką. Birgitte przypadła opieka w sobotę, a Clarze od soboty wieczór przez noc aż do trzeciej

po południu w niedzielę, kiedy to dzieci miała znów przejąć Birgitte i zostać w Willi Valentino aż do powrotu rodziców z Maardam. Chodziło o spotkanie z jakimś reżyserem czy aktorem, szczegółów siostry nie znały.

Birgitte pojawiła się w Willi tuż po trzeciej. Ludvig był sam w domu, na stole w kuchni leżała karteczka z informacją, że Clara i Madeleine są na łyżwach koło szkoły i że będą z powrotem właśnie około trzeciej. To nic niezwykłego, że Ludvig zostawał sam w domu, chodziło tylko o kilka godzin i działo się to zawsze za zgodą rodziców. Nawet jeśli był, jaki był, to przecież wkrótce miał skończyć czternaście lat.

Birgitte powiedziała cześć Ludvigowi, który siedział w swoim pokoju i zajmował się rowerami albo geometrią. Zapytała, czy chce herbaty i kanapkę, ale jak zwykle podziękował. Więc Birgitte zrobiła dla siebie kubek herbaty i usiadła w kuchni przy stole ze swoimi książkami do matematyki, czekając na powrót łyżwiarek. Czekał ją duży sprawdzian z sinusów i cosinusów, więc musiała je powtórzyć. Zastanawiała się, czy Ludvig coś z tego rozumie, choć i tak wiedziała, że nie poprosi go o pomoc.

Piętnaście po trzeciej łyżwiarek jeszcze nie było w domu, o wpół do czwartej też nie. Birgitte wiedziała, że siostra ma jakąś randkę o czwartej, więc trochę się zdziwiła, że jeszcze nie wróciły. Jednak nie czuła niepokoju. Ku swojemu zdziwieniu skonstatowała to dopiero potem, kiedy myślała o wszystkim, co się wydarzyło. Dlaczego miałyby im się coś stać? Była zwyczajna styczniowa niedziela, kiedy całe Oosterby, jak zapewne i reszta świata, siedziało w domu albo ucinając sobie drzemkę po pracowitej sobocie. Ludvig Kettener sporządzał inwentaryzację rowerów w swoim pokoju. Birgitte Behrens, w kuchni w tym samym domu, próbowała zrozumieć funkcje trygonometryczne z ciągle taką samą nudą odmalowaną na twarzy. Jej siostra i mąż Madeleine wciąż były na lodowisku w Oosterby i trochę się spóźniały. Dlaczego miałyby się nie spóźnić? Madeleine bardzo lubiła jeździć na łyżwach, dostała nowe łyżwy na gwiazdkę i pewnie udało jej się namówić Clarę, żeby zostały parę minut dłużej, by poćwiczyć jakiś trudny piruet czy inną beznadziejną ósemkę... Nie, nie było

powodu do niepokoju. Bo tak to już jest, że kiedy to najstraszniejsze puka do drzwi, lubi to robić tam, gdzie w środku siedzi osoba zupełnie na to nieprzygotowana i całkiem bezbronna. Mniej więcej tak Birgitte napisała w swoim pamiętniku trzy dni później, bo tyle potrzebowała, żeby się pozbierać i żeby słowa znów pojawiły się w jej głowie.

Zaczęło się już porządnie ściemniać i duży zegar nad kominkiem pokazał kilka minut po czwartej, kiedy Clara wbiegła do domu i osunęła się na podłogę w korytarzu.

Październik 2012, Oosterby i okolice

– Przyszła mi do głowy jedna rzecz.

Ulrike znów zamknęła książkę. Śniadanie w Kaarshuis. Byli prawie sami w jadalni, przy oknie siedziało tylko jedno młode małżeństwo z psem. Gęsty deszcz zacinający od morza, kilka dni do siedemdziesiątych piątych urodzin.

Van Veeteren uniósł wzrok znad gazety, lokalnego dziennika „Neuwe Journaal”, szesnastostronicowego, z czego siedemdziesiąt procent stanowiły ogłoszenia.

– Mhm?

– Nie zapytasz, o czym pomyślałam?

– O czym pomyślałaś?

– Że potrzebujesz coacha.

Van Veeteren upuścił pół jajka na kolana.

– Co ty powiedziałaś?

– Powiedziałam, że wydaje mi się, że potrzebujesz coacha. Czy jak to tam zwał...

Van Veeteren złapał jajko widelcem i położył na talerzu. Patrzył na swoją żonę przez kilka sekund i zastanawiał się, czy się nie przesłyszał. Ale przecież powtórzyła to dwa razy.

– Jeśli masz na myśli autobus czy stary pojazd – powiedział – to nie rozumiem, o co ci chodzi. Ale jeśli myślisz o czymś w rodzaju trenera... tak... to obawiam się, że też nie rozumiem. A właściwie to jak ty się czujesz? Żle spałaś?

Ulrike się uśmiechnęła.

– Myślę o twoim udawanym braku zainteresowania.

– Moim udawanym czym...?

– Właśnie tak. Braku zainteresowania sprawą, nad którą pracujemy.

– Nie pracujemy nad żadną sprawą.

– Naprawdę? Więc co w takim razie robimy? Przyjeżdżamy tutaj z teczką pełną przesłuchań i notatek. Rozmawiamy z obecnym szefem policji. Pół dnia spędzamy w Jesiennym Słońcu, gdzie z właścicielki spalonego dwadzieścia lat temu pensjonatu próbujemy wycisnąć stare wspomnienia. I tak dalej, i tak dalej...

– Dobrze, już dobrze – powiedział Van Veeteren. – Ale co to ma wspólnego z autobusem czy jakimś tam trenerem?

– Kierowca bardziej ci pasuje? – zaproponowała Ulrike. – Odpuść ten autobus, bo to zły trop. Chodzi o osobę z odrobiną inicjatywy, która tobą pokieruje, zainteresuje cię na tyle, żebyś mógł się zaangażować wbrew własnej... niechęci.

– No to nieźle – odparł Van Veeteren.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Mowa obronna byłaby bardziej na miejscu. Chcesz się dowiedzieć, co się stało w pensjonacie U Molly dwadzieścia lat temu, czy nie?

Co za kobieta, pomyślał Van Veeteren. Przejrzy człowieka na wskroś, nawet taktyki, jakich człowiek używa, rozgryzie. Siedział w milczeniu i patrzył w morze, próbując zdusić uśmiech. Chciał wyglądać, jakby się nad czymś zastanawiał. Na parapecie usiadł czarny ptak nieznanego mu gatunku. Łypnął na Van Veeterena swoim żółtym okiem, zamrugnął i odfrunął.

– Imperatyw kategoriyczny – powiedział w końcu.

– Kant? – zapytała Ulrike i spojrzała na niego sceptycznie.

– Albo Luter – odpowiedział Van Veeteren, a jego wzrok przykuło duże ogłoszenie nowego zakładu pogrzebowego „Zejdź z tego świata u Herzingera i synów!”. – Właściwie mówią to samo, tylko że Luter użył innych słów.

– Naprawdę?

– On nazywa to sumieniem. Chodzi o to, że każdy ma swój wewnętrzny głos, który mówi mu, co jest dobre, a co złe, i niech mnie diabli, ale nie da się go wyłączyć. Jedyne, co możemy zrobić, jeśli chcemy z nim walczyć, to iść nieco pod prąd. A nie leżeć brzuchem do góry i udawać, że jesteśmy zmęczeni... Rozumiesz?

– Oczywiście. A to oznacza, że? Tak ściślej mówiąc...

Van Veeteren wypił łyk herbaty i spojrzał ukradkiem na Ulrike. Próbował znów odgadnąć wyraz jej twarzy, ale wyglądała jak sfinks. Niezwykle piękny sfinks. Van Veeteren westchnął i kontynuował:

– To oznacza... że robisz wszystko, by posunąć to trochę do przodu, żebym ja mógł siedzieć i się mądrzyć. Nie to chciałaś powiedzieć? I nie myśl, że przejrzałaś reguły gry. Absolutnie nie. Mój wewnętrzny Luter mówi mi, że jeśli nie chcę się najeść wstydu w czasie, jaki mi jeszcze pozostał, to powinienem wrócić do tej sprawy.

– Sprawy?

– Ktoś nie tak dawno użył już tego sformułowania i wydaje mi się, że to był mój... coach, czyż nie?

Sfinks odchylił się do tyłu i popatrzył na niego znad okularów.

– Okej. Wszystko zrozumiałam i zdążyłam już zapomnieć. Gotowy na następne pytanie?

– Jeśli nalegasz – wymamrotał Van Veeteren.

Ulrike uśmiechnęła się i zamyśliła na moment.

– Spotkałeś tę siostrę, kiedy tu byłeś poprzednio?

– Kogo?

– Birgitte Behrens. Czytałam protokół z jej przesłuchania, ale był podpisany przez kogoś innego...

– Münster uczestniczył w tym przesłuchaniu, o ile dobrze pamiętam – odpowiedział Van Veeteren. – Ja nie. Dlaczego pytasz?

– Bo wydaje mi się, że ona też należała do tej paczki – odparła Ulrike. – Też była zaproszona, ale nie mogła przyjechać. Tak przynajmniej twierdziła.

– Münster z nią rozmawiał – rzekł Van Veeteren. – Razem z inspektorem o nazwisku Zeebold czy coś w tym rodzaju. To jego podpis powinien być pod przesłuchaniem.

– Zeebold – poprawiła go Ulrike. – Reszta się zgadza. Przesłuchanie podpisane jest jego nazwiskiem. Miało miejsce piątego października, siedem dni po całym zdarzeniu, w Lemborku, ale nie wiem, gdzie to leży.

– W pobliżu Sorbinowa – odpowiedział Van Veeteren. – Już wtedy tam mieszkała. Zdaje się, że przeprowadziła się tuż przed tym wszystkim. Ale właściwie dlaczego interesuje cię Birgitte Behrens?

Ulrike wzruszyła ramionami.

– Chyba dlatego, że ona jedna przeżyła. Nie przeżył nikt, kto mógłby opowiedzieć o tym cholernym spotkaniu... Czy tym pieprzonym Stowarzyszeniu. Birgitte Behrens mogła być jedną z ofiar, gdyby... tak, gdyby tam pojechała. Czy się mylę?

Van Veeteren zastanowił się chwilę.

– Zdaje się, że nie trzymała z nimi tak jak inni.

– Tak powiedziała na przesłuchaniu.

– W jaki sposób została zaproszona?

– Telefonicznie przez Maaseneggera.

– Czy jest choć jeden powód, żeby w to wątpić?

– Chyba nie. Ale to mógł być też ktoś, kto podawał się za Maaseneggera.

W każdym razie dobrze by było, gdybyśmy znów z nią porozmawiali.

Van Veeteren kiwał, a zarazem potrząsał głową.

– Rozmawiałem o niej z Radovicem. Teraz mieszka gdzieś w Szwecji.

– W Szwecji?

– Tak. Według Radovica spędziła parę miesięcy po pożarze w szpitalu psychiatrycznym. A może więcej... rok czy coś w tym rodzaju. Chyba w tym Sorbinowie. Bardzo przeżyła stratę siostry.

– Na pewno – powiedziała Ulrike, przygryzając wargę. – Ale jest w tym protokole jedna rzecz, która nie daje mi spokoju.

– Jaka?

– Możemy jeszcze spojrzeć, jak wrócimy do pokoju, ale jeśli dobrze pamiętam, Zeebald pytał ją o siostrę, czy były sobie bliskie... W końcu to bliźniaczki, w dodatku jednojajowe. Birgitte odpowiedziała, że zawsze kochała siostrę bardziej niż siebie i że byłoby lepiej, gdyby to ona wtedy zginęła.

Van Veeteren zmarszczył czoło.

– Akurat tego nie pamiętam. Ale co konkretnie cię tu niepokoi? To oczywiście bardzo... jak to powiedzieć?... bardzo emocjonalne stwierdzenie. Ale zważywszy na okoliczności, wcale nie takie znów dziwne.

– Ale powiedziała coś jeszcze – rzekła Ulrike. – To chyba jakieś powiedzenie, a raczej przysłowie... może cytat... Nie wiem, skąd to wzięła.

– Co to takiego?

– Powiedziała: „Kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno”.

– „Kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno”?

– Tak. Przyznaj, że to dość dziwne powiedzieć coś takiego w tych okolicznościach.

Van Veeteren siedział w milczeniu. Coś się zaczęło dziać w jego głowie, synapsy w jego mózgu próbowały nawiązać ze sobą kontakt. Zdziwiło go, że można być tak świadomym tego procesu, nie mając jednocześnie pojęcia, jakie zawiera treści. Najprawdopodobniej miało to związek z tym powiedzeniem... Van Veeteren miał wrażenie, że je rozpoznaje. Człowiek zamyka drzwi, a Bóg otwiera okno... Być może miało to również związek z czymś innym w tym najlepszym ze światów... z czymś innym... czymś, co było rozwiązaniem rebusu. I im bardziej próbował – w dużym stopniu wbrew własnej woli –

poukładać sobie to wszystko w głowie, tym bardziej mu to umykało. Cały tego sens, całe znaczenie... Ostatecznie ten cenny kamyk poszedł na dno zamulonej studni. I Van Veeteren zrozumiał, że... że cała wiedza, cała mądrość, jaką zdobył przez swoje długie życie, czasami może działać jak proszek nasenny.

– O czym rozmyślasz? – zapytała Ulrike. – Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zemdleć?

– Próbuję rozwiązać rebus – odparł Van Veeteren. – Ale coś mi nie idzie.

– Przykro mi – powiedziała Ulrike. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie sądzę – odparł Van Veeteren. – To nie ten rodzaj rebusu... Ale może powinniśmy wrócić do pokoju i rzucić okiem na to przesłuchanie? Jeśli oczywiście już skończyłaś śniadanie.

– Herbatę wezmę ze sobą – powiedziała Ulrike.

Okazało się, że sfinks z aspiracjami coacha zna każdy szczegół sprawy.

ZEEBALD: Zakładam, że byliście bardzo blisko, ty i twoja siostra?

BIRGITTE B: Tak.

ZEEBALD: Dlatego, że byliście bliźniaczkami jednojajowymi...?

BIRGITTE B: Clara była więcej niż siostrą. Była częścią mnie.

ZEEBALD: Możesz to rozwinąć?

BIRGITTE B: Kochałam ją. Zawsze ją kochałam. Byłoby lepiej, gdybym to ja tam była i zginęła.

ZEEBALD: Rozumiem, że możesz tak czuć.

BIRGITTE B: Kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno.

ZEEBALD: Nie bardzo rozumiem?

BIRGITTE B: Przepraszam, po prostu tak mi to przyszło do głowy. Nie czuję się zupełnie dobrze.

ZEEBALD: Kiedy po raz ostatni miałaś kontakt z siostrą?

I tak dalej. Birgitte Behrens powiedziała, że ostatni raz rozmawiały przed południem tamtej tragicznej soboty. Clara zadzwoniła z hotelu Carmen w Oosterby, gdzie nocowała. Przyjechała już w piątek. Chciała skorzystać z okazji i odwiedzić miejsca, w których się wychowała i w których żadna z nich nie była od dwudziestu lat, odkąd opuściły Oosterby. Van Veeteren rzucił okiem na pozostałą część przesłuchania, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Birgitte Behrens nie miała dzieci, jak wynikało z protokołu, była wcześniej zamężna, ale we wrześniu 1991 roku pozostawała singielką. Przeniosła się właśnie do Sorbinowa, jak już wspominał. Jej siostra Clara w chwili śmierci była zamężna i miała pięcioletniego syna. Miejsce zamieszkania to Aarlach, gdzie wcześniej pracowała jako pielęgniarka, choć potem była bezrobotna albo na zwolnieniu lekarskim. Powiedzenie Birgitte Behrens o zamkniętych drzwiach i otwartym oknie więcej się już nie pojawiło i nie zostało wyjaśnione.

– I co ty na to? – zapytała Ulrike, kiedy Van Veeteren zamknął teczkę.

– Że potrzebujemy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza – odpowiedział. – Zdaje się, że przestało padać.

Dotarli na plażę. Szli na wschód, pod wiatr, kiedy Ulrike wpadła na pewien pomysł.

– Co ty na to, żebyśmy dzisiaj wieczorem zjedli kolację w towarzystwie kilku osób?

Van Veeteren zatrzymał się i zapytał, co ona kombinuje.

Ulrike złapała go pod ramię i wydawało się, że chce być przekonująca. Tak, dokładnie tak. To było przekonujące włożenie ręki pod ramię.

– Chcę, żebyś posłuchał swojego kategorycznego imperatywu i się zgodził.

– Na co, jeśli mogę wiedzieć?

– Właśnie na to. Zaprosimy na kolację dwóch szefów policji, tego starego i tego nowego, do... hotelu Żaglowiec w Oosterby na przykład. Tamtejsza restauracja ma niezłą opinię. Nie uważasz, że spodoba im się ten pomysł? A dla nas to świetna okazja, żeby sobie wszystko uporządkować?

– Na pewno są zajęci – powiedział Van Veeteren.

– Wybadam sprawę. Jeśli tak, to umówimy się na inny dzień. Mamy jeszcze cały tydzień.

– Nie chcę świętować mojej starości z glinami przy stole.

– Oczywiście, że nie – zapewniła go Ulrike. – Tego wieczoru będziesz tylko ty i twój coach.

Van Veeteren znów zaczął iść.

– Moje życie leży w twoich rękach – powiedział. – Chodźmy już, bo słyszę, jak Kant i Luter krzyczą w mojej pustej głowie!

– Z każdym dniem jesteś coraz większym dyplomatą – skostatowała jego przewodniczka życiowa.

Wrzesień 1991, Oosterby i okolice

Kuno Blavatsky dojechał do Oosterby o drugiej. Pomyślał, że zje lunch, a potem przejedzie się do swojego starego liceum w Werdingen. Tymczasem ciężkie chmury deszczowe i wewnętrzny opór powstrzymały go i od jednego, i od drugiego. Zrezygnował z lunchu i pojechał do fortecy. Wyglądała na zupełnie opuszczoną, ale może dlatego, że była sobota. Ten ponury budynek przypominał odczłowieczony i budzący strach szpital psychiatryczny, który parę tygodni temu widział z Minną w telewizji. Przez głowę przepłynął mu obłok wspomnień, mniej lub bardziej nieprzyjemnych. Pomyślał sobie, że jeśli istnieje coś, czego nie chciałby powtórzyć, to pierwsze dwadzieścia lat życia. I nie był to pierwszy raz, kiedy o tym myślał.

Ale towarzyszyło mu jeszcze inne odczucie, a raczej coś na kształt... podstawowego akordu. Nosił go ciągle w sobie, często nawet tego nie zauważając, przychodziły jednak momenty, że w jego świadomości stawał się przerażająco słyszalny. „Wiedzie ci się lepiej, niż na to zasługujesz”, brzmiał akord. „Dużo lepiej. Ale pamiętaj, że nic nie jest dane na zawsze”.

Trudno się z tym nie zgodzić. Na przykład trafiła mu się dobra i kochająca żona, miał dwoje udanych dzieci i wspaniałą pracę. Tak, zważywszy na jego marność i ogólny brak charakteru, łatwo potraktować jego dorosłe życie jako dar, prezent z góry. Ale pewnego dnia, w najbliższej albo w odległej przyszłości, będzie musiał za to zapłacić. Tak to już jest. Tak interpretował ten akord. Podobnie było z niektórymi przemyśleniami: kiedy tylko zostały sformułowane w precyzyjny sposób, ignorowanie ich byłoby fałszem.

Będzie musiał zapłacić. Ta myśl ciągle się pojawiała; czasami można było ją wyśmiać, odsunąć i trzymać na dystans, ale w niektóre trudne do zniesienia dni nie mógł się jej pozbyć. Wgryzała się głęboko jak kleszcz.

Wina. Kara. Pokuta.

I ta ponura wrześnieowa sobota w środku jego czterdziestego trzeciego roku życia była bez wątpienia takim właśnie dniem.

Kupił hamburgera w nowej budce tuż przy wjeździe do Oosterby. A może wcale nie była taka nowa? W każdym razie nie było jej tu dwadzieścia lat temu. Gdy siedział w samochodzie i przeżuwał, próbował trzymać myśli daleko od tamtych czasów, próbował je skierować na swoją rodzinę. Na Minnę, Martina i Helly. Czy oni rozumieją, ile dla niego znaczą? Czy zdają sobie sprawę... czy Minna zdaje sobie sprawę, jak są mu niezbędni? Jak bardzo ich kocha i jak bezbronny byłby w życiu, gdyby ich nie miał? Oczywiście, to Minna była tym centrum, stałym punktem odniesienia, skałą, która nigdy nie pęka, ale z czasem jego dorosłe dzieci też będą pełnić tę funkcję. Albo podobną, kiedy on się już zestarzeje. Mogą być jego radością na starość. A jednak było to tylko pobożne życzenie, kruchutkie, powodem tej kruchości było zaś jego marne zakotwiczenie. Nie przynależać, nie zasłużyć – nie potrzeba żadnych psychologów, żeby postawić diagnozę. Wprawdzie tata Isidor był obecny przez osiemnaście lat jego życia, dzień w dzień, ale kiedy umarł, Kuno już po tygodniu zauważył, że puste miejsce po nim zaczyna się zamykać i znika. Jak ślad stopy na mokrym piasku, jak akwarela na deszczu (sformułowanie, które właśnie wtedy przeczytał w powieści Raya Bradbury’ego) – to smutna konstatacja, ale tak było. Separacja od macochy Disabelle była równie nieskomplikowana. Jak wycięcie kurczajki, tylko tyle.

Bezpieczne przystanie w życiu Kuna Blavatskyego pojawiły się później. Nie znał ich, dopłynął do nich przez przypadek w akcie łaski. „Przystanie łaski” (też Bradbury?). Dlatego zatrzymał się w nich na stałe i z miłością, jakby... jakby... nie bardzo wiedział, jak to przekazać... Pozostaje więc tylko nadzieja, że to

rozumieją. Minna i dzieci. Za dziesięć, piętnaście lat Martin i Helly będą dorośli i niezależnie od tego, co się wydarzy, zawsze będą obecni w jego życiu. Być może to jest ta łaska. Czy się starzeję? Sam siebie pytał. Starzeję się i robię sentymentalny? Wierzący? A to niedaleka droga do łez – czuł to aż nadto wyraźnie. Ale był już dobrze po czterdziestce. Z dużą dozą prawdopodobieństwa została mu jeszcze mniej niż połowa życia i z tą myślą, tej wrześnie soboty 1991 roku, kiedy siedział tak na przednim siedzeniu swojego nowego audi i jadł śmieciowe żarcie, czuł się... dziwnie obcy.

Tak, „obcy” to dobre słowo. Ta stacja benzynowa z budką z hamburgerami nie stała tu w latach sześćdziesiątych. Nie poznawał nawet najbliższego otoczenia, szaro-czerwonego rzędu bliźniaków po drugiej stronie ulicy, brzydkiego budynku nieco dalej, który wyglądał na garaż dla autobusów. Równie dobrze mógł się znaleźć w zupełnie innym mieście w innej części świata. W nieznanym miejscu w nieznanym kraju. A może ludzie na wszystkich stacjach benzynowych są obcy?

Być może dorosły zawsze czuje się obcy w krajobrazie swojego dzieciństwa...

Nie dojechał jeszcze do zabudowań. Kiedy zjadł tego lekko przypalonego hamburgera i wyjechał z parkingu, zobaczył strzelistą wieżę kościoła i dwa kominy przetwórci ryb. Od razu wiedział, że to Oosterby. Niezależnie od wszystkiego. Bez najmniejszych wątpliwości.

Przez chwilę przebiegło mu przez głowę, żeby zrobić w tył zwrot i zostawić to wszystko. Posłuchać głosu serca, skrócić w prawo i wrócić do domu, do swoich najbliższych. Ale spojrzał w lewo i podążył w stronę miasteczka.

Podjechał do boiska i budynków szkolnych, potem skierował się do portu i mariny, a w końcu do willi na skale. Zatrzymał się tam na kilka chwil i spoglądając przez szybę samochodu, próbował pojąć, że mieszkał tu przez dużą część swojego życia. Zawrócił i pojechał szukać Jaskini. Nie było jej, jak się okazało. Piekarni pana Fiste też nie; cała dzielnica została zrównana z ziemią,

a na jej miejscu powstało centrum handlowe z szarego betonu. Ta część miasta nie należała do najładniejszych w latach sześćdziesiątych, ale teraz wcale nie było lepiej.

I nagle spadło to na niego jak grom z jasnego nieba.

Zaczął się zastanawiać.

Dlaczego? Dlaczego, kurwa, zgodziliśmy się na to? Jak mogliśmy dać się zrobić w coś tak okropnego?

Nawet jeśli on tylko był przy tym, co zrobili Marten i Rejmus, i nawet jeśli stało się inaczej, niż zamierzali, to czy jego wina jest przez to mniejsza?

Przecież wziął swoją część pieniędzy nawet bez mrugnięcia okiem. A co, może nie?

A jeśli jest się winnym, to dzień rozliczenia na pewno przyjdzie.

Pensjonat U Molly znalazł bez problemu. Kiedy zaparkował przed starym, dobrze znanym drewnianym zadaszeniem – nareszcie coś, co wyglądało tak, jak je zapamiętał, pomyślał z dozą desperackiej wdzięczności – stały tam już trzy inne samochody. Było przed trzecią i słońce właśnie przedarło się przez chmurę.

Mam nadzieję, że Marten i Rejmus już przyjechali, pomyślał. Przynajmniej nie będzie musiał spotkać się z Qvintusem sam na sam.

A Zink?

Qvintus Maasenegger pojawił się u wylotu schodów dokładnie wtedy, kiedy Kuno odbierał klucz do swojego pokoju od młodej dziewczyny z jasnoblonde warkoczami. Ubrany był w błękitną marynarkę, która wyglądała na dopiero co kupioną, ale mimo to sprawiał dość niechlujne wrażenie. Zarost jakby zamierzony, trochę przydługie włosy i okulary słoneczne założone na czoło. Workowate dżinsy i zdarte buty.

– Kuno Blavatsky?

Kuno potwierdził. Postawił walizkę na podłodze i się przywitał. Podana przez Maaseneggera ręka była jak martwa ryba, lecz w jego głosie brzmiała pewność siebie. Może trochę przedtem wypił, ale Kuno nie próbował tego wyczuć.

– Ja pierdolę! Wyglądasz jak jakiś młodzieniaszek.

Kuno wyjaśnił mu, że zrzucił piętnaście kilo, odkąd skończył liceum i zaczął trenować trzy razy w tygodniu.

– Treningi? – odparł Qvintus. – Tak, coś mi się obilo o uszy. To może pójdziemy na mały spacer? Mamy jeszcze trochę czasu.

– Sam nie wiem... – odpowiedział Kuno.

– Na razie tylko my jesteśmy. Zostaw walizkę w pokoju, to zrobimy rundkę nad morze. Potem jeszcze zdążysz wziąć prysznic, jeśli taki z ciebie czyścioch. Niech mnie diabli, wyszło słońce!

Kuno próbował jeszcze się jakoś wykręcić, ale mu się nie udało.

– Okej – powiedział w końcu. – Daj mi dziesięć minut.

Nie poszli nad morze z powodu wiatru. Zamiast tego skręcili ścieżką w las w kierunku nieczynnego kamieniołomu. Zamknęli go jeszcze w latach sześćdziesiątych; w tym czasie jedno z jezior kamieniołomu stało się popularnym miejscem kąpielowym, przynajmniej w pewnych liberalnych kręgach, gdzie się piło piwo i pływało nago. Była tam nawet wieża do skakania, ale dzisiaj zostały z niej jakieś resztki, wałący się drewniany szkielet, który według Kuna mógłby straszyć, gdyby było ciemno. Oczywiście nikt się już tu nie kąpał – woda opadła kilka metrów, a jej powierzchnia była zielona i odpychająca.

– Zajebicie to wygląda – skonstatował Qvintus, kiedy stali na brzegu i patrzyli w to niemal kwadratowe jezioro, dziesięć metrów w głąb.

– Nieźle – odpowiedział Kuno. – Miejmy nadzieję, że w programie nie ma pływania. W każdym razie nie tutaj.

– Nie sądzę – odparł Qvintus. – Będziemy głównie siedzieć i gadać. Pić i jeść... A ty jak myślisz?

– Co ja myślę? – odpowiedział Kuno. – Nie mam pojęcia... Sądziłem, że ty coś wiesz.

Qvintus zapalił papierosa i poczęstował Kuna, ten jednak pokręcił głową.

– Nie, dzięki, rzuciłem.

– Ja też – rzekł Qvintus. – Wiele razy. A dlaczego myślisz, że ja coś wiem?

– Co? – Kuno nie wiedział, o czym on mówi. – Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz? – zapytał Qvintus. – Przed chwilą powiedziałeś, że sądziłeś, że ja wiem, po co tu przyjechaliśmy. Przesłyszałem się?

Kuno zastanawiał się, czy Qvintus przypadkiem sobie z niego nie żartuje, ale nie wyglądało na to. Był raczej zirytowany.

– A to nie ty to zorganizowałeś? – powiedział ostrożnie. – Przecież dostałem od ciebie list i to do ciebie zadzwoniłem, żeby potwierdzić, czy przyjadę...

Qvintus popatrzył na Kuna.

– Co ty, kurwa, bredzisz? My rozmawialiśmy przez telefon?

– A nie? – odpowiedział Kuno.

– Niby kiedy?

– Jakieś dwa tygodnie temu, coś koło tego. Nie bardzo kumam...

– Poczekaj, poczekaj – odparł Qvintus. – Co ty pierdolisz? Ja nic nie organizowałem i nie rozmawiałem z tobą przez żaden, kurwa, telefon.

– A list? – zapytał Kuno.

– Co za kurewski list?

Na chwilę zapadła cisza. Kuno poczuł, jak wszystko wokół zaczyna wirować, jakby ten stary kamieniołom nagle się poruszył i zaczął kręcić. Albo dostał czkawki. Kiedy spojrzał na Qvintusa, wydawało mu się, że on poczuł to samo. Stał, wpatrując się w Kuna z rękami zwieszonymi po bokach i papierosem luźno wiszącym między wargami.

– W takim razie jak... jak zostałeś zaproszony? – zapytał w końcu Kuno.

– Dostałem list – odpowiedział Qvintus i wyrzucił papierosa, choć nie zaciągnął się więcej niż dwa, trzy razy. Zaczął przestępować z nogi na nogę, włożył ręce do kieszeni. – Pieprzony list. Nawet nie był podpisany.

– Ale ja dostałem list od...

– Nie wysłałem do ciebie żadnego listu! W ogóle nie piszę listów. Co to za jakaś ściema?

– Skąd mam wiedzieć – odparł Kuno. – W takim razie... to znaczy, że...

– Co? – wysyczał Qvintus. – Co to znaczy?

– Że rozmawiałem przez telefon z kimś innym. Ale że ten ktoś podał się za ciebie.

– Kto?

Kuno wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Minęło już sporo czasu, odkąd rozmawiałem z kimś... od was. Założyłem, że to ty, bo tak się ten ktoś przedstawił, kiedy zadzwoniłem. Chociaż to równie dobrze mógł być Rejmus czy Marten... albo ktokolwiek inny. Niełatwo rozpoznać głos po dwudziestu latach. Człowiek się zmienia... to i głos się zmienia.

Qvintus zamruczał coś pod nosem i kopnął kamyk wprost w zieloną wodę.

– Wracamy – zarządził. – Nie podoba mi się to.

Udaje, że jest zły, pomyślał Kuno. A tak naprawdę to się przestraszył. Ale poza tym ma rację, że ten, z którym gadałem, miał inny głos.

Marten? Rejmus? Trudno mu było w to uwierzyć. Więc kto w takim razie?

Przełknął odpowiedź, która mu się cisnęła na usta i której najmniej by sobie życzył.

– Okej – odparł. – Wracamy. To pewnie jakieś nieporozumienie i na pewno wszystko się wyjaśni.

– Nieporozumienie? – odpowiedział Qvintus. – Pieprzę takie nieporozumienie.

Doszli do pensjonatu dokładnie wtedy, kiedy na parking wjechała srebrnoszara toyota. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn – bez wątplenia byli to Marten Winckelstroop i Rejmus Fiste. I choć minęło dwadzieścia lat, odkąd Kuno ostatni raz ich widział, natychmiast ich poznał.

Nie musieli wiele mówić, by Kuno się upewnił, że to z żadnym z nich nie rozmawiał przez telefon dwa tygodnie temu.

– Proszę, proszę – powiedział Marten Winckelstroop. – Znowu w komplecie. W takim razie może porządnie się przywitamy lewą grabą?

Zrobili to w milczeniu. A kiedy ich krótki rytuał jeszcze trwał, podjechała taksówka, z której wysiadła ciemnowłosa kobieta. Kiedy zapłaciła kierowcy, odwróciła się w stronę grupki czterech mężczyzn, pomachała im nieśmiało i równie nieśmiało się uśmiechnęła.

– Ja pierdołę, Clara Behrens! – powiedział Qvintus Maasenegger. – Czy może Birgitte...?

– Trudno stwierdzić – odparł Kuno Blavatsky.

– Żeby nie powiedzieć, że to niemożliwie – dodał Marten Winckelstroop.

Ale zanim ta kwestia została wyjaśniona, na schodach pensjonatu pojawiła się Molly Hansen we własnej osobie i powiedziała, że za pół godziny zaprasza wszystkich na werandę na drinka powitalnego.

Tylko piątka nas jest? – pomyślał Kuno.

Październik 2012, Oosterby i okolice

– Jest taki polsko-szwedzki pisarz, który nazywa się Rappaport – powiedział Van Veeteren. – Mówiłem ci o nim?

Ulrike potrząsnęła głową.

– Używa pojęcia „determinanta”. Przypomniało mi się to, kiedy rozmawialiśmy o Kancie i Lutrze... Imperatyw kategoriyczny versus sumienie, pamiętasz?

– Determinanta?

– Tak.

– To znaczy?

– Niełatwo to wytłumaczyć. Poza tym minęło już trochę lat, odkąd czytałem jego książki... Ale generalnie chodzi o wewnętrzne siły, które napędzają człowieka. Sterują naszym działaniem. Albo motywują nas do działania... żebyśmy nie siedzieli beczynnienie.

– A to ciekawe...

– Jeśli się nie mylę, Rappaport twierdzi, że człowiekiem sterują te same mechanizmy niezależnie od tego, czy działamy w dobrej, czy w złej wierze. Nasze motywy, a właściwie nasz sposób rozumowania, kiedy dokonujemy wyborów, zawsze opiera się na tych samych podstawach. Niezależnie od tego, czy zamierzamy zamordować dziecko, czy uratować życie gołębiowi.

– Nie bardzo rozumiem... – przyznała Ulrike i zamknęła książkę.

– Nie rozumiesz? – zdziwił się Van Veeteren.

– Nie. Chcesz powiedzieć, że mordując dziecko czy ratując rannego gołębia, kierujemy się tymi samymi motywami? To znaczy, że ten... jak on się nazywa?... chce zatrzeć różnicę między dobrem a złem, tak?

– Rappaport. Leon Rappaport. I nie, do diabła, nie chodzi tu o żadne relatywizowanie, ale o coś zupełnie innego... O próbę opisaną, dlaczego robimy to, co robimy, i jakie mechanizmy wewnętrzne sterują naszym zachowaniem. Dlaczego w ogóle działamy, a nie jesteśmy po prostu pasywni.

– Pasywni? – zapytała Ulrike i spojrzała na zegarek. – Dla mnie nie brzmi to jakoś szczególnie pasywnie.

– To trochę bardziej skomplikowane – stwierdził Van Veeteren. – Rappaport pisze też o czymś, co nazywa „rozumieniem pierwotnym”, a według tej koncepcji człowiek natychmiast rozpoznaje prawdę, mimo iż nigdy wcześniej jej nie widział. Wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z intuicją...

– O intuicji dużo już rozmawialiśmy – powiedziała Ulrike. – Ale chyba powinniśmy już wychodzić. Nie możemy pozwolić, żeby nasi szanowni szefowie policji czekali. Może dokończymy tę rozmowę w samochodzie?

– Dobrze – odparł Van Veeteren. – Chociaż nie jestem pewien, czy warto to dalej rozwijać. Po prostu przypomniałem sobie o nim. Było kilka przypadków, kiedy to determinanta naprowadziła nas na właściwą drogę... a raczej mnie naprowadziła. Jeśli chcemy zrozumieć motywy stojące za szaleństwem, jakie w ludziach siedzi, musimy je w sobie zakotwiczyć. Przynajmniej czasami.

– To znaczy zrozumieć mordercę, chociaż sami mordercą nie jesteśmy?

– Krótko mówiąc, tak. A mówiąc jeszcze prościej, dobry człowiek może zrozumieć złego człowieka... Hm, mam nadzieję, że pan Rappaport wybaczy nam to uproszczenie.

– Nam?

– Tak powiedziałem?

– Tak mi się wydaje. Naprawdę uważasz, że znaleźliśmy się w takiej właśnie sytuacji? Że mamy do czynienia ze złym człowiekiem, do którego umysłu

musimy próbować przeniknąć? Z bardzo złym człowiekiem, skoro to on pozbawił życia pięć innych osób?

Van Veeteren wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– Dziesięć minut – rzuciła Ulrike i się podniosła. – Za dziesięć minut musimy być w samochodzie.

– Czy w ogóle założyliśmy, że źli ludzie istnieją? – zapytała, kiedy już siedzieli w samochodzie.

– To już wytarte pytanie – odpowiedział Van Veeteren.

– Domyślam się – zgodziła się Ulrike i uruchomiła silnik.

– Ale muszę przyznać, że długo się z tym męczyłem. W końcu doszedłem do wniosku, że nie ma na to odpowiedzi... albo że to w ogóle bez sensu. To częste, jeśli chodzi o pytania, na które nie możemy znaleźć odpowiedzi. Uznajemy, że po prostu nic nie znaczą.

– Jak to się nazywa... teodycea? Pytania w stylu: dlaczego dobry i wszechmocny Bóg dopuszcza zło?

– Na przykład – powiedział Van Veeteren. – Jeśli Bóg istnieje, to w takim razie nie jest wszechmocny, a więc pytanie jest nierелеwantne. Wracając do zła, to Churchill lubił powtarzać, że rozumiał Hitlera... w jakimś podstawowym, głębszym wymiarze... i dlatego wiedział, jak sobie z nim poradzić.

– Dobry, który rozumie złego?

– Mhm.

– A ty jesteś pewien, że Churchill był dobry?

– W tamtej sytuacji reprezentował dobro – odpowiedział Van Veeteren po chwili namysłu. – Chyba się z tym zgodzisz?

– Oczywiście – odparła Ulrike. – Już to przerabialiśmy. Jeśli spojrzysz wstecz, na swój wkład jako policjanta kryminalnego, to możesz uznać, że postępujesz tak samo jak Churchill, walcząc z nazizmem. O to ci chodzi?

– Na mniejszą skalę – poprawił ją nieśmiało Van Veeteren.

Ulrike się uśmiechnęła.

– Nigdy bym nie wyszła za Winstona – powiedziała. – Tak dla pewności.

– Dziękuję – odparł Van Veeteren. – Te słowa rozgrzewają moje stare serce. O czym my właściwie rozmawialiśmy? I pomyśleć, że tak trudno trzymać się tematu...

– Wspomniałeś o jakimś pisarzu... i pojęciu, które stworzył. Rapport i determi...?

– Rapport i determinanta – poprawił ją Van Veeteren. – Nic takiego, po prostu przyszedł mi do głowy. Ale jeśli taka stara książka... czy też książki, bo to były chyba dwie książki... więc jeśli takie stare książki wpadną człowiekowi do głowy, to coś w tym musi być, prawda?

– Może – zgodziła się Ulrike i zadrżała z zimna. – Włączę ogrzewanie. Zamierzasz rozmawiać o determinancie i... jak to się nazywało?... rozumieniu pierwotnym z Wilkersonem i Radovicem?

Van Veeteren potrząsnął głową.

– Ale kiedy się głębiej nad tym zastanawiam, coraz bardziej się z tym zgadzam.

– Brzmi rozsądnie – odpowiedziała Ulrike.

Gdyby ta rozmowa nigdy się nie odbyła, myślał Van Veeteren, to czy miałyby to jakieś znaczenie dla przyszłości?

Oczywiście, że nie. Bo w większości przypadków trzepotanie skrzydeł motyla nie znaczy nic. Podobnie jak nasza potrzeba znalezienia jakiegoś wzorca, modelu w życiu: konieczna i nieszkodliwa w samym procesie poszukiwania, jednak bez znaczenia i wysoce ryzykowna w momencie, w którym nam się wydaje, że coś znaleźliśmy.

Tak, niech mnie diabli, tak.

Ale Van Veeteren postanowił nie rozwijać swojego wywodu. W każdym razie nie w tym momencie.

Styczeń 1969, Oosterby i okolice

– Co się stało?

Clara usiadła na podłodze w korytarzu i oparła się o ścianę. Dopiero teraz Birgitte zauważyła, że leci jej krew z górnej wargi. Coś nie tak było też z jej okiem, było spuchnięte i zasinione.

– Madeleine... – wyjąkała Clara.

– Madeleine? Gdzie ona jest? Boże, co się stało?

Clara oblizwała zranioną wargę i zaczęła szlochać.

– On...

– Tak?

– Zabrał ją!

– Co? Kto?

– Jakiś facet! Złapał ją i wciągnął do samochodu. Próbowałam go zatrzymać, ale mnie uderzył!

– Co ty mówisz?

– Nie rozumiesz? Nadjechał samochód, zatrzymał się tuż obok nas. Z samochodu wyskoczył jakiś facet, złapał Madeleine i wrzucił ją na tylne siedzenie! Potem ruszył jak jakiś wariat... ale najpierw jeszcze mnie uderzył. Aj, cholera, jak boli!

Clara przesunęła palcem pod podbitym okiem. Birgitte zakręciło się w głowie.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?

Clara podniosła się i oparła o ścianę. Jakby sama nie mogła ustać na nogach.

– Tak. To chcę powiedzieć. Że Madeleine została... porwana!

– Ale przecież...?

Birgitte nie wiedziała, co powiedzieć. Coś lodowatego i lepkiego pełzało po jej plecach, tak się w każdym razie poczuła, i przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Porwanie? Madeleine? Trudno to sobie wyobrazić.

A może niezwykle łatwo sobie to wyobrazić, bo... bo tak cholernie paskudne może być życie.

– Ale gdzie? – zapytała głupio. – To znaczy... gdzie to się stało? Zadzwoń na policję?

– Kiedy miałam zadzwonić na pieprzoną policję? – wysyczała Clara. – To wszystko trwało raptem piętnaście minut. Wyszliśmy z lodowiska i szliśmy ulicą. I nagle to się stało. On musiał...

– Co?

– Musiał tam stać i nas obserwować. Tak, kurwa, musiał tam być... i po prostu czekać na odpowiedni moment. Co za skurwysyn! I co my teraz zrobimy? No zrób coś, kurwa! Powiedz coś!

Birgitte zdążyła pomyśleć, że jeszcze nigdy nie widziała swojej siostry w takim stanie. I że panika, która i jej się zaczęła udzielać, najwyraźniej ogarnęła już każdą komórkę ciała Clary. Czyli to ona musi wziąć sprawę w swoje ręce, bo mimo wszystko potrafi jeszcze logicznie myśleć. Przynajmniej na razie.

– Dzwonię na policję – powiedziała. – Gdzie to się dokładnie stało?

– Na ulicy za lodowiskiem – odparła Clara. – Nie wiem, jak się nazywa... To ta przy browarze.

Birgitte chwyciła za telefon, który wisiał w korytarzu przy lustrze, i wykręciła numer.

– Nie odchodź, będziesz mi potrzebna – poprosiła siostrę. – Na pewno będą pytać o wiele szczegółów.

Clara Behrens wzięła głęboki wdech i próbowała się zebrać w sobie. W każdym razie tak to wyglądało.

– Daj mi słuchawkę – powiedziała. – Nie ma znaczenia.

Już dwadzieścia minut później policja była na miejscu, w Willi Valentino. Dwoje policjantów, starszy mężczyzna i kobieta z końskim ogonem, na oko trzydziestoletnia. Usiedli w kuchni przy dużym dębowym stole i wyjęli notesy. Kobieta włączyła też mały magnetofon. I jeśli Birgitte do tej pory nie uświadamiała sobie, jak poważna jest sprawa, to teraz na pewno to do niej dotarło.

To nie był sen. Nie. To była rzeczywistość.

– Komisarz Lipinski – przedstawił się mężczyzna. – A to inspektor Vejde.

– Rozmawialiśmy już z Kettenerami – powiedziała inspektor Vejde. – Będą w domu w ciągu dwóch godzin. Dobrze, że wiedziałyście, gdzie są.

Clara skinęła głową. Birgitte też i nagle poczuła, że najbardziej z wszystkiego chciałaby teraz wybuchnąć płaczem.

– Musimy zadać wam kilka pytań, same rozumiecie... – rzekł Lipinski. – Jeśli jest tak, jak podejrzewamy, to bardzo ważne, żebyśmy poznali jak najwięcej szczegółów. A więc ty tam byłaś, kiedy to się stało? – I wskazał długopisem na Clare.

Chociaż raz nie tak trudno było odróżnić siostry. Oko Clary jeszcze bardziej spuchło i zsiniało. Moką chusteczką do nosa próbowała zatrzymać krwawienie z górnej wargi.

– Rozumiem... – powiedziała. – Pewnie, że rozumiem.

– Opowiedz dokładnie, jeszcze raz, co się stało – poinstruował ją Lipinski. – Jak zauważyłaś, wszystko, co powiesz, zostanie nagrane, ale to rutyna.

Clara jeszcze raz opowiedziała przebieg wydarzeń, dokładnie tak jak przez telefon. Że były z Madeleine na lodowisku kilka godzin; że postanowiły wracać, kiedy się zaczęło ściemniać; że Birgitte czekała na nie w domu. O wpół do czwartej, tak, dokładnie wtedy, bo spojrzała na zegarek. Szły między browarem a strażą pożarną, wracały tą samą drogą, którą przyszły dwie godziny wcześniej, tylko w przeciwnym kierunku. Doszły do Hooverstraat, Clara nie wiedziała, że tak się nazywa ta ulica, ale została poinformowana, kiedy rozmawiali przez telefon.

Szły w kierunku SW (tak dwoje policjantów nazywało Szykowne Wzgórze, nawet jeśli ta nazwa nie widniała na żadnej mapie), ale zdążyły ujść zaledwie jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy tuż przed nimi zatrzymał się samochód... Clara trzymała dziewczynkę za rękę, a na ramieniu miała zawieszoną obie pary łyżew.

Z samochodu wyskoczył mężczyzna i wciągnął Madeleine do środka. Dziewczynka krzyczała, Clara też, ale w pobliżu nie było żywej duszy. Kiedy wrzucił Madeleine na tylne siedzenie, bardzo brutalnie, Clara chwyciła go za rękę i próbowała zatrzymać. Wtedy ją uderzył – dwa mocne ciosy w twarz, aż upadła. Następnie wskoczył do samochodu i szybko odjechał. Nie, nie w kierunku Szykownego Wzgórza, w drugą stronę, na przetwórnię ryb i port.

– Czy dziewczynka nie próbowała wydostać się z samochodu? – zapytała inspektor Vejde.

Clara potrząsnęła głową.

– Nie wiem. W każdym razie nie udało jej się. Może... Nie, nie wiem.

– Czego nie wiesz? – zainteresował się Lipiński. – Co chciałaś powiedzieć?

– Może to był samochód, który miał tylko dwoje drzwi – powiedziała Clara. – Ale nie jestem pewna. Może ją wciągnął przez przednie drzwi... Nie widziałam dokładnie.

– Dlaczego nie widziałaś?

– Bo byłam po drugiej stronie samochodu. Ten facet obszedł go z Madeleine pod pachą... Może nawet pobiegł...

– Co więcej możesz jeszcze powiedzieć o tym samochodzie? – kontynuował komisarz Lipiński.

– Był czarny – powiedziała Clara – czy może raczej granatowy... Nieszczerólnie duży... Ale jeśli chodzi o marki samochodów, to jestem beznadziejna...

– Był stary czy nowy?

– Dość stary.

– Numer rejestracyjny? Powinnaś zauważyć, kiedy odjeżdżał.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle jakiś miał – odpowiedziała Clara po chwili namysłu. – Kiedy o tym pomyślałam, zdążył odjechać... I było już ciemno... I...

– Tak?

– Miałam mętlik w głowie.

– Doskonale cię rozumiemy – powiedziała inspektor Vejde. – Dwa uderzenia w głowę, do tego jeszcze szok... Mocno cię uderzył?

– Dość mocno – odpowiedziała Clara.

– Wróćmy jeszcze do tego mężczyzny – rzekł Lipinski. – Co możesz o nim powiedzieć? Spróbuj sobie przypomnieć każdy szczegół. Jeśli się pomylisz, nic nie szkodzi, ale im więcej będziesz w stanie odtworzyć... czy też będzie ci się wydawało, że pamiętasz... tym lepiej. Rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdziła Clara.

Birgitte pomyślała sobie, że właśnie teraz podziwia swoją siostrę. Od tego straszego wydarzenia minęła zaledwie godzina, miała podbite i spuchnięte oko, była w szoku, a mimo to siedziała i odpowiadała na wszystkie pytania policjantów w sposób jasny i inteligentny.

Gdybym to była ja, pomyślała sobie, pewnie bym leżała w szpitalu. A przecież jesteśmy ulepione z tej samej gliny.

Dziwna myśl. Albo dziwne słowa, w które ubrała tę myśl. I to akurat w tej sytuacji. Birgitte potrząsnęła głową i słuchała dalej.

– Zacznijmy od wzrostu – zaproponował Lipinski.

– Był dość duży – powiedziała Clara. – Na pewno wysoki. Może z metr dziewięćdziesiąt, ale nie gruby... czy jakoś dobrze zbudowany... nie.

– Ubranie?

– Ciemne. Wszystko... kurtka, spodnie, czapka.

– Buty?

– Nie widziałam.

– Jaką miał czapkę?

– Wełnianą, naciągniętą nisko na czoło. Nie widziałam całej twarzy.

– A co możesz powiedzieć o tym, co widziałaś?

– Jasna – odparła Clara. – Miał ciemne ubranie, ale wydaje mi się, że miał jasne włosy. I chyba... tak, jakiś zarost, też jasny. Może rudawy...

– Wiek?

Zadawali pytania na zmianę, zauważyła Birgitte i pomyślała, że pewnie od dawna pracują razem. Nawet jeśli Lipinski był prawie dwadzieścia lat starszy.

– Nie wiem – powiedziała Clara. – Nie jakiś stary, ale też nie młody... Jakoś między trzydzieści a czterdzieści lat...

– Znaki szczególne?

– Nic nie zauważyłam. Ale jego twarz widziałam tylko przez chwilę.

– Coś powiedział?

– Nie.

– Uderzył cię dwa razy, tak?

– Tak.

– Którą ręką? Prawą czy lewą?

– Prawą. Na pewno prawą.

– Poznałabyś go, gdybyś go zobaczyła?

Clara zastanawiała się przez kilka sekund, zanim odpowiedziała:

– Nie wiem. Może, ale nie jestem pewna.

– Był sam?

– Tak.

– Na pewno?

– Może...

– Co takiego?

– Może ktoś był w samochodzie.

– Widziałaś tam kogoś?

– Nie... nie widziałam.

– A tego mężczyznę, który porwał Madeleine i ciebie uderzył, już kiedyś widziałaś?

– Nie. Absolutnie nie.

– Na pewno?

– Tak.

Birgitte przez cały ten czas nie spojrzała na zegarek, ale potem zobaczyła, że siedziały i rozmawiały z policjantami ponad godzinę. Jej również zadali kilka pytań dotyczących państwa Kettenerów i dzieci. Trochę dziwne było to, że nikt nie pomyślał o Ludvigu, zanim inspektor Vejde o niego nie zapytała.

– Gdzie teraz jest Ludvig?

Birgitte odpowiedziała, że prawdopodobnie w swoim pokoju, a kiedy to sprawdzili, okazało się, że faktycznie tak było. Postanowili jednak nic mu nie mówić – to sprawa rodziców, kiedy wrócą do domu.

A wrócili zaraz po szóstej, oboje w szoku. Tusz do rzęs rozmazał się po twarzy Louise. Boris dostał tików, trzęsła mu się głowa, jakby miał udar, a kiedy komisarz Lipinski poprosił go, żeby usiadł, odparł, że nie będzie w stanie usiedzieć.

– Gdzie ona jest, do diabła? – chciał wiedzieć. – Dlaczego go jeszcze nie złapaliście?

– Pracujemy nad tym wszystkimi możliwymi środkami – wyjaśniała inspektor Vejde. – Jeśli o to chodzi, to mogą być państwo spokojni. Ale to nie jest prosta sprawa.

Po tej informacji Boris Kettener skurczył się w dużym dębowym fotelu i wybuchnął płaczem. Jego żona przeprosiła na chwilę i znikła w jednej z trzech łazienek. W tej sytuacji policjanci uznali, że będzie lepiej, jeśli siostry Behrens wrócą do domu. Lipinski zapytał, czy ma zadzwonić po samochód, ale Clara odpowiedziała, że nie ma potrzeby. Miała już dość samochodów. Siostry poinformowano, żeby były dostępne, aby w razie potrzeby stawić się na komisariacie, być może jeszcze tego wieczoru, a na pewno w najbliższych dniach.

Jeśli oczywiście Madeleine się nie odnajdzie. Ale choć komisarz Lipinski i inspektor Vejde próbowali pocieszać, że wszystko się szybko rozwiąże, wyraźnie było widać, iż żadne z nich nie wierzy w taki rozwój wypadków. Jeśli

ginie mała dziewczynka, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć sprawca dokładnie zaplanował porwanie. I niezależnie od tego, jaki to plan (Birgitte starała się nie dopuszczać do siebie prawdopodobnych – a raczej tych nieprawdopodobnych – możliwości), było raczej wątpliwe, że sprawca odda swoją zdobycz po kilku godzinach. I zarówno Clara, jak i Birgitte szybko, bez większego zastanawiania, to sobie uświadomiły.

Szczególnie z Clarą będą jeszcze musieli porozmawiać, to zrozumiałe, ale obie miały stanowczo zapowiedziane przez komisarza Lipinskiego, żeby o tym, co się stało, nie rozmawiały ani z rodzicami, ani z przyjaciółmi. Nawet jednym słowem. Los biednej Madeleine zależał od jak najlepszej współpracy z policją i od stosowania się do instrukcji, punkt po punkcie. Powściągliwość miała tu ogromne znaczenie, szczególnie w fazie wstępnej. Spytali, czy któraś z sióstr ma jakieś wątpliwości, pytania.

Nie. Żadna z nich nie skomentowała też sformułowania „w fazie wstępnej”, nawet jeśli Birgitte uważała, że ma to trochę przerażający wydźwięk. Kiedy opuściły Szykowne Wzgórze i schodziły do miasteczka, Birgitte poczuła nagle, że chce przytulić siostrę. Po prostu stać, obejmować ją mocno, mieć ją blisko siebie. Może wtedy byłoby trochę łatwiej. Z drugiej strony z niewiadomego powodu czuła, że trudno jej jest podjąć inicjatywę. Jeśli jeszcze bardzo niedawno tego nie wiedziała, to teraz była tego pewna.

Może dlatego zaczęła płakać. W końcu miała powody, a kiedy Clara to zauważyła, sama też wybuchnęła płaczem. Wzięła siostrę za rękę i tak płacząc, bliźniaczki Behrens szły trzy kilometry do domu do Oosterhejde.

Wokół zapanował już mroźny, zimowy zmrok. Madeleine Kettener wprowadzono i choć minęło zaledwie parę godzin, wydawało się, jakby słońce już na zawsze zgasło, a życie straciło sens.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Restauracja w hotelu Żaglowiec w Oosterby była pełna tego czwartkowego wieczoru. Mimo to udało im się dostać zaciszny stolik z widokiem na morze. Van Veeteren domyślił się, że to pewnie któryś z policjantów użył swoich wpływów, najprawdopodobniej ten młodszy i bardziej aktywny. Pomysł Ulrike, żeby przedyskutować sprawę w przyjemnej atmosferze, wywołał w nim pewien opór, ale kiedy zobaczył schludnie nakryty stół z widokiem na marinę, w której małe migające punkty świetlne przebijały jesienną ciemność, uświadomił sobie, że nawet się cieszy na tę kolację.

Wilkerson też najwyraźniej uważał, że to udany pomysł. Ubrany był w stary, pożółkły, lekko poplamiony płócienny garnitur – pięćdziesiąt lat temu był zapewne biały, a Van Veeterenowi skojarzył się z amerykańskim przedsiębiorcą, który w jesieni życia postanowił się wycofać z interesu i właśnie rozpoczął półroczny rejs po Karaibach. Zanim usiedli do stołu, Van Veeteren próbował sobie przypomnieć, której stopy nie miał Wilkerson, ale trudno było rozstrzygnąć, w którym z jego błękitnych żeglarskich butów ukrywała się proteza. Wilkerson zauważył jego ciekawość i chętnie wyjaśnił, że to prawa stopa, ale że ma tak cholernie dobrą protezę, iż czasami, kiedy na przykład spaceruje, sam zapomina, która stopa jest jego własna.

– Jak nazywa się ten biegacz z RPA, który ma sztuczną nogę? Myślę, że to taka sama proteza.

– Pistorius – powiedziała Ulrike. – Oscar Pistorius, jeśli się nie mylę.

– Fajny facet – rzekł Wilkerson. – Kiedy stracę drugą stopę, też zacznę biegać.

Temat protez się wyczerpał. Wszyscy usiedli za stołem, każdy dostał kieliszek wina, a komisarz Radovic powiedział, że to spotkanie to wspaniała inicjatywa, bo dzięki temu będą mogli porozmawiać o śledztwie i wymienić spostrzeżenia. W końcu morderca jest wciąż na wolności, poza tym to doskonała okazja, żeby zebrać wszystkie światłe umysły razem.

– Pamiętaj, że jesteś otoczony amatorami – zaznaczył Van Veeteren. – Wprawdzie wszyscy byliśmy w tej branży... z wyjątkiem mojej inteligentnej żony... ale to było kiedyś. Teraz to ty jesteś głównym łowczym.

Radovic przyjął to z uśmiechem.

– Dziękuję, jestem tego świadomy. Ale kiedy to się stało, we wrześniu dziewięćdziesiątego pierwszego, ja zacząłem właśnie szkołę policyjną. To wy, panowie amatorzy, pociągaliście wtedy za wszystkie sznurki. Poprawcie mnie, jeśli się mylę.

– Dzięki, że nam o tym przypominasz – powiedział Wilkerson. – Jak, do cholery ciężkiej, mogliśmy się tak pomylić? Wypuściliśmy z rąk mordercę, który umyślnie zabił cztery osoby... czy nawet pięć. Muszę przyznać, że się tego wstydzę.

– Ja też – wymamrotał Van Veeteren – choć, Bóg mi świadkiem, wstydlivy nie jestem.

– Potwierdzam – dodała Ulrike Fremdli. – Gdybyście potrzebowali usprawiedliwienia, to trzeba przyznać, że plan mordercy był genialny.

– Genialny? – zdziwił się Radovic.

– Tak uważam... prosty i genialny. Ma grupę ludzi, których chce pozbawić życia. Większość z nich podtruwa i pali, ale jeden znika bez śladu. Ślepa kura by go podejrzewała.

– Dzięki za porównanie – powiedział Wilkerson. – Ale, tak, zgadzam się... Byliśmy wtedy jak stado ślepych kur. Teraz to naprawimy. Chyba po to się tu zebraliśmy, prawda?

– Absolutnie – przyznał Radovic. – Ale będziemy też jeść i pić. Mówią, że to sprzyja procesom.

– Jakim procesom? – zainteresował się Wilkerson.

– Myślowym. Jak by tu przywrócić wzrok ślepym kurom – odparł Radovic i znów się uśmiechnął. – Na zdrowie.

Co jak co, ale gadane to on ma, pomyślał Van Veeteren i wymienił się z żoną spojrzeniami. Żeby tylko był taki dobry w tropieniu mordercy.

– A więc... – zaczął Radovic całe wieki później, kiedy danie główne, ryba w różnych postaciach dla całej czwórki, zostało zjedzone, a butelka chenin blanc opróżniona. – Jeśli chcemy do czegoś dojść... czas zacząć. Wy mówcie, ja będę zapisywać.

I wyjął z kieszeni marynarki czarny notes. Wilkerson na znak akceptacji skinął głową. Notes i długopis to najważniejsza broń policjanta, pomyślał sobie. Zawsze tak było i miejmy nadzieję, tak zostanie.

– Początek całej tej historii – rzekł Van Veeteren. – Proponuję, żebyśmy od tego zaczęli. Musi tu być jakieś drugie dno. Jakieś wydarzenie... czy może wydarzenia, o których nie mamy pojęcia dzisiaj i nie mieliśmy dwadzieścia lat temu.

– Zgadza się – odparł Wilkerson.

– Wyjdźmy z założenia, że to mordercy zależało na tym spotkaniu w pensjonacie U Molly – zaproponowała Ulrike. – Że to on to wszystko zaplanował i przeprowadził... albo ona... Oczywiście równie dobrze mógł to być zwykły zbieg okoliczności... coś, co się wydarzyło tamtego wieczoru i było początkiem... całej reszty.

– To jasne jak słońce, że wszystko było z góry zaplanowane – powiedział Wilkerson po chwili milczenia.

– Skąd to wiemy? – zapytał Radovic.

– A stąd, że sprawca od samego początku był anonimowy – odpowiedziała Ulrike. – Kiedy rezerwował pensjonat, podszywał się pod Maaseneggera.

– Ale skąd to wiemy? – powtórzył swoje pytanie Radovic.

– Od Molly Hansen – odparła Ulrike.

– A skąd wiemy, że Molly Hansen mówi prawdę? Przepraszam, może to nie jest związane z tematem, ale mimo wszystko powinniśmy to zaprotokołować, prawda?

– Zgadza się – odpowiedział Van Veeteren. – Poza tym, to jest jak najbardziej związane z tematem. Nie wiemy, czy Molly Hansen mówi prawdę. Ale założmy, że mamy do czynienia ze sprawcą, który dokładnie wszystko zaplanował. Że był szóstą osobą, która zwołała resztę i podszyła się pod Maaseneggera, rezerwując pensjonat. Założmy też, że spotkanie było tylko pretekstem.

– Stowarzyszenie Leworęcznych – rzuciła kolejny wątek Ulrike. – Co o tym wiemy?

– Nie za wiele – odparł Radovic. – Założyli klub, do którego należeli tylko leworęczni. Pod koniec lat sześćdziesiątych spotykali się w jakiejś piwnicy, a jedyną osobą, która mogłaby to potwierdzić, jest Birgitte Behrens, siostra zamordowanej, choć najwyraźniej ona nie była jakoś szczególnie aktywna... Problem polega na tym, że wszyscy pozostali członkowie stowarzyszenia nie żyją... to znaczy ta piątka, o której aż do zeszłego miesiąca myśleliśmy, że to czwórka.

– Mały klub – powiedziała Ulrike. – Czym się zajmowali?

– Piciem piwa – odpowiedział Van Veeteren. – W końcu mieli lokal. O ile dobrze pamiętam, to było jeszcze kilkoro świadków. Niezrzeszonych, że tak powiem, którzy od czasu do czasu pojawiali się w tej spelunie...

– Zgadza się – potwierdził Wilkerson, który przez chwilę siedział cicho. – Przesłuchaliśmy kilka osób, które pod koniec lat sześćdziesiątych były tam kilka razy. Popijali piwo i słuchali muzyki. Pewnie popalali też marihuanę... Kto ich tam wie.

– Ale ty wtedy mieszkałeś jeszcze w mieście, prawda? – Chciała się upewnić Ulrike.

– Zgadza się – odpowiedział Wilkerson. – To były początki mojej służby, sześćdziesiąty piąty... ale nie słyszałem o żadnym Stowarzyszeniu Leworęcznych. O ich istnieniu dowiedziałem się dopiero w dziewięćdziesiątym pierwszym... Choć to mała miejscina, tonie tak łatwo dowiedzieć się czegoś o ludziach. Przynajmniej dopóki nie wdepną w jakieś gówno albo nie zostaną wciągnięci w jakąś działalność przestępczą... Inaczej niczego się nie dowiesz. Ale, do diabła, nie będziemy przecież tracić czasu na plotki. Potem są z tego same kłopoty, a ludzie uważają, że nie potrafimy odróżnić dziury w ziemi od naszej własnej...

– Chwila, chwila – wtrąciła się Ulrike Fremdli i położyła dłoń na ramieniu Wilkersona, żeby go uciszyć. – Czy nie możemy założyć, że wcześniej między tymi ludźmi musiało się coś wydarzyć... jakoś pod koniec lat sześćdziesiątych... Ale nie pytajcie mnie co... w każdym razie coś, co stało się przyczyną?

– Czego przyczyną? – zapytał Wilkerson.

– Tego spotkania. Że wtedy coś się wydarzyło, dlatego postanowili się spotkać i coś z tym zrobić. A przynajmniej jeden z nich postanowił.

– Spis członków by to ułatwił – dodał Radovic.

– Diabli z nim – wysyczał Wilkerson nagle w bojowym nastroju. – Myślisz, że go nie szukaliśmy? Beznadziejna sprawa! Oprócz tych, o których wiemy, nie znaleźliśmy więcej niż sześć osób, które by wiedziały o istnieniu tego całego stowarzyszenia... Góra sześć! Jak już wiecie, mieli też ten swój lokal, ale i on został zburzony... nie pamiętam kiedy... chyba w latach siedemdziesiątych, bo wtedy burzyli wszystko, co popadło, pieprzeni gangsterzy!

– Hm – westchnął były komisarz Van Veeteren.

– Hm – westchnęła jego żona.

Wilkerson wytarł sobie czoło serwetką i wziął oddech. Komisarz Radovic wyprostował plecy i zastanawiał się przez kilka sekund.

– Wtedy to ja się dopiero urodziłem – powiedział. – Ale ty, Wilkerson, byłeś na miejscu. Przepraszam, że to drażnę, ale czy wtedy w Oosterby nie wydarzyło się coś szczególnego? Pod koniec lat sześćdziesiątych? Coś, w co ci leworęczni

mogli być umoczeni? Zauważ, że mówię „mogli być”... Jeśli trochę pospekulujemy...

Wilkerson rozłożył ręce.

– Młody człowieku – zaczął i poprawił okulary, które zsunęły mu się na czubek nosa. – O tym pieprzonym stowarzyszeniu w ogóle wtedy nie słyszałem... Już to mówiłem. A jeśli chodzi o jakieś wydarzenia, bójki czy inne awantury... to chyba nie za wiele... Był tylko jeden przypadek cięższego kalibru. Straszna historia, ale trudno sobie wyobrazić, żeby kilku mańkutów było wmieszanych w coś takiego.

– Co to było? – zacięła się Ulrike.

– Chyba już o tym rozmawialiśmy poprzednim razem – kontynuował Wilkerson. – Ale ani ty, ani Radovic przy tym nie byliście, więc na wszelki wypadek opowiem to jeszcze raz...

– Koniecznie – zgodził się komisarz Radovic. – Chociaż już czas na deser... kawę i mały koniaczek, czyż nie?

Kelner, który według plakietki na kieszeni białej marynarki nosił dziwne imię Annastazius Tillgre, właśnie podszedł do stołu. Skinął głową i wprawną ręką rozdał cztery karty dań w skórzanych oprawkach.

– Kawa i koniak dla wszystkich – powiedział Wilkerson ochoczym głosem. – Ale najpierw muszę przypudrować protezę. Przerwa!

Van Veeteren przymknął oczy.

Styczeń–luty 1969, Oosterby i okolice

Marten Winckelstroop przymierzał swoją maskę przed lustrem. Zrobiona z miękkiego plastiku czy gumy, lekko pachniała benzyną i olejem. Otwory na oczy miały skośny kształt, ale nie było problemu z oddychaniem przez nos i usta.

Twarz, która szczyrzyła się do niego w lustrze, wyglądała, jakby była na wpuł gotowa. Jakby producent nie mógł się zdecydować, czy to będzie klaun, czy goryl. Ale nie miało to żadnego znaczenia, bo celem maski nie było pokazanie czegoś, tylko ukrycie.

I ta maska ukrywała. Zwłaszcza kiedy założył długi szalik i beret, który był na tyle duży, że schował włosy. Nie było widać ani skrawka skóry. Potem i tak wszystko to zostanie spalone. Maski, nakrycia głowy, szaliki. Rękawiczki i szarozielone płócienne płaszcze. Marten był ciekawy, skąd wzięli te płaszcze, ale nie zapytał. Kuno i Rejmus mieli dokładnie takie same, lecz ich maski i czapki były inne. Może byłoby idealnie, gdyby wszyscy trzech mieli identyczne komplety ubrań, ale tak też na pewno będzie dobrze.

Jeśli w ogóle się uda. Nie maski były najsłabszym ogniwem w tym łańcuchu, po prostu ci trzech najważniejsi członkowie Stowarzyszenia nie odpowiadali za całość, za cały łańcuch. Byli jedynie trybikami większej maszyny... *And they were only in it for the money.* Tak się nazywał album, którego teraz właśnie słuchali. W każdym razie coś w tym rodzaju. Frank Zappa and the Mothers of Invention. I ta okładka będąca parodią *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* Beatlesów – absolutny faworyt Martena w ciągu ostatnich tygodni. I te teksty

Zappy! *There will come a time when you won't even be ashamed if you are fat.* Dzisiaj nikt nawet nie protestował, kiedy nastawił płytę trzeci raz z rzędu.

Kuno i Rejmus siedzieli na sofie i go obserwowali. Nikt nic nie mówił, od dłuższej chwili nic nie mówili. Marten pomyślał, że pewnie nikt nie ma nic do powiedzenia. Może wszystkim trzem chodziły po głowie te same myśli i przełamanie tej ciszy mogłoby coś zdradzić. Coś spokrewnionego z żalem, z wątpliwościami, ze strachem, a tego rodzaju słabość była w tej sytuacji najmniej pożądana. Lepiej niech Zappa się tym zajmie. Innymi słowy, niech trującymi i ogólnie znanymi słowami nazwie całą tę rzeczywistość. Bo taki faktycznie jest świat i jego zbłąkani mieszkańcy. niesprawiedliwość, hipokryzja, egoizm. *Fuck it all.*

Dziesięć tysięcy guldenów na głowę. Parę dni roboty. Plan był prosty, stary i wypróbowany. Kto nie chce zapłacić za odzyskanie swojej ukochanej córki? Jeśli tylko ma pieniądze... a że Boris i Louise Kettenerowie mieli, nie było najmniejszych wątpliwości. Najdroższa willa w całym miasteczku (cena wzrosła podwójnie od czasu, kiedy w niej mieszkał Kuno), dwa samochody, żaglówka z drzewa mahoniowego, której prawie nigdy nie używano. I tak dalej, i tak dalej. Kiedy Marten próbował zrozumieć, dlaczego się na to zgodził, na ten absurdalny pomysł, zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem powodem nie była zwyczajna zawiść... tak szczerze mówiąc... Siostry Behrens (szczególnie Clara; Birgitte z jakiegoś powodu trzymała się ostatnio z boku) chętnie opowiadały, jacy to okropnie sympatyczni i szczęśliwi są Kettenerowie. A Marten już dawno sobie uświadomił, że nie lubi szczęśliwych ludzi. Kiedy dziewięć na dziesięć osób na świecie cierpi biedę z tego lub innego powodu, nieprzyzwoite wręcz jest bycie szczęśliwym. Niesolidarne. Zabierania bogatym i dawania biednym w szerszej perspektywie nie można było nazwać przestępstwem i choć dobrze wiedział, że prawdopodobnie nigdy nie pójdzie tą drogą, to z tyłu głowy miał kojącą i nawet odrobinę pociągającą myśl, żeby z tych pieniędzy zrobić dobry użytek. Żeby przekazać je, na przykład, na ruchy wyzwolenicze gdzieś w dalekim świecie albo przynajmniej część z nich przeznaczyć na potrzebujących.

Ale się zobaczy...

Być może Rejmus też miał takie myśli. Marten nie wiedział. Odkąd obaj powiedzieli tak, prawie wcale o tym nie rozmawiali. Tego, że Kuno dołączył tylko ze względu na Martena i Rejmusa, też nie było potrzeby analizować. Decyzja została podjęta w ciągu niespełna godziny i mieli miesiąc, żeby się wycofać.

Ale się nie wycofali. Żaden z nich. Ani Marten, ani Rejmus, ani Kuno.

Ani Clara.

Qvintus i Zink? *No way*, żaden żal nie wchodził tu w grę.

A teraz nagle sprawa stała się poważna. Dzień D, dwudziesty szósty stycznia 1969 roku. Za godzinę, według planu, uśpiona Madeleine Kettener zostanie przewieziona do Jaskini. Tam, włożona do śpiwora, będzie pilnowana przez trzech muszkieterów aż do chwili, kiedy się obudzi, prawdopodobnie między dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Dziewczynka będzie odurzona i to wtedy będzie ten jeden jedyny raz, gdy zobaczy swoich trzech zamaskowanych strażników razem. Potem widywać ich będzie tylko pojedynczo do momentu (według szacunków od trzech do pięciu dni), kiedy okup zostanie zapłacony, a ona uwolniona. Podział czynności był prosty i jasny: za uwięzienie odpowiadali Z i Q (nie zapominając o C, chociaż w bardzo szczególnej roli), za przetrzymywanie M, R i K, za dostarczenie z powrotem do rodziny znów Z i Q. Marten nie wyraził życzenia (ani werbalnego, ani niewerbalnego), żeby poznać szczegóły pierwszego i trzeciego etapu operacji, dlatego nie był informowany. Im mniej szczegółów każdy z nich znał, tym lepiej; taka była ogólnie przyjęta taktyka wśród doświadczonych profesjonalistów. Inicjały zamiast imion to kwestia stylu, ale to też powszechnie używana strategia.

My tylko nagrywamy film, przekonywał sam siebie Marten, kiedy nachodziły go wątpliwości. Scenariusz, reżyseria, aktorzy. Dlaczego nie, w końcu jeśli istniał świat, w którym Boris Kettener najlepiej rozumiał swoją rolę, to był to właśnie świat filmu.

Ale żadnych powtórzeń. Ani jedno pieprzone słowo, żeby dziewczynka ich nie poznała. Dziesięćlatki są chłonne jak gąbka.

Trzy dni. Może cztery czy pięć. Nie wiadomo. Wymiana dziewczynki na gotówkę to transakcja, którą strażnicy nie powinni sobie zaprzętać głowy. Mogą dzielić dyżury między sobą, jak chcą, ale zdobycz nigdy nie powinna być sama. Jedzenie i picie w lodówce. Łagodne środki uspokajające – to znaczy środki nasenne, jeśli któryś z niekumatych strażników by pytał – podawane zawsze w dobrze odmierzonych dawkach, żeby tylko mała była pasywna. Z miał krótki epizod jako pomocnik w aptece, więc żadnego problemu z tym nie będzie. Muzyka – jako dodatkowy wyciszacz, gdyby zachciało jej się krzyczeć, choć w sumie ściany Jaskini były grube, a najbliższe sąsiedztwo stanowiła piekarnia, dwadzieścia metrów dalej. Skład pomiędzy był cały zapchany wybrakowanymi materiałami budowlanymi i maszynami do pieczenia sprzed kilkunastu lat.

A więc bezpiecznie. „Plan/film/scenariusz bezpieczne, na bank”. Już za tydzień w kieszeni będzie forsa, jakiej nie było nigdy przedtem.

Za godzinę ona tu będzie.

Nie, nawet mniej, za czterdzieści pięć minut.

Trzydzieści.

Mothers of Invention, czwarty raz z rzędu.

Maski założone. Wszyscy trzej na sofie. Przygotowani.

Siedem, osiem lat temu siedzieliśmy na strychu i czytaliśmy komiksy, pomyślał Marten. Coś w tym stylu. Wtedy też dużo nie mówiliśmy.

Dostawa przyszła dziesięć minut wcześniej.

Delikatne pukanie w stalowe drzwi, uzgodniony wcześniej sygnał. M otworzył. Q wniósł to na oko bezwładne ciało, otworzył worek i umieścił na sofie. Skinął w milczeniu głową i zniknął. Zajęło mu to mniej niż minutę. Nie padło ani jedno słowo.

Strażnicy usiedli każdy na swoim krześle i zerkali raz na siebie, raz na zdobycz. Po chwili R poszedł i przyniósł kawę i kanapki. Żadnego piwa,

żadnego alkoholu czy innych używek – to była reguła całego planu. M zmienił muzykę na The Moody Blues. K wziął książkę i zaczął czytać. M i R rozstawili szachy i próbowali się skupić. Tobołek na sofie głośno dyszał, poza tym przez cztery następne godziny nic się nie wydarzyło.

Nic. Ale to były bardzo dziwne cztery godziny. Marten myślał o tym już wtedy i przez najbliższe lata wciąż do tych myśli będzie powracał. Nie o tym, co się wydarzyło przed tymi czterema niemymi godzinami, ani o tym, co było potem – o tym też oczywiście myślał podczas wielu bezsennych nocy – tylko o tych czterech godzinach. Wydawało mu się, że to najdziwniejsze godziny, jakie przeżył. Trzej leworęczni muszkietierowie w maskach siedzący w Jaskini bez słowa, bez jakiegokolwiek refleksji. Jakby to była jakaś poczekalnia, w której się siedzi i czeka, nie wiadomo na co. Zmieniali płyty w adapterze, pili kawę, jedli kanapki, grali w szachy i próbowali czytać.

Czyściec?

Czekali na Godota? Na jednej z lekcji tuż przed Bożym Narodzeniem ich nauczyciel szwedzkiego bardzo entuzjastycznie opowiadał o tym dramacie.

A co, nie? Co się działo, kiedy nic się nie działo?

W przerwach na zmianę płyty słyszał, jak ich zdobycz oddycha w worku. Spokojnie i rytmicznie, jakby w tym najlepszym ze światów wszystko idealnie do siebie pasowało.

A jeśli Bóg na nas patrzy? – pomyślał Marten. Nic więcej, tylko to.

A jeśli Bóg na nas patrzy?

Minął kwadrans po dziesiątej, kiedy dziewczynka się obudziła. Wciąż była niedziela, dwudziesty szósty stycznia, dzień dłużył się niemiłosiernie. Najpierw zakasłała kilka razy, potem wyjęła ręce ze śpiwora i usiadła.

Na wpół senna rozejrzała się dookoła. Popatrzyła na swoich trzech zamaskowanych strażników, na każdego po kolei. Zdjęła czerwoną czapkę, którą miała na głowie, kiedy spała. Podrapała się po swoich potarganych rudobrązowych włosach.

– Gdzie ja jestem?

Była zdziwiona, ale nie przestraszona, zauważył Marten. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, powtórzyła pytanie:

– Gdzie ja jestem?

Rejmus nalał wody do szklanki i podał jej. Wypiła do dna.

– Dziękuję. Kim jesteście?

Marten położył palec wskazujący na ustach, by pokazać, że nie rozmawiają. Uniosła brwi, ale w dalszym ciągu nie okazywała strachu.

– Trochę mnie mdli. Czy jest tu gdzieś toaleta?

Kuno pokazał na małą komórkę w rogu pokoju. Czekali w ciszy, kiedy sikała i splukiwała wodę. Potem Rejmus i Marten znów założyli jej kajdanki, ale tylko na jedną rękę, lewą, i przyczepili ją łańcuchem do kaloryfera. Przecież może się zdarzyć, że któryś ze strażników zaśnie, i chociaż ciężkie stalowe drzwi są zamknięte na dwa klucze, to jednak nigdy przecież nie wiadomo... Przezorny zawsze ubezpieczony.

Kiedy jej zakładali kajdanki, milczała i nie stawiała oporu. Odwrotnie, była pomocna i nastawiona przychylnie, nie okazywała najmniejszych oznak strachu. Wsunęła się do połowy w śpiwór, a potem powiedziała, że jest śpiąca i chce jeszcze trochę pospać. Rejmus postawił na stole coca-colę i kanapkę, ale Madeleine potrząsnęła głową i powiedziała, że nie chce ani jeść, ani pić.

– Porwaliście mnie, prawda?

Marten nie mógł się powstrzymać, żeby nie skinąć głową, a dziewczynka, zaspokoiwszy ciekawość, znów zasnęła.

Marten miał dyżur na pierwszej zmianie. Postanowili, że każda zmiana będzie trwała dwanaście godzin, ale już pierwszej nocy jeden ze strażników uświadomił sobie, że to nie będzie dobrze funkcjonować. Trudno było wytrzymać tyle godzin, minuty wlekły się w nieskończoność i absolutnie nic się nie działo, może oprócz tego, że serce biło normalnie i oddech funkcjonował – i u ofiary, i u porywaczy. To ostatnie słowo wżarło się w świadomość Martena i trudno się

było go pozbyć. Był porywaczem. A to, czym się obecnie zajmował, było uprowadzeniem dziecka.

Tymczasem dziecko smacznie spało. Porywacz był coraz bardziej niespokojny, coraz bardziej zmęczony, ale sen odszedł gdzieś daleko. Przecież nie mógł spać, chociaż pod ścianą leżał materac, a na nim poduszka i koc; sofa należała do ofiary, do porwanej, to było oczywiste. Zostawił zapaloną lampę w kuchence, bo bał się, że w ciemności zaśnie. Dwa małe, zakratowane okienka – nad chodnikiem od ulicy, pod sufitem od środka – były starannie zamaskowane. Na zewnątrz nie przedostawał się ani jeden promień lampy, dokładnie to sprawdzili, a to oznaczało, że do wewnątrz też nic nie przenikało.

Ale na litość boską, jakie światło mogło się przedostawać w styczniową noc?

Czy nie powinna się już obudzić?

Może on powinien ją obudzić?

Czy może nie powinien... A może powinien ją wypuścić? Wziąć ją pod ramię i zanieść do domu? I wyjaśnić, że to nieporozumienie, taki żart, a potem wszystko znów wróci do normy?

Zapalił jeszcze jedną lampę i spróbował się uczyć. Na próżno. Zgasił światło i wyciągnął się na materacu.

Jej delikatny oddech z sofy.

Jego własny oddech. Przez maskę trochę silniejszy niż zwykle.

Dwa serca, które biją i pompują krew, każde w swoim krwiobiegu. Każda nowa chwila dłuższa od poprzedniej.

Porywacz i ofiara. I to wszystko.

A jeśli Bóg na nas patrzy?

Obudziły go jej słowa. Sprawdził, czy maska i czapka się nie zsunęły, pokazał na swoje ucho i pomachał głową. Dziewczynka powtórzyła:

– Która godzina?

Sam chętnie by się dowiedział. Pokazał na swój zegarek. Była za piętnaście siódma.

– Mam nadzieję, że poinformowaliście mamę i tatę.

Skinał głową.

– Tak się robi, jak się kogoś porywa, prawda?

Znów skinął głową.

– Czy możemy pisać do siebie karteczki, skoro nie chcesz rozmawiać?

Marten zauważył, że się uśmiecha, ale uświadomił sobie, że przez maskę tego nie widać. Wstał i poszukał notesu i ołówka. Przecież nie zaszkodzi pisać do siebie, potem można to zniszczyć.

„Możemy do siebie pisać”, nabazgrał na kartce. „Ale tylko wtedy, kiedy to konieczne”.

Dziewczynka przeczytała i się zastanowiła.

– Ty możesz pisać, a ja będę mówić. A dlaczego ty nie możesz mówić?

Marten potrząsnął głową.

– Przepraszam, ale jestem głodna – powiedziała dziewczynka. – Czy jest tu coś do jedzenia?

Marten przyniósł z lodówki kanapkę i coca-colę. Madeleine jadła i piła w milczeniu.

– Ile mój tata musi za mnie zapłacić? – zapytała, kiedy już zjadła.

„Nie zadawaj za dużo pytań”, napisał.

– Widziałam filmy o porwaniach.

„Tak?”

– Przestępców zawsze łapią. Nie wiedzieliście o tym?

„Nie odpowiadam na takie pytania”.

– Dlaczego masz na twarzy tę okropną maskę? Żeby cię potem nie mogła rozpoznać?

Nie, to bez sensu, pomyślał Marten. Nie będę jej niańczył i udawał miłego.

Więc kiedy Madeleine poprosiła o jeszcze jedną colę, wsypał jej trochę środka nasennego. Po dwudziestu minutach znów spała.

Kuno pojawił się zaraz po dwunastej, był parę minut spóźniony. Minęli się w drzwiach i Marten wręczył mu informację na karteczce. „Od teraz dyżurujemy po osiem godzin. Dam znać R, żeby przyszedł o ósmej wieczorem. Ok?”

Kuno przeczytał i skinął głową. Zawahał się na kilka sekund, potem wyciągnął rękę i zamknął drzwi. Marten zdjął maskę i czapkę, postać chwilę na schodach prowadzących na ulicę i wziął kilka głębokich wdechów. Poczuł, jakby zaczerpnął tlenu po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

W gazetach nie było żadnej informacji o porwaniu. Marten i Rejmus porozmawiali o tym pobieżnie w poniedziałek po południu, kiedy Rejmus wrócił ze szkoły. Z i Q powiedzieli, że to było do przewidzenia, co nie znaczy, że policja nie została powiadomiona. Ważne, by nie wyciągać pochopnych wniosków. Jeśli wszystko pójdzie, jak trzeba, w niedzielę wczesnym wieczorem Kettenerowie dostaną informację o okupie i ostrzeżenie, żeby nie mieszać w to policji. Jeśli kochają... i tak dalej, i tak dalej. Żaden ze strażników nie wiedział dokładnie, jak to będzie sformułowane, i nie miał pojęcia, jak i kiedy ma nastąpić wymiana.

Sto tysięcy guldenów – żywa Madeleine.

Bez pieniędzy – śmierć.

Jak wolą.

Poniedziałek i wtorek upłynęły w rytmie ośmiogodzinnych dyżurów. Strażnicy zdecydowali, że komunikację z ofiarą ograniczą do minimum. Kiedy Madeleine chciała grać w karty, odmówili, ale zadbali o to, żeby mogła sobie ułożyć pasjansa. Dostała też komiksy do czytania. Trzymali ją przy życiu za pomocą kanapek, napojów, cukierków i owoców. Dziewczynka się nie skarżyła. Marten nie wiedział wcześniej, czego się spodziewać, ale na pewno nie spokojnej i współpracującej dziesięciolatki. Nie płakała i wydawała się zupełnie pogodzona ze swoim losem, losem ofiary porwania. Może nawet uważała, że to ekscytujące.

Środa minęła spokojnie. Trzej strażnicy musieli chodzić do szkoły, dlatego plan dyżurów uległ małej zmianie. Kilka godzin tu, kilka godzin tam.

W czwartek Marten poczuł w ciele jakiś nowy rodzaj niepokoju, kiedy po południu zmieniał Rejmusa. Dlaczego to tak długo trwa? Dlaczego nie ma żadnych wiadomości od Q i Z? Ani od C, która pewnie była chora, bo przez ostatni tydzień nie chodziła do szkoły.

Podjęzienie przyszło w nocy, jak złodziej. A jeśli już dostali pieniądze i uciekli?

W sumie dlaczego nie? Może już siedzą w jakimś hotelu w Paryżu i liczą kasę? Dlaczego Rejmus, Kuno i on tak się dali zrobić w konia? A co z C? Z kim ona trzyma?

Kurwa, pomyślał Marten. Co z nas za idioci!

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy Kuno miał dyżur, Marten opowiedział Rejmusowi o swoich podejzzeniach i niestety okazało się, że ten wcale nie uważał hipotezy za całkowicie niedorzeczną.

– Jeśli u-uznamy, że tak faktycznie jest, to co wtedy zrobimy? C-co, kurwa, zrobimy?

– Oddamy ją – odpowiedział Marten po krótkim namyśle. – A co innego możemy zrobić?

Nagle Marten poczuł ogromną ulgę i uświadomił sobie, że jest gotowy do przeprowadzenia takiej transakcji właściwie natychmiast. Ale Rejmus miał inny pomysł.

– P-poczekamy do jutra – zaproponował. – Jeśli nic się nie wydarzy do soboty rano, wypuścimy ją. To nie robi aż takiej różnicy, zresztą i tak już to... jak by to powiedzieć?... u-ustaliliśmy.

Marten pomyślał chwilę i się zgodził.

Ostatni dyżur miał Marten – ostatni, bo więcej już miało nie być. Ale podejzienia, że zostali zrobieni w konia, nie sprawdziły się.

W sobotę o wpół do piątej rano, pierwszego lutego 1969 roku, ktoś w umówiony sposób zapukał do stalowych drzwi Jaskini, a kilka minut później Madeleine Kettener znów została wywieziona. Marten był pewien, że to Z ją

zabrał i włożył na tylne siedzenie czarnego samochodu, który czekał zaparkowany na chodniku, i że to Q siedział za kierownicą, ale obaj byli tak przebrani, że równie dobrze mogło być na odwrót.

A może to był ktoś zupełnie inny, bo właściwie dlaczego nie?

Już półtora dnia później, w niedzielę, o trzeciej po południu, prawie dokładnie tydzień po tym, jak Madeleine Kettener została uprowadzona samochodem z Hooverstraat, czworo członków Stowarzyszenia Leworęcznych siedziało w Jaskini i dzieliło się między sobą czterdziestoma tysiącami guldenów. M, R, K i C.

Brakowało tylko Z i Q. B też była nieobecna, ale nikt już jej nie zaliczał do pełnoprawnych członków Stowarzyszenia.

Dziesięcioletniej dziewczynki o grubych rudobrazowych włosach i dobrym humorze też tam nie było.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Rosemarie Kuijvers prawie nigdy nie chodziła do restauracji. Gdyby policzyć – czego sama raczej nie robiła – to przez ostatnie dziesięć lat nazbierałoby się może pięć czy sześć razy.

Ale teraz były osiemdziesiąte urodziny jej męża Roberta i wyjście już dawno zostało zaplanowane. Wszystkim zajęli się synowie Aron i Paulus z żonami Dilmą i Konstaną. Stolik zarezerwowali w restauracji hotelu Żagłowiec trzy miesiące wcześniej, a menu przedyskutowali do najmniejszego szczegółu. Robert Kuijvers zawsze oszczędzał na jedzeniu, a z wiekiem jego podejście wcale się nie rozluźniało.

Uroczystość nie przewidywała obecności wnucząt, bo tego już byłoby za wiele. Było ich siedmioro, w różnym wieku, między dwa a piętnaście lat, w dodatku żadne z nich w dostatecznym stopniu nie posiadało sztuki zachowania się przy stole. Poza tym co za dużo, to niezdrowo, bez zbytku – tak brzmiała dewiza życiowa Roberta Kuijversa od czasu jego pierwszej komunii w kościele w Oosterby tuż po zakończeniu wojny. On i Rosemarie poznali się na kursie księgowości w Werdingen jesienią 1967 roku. Mniej więcej w tym samym czasie zmarła na białaczkę pierwsza żona Roberta, Emiliana. Ta tragedia miała miejsce w maju, ale z tej nieszczęsnej kobiety życie wypływało powoli przez całe lata sześćdziesiąte, jak to opisywał Robert, kiedy czasami zachodziła potrzeba opowiedzenia o tamtym okresie jego życia. Nie mieli dzieci. Gdyby Robert od początku wiedział, jak marnej konstrukcji zdrowotnej była Emiliana, pewnie nigdy by jej się nie oświadczył tamtego lata w Kaalbringen. Ale miał wtedy

zaledwie dwadzieścia jeden lat. A gdy zapisywał się na kurs księgowości, skończył trzydzieści pięć i skoro Emiliany już nie było, potrzebował kogoś, kto by się zajął rachunkami gospodarstwa w Westerhejde. Niech mówią, co chcą o jego nieszczęsnej pierwszej żonie, ale księgowość miała w małym palcu.

Rosemarie Lingen, jak się wtedy nazywała, była młodsza od Roberta, choć niewiele. Za namową swojego pracodawcy Anselma Tomsona z Tomson & Fritzes Ogrodnictwo poszła na kurs, który podniósłby jej kwalifikacje, a co za tym idzie, dał szansę na lepiej płatną posadę w dobrze prosperującej firmie, w której pracowała już od roku. Jednak tego, że siedem miesięcy po rozpoczęciu kursu wyjdzie za mąż i zostanie żoną rolnika, nie było w planach.

Tych dwojga również, ale niezbadane są wyroki boskie. Gdyby Robert wtedy znał przeszłość Rosemarie, możliwe, że poszukałby sobie innej żony-księgowej. Z drugiej jednak strony Rosemarie od samego początku mówiła, że ma trochę „skomplikowaną” przeszłość, ale że to już zamknięta sprawa i nie ma potrzeby tego rozgrzebywać. Pod żadnym warunkiem i z nikim. Prawdopodobnie dało to do myślenia Robertowi Kuijversowi, ale szczerowość Rosemarie bardzo mu zaimponowała, szybko więc przystał na jej warunki.

Przez czterdzieści cztery lata dotrzymał obietnicy i nigdy o nic nie zapytał.

Dobrze wiedział, że Rosemarie piętnaście lat spędziła w klasztorze – nie było to tajemnicą – i ten „skomplikowany” okres w jej życiu nastąpił pewnie dopiero po tym, jak zrzuciła habit zakonnicy. Ale w tym Robert też nie grzebał i nie szukał żadnych odpowiedzi. Milczał jak zaklęty.

Rosemarie była mu za to wdzięczna, a także za wiele innych rzeczy. Że znów odnalazła Boga, na przykład. A raczej że zrozumiała, iż On jej wcale nie opuścił. Nigdy jej nie opuścił. Wkrótce też pojęła, że i ona Go nie opuściła.

Mimo hańby i potępienia. Mimo ostrych słów siostry Ambrozji. Mimo rozstania i wszystkiego, co się zdarzyło w Maardam i Hamburgu. Pan tam był i ona tam była, a kiedy udało jej się odciąć grubą kreską lata błędzenia, desperacji i szaleństwa, pojednanie w naturalny sposób stało się jej powtórnymi narodzinami. I to nie Bóg klasztorny przyjął ją do siebie, tylko Bóg

z dzieciństwa, ten sam, dzięki któremu potem weszła do zamkniętego świata sióstr Elżbietanek. Tak właśnie było i jeśli nawet stało się to, co się stało, ani przez chwilę nie żałowała tych piętnastu lat spędzonych za grubymi murami klasztoru. Potraktowała je jako jeden z epizodów na drodze swego życia, bo przecież wszystko ma swój czas, a Pan nie osądza. Jest łaskawy i wybaczący, nie zaś srogi i karzący. Jego Kościół to szpital dla grzeszników, a nie muzeum dla świętych.

Robert Kuijvers też był wierzący, ale się z tym nie obnosił. I o tym nie rozprawiał. Mąż Rosemarie nigdy nie rzucał słów na wiatr. Ona zaś najbardziej szanowała w nim prawość i wierność. Tak zawsze u niego znaczyło tak, a nie znaczyło nie – i właśnie tak było między małżonkami już od momentu, kiedy to w pewien wielkanocny dzień 1968 roku w kościele w Oosterby wzięli ślub.

A teraz siedzieli tutaj, ona i Robert, ich synowie i synowe, w szóstkę, żeby uczcić ten piękny wiek Roberta, osiemdziesiąt lat. Tymczasem w Rosemarie znów budziły się demony przeszłości.

Wszystko z powodu tej czwórki, która siedziała przy oknie. Rosemarie zauważyła ich, kiedy tylko weszli do restauracji, pół godziny wcześniej. Bez problemu rozpoznała troje z nich. Ale kim była kobieta w ich towarzystwie, nie miała pojęcia.

Właściwie uznała to tylko za upomnienie. Stare demony obudziły się już miesiąc wcześniej, kiedy przeczytała o wszystkim w „Neuwe Journaal”, małej lokalnej gazecie, którą wrzuca się do skrzynki pocztowej sześć dni w tygodniu i którą Rosemarie czytała od deski do deski przy porannej kawie, zawsze między wpół do siódmej a siódmą rano. Obecnie ich ziemia była w dzierżawie, więc dzień nie był wypełniony ciężką pracą; mieli jedynie małe stadko kur i kota – zwierzęta, które dbały same o siebie dwadzieścia trzy godziny na dobę. A więc żadnej odpowiedzialności, ale jeśli człowiek całe życie wstawał wcześnie rano, to niesztybko się od tego odzwyczaja. Robert, pewnie z racji wieku i pozycji gospodarza, lubił dłużej pospać i nigdy nie pojawiał się w kuchni przed wpół do

ósmej. Poranna godzina w samotności, z kanapką, kubkiem kawy i gazetą, była czasem błogosławionym. I choć Rosemarie nigdy by się do tego nie przyznała, to już w niedzielę wieczorem cieszyła się na przyszły ranek.

I właśnie jednego z takich poranków przeczytała o tym, że zostało znalezione jakieś ciało i że przypuszczalnie ma to związek ze strasznymi wydarzeniami z 1991 roku. Z pożarem pensjonatu U Molly. To jeden z najgorszych rozdziałów w historii Oosterby, posługując się sformułowaniem jednego z dziennikarzy. A on z całą pewnością nie wiedział tego, co wiedziała Rosemarie Kuijvers.

Nie tyle nie wiedział, ile wręcz o niczym nie miał pojęcia – to chyba lepsze sformułowanie. Albo nie przypuszczał. Czy może nie mógł sobie nawet wyobrazić. Ona obawiała się tego przez dwadzieścia jeden lat, tak, przez cały ten czas. Czy ta obawa, którą wprawdzie pokrył całun zapomnienia i która z braku pożywki została pogrzebana w niepamięci, teraz, w ciągu tych kilku minut przy kuchennym stole, w ten wrześnieowy poranek, potwierdziła się?

Zaledwie miesiąc temu. Nikomu o tym nie powiedziała, naturalnie, że nie, ale chodziło jej to po głowie na okrągło, w dzień i w nocy. Czy to nowe ciało – chociaż tak naprawdę dość stare – oznaczało to, co jej się wydaje? Że, jak twierdzili w „Neuwe Journaal”, policja dwadzieścia lat temu się pomyliła? I że to on stał za tamtymi wydarzeniami?

On?

Czy on w ogóle jeszcze żyje? Powinien mieć jakieś sześćdziesiąt cztery lata, więc czemu by nie? Gdzie w takim razie teraz jest? Gdzieś w pobliżu? Czy gdzieś w świecie, bez czci i honoru, jak to się mówi?

Rozpoznała go w 1969 i rozpoznała go w 1991, ale czy rozpoznałaby go dzisiaj?

Tak długo był związany z jej życiem, więc gdy ich drogi się rozeszły, przez kilka lat czuła się, jakby amputowano jej część ciała.

W końcu jednak podjęła decyzję i udało jej się uratować samą siebie.

Na próżno straciła połowę swojego serca, ale taka była cena. Takie warunki postawiło życie, w każdym razie wobec niej.

On, który kiedyś nazywał się Kristian, a nawet Kristen, potem zmieniał nazwiska jak rękawiczki. Ale kto by za takim trafił?

Aron zaczął przemowę. Było już po deserze, więc najwyższy czas. W przeciwieństwie do ojca zawsze miał dużo do powiedzenia i kiedy teraz mówił o dobrze wszystkim znanych wydarzeniach i przytaczał wielokrotnie słyszane anegdoty – mimo iż przy stole miał tylko pięcioro słuchaczy – wzrok i myśli Rosemarie wędrowały w kierunku stolika przy oknie.

Byłego szefa policji Wilkersona.

Nowego... jak on się nazywał? Raskolnikov? Nieee... ale jakoś podobnie.

Tego słynnego komisarza z Maardam, tego samego, który był tu w związku z pożarem dwadzieścia lat temu i który tak jak wszyscy się pomylił. Obaj są już pewnie na emeryturze...

I tej przystojnej starszej kobiety, może jego żony, bo właśnie na jego żonę wyglądała.

Ale dlaczego tu wrócił i dlaczego siedzą w Żaglowcu i o czymś dyskutują? Tak, to odpowiednie słowo: dyskutują. Wprawdzie jedzą i piją, ale mają poważne i zafrasowane miny, a ten Raskolnikov czy jak mu tam trzyma nawet przed sobą notes. Dlaczego?

Istniała tylko jedna odpowiedź. Ciało, które znaleźli miesiąc temu i o którym wszyscy przez te długie lata myśleli, że jest ciałem sprawcy – tego samego, który podpalił pensjonat U Molly i zabił cztery osoby – tak naprawdę jest ciałem ofiary. Ofiary, która zginęła tego samego wieczoru co pozostali, a to oznacza, że mordercą musiał być ktoś zupełnie inny. Czy nie to Rosemarie Kuijvers wiedziała przez cały ten czas?

Nie, nie wiedziała. Przypuszczała, tego się obawiała... co najwyżej. Jednocześnie rozumiała, że nie może się tak usprawiedliwiać w nieskończoność. Przecież ma już siedemdziesiąt osiem lat i jeśli w następnym tygodniu czy za miesiąc umrze bez wyjawienia swojej tajemnicy, to prawda pójdzie z nią do grobu. A nie?

Kto zaś chciałby spojrzeć w oczy Świętemu Piotrowi i Naszemu Panu z takim ciężarem na plecach?

Kiedy więc dyskretny zegar ścienny nad głową jej męża wybił dziesiątą wieczorem, a syn nareszcie skończył swoją mowę, Rosemarie Kuijvers podjęła decyzję.

Wrzesień 1991, Oosterby i okolice

Birgitte Behrens żałowała, że nie jest teraz gdzie indziej. Gdziekolwiek, a im dalej, tym lepiej.

Ale nie była. Leżała tu, gdzie leżała. Na wąskim łóżku w pokoju numer osiem w pensjonacie U Molly, a dokładniej nieopodal sennego nadmorskiego miasteczka Oosterby, czekając na kolację.

Było dwadzieścia po szóstej. Już po drinkach powitalnych. Birgitte wypila trzy kieliszki czegoś musującego, co wprawdzie nie było szampanem, ale działało szybciej i odważniej, niż powinno. Napięta atmosfera raczej tego wymagała, takiego wątpliwego wytłumaczenia się trzymała. Człowiek czuje się swobodniej, jeśli jest trochę podchmielony.

Chociaż stało się odwrotnie.

Ja tu nie wytrzymam, pomyślała. Przecież nie usiedzę z tymi ludźmi przy jednym stole przez tyle godzin. Nie znałam ich wtedy, tym bardziej nie znam ich teraz. Co ja tu, do cholery, robię?

Argument, że to nie ona, że to jej odważna i pewna siebie siostra, nie wiadomo dlaczego, ale nie pomagał. Poczula to już w czasie niemrawych rozmów na werandzie, a teraz, kiedy leżała na niewygodnym łóżku, pod powłoką żalu i z pulsującymi skroniami, czuła to jeszcze bardziej. Oprócz wybrzuszeń łóżko jeszcze przy każdym ruchu wydawało skrzypiące odgłosy. Jakby jej towarzystwo bardzo mu przeszkadzało.

Hotel Carmen był okropny, pensjonat U Molly – jeszcze gorszy, skonstatowała i gorzko się uśmiechnęła na tę myśl. To punkt zwrotny. Już nigdy

nie ulegnę naciskom mojej siostry. Nigdy.

To już coś.

A więc punkt zwrotny? Tak, kiedy ten tydzień dobiegnie końca, zaczniesz nowe życie. Czy tego chcesz, czy nie.

Nowa praca, nowe mieszkanie, wszystko nowe. Życie z Carlem to już przeszłość. Szpital w Gemejnte to już przeszłość. Mieszkanie na Weivers Steeg w Maardam to już przeszłość. Szpital w Lemborku, jej nowe miejsce pracy, przyjmie ją z otwartymi rękami. Brakuje wykwalifikowanych pielęgniarek, a jej nowy dom na obrośniętej lipami ulicy o nazwie Balderslaan, na który zdecydowała się po półgodzinnym namyśle, będzie gotowy już piętnastego października. Tak obiecał jej szef ekipy remontowej, pan Dobrowolski.

Tak, była przed nią jakaś przyszłość. I pomyśleć, że musi sobie o tym przypominać. Zanim te zdradzieckie bąbelki opuściły ciało, próbowała odsunąć myśli od swojej obecnej, lekko klaustrofobicznej sytuacji. Wydało jej się dziwne, że ona i Clara – mimo wszystko, mimo różnic gdzieś tam wewnątrz – mają takie samo wykształcenie. Taką samą pracę. Czy było coś, co nimi kierowało? Wprawdzie przez ostatnie pięć lat Clara nie pracowała w służbie zdrowia, a w zasadzie w ogóle nie pracowała, odkąd była w ciąży z Leonem, ale teraz, kiedy rzeczywiście się rozwiedzie z tym okropnym Hugonem, może znów zaczniesz? Może będzie musiała?

A może ten jej Kostadino jest tak dobrze sytuowany, że nie będzie potrzeby pracować? Birgitte nie miała pojęcia. Jeszcze nie poznała tego mężczyzny o tak dziwnym imieniu.

Czy to w ogóle było coś poważnego? Tego też nie wiedziała. Powaga to coś, co z trudem da się powiązać z Clarą Behrens.

A mały Leon? Co się z nim stanie? Może ciocia znów będzie miała więcej kontaktu ze swoją siostrą? Przecież to leży w granicach możliwości? Takie małe przemyślenia na pocieszenie.

Mniej więcej do tego momentu doszła w swoich chwiejnych rozważaniach, kiedy usłyszała słabe pukanie do drzwi.

To był Rejmus.

Rejmus Fiste. Oczywiście.

– Mogę wejść?

Birgitte usiadła na brzegu łóżka i skinęła głową.

– Jasne...

Rejmus wszedł do środka. Ostrożnie zamknął drzwi.

– A może wolisz być sama?

Czy widać po niej, że nie czuje się najlepiej?

– Nie, wejź... w moje skromne progi.

Rejmus usiadł przy zniszczonym stole przy oknie.

– Pomyślałem... pomyślałem, że chętnie się dowiem, jak się miewasz, co porabiasz. Niełatwo się rozmawia, kiedy wkoło tyle ludzi.

Birgitte założyła włosy za uszy, wyprostowała się i nagle stała się Clarą.

– Jest okej. Może być. A co u ciebie?

– Dzięki, w porządku – odpowiedział Rejmus i uśmiechnął się nieśmiało. – Nie mogę się skarżyć... na nic.

– Fajnie cię znowu widzieć. Wierzyć się nie chce, że to już tyle lat...

– Połowa życia – dodał Rejmus. – To znaczy... nie byliśmy jeszcze w połowie tak starzy jak teraz, kiedy nasze drogi się rozeszły...

– Zgadza się – powiedziała Birgitte Behrens. – Czas płynie cholernie szybko.

Paplanina. Rozmawialiśmy już o tym z siedem razy podczas drinków, pomyślała Birgitte. Spodziewała się spotkania z Rejmusem w cztery oczy. To znaczy, myślała już o tym parę dni wcześniej, ale teraz i tak czuła się nieprzygotowana. Kiedyś on i Clara byli parą, choć z przerwami, to jednak kilka lat, o ile dobrze pamiętała – więc to oczywiste, że będzie chciał skorzystać z okazji. Zdziwiłaby się, gdyby było inaczej.

Skorzystać z jakiej okazji? Rejmus nie był jedynym chłopakiem, z którym spała jej siostra w czasach licealnych, bynajmniej. I Birgitte była przekonana, że Rejmus dobrze o tym wiedział. Ale jak się rozmawia z facetem, z którym wiele lat temu było się w łóżku dwanaście czy nawet dwadzieścia razy? Który

w dodatku był tym pierwszym? Może wcale nie byłoby łatwiej, gdyby faktycznie była swoją siostrą?

– Nie jesteśmy już tacy sami – powiedziała z nadzieją, że Rejmus zrozumie tę podsumowującą replikę. I że wcale nie ma ochoty na zagłębianie się i szukanie powiązań między przeszłością a teraźniejszością. I kiedy ukradkiem go obserwowała, jak siedział lekko skurczony, z rękami złożonymi między kolanami, uświadomiła sobie, że on wcale nie ma żadnych oczekiwań. Wprawdzie dawniej był bardzo przystojny, poza tym śpiewał w kapeli rockowej i na pewno podobał się wielu dziewczynom, ale też był nieco zagubiony i nieśmiały – i wtedy, i teraz. Nie było najmniejszych wątpliwości, że to Clara trzymała stery w tym ich tak zwanym związku.

Jak zwykle, pomyślała Birgitte, powstrzymując westchnienie. Jej siostra zawsze trzymała stery, w sprawach małych i dużych, choć niewiele to pomagało, skoro i tak rzadko omijała mielizny życia.

Mielizny życia? Banał nad banały. Birgitte nie mogła się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć, i nagle zrobiło jej się żal tego biednego Rejmusa Fiste. Kiedyś udało mu się dotrzeć do czegoś prawie że nieosiągalnego, z czysto fizycznego punktu widzenia, a teraz siedział tutaj i znów szukał jakiegoś rodzaju potwierdzenia. A może chodziło o coś innego?

– Co o tym sądzisz? – zapytał. – To znaczy...

Zawahał się. Birgitte skinęła głową, żeby zachęcić go do rozwinięcia tego, co chciał powiedzieć. Może potwierdzi jej wahania.

– Po co my tu jesteśmy? – dokończył. – Trzeba przyznać, że to trochę dziwne... to całe spotkanie... Nie masz takiego wrażenia?

– Owszem – odpowiedziała Birgitte. – Zgadzam się. Ale musimy spróbować jakoś się w tym odnaleźć.

Jeszcze jeden głupi komentarz. Rejmus wstał. Odwrócił się do niej plecami i spojrzał przez okno. Włożył ręce do kieszeni i wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Skąd jednak mogła mieć pewność, widząc jedynie te obce plecy? Ale było coś niewypowiedzianego – a może tylko jej się wydawało, że chce coś

powiedzieć, ale nie wie jak. Coś, co nie ma nic wspólnego z dawnym związkiem. Prawdopodobnie.

– Nad czym tak rozmyślasz? – zapytała Birgitte, żeby mu trochę pomóc. – Miałeś z kimś jakiś kontakt... to znaczy przez ten ostatni czas?

Rejmus potrząsnął głową, nie odwracając się.

– Ja zupełnie straciłam z nimi kontakt – dodała Birgitte.

– Bywa i tak.

Rejmus westchnął i znów usiadł na krześle. Spojrzał na nią wzrokiem, który miał w sobie coś nagiego. Jakby szukał zrozumienia. Boże, pomyślała Birgitte, przecież musieli chyba ze sobą rozmawiać, a nie tylko się pieprzyć... Może znaczył więcej dla Clary, niż jej się wydawało? Nawet jeśli jej siostra była, jaka była, to przecież miała chyba... duszę?

– To, co się stało... – zaczął.

– Tak?

Teraz pewnie powie, że nigdy mnie nie przestał kochać, pomyślała. Cholera.

– Jak sądzisz? Dlatego tu jesteśmy?

– Nie bardzo... nie bardzo rozumiem...

Bo nie rozumiała. Ale rozumiała, że jej talenty aktorskie powoli zaczynają się wyczerpywać. Rejmus zagryzł wargi i szukał właściwych słów.

– W końcu wszyscy braliśmy w tym udział...

W czym braliśmy udział? Birgitte poczuła panikę.

– No tak... I uważasz, że to właśnie z tego powodu się tu spotykamy, tak? To masz na myśli?

Rejmus spojrzał na nią nieco zdziwiony.

– A inni tak nie myślą? Przecież wzięliśmy pieniądze... I właśnie...

– Tak?

– I właśnie dlatego nie mamy ze sobą kontaktu. Nawet nigdy o tym nie rozmawialiśmy... Wszyscy nagle się jakby rozplnęli. A najbardziej rozplnęłaś się ty. Myślałem, że chociaż ty i ja możemy o tym porozmawiać.

O czym on mówi? – zastanawiała się Birgitte. O czym on chce, do cholery, rozmawiać?

– Tak, masz rację – powiedziała. – Ale byliśmy wtedy młodzi i głupi.

Birgitte spodobały się jej własne słowa, ale zauważyła w jego wzroku coś nowego. Jakby sobie coś nagle uświadomił.

– Młodzi i głupi?

– Tak.

– Jasne, młodzi i głupi – odparł. – Ale to nas nie usprawiedliwia.

– Masz rację, może nie...

Rejmus siedział w milczeniu i obserwował ją. Rozłożył ręce, a po chwili je złożył. Minęło milion sekund, a ona uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech.

– Poczekaj – powiedział nagle. – Chyba już rozumiem, o co tu chodzi... Tak, chyba tak... I przepraszam.

Wstał z krzesła.

– Za co mnie przepraszasz? I co... co takiego zrozumiałeś?

Rejmus znów się zawahał. Przeciągnął dłonią po brodzie i po policzku, jakby sprawdzał, czy się dokładnie ogolił. Domyślała się, co jej powie, zanim on jeszcze to wiedział.

– Ty nie jesteś Clara. Jesteś Birgitte, prawda?

Przełknęła ślinę i skinęła głową.

– Będę wdzięczna, jeśli nikomu nic nie powiesz...

Miała wrażenie, że jeszcze coś chce powiedzieć, ale on pokiwał tylko głową i opuścił pokój.

Październik 2012, Oosterby i okolice

– Na czym skończyliśmy? – zapytał Wilkerson.

Zamówione desery nie zostały jeszcze podane. Sześć osób przy drugim stoliku – na pewno coś świętowały – zbierało się do wyjścia. Van Veeteren poczuł nagle silną ochotę na papierosa, jakiej nie miał od wielu lat, i zastanawiał się dlaczego. Może cygaro w tak uroczysty dzień? Przecież nie zaszkodzi?

– To stare śledztwo – przypomniał Radovic i skinął w kierunku Wilkersona. –

Na tym stanęliśmy. Pewnie nie ma to nic wspólnego z naszym obecnym problemem, ale może byś nam coś opowiedział. Słyszałem trochę o tym, ale dobrze by było usłyszeć to z pierwszej ręki.

– Tak – odparł Wilkerson i głośno odchrząknął. – Na pewno słyszałeś. To była cholernie głośna sprawa... i tragiczna... wyjątkowo tragiczna. Już nigdy się z tego nie podnieśli, biedacy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – przyznała Ulrike Fremdli. – Może zaczniemy od początku, co?

Ulrike spiorunowała wzrokiem Van Veeterena, który uświadomił sobie, że nigdy jej o tym nie wspomniał ani słowem. Uniósł brwi i przybrał przepaszający wyraz twarzy.

– Założę się, że nie ma w mieście osoby, która by o tym nie słyszała – powiedział Wilkerson. – I ci, którzy tu już wtedy mieszkali, i ci, którzy tu przyjechali później. Pisało się też sporo w gazetach... Tak, można powiedzieć, że odkąd pamiętam, mieliśmy w mieście dwa przestępstwa najcięższego kalibru.

Pożar pensjonatu U Molly to naturalnie numer jeden, a porwanie Madeleine Kettener bez wątpienia było numerem dwa.

– Porwanie? – zdziwiła się Ulrike.

– Porwanie – potwierdził Wilkerson poważnym tonem. – To najgorsze, co może spotkać policjanta... oczywiście ofiarę i najbliższych też... A kiedy porywają dziecko, to sprawa robi się cholernie delikatna. Negocjacje i niepewność to jak... sam nie wiem, jak to nazwać.

– Kiedy to było? – zapytała Ulrike.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym – odpowiedział Wilkerson. – W tym samym roku, kiedy nasi wygrali mistrzostwa... dwadzieścia jeden lat przed Molly... nie, już będzie dwadzieścia dwa. A niech mnie szlag.

– I jedno z drugim nie ma nic wspólnego, tak? – zapytała Ulrike.

– A co mecz piłkarski miałby mieć wspólnego z porwaniem? – zapytał zdziwiony Wilkerson.

– Nie. Chodzi mi o porwanie i o Molly – doprecyzowała Ulrike.

– Aa, o to... – odparł Wilkerson i wzruszył ramionami. – A co ma piernik do wiatraka? Wydaje mi się raczej...

– Przepraszam – przerwał mu Van Veeteren – ale przypomniałem sobie coś, co zawsze mówił stary Borkmann... był moim mistrzem i nauczycielem całe wieki temu... Twierdził, że jeśli dwa poważne przestępstwa zostały popełnione w jednej miejscowości w okresie, powiedzmy, stu lat, to prawdopodobieństwo, że jakoś się ze sobą łączą, jest większe niż to, że nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Co takiego? – zapytał Wilkerson.

– Rzeczywiście? – spytał Radowic.

– Ma się rozumieć, to tylko statystyka – dodał Van Veeteren.

– Nigdy mnie nie interesowały statystyki – stwierdził Wilkerson. – Bo w ten sposób wszystko można udowodnić, cokolwiek.

– Idźmy dalej – zaproponowała Ulrike. – A więc co takiego wydarzyło się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym? Chodzi mi o porwanie, a nie o mecz...

– Zrozumiałem – potwierdził Wilkerson. – Jak już mówiłem, pod koniec stycznia zaginęła mała dziewczynka. Miała dziesięć lat, jeśli dobrze pamiętam, i bardzo dobrze... sytuowanych rodziców. Kettenerowie mieli najładniejszy dom w mieście, on był reżyserem, spali na pieniądzech... Idealny obiekt dla porywacza, można by powiedzieć. Mieli też syna, kilka lat starszego od siostry, i wszyscy mówili, że coś z nim było nie tak, choć wydaje mi się, że mimo to został profesorem czy jakimś... naukowcem.

– Jak do tego doszło? – ponaglał Radovic.

– Do czego? – zapytał zbity z tropu Wilkerson.

– Do porwania – odparł Radovic i uśmiechnął się z wyrozumiałością.

– Klasyka – odpowiedział Wilkerson i zmarszczył brwi. – Tak to przynajmniej wyglądało, chociaż muszę powiedzieć, że porywacz nie miał dużego doświadczenia w porwaniu dzieci.

Van Veeteren zastanawiał się, czy powinien wkroczyć i podsumować tę smutną historię, ale nie zdążył, bo były szef policji odchrząknął i zaczął mówić dalej:

– Hmm... Madeleine Kettener... tak się nazywała dziewczynka... została uprowadzona pod koniec stycznia przez jakiegoś drania albo kilku drani. Natychmiast nawiązaliśmy kontakt z rodzicami, jeszcze zanim porywacze się odezwali. List z żądaniem okupu przyszedł następnego dnia, czyli w poniedziałek, o ile się nie mylę... A to znaczy, że musiał być wysłany jeszcze przed porwaniem dziewczynki... Niestety, nie mieliśmy żadnego pożytku z techników, jeśli chodzi o sam list... żadnych odcisków palców, nic, zwykła koperta... Kwota, jakiej zażądali za uwolnienie żywej dziewczynki, wynosiła sto tysięcy guldenów.

– Sto tysięcy guldenów? – odezwała się Ulrike. – Ile to by było dzisiaj?

– Sporo – odpowiedział Radovic. – Jakieś ćwierć miliona euro. Ale stać ich było. Kettenerowie byli zamożni.

– I gotowi – dodał Wilkerson. – Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Podjęli decyzję, że będą współpracować z porywaczami, a policję trzymali na

dystans... Oczywiście zostali poinstruowani przez porywaczy, że jeśli włączą w to policję, dziewczynka umrze. Ale to norma w takich sytuacjach, czyż nie?

Spojrzał na Van Veeterena, oczekując potwierdzenia. I otrzymał je.

– Trzeba powiedzieć, że od samego początku trzymaliśmy się z tyłu – kontynuował Wilkerson i serwetką wytarł czoło. – Staliśmy w tle i czekaliśmy. Nie wolno nam było zrobić żadnego ruchu. Nie twierdzę, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy od początku mogli się włączyć, ale kto wie...

– I jak to się skończyło? – zapytała Ulrike niecierpliwie.

– Skończyło się, jak skończyło – skostatował Wilkerson z przygnębieniem w głosie. – Okup został zapłacony... To było dość skomplikowane i trzeba przyznać, sprytnie pomyślane... Mam na myśli przekazanie pieniędzy. Jeśli dobrze pamiętam, wszystko odbyło się pięć, sześć dni po porwaniu, ściśle według wskazówek porywacza. Jak mówiłem, my cały czas trzymaliśmy się z tyłu, poza nami nikt nic nie wiedział... czyli tylko trzech, czterech policjantów i Kettenerowie. Żadnej informacji w gazetach, w szkole powiedziano, że dziewczynka ma grypę i przez jakiś czas pozostanie w domu... Tak, trzeba przyznać, że ani z naszej strony, ani ze strony rodziców nie został popełniony żaden błąd. Najważniejsze było, żeby dziewczynka wróciła do domu żywa. Tyle że dziewczynka...

Czy on tylko zrobił przerwę, czy zaszlochał? – zastanawiał się Van Veeteren. W każdym razie w jego głosie wyczuwało się wyraźne drżenie.

– ...dziewczynka nigdy nie wróciła...

Kelner nareszcie pojawił się z deserem. Van Veeteren pomyślał, że po raz pierwszy spotyka się z tak kiepskim wyczuciem czasu. Popatrzył na swój crème brûlée i zastanawiał się, co on, do diabła, robi na stole.

– Nie wróciła? Jak to? – zapytała Ulrike.

– Została znaleziona nieżywa trzy miesiące później – powiedział Wilkerson. – Na początku maja. To był straszny cios dla rodziców. Wyprowadzili się jeszcze tej samej jesieni.

– Powód zgonu? – zapytał Radovic. – Zdaje się, że miała skręcony kark, tak?

– Zgadza się – odparł Wilkerson. – I raczej on jej to zrobił. Ciało zostało znalezione w zaroślach nad jeziorem Malvern, blisko Gorlach, ponad dwieście kilometrów stamtąd. Według lekarza sądowego nie żyła już od co najmniej dwóch miesięcy... Niech to szlag, straszna sprawa.

– A on? – spytała Ulrike. – Czy to znaczy, że...?

– Że złapaliśmy tego skurwysyna? Tak – powiedział Wilkerson i wyprostował się, świadomie albo nie. – Okropny typ, jeszcze nigdy nie spotkałem takiego psychopaty.

– Zdaje się, że się przyznał, prawda? – upewniał się Van Veeteren. – Czy się mylę?

– Przyznał się do pewnego stopnia – sprostował Wilkerson. – Do uprowadzenia dziewczynki i wzięcia pieniędzy, ale twierdził, że zmarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Łajdak!

– I sąd to kupił? – zapytał Radovic.

– I tak, i nie. Wstyd i hańba. Porwanie i nieumyślne spowodowanie śmierci... A przecież to było zabójstwo... Dwadzieścia lat. Widziałem go w sądzie przy ogłoszeniu wyroku i miałem wrażenie, że ten skurwysyn się uśmiechał.

– Jak go złapaliście? – zapytała Ulrike.

– Dostaliśmy anonim – odpowiedział Wilkerson. – Gazety już się o tym rozpisywały. Kiedy Boris Kettener uświadomił sobie, że porywacz sobie z nim pogrywa, puściliśmy informację do publicznej wiadomości... To był okropny stres, przez cały ten czas... Cała masa pismaków, którzy nie mieli pojęcia o pracy policjanta... i wszyscy oni nadawali na nas jak wściekłe psy, a potem, kiedy go wsadziliśmy za kratki, nawet się nie zająknęli... żadnego przepraszam.

– Kto to był? – zapytał Van Veeteren. – Nie pamiętam, żebyście o nim wtedy wspominali.

– Wszystko to było takie mętne... – odparł Wilkerson speszony i podrapał się po brodzie. – Twierdził, że nazywa się Leopold Kransky... W każdym razie miał

legitymację na takie nazwisko... i fałszywy paszport... Tyle że nie znaleźliśmy go w bazie danych.

– Narodowość? – zapytała Ulrike.

– Niemiecki paszport – powiedział Wilkerson. – Ale, jak mówiłem, fałszywy. Tak, jego narodowość pozostała zagadką.

– A co sam twierdził? – zapytał Van Veeteren.

– Nic. Milczał jak grób. Podał nazwisko i powiedział, że porwał dziewczynkę. Powód: potrzebował pieniędzy. Dziewczynka zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, ale nie powiedział jak... Owszem, z powodzeniem można stwierdzić, że to była zagadka. Cholernie nieprzyjemna zagadka.

Po tym podsumowaniu przy stole zaległa cisza. Z pewnym wahaniem zatopili łyżeczki w deserze, a kawę popijali małymi łykami. Van Veeteren spojrzął na żonę siedzącą po przeciwnej stronie stołu i pomyślał, że powinni byli pojechać do tej Nowej Zelandii. I że jest już zmęczony zagadkami. To jak ukąszenie mrówki – człowiek nie chce, żeby swędziało, ale nie jest w stanie przestać się drapać. Choć może to marne porównanie, pomyślał. Bo ukąszenie mija, niezależnie od tego, czy się je leczy, czy nie, a zagadki człowiek zabiera ze sobą do grobu.

– Ten anonim – zaczął nagle Van Veeteren – dzięki któremu go złapaliście... był z niewiadomego źródła, tak?

– Zgadza się – potwierdził Wilkerson. – List. Nie było w nim nazwiska Kransky'ego, ale po numerze rejestracyjnym samochodu doszliśmy, że... że właścicielem był Leopold Kransky. Dorwaliśmy go w jego mieszkaniu... w Port Hagen.

– I co? Od razu się przyznał?

– Skądże znowu. Ale w końcu widać uznał, że stawianie się jest bez sensu.

– Dowiedzieliście się, kto wysłał ten anonim? – zapytała Ulrike.

Wilkerson potrząsnął głową. Widać było, że walczy ze zmęczeniem.

– Do diabła, nie – wymamrotał. – Ale też nie mogę powiedzieć, że jakoś strasznie nam na tym zależało... W końcu złapaliśmy sprawcę... To

wystarczyło.

– Ktoś mu przy tym pomagał? – zapytał Van Veeteren. – Przy porwaniach raczej nie działa się w pojedynkę?

– Co? – zapytał Wilkerson.

– Wspólnik – uściślił Van Veeteren. – Miał kogoś takiego czy działał sam?

– Nie mam pojęcia – powiedział Wilkerson. – Chyba był sam... chociaż, z drugiej strony, nie szukaliśmy... Gdyby tak było, Kransky by pewnie coś powiedział, prawda? Myślę, że... Nie, straciłem wątek...

Komisarz Radovic spojrział na zegarek.

– Straszna historia – skonstatował. – Ale jak już zostało powiedziane, trudno mi uwierzyć, że miało to jakikolwiek związek z pożarem pensjonatu. Nie sądzicie?

– Co się teraz dzieje z tym Kranskym? – zapytała Ulrike.

Radovic popatrzył na Van Veeterena, Van Veeteren popatrzył na Wilkersona, a ten wyjrzał przez okno i ziewnął.

– Diabli go wiedzą – powiedział. – Albo żyje, albo nie.

– Dogłębna analiza – skwitował Van Veeteren.

– Chyba nie siedzi wciąż w więzieniu? – zapytała Ulrike.

– Jeśli nawet, to nie za porwanie Madeleine – opowiedział Wilkerson po chwili przerwy. – Minęło już czterdzieści lat. Chociaż łatwo mogę sobie wyobrazić, że nie skończył z tym... fachem... że tak to nazwę. Była z niego wyjątkowa świnia, ale to już pewnie mówiłem...

W chwili konsternacji Van Veeteren usiłował wyobrazić sobie, jak wygląda wyjątkowa świnia, potem jednak uświadomił sobie, że pora już kończyć spotkanie. Były komisarz policji Wilkerson wyglądał na zmęczonego i miał lekki wytrzeszcz, ale czy to było wino, czy wysiłek umysłowy, czy może za dużo gadaniny, trudno rozstrzygnąć. Był przecież dziesięć lat starszy niż Van Veeteren, co już samo w sobie zasługiwało na uwagę. Van Veeteren spojrział na Ulrike i zobaczył, że ona myśli to samo.

– Sądzę, że na tym skończymy – zaproponował. – Przynajmniej na dzisiaj. Ale dobrze było to jeszcze raz przewalkować. Teraz tylko trzeba mieć nadzieję, że inspektorowi Radovicowi uda się pójść dalej. Przykro mi, że to po sobie zostawiliśmy... Zagadki mają to do siebie, że kiedy pokryje je kurz czasu, stają się coraz trudniejsze do rozwiązania.

– Bardzo poetyckie wyrażenie: zagadki pokryte kurzem czasu – rzekła Ulrike Fremdli dziesięć minut później, kiedy siedzieli w taksówce. – I wnikliwe.

– Zrobiło się już późno – odparł Van Veeteren. – Więc co innego mogłem powiedzieć?

– Dam euro za twoje przemyślenia – oświadczyła Ulrike.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Kierowca zapytał, czy może włączyć muzykę, Ulrike nie miała nic przeciwko.

Przecież nie będzie słuchał naszej paplaniny, pomyślał Van Veeteren.

– I co ty na to? – zachęcała Ulrike.

– Chodzi ci o moje przemyślenia?

– Tak.

– Jeśli wciąż pracowałbym jako inspektor kryminalny... – zaczął, ale musiał przerwać, żeby zwalczyć zgagę. To ta późna kawa, pomyślał. Głupio.

– Wyobraźmy to sobie – pomogła mu Ulrike.

– Więc jeśli w dalszym ciągu byłbym na służbie – powtórzył raz jeszcze, choć nieco innymi słowami – to próbowałbym znaleźć kucharza i dziewczynę, która pomagała. Porozmawiałbym z nimi, to proste. Na pewno by nie zaszkodziło.

– Też tak myślę – dodała siedząca u jego boku pani psycholog policyjna i prywatna detektyw w jednej osobie. – Ten morderca musiał się przecież pojawić tamtego wieczoru. Wtedy nie było mowy o jeszcze jednej osobie, ale teraz jak najbardziej... Radovic zapewne rozmawiał z tą dziewczyną, prawda?

– Tak sądzą – westchnął Van Veeteren. – Nie czytałaś przesłuchania? Musi być w którejś z teczek. Zresztą teraz to już nie jest żadna dziewczyna.

– Hmm... – odparła Ulrike, ziewając. – Widać jeszcze nie doszłam do tego przesłuchania. Ale spróbuję to zrobić jutro, zanim rozpocznę przygotowania do twojego wielkiego dnia.

– To już pojutrze? – zdziwił się Van Veeteren.

– Tak. Pomyśleć, jak ten czas szybko leci... A mech rośnie.

– Nie przypominaj mi o tym – powiedział Van Veeteren. – Nie chcę żadnych wielkich przygotowań, chyba jasno się wyraziłem. Zobacz, do cholery, znów pada.

I faktycznie padało. Nagle deszcz zaczął walić w dach samochodu, tak że kierowca musiał włączyć wycieraczki na najszybsze obroty. Ulrike nie przychodził do głowy żaden komentarz – ani do nadchodzącego wydarzenia, ani do pogody, ale po minucie czy dwóch zapytała:

– A ten porywacz z sześćdziesiątego dziewiątego, co o tym sądzisz?

– Nic – odparł Van Veeteren. – Kompletnie nic. Ale lubię siedzieć w samochodzie, kiedy leje. Szczególnie kiedy jest ciemno, a ty siedzisz obok mnie na tylnej kanapie.

– Ale z ciebie bałamut – powiedziała Ulrike Fremdli i przysunęła się bliżej niego. – Poprosimy go, żeby jeszcze pojeździł z godzinę?

– Byle nie z tą muzyką – odparł Van Veeteren. – To powinien być Monteverdi.

– Możemy zasnąć przy Monteverdim, kiedy będziemy w pensjonacie.

– Jesteśmy już tak starzy? – zapytał Van Veeteren.

– Monteverdi zmarł na długo przed nami. Bach, Mozart i Beethoven też.

– Całe szczęście – powiedział Van Veeteren. – Piramidy też są już w dość podeszłym wieku, jak słyszałem.

1969, Oosterby i okolice

Trzydziestego pierwszego marca 1969 roku Stowarzyszenie Leworęcznych na dobre opuściło swoją Jaskinię na Dorffstraat. Nie odbyło się w związku z tym żadne zebranie czy posiedzenie, tylko krótkie, spontaniczne spotkanie, na którym obecni (Marten Winckelstroop, Rejmus Fiste, Kuno Blavatsky i Clara Behrens) już wiedzieli, że Stowarzyszenie rozwiązuje się na dobre, więc nie było potrzeby żegnania się i opłakiwania całej sprawy. Zbiór płyt starali się rozdzielić bardzo sprawiedliwie (głównie między Martena a Rejmusa), Kuno dostał sprzęt muzyczny – w końcu to on kiedyś za niego zapłacił – Clara oprawiony plakat z Jimem Morrisonem, a resztę rzeczy, po uprzednim uzgodnieniu, zostawili dla nowego najemcy, świeżo upieczonego hydraulika, który potrzebował lokalu. Niech zatrzyma, co będzie chciał, a resztę niech wyrzuci.

Kajdanek (mieli tylko jedną parę) i kilku innych rzeczy, które mogłyby rzucić światło na te straszne styczniowe dni, już dawno się pozbyli. Nikt z członków Stowarzyszenia ani reszty społeczności Oosterby nie wiedział, co się stało z Madeleine Kettener po pierwszym lutego. Dość długo wszyscy myśleli, że całe trio się ulotniło – a ściślej mówiąc, raczej dwoje z tria – ale to były tylko spekulacje, którymi nie dzielili się absolutnie z nikim. Bo oprócz zaginionej dziewczynki był jeszcze ten młody człowiek, który kazał na siebie mówić Zink, i młodszy od niego Qvintus Maasenegger. To o nich mowa. Ale pod koniec lutego w pewien piątkowy wieczór ten ostatni nieoczekiwanie pojawił się w lokalu i nawet jeśli trudno było o nim powiedzieć, że jest głoscielem prawdy,

to jednak natychmiast stało się oczywiste, że o rozwoju wypadków wie tyle samo co inni.

A może był kłamcą grubszego kalibru i wiedział więcej, niż twierdził.

Pozostał jeszcze Zink.

No i dziesięcioletnia Madeleine.

Trzeba więc było trzymać panikę na wodzy.

– Moim zdaniem najlepiej będzie, jak o wszystkim zapomnimy – zaproponował Qvintus Maasenegger.

I tak zrobili. Przynajmniej w oczach innych. Nie rozmawiali o tym i nie spekulowali. Francuski filozof Jean-Paul Sartre napisał znaną sztukę teatralną pod znamienym tytułem *Przy drzwiach zamkniętych* – Marten Winckelstroop zapamiętał ją i przynajmniej on jeden starał się podążać za jej treścią w niepisanym regulaminie Stowarzyszenia.

Na szczęście były też jeszcze inne kwestie, które musieli przemyśleć. W każdym razie ci najbardziej związani ze Stowarzyszeniem członkowie; w połowie maja czekały ich egzaminy maturalne, a potem miało się zacząć to, co górnolotnie nazywa się „prawdziwym życiem”. Członek numer pięć, to znaczy Maasenegger, już dawno je zaczął, bo nigdy mu nie zależało na wzbogacaniu wiedzy zdobytej w liceum Erasmusa w Werdingen. Ani w żadnej innej szkole. Oosterby opuścił w połowie marca, żeby rozpocząć, jak twierdził, pracę w browarze na południu Niemiec – to zatrudnienie pasowało jak ulał do jego charakteru i możliwości.

Z kolei Martenowi, Kunowi, Rejmusowi i Clarze – podobnie jak wielu innym, w tym także siostrze Clary, Birgitte (którą niezbyt długo zaliczali do grona pełnoprawnych członków Stowarzyszenia, mimo iż cały czas była tak samo leworęczna) – ten niespokojny czas upłynął gładko na przygotowaniach do matury. W ostatnim semestrze mieli niekończącą się liczbę egzaminów. Musieli napisać pracę o pokoju wersalskim, zaliczyć wykłady o cyklu reprodukcyjnym dżdżownic oraz o bitwie na Kosowym Polu i po nocach wkuwać wiedzę

z wszystkich możliwych dyscyplin przed egzaminami ustnymi, które miały się odbyć na przełomie kwietnia i maja.

Wtedy właśnie znaleziono ciało Madeleine Kettener.

Kuno Blavatsky leżał na łóżku w wynajętym pokoju w Werdingen, kiedy usłyszał tę wiadomość. Była dziewiąta wieczorem, od czterech godzin wkuwał koniugację czasowników francuskich, więc poczuł się zmęczony i włączył radio.

„Ciało dziesięcioletniej dziewczynki z Oosterby, uprowadzonej pod koniec stycznia, zostało znalezione dzisiaj rano w pobliżu...” – poinformował głos w radiu.

Resztę Kuno słyszał jak przez mgłę. Niczym głos z innej planety w niezrozumiałym języku. Wyłączył radio i leżał nieruchomo, wpatrując się w zaciek na suficie, który kształtem przypominał Islandię. Sprawdził to w atlasie już kilka tygodni po wprowadzeniu się – podobieństwo było niemalże stuprocentowe. Może to wcale nie był zaciek, może lokator, który tu przed nim mieszkał, pochodził z Reykjavíku i w ataku tęsknoty za ojczyzną namalował nad łóżkiem niebiesko-szarymi farbami kontury swojego kraju, żeby na nie patrzeć, leżąc, gdy nostalgia okazywała się zbyt dojmująca. Kunowi nie zależało, by badać pochodzenie plamy – nie byłoby to trudne – ale wolał wyobrazić sobie tego fikcyjnego lokatora z dalekiej wyspy, gdzieś na Atlantyku. Szczególnie wtedy, kiedy jemu samemu dokuczało uczucie porzucenia.

Ale tego wieczoru nie pomagały żadne wyobrażenia. Leżał wciąż na łóżku, a godziny mijały – dziesiąta, jedenasta – i nie miał pojęcia, jak dalej iść przez życie. Po co przejmować się tymi żalnymi egzaminami i całą tą maturą? Po co się kształcić, szukać pracy, zakładać rodzinę? Jaki sens ma wstawanie z łóżka i mycie zębów? Spanie? Śniadanie codziennie rano? Wkuwanie czasowników francuskich czy chodzenie codziennie dwieście metrów do szkoły?

Żadnego sensu. Najmniejszego. Ot, gorzka prawda.

„Ciało dziesięcioletniej dziewczynki z Oosterby, uprowadzonej pod koniec stycznia...”

Słowa dzwoniły mu w głowie niczym ostrze, które za moment miało mu amputować serce. A raczej już amputowało.

Boże, pozwól mi umrzeć, tu i teraz, pomyślał Kuno. Amputuj mi resztę, bo nie jestem wart, żeby żyć, bo straciłem prawo do bycia człowiekiem i dłużej już nie dam rady.

Ale Bóg miał inne plany wobec swojego grzesznika, więc gdy tylko wybiła północ, Kuno włożył ubranie wiszące na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi i poszedł nad morze. I choć ta wiosenna noc należała do ciepłych, a on spacerował aż cztery godziny, nie spotkał ani jednej osoby. Jedyne jakiegoś beznamiętnego psa, który szedł za nim. To wszystko. Zapytał, czy może on niesie w sobie pokutującą duszę martwej Madeleine Kettener, ale pies nie odpowiedział. Przekrzywił jedynie łeb i pomachał ogonem – jeśli nawet to była odpowiedź, to Kuno i tak jej nie zrozumiał.

Pogrzeb odbył się w Oosterby czternastego maja, a więc tego samego dnia, kiedy ostatnia klasa liceum Erasmusa w Werdingen miała zakończenie roku szkolnego, tylko kilka godzin wcześniej. Dlatego też członkowie Stowarzyszenia Leworęcznych nie mogli uczestniczyć w ceremonii pogrzebowej, nawet gdyby bardzo chcieli. Zamiast pożegnania z martwą dziewczynką mieli inne obowiązki, które wymagały ich obecności. Pożegnanie kolegów. Nauczycieli. Całego personelu szkoły. Siostry Clara i Birgitte Behrens kupiły jednak wspólny wieniec – w końcu opiekowały się Madeleine przez prawie rok i było powszechnie wiadomo, że to właśnie Clara była z dziewczynką tego dnia, kiedy mała została porwana, trzy i pół miesiąca temu, w pobliżu lodowiska w Hooverpark.

Przez niejakiego Leopolda Kransky'ego, jak się później okazało. Ta informacja wybuchła tydzień po pogrzebie i po skończonych egzaminach maturalnych, ale nie było wiadomo, przynajmniej na początku, gdzie i w jaki sposób policja złapała sprawcę. Twierdzono, że to rezultat mrówczej i zwięźzłej sukcesem pracy śledczych, ale kilku dziennikarzy wywęszyło, że policja dostała po prostu informację od jakiegoś anonimowego informatora.

Jednak niezależnie od tego, jak naprawdę doszło do aresztowania Kransky'ego, ten i tak już na początku czerwca przyznał się do porwania Madeleine Kettener. Jednocześnie cały czas zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego ze śmiercią dziewczynki. Twierdził, że zmarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. A pieniądze, które zapłacili rodzice, owe sto tysięcy guldenów, wydał. Krążyły plotki, że wybuchnął śmiechem, kiedy o tym mówił. I że był to śmiech szydery.

Czy Kransky miał współnika?

Do diabła, nie!

Wyrok dla Leopolda Kransky'ego – dwadzieścia cztery lata więzienia (z możliwością wcześniejszego zwolnienia po czterech piątach odbytej kary) – zapadł w połowie września, kiedy już wszyscy członkowie Stowarzyszenia Leworęcznych wyjechali z Oosterby. Marten Winckelstroop zaczął studia w Wyższej Szkole Dziennikarstwa w Loewingen. Rejmus Fiste pracował w restauracji w Gobshejm. Kuno Blavatsky przeniósł się do Aarlach, gdzie w styczniu miał rozpocząć kurs dla pośredników nieruchomości, ale zaledwie po czterech miesiącach zrezygnował z niego. Clara Behrens pracowała w salonie fryzjerskim w Maardam, a Qvintus Maasenegger nadal warzył piwo w Niemczech. Nikt w całym Oosterby i okolicach nie widział związku jednego z drugim – między tragiczną historią Madeleine Kettener a pośpiesznym wyjazdem z miasta garstki młodych ludzi. Nie było w tym nic dziwnego. Nawet Birgitte Behrens (studia pielęgniarstwa w Hamburgu), która przez pewien czas też była aktywnym członkiem Stowarzyszenia, nie dostrzegła żadnej zbieżności. Więc jeśli był ktoś, kto wiedział o porwaniu więcej niż policja, to zapewne wolał siedzieć cicho.

Louise i Boris Kettenerowie sprzedali swoją wspaniałą willę na Szykownym Wzgórzu w październiku i ze swoim introwertycznym synem Ludvigiem przenieśli się do Nicei. Przez te kilka lat, kiedy mieszkali w Oosterby, nie zdążyli się z nikim zaprzyjaźnić, ale w pamięci ludzi pozostali jako para smutnych ptaków, które wylądowały, zostały na chwilę i pofrunęły dalej. Mieszkańcy

zapamiętali zwłaszcza samotnie spacerującą po plaży panią Kettener, co po czasie łatwo było potraktować jako złowieszczy znak.

Hydraulik, który korzystał z lokalu przy Dorffstraat od maja 1969 roku, powiesił się rok po tym, jak odeszła od niego żona. Aż do początku 1974 roku, kiedy to cała dzielnica została zrównana z ziemią, lokal stał niewynajęty.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Kiedy Van Veeteren brał poranny prysznic, Ulrike Fremdli czytała zeznanie Rebekki Klejne, by przy śniadaniu podzielić się z mężem swoimi przemyśleniami.

– Jest dość przekonująca. Choć niewiele ma do powiedzenia. Powtórzyła to samo, co mówiła poprzednim razem. Przez cały ten czas, kiedy była w pensjonacie, nie widziała żadnych innych osób.

– Tak podejrzewałem – odparł Van Veeteren.

– Nikogo poza tymi, których mamy na liście.

– Nie wiedziałem, że mamy jakąś listę.

– Niech pan nie udaje wariata, komisarzu. Dobrze pan wie, co mam na myśli.

– Wiem, wiem – przyznał Van Veeteren.

– Rebecca Klejne wyszła już o siódmej, więc to właściwie nie wnosi nic do sprawy, prawda?

– Ile trwało przesłuchanie? Zwróciłeś uwagę?

– Nie, ale to tylko cztery strony, więc poszło szybko.

Van Veeteren odkroił kawałek sera i się zamyślił.

– Nie zaszkodzi uaktualnić zeznanie kucharza – powiedział. – Był tam aż do... do której godziny?

– Za piętnaście jedenasta – pomogła mu Ulrike. – Z jego zeznania z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego wynika, że kiedy wychodził, w restauracji było tylko pięć osób... nasz znajomy kwintet. Ale wtedy były

jeszcze ponad dwie godziny do wybuchu pożaru, a więc sporo czasu na pojawienie się kogoś obcego.

– Niewątpliwie – rzekł Van Veeteren. – Przeczytałaś dokładnie jego zeznanie?

– Tego kucharza?

– Tak.

– Oczywiście.

– Co mówił o panującej tam atmosferze? Odświeżysz pamięć starszego pana?

– Zrobię to tylko dlatego, że tak pięknie prosi – odpowiedziała Ulrike z uśmiechem. – Volker Hermann... bo tak się nazywał... twierdził, że na początku było trochę sztywno, ale potem atmosfera się rozluźniła. Kiedy kończył pracę, wszyscy byli już podpici i weseli... Tak to mniej więcej podsumował. Czyli normalne w takiej sytuacji... W końcu dość długo się nie widzieli...

– No tak – rzekł Van Veeteren. – Całkiem normalne.

– O pierwszej w nocy wszyscy byli jeszcze w restauracji... co jest warte zapamiętania. Rzeczywiście, musieli mieć sobie dużo do powiedzenia, chyba szanowny komisarz się ze mną zgodzi, co?

– Komisarza już nie ma.

– A jeśli by był?

– To pewnie by powiedział, że to cenna uwaga.

– Dziękuję – odparła Ulrike. – Pochwał nigdy za wiele. A tak na marginesie, co sądzisz o tym porwaniu?

– Nic – odpowiedział Van Veeteren. – W każdym razie nie więcej niż to, co mówi zasada Borkmanna. Wspominałem ci o niej, prawda?

– Że dwa przestępstwa w tym samym miejscu, nawet w najmniejszej dziurze, zawsze są ze sobą jakoś powiązane, choćby między jednym a drugim minęło nawet sto lat, tak?

– W dużym skrócie. Jeśli jest się policjantem kryminalnym, warto o tym pamiętać.

– Nie uważasz więc, że powinniśmy tak zrobić?

– My?

– Przepraszam, przejęczyłam się. Ale czy Radovic i jego ludzie nie powinni się temu jeszcze raz przyjrzeć? Co o nim w ogóle sądzisz? Myślisz, że jest kompetentny?

– O ile dobrze rozumiem, to pytasz, czy Radovic potrzebuje pomocy ze strony renomowanej psycholog policyjnej, tak?

– Właśnie o to pytam. A więc?

Van Veeteren się zamyślił.

– Nie wątpię w jego kompetencje – odpowiedział. – Pytanie raczej dotyczy tego, czy jest dostatecznie zmotywowany. To przecież nie on nabałagał dwadzieścia lat temu...

– Dwadzieścia jeden – poprawiła go Ulrike. – Wtedy ktoś inny dowodził statkiem, to prawda. Ale myślałam, że tak zwane *cold cases* są popularne...

– Może w książkach albo w telewizji – odpowiedział Van Veeteren z grymasem na twarzy – ale nie w rzeczywistości. W rzeczywistości człowiek chce jak najszybciej zakończyć sprawę.

– Czyli znaleźć mordercę?

– Na przykład. Możesz mi podać masło?

Ulrike podała mu masło. Wypiła łyk herbaty i zamilkła na dłuższą chwilę, podczas gdy Van Veeteren przeglądał lokalną gazetę.

– Jeśli jest tak, jak mówisz – odezwała się po chwili – że ten obecny glina nie uważa, że warto się tą sprawą zainteresować, to skończy się tym, że ten stary glina będzie musiał się włączyć. Musimy pamiętać o Lutrze i Kancie, no i o... jak on tam się nazywa?

– Rappaport. A tobie się wydaje, że ja jestem cały czas do dyspozycji... jakiś cholerny *red alert* czy jak na to mówią? Poza tym...

– Tak?

– ...poza tym uważam, że czwarta władza też mogłaby się trochę tym zainteresować, a w gazetach nie ma ani jednej wzmianki. – Van Veeteren parsknął, zamknął „*Neuwe Journaal*” i rzucił na podłogę.

– Czy to by cokolwiek zmieniło? Wydawało mi się, że nie lubisz dziennikarzy?

– Tylko złych dziennikarzy – wyjaśnił Van Veeteren. – Dobre dziennikarstwo jeszcze nigdy nie było tak potrzebne jak w dzisiejszych czasach.

– Zgadzam się.

– Niezależnie od tego, co uważamy o roli mediów, to policja ma z nich pożytek, i to niemały. Zresztą zawsze tak było. Pomyśl tylko o tych programach w telewizji, których nie oglądamy. *Morderca miesiąca* i temu podobne...

– Nie ma programu o takim tytule.

– Skąd wiesz?

– Nieważne, po prostu wiem. A więc ty chciałbyś, żeby ludzie donosili policji, tak?

– A dlaczego nie?

– I tylko na to czekamy?

– Czekanie nic nie kosztuje – skonstatował Van Veeteren filozoficznie. – Tymczasem można zająć się czymś pożytecznym.

– Podczas gdy młyny mielą, tak?

– Właśnie.

Ulrike westchnęła.

– Wiesz, mój drogi małżonku i towarzyszu życia, czasami widać, że już nie jesteś na służbie.

– Przynajmniej piszą o pogodzie.

– Co?

– Lokalna gazeta. Na popołudnie zapowiadają deszcz z przejaśnieniami. Proponuję, żebyśmy zamówili kanapki oraz termos z kawą i wyszli. Jeśli bardzo chcesz, to możemy kontynuować rozmowę nad morzem. Na świeżym powietrzu lepiej się myśli. Szczególnie w ruchu.

– Wiem, że tak uważasz.

– A co, nie zgadzasz się ze mną?

– Oczywiście, że się zgadzam. Gdybyś nie lubił plaży, morza, nieba, nigdy bym się w tobie nie zakochała.

– Chcesz powiedzieć, że się we mnie zakochałaś? – zapytał Van Veeteren. – Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Innym razem – odparła Ulrike.

Van Veeteren ziewnął i pomyślał... o czym to on pomyślał?

Że nie czuje bólu w ani jednej części ciała, że kocha swoją żonę i że za kilka dni będą już w Maardam. Nieźle.

Spacer zajął im prawie trzy godziny, połowa pod wiatr, połowa z bocznym wiatrem, a ponieważ wysiłek zakończyli późnym lunchem w schronisku na krańcu Friesenbirge, toteż do Kaarshuis wrócili dopiero o czwartej. Zdążyli tuż przed deszczem.

Zanim ucieli sobie popołudniową drzemkę, Ulrike spróbowała podsumować wnioski, do jakich doszli w związku z pożarem pensjonatu. Jednak choć wszystko raz jeszcze przewałkowali na lewo i prawo, przeanalizowali każdy szczegół, odrzucili hipotezy, to jednak i tak uznali, że stoją w miejscu. Nie doszli do niczego konkretnego.

Do niczego.

– W każdym razie nie cofnęliśmy się – pocieszał Ulrike emerytowany komisarz. – Teraz wiemy tyle samo, ile wiedzieliśmy rano. Czas na drzemkę.

– Jestem tym już zmęczona – powiedziała Ulrike. – Wiemy, że ktoś zabił pięć osób późnym wieczorem... dwadzieścia jeden lat i miesiąc temu. Ale wciąż nie wiemy, kto to był. Nie znamy motywu i nie mamy pojęcia, jak ruszyć do przodu. Czy tak wygląda każde śledztwo, które policja prowadzi... w dodatku na koszt podatników?

– W większości przypadków tak – odparł Van Veeteren i zasnął.

Informacja przyszła z poranną pocztą, ale z powodu małego nieporozumienia dotarła do adresata – emerytowanego komisarza, pana Van Veeterena – dopiero

przed kolacją.

Był to gruby list. Nazwisko i adres – Pensjonat Kaarshuis, Randers Weg 4/6, Friesenbirge – na jasnobrązowej kopercie wykaligrafowane były niebieskimi literami, podobnie jak cała reszta tego jedenastostronicowego tekstu. Piękny, trochę staromodny charakter pisma, nagłówek podkreślony linią. Van Veeteren zastanawiał się, czy kiedykolwiek dostał tak obszerny list. Prawdopodobnie nie.

Do policji kryminalnej, wyznanie, które powinno być zostać ujawnione już wcześniej.

Van Veeteren przeczytał nagłówek na głos i położył plik kartek przy talerzu.

– Najpierw zjedzmy lunch w spokoju i w ciszy. Mam przecucie, że młyny sprawiedliwości miały powoli... jak to się mówi.

Van Veeteren pokręcił głową.

– Wszystko ma swój czas, a ponieważ list jest zaadresowany do mnie, to ja zdecyduję. Zgodzisz się chyba ze mną?

– Pamiętam, że pewien emerytowany komisarz policji stwierdził, że ważne, by przestępcę schwytać tak szybko, jak to tylko możliwe... To było chyba dzisiaj rano, jeśli się nie mylę...

– Z wyjątkiem przypadków, kiedy od czasu zabójstwa minęło dwadzieścia lat – odpowiedział Van Veeteren i zatopił łyżkę w zupie.

Wrzesień 1991, Oosterby i okolice

Stół był przygotowany dla pięciu osób, ale krzeseł było sześć. Marten Winckelstrop zauważył to, wchodząc do restauracji, nie przywiązał jednak do tego wagi.

Rejmus Fiste i Kuno Blavatsky siedzieli już przy stole. Qvintus Maasenegger stał przy otwartym oknie i palił. Spóźniony trzmiel brzęczał wokół stojącego na stole wazonu pełnego jesiennych jaskrów – Marten od razu poznał, że to jaskry, bo jego pierwsza żona Siren często je kupowała i stawiała na stole w kuchni. Mieszkali wtedy w Sorbinowie, w kamiennym domu tuż nad brzegiem morza. Cofnął się myślami do tamtych lat i uświadomił sobie, że to był dobry czas. Dwa i pół roku... Czy wtedy też myślał, że to jeden z najszcześniejszych okresów w jego życiu? Prawdopodobnie nie. Czy da się przeżywać szczęście po czasie? Prawdopodobnie nie. Można jedynie uświadomić sobie, co się straciło.

Ale teraz był tutaj, w innym momencie życia. Przez ułamek sekundy czas się zatrzymał i nagle wszystko stało się jak obraz – to zapewne ten spokój wprowadził go w taki nastrój. Rejmus i Kuno przy stole, Qvintus przy oknie, on sam w drzwiach. Wszystko tkwiło w bezruchu, oprócz trzmiela.

Żółte jaskry. Skromnie nakryty stół, białe talerze, sztucce, po trzy kieliszki na każde miejsce, przytłumione barwy... Tak, malarz potrafiłby wykorzystać ten moment.

Nakrycia dla pięciu osób. W sumie cztery po dłuższych stronach stołu i jedno na szczycie.

Cholera. Marten przełknął ślinę i powiedział coś nieistotnego do Rejmusa i Kuna. Coś, że to impreza dla praworęcznych.

Kuno zaśmiał się nerwowo, Rejmus nie odpowiedział. Coś nieprzyjemnego wisiało nad salą niczym mleczny obłok.

Qvintus Maasenegger pomyślał, że wypił albo za dużo, albo za mało. Prawdopodobnie za mało. Kiedy poziom alkoholu we krwi rośnie, człowiek czuje się lepiej, a kiedy spada, robi się trudno. To stara i sprawdzona prawda.

Była ósma wieczorem. Zjedli już przystawkę składającą się z talerza owoców morza oraz grzanki. Qvintus nie lubił morskich specjałów i miał nadzieję, że kelner, łysy jak kolano, nie zaserwuje im ryby jako dania głównego. W oczekiwaniu na nie podszedł do okna i zapalił kolejnego papierosa; nie dlatego, że przy stole nie wolno było palić, po prostu zmęczyły go rozmowy. Pozostała czwórka wspominała czasy licealne, „profesora Hitlera”, „nauczycielkę Grubą Dupę” i „dyrektora Pierdziada”. Rozmawiali przez dobre pół godziny, a ponieważ Qvintus nigdy nie postawił stopy w tej pieprzonej szkole, w liceum Erasmusa w Werdingen, nie miał nic do powiedzenia. Dlaczego nie mogą rozmawiać o podstawówce w Oosterby? Dobre pytanie, ale nie zamierzał go stawiać. Pieprzyć to.

Innymi słowy, czuł się obco, jak obserwator, ale był do tego przyzwyczajony, więc to żaden problem. Pominąwszy fakt, że czasami – tak jak teraz – było cholernie nudno. W takich sytuacjach bez poczucia winy mógł sobie pomóc odrobiną alkoholu – piwa, wina czy wódki, nieważne – więc kiedy i tego wieczoru doszedł do wniosku, że już na to czas, po dwudziestym czy dwudziestym piątym papierosie, podszedł do stołu i nalał sobie wina.

Potem wrócił do okna. Z kieliszkiem w jednej ręce i papierosem w drugiej – to była dobra równowaga, poza tym jeśli na stół przyjdzie jakaś cholerna ryba, to zawsze może udawać, że go boli brzuch... albo że ma migrenę czy cokolwiek innego... wziąć flaszkę wina i wrócić do pokoju. Niezależnie od tego, kto wpadł

na ten chory pomysł, żeby się spotkać, było to kompletne fiasko. A lekki niepokój, jaki czuł na myśl, że pojawi się Zink, był nieuzasadniony.

Wypił parę łyków piwa, zaciągnął się papierosem, zgasił w doniczce niedopałek i wrócił do stołu. Niemalże przewrócił kieliszek, który postawił przy talerzu. Clara Behrens, siedząca po jego prawej stronie, zauważyła to i się zaśmiała. Trochę zbyt nerwowo, pomyślał.

– Jak się czujesz?

– Spoko – zapewnił ją. – Trochę mnie boli łeb, ale może przejdzie.

Clara skinęła głową. Nawet mi współczuje, pomyślał. Czuł jednak, że skoro te dwadzieścia lat temu nie zdołał jej przelecieć, to i dzisiaj sprawa jest przegrana. Życie to kocioł czarownic, podsumował w myślach. W tej samej chwili do sali weszła Molly Hansen z dwiema butelkami czerwonego wina.

A jednak mięso, wywnioskował Quintus Maasenegger. Zostanę jeszcze z godzinę i zjem.

Rejmus Fiste wypił łyk wina i spojrzał na zegar. Piętnaście po dziewiątej.

Był najedzony i trochę pijany. Kiedy butelki się opróżniły, a ragoût mięsne wypełniło brzuchy, atmosfera przy stole lekko się rozluźniła. Bardzo smaczne, musiał przyznać, pochwalił też kucharza – mężczyznę w ich wieku, może kilka lat starszego, z ogoloną głową i w żółtych stonowanych okularach. Zbierał talerze i sztuce ze stołu. Właścicielka pensjonatu, Molly, chwilę wcześniej życzyła wszystkim miłego wieczoru i pojechała do domu.

Może i będzie miły, pomyślał Rejmus. Miły wieczór. Niepokój i żal, jaki czuł, zdecydowanie się zmniejszyły, ale nie znikły zupełnie. Nikt nie skomentował faktu, że przy stole stało sześć krzeseł, już samo to – że wszyscy zdawali się rozumieć coś, do czego nie chcieli się przyznać – powodowało, że sytuacja była dość dziwna. A jednocześnie wcale nie. Jeśli bowiem chcemy głęboko zakopać jakieś wydarzenie, to dobrze jest przykryć je grubą warstwą milczenia. To stara zasada.

Godziny mijały, wina ubywało, a niepokój wciąż się zmniejszał. Jeśli nie potrafimy cieszyć się dobrym jedzeniem i trunkami w gronie starych przyjaciół,

to ile warte jest nasze życie? – pomyślał Rejmus, odchylił się do tyłu i poczuł się dumny ze swojego filozoficznego sformułowania, które zgrabnie trafiało w sedno sprawy.

Birgitte Behrens siedziała naprzeciwko niego i udawała swoją siostrę Clare. Rejmus zastanawiał się dlaczego. Może poznałby odpowiedź, gdyby te kilka godzin temu tak szybko nie wyszedł z jej pokoju. Teraz było za późno, by pytać, zresztą nie mógł tego zrobić przy innych. W pewnym sensie jej to obiecał, a poza tym widział po niej, że tego od niego oczekuje. Zawarli cichy układ i ku swojemu zdziwieniu zauważył, że ta niepisana umowa ma jakiś podtekst seksualny. Kiedy od czasu do czasu, przelotnie i ukradkiem, ich spojrzenia się spotykały, wydawało mu się, że wyczuwa zapowiedź jakiejś obietnicy. A przynajmniej delikatną aluzję. Lata temu kochał się z jej siostrą, i to wiele razy, ale czy to nie jest równoznaczne z tym, że jest w jakiejś szczególnej relacji również z nią? W końcu były bliźniaczkami.

Zdaje ci się, mówił mu głos rozsądku.

Ale nie jest to niemożliwe, podpowiadał mu inny, lekko wstawiony.

W oczekiwaniu na deser na stole pojawiło się więcej wina i deska serów.

– Mogę ci nalać? – zapytał i podniósł butelkę.

Birgitte Behrens zawahała się na chwilę, ale skinęła głową.

Kuno Blavatsky był nostalgicznie nastrojony.

I podchmielony, ale nie martwiło go to. Przecież z innymi było podobnie, co pozwalało mu poczuć się lepiej. Znacznie lepiej. Pierwsze ukłucie nostalgii pojawiło się kilka minut wcześniej, kiedy zobaczył, jak Marten i Rejmus rozmawiają i się śmieją. Trzydzieści lat temu wszyscy trzej siedzieli tak u Martena na strychu. Kuno nigdy przedtem nie miał przyjaciół, a tu nagle był bardzo zajęty w Stowarzyszeniu Leworęcznych. To naprawdę było coś. Zastanawiał się, czy tamci dwaj zdawali sobie sprawę, ile to dla niego znaczyło, i przez moment przeszło mu przez myśl, że powinien ich o to zapytać.

Ale mimo alkoholu i braku hamulców trzymał język za zębami. Z czasem ta ich wspólnota się zmieniała. Może to nieuniknione, może taka jest kolej rzeczy, czy tego chcemy, czy nie. Najlepsze były pierwsze lata – czas przed okresem dojrzewania. Przed pojawieniem się bliźniaczek. Przed śmiercią taty Isidora. Przed szkołą średnią i mieszkaniem na stacji w Werdingen.

Przed Madeleine.

Nostalgia zamieniła się w smutek. Sięgając po wino, Kuno zauważył, że trzęsie mu się ręka.

A kiedy upił łyk wina, żeby się choć trochę pocieszyć, zauważył, że Clara Behrens o coś go zapytała.

– Przepraszam, ale nie usłyszałem.

– Jak nazywa się ten kawałek? To chyba rok sześćdziesiąty ósmy albo sześćdziesiąty dziewiąty, prawda...?

Dopiero teraz Kuno zorientował się, że grała muzyka. Natychmiast poznał, co to jest.

– *Fire* – odpowiedział. – Arthur Brown.

– Racja – rzekła Clara. – Pomyśl tylko, ile wtedy słuchaliśmy muzyki... Dzisiaj prawie w ogóle jej nie słucham.

– Ja też – przyznał Kuno. – Chociaż słucham trochę muzyki klasycznej... chóry, coś w ten deseń. Nauczyła mnie tego moja żona... Śpiewała w chórze, kiedy chodziła do szkoły. Niestety, ja brzmię jak osioł, jak tylko zacznę śpiewać... w każdym razie ona tak twierdzi.

Clara zaczęła się śmiać. Kuno nie pamiętał, żeby kiedykolwiek ją rozśmieszył. Innych kobiet też nie – ani wtedy, ani potem.

– Nadchodzi deser – powiedział i spojrzął na zegarek. – Wpół do jedenastej... Zobaczysz, że wszystko się skończy jeszcze przed północą i wszyscy pójdziemy grzecznie spać.

Clara znów się zaśmiała.

Birgitte Behrens stała w toalecie i przemywała twarz zimną wodą. Było kilka minut po północy, zwymiotowała.

Niewiele, a i mdłości zaraz przeszły.

Powinnam się już położyć, pomyślała. Jeśli jeszcze wypiję, jutro cały dzień będę się źle czuła.

Ale najpierw musiała się pozbyć Rejmusa Fiste. W ciągu wieczoru stawało się coraz bardziej oczywiste, że będzie chciał z nią dzielić łóżko. Zrozumiała, że ma to coś wspólnego z ich niepisany porozumieniem – że nie ujawni jej mistyfikacji – i ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że ta myśl wcale nie jest jej niemiła.

Podniecenie? – zastanawiała się. Wczoraj tego nie czuła.

Mimo wszystko postanowiła się ulotnić (przecież zawsze może do niej przyjść, prawda?), ale kiedy wróciła na salę, ktoś przyniósł z lodówki butelkę szampana (czy jakieś wino musujące) i zaczął nalewać do kieliszków.

Dobre na sen, pomyślała, a ponieważ była to duża butelka, toteż ryzyko, że zaśnie jeszcze na sali, wzrastało.

Zresztą obojętne, pomyślała, a gdy usiadła na swoim miejscu, zauważyła dwie rzeczy. Po pierwsze, muzyka ucichła, a po drugie, do sali ktoś wszedł i usiadł na szóstym, wolnym miejscu.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Do policji kryminalnej, wyznanie, które powinno było zostać ujawnione już wcześniej.

Piszę do Pana, bo już nie mogę dłużej milczeć. Robię to od lat, rok po roku, i ciągle znajduję wytłumaczenie, żeby nie opowiedzieć mojej historii. Wewnętrzny głos uciszałam półkłamstwami i nawet jeśli moje wieloletnie milczenie dałoby się usprawiedliwić sensownymi argumentami, to dzisiaj, w związku z tym, co się ostatnio wydarzyło, zrozumiałam, że niepoinformowanie Pana o tym, co wiem, byłoby nie do wybaczenia. Niedługo skończę osiemdziesiąt lat – każdego dnia mogę iść do grobu, a nie chcę spotkać mojego Stwórcy z nieczystym sumieniem.

Zanim zacznę, chciałabym poprosić o jedno: jeśli to możliwe, chcę pozostać anonimowa. Będę dozgonnie wdzięczna. Nie proszę o to dla mnie samej, a raczej ze względu na mojego męża i dzieci. Szczególnie ze względu na męża, bo to bardzo prawy i uczciwy człowiek. Nie zna mojej przeszłości i obawiam się, że gdyby ją poznał, już by się z tego nie podniósł. Prawdopodobnie bez trudu możecie się dowiedzieć, kim jestem, więc jeśli będziecie chcieli skontaktować się ze mną, zapewne można to zrobić tak, żeby on się o tym nie dowiedział, prawda? Nie stawiam sprawy kategorycznie, to tylko prośba i pobożne życzenie.

Urodziłam się w gospodarstwie niedaleko stąd, jako czwarte z pięciorga dzieci. Był rok 1933, w domu bieda, ale byliśmy czysti i uczciwi, jak lubił mawiać mój ojciec. Poza tym byliśmy bardzo pobożni, co niedziela cała rodzina chodziła do kościoła, a w domu odmawialiśmy poranną, popołudniową i wieczorną modlitwę. Kiedy miałam osiem lat, mój ojciec poszedł na wojnę i już po miesiącu zginął. Dwa lata później ten sam los spotkał mojego najstarszego brata, ale dopiero dużo później dowiedzieliśmy się, że nie żyje. Została tylko moja matka, ja, dwie starsze siostry i młodszy brat. W miarę możliwości i sił próbowaliśmy zajmować się gospodarstwem, ale nie było łatwo. Późną jesienią 1945, pół roku po zakończeniu wojny, moja najstarsza siostra zmarła na białaczkę. Miała zaledwie piętnaście lat... Mimo iż nie mogłam zrozumieć, jak ten dobry i wszechmocny Bóg mógł zesłać na nas tyle nieszczęść, odpowiedzi na swoje pytania szukałam w wierze. Czytałam Biblię i mnóstwo innych świętych ksiąg. W 1947 zostałam przyjęta do klasztoru jako nowicjuszka, co oznaczało, że spędzę tam rok, a potem, kiedy skończę piętnaście lat, podejmę decyzję, czy chcę złożyć śluby i zostać.

W czasie nowicjatu zdarzyło się coś, co miało wpływ na całe moje późniejsze życie. Pewnego listopadowego ranka przed bramą klasztoru jedna z sióstr znalazła koszyk z niemowlęciem. Był to chłopiec i na ile potrafiłyśmy ocenić, miał nie więcej niż kilka tygodni. Nie było przy nim żadnego listu, żadnej informacji czy wyjaśnienia, ale nietrudno było zgadnąć, o co chodzi. Jakaś nieszczęsna kobiecina urodziła niechciane dziecko i nie widziała innego wyjścia, jak tylko je porzucić. A jakie miejsce może być bezpieczniejsze niż klasztor? Gdzie dziecko może mieć lepszą opiekę niż u pobożnych sióstr? Więc siostry, z przeoryszą na czele, doszły do wniosku, że ta anonimowa kobieta miała nadzieję, że zaopiekujemy się dzieckiem i że nie poinformujemy

o tym władz. Tak też się stało. Nie wiem dlaczego, w końcu byłam wtedy zaledwie czternastoletnią nowicjuszką, ale od samego początku ten mały chłopiec mnie zauroczył. Podobnie było z pozostałymi siostrami – był takim słodkim dzieckiem. Nietrudno więc było uwierzyć, że to Bóg nam go zesłał. Naturalnie, trzeba go było ukryć, a co lepiej się do tego nadaje niż otoczony grubymi murami klasztor... Wypełnione spokojem i prostotą zacisze klasztorne, podrzucone dziecko, którym zajmuje się trzydzieści sześć pobożnych kobiet – wszystko to jak opowieść biblijna... I nie boję się użyć stwierdzenia, że nigdzie i żadne dziecko nie wzrastało otoczone taką miłością, jaką dostał ten mały chłopiec.

Ochrzciliśmy go imieniem Kristian, ale mówiłyśmy na niego Chrystian, bo to leżało w naturze rzeczy.

I został u nas. I ja też zostałam, już po moim nowicjacie, złożyłam śluby i wyrzekłam się wszelkich doczesnych przyjemności. To była bardzo trudna decyzja, a jednocześnie bardzo łatwa. Właściwie to nigdy nie wątpiłam, nigdy w głębi duszy, Boga i Jezusa zawsze nosiłam w sercu, a to, co mogłam położyć na drugiej szali, było zbyt lekkie, zbyt ulotne, by miało jakiegokolwiek znaczenie.

Ale żeby się za bardzo nie rozpisywać... Lata mijały, a Chrystian rósł. Był wychowywany i kształcony we wszystkich możliwych dziedzinach, w miarę możliwości uczestniczył w codziennych zajęciach klasztornych – i we wszystkim, co robił, był bardzo słodki. Żartowałyśmy nawet, że to Mesjasz, który zstąpił na ziemię... I rzeczywiście, zachowywał się, jakby był Synem Bożym. Opiekowałyśmy się nim na zmianę, czytałyśmy mu bajki i wprowadzałyśmy w wiarę chrześcijańską. Oczywiście miał mnóstwo pytań, zwłaszcza kiedy podrósł. Skąd się u nas wziął? Dlaczego mieszka z tymi wszystkimi kobietami, w takim miejscu? Czy nie ma

mamy i taty jak inne dzieci? Dlaczego tak rzadko wychodzimy, żeby popatrzeć na „inny świat”? I tak dalej, i tak dalej...

Od kiedy Chrystian skończył osiem lat (żeby było prościej, dzień, w którym się u nas pojawił, uznaliśmy za dzień jego narodzin), pozwalałyśmy mu wychodzić poza mury klasztoru, choć nie na długo i niezbyt często. Aż pewnego dnia podjęłyśmy decyzję, że dla jego dobra najlepiej będzie, jeśli w murach klasztoru pozostanie cały czas. Życie na zewnątrz wydawało się zbyt ciężkie i zbyt różne od tego, jakie myśmy prowadziły, a im Chrystian był starszy, tym częściej dyskutowaliśmy o tym, jak rozwiązać problem jego dorosłego życia. Były różne zdania na temat tego, co dla niego lepsze: spróbować go namówić, żeby w klasztorze pozostał na zawsze, czy pozwolić mu posmakować innej rzeczywistości, żeby potem sam mógł wybrać. Niemalże każdego dnia zwracałyśmy się do Naszego Pana o wskazówki, ale nigdy ich nie otrzymałyśmy. Mówię w skrócie, ale to bardzo skomplikowane sprawy. Z czasem doszły też inne trudności. Do trzynastego, czternastego roku życia Chrystian był dobrym i pełnym radości dzieckiem. Pełen wdzięku... to sformułowanie, którego obecnie rzadko się używa, ale dobrze opisywało jego charakter.

A potem zaczął się okres dojrzewania.

Po latach, patrząc na to z perspektywy czasu, może się wydawać dziwne, że w ogóle nie brałyśmy tego pod uwagę... Jeśli nawet zakonnice mają dystans do swojego cielesnego pożądania, nie oznacza to, że ono znika i że nie czują tego u innych ludzi. Pan stworzył nas jako mężczyzn i kobiety, a Chrystiana stworzył jako mężczyznę. Ten pełen wdzięku chłopiec po prostu nie mógł żyć w harmonijnej bezpłciowości – byłoby to wbrew naturze, a nawet odrażające.

Według mnie śluby czystości to przysięga, której w klasztorze najtrudniej dotrzymać. Życie w ubóstwie i posłuszeństwie nie kłóci się

bardzo z ludzką naturą, ale tłumienie własnej seksualności, instynktu to już coś zupełnie innego. To rodzaj samookaleczania – niektórzy sobie z tym jakoś radzą, innym się to nie udaje. Spędziłam w murach klasztornych siedemnaście lat, widziałam i przeżyłam niejedno... Nie chcę się tu zagłębiać w szczegóły, bo nie to jest celem mojego listu.

Powoli z pięknego i niekłopotliwego dziecka Chrystian zmieniał się w pięknego i niespokojnego młodzieńca. Przez pierwszych trzynaście lat życia spał razem z nami, siostrami, to było dla nas oczywiste. Choć, ma się rozumieć, miał własne łóżko... Jakkolwiek by na to patrzeć, stawał się mężczyzną otoczonym gromadką kobiet. W klasztorze były dwie sale sypialne: jedna dla starszych sióstr, druga dla młodszych. Chrystian spał u nas, tych młodszych. Było nas dwanaście, niczym dwunastu apostołów. Ja byłam najmłodsza i z jakiegoś powodu po mnie do klasztoru nie przyszła już żadna nowicjuszka. Może to przez naszego tajemniczego gościa... Nie wiem...

Kiedy Chrystian skończył czternaście lat, ja miałam dwadzieścia osiem. Najstarsza zakonnica z naszej sali ledwo przekroczyła czterdziestkę, a to oznaczało, że wszystkie byłyśmy kobietami, które w świecie zewnętrznym określa się jako aktywne seksualnie. Wszystkie byłyśmy też dziewicami (przynajmniej tak mi się wydaje), wszystkie miałyśmy marzenia erotyczne (jak sądzę), codziennie prosiłyśmy o wybaczenie za nasze nieczyste myśli i tę tęsknotę zabijałyśmy wszystkimi dostępnymi środkami. A wśród nas żył dorastający młodzieniec, którego leniwie (albo burzliwie) wypełniała tęsknota tak samo silna jak nasza.

Nie chcę się już o tym rozpisywać... Stało się, co się stało... Zresztą nie byłam jedyna, ale wkrótce staliśmy się parą z Chrystianem. Kochałam jego ciało, on kochał moje, spał też z innymi siostrami, czasami z kilkoma naraz, ale zawsze wracał do mnie. Wszystkie utrzymywałyśmy to w tajemnicy, a przynajmniej próbowałyśmy. Było

nas sześć kobiet (może więcej), sześć sióstr, które po złożeniu ślubów czystości były kochankami Chrystiana. Pozostałe zakonnice wolały niczego nie wiedzieć.

Długo to trwało, ponad dwa lata, zanim się skończyło, a skończyło się, bo pojawił się inny grzech śmiertelny: zawiść. Chrystian coraz częściej odrzucał pozostałe siostry i coraz bardziej trzymał się mnie... Tak, przez ostatnie pół roku byliśmy tylko on i ja. Uwielbiałam go i darzyłam go uczuciem, które można nazwać obsesją. Pewnie on też mnie uwielbiał... Ale i o tym nie chcę się rozpisywać, mój wstyd bowiem jest zbyt wielki...

Nie wiem, ile z tego, co się działo przez te lata, wiedziała rada... tak nazywały się trzy siostry, które rządziły w klasztorze. Czasami myślę sobie, że to niemożliwe, by nie miały o niczym pojęcia, ale... kto wie? Może zadziałała potęga tajemnicy i milczenia, może czegoś się domyślały, wolały jednak nie wiedzieć... Żądze krzyczą zwłaszcza w nocy, nawet u zakonnicy, i same musiałyśmy z tym walczyć – za pomocą modlitw i opatrności niebieskiej, ma się rozumieć... Sądzę, że tak się dzieje w wielu klasztorach. W każdym razie wiem, że to zawiść i zazdrość leżały u podstaw tego, że na mnie doniesiono. Która siostra albo które siostry opowiedziały o wszystkim przeoryszy, siostrze Margot, nie wiem i nigdy nie chciałam tego dochodzić. Ani nawet o tym myśleć. To nie było ważne. Nie obchodziło mnie również to, że kłamały, twierdząc, że byłam jedyną, z którą Chrystian miał relację seksualną. Tłumaczenia i tak na nic by się zdały. Na nic.

Pewnego dnia w sierpniu 1964 roku Chrystian i ja opuściliśmy klasztor. Miałam wtedy trzydzieści jeden lat, a on nie skończył jeszcze siedemnastu (według naszych obliczeń). Żadne z nas nie było poza murami od kilku lat, a dla Chrystiana był to czwarty czy piąty raz

w ciągu całego życia. Dosłownie byliśmy wyrzutkami. Nie mieliśmy dokumentów, żadnych kontaktów w świecie zewnętrznym; nie wiedzieliśmy, co z sobą zrobić; nie mieliśmy pieniędzy. Od rady na pożegnanie usłyszeliśmy tylko to, że nie mamy drogi powrotu. Nikt w klasztorze nie potwierdziłby naszej historii, gdybyśmy zechcieli ją opowiedzieć. Zaprzeczono by, że Chrystian kiedykolwiek tam mieszkał, i mówiono by, że wprowadzie przez wiele lat byłam zakonnice, ale uciekłam z własnej woli. Trudno mi było zrozumieć, jak takie słowa mogą iść w parze z wiarą chrześcijańską i przykazaniem miłości bliźniego... i do dzisiaj tego nie rozumiem.

Ale nie zaprzętałam sobie tym głowy, nie było na to ani czasu, ani miejsca. Musiałam się zająć Chrystianem i zadbać o to, żebyśmy mogli jakoś przeżyć. Jakkolwiek by na to spojrzeć, moja odpowiedzialność była większa niż jego. I mówiąc szczerze, wszystko było na mojej głowie. Chrystian został wrzucony do świata, o którym nic nie wiedział.

I żeby znów się nie rozpisywać... Udało mi się odnaleźć moją starszą siostrę. Moja matka już wtedy nie żyła, młodszy brat wyemigrował do Kanady, ale moja siostra wciąż mieszkała w tych stronach. Wyszła za mąż, miała dwoje dzieci i jeśli nawet nie utrzymywałyśmy częstych kontaktów – jeśli potępiła mnie i jej mąż też – to otrzymałam od nich pomoc, by zupełnie nie stracić gruntu pod nogami. Dostaliśmy lokum na kilka dni, a na odchodne dali nam trochę pieniędzy i adres w Maardam.

Przez rok mieszkałam z Chrystianem na Armastenstraat w Maardam. W mieszkaniu przeznaczonym do rozbiórki, składającym się z pokoju i kuchni. Był to budynek należący do szwagra mojej siostry. Ten sam szwagier dał nam również pracę, ale nie był dobrym człowiekiem. Pracowaliśmy przy ćwiartowaniu i pakowaniu mięsa, które sprowadzał

od niesprawdzonych i na pewno nieuczciwych pośredników, poza tym płacił nam tylko tyle, żeby starczało na przeżycie. Powinniśmy być mu za to wdzięczni – taka była jego prosta filozofia. Czasami myślę sobie, że gdyby los nie skierował nas do tego złego człowieka, to wszystko potoczyłoby się inaczej...

A może nie... Może życie Chrystiana i tak było pozbawione nadziei, niezależnie od wszystkiego. Kiedy opuszczaliśmy klasztor, już nie był tym samym słodkim dzieckiem co przedtem, a w Maardam jego charakter stopniowo zmieniał się na gorsze. Może dlatego, że podczas okresu dojrzewania z całych sił go chroniliśmy. Był jak niezapisana kartka, na której każdy mógł odcisnąć swój ślad, i choć próbowałam się przeciwstawiać, odciskać tylko dobre piętno, byłam zbyt słaba i niedoświadczona, żeby mu pomóc. Byliśmy jak dwoje straceńców na drodze do upadku, który był nieunikniony. W ten sposób o tym myślę.

Alkohol. Narkotyki. Przygodny seks. Przestępczość. Mniej więcej tak to można opisać, używając prostych słów na nazwanie tego mrocznego okresu przepełnionego chaosem. Potem pojawił się jeszcze jeden młody mężczyzna, który wywarł niszczący wpływ na Chrystiana. Nazywał się Wolfram... w każdym razie tak na niego mówili... i uważam, że był, jak to się teraz mówi, psychopatą... Czarujący, a zarazem lodowaty. Niestety, wziął Chrystiana pod swoje skrzydła. Ja też to próbowałam robić na własny prosty sposób, ale Wolfram bez wątpienia był silniejszy ode mnie. A jednak Chrystian wciąż ze mną mieszkał; sypiał z innymi kobietami, od czasu do czasu spędzał kilka dni i nocy w innych, nieznanym mi miejscach, ale zawsze do mnie wracał. Twierdził, że mnie kocha, że mnie potrzebuje i że żadna kobieta nigdy mnie nie zastąpi. Naprawdę nie. Wierzyłam mu i kochałam go z jakąś matczyną desperacją... w końcu znałam go od urodzenia...

Ale on stawał się coraz bardziej nieczuły, to było najgorsze. I kiedy jesienią 1965 roku przenieśliśmy się do Hamburga – razem

z Wolframem i jego ówczesną dziewczyną – Chrystian był już całkiem innym człowiekiem. Powinnam była go wtedy zostawić, tyle że nie umiałam. Nie miałam dość siły. Prosił mnie, żebym z nim została, i zostałam. Nie chcę się rozpisywać na temat tego, czym zajmowaliśmy się w Hamburgu, bo znów wstyd jest zbyt duży... Na początku 1966 roku Wolfram zniknął bez śladu i musiało upłynąć parę tygodni, zanim zrozumiałam, że Chrystian go zamordował. Przyznał mi się. Ale najbardziej z wszystkiego przeraziło mnie to, że nie okazywał żadnego żalu. Zabił swojego przyjaciela, bo tamten go po prostu zawiódł... Zdaje się, że próbował go oszukać... choć dokładnie nie wiem, o co poszło, bo Chrystian nie chciał zagłębiać się w szczegóły, a ja nie pytałam.

Oczywiście powinnam była postąpić inaczej, powinnam była zawiadomić policję albo odejść, ale byłam uzależniona od narkotyków, nie miałam dokąd pójść, nie widziałam przed sobą żadnej nadziei. Wciąż byliśmy parą z Chrystianem... przynajmniej w pewnym sensie. Razem mieszkaliśmy, od czasu do czasu uprawialiśmy seks, pomagałam mu w kupowaniu i sprzedawaniu narkotyków. Czasami mówił, że mnie kocha i że nie chce beze mnie żyć. Ja też go kochałam, ale powoli zaczęłam się również go bać. Pewnego wieczoru wrócił z walizką pełną pieniędzy... to były funty brytyjskie i marki niemieckie... a było ich wystarczająco dużo, żeby żyć za to przez rok albo i dłużej. I kiedy zapytałam, skąd je ma, odpowiedział, że wbił nóż w jedną polityczną świnię i ją zabił. „Polityczną świnię”, takiego sformułowania użył. Nóż, którym zadał śmiertelny cios, leżał w torbie między zwitkami pieniędzy... Pamiętam też, że kiedy stał nad zlewem i spłukiwał z niego krew, nucił piosenkę Beatlesów. Spokojny i zadowolony.

Tak, śmiertelnie się wtedy bałam.

Kiedy kilka miesięcy później go złapali za jakieś mniejsze przewinienie, a może kilka, został skazany na sześć miesięcy więzienia. Potrzebował dokumentu tożsamości. A ponieważ nie mógł udowodnić, że jest obywatelem brytyjskim, za jakiego się podawał, władze postanowiły, że będzie się nazywał Leopold Kransky (albo może sam tak postanowił... nie wiem, jak to się odbywa czy jak to się wtedy odbyło), narodowość nieznana, ale z tymczasowym pozwoleniem na pobyt w Niemczech.

Przynajmniej tak to zapamiętałam. W każdym razie, kiedy Chrystian, czy też Leopold, poszedł do więzienia, udało mi się od niego uwolnić. Latem 1967 roku. Znow znalazłam Boga mojego dzieciństwa. Jeśli wtedy bym tego nie zrobiła, pewnie by mnie już tu nie było...

Wróciłam w moje rodzinne strony, dostałam pracę i wkrótce potem poznałam mojego męża, z którym jestem już czterdzieści jeden lat. Jak wspominałam, jest to bogobojny i prawy człowiek i nie wie o niczym, o czym teraz piszę. Wie jedynie, że młodość spędziłam w klasztorze, że stamtąd uciekłam i że kilka lat mieszkałam w Maardam i w Hamburgu. Ale o Chrystianie... o Leopoldzie nigdy mu nie powiedziałam. Ani mojemu mężowi, ani nikomu innemu (z wyjątkiem mojej siostry... wtedy, kiedy zostaliśmy wyrzuceni z klasztoru, choć to, co usłyszała, było jedynie połową prawdy) i mam nadzieję, że tę straszną prawdę zabiorę ze sobą do grobu. Nie proszę o to ze względu na siebie, ale ze względu na męża i dzieci.

Moja historia ma jednak swoją kontynuację, która jest prawdziwym powodem tego listu.

Wiosną 1969 roku, kiedy już byłam mężatką i zamieszkałam w gospodarstwie, w którym mieszkam do dzisiaj, i byłam w ciąży z moim pierwszym dzieckiem, w Oosterby wydarzyło się coś strasznego. Ktoś porwał małą dziewczynkę, a krótko potem znaleziono ją martwą, ale tę okropną historię zapewne Pan zna. Nie wie Pan

natomiast tego, że kilka tygodni przed porwaniem widziałam w miasteczku Leopolda Kransky'ego... Nie, nie mogłam już dłużej nazywać go Chrystianem, bo dla mnie był już zupełnie innym człowiekiem... tragicznym i odpychającym. Minęły zaledwie dwa lata, odkąd się rozstaliśmy, a prawie go nie poznałam – i jestem pewna, że on też mnie nie poznał. Życie go doświadczyło, jakby stwardniał, ale wciąż był piękny, miał długie, lekko kręcone włosy, wyglądał jak... Chrystus. Przyjrzałam mu się dobrze, ale tak, żeby mnie nie zauważył. Byłam ciekawa, co go ściągnęło do miejsca, które było tak blisko klasztoru, gdzie dorastał. Może się bałam, że mnie szuka... Pamiętam, że przez całą wiosnę starałam się nie jeździć do Oosterby. Byłam zajęta ciężką, która nie była najłatwiejsza, poza tym zajmowała mnie codzienna domowa krzątania, więc nie było to takie trudne.

Na początku maja znaleziono ciało tej nieszczęsnej dziewczynki, a wkrótce potem przeczytałam w gazecie, że policja złapała przestępcę, niejakiego Leopolda Kransky'ego. Byłam w szoku, bo choć dobrze wiedziałam, do czego jest zdolny, to jednak trudno mi było sobie wyobrazić, że mógł mieć coś wspólnego z tą okropną historią. Tego samego wieczoru, kiedy zobaczyłam w gazecie jego zdjęcie, urodziłam mojego syna – trzy tygodnie przed terminem, choć może obie te sprawy nie miały ze sobą nic wspólnego.

Leopold Kransky został skazany na wiele lat więzienia, a ja pogrzebałam go w swojej pamięci. Musiało minąć długie dwadzieścia lat, żebym sobie to przypomniała...

We wrześniu 1991 roku zdarzyło się coś strasznego, coś, czego Oosterby jeszcze nigdy nie przeżyło, ale Pan pewnie wie, o czym mówię... o pożarze pensjonatu Molly Hansen, w którym życie straciły cztery osoby... czy nawet pięć, jak się ostatnio okazało.

Tak jak wszyscy mieszkańcy o pożarze dowiedziałam się z gazety. Byłam zdruzgotana i przerażona. Minął tydzień, zanim policja

poinformowała, że śledztwo jest zakończone i że poszukują niejakiego Qvintusa Maaseneggera. Wtedy często myślałam o tym, by pójść na policję z moją historią...

Kilka tygodni przed pożarem, jakoś w połowie września, znów bowiem spotkałam Leopolda Kransky'ego w Oosterby. Nie widziałam go od dwudziestu lat... i wyglądał zupełnie inaczej. Przede wszystkim zgolił włosy, był mocniej zbudowany i bardziej przypominał... jak to się dzisiaj mówi... kulturystę. Natknęłam się na niego w sklepie spożywczym, a rozpoznałam go po małym tatuażu, który zrobił sobie, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Hamburgu – małą literkę „z” na szyi za prawym uchem. Nie pamiętam już, co miała oznaczać, jeśli w ogóle cokolwiek... Teraz prawie każdy mężczyzna ma tatuaż, ale w połowie lat sześćdziesiątych nie było to takie częste.

W każdym razie natychmiast się zorientowałam, że to on, i aż trudno mi opisać, co wtedy poczułam. Ciarki mi przeszły po plecach. Całe moje tak skrzętnie skrywane życie nagle wróciło... Sama nie wiem, dlaczego tak silnie zareagowałam, ale tak było. Na wpół przytomna, bez zakupów, wyszłam ze sklepu. Czułam się, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg i jakbym znów była rzucona w świat bez żadnego wsparcia, bez żadnej ochrony.

Przez dobrą chwilę włączyłam się po ulicach Oosterby, zanim w końcu weszłam do naszego pięknego kościoła, uklęknęłam w tylnej ławce i modliłam się o litość i zmiłowanie.

Parę tygodni później zdarzył się ten pożar w pensjonacie U Molly. Oczywiście nie było powodu, żeby łączyć te wydarzenia z powrotem Leopolda Kransky'ego, ale coś mi mówiło, że musiał być w to jakoś zamieszany.

Inny głos mi podpowiadał, że przesadzam... przecież tylko spotkałam go w sklepie... że to tylko moja wyobraźnia. I że policji wcale nie zainteresuje moje zeznanie. Z ręką na sercu muszę przyznać,

że moje wahanie, moje milczenie było egoizmem. Nie chciałam opowiadać własnej historii, tak samo jak nie chcę opowiadać jej teraz.

Z wielką uwagą czytałam wszystko, co pisano o śledztwie, i myślałam sobie, że jeśli nie znajdziecie przestępcy, to moim obowiązkiem będzie skontaktować się z Wami. W ten sposób uciszałam wyrzuty sumienia... Kiedy teraz o tym myślę, bardzo się wstydę.

W końcu znaleźliście tego nieznanego mi Maaseneggera. Gazety trąbiły, że śledztwo się zakończyło i że Maasenegger poszukiwany jest w całej Europie. O Leopoldzie Kranskym z wytatuowanym małym „z” na szyi nie było ani słowa.

Odetchnęłam z ulgą, ale... widocznie przedwcześnie.

I znów mija dwadzieścia lat. Pewnego ranka, miesiąc temu, czytam w gazecie, że coś znaleźli. Zwłoki w lesie pod Libbenholtz... I okazuje się, że to ciało Qvintusa Maaseneggera. Nie żył już od dawna... Tak... To wręcz nieprawdopodobne, że zginął tego samego wieczoru co czwórka jego znajomych w pensjonacie U Molly, z tą tylko różnicą, że zginął w inny sposób. Nasuwa się więc tylko jeden wniosek: to nie on zabił tamtą czwórkę. Policja w 1991 roku pomyliła się i prawdziwy morderca nie został złapany.

Nie muszę tego pisać, jesteście pewnie świadomi powagi sytuacji bardziej niż ja. Kiedy zobaczyłam Was w restauracji, dawnego szefa policji i obecnego w towarzystwie tego słynnego komisarza z Maardam, nietrudno było się domyślić, co Was tam przywiodło. I o czym tak dyskutowaliście z zafrasowanymi minami. Obchodziliśmy osiemdziesiąte urodziny mojego męża... Nigdy nie chodziłam do restauracji, więc tego, że właśnie wtedy się tam znalazłam, nie mogę inaczej wytłumaczyć jak tylko interwencją Pana. Widać Bóg czasem wskazuje nam drogę...

Czas wszystko powiedzieć. Czas wszystko wyznać. I teraz to właśnie czynię. Oczywiście nie oznacza to, że ten nieszczęsny Leopold Kransky, ten kiedyś słodki chłopiec, Chrystian, ma coś wspólnego z wydarzeniami w pensjonacie U Molly. Ale gdzieś z głębi coś mi podpowiada, że to może być on.

Proszę mi wybaczyć tyle słów, proszę mi wybaczyć lata milczenia.

Prosząca o anonimowość

Nieszczęśnica

PS Oczywiście, łatwo się zorientujecie, o jaki klasztor chodzi, ale chcę dodać, że już nie istnieje. Działał do 1994 roku. Kiedy się zamykał, mieszkało w nim tylko sześć zakonnice i o ile się nie mylę, przeniesiono je do innych klasztorów...Nie wiem, czy któraś z nich jeszcze żyje. Ja sama zaraz skończę osiemdziesiąt lat. Kiedy opuszczałam klasztor w wieku trzydziestu jeden lat, byłam najmłodsza, a nie wydaje mi się, by po mnie przyszły jeszcze jakieś nowe siostry. Historia z Chrystianem w pewnym sensie przelała czarę, poza tym, moim zdaniem, życie klasztorne nie pasuje do współczesnego społeczeństwa. Być może odgrywa jeszcze jakąś rolę w innych kulturach, ale w naszej, zachodniej, to już przeżytek. Ja moją wiarę odnalazłam poza murami klasztoru i jak na razie ma się ona bardzo dobrze. D.S.

Marzec 1992, Lembork/Sorbinowo

Dziennik

Minęło pół roku. Piszę po raz pierwszy i serce mi wali jak młot. Śniły mi się dzisiaj w nocy tory kolejowe, ale też moje szaleństwo. Ono jest jak wilk, który zżera mnie od środka. W spokojnych okresach jest najedzony, zmęczony, więc leży i śpi. W końcu nawet tyran musi kiedyś odpocząć. Chwile, kiedy wydaje mi się, że jakoś sobie poradzę, zdarzają się najczęściej w dzień, jasny i słoneczny, a najgorsze są wieczory i noce.

Ona i ja. Ja i ona. Kim ja jestem? Kim ona była? Dwie strony tej samej monety, powiedzieliby mądrze, ale mija sześć miesięcy i moneta wciąż ma tylko awers. Rewers pozostaje w wiecznym mroku.

Ale teraz biorę do ręki długopis i piszę. Przeczytałam wszystko, co napisała, dwa czy trzy razy. To dwanaście grubych zeszytów w linie, oprawionych w plastikową okładkę (oprócz dwóch krwistoczerwonych). Zaczęła pisać, kiedy jeszcze była nastolatką, i niestrudzenie kontynuowała. Zeszyty znalazłam podczas krótkiej wizyty w mieszkaniu w Sorbinowie. Dopiero miała tam zamieszkać, ale już przywiozła niektóre swoje rzeczy. Byliśmy tam godzinę, ja i doktor Brenner. To był jego pomysł, wciąż próbuje mnie namówić, żebym spojrzała naprzód, stawiała czoła rzeczywistości. Niełatwo było mnie przekonać.

Dzienniki znalazłam w torbie papierowej, przechadzając się po mieszkaniu (trzy pokoje i kuchnia, nowoczesne i bezosobowe, z widokiem na las i na budynek szkolny z czerwonej cegły). Jakby na mnie czekały – nie mogę się uwolnić od tej myśli.

Nie pisała codziennie, ale przynajmniej kilka zdań w miesiącu. Rok za rokiem. Taka była i taka ja teraz będę. Nauczę się. Muszę się nauczyć.

Moja decyzja? Skąd się wzięła?

Przepraszam, powinnam napisać „moje decyzje”. Po pierwsze: żyć, po drugie: stać się moją siostrą.

To wszystko wydarzyło się tak cholernie szybko. Gdyby Kosta wtedy przyszedł, tak jak się umówiliśmy, nie byłoby to możliwe. Ale zadzwonił dwa dni wcześniej i przeprosił, że coś mu wypadło, siedziałam więc sama w domku letnim, który wypożyczył od kolegi. Bez męża, bez dzieci, bez kochanka.

PODCZAS GDY MOJA SIOSTRA PŁONĘŁA W MOIM IMIENIU.

Spoglądam na długopis i robię przerwę. Dużo mnie kosztowało napisanie tego zdania, drukowanymi literami. PODCZAS GDY MOJA SIOSTRA... W MOIM IMIENIU. Wstaję i chodzę w kółko po pokoju. Staję przy oknie, po lewej stronie widzę las, za którym zachodzi słońce. Mieszkam w tym pokoju, w tym domu, od stu siedemdziesięciu pięciu dni. Od tamtej tragedii plus minus dwa tygodnie. To mój schron, moja ostoja. Tego określenia używa doktor Brenner.

Na początku, przez pierwsze dni, nie musiałam udawać chorej czy szalonej, naprawdę byłam w strasznym stanie, kiedy mnie przyjmowali do szpitala. Moja dusza, jeśli w ogóle ją mam, była w rozsypce. O wszystkim dowiedziałam się dzień później z radia. Dowiedziałam się, że nie żyję.

Swoje imię i nazwisko znalazłam dopiero następnego dnia, razem z innymi. Od razu zgłosiłam się do szpitala o pomoc. Rozmawiali ze mną lekarz, terapeuci, młoda pielęgniarka z blond włosami niczym anioł, a także ksiądz. Nie pamiętam, co mówili, ale ukryłam prawdę. Moja siostra nie żyje, zginęła w tym straszliwym pożarze w Oosterby.

Natychmiast mnie przyjęli na oddział psychiatryczny.

Byłam w szoku, na granicy samobójstwa.

Siostra bliźniaczka i wszystko inne. Nietrudno zrozumieć. Nietrudno się wczuć w tę sytuację.

I w swoje nowe imię. Birgitte Behrens.

Clara nie żyje. Clara Behrens nie żyje.

Spędziłam tam dwa tygodnie. Dawali mi lekarstwa, a ja je połykałam. Przez większość czasu spałam. W tych krótkich chwilach, kiedy nie spałam, trudno mi było oddychać. Zespół lęku napadowego, powiedzieli. Ciekawe.

Śniło mi się, że nie żyję. Tak jak miało być. W snach byłam w jakimś dalekim kraju. Wędrowałam przez lasy i doliny, sama natura, żadnych ludzi. Jediną oznaką cywilizacji były tory kolejowe. Przecinały krajobraz we wszystkich możliwych kierunkach... Wkrótce zrozumiałam, o co chodziło. Żeby znaleźć właściwy tor, a raczej znaleźć właściwy tor na konkretnej stacji oraz pociąg, który zabierze mnie w moją ostatnią podróż. Na ostatni przystanek.

Wędrowałam i wędrowałam. Szłam i szłam. Ale nigdy nie dotarłam na miejsce. Uświadomiłam sobie, że jest tego powód, istnieje przyczyna, dla której nie mogłam tam dotrzeć, ale odsuwałam ją na dalszy plan i nigdy nie wypowiedziałam tego słowa.

Jakiego słowa?

Wciąż miewam te sny, ale już nie każdej nocy.

Trzeciego, czwartego, a może nawet piątego dnia w pierwszym szpitalu odwiedzili mnie mąż i syn. To była najgorsza chwila w moim życiu, ponieważ nie leżała tam ich żona i mama. Nie, dla nich to była szwagierka i ciocia.

Tak, to był najgorszy moment, najgorszy. Wyprzeć się ich.

Ale jakoś poszło. Dałam radę. Co to o mnie mówi?

Potem przenieśli mnie tutaj. Ironia losu czy sprytny pomysł ordynatora? Nie wiem. Zostałam przyjęta do szpitala w Lemborku, wylądowałam tu, na tym

oddziale i w tym pokoju. W szpitalu, w którym być może będę pracować, jeśli wyzdrowieję.

W szpitalu mojej siostry. W nowym miejscu pracy mojej siostry.

MÓJ szpital. MOJE miejsce pracy. Próbuję się przyzwyczaić do tej myśli.

MOJE życie, nie jej.

Na początku myślałam, że szpital to dla mnie jedyna opcja. Jedyna, jaka pozostała. Myśl, że mogłabym żyć wśród ludzi, budować relacje z mężczyznami, z pełną odpowiedzialnością, wydawała mi się niemożliwa. Zniknąć z zasięgu wzroku, tak, właśnie tak muszę się chronić, zniknąć z zasięgu wzroku, przynajmniej na początku, i tak jak się spędza jeden dzień w czterech ścianach, tak spędzić sto dni. Tyle wystarczy. Żeby spać, jeść i przeżyć. To jakaś pociecha.

Qvintus. On to zrobił. Qvintus Maasenegger. To jego nazwisko pojawiło się w gazetach zaraz potem. Nie mogę tego zrozumieć... Jest poszukiwany. To on nas zaprosił, żeby się zemścić za coś, czego nie mogę pojąć. Przecież to nie on siedział w więzieniu. Codziennie o nim myślę i próbuję przywołać jego twarz. Taką, jaką zapamiętałam, nie taką, jaką pokazywali jesienią we wszystkich gazetach ponad dwadzieścia lat temu. Próbuję go sobie przypomnieć. Wredny typ. Złamany człowiek. Drań. Ale coś takiego?

A Zink? A Madeleine? Ileż to czasu musiało upłynąć, żeby to wyprzeć, pogrzebać. Dobry Boże, pozwól, żeby już tak zostało, w ciszy zapomnienia.

To nie ja na niego doniosłam.

Nie ja.

Doktor Brenner chce mnie stąd wypisać. Nie od razu uznać za zdrową, ale chce, żebym mieszkała u siebie, a do szpitala przychodziła tylko w ciągu dnia. Na kilka godzin, przed południem, czasami popołudniami. Jeśli zajdzie taka potrzeba. Wciąż będę pacjentką szpitala, ale on wierzy w takie drobne kroki. Odpoczywać będziemy w grobie, a dopóki żyjemy, jesteśmy w ruchu, przynajmniej w pewnym sensie.

Tak mówi doktor Brenner. Że wierzy w powszechnie obowiązujące prawdy i że poczuje się lepiej, jak je usłyszę. O mojej specyficznej prawdzie oczywiście nie wie nic, ale kiwam głową i się z nim zgadzam. Przecież nie mogę tu zostać na wieki, prawda?

Pewnego dnia zacznę pracę w tym szpitalu, tak jak było w planach, prawda?

Prawda? Prawda? Kiwam głową. Życie jest wytrzymałe w swojej istocie i trwa tyle, ile trwa.

Na mojej niebieskiej wejściówce będzie napisane „Siostra Behrens”.

Ironia losu.

Nie miała za wielu przyjaciół. W bardziej lub mniej świadomy sposób wczytuję się w jej życie. Od mojej decyzji nie ma odwrotu – to Birgitte Behrens przeżyła, Clary Behrens już nie ma. Jedynym mężczyzną, z którym pozostawała w dłuższym związku, był Carlos. Zerwali pół roku temu, czytam w jej pamiętniku. Dużo w nim o mnie, o tym, jak ją zdominowałam, o całym naszym okresie dorastania. Czasami mnie to irytuje i myślę sobie, że wcale tak nie było, że próbuje stworzyć pewnego rodzaju martyrologię. Ale to może dobry znak, że wciąż mogę się złościć na moją siostrę. Na nią, którą teraz jestem.

Byłyśmy bardzo różne i miałyśmy kiepski kontakt. Czy spotkam ją kiedyś w niebie?

Zadałam to pytanie księdzu w szpitalu, ale tylko raz. Jest jeszcze tak młody i nowoczesny, że nawet nie ma odwagi zapewnić mnie, że istnieje jakieś królestwo niebieskie.

Ten cały Carlos raz jeden próbował się ze mną skontaktować, mejlowo, przez doktora Brennera. Odmówiłam, uprzejmie, ale stanowczo. To samo było z jednym z jej terapeutów; nie wiedziałam, że w ogóle potrzebowała terapii, dopóki nie przeczytałam tego, co pisała przez lata.

Kiedy oddaliśmy się od siebie tak bardzo, ja i moja siostra? Czy tak było od samego początku?

Czy mam to jakoś wykorzystać?

Przecież właśnie to robię! Przecież na tym będzie polegała cała reszta mojego życia. Tak na to patrzę. Biorę na siebie resztę jej egzystencji. Wyrzekam się własnego syna.

Moje motywy? Moje pobudki?

Moje życie było w rozsypce. Czy to wystarczy?

Kosta był jak słomka na wietrze. Nie przyszedł na spotkanie.

Wtedy nie, ale pojawił się w szpitalu. To było miesiąc temu w mroźny zimowy dzień. Rozmawialiśmy w tak zwanym pokoju spotkań i chyba coś poszło nie tak. Dużo o tym myślałam, ale wciąż nie jestem pewna.

Mniej więcej tak to wyglądało:

ON: Kochałem twoją siostrę. Musiałem ci to powiedzieć.

JA: Rozumiem.

ON: To było okropne.

JA: Tak.

ON: Nie wiem, czy kiedykolwiek ci o mnie mówiła?

JA: Nie. Nie miałyśmy zbyt bliskiego kontaktu.

ON: Jesteś do niej bardzo podobna.

JA: Tak.

ON: Bardzo podobna... to znaczy...

JA: Zawsze tak było.

ON: Mieliśmy się wtedy spotkać, ale coś mi wypadło.

JA: Ach tak?

ON: Więc pojechała na to spotkanie po latach...

JA: Rozumiem.

ON: Jeśli byłoby tak, jak zaplanowaliśmy, wciąż by żyła.

JA: ???

ON: Czuję taki ból, kiedy o tym myślę.

JA: Ja też czuję ból.

ON: Przepraszam. Oczywiście. Chciałem się z tobą spotkać, żeby ci o tym powiedzieć.

JA: Rozumiem. Szkoda, że nie mogłeś wtedy przyjść.

ON: Mogę... Nie...

JA: Co takiego?

ON: Nie sądziłem, że jesteście aż tak do siebie podobne.

JA: Z wyglądu. Zawsze tak było. Ale teraz już muszę cię przeprosić...

ON: ???

JA: Czuję niepokój. Nie jestem zdrowa.

ON: Naturalnie. Przepraszam.

Podczas całej tej rozmowy miałam przed oczami obraz, jak się kochamy, opętańczo, on i ja. To było pewnego popołudnia w hotelu w Maardam. Miałam odebrać Leona z przedszkola – spóźniłam się dwie godziny. To było jakieś trzy tygodnie przed moją śmiercią.

Żałuję, że tu przyszedł. Jego nieoczekiwane pojawienie się odebrało mi spokój.

Jeśli bogowie gdzieś siedzą i grają w szachy, to jest to dobrze rozegrana partia, muszę im to przyznać.

Będę nazywać się Birgitte. Za jakiś miesiąc, dwa będę gotowa do wyjścia. Przygotowuję się do tego dnia.

Marzec 1992, Lembork/Sorbinowo

Dziennik

Minęło pół roku. Piszę po raz pierwszy i serce mi wali jak młot. Śniły mi się dzisiaj w nocy tory kolejowe, ale też moje szaleństwo. Ono jest jak wilk, który zżera mnie od środka. W spokojnych okresach jest najedzony, zmęczony, więc leży i śpi. W końcu nawet tyran musi kiedyś odpocząć. Chwile, kiedy wydaje mi się, że jakoś sobie poradzę, zdarzają się najczęściej w dzień, jasny i słoneczny, a najgorsze są wieczory i noce.

Ona i ja. Ja i ona. Kim ja jestem? Kim ona była? Dwie strony tej samej monety, powiedzieliby mądrze, ale mija sześć miesięcy i moneta wciąż ma tylko awers. Rewers pozostaje w wiecznym mroku.

Ale teraz biorę do ręki długopis i piszę. Przeczytałam wszystko, co napisała, dwa czy trzy razy. To dwanaście grubych zeszytów w linie, oprawionych w plastikową okładkę (oprócz dwóch krwistoczerwonych). Zaczęła pisać, kiedy jeszcze była nastolatką, i niestrudzenie kontynuowała. Zeszyty znalazłam podczas krótkiej wizyty w mieszkaniu w Sorbinowie. Dopiero miała tam zamieszkać, ale już przywiozła niektóre swoje rzeczy. Byliśmy tam godzinę, ja i doktor Brenner. To był jego pomysł, wciąż próbuje mnie namówić, żebym spojrzała naprzód, stawiała czoła rzeczywistości. Niełatwo było mnie przekonać.

Dzienniki znalazłam w torbie papierowej, przechadzając się po mieszkaniu (trzy pokoje i kuchnia, nowoczesne i bezosobowe, z widokiem na las i na budynek szkolny z czerwonej cegły). Jakby na mnie czekały – nie mogę się uwolnić od tej myśli.

Nie pisała codziennie, ale przynajmniej kilka zdań w miesiącu. Rok za rokiem. Taka była i taka ja teraz będę. Nauczę się. Muszę się nauczyć.

Moja decyzja? Skąd się wzięła?

Przepraszam, powinnam napisać „moje decyzje”. Po pierwsze: żyć, po drugie: stać się moją siostrą.

To wszystko wydarzyło się tak cholernie szybko. Gdyby Kosta wtedy przyszedł, tak jak się umówiliśmy, nie byłoby to możliwe. Ale zadzwonił dwa dni wcześniej i przeprosił, że coś mu wypadło, siedziałam więc sama w domku letnim, który wypożyczył od kolegi. Bez męża, bez dzieci, bez kochanka.

PODCZAS GDY MOJA SIOSTRA PŁONĘŁA W MOIM IMIENIU.

Spoglądam na długopis i robię przerwę. Dużo mnie kosztowało napisanie tego zdania, drukowanymi literami. PODCZAS GDY MOJA SIOSTRA... W MOIM IMIENIU. Wstaję i chodzę w kółko po pokoju. Staję przy oknie, po lewej stronie widzę las, za którym zachodzi słońce. Mieszkam w tym pokoju, w tym domu, od stu siedemdziesięciu pięciu dni. Od tamtej tragedii plus minus dwa tygodnie. To mój schron, moja ostoja. Tego określenia używa doktor Brenner.

Na początku, przez pierwsze dni, nie musiałam udawać chorej czy szalonej, naprawdę byłam w strasznym stanie, kiedy mnie przyjmowali do szpitala. Moja dusza, jeśli w ogóle ją mam, była w rozsypce. O wszystkim dowiedziałam się dzień później z radia. Dowiedziałam się, że nie żyję.

Swoje imię i nazwisko znalazłam dopiero następnego dnia, razem z innymi. Od razu zgłosiłam się do szpitala o pomoc. Rozmawiali ze mną lekarz, terapeuci, młoda pielęgniarka z blond włosami niczym anioł, a także ksiądz. Nie pamiętam, co mówili, ale ukryłam prawdę. Moja siostra nie żyje, zginęła w tym straszliwym pożarze w Oosterby.

Natychmiast mnie przyjęli na oddział psychiatryczny.

Byłam w szoku, na granicy samobójstwa.

Siostra bliźniaczka i wszystko inne. Nietrudno zrozumieć. Nietrudno się wczuć w tę sytuację.

I w swoje nowe imię. Birgitte Behrens.

Clara nie żyje. Clara Behrens nie żyje.

Spędziłam tam dwa tygodnie. Dawali mi lekarstwa, a ja je połykałam. Przez większość czasu spałam. W tych krótkich chwilach, kiedy nie spałam, trudno mi było oddychać. Zespół lęku napadowego, powiedzieli. Ciekawe.

Śniło mi się, że nie żyję. Tak jak miało być. W snach byłam w jakimś dalekim kraju. Wędrowałam przez lasy i doliny, sama natura, żadnych ludzi. Jediną oznaką cywilizacji były tory kolejowe. Przecinały krajobraz we wszystkich możliwych kierunkach... Wkrótce zrozumiałam, o co chodziło. Żeby znaleźć właściwy tor, a raczej znaleźć właściwy tor na konkretnej stacji oraz pociąg, który zabierze mnie w moją ostatnią podróż. Na ostatni przystanek.

Wędrowałam i wędrowałam. Szłam i szłam. Ale nigdy nie dotarłam na miejsce. Uświadomiłam sobie, że jest tego powód, istnieje przyczyna, dla której nie mogłam tam dotrzeć, ale odsuwałam ją na dalszy plan i nigdy nie wypowiedziałam tego słowa.

Jakiego słowa?

Wciąż miewam te sny, ale już nie każdej nocy.

Trzeciego, czwartego, a może nawet piątego dnia w pierwszym szpitalu odwiedzili mnie mąż i syn. To była najgorsza chwila w moim życiu, ponieważ nie leżała tam ich żona i mama. Nie, dla nich to była szwagierka i ciocia.

Tak, to był najgorszy moment, najgorszy. Wyprzeć się ich.

Ale jakoś poszło. Dałam radę. Co to o mnie mówi?

Potem przenieśli mnie tutaj. Ironia losu czy sprytny pomysł ordynatora? Nie wiem. Zostałam przyjęta do szpitala w Lemborku, wylądowałam tu, na tym

oddziale i w tym pokoju. W szpitalu, w którym być może będę pracować, jeśli wyzdrowieję.

W szpitalu mojej siostry. W nowym miejscu pracy mojej siostry.

MÓJ szpital. MOJE miejsce pracy. Próbuję się przyzwyczaić do tej myśli.

MOJE życie, nie jej.

Na początku myślałam, że szpital to dla mnie jedyna opcja. Jedyna, jaka pozostała. Myśl, że mogłabym żyć wśród ludzi, budować relacje z mężczyznami, z pełną odpowiedzialnością, wydawała mi się niemożliwa. Zniknąć z zasięgu wzroku, tak, właśnie tak muszę się chronić, zniknąć z zasięgu wzroku, przynajmniej na początku, i tak jak się spędza jeden dzień w czterech ścianach, tak spędzić sto dni. Tyle wystarczy. Żeby spać, jeść i przeżyć. To jakaś pociecha.

Qvintus. On to zrobił. Qvintus Maasenegger. To jego nazwisko pojawiło się w gazetach zaraz potem. Nie mogę tego zrozumieć... Jest poszukiwany. To on nas zaprosił, żeby się zemścić za coś, czego nie mogę pojąć. Przecież to nie on siedział w więzieniu. Codziennie o nim myślę i próbuję przywołać jego twarz. Taką, jaką zapamiętałam, nie taką, jaką pokazywali jesienią we wszystkich gazetach ponad dwadzieścia lat temu. Próbuję go sobie przypomnieć. Wredny typ. Złamany człowiek. Drań. Ale coś takiego?

A Zink? A Madeleine? Ileż to czasu musiało upłynąć, żeby to wyprzeć, pogrzebać. Dobry Boże, pozwól, żeby już tak zostało, w ciszy zapomnienia.

To nie ja na niego doniosłam.

Nie ja.

Doktor Brenner chce mnie stąd wypisać. Nie od razu uznać za zdrową, ale chce, żebym mieszkała u siebie, a do szpitala przychodziła tylko w ciągu dnia. Na kilka godzin, przed południem, czasami popołudniami. Jeśli zajdzie taka potrzeba. Wciąż będę pacjentką szpitala, ale on wierzy w takie drobne kroki. Odpoczywać będziemy w grobie, a dopóki żyjemy, jesteśmy w ruchu, przynajmniej w pewnym sensie.

Tak mówi doktor Brenner. Że wierzy w powszechnie obowiązujące prawdy i że poczuje się lepiej, jak je usłyszę. O mojej specyficznej prawdzie oczywiście nie wie nic, ale kiwam głową i się z nim zgadzam. Przecież nie mogę tu zostać na wieki, prawda?

Pewnego dnia zacznę pracę w tym szpitalu, tak jak było w planach, prawda?

Prawda? Prawda? Kiwam głową. Życie jest wytrzymałe w swojej istocie i trwa tyle, ile trwa.

Na mojej niebieskiej wejściówce będzie napisane „Siostra Behrens”.

Ironia losu.

Nie miała za wielu przyjaciół. W bardziej lub mniej świadomy sposób wczytuję się w jej życie. Od mojej decyzji nie ma odwrotu – to Birgitte Behrens przeżyła, Clary Behrens już nie ma. Jedynym mężczyzną, z którym pozostawała w dłuższym związku, był Carlos. Zerwali pół roku temu, czytam w jej pamiętniku. Dużo w nim o mnie, o tym, jak ją zdominowałam, o całym naszym okresie dorastania. Czasami mnie to irytuje i myślę sobie, że wcale tak nie było, że próbuje stworzyć pewnego rodzaju martyrologię. Ale to może dobry znak, że wciąż mogę się złościć na moją siostrę. Na nią, którą teraz jestem.

Byłyśmy bardzo różne i miałyśmy kiepski kontakt. Czy spotkam ją kiedyś w niebie?

Zadałam to pytanie księdzu w szpitalu, ale tylko raz. Jest jeszcze tak młody i nowoczesny, że nawet nie ma odwagi zapewnić mnie, że istnieje jakieś królestwo niebieskie.

Ten cały Carlos raz jeden próbował się ze mną skontaktować, mejlowo, przez doktora Brennera. Odmówiłam, uprzejmie, ale stanowczo. To samo było z jednym z jej terapeutów; nie wiedziałam, że w ogóle potrzebowała terapii, dopóki nie przeczytałam tego, co pisała przez lata.

Kiedy oddaliśmy się od siebie tak bardzo, ja i moja siostra? Czy tak było od samego początku?

Czy mam to jakoś wykorzystać?

Przecież właśnie to robię! Przecież na tym będzie polegała cała reszta mojego życia. Tak na to patrzę. Biorę na siebie resztę jej egzystencji. Wyrzekam się własnego syna.

Moje motywy? Moje pobudki?

Moje życie było w rozsypce. Czy to wystarczy?

Kosta był jak słomka na wietrze. Nie przyszedł na spotkanie.

Wtedy nie, ale pojawił się w szpitalu. To było miesiąc temu w mroźny zimowy dzień. Rozmawialiśmy w tak zwanym pokoju spotkań i chyba coś poszło nie tak. Dużo o tym myślałam, ale wciąż nie jestem pewna.

Mniej więcej tak to wyglądało:

ON: Kochałem twoją siostrę. Musiałem ci to powiedzieć.

JA: Rozumiem.

ON: To było okropne.

JA: Tak.

ON: Nie wiem, czy kiedykolwiek ci o mnie mówiła?

JA: Nie. Nie miałyśmy zbyt bliskiego kontaktu.

ON: Jesteś do niej bardzo podobna.

JA: Tak.

ON: Bardzo podobna... to znaczy...

JA: Zawsze tak było.

ON: Mieliśmy się wtedy spotkać, ale coś mi wypadło.

JA: Ach tak?

ON: Więc pojechała na to spotkanie po latach...

JA: Rozumiem.

ON: Jeśli byłoby tak, jak zaplanowaliśmy, wciąż by żyła.

JA: ???

ON: Czuję taki ból, kiedy o tym myślę.

JA: Ja też czuję ból.

ON: Przepraszam. Oczywiście. Chciałem się z tobą spotkać, żeby ci o tym powiedzieć.

JA: Rozumiem. Szkoda, że nie mogłeś wtedy przyjść.

ON: Mogę... Nie...

JA: Co takiego?

ON: Nie sądziłem, że jesteście aż tak do siebie podobne.

JA: Z wyglądu. Zawsze tak było. Ale teraz już muszę cię przeprosić...

ON: ???

JA: Czuję niepokój. Nie jestem zdrowa.

ON: Naturalnie. Przepraszam.

Podczas całej tej rozmowy miałam przed oczami obraz, jak się kochamy, opętańczo, on i ja. To było pewnego popołudnia w hotelu w Maardam. Miałam odebrać Leona z przedszkola – spóźniłam się dwie godziny. To było jakieś trzy tygodnie przed moją śmiercią.

Żałuję, że tu przyszedł. Jego nieoczekiwane pojawienie się odebrało mi spokój.

Jeśli bogowie gdzieś siedzą i grają w szachy, to jest to dobrze rozegrana partia, muszę im to przyznać.

Będę nazywać się Birgitte. Za jakiś miesiąc, dwa będę gotowa do wyjścia. Przygotowuję się do tego dnia.

CZĘŚĆ DRUGA

Październik 2012, Kymlinge

Gunnara Barbarottiego obudził sen, że czuje się dobrze.

Przynajmniej tyle, pomyślał. Jakby był zaskoczony, że sen splątał mu figla i przywrócił go do rzeczywistości.

Do rzeczywistości? Leżał w łóżku i się zastanawiał. Ostatni raz dobrze się czuł dwudziestego ósmego kwietnia, dzień przed śmiercią Marianne. A może wczesnym rankiem dwudziestego dziewiątego, kiedy wciąż jeszcze nie wiedział, że ona nie żyje. Pół roku temu.

Przebudzenie spowodowało, że szybko wrócił do swojego normalnego stanu. Do smutku. Przecież leżał w tym samym łóżku co tamtego kwietniowego ranka... W tym samym pokoju... Pod tą samą kołdrą i na tej samej poduszce... Jak zwykle wyciągnął rękę, pomacał i skonstatował, że jej nie ma. Że nie żyje. To była codzienna rutyna i nie chciał się jej pozbywać.

Przekręcił głowę i spojrział na zegarek. Było piętnaście po szóstej. Nieco później niż zwykle, może to dobry znak. Ten, kto dobrze śpi, ma przynajmniej jedno zmartwienie mniej, twierdził jego terapeuta w czasie jednego z ich ostatnich spotkań, w czerwcu. Terapeuta od smutku. Åke Rönn.

To zawsze coś, ale szczerze mówiąc, pojawiły się też inne oznaki. Najbardziej znaczącą, być może jedyną, była bez wątpienia Eva Backman. Jedyne problem w tym... no właśnie, w czym?

Że nie potrafi odczytywać znaczeń. Bo co, do cholery, może znaczyć to, że mężczyzna wyjeżdża z kobietą na dwa tygodnie? Z kobietą, którą zna i z którą pracuje już prawie dwadzieścia lat?

W podróż po Europie pięć miesięcy po tym, jak żona zostawiła go w duchowym mroku i głuchej beznadziei. To chyba uzasadnione pytanie!

I że to właśnie ona, jego ukochana Marianne, go do tego namawiała. Żeby się zbliżył do Evy, kiedy ona umrze. Jak się w takiej sytuacji zachować? Zrobiła to pośmiertnie, w liście, który napisała, gdyby stało się to, co się stało.

Ten przeklęty tętniak.

Oczywiście, nie zostawiła mu instrukcji, żeby pojechał do Włoch. Ale nie chciała, żeby siedział sam i się zamartwiał, tylko żeby szybko znalazł sobie nową kobietę. Na przykład Evę Backman.

Z delikatnym uśmiezkiem ze swojego nieba, tak to sobie wyobraża. Z Naszym Panem przy boku, też delikatnie się uśmiechającym. Oboje czekają na niego tam, gdzie owieczka bawi się w berka z młodymi lwami. Hej, tu jesteśmy.

Chyba oszalałem, pomyślał Gunnar Barbarotti i wszedł pod prysznic. Na szczęście nikt nie może zajrzeć do mojej szalonej głowy.

Nie spali ze sobą ani razu podczas całej podróży, on i Eva Backman. Dzielili jedno łóżko, przytulali się, głaskali i masowali sobie stopy, ale już pierwszego wieczoru Eva powiedziała, że na razie tak musi zostać, a on był jej za to wdzięczny. Oboje byli już pod pięćdziesiątkę – on tuż po, ona tuż przed. Wszystko ma swój czas.

Cała podróż miała inny, dużo bardziej prozaiczny cel: odnalezienie jego ojca.

Którego nigdy nie spotkał i którego nigdy nie spotka, w każdym razie nie po tej stronie. Ponieważ okazało się, że leży na cmentarzu w Varese, i to już od dziesięciu lat. Ale przecież oboje, Barbarotti i Eva Backman, są policjantami, więc nietrudno im było go znaleźć.

Pewnego wieczoru stali przed małym, szarobiałym grobowcem w lekkim jesiennym deszczu i mieli poczucie, jakby koło się domknęło. Najgorsze okazało się to, że było ono puste w środku, zupełnie wyzute z wszelkiego znaczenia; rozmawiali o tym później tego samego wieczoru w restauracji, gdzie jedli kolację i pili zbyt dużo lokalnego wina, podczas gdy deszcz wciąż jeszcze padał. A może to niebo płakało... O tym też rozmawiali.

Nasza potrzeba sensu. Potrzeba wzorców. Albo przynajmniej choreografii prowadzącej nas w tańcu przez życie – nawet jeśli musimy wymyślić ją sami.

Zresztą cała podróż naznaczona była skomplikowaną harmonią. Tak to opisała Eva Backman już w pierwszych dniach i oboje się z tym zgodzili. Że to charakteryzuje ich relację.

Skomplikowana harmonia.

Zważywszy na to, że w sumie razem – świeżo upieczony wdowiec, inspektor kryminalny i rozwiedziona od trzech lat koleżanka z pracy na tym samym stanowisku – są rodzicami ośmiorga mniej lub bardziej dorosłych dzieci, prawdopodobnie tyle mogą na razie oczekiwać od życia. Niezależnie od tego, jak dalekosiężne plany owo życie miało... Tak więc nie ma pośpiechu.

Barbarotti wyszedł spod prysznic i pomyślał, że to prawda, że od pół roku nie czuje się dobrze, choć to się zmienia, nawet jeśli ledwo co. Były momenty w podróży – podczas wędrówek przez stare włoskie renesansowe miasteczka, przy śniadaniach w zagubionych alpejskich wioskach, w parku w Tybindze przy tryskającej fontannie – kiedy owa harmonia wydawała się zadziwiająco nieskomplikowana.

Mógłbym żyć z Evą Backman, czuł w tajemnym zakątku duszy. Mógłbym ją kochać.

Kiedyś w przyszłości mniej lub bardziej bliskiej.

Nikt na komisariacie w Kymlinge nie wiedział, że dwoje kolegów z pracy spędziło razem jesienny urlop na południu Europy. Zadali sobie sporo trudu, żeby owa niewiedza się utrzymała, owa dezinformacja, bo gdyby kamuflaż z jakiegoś powodu pękł, ta skomplikowana harmonia zamieniłaby się w coś gorszego. Na przykład w cholernie nieskomplikowaną dysharmonię.

Ale ten dzień nadejdzie, pomyślał Gunnar Barbarotti i skonstatował, że poranny sok jest wypity do ostatniej kropli. Przyjdzie czas, będzie rada. A bez soku też można żyć.

Mniej więcej wtedy zadzwoniła jego komórka, mimo iż była dopiero siódma rano. Na ekranie pojawiło się nazwisko Stiga Stigmana, jego nowego szefa. Barbarotti zdusił silny impuls, żeby nacisnąć czerwony przycisk, i odebrał zielonym.

– Stigman z tej strony. Obudziłem cię? Już wstałeś?

– Dopiero co – odpowiedział Barbarotti.

– Jesteś tutaj bardzo potrzebny. Możesz być za kwadrans? Za piętnaście minut?

Stig Stigman zdradzał tendencję do powtarzania się. Może dlatego, że to, co miał do powiedzenia, zawsze było najwyższej wagi. A może sądził, że jego podwładni mają trudności ze zrozumieniem.

– Tylko że mam na głowie kilkoro nastolatków, którzy potrzebują śniadania.

– A co, nie wiedzą, gdzie jest lodówka?

– To zależy od ich nastroju. A co się stało?

– Mamy ciało. Martwe ciało. Gdzieś w Vandelbo. Nie wiem, gdzie to jest, ale wychodzę z założenia, że ty wiesz?

Barbarotti skinął głową, co nie miało szczególnego znaczenia, ponieważ rozmawiali przez telefon. Nie lubił Stigmana, więc im mniej kontaktu z nim, tym lepiej.

Prymitywny protest na granicy z infantyлизmem, ale co z tego.

Stigman zajął miejsce Asunandera, który w wakacje przeszedł na emeryturę, i nie miał jeszcze czasu zapoznać się z okolicą. Nikt do końca nie wiedział, na jakiej zasadzie dostał to stanowisko, było natomiast wiadomo, że przyjechał ze Sztokholmu. Całe swoje dotychczasowe czterdzieści czy czterdzieści parę lat życia spędził w ścisłym centrum miasta, ale najwyraźniej miał jakieś sobie tylko znane, niezbadane bliżej powody, by opuścić własny zakichany rewir, to znaczy komisariat policji w Kungsholmen, i wylądować w samym środku Gotalandii Zachodniej. A dokładniej mówiąc, na posterunku policji w Kymlinge. To, że sam szukał tej pracy, było tak samo prawdopodobne jak to, że papież jest lesbijką.

Był zwalisty i wysportowany (to znaczy Stigman, nie papież), prawdopodobnie dwa metry wzrostu i sto kilo żywej wagi, ale to nie miało nic do rzeczy.

Zawsze pachniał dość drogą wodą po goleniu i przez cztery dni na pięć nosił jasno- lub ciemnoniebieski krawat. Ale to też nie miało nic do rzeczy.

Może piątego dnia zanosił je do pralni? Barbarotti rzadko zakładał krawat, a jeszcze rzadziej prał.

– I? – powiedział Stigman. – No i?

– Tak, wiem, gdzie leży Vandelbo – odpowiedział Barbarotti. – Mam tam jechać prosto z domu czy najpierw to omówimy?

– Powiedziałem tutaj – pouczył go Stigman. – A to oczywiście znaczy na posterunku.

Nie słyszałem, pomyślał Barbarotti, ale zatrzymał to dla siebie.

– A więc za piętnaście minut. Za kwadrans. Przedstawię pokrótce sytuację i dostaniesz Backman do pomocy. Inspektor Backman.

– Ciało? – spróbował jeszcze zapytać Barbarotti.

– W moim gabinecie – rzucił Stigman. – Za piętnaście minut.

I odłożył słuchawkę.

Eva Backman była już na miejscu. Barbarotti uświadomił sobie, że przez ostatnie pół roku, a więc od śmierci Marianne, spotykał ją prawie codziennie. Oczywiście nie tak intensywnie jak podczas podróży po Europie, ale mimo wszystko. W wakacje podczas urlopu przez tydzień była z dziećmi w Danii, ale dzwoniła do niego każdego wieczoru. Albo każdego ranka.

Albo on dzwonił do niej. Przez moment próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jego życie bez niej, i to nie było miłe wyobrażenie. Raczej ponure.

Stig Stigman też już był na miejscu. Podobnie jak jego jasnoniebieski krawat oraz inspektor Borgsen, chyba przez wszystkich nazywany Smutasem, bo zawsze sprawiał takie wrażenie. Z jakiegoś powodu nie potrafił się z niczego cieszyć. Barbarotti i Backman przestali już zadawać sobie pytanie dlaczego.

Smutasowi jakoś nie przeszkadzała jego własna melancholia, poza tym zawsze były jakieś ważniejsze sprawy na posterunku policji w Kymlinge.

Na przykład komisarz Stigman.

Na przykład ciało w Vandelbo.

– Pachnie mi to morderstwem – stwierdził komisarz. – Tak, morderstwem. W tej dziurze. Może inspektor Borgsen uraczy nas sprawozdaniem z tego, co już wiadomo? No więc? Co już wiadomo?

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedział Smutas. – Ale wiemy niewiele. Zadzwoiła jakaś kobieta i powiedziała, że pod plandeką na werandzie w domku letnim w Vandelbo leży ciało.

– Są tam letnie domki? – zapytał Stigman podejrzliwie.

– Jest jezioro – odpowiedział Smutas.

– A czego ona szukała pod tą plandeką? – zapytała inspektor Backman. – Ta, która zadzwoniła.

– Spacerowała z psem wczoraj późnym popołudniem – odparł Smutas, zerkając jednocześnie do swoich notatek. – Przechodziła obok i zobaczyła, że na werandzie leży jakiś dziwny toból. Potem, już nad ranem, nie mogła zasnąć, więc wstała i poszła, żeby to sprawdzić... Mieszka dość blisko... Wzięła psa i latarkę, bo było jeszcze ciemno. Według jej zeznania dochodziła piąta, kiedy to odkryła.

– I? – ponaglił Stigman, stukając długopisem w biurko. – I co?

– Uniosła plandekę i znalazła ciało mężczyzny – odpowiedział Smutas. – Wróciła do domu i zadzwoniła na policję. Rozmowa została zarejestrowana o piątej dwadzieścia osiem.

– Dziękuję – odparł Stigman. – Wysłaliśmy tam nasz patrol. Jönssona i Tillgrena. Ale zajmą się tym Barbarotti i Backman. Tak, wy dwoje. Jakieś pytania? Jakieś pytania?

– Czyli mamy morderstwo – rzekł Barbarotti. – Dowody?

– Dostał siekierą w głowę – odparł Smutas. – I ta siekiera... wciąż tkwi w jego głowie.

– Aż tak – skwitowała Eva Backman.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Ulrike Fremdli siedziała w fotelu i czytała na głos zeznanie. Van Veeteren z kolei leżał na łóżku, słuchając uważnie i popijając drugi już kieliszek Montrachet. Los nie wybiera.

Ulrike czytała, a czas płynął. Minęła północ, co oznaczało, że Van Veeteren osiągnął właśnie szacowny wiek siedemdziesięciu pięciu lat. Trzy czwarte wieku, innymi słowy, równo dwadzieścia siedem tysięcy dni.

– Wszystkiego najlepszego i twoje zdrowie – powiedziała Ulrike, kiedy skończyła czytać. Podniosła kieliszek i dwuznacznie spojrzała na Van Veeterena.

– Jasny gwint – odparł. – Co za historia... Tym samym wszystkie urodzinowe uroczystości odwołane.

– Nie ma mowy – powiedziała jego żona bez cienia wahania. – To tylko trzy punkty programu, mamy więc dużo czasu na pracę detektywistyczną.

– Pracę detektywistyczną?

– Tak.

– Punkty programu?

Jeśli nawet coś o tym słyszał, to ewidentnie zapomniał.

– Rano będziemy się kochać. Potem pójdziemy bosy na plażę, na godzinny spacer, i zjemy bardzo elegancką kolację. Wszystko zgodnie z życzeniem jubilata.

– Nie pamiętam, żebyś wyraził jakieś życzenia.

– Ja je słyszałam.

– Naprawdę? – upewniał się Van Veeteren. – Może damy sobie spokój z tą plażą? Jeśli będzie padało.

– Dobrze – zgodziła się Ulrike. – Ale sprawdzałam prognozę pogody i ma się rozchmurzyć.

– Boso?

– Tak. Trzeba poczuć, że się żyje. To cytat z faceta, który jest moim mężem.

– Mądre słowa – przyznał Van Veeteren. – Więc może punkt numer jeden możemy zrealizować już teraz. Będziemy mieli go z głowy.

– Absolutna zgoda – odpowiedziała Ulrike, kobieta jego życia. I uraczyła go uśmiechem, który przez te dwadzieścia lat, odkąd są razem, nie zmienił się choćby o milimetr.

Prawdy z czasem ulegają zmianie, pomyślał Van Veeteren lekko oszołomiony i przyjemnie bezkrytyczny po dwóch kieliszkach Montrachet. Zupełnie inaczej jest z uśmiechem. Najwyraźniej.

Co za historia! Wyznanie zakonnicy? Brzmi jak tytuł książki, w dodatku kiepskiej książki. Ale Van Veeteren postanowił odłożyć swoje przemyślenia na później, tymczasem patrzył, jak Ulrike się rozbiera.

Komisarz Radovic pewnie się śpieszył podczas porannego golenia, bo miał plaster tam, gdzie szczęka przechodzi w szyję. Była za piętnaście dziesiąta, a on miał pół godziny na przeczytanie tych jedenastu stron, Van Veeteren więc zyskał pół godziny na kręcenie młynka kciukami.

Wcale mu to nie poprawiło humoru.

– Gotowy? – zapytał, kiedy Radovic odłożył ostatnią stronę.

– Gotowy – odpowiedział Radovic.

– Bądź tak miły i streść mi pokrótce, jak wygląda sytuacja – poprosił Van Veeteren, szukając jednocześnie starej wykałaczkii w kieszeni marynarki. Uświadomił sobie, że ta wykałaczka musi mieć mniej więcej dwadzieścia lat (zresztą tak jak marynarka), a jednak włożył ją do ust. Wyraźnie poczuł, jak czas drgnął i na moment stracił ciągłość.

– Sytuacja? – upewniał się Radovic.

– Tak, pytam o sytuację – powtórzył Van Veeteren. – Pokróćce.

Radovic dotknął plastra. W jego spojrzeniu był jakiś rodzaj niedowierzania. Że siedzi i rozmawia z jakimś wariatem. Z kimś, kto kiedyś był słynnym inspektorem kryminalnym, ale niestety powinęła mu się noga.

Van Veeteren przełożył wykałaczkę do drugiego kącika ust i odchrząknął.

– To ja powiem. I chcę zaznaczyć, że nie będę cię już długo męczył, bo za dwa dni wyjeżdżamy. Ale przyjdzie czas, będzie rada, prawda?

– No tak, tak... – odrzekł z powątpiewaniem komisarz Radovic.

– Mamy więc mężczyznę, który nosi nazwisko Leopold Kransky – powiedział Van Veeteren. – A raczej nosił. Tak naprawdę to się w ogóle nie nazywa, bo matka oddała go zaraz po urodzeniu, zamiast zaopiekować się nim i dać mu imię. Zgadza się?

– Prawdopodobnie – odpowiedział Radovic.

– Ale kiedy wylądował za kratkami, po porwaniu i zamordowaniu Madeleine Kettener, tak właśnie się nazywał. Leopold Kransky. Przesiedział w więzieniu ponad dwadzieścia lat, całe lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Nie wiemy, co się z nim działo po wyjściu z więzienia, ale dostaliśmy informację, że we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego znajdował się w Oosterby. Jaki więc z tego wniosek?

– Czy musimy w to wierzyć? – zapytał Radovic i wykonał gest w kierunku sterty papierów, które leżały przed nim na biurku. – To znaczy...

– A możesz dać mi choć jeden powód, dla którego mielibyśmy w to nie wierzyć? – przerwał mu Van Veeteren.

– Nie tak na poczekaniu – odparł Radovic odważnie. – Nie miałem nawet chwili na zastanowienie.

– Jeśli o mnie chodzi, to miałem dziesięć godzin – odpowiedział Van Veeteren i rzucił okiem na zegarek, który dostał na siedemdziesiąte urodziny. Albo sześćdziesiąte piąte. – To nie była fałszywa informacja.

– Powiedzmy, że jestem gotowy to kupić – odparł Radovic. – Ale nawet jeśli ten osobnik był tam w czasie pożaru, to nie jest to jeszcze żaden dowód?

– Dowód?! – wybuchnął Van Veeteren. – A co, będziesz siedział i czekał, aż dowód sam ci spadnie z nieba? Posłuchaj mnie: dowody rodzą się jako drobne przypuszczenia, jako rodzaj mentalnych insektów. Dzięki dobrej policyjnej robocie rosną i zamieniają się w znaczące fakty, które wystarczają na sali sądowej, ale to nie dzieje się, kiedy siedzimy z założonymi rękami i...

– Ale że niby co, do cholery! – wyrwało się nagle komisarzowi Radovicowi, a Van Veeteren uświadomił sobie, że może posunął się trochę za daleko.

Wszystko przez tę wykałaczkę; wypluł ją i spontanicznie uniósł rękę w geście przeprosin.

– Już dobrze – powiedział. – Chcę ci tylko trochę pomóc to uporządkować. Mimo wszystko mamy do czynienia z osobą, która ma osiem istnień ludzkich na swoim sumieniu... jeśli dobrze liczę... włączając tych dwoje z Hamburga, o których pisała nasza anonimowa zakonnica... Poniósł karę za jedno z tych morderstw, ale jeśli wciąż żyje, to uważam, że warto znaleźć tego drania i pociągnąć do odpowiedzialności za pozostałe. Mam nadzieję, że podzielasz moje zdanie?

Komisarz Radovic jakby zapadł się w sobie. Jakby tych siedem niepomszczonych ciał nosił niczym ciężar na swoich szerokich ramionach, pomyślał Van Veeteren, przeklinając te chorobliwe metafory, które czasami roiły się w jego starej głowie.

W jego siedemdziesięciopięcioletniej głowie.

– Jasne – odparł Radovic po kilku sekundach ciszy. – Pójdziemy tym tropem. Natychmiast zaczniemy poszukiwania Leopolda Kransky’ego... Opuścił więzienie w Würgau w dziewięćdziesiątym pierwszym, tak?

– Piętnastego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego – doprecyzował Van Veeteren. – Minęło dopiero dwadzieścia jeden lat, więc nie powinno to być takie trudne.

– Trzy miesiące przed pożarem U Molly – powiedział Radovic.

– Trzy i pół – dodał Van Veeteren.

– Jak duże, twoim zdaniem, jest prawdopodobieństwo, że zachował nazwisko po wyjściu na wolność? – zapytał Radovic.

– Nieco ponad zero – odpowiedział Van Veeteren. – Ale może wciąż ma tatuaż, poza tym jest jeszcze jeden szczegół, na który bym zwrócił uwagę...

– Jaki? – zapytał Radovic z westchnieniem.

– Stowarzyszenie Leworęcznych – odparł Van Veeteren. – Jeśli to, o czym myślimy, jest sprawką Leopolda Kransky’ego, to musiał mieć coś wspólnego z tym pieprzonym klubem. A to z kolei oznacza... Właściwie to nie wiem co... Ale musiał mieć jakiś powód, żeby odebrać życie tym ludziom.

– Szkoda, że od nich się tego nie dowiemy – powiedział Radovic.

– Wyjątkowa szkoda – zgodził się Van Veeteren. – Ale jest ktoś, kto żyje. Jedna z sióstr Behrens, jeśli się nie mylę. Trzymała się wprawdzie na uboczu, ale nic lepszego nie mamy. Gdzie ona teraz jest?

– W Szwecji – odpowiedział komisarz Radovic. – Tak, musimy ją ponownie przesłuchać.

– Może przy okazji wrócimy też do Molly Hansen – zaproponował Van Veeteren.

Radovic skinął głową i się wyprostował.

– Oczywiście. Poproszę o posiłki z Werdingen. Hm... Czy w razie potrzeby możemy liczyć na twoją pomoc?

– Niestety, na razie jest to niemożliwe – odparł Van Veeteren i się podniósł. – Obchodzę dzisiaj urodziny.

I sprężystym krokiem opuścił posterunek policji w Oosterby.

Pogoda była taka, jak zapowiadali. Więc zgodnie z zaleceniami bosonogich filozofów oni też zdjęli buty, gdy tylko weszli na plażę. Schowali je pod starą łódź rybacką, która wyglądała na nieużywaną od lat, i skierowali się na zachód. Wiał delikatny i ożywczy wiaterek, niebo było niebieskie, a morze spokojne.

– Ktoś tam w górze zapisał, że dzisiaj są twoje urodziny – powiedziała Ulrike.

– Bez wątpienia – odparł Van Veeteren. – Godzina w jedną stronę?

– Brzmi sensownie. O czym, do diabła, będziemy rozmawiać? O dniach i latach, które minęły?

– Ominie cię to, nie martw się – odpowiedział Van Veeteren. – Nie pleć głupstw i lepiej załóż ten swój kapelusz Sherlocka Holmesa.

– Skoro nalegasz. – Ulrike się uśmiechnęła. – To musiała być tamta grupa... ci, którzy świętowali, nie sądzisz?

Van Veeteren skinął głową.

– Obchodzili jakąś uroczystość, bo pamiętam, że ktoś z nich wstał i dość długo przemawiał.

– I ona tam była – powiedział Van Veeteren. – W razie potrzeby nie powinno być większego problemu ze znalezieniem jej.

– A nie potrzebujemy jej?

– My?

– Nie łap mnie za słowa. Czy komisarz Radovic nie powinien ściągnąć jej na komisariat i porządnie przesłuchać? To właśnie miałam na myśli.

– A czemu by to miało służyć, według ciebie?

Ulrike wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale przecież tak się robi, prawda? Można to zrobić dyskretnie, skoro chce pozostać anonimowa.

Van Veeteren podniósł muszlę, obejrzał ją i z powrotem wrzucił do wody.

– Ja bym tego nie robił – stwierdził Van Veeteren. – Przynajmniej na razie. Przecież nigdzie nie ucieknie. A jeśli uda się złapać tego cholernego Kransky'ego, to już inna sytuacja. Wtedy będziemy musieli ich sobie przedstawić.

– My? – zapytała Ulrike.

– Nie łap mnie za słowa – odpowiedział Van Veeteren.

– A motyw? – zapytał chwilę później. – Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

– Czy on był leworęczny? – spytała Ulrike.

– Nie wiem – odpowiedział Van Veeteren. – Ale mam nadzieję, że Radovic to sprawdzi.

– Może nie chcieli go przyjąć do tego ich klubu, bo był praworęczny?

– I przez dwadzieścia lat rosła w nim żądza zemsty, aż...

– ...aż po wyjściu z więzienia wrócił i wszystkich pozabijał – dokończyła Ulrike.

– Mściwy typ, cokolwiek by mówić – wymamrotał Van Veeteren.

– Ale musimy też pamiętać, że być może nie ma nic wspólnego z pensjonatem.

– Tak... To bardzo dziwny typ.

– Otóż to. Tak dziwny, że wręcz nieprzewidywalny... albo raczej nie do pojęcia. Co dobrego może być w człowieku, który miał taki start w życiu?

– Wszystko, cokolwiek – odparła Ulrike. – Tak czy owak, to nie oznacza, że... że miał coś wspólnego ze śmiercią tych ludzi, prawda?

– Prawda – wymamrotał Van Veeteren. – Stara zakonnica, jednocześnie dawna kochanka, wypatrzyła go we właściwym miejscu o właściwym czasie i to wszystko.

– A co ci mówi przecucie? – zapytała pani psycholog policyjna.

– Że to on – odrzekł Van Veeteren. – Chociaż nie mam pewności... A poza tym nie lubię tego słowa.

– Jakiego słowa?

– Przecucie.

– Wolisz słowo „intuicja”?

– Chyba tak. Starsza siostra wiedzy. Nie mówiliśmy czasem o Rappaporcie przed paroma dniami?

– Mówiliśmy – potwierdziła Ulrike. – Leon Rappaport i determinanta. Dlaczego teraz o nim wspominasz?

– Dlatego, że Rappaport mówi o tym coś ważnego – wyjaśnił Van Veeteren cierpliwie. – Że mamy wrodzone poczucie prawdy... Chyba już ci o tym wspominałem. O rozumieniu pierwotnym. Po ujawnieniu prawdy wydaje nam

się ona znajoma. To, z czego jesteśmy tak dumni, a co nazywa się analitycznym myśleniem, jest wtórne... Tak to mniej więcej wygląda. Choć głównie pisze o odkryciach naukowych, a nie o leworęcznych, których ktoś podpalił...

– Pewna różnica – powiedziała Ulrike Fremdli i zauważyła długonogiego ptaka, który dziobał coś, co wyglądało na stary biustonosz. – Ale dokąd to nas właściwie prowadzi?

– Nie wiem – przyznał Van Veeteren. – Ale przyszła mi do głowy inna rzecz... Parę dni temu o czymś rozmawialiśmy... To okropne, że ostatnio człowiekowi tak szybko wszystko umyka z głowy, zanim jeszcze zdąży się zastanowić. Ale może zawsze tak było, co?

– Nie wiem, o jakiej rozmowie mówisz – odparła Ulrike.

– O czymś, co wyczytałaś w przesłuchaniu... Coś o tej siostrze, o ile dobrze pamiętam...

– Już wiem. „Kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno”. O to ci chodzi? Birgitte Behrens powiedziała to w czasie przesłuchania... Jakby trochę bez związku.

– No właśnie – rzekł Van Veeteren. – Wymknęło jej się bez żadnego związku. Dobrze mieć przy boku młody i świeży umysł... I co by to miało znaczyć?

– Hm... – Ulrike się zastanowiła. – To znaczy, że zawsze dostajemy drugą szansę... że zawsze jest jakieś wyjście... czy coś w tym stylu.

– Rozumiem. Ale dlaczego to powiedziała właśnie wtedy?

– Nie pamiętam kontekstu.

– Ja też nie. W końcu jej siostra została spalona razem z tamtą trójką... Coś tu nie gra, prawda? Kto albo co wymyka się przez to otwarte okno?

– Mnie o to nie pytaj – odpowiedziała Ulrike. – Co wymyka się przez to otwarte okno? Nie wiem, o co może chodzić. Ale zdarza się, że mówimy rzeczy... które mają się nijak do sytuacji, czyż nie? Myślę tu głównie o tobie...

– O mnie? – zdziwił się Van Veeteren. – Do diabła! A może to dlatego, że w mojej analizie jestem o kilka kroków do przodu, co?

– Albo parę kroków w tyle... – odparła na to Ulrike Fremdli.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – rzekł Van Veeteren i objął Ulrike w pasie. – Wiesz, czuję się, jakbyśmy stracili wątek... Ale wciąż mam to... tak, przeczucie... że właśnie tu gdzieś znajdują się brakujące puzzle. Kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno.

– Zapamiętam to – powiedziała Ulrike. – Zresztą wciąż mamy te przesłuchania... Wystarczy do nich spojrzeć, jak wrócimy do hotelu.

– Świetnie – odparł Van Veeteren. – Pamiętajmy.

I jakby za sprawą jakiegoś niepisanego porozumienia szli w ciszy przez dłuższy czas.

– Odciski palców? – spytała nagle Ulrike.

– Tak?

– Odciski Leopolda Kransky'ego powinny chyba znajdować się w jakiejś bazie danych, prawda? Przecież miał wyrok, siedział...

– I? – Van Veeteren nie wiedział, do czego zmierza.

– Nie ma już żadnych odcisków po tej historii w pensjonacie U Molly?

– A jak sądzisz? – odpowiedział pytaniem Van Veeteren.

– No tak... – odparła Ulrike. – Ogień trawi wszystko... Zapomniałam.

– Zgadza się – potwierdził Van Veeteren. – O ile się nie mylę, to po tym pożarze nie zachowała się nawet jedna gałązka. Zakładam, że próbowali szukać, ale nie pamiętam, żeby była mowa o odciskach palców.

Ulrike skinęła głową i zamyśliła się na kilka sekund.

– Mimo wszystko chciałabym porozmawiać z tą zakonnica.

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że komisarz Radovic idzie tym samym tropem. Więc proponuję, żebyśmy zostawili to jemu. Mam nadzieję, że nie okaże się niezgrabny i jej nie zdemaskuje.

– Żal ci jej?

– Nie. Ale nie ma potrzeby wywlekać na wierzch kłamstwa, które ludzie przez całe życie skrywają. Zwłaszcza jeśli milczeli przez tyle lat.

– Ale może chciała powiedzieć prawdę... na przykład swojemu mężowi.

– Gdyby tak było, ten prawy i bogobożny chłop na pewno by się z nią nie ożenił – zawyrokował Van Veeteren – a ich dzieci nigdy by się nie narodziły. Takie jest życie.

– Niekoniecznie – odparła Ulrike.

– Ależ tak – odparł Van Veeteren. – Bo nie żyjemy w najpiękniejszym ze światów.

Ulrike zamyśliła się na chwilę.

– Tylko w tym jedynym możliwym, co?

– Nie wiem... – rzekł Van Veeteren. – W każdym razie przyjemnie iść z tobą boso po plaży. Zawsze jest jakieś światełko w ciemności.

– Też tak uważam – powiedziała Ulrike. – Chociaż kiedy się nad tym zastanawiam, to jest jedna osoba, z którą chciałabym zamienić parę słów... To tak à propos światełka w ciemności.

– Kto to taki?

– Ta matka. Ta, która podrzuciła dziecko zakonnicom. Ale jak ją, cholerny świat, znaleźć... Jeśli w ogóle jeszcze żyje...

– Może nie jest to takie całkiem niemożliwe... – odparł Van Veeteren.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Kobieta, która wysiadła z autobusu, wyglądała na zmęczoną długą podróżą.

Tak uznaliby każdy, kto by ją teraz zobaczył. Stała na moment na skraju drogi, wyprostowała się, wzięła parę głębokich wdechów i spojrzała na autobus, który zniknął za zakrętem. Wyjęła grzebień i przeciągnęła nim po ciemnych, przyprószonych siwizną włosach. Poprawiła plecak i poszła w kierunku, z którego przyjechała.

Słońce wisiało nisko nad polami, zmrużyła oczy, żeby przeczytać trasę, którą zapisała w notesie. Nie dlatego, że musiała – podczas podróży miała wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko sobie przypomnieć. Pięćset metrów, potem w prawo przy drogowskazie. Następnie trzysta metrów przez las i przy następnym drogowskazie w lewo. Potem jeszcze pod górę i będzie na miejscu. Wysoki ceglany mur i okratowana brama. Trudno tu nie trafić.

Zrobił bardzo dokładny rekonesans. Oczywiście, mógł się pomylić w ogółach, ale nigdy w szczegółach. W innej sytuacji ta myśl mogłaby ją nawet rozbawić. Mylić się w ogółach, ale nie w szczegółach.

Idąc, zauważyła, że przyśpiesza jej puls. Nie z powodu wysiłku fizycznego, bo była przyzwyczajona do ruchu i miała świetną kondycję. Nie, to z powodu napięcia psychicznego. To nerwy, bo jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wkrótce powinna znać prawdę. Potwierdzenie – to był cel jej podróży. To wątpliwe przypuszczenie, które nosiła w sobie przez tyle lat, miesiąc temu jakby nieco zgęstniało. Pomyślała, że prawdopodobnie niewiele już jej życia zostało, więc

jeśli dotąd tego nie naprawiła, to właśnie teraz nadszedł ten czas. Posłuszeństwo to też pewien rodzaj wyboru.

Killing is easy, powiedział, kiedy się rozstawali. Łatwo jest zabić... Prawdopodobnie gdzieś to wyczytał albo usłyszał w jakimś filmie. Pomyślała wtedy, że to nawet pasuje, jeśli słowo *kill* zamieni się na *die* – zabić zamiast umrzeć. Choć i tak najtrudniej było żyć, utrzymywać się przy życiu, dzień za dniem, rok za rokiem. Może dzisiaj jest jej trochę łatwiej, tego późnego popołudnia, kiedy krok po kroku zbliża się do celu. Celu – przynajmniej w pewnym sensie. Oboje, ona i on, szukali go, a teraz – długo po czasie, ale dobre i to – zbliżał ich do znalezienia odpowiedzi na jedno z tych pytań, na które wciąż odpowiedzi brakuje.

Tak to mniej więcej wygląda.

Czy jego opętanie przeniosło się również na nią? Łatwo to sobie wyobrazić, chociaż wężenie leżało raczej w jego naturze, nie w jej. Dlatego też kiedy doszła do bramy dzieciństwa, cała ta misja nagle stała się obca i wymuszona. Trochę tak jak u dentysty w poczekalni – chcemy uciec, a jednak tego nie robimy. Siedzimy, na dobre i na złe. I tak właśnie szła. Na dobre i na złe.

A może gdzieś poza dobrem i złem?

Doszła do pierwszego drogowskazu i skręciła w prawo, w las, w dużo węższą drogę. Też wyasfaltowaną, ale nie na tyle szeroką, żeby się na niej zmieściły dwa samochody. Światło natychmiast zmieniło się w igrające cienie i sama nie wiedziała dlaczego, poczuła, że właśnie tak musi być. Wiedziała, że kiedy będzie wracać, zrobi się zupełnie ciemno; za godzinę czy dwie, trudno powiedzieć, ile czasu jej to zajmie. Trudno powiedzieć, czy to się w ogóle uda. Być może wcale nie ma szans na powodzenie; być może wszystko spełźnie na niczym. Być może nigdy się nie dowie, czy jej przypuszczenia, tak wątle, które z czasem nieco zgęstniały, były prawdziwe, czy pozbawione wszelkich podstaw.

W każdym razie będzie to coś w rodzaju podsumowania jej dotychczasowego życia. Niewiedzy. Niejasności. Fałszywej oceny i błędów. Kłamstw. Strachu.

Ostatnimi laty głównie strachu. Ale dzisiaj już go nie czuła. To nieznane, wymaginowane zagrożenia najbardziej nas przerażają. Nie wilki z ostrymi kłami. Nie rozstaje dróg, na których stoimy, nie wiedząc, dokąd pójść.

Potrząsnęła głową, żeby odgonić kłębiące się w niej myśli. Doszła do bramy. Znalazła małą metalową tabliczkę i trzy razy nacisnęła guzik, zanim usłyszała odpowiedź. Kiedy wyjaśniła, z jaką sprawą przychodzi, brama powoli się otworzyła, a ona weszła do ciemnego ogrodu.

Gdy brama ponownie się zamknęła, nagle ogarnęło ją uczucie, że już nigdy stąd nie wyjdzie. Wzięła głęboki oddech i strzepnęła z siebie to wyobrażenie.

Pokój był zaskakująco duży, a kobieta, która siedziała przy oknie, zatopiona w fotelu, zaskakująco mała. Przypominała starego, oswojonego ptaka, który z niewiadomego powodu znalazł się w za dużej klatce. Zniedołężniały i podejrzliwy wobec wszystkiego i wszystkich. Była ubrana w coś szarzielonego, coś jakby szlafrok, a czerwono-brązowy beret wydawał się kilka numerów za duży – zakrywał jej uszy i brwi. W jednej ręce, tej, która spoczywała na stole, trzymała widelec skierowany zębami do góry, jakby chciała się bronić przed wrogiem czy intruzem. Wyimaginowanym albo prawdziwym.

Ten prawdziwy zawahał się na chwilę, zanim podszedł do drugiego krzesła i usiadł. Minęła minuta, może kilka, a żadna z nich nie powiedziała ani słowa, żadna nie wykonała choćby najmniejszego ruchu.

Nawet ich spojrzenia się nie spotkały. Narastała tylko dziwna cisza. Powoli i nieubłaganie tłumiała wszelką możliwość rozmowy, a jednocześnie, jakby świadomie, połączyła się z lekką wonią unoszącą się w pokoju. Ze staromodnym zapachem kamfory czy może soli trzeźwiących. Czy rzeczywiście istniało coś takiego jak sole trzeźwiące? Ale czy w ogóle warto się nad tym zastanawiać? Może weszła nie do tego pokoju? Może siedzi przed niewłaściwą kobietą? W ostatniej chwili, w ostatniej sekundzie, zanim było za późno, gość, ten prawdziwy intruz, zadał pytanie.

Jednak to nie było pytanie, a odpowiedź, jaką otrzymała, nie była odpowiedzią.

To pierwsze było stwierdzeniem, to drugie – bezgłośnym przyznaniem się. Uniesiony wzrok nie mógł wskazywać na nic innego – tylko tak to można było odczytać.

A może jednak mógł wskazywać na coś innego?

Mógł?

Potem padło przekleństwo.

– Idź do diabła! Wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju.

I intruz tak zrobił. Ale nie od razu. Dopiero kiedy wypowiedział następne pytania, choć może znów stwierdzenia. Żadne z nich jednak nie doczekało się odpowiedzi – ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem czy przekleństwem – więc po piętnastu, dwudziestu minutach wstała i opuściła pokój.

Brama się otworzyła, a ona wyszła i znów poszła drogą przez las.

Cienie zmieniły się w ciemność, dokładnie tak jak myślała. Tak jak miało być.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Domek w Vandelbo, piętnaście kilometrów na północny zachód od Kymlinge, nie prezentował się najlepiej.

W każdym razie z zewnątrz, w deszczowy rano, pod koniec października. Stał w niecce, na skraju gęstego lasu, szary i smutny, jakby chciał się schować przed wszystkim i wszystkimi. Barbarotti siedział jeszcze przez moment w samochodzie, zanim otworzył drzwi. Zauważył, że Eva Backman też nie pali się do wyjścia. Dlaczego mieliby chcieć opuszczać tę na wpół śpiącą, przyjemną atmosferę ciepłego samochodu i moknąć, oglądając martwe ciało z siekierą w głowie?

Barbarotti ścisnął dłoń Evy Backman. Ona odwzajemniła uścisk.

– Fajnie byłoby znów odchylić siedzenia i pospać chwilę – powiedziała. – Ale nie wyglądałoby to dobrze.

– Od deszczu jeszcze nikt nie umarł – odpowiedział Barbarotti.

– Racja, ten tam nie żyje na pewno z innych powodów – odrzekła Backman. – Chodźmy więc, inspektorze. Do roboty!

Jönsson i Tillgren zabezpieczyli teren taśmą, która już z daleka krzyczała, że to miejsce przestępstwa. Na małej werandzie z przodu budynku oprócz przypuszczalnej ofiary morderstwa znajdowały się jeszcze cztery osoby. Lekarz sądowy Holmgren ze swoim młodym asystentem Fjærnemyrem czy jakoś tak i dwóch zajętych robieniem zdjęć techników w białych fartuchach, lecz ani Barbarotti, ani Backman wcześniej żadnego z nich nie widzieli.

– Zanim zaczniemy... – powiedziała Eva Backman i pociągnęła Barbarottiego za ramię. – Nigdy tego nie mówiłam... ale kiedy widzę martwe ciało, czuję...

– Co? – zapytał Barbarotti. – Że chce ci się wymiotować?

– Nie. To już przeszło, choć na początku faktycznie tak było. Nie, to coś innego... To dość dziwne, ale zawsze wtedy mam przed oczami zupę szpinakową...

– Co takiego? – zapytał Barbarotti.

– Nie przesłyszałeś się... Po prostu nie mogę się od tych myśli opędzić. Talerz zupy szpinakowej, w której pływa jajko. Jeszcze nigdy nikomu tego nie mówiłam, bo to trochę... bo to niezupełnie normalne?

– Nie rozumiem. Co zupa szpinakowa ma wspólnego z trupem?

– Nic – odpowiedziała Eva Backman, tym razem niemalże płaczącym głosem.

– Nie ma to żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Zupa szpinakowa nie jest moim ulubionym daniem, ale nie mam z jej powodu żadnej traumy... Ot, zwykłe wspomnienie ze stołówki szkolnej. Mimo to za każdym razem, kiedy znajdujemy ciało, pojawia mi się przed oczami ten cholerny talerz zielonej zupy. To zupełnie bez sensu, ale nie mogę się od tego uwolnić. I chyba zaczynam...

– Co zaczynasz?

– Zaczynam się tego bać.

Barbarottiemu wydawało się, że Eva Backman szłocha. A w każdym razie że pociąga nosem. I nagle poczuł, że to wyraz największego zaufania, jakim go dotychczas obdarzyła. Że zwierzyła mu się z czegoś tak szalonego, a jednocześnie bardzo dla niej męczącego. Powierzyła mu wstydlivy sekret.

– Rozumiem – powiedział Barbarotti. Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie. – Ale to nie jest coś, o czym się chce powiedzieć swojemu terapeutycie. Przepracowanie tego zajęłoby ze dwa lata.

– Co najmniej – przyznała Eva Backman, wyprostowała się i rozszerzyła ręce, żeby pokazać jak długo. – Nawet nie chcę wiedzieć, co to znaczy, bo to pewnie

gówny znaczący. Chcę się po prostu tego pozbyć. Przepraszam, że w ogóle zaczęłam ten temat. Chodźmy już.

– Dobrze, że o tym powiedziałaś – odparł Barbarotti. – Wszyscy nosimy jakiś krzyż.

– Dzięki – rzekła Eva Backman. – Dzięki, że się ze mnie nie śmiejesz.

Denat leżał na brzuchu, a siekiera obok ciała. Kiedy Barbarotti zapytał dlaczego, dowiedział się, że wypadła, kiedy zdejmowali plandekę.

– I co? Oczywiście wstępnie – odezwał się Barbarotti do lekarza sądowego. – Jeśli mogę prosić...

Holmgren wyprostował się i prześwidrował go wzrokiem.

– Jestem tu dopiero dwadzieścia minut.

– Ale jesteś gwiazdą – powiedziała Backman. – Pamiętam, jak w ciągu piętnastu minut rozpoznałaś zatrucie grzybami.

– To było dawno – odpowiedział Holmgren, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Skończyłem sześćdziesiątkę i wzrok już nie ten.

– A jeśli ci trochę pomożemy? – zaproponowała Backman. – Wiadomo, że to ciało mężczyzny, który zmarł od uderzenia siekierą w głowę. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Wspaniale – odpowiedział Holmgren. – Wygląda na to, że jestem wam już tu niepotrzebny?

– Jeszcze tylko dwa pytania – wtrącił Barbarotti. – Jak długo tu leży i kto to jest?

Holmgren poprawił okulary.

– Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to odpowiedź brzmi: kilka dni, najwyżej tydzień, nie więcej. Na drugie pytanie może sami znajdziecie odpowiedź. Tam leży jego portfel. – I pokazał na przykręconą do ściany ławkę, na której obok portfela leżało kilka haczyków i prosta wędka.

– Świetnie – odparł Barbarotti i podszedł bliżej, żeby dokładnie obejrzyć ciało.

Eva Backman zrobiła to samo, przykucnęła przy Barbarottim i cierpliwie zaczęła kiwać głową, nie mając nic do powiedzenia. Barbarotti też nie miał. Ciało leżało na drewnianej, na wpół spróchniałej podłodze i ubrane było w kalosze, niebieskie džinsy i wełniane, wzorzysty sweter. W pozycji na boku, z głową naprzód, z lekko ugiętą lewą nogą, a prawą wyprostowaną. Ręce były rozpostarte, jedna do przodu, druga do tyłu. Tył głowy był czarny od zaschniętej krwi, z małymi tłustymi larwami, i nie stanowił najprzyjemniejszego widoku. Bynajmniej. Wyraźnie można było zobaczyć miejsce, w które trafiła siekiera, najogólniej mówiąc: cios został zadany od tyłu, lekko na skos, co zgadzałoby się ze stwierdzeniem, że łatwiej zaatakować od tyłu niż od przodu.

Denat był przeciętnego wzrostu, może kilka centymetrów wyższy. Osiemdziesiąt pięć kilo plus minus pięć. Wiek między dwadzieścia a osiemdziesiąt lat, więc dane mało precyzyjne, chociaż przy odrobinie szczęścia zawartość portfela powinna dać odpowiedź na to pytanie. Backman założyła gumowe rękawice, podeszła do ciała i zaczęła oględziny. Barbarotti oszacował, że zajęło jej to jakieś dziesięć sekund, a kiedy skończyła, potrząsnęła głową i wyciągnęła w jego kierunku rękę z trzema przedmiotami.

Banknotem, nieodpakowaną prezerwatywą oraz biletem na koncert Bruce'a Springsteena w Paryżu z 1984 roku.

– To wszystko?

– Sam zobacz.

Barbarotti wziął portfel i owiniętym w folię palcem wskazującym sprawdził, że jest pusty.

– Fenomenalne poszlaki – skwitował. – Wystarczy tylko wszystko złożyć do kupy.

– Prezerwatywa jest niemiecka – powiedziała Eva Backman i zmarszczyła czoło.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia w niemieckich prezerwatywach – przyznał Barbarotti. – A ty?

– Dzięki, że pytasz – odparła Backman. – Coś tu jest napisane po niemiecku, dlatego o tym wspomniałam.

– Hmm... – Barbarotti się zadumał. – Innymi słowy, witamy w wielkim świecie, co? A przynajmniej w Europie. Euro plus Paryż plus niemiecka prezerwatywa. Liczne rozgałęzienia, że się tak wyrażę...

– Właśnie... – powiedziała Eva Backman. – Sądząc po jego portfelu, nie mamy do czynienia z jakimś prostym chłopakiem z Virserum.

Barbarotti pokiwał głową i włożył portfel do plastikowego woreczka.

– Myślisz, że tu mieszkał? To znaczy...

Backman wzruszyła ramionami.

– Pewnie od czasu do czasu, w końcu to tylko domek letni. Ale wejdźmy do środka.

Wstępne oględziny odbyły się bardzo szybko. Mimo skromnego wyposażenia domek wyglądał na używany. Przynajmniej od czasu do czasu. W mikroskopijnej sypialni stały dwa wąskie łóżka nakryte kraciatymi kocami i mała szafka nocna. W narożnej szafie wisiało kilka sztuk odzieży, a spod łóżka wystawała para znoszonych drewniaków. Prawdopodobnie był to domek na wynajem, na krótsze lub dłuższe pobyty, przynajmniej skromne umeblowanie i bezosobowa atmosfera mogły na to wskazywać. Oprócz sypialni był jeszcze jeden pokój, długi i wąski, z aneksem kuchennym w jednym końcu i zniszczoną sofą w drugim. Telewizor, regał, na którym stało kilkanaście książek, kilka gier planszowych i puzzle z trzema tysiącami kawałków; te ostatnie najwyraźniej za duże, biorąc pod uwagę miejsce potrzebne do ich złożenia. Do tego żeliwny piecyk; jeśli akurat był cug, szybko można było pozbyć się wilgotnych, jesiennych chłódów.

Na stole stała nieotwarta butelka wina i dwa czyste kieliszki. Nie było talerzy ani sztućców, ale kilka sztuk jednego i drugiego znajdowało się w dwudrzwiowej szafce nad krótkim zlewozmywakiem. Na prostej kuchence królował garnek, do

połowy pełny, z którego wydobył się niezbyt przyjemny zapach, kiedy tylko Eva Backman uchyliła pokrywkę.

– Zupa gulaszowa – stwierdziła. – Jednak nie szpinakowa... Niestety, data ważności minęła.

– Domek na wakacje – skonstatował Barbarotti. – Właściciel musi mieć mieszkanie w Kymlinge.

Eva Backman skinęła głową i otworzyła lodówkę, która stała na blacie kuchennym i wydawała pomruki.

– Prawie pusta. Pewnie tu byli tylko na weekend.

– Pewnie tak – zgodził się Barbarotti. – I co tu się stało, jak uważasz?

Eva Backman myślała przez chwilę.

– Wygląda na to, że mieli właśnie zasiąść do stołu. Ale kobieta pewnie się na niego zdenerwowała i zamiast podać mu obiad, zabiła go. Taka jest moja teoria.

– Dobrze – odpowiedział Barbarotti. – Czyli sprawa rozwiązana. Napijemy się kawy?

– A gdzie tu dostaniesz kawę? – zapytała Backman. – Może porozmawiamy z tą kobietą, która zadzwoniła. Zdaje się, że mieszka tu gdzieś w pobliżu... Może ona nas poczęstuje kawą. Zapomniałam, jak się nazywa...

Barbarotti sprawdził w telefonie.

– Klara Husak. Mieszka kilometr stąd. Tu już chyba nie mamy co robić.

– Zgadza się – potwierdziła Eva Backman. – Nie dajmy technikom powodu do narzekania, że zdeptaliśmy im ślady. Jutro usiądziemy i przeczytamy ich raport.

Klara Husak rzeczywiście zaproponowała im kawę. Barbarotti wyobrażał sobie, że spotka jakąś roztargnioną staruszkę, ale kiedy uścisnął dłoń tej wysportowanej, trzydziestokilkuletniej, ciemnowłosej kobiety, zdziwił się, skąd się wzięło u niego to mylne przekonanie. Może stąd, że większość ciał znajdują emerycy, którzy właśnie byli z pieskiem na spacerze. Jak się okazało, tym razem hipoteza się nie potwierdziła.

Dom różnił się zdecydowanie od tego, w którym znaleziono ciało – bo jeszcze nie potwierdzono, czy to na tamtej werandzie ofiara straciła życie. Okazały, jednopiętrowy, drewniany budynek położony był na wzniesieniu opadającym w kierunku jeziora Vandeln. Podwórze zamykały dwa masywne zabudowania gospodarcze i Barbarotti przez chwilę się zastanawiał, czy znajdują tam dwa sportowe samochody, czy może dwa araby czystej krwi. Albo coś w tym rodzaju.

– Przepraszamy za najście – zaczęła Eva Backman – ale chcielibyśmy z panią porozmawiać o tym... strasznym odkryciu.

– Oczywiście – odpowiedziała Klara Husak. – Usiądźcie, a ja zrobię kawę. Napijcie się, prawda?

– Nie odmówimy – rzekł Gunnar Barbarotti. – Piękny dom.

– Dziękuję. Zbudowali go moi rodzice. Przyjechali z Czechosłowacji w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, ale wrócili do Pragi, kiedy przeszli na emeryturę. Mieszkam tu z mężem. A to jest Kaspar... To z nim dokonałam tego... odkrycia.

Był to duży brązowy pies niewiadomej rasy, który wbiegł do kuchni, gdzie siedzieli. Ostrożnie pomachał ogonem, obwąchał Evę Backman, nogi Barbarottiego, a potem odszedł i położył się na posłaniu w rogu kuchni.

– Tak, to faktycznie było odkrycie – powiedziała Backman. – Wiesz może, kto tam mieszka?

Klara Husak potrząsnęła głową.

– Nie, ale dom chyba niedawno zmienił właściciela. W każdym razie kilka lat temu. Wydaje mi się, że ci, którzy przedtem mieszkali, nazywali się Nyström. Starsze małżeństwo, on chorował na Parkinsona, więc nie było sensu trzymać domku, skoro i tak nie mogli go używać. To nie dom całoroczny... poza tym jest dość zniszczony, ale pewnie sami widzieliście.

– A wiesz, jak się nazywa nowy właściciel? – kontynuowała Backman.

– Nie.

– A może spotkałaś go... albo ją?

Klara Husak postawiła na stole termos z kawą i tacę z ciastkami. Usiadła i zamyśliła się na chwilę.

– Właściwie to nie. Nie chodzimy tamtędy na spacer... Nie wiem, dlaczego wczoraj wieczorem tam poszliśmy... Może Kaspar mnie tam pociągnął?

– A potem poszłaś tam jeszcze raz nad ranem, tak? – skonstatował Barbarotti.
– Dlaczego?

Klara Husak wzruszyła ramionami i zrobiła przepraszającą minę.

– Rozumiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale moją uwagę zwrócił toból na werandzie. Kaspar też stał i warczał, a potem, kiedy się obudziłam i nie mogłam już zasnąć, pomyślałam, że pójdę tam i sprawdzę... Nawet nie budziłam męża. Czasami jak coś człowiekowi wejdzie do głowy, to trudno się od tego uwolnić...

– Też tak miewam – przyznał Barbarotti. – To musiał być dość nieprzyjemny widok, prawda?

– Oj, tak – odpowiedziała Klara Husak z lekkim drżeniem. – Nie wiem, ile czasu tam leżałam, ale...

– Kilka dni, prawdopodobnie – przerwała Eva Backman. – Czy pamiętasz, kiedy ostatnio przechodziłaś koło tego domku?

– Jakiś... miesiąc temu – odparła Klara Husak. – Tak, jeszcze latem. Ta droga prowadzi właściwie donikąd, kończy się w lesie przy starej, opuszczonej działce. Zazwyczaj obchodzimy jezioro w jedną albo w drugą stronę. Zajmuje nam to prawie godzinę średnim krokiem. Najczęściej wychodzimy rano, ale wczoraj wyszliśmy po południu, bo cały ranek byłam zajęta.

– Pracujesz w domu? – zapytała Eva Backman.

– Tak, jestem tłumaczką, więc mogę to robić w domu. Mój mąż pracuje w mieście. Codziennie rano zawozi dzieci do szkoły, a potem przywozi. Można więc powiedzieć, że jestem uprzywilejowana.

– Z jakiego języka? – zapytał Barbarotti.

– Z czeskiego, oczywiście. Ale też z niemieckiego i polskiego.

– Oo – zdziwiła się Eva Backman.

Klara Husak uśmiechnęła się przelotnie. Barbarotti wypił łyk kawy i wymienił spojrzenie z Backman. Oprócz picia podnoszącej ciśnienie kofeiny w domu Klary Husak nie było już nic do roboty. Przynajmniej na razie.

– I nie masz pojęcia, kim był ten mężczyzna? – zapytał Barbarotti.

Klara Husak potrząsnęła głową.

– Zupełnie nie.

– Widziałaś może, czy ostatnio kręcili się tu jacyś obcy?

– Nie. Nic mi nie przychodzi do głowy.

– A może wiesz, czy mieszkała tam para, czy jedna osoba? – zapytała Eva Backman.

– Nie mam pojęcia.

– A czy w ogóle widziałaś kogoś, kto mógł mieć związek z tym miejscem? Ostatnio albo wcześniej?

Klara Husak chwilę się zastanawiała.

– Właściwie to nie. Ale... jak już mówiłam... rzadko tamtędy chodzę. Chociaż widziałam pod drzewem dwa rowery... męski i damski, no to chyba para...

– Też zwróciłem na to uwagę – skłamał Barbarotti.

– W każdym razie dziękujemy – powiedziała Backman na zakończenie. – Być może będziemy chcieli jeszcze raz porozmawiać. Kiedy będziemy wiedzieć coś więcej. Może też z mężem.

– Oczywiście – odpowiedziała Klara Husak. – Zazwyczaj jest w domu po piątej... a ja jestem cały czas.

– Sokole oko – rzuciła Eva Backman, kiedy kilka minut później siedzieli w samochodzie.

– To znaczy? – zapytał Barbarotti.

– Rowery.

– Dzięki – odparł. – Ale na moment o tym zapomnij. Co sądzisz? W końcu morderców z siekierą nie ma tak dużo...

– Nic nie sędzę – odpowiedziała Eva Backman. – Ale założę się o stówkę, że to kobieta, która miała dość swojego faceta.

– Zgadzam się z tą hipotezą, którą sam zresztą postawiłem – odparł Barbarotti. – Czy to może ty? Miała dość, a siekiera była pod ręką, co?

– Taaak, choć wyprodukowana do celów pokojowych – odpowiedziała Eva Backman. – Jakoś trzeba sobie radzić...

– To trochę dziwne, że zdajesz się sympatyzować ze sprawcą... – rzekł Barbarotti. – Nie wiesz nawet, czy facet rzeczywiście sobie zasłużył na tę siekiere.

Eva Backman pomyślała chwilę.

– Okej – powiedziała. – Punkt dla ciebie. Powinniśmy najpierw sprawdzić, a potem spekulować. Ale zakład stoi, tak?

– Stówka dla ciebie, jeśli to była jakaś nieszczęsna kobieta, która zabiła swojego dręczyciela. A stówka dla mnie, jeśli było inaczej. *Deal?*

– Yes – odparła Eva Backman. – Ale teraz jedziemy na komisariat i na poważnie zabieramy się do roboty. Wystarczy już tej gadaniny.

– Ale chyba możemy jeszcze zaplanować, kiedy znów się razem prześpimy? – zapytał Barbarotti. – Lubię to bardziej, niż mam odwagę się przyznać.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziała Eva Backman. – Chyba już zdążyłeś zauważyć, co?

Październik 2012, Oosterby i okolice

Restauracja nazywała się Vitalis. Położona była nad morzem w Port Hagen, pół godziny wijącą się drogą na wschód od Friesenbirge. Ulrike czytała trochę recenzji w Internecie i z wyprzedzeniem zarezerwowała stolik oraz taksówkę tam i z powrotem.

Mała knajpka z dala od utartych szlaków. Jeden z recenzentów twierdził nawet, że gdyby nie leżała tam, gdzie leży, miałaby przynajmniej jedną gwiazdkę Michelin. A może nawet dwie.

Wszystko się zgadzało. Dwanaście ostryg ze średniowytawnym szampanem. Do homara stare margaux – według podań i opowieści gminnych zrobione z winogron dojrzewających na niebiańskich zboczach – a potem wyborna sola, idealnie komponująca się z białym meursault rocznik 2004. Van Veeteren był bliski łez.

Nie zdarzyło mu się to nigdy przedtem, ale gdzieś przeczytał, że w pewnym wieku mężczyznom przytrafiają się nagłe burze emocjonalne.

– Masz mokre oczy – zauważyła Ulrike.

– Naprawdę? – odpowiedział Van Veeteren, udając zdziwienie, i przy okazji wytarł serwetką całą twarz. – To pewnie jakiś gruczoł się zaczopował.

– Czy nie możesz po prostu przyznać, że się wzruszyłeś? – zapytała Ulrike.

– Pamiętaj, że jestem zaciekłym przeciwnikiem wszelkich uproszczeń – podkreślił Van Veeteren. – Ale nie powiem, że w ogóle nie jestem wzruszony.

– Dlaczego ludzie porzucają własne dzieci? – spytała Ulrike.

– Zmieniasz temat.

– Tak, zauważyłam. Więc dlaczego ludzie to robią?

– Bo są zmuszeni – odpowiedział Van Veeteren.

– Jak to możliwe? Mnie nie zmusiłaby do tego żadna siła. Ale może ja należę do grupy uprzywilejowanej.

– Łatwo o współczucie dla matki zmuszonej do takiego czynu – powiedział Van Veeteren. – Ale ponoć są też złe matki... To znaczy kobiety, które mają świadomość, że są... a raczej byłyby złymi matkami, gdyby zatrzymały dziecko. Co sądzisz o takim podejściu do sprawy? Reakcjonistyczne i niemodne?

– Hmm... – Ulrike zamyśliła się na moment i wzięła łyk wina, węgierskiego tokaju w kolorze nalewki z bursztynu. – Myślę, że rozmawianie na takie tematy raczej nie pasuje do tego miejsca.

– To ty zaczęłaś – odpowiedział Van Veeteren.

– No tak, przyznaję – potwierdziła Ulrike. – Ale... jeśli pozwolisz... tutaj pewnie chodzi o młodą dziewczynę, której... przydarzyło się nieszczęście. Prawda? Nie ma warunków, żeby zająć się dzieckiem, więc je oddaje. Zapewne ojciec ma już własną rodzinę... może nawet jej zapłacił, żeby trzymała język za zębami. To nic nowego...

– Historia stara jak świat – powiedział Van Veeteren. – Ale jeśli nie przyznała się do tego przez sześćdziesiąt lat, to jest raczej znikoma szansa, że zrobi to teraz... jeśli w ogóle jeszcze żyje... Miejmy nadzieję, że Radovic ją znajdzie.

– Albo my – odparła Ulrike Fremdli.

– Wiem, że w to wierzysz... – zaczął Van Veeteren – możliwe jednak, że ta nieszczęsna kobieta nie odgrywa szczególnej roli w naszej historii. Może i wprawiła całą tę maszynę w ruch, ale na oddaniu niechcianego dziecka jej rola się kończy.

– Hitler też miał matkę?

– Tak się uważa.

Ulrike zastanawiała się przez kilka sekund.

– Sądzisz, że to właśnie tak wygląda? Że nie warto jej szukać?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Ale mam głębokie przekonanie... i znów kłania się Rappaport... że to niezwykle skomplikowana historia. Zdecydowanie za bardzo dla starego i zmęczonego mózgu handlarza książek.

– Dlatego masz mnie – skwitowała jego myśl Ulrike Fremdli.

Przy kawie i koniaku Van Veeteren dostał trzy prezenty. Dwie książki – jedną od córki Jess, a drugą od Marlene, która była narzeczoną jego zmarłego przed piętnastu laty syna i która urodziła jedno z trojga wnucząt Van Veeterena. Oba prezenty odebrała Ulrike przed ich „wyjazdem” do Nowej Zelandii. Zresztą Jess zadzwoniła po południu, złożyła mu życzenia i opowiedziała, że u niej, w Paryżu, pada. Zapytała też o pogodę w Queenstown.

– Noc tropikalna – powiedział Van Veeteren i trochę się zawstydził.

Trzeci prezent był od Ulrike – szachy z pionkami z drewna orzechowego. Tak pięknie, że Van Veeteren nie mógł się powstrzymać, żeby nie odsunąć kieliszków i od razu ich nie rozstawić. Zawsze uważał, że te trzydzieści dwa pionki, ograniczone w ścisłych regułach, a jednocześnie z tyloma możliwościami ruchu, odzwierciedlają istotę ludzkiego życia. Tak to sobie wyobraził... I nagle znów coś było nie tak z tym przeklętym gruczołem...

– Tak jak powinno być – skostatował, używając serwetki. – Trzy prezenty od trzech wspaniałych kobiet. Zamiast całej masy kwiatów, które czuć śmiercią już po dwóch godzinach. Kocham cię, moja droga. Czy już ci to mówiłem?

– Nie codziennie – odpowiedziała Ulrike. – Ale coś mi podpowiada, że to prawda.

– Do diabła, oczywiście, że to prawda! – zaperzył się. – Jeśli miałbym umrzeć dziś w nocy, umarłbym szczęśliwy.

– Nie umrzesz dziś w nocy – zapewniła Ulrike radośnie. – Ale zanim się położymy do grobu, musimy załatwić przynajmniej sprawę tych leworęcznych.

– Dołożyć swoją cegiełkę? – rzekł Van Veeteren.

– Właśnie. Dołożyć swoją cegiełkę.

W taksówce, w drodze powrotnej do Friesenbirge, Van Veeteren włączył telefon – ten, który kiedyś dostał z okazji swoich urodzin od tej samej kobiety, która teraz siedziała przytulona do niego na tylnym siedzeniu i spała.

Nie wiedział, jak to się stało, prawdopodobnie przez przypadek nacisnął jakiś przycisk, sięgając do kieszeni marynarki. W każdym razie komórka wydała charakterystyczne podwójne kliknięcie, co oznaczało, że ktoś wysłał mu wiadomość tekstową. A ponieważ niezbadane są losy... ponieważ za oknem samochodu panowała ciemna noc, a po jasnym, pogodnym dniu niepostrzeżenie nadszedł deszcz... i ponieważ jego żona właśnie zasypiała albo już spała... postanowił wiadomość przeczytać.

Molly Hansen umiera. Może trzeba będzie zbadać okoliczności śmierci. Radovic

Co, u diabła? – pomyślał Van Veeteren. Do jasnej...

Przez kilka sekund zastanawiał się, czy nie obudzić śpiącej u jego boku pani detektyw, tej, która właśnie oparła głowę na jego ramieniu i niemalże zaczęła chrapać. Uznał jednak, że skoro dochodzi już północ, a on sam zdecydowanie ponad miarę zakosztował uszlachetnionego szczepu winogron, wszelkie analizy postanowił odłożyć na następny dzień.

A może pogrzebać je na dobre? Przecież już od dawna jestem na emeryturze, przypomniał sobie. Ni mniej, ni więcej.

Dołożyć swoją cegiełkę...

Październik 2012, Kymlinge

– Co to jest? – Komisarz Stigman wlepił wzrok w przedmioty leżące na biurku Barbarottiego. – Co to jest? Ktoś mi wyjaśni?

Stigman wszedł właśnie do pokoju i stanął w dziwnej pozycji z rozstawionymi nogami i rękoma na plecach. Może w przeszłości miał do czynienia z wojskiem, a może poczuł się niekomfortowo, bo wszystkie miejsca siedzące (w liczbie dwóch) były zajęte... Niektóre osoby są za duże, żeby w ogóle przebywać w tym pomieszczeniu, skonstatował w myślach Barbarotti, nie kryjąc antypatii, która wystrzeliła z niego niczym zardzewiały gwóźdź. Ani on, ani komisarz Eva Backman nie wstali z miejsc. Niech cię szlag, pomyślał Barbarotti. Nie jestem nawet pewien, czy moje krzesło by cię utrzymało.

– Poszlaki dotyczące naszego śledztwa – odparł przyjaznym tonem.

– Naprawdę? – rzekł Stigman. – A co to takiego, jeśli mogę wiedzieć?

– Stwierdziliśmy, że to banknot... sto euro...

– Poza tym bilet na koncert i prezerwatywa – dokończyła komisarz Backman.

– I to wszystko?

– Nie – odparł Barbarotti. – Jest jeszcze pusty portfel.

– Ale nie mamy pewności, że należał do ofiary – dodała Backman.

Stigman skrzyżował ręce na piersi i się zamyślił.

– Musicie się tym zająć – powiedział. – Śledztwem będzie dowodził Månsson. Ale to ma drugorzędne znaczenie. I tak najważniejsza robota należy do śledczych. To znaczy do nas. A to znów znaczy do was... do was dwojga.

– Dzięki za zaufanie – odpowiedział Barbarotti.

– Nie ma za co – odparł Stigman. – Inspektor Borgsen będzie do waszej dyspozycji, chociaż ma też co innego do roboty. Asystenci także, w razie potrzeby. Pamiętajcie: w razie potrzeby. Zabierajcie się do roboty i informujcie mnie o postępach. Jakież pytania?

Inspektor Barbarotti i Eva Backman spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Żadnych pytań.

– Świetnie. To wszystko – zakończył komisarz Stig Stigman i jeszcze raz się powtórzył. – Informujcie mnie o postępach.

– *Bye, bye* – powiedziała komisarz Backman, kiedy opuścił już pokój. – Trochę pomocy z góry zawsze się przyda. Od czego zaczynamy?

Zaczęli od domku.

Właścicielem był niejaki Hans Antonsson. Jednak od dwunastu lat odnajmował dom przez pośrednika, ponieważ od wypadku samochodowego niedaleko Sälen jeździł na wózku inwalidzkim. Okazało się też, że para o nazwisku Nyström, o której wspomniała Klara Husak, tylko wynajmowała domek przez kilka lat. Biuro pośrednictwa, które zajmowało się wszystkimi związanymi z tym najmem formalnościami, prowadzone było przez małżeństwo Kennetha i Wilmę Wilhelmsson. I to właśnie Wilma Wilhelmsson odebrała telefon, kiedy Eva Backman zadzwoniła. Kiedy jednak zorientowała się, z kim rozmawia, przekazała słuchawkę mężowi. Kenneth Wilhelmsson sprawdził swoje notatki i powiedział, że ostatni gość wyprowadził się trzydziestego pierwszego sierpnia. Aczkolwiek istniała tu pewna niedokładność, a mianowicie nie wróciły klucze i niestety wyglądało na to, że w dalszym ciągu są w obiegu. Nie można zatem było wyeliminować możliwości, że wrócił ktoś z poprzednich gości.

Eva Backman zapytała, czy mogą otrzymać listę gości z ostatnich kilku lat.

– Oczywiście, jak najbardziej – powiedział pan Wilhelmsson. Musiał tylko zapytać żonę, bo to ona się tym zajmowała.

Eva Backman podziękowała i poprosiła o jak najszybsze przesłanie listy mejlem. Kiedy odłożyła słuchawkę, grzbietem dłoni przetarła ucho, a gdy ją powąchała, wydało jej się, że czuje zapach taniej whisky.

– Irytuje mnie, że nie znamy nazwiska ofiary – powiedziała. – To jak poruszanie się po omacku.

– Nie pierwszy to raz – odparł Barbarotti. – A z doświadczenia wiem, że na pewno niedługo jakoś wypłynie.

– Samo nie wypłynie – odrzekła Backman. – To ty i ja musimy je znaleźć.

– Serio? – żartował sobie Barbarotti. – Coś w tym jest, jak się nad tym lepiej zastanowić. Ale mamy przecież ślady. – Barbarotti spojrzął na biurko przed sobą. – I co ty na to?

Eva Backman westchnęła.

– Prezerwatywa, sto euro i bilet. Co ci mam odpowiedzieć?

– Musiał lubić tego Springsteena – odparł Barbarotti. – W przeciwnym razie po co miałby trzymać bilet przez... ile to było... przez dwadzieścia osiem lat? No i lubił bezpieczny seks. A to sto euro nie mówi nam nic specjalnego?

– Ekspertyza się tym zajmie – rzekł Backman. – A gdzie jest portfel? Mam nadzieję, że go nie zgubiłeś...

– Oczywiście, że nie – odparł Barbarotti i uniósł plastikową torebkę. – Przekażemy to technikom i pójdziemy na lunch. A potem dowiemy się, czy doktor Holmgren ma coś dla nas. Powinien już coś wiedzieć o ofierze... wiek, blizny, tatuaże. Wtedy będziemy mogli rozesłać jakiś sensowny rysopis. Chyba też za granicę, prawda?

– No tak, Springsteen jest wszędzie znany – wymamrotała Eva Backman i się podniosła. – Ale okej, wrócimy do tego po lunchu. Mam przeczucie, że to dość śmierdząca historia, choć pewnie tak jest z większością morderstw przy użyciu siekiery, czyż nie?

– Moje doświadczenie mówi mi dokładnie to samo – odpowiedział Barbarotti.

Lista osób, które wynajmowały skromny domek Hansa Antonssona pod Vandelbo przyszła po mniej więcej godzinie. Obejmowała ostatnie pięć lat, więc

jakiś porządek jednak musieli mieć w firmie Nieruchomości Radość Życia S.A.

– Radość Życia? – zdziwił się Barbarotti. – Skąd ludziom przychodzi do głowy takie nazwy?

– Dobra nazwa to w naszych czasach pierwszy krok do sukcesu – wyjaśniła Eva Backman. – Istnieją nawet specjalne firmy doradzające ludziom, którzy chcą założyć własną firmę... żeby przyciągnąć klienta i zainteresować swoim produktem.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał Barbarotti.

– Tak jakoś. Na przykład mój były prowadzi w Sundbyberg firmę ze swoją nową kobietą. Zajmują się dystrybucją i sprzedają energii elektrycznej, ale firma nazywa się Fantastyczne Wibracje.

– Fajna nazwa – odparł Barbarotti. – No a co z tą listą?

Eva Backman popatrzyła na ekran, pomyślała chwilę i zaczęła liczyć.

– Dwadzieścia dwa nazwiska – poinformowała i zmarszczyła czoło. – Ale część z nich pojawia się kilka razy. I ostatni gość...

– Co takiego?

– Ostatni gość też do nich należy...

– Masz na myśli do tych, którzy wynajmowali kilka razy, tak?

– Tak, a dokładnie... cztery, jeśli się nie mylę.

– W takim razie zaczniemy od niego – powiedział Barbarotti. – Jak się nazywał?

– To ona – odparła Eva Backman. – Birgitte Behrens. Adres to Rocksta.

– Telefon?

– Nie ma komórki, tylko numer domowy.

– Więc zadzwoń do niej. I powiedz, że będziemy za piętnaście minut.

Eva Backman wykręciła numer i czekała. Po dziesięciu sygnałach odłożyła słuchawkę.

Spróbowała jeszcze raz, ale zrezygnowała po pięciu.

– Pojedziemy i sprawdzimy, co się dzieje – zaproponowała, a Gunnar Barbarotti nie zaprotestował.

Trubadurvägen pod numerem 22c nie wyróżniała się niczym szczególnym wśród innych adresów w Rocksta. „B. Behrens” – widniało na liście lokatorów przy wejściu do budynku. Trzecie piętro, sąsiad obok to S. Bengalpramavatna. Choć trzecie piętro było ostatnim, w budynku znajdowała się winda, ale oni od razu skierowali się do schodów. Dwa mieszkania na każdym piętrze – tak budowano w Rocksta we wczesnych latach siedemdziesiątych, kiedy Szwecja rozbudowywała się na potęgę. O ile Barbarotti się nie mylił, to Rocksta stanowiło niemalże dziesiątą część całej populacji Kymlinge.

Eva Backman nacisnęła dzwonek.

Raz. Dwa razy. Trzy.

Bez reakcji.

Gunnar Barbarotti spojrział przez szparę do wrzucania listów i skonstatował, że w środku na podłodze leży stos korespondencji. Nacisnął klamkę. Zamknięte.

Eva Backman znów zaczęła dzwonić. Ale przerwała, kiedy w środku usłyszała sygnał telefonu.

– Dlaczego miałyby odebrać, skoro nie podeszła do drzwi?

– Dobre pytanie – powiedział Barbarotti. – Nasuwa się tylko jeden wniosek: że nie ma jej w domu.

– Byłeś może prymusem w szkole policyjnej?

– Nie byłem żadnym prymusem. A nawet wręcz przeciwnie, byłem prawie najgorszy w grupie.

– Tak myślałam – odparła Eva Backman. – Więc co robimy?

– Może mała rundka po sąsiadach, co?

– Jesteś w niezłej formie – powiedziała Backman i spojrzała na zegarek. – Piętnaście po drugiej. Nie najlepsza pora, ludzie są jeszcze w pracy. Ale skoro już tu przyjechaliśmy...

Eva Backman zadzwoniła do drzwi, gdzie według tabliczki mieszkał S. Bengalpramavatna.

Po pięciu sekundach drzwi się uchyliły i wyjrzał przez nie drobny mężczyzna. Właśnie wyszedł z kąpieli. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat i przypominał

szparaga. Miał jasne, przerzedzone włosy, nieco piegowatą skórę i kwadratowe okulary zasłaniające większą część twarzy.

– Pan Bengalpramatna? – zapytał Barbarotti.

– Tak. Ale możecie mówić do mnie Sören.

– Sören Bengalpramatna? – upewniła się Eva Backman.

Mężczyzna odkasłał ostrożnie i poprawił okulary, które wyglądały, jakby ważyły z pół kilo.

– Tak. A o co chodzi?

– Policja – wyjaśniła Eva Backman i pokazała legitymację.

Sören Bengalpramatna długo i dokładnie ją studiował, kiwając się to w jedną, to w drugą stronę. Wyglądał na lekko zaniepokojonego. Jakby rozważał, czy nie zażądać adwokata i milczeć, dopóki ten się nie pojawi.

– Sprawa nie dotyczy ciebie – zapewnił Barbarotti. – Widzę, że masz coś na sumieniu, ale tym zajmiemy się innym razem. Może. Dzisiaj chcemy tylko zadać ci parę pytań o sąsiadkę.

– O sąsiadkę? – zapytał Sören Bengalpramatna, przełknął ślinę i odetchnął z ulgą. – I nie, nie mam nic na sumieniu. Choć z drugiej strony kto może coś takiego o sobie powiedzieć?

Chyba właśnie zdał sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiały dość niejednoznacznie, próbował więc się uśmiechnąć. Ale zamiast uśmiechu na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju spazmu. Rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Pewnie jej nie ma w domu.

– Skąd wiesz? – zapytała Eva Backman.

– Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością – poprawił się Sören Bengalpramatna. – Bo rozumiem, że chodzi wam o panią Behrens, prawda?

Pokazał na sąsiednie drzwi i oblizał wargi.

– Tak, o Birgitte Behrens – potwierdził Barbarotti.

– Tak się nazywa, a przynajmniej tak jest napisane na drzwiach. À propos nazwisk, to jeśli jesteście ciekawi mojego, to ma ono swoje wytłumaczenie.

– Ach tak? – rzekł zdziwiony Barbarotti. – No to słuchamy.

– Ludzie czasami się dziwią.

– Naprawdę? – rzekła Backman. – A więc?

Chyba wiem w czym rzecz, pomyślał Barbarotti, ale zatrzymał to dla siebie.

Sören Bengalpramavatna odchrząknął i poprawił okulary.

– Moja żona była z Indii. Wziąłem jej nazwisko. Przedtem nazywałem się Sören Johansson, ale Bengalpramavatna brzmi dostojniej... Żona po roku mnie zostawiła, jednak nazwisko zatrzymałem.

– Zawsze coś – odparła Eva Backman. – Ale nas interesuje przede wszystkim twoja sąsiadka...

– Przepraszam... – wtrącił się Barbarotti. – Powiedziałaś, że wyjechała?

– Tego nie powiedziałem, ale zgadza się – skorygował Sören Bengalpramavatna. – Choć nie wiem tego na pewno. Znamy się tylko z widzenia.

– Może wejdziemy? – zapytała Eva Backman. – Nie będziemy tak stać na korytarzu i rozmawiać.

– Wolę, żebyście nie wchodzili – zachnął się Sören Bengalpramavatna. – Porządkuję znaczki i leżą teraz porozrzucane po całym mieszkaniu.

– Okej – odparł Barbarotti. – Ale wyjaśnij nam, dlaczego uważasz, że twoja sąsiadka wyjechała. My też nie mamy zbyt wiele czasu.

Sören Bengalpramavatna wzruszył swoimi chudymi ramionami. Wyglądał, jakby poczuł się dotknięty.

– Widziałem, jak z dużą walizką wsiadała do taksówki. Jakiś tydzień temu... mniej więcej.

– I od tamtej pory jej nie widziałeś?

– Nie.

– Mieszka sama?

– Ostatnio...

– Tak?

– Ostatnio przychodził tu jakiś mężczyzna.

– Chwila... – przerwała mu Eva Backman. – Ile lat ma Birgitte Behrens... tak mniej więcej?

– Odgadnąć wiek kobiety to nie taka prosta sprawa – skonstatował Sören Bengalpramavatna i zmarszczył czoło. – Chyba nieco ponad sześćdziesiątkę. W każdym razie jeszcze pracuje, nie przeszła na emeryturę.

– Gdzie pracuje?

– W szpitalu.

– Jest lekarzem?

– Chyba pielęgniarką...

– A ten mężczyzna... – znów wtrącił się Barbarotti. – On też tu mieszka?

– Pojawia się i znika – odrzekł Sören Bengalpramavatna.

– Pojawia się i znika?

– Od jakiegoś roku. Nic więcej nie wiem i nie mam z nimi nic wspólnego. Z żadnym z nich.

– A może wiesz, jak się nazywa? Ten mężczyzna, co to pojawia się i znika?

– Nie wiem.

– Na pewno? – zapytała Eva Backman.

– Na pewno, chociaż... – Wsunął okulary na czoło i wyglądał, jakby się intensywnie nad czymś zastanawiał.

– Chociaż co? – zapytał Barbarotti.

– Może nazywać się Kostadino – powiedział Sören Bengalpramavatna.

– Kostadino?

– Tak.

– A co to za imię? – zapytał Barbarotti. – W zasadzie imię czy nazwisko?

– Skąd mam wiedzieć – odparł Sören Bengalpramavatna. – Kiedyś słyszałem, jak tak się do niego zwracała. Raz, może dwa razy. Stał na balkonie i palił, a ona powiedziała, żeby wszedł do środka... Tak, dokładnie słyszałem. „Kostadino, robi się zimno”, powiedziała.

– Świetnie – odparł Barbarotti.

– A jak myślisz, ile ten Kostadino miał lat? – zapytała Backman.

– Miał?

– Nie łap mnie za słowa. Ile miał lat, mniej więcej?

Sören Bengalpramavatna rozłożył ręce.

– Mniej więcej tyle, ile ona... Sześćdziesiąt. Może sześćdziesiąt pięć...

– A pamiętasz, kiedy go widziałeś ostatni raz?

– Jakieś... jakieś parę dni przed jej wyjazdem?

– Dziesięć dni temu?

– Coś w ten deseń.

– Słucham?

– No mniej więcej.

– Rozumiem – odparła Eva Backman. – Co jeszcze możesz powiedzieć o tym Kostadinie?

– Nic – odpowiedział Sören Bengalpramavatna. – Wyglądał jak większość ludzi.

– I nigdy z nim nie rozmawiałeś?

– Nie.

– A jak się ubierał?

– Zwyczajnie. Trochę niedbale.

– To znaczy?

– Nic szczególnego. Prawie zawsze miał na sobie T-shirt. Często z tym Bruce'em na piersi. The Boss.

– Bruce'em Springsteenem?

– No właśnie.

Barbarotti spojrział na Evę Backman, a Eva Backman spojrzała na Barbarottiego.

– Zdaje się, że będziesz musiał pojechać z nami na komisariat – powiedziała Eva Backman – żebyśmy mogli dokładniej sobie porozmawiać. Chyba nie masz nic przeciwko temu, co?

Sören Bengalpramavatna aż się wzdrygnął, ale zaraz przywołał się do porządku.

– Przecież nic nie zrobiłem – wyjaśnił. – Jeśli interesuje was, dlaczego nie jestem w pracy, to mam zwolnienie lekarskie. Długoterminowe.

– Spokojnie – zapewniła go Eva Backman. – Chcemy tylko z tobą porozmawiać bardziej formalnie. Kiedy skończymy, odwieziemy cię do domu.

– A co on zrobił?

– Kto?

– No ten Kostadino.

– Nie żyje.

– Ojej. Ale co, rak?

– Nie, nie sądzimy, że zmarł na raka. Ale nie musisz się tym zajmować. Teraz jedziemy na komisariat. Będziesz z powrotem za godzinę, góra dwie.

– Włożę tylko buty i kurtkę i jestem gotowy – powiedział Sören Bengalpramavatna, a potem wyprostował te swoje sto sześćdziesiąt centymetrów i zatarł ręce.

Październik 2012, Oosterby i okolice

Komisarz Radovic wyglądał jak zgnębiony nieszczęśnik. A przynajmniej jak ktoś, kto się nie wyspał.

Tym razem nie siedzieli w zielonym pokoju spotkań w domu Jesienne Słońce, tylko w gabinecie dyrektorki, doktor Brahms. Van Veeteren, jak zwykle podejrzliwie, zastanawiał się, o co chodzi w tych tytułach doktorskich i czy przypadkiem nie była ona spokrewniona z wydawcą o tym samym nazwisku, ale postanowił nie pytać. Ani o to pierwsze, ani o drugie. Przedstawiła się bez zbędnych tytułów. Miała blond włosy, była dobrze zbudowana, około pięćdziesiątki, w białym fartuchu i sandałach.

– Ester Brahms, siedźcie, nie wstawajcie.

Na sofie i na dwóch twardych plastikowych krzesłach siedzieli już komisarz Radovic (na służbie, krzesło), Van Veeteren (poproszony o pomoc, sofa) i Ulrike Fremdli (z własnej inicjatywy, krzesło). Czekali dziesięć minut, do piętnaście po jedenastej. Był ostatni dzień października i padało od samego świtu. O ile tego dnia w ogóle można było mówić o jakimkolwiek świtaniu; niebo raczej nie bez przyczyny postanowiło pociemnieć i opłakiwać całe stworzenie i jego potępione dusze. A były po temu powody.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała pani dyrektor i usiadła za biurkiem. – Mamy masę formalności, które musimy załatwić, kiedy ktoś z naszych podopiecznych zapada w sen.

„Zapada w sen”? Van Veeteren przez chwilę się zastanawiał. Co, do cholery, znaczy „zapada w sen”? Mimo iż ugryzł się w język, niechciany, a zarazem

dobrze mu znany niesmak (czy raczej pewien rodzaj wstrętu w znaczeniu Sartre'owskim, jeśli poprawnie rozumiał tego małego Francuzika) objął go w swoje władanie. Ale ponieważ pani dyrektor traktowała go najwyraźniej jako pewnego rodzaju autorytet, prawdopodobnie z powodu jego zaawansowanego wieku, wziął się w garść i powiedział:

– Ale żyje? Słyszałem, że miała wylew czy coś w tym rodzaju?

– Zgadza się – przyznała Ester Brahms. – Tyle że nie ma z nią żadnego kontaktu. I bardzo możliwe, że już tak zostanie. Dlatego użyłam sformułowania „zapada w sen”. Badał ją też specjalista ze szpitala w Werdingen, doktor Löbke, więc nie jestem odosobniona w swojej opinii. Oczywiście można ją przenieść do szpitala, ale mamy tutaj całą aparaturę do podtrzymywania funkcji życiowych, więc uważam, że nie ma potrzeby. Poza tym mamy w tym pewne doświadczenie.

– Nie wątpię – odparł Van Veeteren. – Ale teraz interesuje nas raczej powód jej stanu zdrowia. Prawda, komisarzu Radovic?

– Hm, tak, zgadza się – przyznał Radovic i zaczął przedstawiać dwoje swoich towarzyszy (czego wcześniej nie zdążył zrobić, bo ten namolny antykwariusz mu przeszkodził) bez zbędnego wchodzenia w szczegóły co do ich ewentualnej roli w toczącym się śledztwie. A raczej w postępowaniu śledczym, jak to określił prokurator okręgowy Kuijvert, w związku ze znalezieniem ciała w Libbenholtz, na wschód od Oosterby.

– Pani doktor oczywiście zna sprawę, o której w swoim czasie było tak głośno, prawda? – zapytał retorycznie komisarz.

Doktor Brahms potwierdziła, że wie, o co chodzi. Nie uczestniczyła w rozmowach z Molly Hansen – które przeprowadzali komisarz Radovic oraz komisarz Van Veeteren i jego asystentka – czego bardzo żałuje, ale w miarę możliwości jest gotowa pomóc policji na wszystkie dostępne sposoby.

Radovic podziękował i palcem wskazującym otarł ze skroni wyimaginowaną kroplę potu.

– Czy mogłaby pani jeszcze raz opowiedzieć, co się wydarzyło wczoraj wieczorem? – poprosił. – Żeby moi koledzy też mogli się dowiedzieć.

Koledzy? Van Veeteren zdusił impuls protestu. Ulrike Fremdli kiwnęła głową z zainteresowaniem. Ester Brahms wsunęła na czoło okulary w prostokątnych oprawkach i splotła ręce na masywnym biurku.

– Naturalnie. A więc... Molly Hansen miała wczoraj odwiedziny. Przyszła do niej kobieta, dwie godziny wcześniej zadzwoniła z Werdingen. Przedstawiła się i zapytała, czy może wieczorem odwiedzić swoją przyrodnią siostrę...

– Przyrodnią siostrę? – zdziwiła się Ulrike Fremdli.

– Tak twierdziła. Właściwie to było trochę późno, ale nie chciałam być już taka drobiazgowa, poza tym Molly Hansen niezbyt często ktoś odwiedza. Więc się zgodziłam. I faktycznie, pojawiła się zaraz po szóstej. Miała ze sobą małe pudełko czekoladek. Spędziła z Molly Hansen około godziny i wyszła równo o siódmej. Przynajmniej zdaniem siostry Meijksens, którą już mieliście przyjemność spotkać, bo to siostra Meijksens wpuściła tę kobietę i wypuściła.

– Jak się nazywała ta kobieta? – zapytała Ulrike Fremdli.

– Przedstawiła się jako Henrietta Gunke – poinformowała doktor Brahms.

– À propos pani nazwiska... – wtrącił Van Veeteren. – Przepraszam, że pytam, ale czy...

– Nie, nie jestem spokrewniona z tym kompozytorem – odparła natychmiast doktor Brahms.

– Nie jego miałem na myśli... – odpowiedział Van Veeteren. – Ale znam pewnego wydawcę o tym samym nazwisku.

– To mój szwagier – odparła doktor Brahms krótko. – Dziwny człowiek, nie utrzymujemy kontaktu.

– Rozumiem – rzekł Van Veeteren.

– Henrietta Gunke to równie dobrze może być fałszywe nazwisko. – Komisarz Radovic powrócił do urwanego wątku. – Znaleźliśmy tylko jedną osobę o takim nazwisku. Ma sześć lat i mieszka w Horsens w Danii.

Van Veeteren skinął głową i zwrócił się do doktor Brahms.

– Ale pani jej nie spotkała?

– Nie.

– Szkoda – odpowiedział. – Proszę mówić dalej.

Ester Brahms popatrzyła na niego zza okularów, które wróciły już na swoje miejsce. Wyglądała, jakby nagle coś sobie uzmysłowiła. Odchrząknęła i wróciła do tematu:

– Chętnie. Kilka godzin później, około wpół do dziesiątej, jedna z naszych pielęgniarek Vera Mattis, która miała nocną zmianę, zauważyła, że w pokoju u Molly Hansen pali się światło. Zazwyczaj pani Hansen kładzie się wcześniej spać, zaraz po kolacji, rzadko później niż o ósmej. Siostra Mattis zapukała do pokoju, ale nie otrzymała odpowiedzi, więc weszła, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Szybko zauważyła, że Molly Hansen musiała doznać wylewu czy czegoś w tym rodzaju. Leżała ubrana na łóżku z na wpół przymkniętymi oczami i otwartymi ustami. Najpierw siostra Mattis pomyślała, że nie żyje. Bardzo szybko połączyła stan pani Hansen z jej wcześniejszą wizytą, uznając, że podczas spotkania coś musiało ją zdenerwować do tego stopnia, że aż dostała wylewu. Trafna uwaga, ponieważ silny wstrząs emocjonalny może być u starszych osób brzemienny w skutkach.

Muszę to zapamiętać, pomyślał Van Veeteren.

– Siostra Mattis powiedziała też, że czuła w pokoju jakieś złe wibracje. Tak, użyła właśnie tego sformułowania, „złe wibracje”... Skonsultowałam się z kolegą z Werdingen. A za jego radą także z policją.

– Z policją? – zapytał Van Veeteren. – Dlaczego?

– Uznaliśmy, że tak będzie lepiej – odparła Ester Brahms.

– Słusznie zrobiliście – odpowiedział Van Veeteren.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Ale chyba nie podejrzewacie żadnego przyduszania poduszką czy czegoś w tym rodzaju? – zapytała w końcu Ulrike Fremdli i powędrowała wzrokiem w kierunku doktor Brahms i Radovica. – A taki wylew to raczej nie sprawa policji, prawda?

Brawo, pomyślał Van Veeteren. Bardzo zasadne pytanie.

Doktor Brahms zastanawiała się przez chwilę.

– Nic takiego nie twierdzą ani nie twierdziłam – skonstatowała.

Komisarz Radovic przyszedł z odsieczą.

– Hm, tak – wydobył z siebie na początek. – To prawda, nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków. Tylko czasami, żeby uniknąć niespodzianek... Uważam, że to był właściwy krok, zważywszy na... na okoliczności. – Radovic wykonał delikatny gest w kierunku Van Veeterena i Ulrike Fremdli, ale żadne z nich nie skomentowało owych okoliczności. – Co do odwiedzin tej kobiety – kontynuował Radovic trochę niezdecydowanym głosem – to przesłuchałem wstępnie Verę Mattis i Inez Meijskens. Dzisiaj po lunchu będę jeszcze raz z nimi rozmawiał. Zapraszam, jeśli ktoś ma ochotę.

– Wystarczy nam samo sprawozdanie – powiedział Van Veeteren. – I tak już jutro wyjeżdżamy. Na pewno dasz sobie doskonale radę bez nas. Jutro po południu przyjdziemy na komisariat, żeby oddać teczki, więc pewnie będziemy mieli jeszcze okazję zamienić kilka słów.

– Oczywiście – odparł Radovic. – Przepraszam, że zawracam wam tym głowę.

– Nic nie szkodzi – odparł Van Veeteren. – Co trzy głowy, to nie jedna...

– Jeszcze jedno pytanie – wtrąciła Ulrike, kiedy Van Veeteren wstał i kierował się już do wyjścia. – Czy Molly Hansen miała jakąś zaufaną osobę? Może jakąś przyjaciółkę, która ją odwiedzała?

Doktor Brahms próbowała sobie przypomnieć.

– Chyba nie miała nikogo takiego. Jak już mówiłam, nikt jej nie odwiedzał, a jej najbliższą znajomą była nasza pensjonariuszka... Franziska Pavlova. Mają tyle samo lat i obie pochodzą z tej samej okolicy. W każdym razie często razem siadają i rozmawiają... a raczej rozmawiały. I Bóg mi świadkiem, że pamięć obu pań już szwankuje. Zresztą Molly Hansen nigdy nie wspominała, że ma jakąś przyrodną siostrę. O rodzonej też nie słyszałam.

– Dziękuję – powiedział Van Veeteren i otworzył drzwi.

– Z tego wniosek, że ta odwiedzająca nie miała uczciwych zamiarów – zdążyła dodać Ulrike Fremdli.

– Na to wygląda – odparła Ester Brahms.

– I tu musimy postawić granicę – powiedział Van Veeteren.

– Granicę?

– Właśnie. Już czas skończyć z tą przekłętą historią. Radovic dostanie posiłki z wszystkich możliwych stron, a my jutro o tej porze będziemy w domu w Maardam.

Ulrike Fremdli zaczęła dudnić palcami w kierownicę i mamrotać coś pod nosem. Van Veeteren nie rozumiał co, ale zdawało mu się, że nie podziela jego zdania. Siedzieli w samochodzie w drodze powrotnej do pensjonatu Kaarshuis we Friesenbirge. Kiedy wyjeżdżali z dziedzińca domu Jesienne Słońce, zauważyli parkującą białą furgonetkę. Van Veeteren pomyślał, że przypomina samochód techników kryminalnych.

Z powodu ponad osiemdziesięcioletniej kobiety, która dostała wylewu? Słabo, pomyślał.

A może?

– Z tą poduszką... – przerwał ciszę, która powoli zaczęła być kłopotliwa. – Co ci przyszło do głowy?

Zanim Ulrike odpowiedziała, wydobyła z siebie coś w rodzaju prychnięcia.

– Z ciebie to jednak stary osioł.

– Co to ma, do diabła, znaczyć?

– Że jesteś osioł. A ja się łudziłam, że zrozumiesz...

– Serio? – odpowiedział Van Veeteren. – Uważasz, że ten cholerny wylew ma coś wspólnego z wydarzeniami z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego? Że po ponad dwudziestu latach zjawił się Leopold Kransky przebrany za kobietę?

– Niczego takiego nie powiedziałam – odparła Ulrike.

– W takim razie co próbujesz mi przekazać?

Ulrike zamyśliła się na chwilę.

– Twierdzą jedynie, że jedno z drugim może mieć coś wspólnego. A raczej że musi mieć coś wspólnego. Przecież to nie przypadek, że Molly Hansen zostaje prawie że zamordowana zaledwie miesiąc po tym, jak wychodzi na jaw, że... że policja tak się pomyliła, jeśli chodzi o pożar jej pensjonatu, nie sądzisz?

– Prawie że zamordowana?

– Zaledwie kilka dni po tym, jak pewna tajemnicza zakonnica przyznała się do znalezienia dziecka na progu klasztoru. I co ty na to?

– Prawie że zamordowana?

– Okej, cofam to, co przed chwilą powiedziałam. Ale ta fikcyjna przyrodnia siostra pojawia się dokładnie teraz i niemalże doprowadza do śmierci osobę, która cokolwiek może o tym wszystkim wiedzieć. Więc może warto się temu przyjrzeć, nie uważasz?

Van Veeteren westchnął.

– Kto? – zapytał.

– Co „kto”?

– Kto niby ma się temu bliżej przyjrzeć?

Ulrike Fremdli westchnęła.

– Aha, rozumiem. Niby we wszystkim się ze mną zgadzasz, ale wolisz wracać do domu do Maardam i grać w szachy, tak?

– Do diabła – zachnął się Van Veeteren. – Musisz w końcu zrozumieć, że sprawa nie leży na naszym biurku. Ani na biurku szanownej pani psycholog policyjnej, ani na biurku emerytowanego komisarza.

– Co się z tobą dzieje? – jęknęła Ulrike. – Nie jesteś nawet ciekawy? Chcesz, żeby morderca pozostał na wolności? A co z twoim imperatywem kategorycznym? Z Kantem, Rappaportem, z nimi wszystkimi?

Van Veeteren nie zdążył odpowiedzieć, bo już go dopadło następne pytanie.

– Kto to może być?

– Chodzi ci o tę kobietę, która odwiedziła Molly Hansen?

– A o kogo innego?

– I co sądzisz?

Pani psycholog zamyśliła się na moment.

– Zgadzam się, że to na pewno nie jest on – odparła – ten cały Kransky w przebraniu kobiety... To zbyt dziwaczne.

– Bez wątplenia. Chociaż zdaje się, że pytanie „dlaczego?” jest ważniejsze niż „kto?”.

– A niby z jakiego powodu?

– Właśnie tego się nauczyłem przez te prawie sto lat, odkąd chodzę po świecie.

– Aha? A więc trochę o tym myślisz mimo wszystko?

– Nawet jeśli czasami o tym myślę, to wcale nie oznacza, że zajmiemy się tym śledztwem.

– Rozumiem – odparła Ulrike i poklepała go po kolanie. – Ale rozmawiać o tym możemy, prawda? A kiedy znajdziemy rozwiązanie, zadzwonimy do Radovica i mu powiemy, co wymyśliliśmy.

– Zabawne, że to mówisz – odpowiedział Van Veeteren i położył swoją dłoń na dłoni Ulrike. – Może doszliśmy do właściwego punktu.

– Co? Do jakiego punktu?

– Do punktu Borkmanna – wyjaśnił stary antykwariusz z lekko wymuszonym uśmiechem. – Nie mówiłem ci o tym?

– Nigdy – odpowiedziała pani psycholog policyjna z naciskiem.

– Dziwne – skostatował siedemdziesięciopięciolatek przy jej boku. – W każdym razie punkt Borkmanna odnosi się do tego momentu w śledztwie, kiedy zebrano już wystarczająco wiele faktów, by sprawę rozwiązać. Mówiąc obrazowo, wystarczy rozsiaść się w fotelu z kieliszkiem czerwonego wina, może nawet zapalić fajkę i poświęcić się czystym rozmyśleniom. Właściwym rozmyśleniom. Rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem – odrzekła Ulrike Fremdli. – Przecież cały czas próbuję to powiedzieć. Więc na co czekamy?

– Chociaż kiedy się nad tym bliżej zastanawiam – powiedział Van Veeteren pół godziny później, kiedy już byli w pokoju hotelowym we Friesenbirge – to jeszcze tam nie dotarliśmy.

– Przepraszam? – spytała Ulrike Fremdli. – Wyjątkowo ciężko się dzisiaj z tobą rozmawia. Gdzie jeszcze nie dotarliśmy?

– No do punktu Borkmanna. Jeszcze jedna mała rozmowa by nie zaszkodziła, zanim dojrzejemy do czystych rozmyślań.

– Boże drogi! – wykrzyknęła Ulrike, unosząc swoje piękne brwi. – Czyste rozmyślanie? Można dostać gęziej skórki! Ale wiem, o co ci chodzi. O tę jej znajomą, tak?

– Mhm – odpowiedział Van Veeteren. – Franziskę Pavlovą. Na twoim miejscu zrobiłbym wszystko, żeby z nią porozmawiać, zanim stąd wyjedziemy.

– Że niby ja? – zapytała Ulrike.

– Tak, ty – odparł Van Veeteren. – Zakładam, że Radovic będzie chciał ją przesłuchać, ale w tym konkretnym przypadku nie zaszkodziłby doświadczony psycholog policyjny.

– A więc znów Jesienne Słońce, tak?

– Możesz to zrobić jutro w drodze do domu – zaproponował Van Veeteren. – A ja w tym czasie pójdę na spacer.

Ulrike tylko się uśmiechnęła.

Październik 2012, Kymlinge

Przesłuchanie zajęło godzinę. Część znaków zapytania została wyjaśniona, ale pojawiły się też nowe. Kiedy Sören Bengalpramavatna zobaczył zdjęcia tego martwego mężczyzny, wyglądał, jakby miał za moment zwymiotować, ale gdy doszedł do siebie, potwierdził z całym przekonaniem, że to Kostadino, o którym mówił wcześniej komisarzom Backman i Barbarottiemu. Na dziewięćdziesiąt procent, żeby być dokładnym. Wprawdzie nigdy nie rozmawiał z tym trupem, jak się wyraził, i widział go żywego dziesięć, może dwanaście razy, ale zawsze miał dobrą pamięć do twarzy.

Co więc jeszcze wiedział o tym Kostadynie?

Niewiele, jak się okazało.

A jednak coś. Często nosił czapkę z daszkiem. Brązową, skórzaną. Palił. Stawał wtedy na balkonie i jeśli z zachodu powiał wiatr, co się często zdarzało w okolicach Kymlinge, dym czuć było na balkonie sąsiada. Sören Bengalpramavatna powiedział to z pewną dozą irytacji, choć nigdy otwarcie się nie skarżył. Nie należał do ludzi, którzy w ogóle by się skarżyli. Trzeba umieć się dostosować, takie jest jego credo obecnie i takie było w przeszłości. Bardzo to rekomenduje.

Czy Kostadino miał jakąś pracę?

Nie wiadomo.

Czy regularnie pomieszkiwał u Birgitte Behrens?

Właściwie to... nie.

Jaka była ich relacja?

Normalna.

Czy coś wiadomo, gdzie mieszkał Kostadino, kiedy nie było go na Trubadurvägen?

Nie.

Kiedy był widziany ostatni raz?

Jakiś tydzień temu... może nieco ponad.

Przed wyjazdem Birgitte Behrens czy po jej wyjeździe?

Nie wiadomo.

Miał spróbować sobie przypomnieć.

Ale parsknął tylko, że kiedy Sören Bengalpramavatna mówi, że nie wie, to znaczy, że nie wie.

Czy kiedykolwiek doznał jakichś nieprzyjemności ze strony sąsiadów?

Dość dużo pili. Szczególnie kiedy przychodził Kostadino.

Byli głośni?

Czasami.

Kłótnie.

Niewykluczone.

Jakie miał stosunki z panią Behrens?

Nie z żadną panią.

Jakie miał stosunki z Birgitte Behrens?

Witali się.

Jak długo tu mieszkał?

Dwadzieścia pięć lat.

A Birgitte Behrens?

Może dwanaście.

Czy wiedział coś o tym, że wynajmowała domek letni pod Vandelbo?

Nie.

Gdzie Birgitte Behrens pracuje?

W szpitalu. Przecież mówił.

Mówiła o tym?

Kiedyś wspomniała. W pralni.

A Kostadino?

Nie miał pojęcia. Pewnie w jakiejś firmie.

W firmie?

Jak większość ludzi.

W jakiej firmie?

Nie wiedział.

A czym on, Bengalpramavatna, się zajmował, zanim poszedł na zwolnienie lekarskie?

Pracował w firmie.

Co to za firma?

Opony.

Opony?

Tak. U Larssona na Fabriksgatan. Pracował u niego dwadzieścia dwa lata i zniszczył sobie kręgosłup.

Przykro.

Jakoś sobie radzi.

Czy wie jeszcze coś, co mogłoby pomóc policji?

Może...??? Zamieniają się w słuch.

Ale może to nieistotne.

Niech pozwoli, żeby oni to ocenili. A więc?

Hm. Wydaje mu się, że ona... ale tylko tak mu się wydaje... że ona się go bała.

Birgitte Behrens bała się Kostadina?

Tak, tak to wyglądało.

Skąd te podejrzenia?

Nie wiedział na pewno. Takie odniósł wrażenie, kiedy widział ich razem.

Coś jeszcze?

Nie, tylko to. Ale może się mylić.

Dziewięćdziesiąt procent?

Siedemdziesiąt... nie, sześćdziesiąt pięć.

– Ciekawy typ – skostatowała Eva Backman, kiedy Sören Bengalpramavatna został już odwieziony do Rocksta. – I pomyśleć, że można żyć w ten sposób... Wcale nie wyglądał na nieszczęśliwego.

– Był żonaty przez rok – odparł Barbarotti. – Dostał nazwisko. Ale nie on nas interesuje. Co powiesz o panu Kostadinie?

– To już zupełnie inny typ – powiedziała Eva Backman – jak się zdaje. Można się go bać. Co o nim sądzisz?

– Niewiele – odpowiedział Barbarotti. – Ale mam nadzieję, że stopniowo karty się będą odkrywały. Chociażby Birgitte Behrens. Czy ona to zrobiła?

– Bardzo prawdopodobne.

– Kontaktowałaś się ze szpitalem?

– Toivonen tam jest i rozmawia z ludźmi.

– Bardzo dobrze – odparł Barbarotti. – Jest poszukiwana, a jeśli będziemy mieć szczęście, pojawi się i przyzna do wszystkiego. Co teraz robimy?

Eva Backman spojrzała na zegarek.

– Jedziemy do domu się trochę przespać. Jest wpół do szóstej, a to dopiero pierwszy dzień... Ale może faktycznie wystarczy poczekać, aż Birgitte Behrens pojawi się w domu.

– Mam tylko nadzieję, że była w pobliżu, kiedy on umarł.

– Jeśli nie, będziemy szukać innego rozwiązania. Zajrzę do Smutasa i zorientuję się, czego jemu udało się dowiedzieć. Zadzwoń, jeśli będzie coś ważnego. Jeśli nie, odłożymy to do jutra. Okej?

– Świetnie – odparł Barbarotti i ziewnął. – Kiedy przeszukamy jej mieszkanie?

– Może jutro – odpowiedziała Eva Backman i zrobiła grymas.

– Dlaczego nie teraz? Prokurator... a w sumie kto to jest? Månsson? ...są przecież włączeni w sprawę.

Eva Backman najpierw potrząsnęła głową, a potem pokiwała.

– Nie on. Ale oczywiście, są włączeni w śledztwo.

Było tajemnicą poliszyneła, że prokurator Månsson – Pajac-Månsson, choć właściwie nie wiadomo było, skąd to przezwisko... grunt, że pasowało jak ulał – raczej woli poczekać dzień, dwa, niż wystawić się na ryzyko utraty panowania nad sobą.

– Kto w takim razie?

– Ktoś z tych młodszych, wydaje mi się, że jakaś Fredman. Ponoć niezła.

– Zobaczymy... – powiedział Barbarotti i wstał. – Dzięki. Byłoby miło zasnąć przy twoim boku... Czy już ci to mówiłem?

– Tak mi się wydaje. Ale czy ty nie masz przypadkiem trójki dzieciaków, które potrzebują obiadu i pomocy w lekcjach?

– Nie pomyślałem... – odparł Gunnar Barbarotti.

Położył się o jedenastej. Wstał po dziesięciu minutach, kiedy sen nie nadchodził. Nie zapalając światła, podszedł do okna i patrzył na ciemny ogród, zatokę i las. Pod nosem zaczął się modlić: „Pan jest moim pasterzem...”. To była stała modlitwa Barbarottiego, od kiedy w kwietniu Marianne zniknęła z jego życia. „Chociażbym chodził ciemną doliną...”.

Dokładnie sześć miesięcy temu. Jednak czas jako taki nie zachowywał się tak jak zwykle, nie po dwudziestym dziewiątym kwietnia – to nie był pierwszy raz, kiedy o tym myślał. Marianne jest już w wieczności, a on wciąż błąka się po kalendarzu – czy nie o to chodzi? Czy to dlatego od tamtego pamiętnego dnia tak często czuje się zupełnie zagubiony? Nie wie, jaki jest dzień, jaki tydzień... Budzi się wcześnie rano i nie jest w stanie powiedzieć, który to miesiąc... I tak dalej, i tak dalej. Nie on pierwszy zastanawia się nad istotą czasu, dobrze o tym wie, a może po prostu jest szalony. Może zaczyna tracić poczucie rzeczywistości. Według słów księdza, z którym rozmawiali z Evą Backman w Varese, Giuseppe Barbarotti spędził ostatnie lata życia w klinice otępienia. We mgle, tłumaczył im ten przemiły ksiądz – *nebbie*, Giuseppe poruszał się w *nebbie oscure*. Wzruszył ramionami w przepaszającym geście i zrobił znak krzyża.

A to przecież dziedziczne, prawda? Przechodzi z ojca na syna?

Gunnar Barbarotti nigdy nie spotkał swojego ojca, nie widział nawet jego cienia, ale przed genami się nie umknie. Dziedziczymy je, czy tego chcemy, czy nie.

Od kiedy wrócili z Włoch, takie myśli kołatały mu się po głowie. I z jakiegoś powodu dzisiaj wieczorem czuł to mocniej niż zwykle. Jakby... jakby jesienne ciemności, przez sam fakt swojego istnienia, usunęły resztki naiwnego i nieuzasadnionego optymizmu. Nie rozjaśni się, dopóki nie przejdę na drugą stronę, pomyślał. Będę sobie wmawiał, że życie ma sens, ale tak nie jest. Życie na ziemi to przeklęty padół płaczu, tak to wygląda!

Właśnie w momencie tej przenikliwej analizy usłyszał głos Marianne, która już nie mogła się powstrzymać.

Gunnar, co to za głupoty?

– Witaj – powiedział Barbarotti. – I jak ci się wiedzie tam, w górze?

Niebiańsko – odpowiedziała Marianne. – *I czekam na ciebie. Ale nie wolno ci się pogrążyć w tych swoich czarnych myślach. Masz żyć pełnią życia. Twój ojciec spowił się mgłą, bo po prostu za dużo pił.*

– Za dużo pił? A skąd to wiesz?

Po drugiej stronie wie się to i owo.

– Mogę sobie to wyobrazić. Czy całe dnie chodzisz nago?

Gunnar, a co to za pytanie?

– Wybacz, zapytałem ze zwykłej ciekawości. Pomyślałem sobie, że w niebie musi być przyjemna temperatura i...?

Jestem ubrana w jasną, długą suknię. Ale obiecuję ci, że ją zdejmę, kiedy się tu pojawisz.

– Fantastycznie. Dziękuję ci, Marianne, od razu poczułem się lepiej.

Barbarotti miał na końcu języka jeszcze parę pytań dotyczących Evy Backman, ale zanim zdążył je sformułować, niebo już się zamknęło. Trudno, czasami się otwiera, czasami zamyka.

Kurczę, przecież – pomyślał Gunnar Barbarotti i wskoczył do łóżka – to był jej pomysł. Jego nieżyjącej żony, która w zostawionym przez siebie liście stanowczym tonem zachęcała go, żeby się związał z Evą Backman. Mężczyzna potrzebuje kobiety, a czasami nawet się zdarza, że kobieta potrzebuje mężczyzny... albo kobieta kobiety, mężczyzna mężczyzny, to oczywiście bez znaczenia... najważniejsze, żeby nie poślubić samotności.

Jak Sören Bengalpramavatna.

Nawet ten dziwaczny jegomość pochłaniał jego myśli. I ten list na poczcie.

I ten zabity mężczyzna pod plandeką w Vandelbo. I ta bystra tłumaczka Klara Husak, która go znalazła.

Miał na imię Kostadino i lubił Bruce'a Springsteena, nosił czapkę z daszkiem, a dokonał żywota z siekierą w głowie.

Kim był?

Niemiecka prezerwatywa – jaki ona ma z tym związek?

I kim była Birgitte Behrens, z którą się spotykał w Rocksta?

Czy to ona trzymała siekierę?

A jeśli tak, to dlaczego?

I to było ostatnie, co Gunnar Barbarotti, tej ciemnej nocy zabrał ze sobą do królestwa snu, a zwłaszcza to jedno zasadnicze pytanie.

Dlaczego?

Październik 2012, Oosterby/Maardam

Było już wpół do dwunastej, kiedy znów zaparkowali przed domem Jesienne Słońce. Śniadanie, spakowanie się i zwrot dokumentacji na komisariat w Oosterby – wszystko to zabrało trochę czasu, a ponieważ przez ostatnią godzinę zacinął ostry deszcz, Van Veeteren postanowił poczekać w samochodzie i poczytać książkę, zamiast iść na spacer. *Propozycja ogrodnika* Enira Molla, fikcyjny dokument o morderstwie pisarza o takim samym nazwisku.

Nie rozmawiali zbyt dużo tego ranka, ale Van Veeteren rozumiał, że Ulrike może być trochę zestresowana przed swoją misją. A raczej niepewna. Nawet jeśli to on obudził w niej tę myśl, uświadomił sobie, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby się wycofała. Z drugiej strony dobrze wiedział, że i tak nie dawałoby mu to spokoju. Dokładnie tak jak mówiła Ulrike: chciałby to zostawić, a jednocześnie by nie chciał. Rola symulowanego hamulcowego pasowała do niego jak ulał, zastanawiał się tylko, czy tak samo było z jego ostatnim rokiem przed emeryturą.

Z jednej strony uzasadniona – czy też zupełnie nieuzasadniona – chęć odcięcia się od tego cholernego przestępstwa, od tych czysto ludzkich słabości, od tego skarłowaciałego życia, od chciwości i żądz zemsty. Od całego zła? Z drugiej zaś głęboko odczuwalny przymus zwalczania, rozebrania na części pierwsze, znalezienia prawdy i ukarania winnych, mimo wewnętrznego zmęczenia, mimo chęci ucieczki gdzieś daleko, na księżyc.

Albo do antykwariatu.

Albo pozostania w samochodzie z książką w ręku, kiedy pada.

Nienowe myśli. To samo nierozwiązywalne równanie co zawsze. Kant. Luter. Rappaport. A może święty Paweł – „nie czynię bowiem dobra, którego chcę”. Chyba tak to brzmiało...

Ale przede wszystkim: człowiek to jedyne stworzenie, które nie ma naturalnych wrogów, dlatego też sami jesteśmy winni własnego unicestwienia. Tak chciała natura.

Kiedy ostatni raz wymyślił coś nowego?

– Mam kilka pytań – powiedziała Ulrike – zanim znów znajdę się w tym domu duchów.

– Słucham cię – odparł Van Veeteren. – Tylko pamiętaj, że pod żadnym pozorem nie zamierzam iść tam z tobą.

– Zrozumiałam – odpowiedziała Ulrike. – Tak właściwie... to czego ja tam szukam? Chyba dobrze by było, żebym wiedziała...

– Czy koniecznie trzeba wiedzieć, jaką rybę chce się złowić, zarzucając wędkę? – odpowiedział enigmatycznie Van Veeteren.

– Dobrze – rzekła Ulrike. – Ale niekoniecznie celne. Bo rekin potrzebuje innego haczyka niż zwykła płotka, prawda? Chodzi o Molly Hansen? Tylko bez owijania w bawełnę...

– A dlaczego by nam miało chodzić o Molly Hansen?

– Bo coś ukrywa? I to ma coś wspólnego z pożarem? Bo wie więcej, niż mówi? A raczej wiedziała więcej, zanim zasnęła na wieki? Czy była... czy była w to jakoś zamieszana?

– Dobrze – powiedział Van Veeteren. – Jeśli wrócisz z tego domu duchów z odpowiedzią na te wszystkie pytania, to zrobimy tak, jak proponowałaś.

– A co ja takiego proponowałam?

– Że zadzwonimy do Radovica i powiemy, że sprawa rozwiązana.

– Ach tak, rozumiem... A Leopold Kransky?

Van Veeteren pomyślał chwilę.

– Proponuję, żeby tę rundę ominąć.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że Radovic i tak go znajdzie, możemy być o to spokojni. Nie pominie też anonimowej zakonnicy, ale to już nie nasza sprawa.

– W porządku – powiedziała Ulrike i otworzyła drzwi samochodu. – Życz mi powodzenia.

– Powodzenia – odparł Van Veeteren i otworzył książkę.

Minęło prawie półtorej godziny, zanim Ulrike pojawiła się z powrotem. Tymczasem Van Veeteren zauważył, że trudno mu się skupić na tekście, zamordowany pisarz i autor zlewali mu się w jedno i nie rozumiał już, co czyta. Poza tym deszcz wciąż padał, więc pomyślał, żeby pójść do lasu na kilkukilometrowy spacer, był raczej marny. Włączył więc suitę *Für Alina Arvo Pärta*. Jej wysublimowana powolność w połączeniu z nieustępliwym deszczem spowodowała, że Van Veeteren zapadł w półdrzemkę, gdzie wszystko, co go otaczało, znikło i zostało zastąpione jakąś dziwną przejrzystością. Van Veeteren pomyślał... no właśnie, co takiego pomyślał? Może, żeby spojrzeć na wszystko z odpowiedniego dystansu, bo wtedy wszystko, co trywialne i pozbawione znaczenia, znika, a pojawia się tylko to, co ważne i istotne.

Istotne? Na to wyglądało... I z tego wyeksponowanego miejsca wśród tego, co istotne, dostrzegł nagle kobietę idącą w deszczu – tym samym, który otaczał jego samego siedzącego w samochodzie – i trzymającą w ręku koszyk z noworodkiem. Szła pochylona od wiatru, próbując chronić chłopca przed siłą żywiołu. Po chwili doszła do dużego i ponurego budynku, który niewątpliwie przypominał Jesienne Słońce. Ale nie był to dom Jesienne Słońce czy stojący w pobliżu klasztor, tylko więzienie. Kiedy dochodziła, masywna brama otworzyła się i pojawił się w niej mężczyzna, cały w bliznach, zniszczony życiem i wieloma latami spędzonymi za murem więzienia. I nagle koszyk okazuje się pusty, a kobieta kilkadziesiąt lat starsza, bo ten, który do niej podszedł, to okazuje się jej syn, a to wszystko – kobieta, dziecko, ten dorosły mężczyzna i jego przerażająca historia – było jedynie tragicznym spektaklem

i chichotem dochodzącym spod ziemi, gdzie takie drobnostki jak przemijanie czasu i życie ludzkie nie mają żadnego znaczenia.

Co to było? Van Veeteren potrząsnął głową i zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, został jedynie pusty koszyk; leżał przewrócony na błotnistej ścieżce, wystawał z niego róg kocyka, który kiedyś był błękitny, i Van Veeteren zrozumiał, że to symbol samego życia. Czy ja umieram? – pomyślał. Czy o to chodzi? Czy to nie bagatela zapisana w partyturze życia?

Skąd mu się pojawiały te nieproszone pytania?

Zakłuło go w okolicy serca i pomyślał sobie, jakie to byłoby straszne, gdyby Ulrike po powrocie z domu duchów znalazła go martwego w samochodzie, postanowił więc, że jeszcze trochę pożyje.

Poza tym... i ta myśl w jednej sekundzie wypunktowała to, co ważne i znaczące, cały miłosierny dystans... Poza tym trzeba doprowadzić do końca tę przeklętą sprawę. Prawda? Ten cholerny pożar w tym cholernym pensjonacie Molly Hansen. Bo morderca jest wciąż na wolności.

I jeśli potrwa to jeszcze kilka lat, szanse na rozwikłanie będą minimalne.

Van Veeteren obudził się, kiedy Ulrike otworzyła drzwi samochodu i usiadła na siedzeniu obok.

– Dobrze spałeś?

– Najwyżej parę minut.

– Jasne.

Van Veeteren spojrzął na zegarek i uświadomił sobie, że nie było jej dość długo i że „parę minut” prawdopodobnie znaczyło około sześćdziesięciu... Ale to akurat było bez znaczenia.

– I jak ci poszło?

Ulrike zapięła pasy i włączyła silnik.

– Tak sobie.

– Czyli?

– Mam wrażenie, że to stracony czas. Franziska Pavlova spóźniła się, bo miała zatwardzenie. „Muszę się wypróżnić przed obiadem, bo inaczej mam zmarnowany dzień”, to były jej pierwsze słowa.

– Interesujące – skwitował Van Veeteren. – Powiedziała coś jeszcze?

– O, tak – odparła Ulrike Fremdli i ruszyła spod domu Jesienne Słońce z szybkością, którą Van Veeteren ocenił jako ogromną. Ocenił też, że cichy odgłos, który dochodził od jego pasażerki, to zgrzytanie zębami.

– Na przykład?

– Na przykład: „Kiedyś jajka lepiej smakowały”. Na przykład: „Gdyby Niemcy wygrali wojnę, ludzie mieliby mniej brudu za paznokciami”. Powinieneś tam być...

– Już żałuję – odparł Van Veeteren. – Może chwilę pomilczymy, zanim opowiesz więcej?

Ulrike Fremdli parsknęła. Minęło pięć sekund. A potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

– To jakaś cholerna parodia! Przez całą godzinę nie wydobyła z siebie ani jednego sensownego słowa. Czarny pas w kategorii demencja, przepraszam za wyrażenie... Aha, jedna rzecz, ale to trzeba jeszcze sprawdzić...

– Co takiego?

– Molly Hansen prawdopodobnie ma brata... przyrodniego... dużo młodszego. Mieszka w Nowej Zelandii!

– Ha! – wykrzyknął Van Veeteren. – No to prawie jesteśmy w domu...

– Wiem – westchnęła Ulrike. – Dziwne, prawda? Ale rozmawiałam też z doktor Brahms i wszystko się zgadza. Nikt nic nie wie o życiu Molly Hansen, szczególnie o czasach, kiedy otwierała ten pensjonat. Wiesz, co ja uważam?

– Nie – skłamał Van Veeteren. – Co uważasz?

Zanim odpowiedziała, wzięła głęboki oddech.

– Uważam, że to ona podrzuciła dziecko do klasztoru. I o to w tym wszystkim chodzi.

– Mnie też się tak wydaje – skonstatował Van Veeteren.

Samochodem zaczęło zarzucać.

– Co się dzieje? – prychnęła Ulrike.

Van Veeteren nigdy przedtem nie słyszał Ulrike prychnącej.

– Nie chcę ci nic sugerować – pośpieszył z odpowiedzią Van Veeteren – ale jeśli oboje dochodzimy do tego samego wniosku, to znaczy, że prawdopodobieństwo bardzo się zwiększa... a to znów znaczy, że oboje mamy rację.

Ulrike się nie odezwała.

– Zgodzisz się ze mną?

Minęło kolejne dziesięć sekund.

– Ach ty draniu! Za kogo ja wysłałam! Ale tak, zgadzam się z tobą.

– Świetnie – odparł Van Veeteren. – Dwie ślepe kury z powodzeniem wystarczą, żeby zrobić rewolucję. Masz jeszcze coś ciekawego do opowiedzenia?

Ulrike zastanawiała się przez moment.

– Chyba tylko to, że Molly Hansen przenieśli do szpitala w Werdingen. Myślę, że to inicjatywa Radovica. Ale wciąż jest nieprzytomna... w każdym razie nie ma z nią kontaktu. Mogło być tak, że ten gość... że myślała, że to jej brat przyrodni, a nie przyrodnia siostra... której zresztą nie ma. Musiała po prostu źle usłyszeć. Albo źle zrozumiała. Rozmawiałam o tym z doktor Brahms i przyznała mi rację.

– A poduszka na twarzy?

– Niemożliwe. Ale z medycznego punktu widzenia trudno to udowodnić. Natomiast niedotlenienie mózgu Molly Hansen... jak to się ładnie mówi... to fakt.

– Żadnego pomysłu na to, kim był ten tajemniczy gość?

– Kompletnie nic. Kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat, to wszystko.

– Dowiedziałaś się czegoś o tym bracie z Nowej Zelandii?

– Jeszcze nic nie wiem, ale Brahms obiecała, że się skontaktuje z Radovicem, więc dziś albo jutro powinniśmy coś wiedzieć.

– Powiedziałaś, żeby nas o wszystkim informowali?

Ulrike Fremdli odwróciła głowę i popatrzyła na Van Veeterena.

– Oczywiście. Za kogo ty mnie masz?

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Przyjemnie jest sobie siedzieć w samochodzie, czytać i drzemać, podczas gdy asystentka wykonuje brudną robotę, co?

– Wspaniale – odparł Van Veeteren. – Bardzo mi to odpowiada.

Było po wpół do ósmej wieczorem, kiedy wjechali na Zwille w Maardam. Podczas podróży Ulrike ze trzy razy w równych odstępach czasu streściła wszystko, czego się dowiedziała.

Mniej więcej w następującej kolejności:

1. Jakoś pod koniec lat czterdziestych dwudziestodwuletnia zaledwie Molly Hansen z nieznanym nikomu powodów podrzuca swoje nowo narodzone dziecko pod bramę klasztoru. (Spekulacje, ale wiarygodne).

2. Zakonnice zabierają je i opiekują się nim, ale kiedy chłopiec wchodzi w wiek dojrzewania, wszystko wymyka się spod kontroli. Zaczyna współżycie seksualne z kilkoma zakonnice. Po pewnym czasie z jedną z nich ucieka z klasztoru, przez kilka lat mieszkają razem, handlują narkotykami. W końcu ona go zostawia. (Zakładając, że nie zmyśliła całej historii, ale dlaczego miałyby to robić?)

3. Kilka lat później chłopiec, wtedy już mężczyzna, przyjmuje nazwisko Leopold Kransky (nie wiadomo na pewno, czy już wtedy) i wraca do Oosterby. Tam porywa dziewczynkę, a następnie pozbawia ją życia. Dzięki anonimowemu listowi zostaje schwyty i spędza następne dwadzieścia lat (ponad) w więzieniu. (Nie do podważenia).

4. Jesienią 1991 roku wychodzi z więzienia i znów jedzie do Oosterby. Pod koniec września zaprasza do pensjonatu swojej matki pięcioro członków swojej starej paczki ze Stowarzyszenia Leworęcznych na zjazd. Całą czwórkę spala żywcem w pensjonacie, a piątą osobę zabija. (Znowu spekulacje).

5. Ponad dwadzieścia lat później sprawa się komplikuje, bo zostaje znaleziona piąta ofiara tamtych wydarzeń. Naszą zakonnicę gryzą wyrzuty sumienia, więc pisze list na policję i opisuje swoją historię. Molly Hansen odwiedza tajemniczy gość, po którego wizycie zapada ona w śpiączkę. (Też nie do podważenia).

Pytania: a) Gdzie obecnie przebywa Leopold Kransky? b) Dlaczego popełnia tak ohydne przestępstwo? c) Jaka jest rola Molly Hansen? Czy jest w to zamieszana, a jeśli tak, to w jakim stopniu? d) Kim jest jej niezidentyfikowany gość? e) Co my tu właściwie robimy?

– Wspaniałe podsumowanie! – skomentował Van Veeteren po trzeciej, najbardziej szczegółowej prezentacji. – I bardzo adekwatne pytania. Nawet komisarz Radovic nie zrobiłby tego lepiej. Münster też nie.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– Jest jeszcze jedna kwestia, no może dwie, oprócz tego, że...

– Oprócz czego?

– Oprócz tego, że informacja o rzekomym powrocie Leopolda Kransky'ego do Oosterby opiera się na zeznaniu jednego jedyne go świadka. W dodatku anonimowego. Powinniśmy o tym pamiętać. Więc jeśli, dajmy na to, prokurator w sądzie przedstawi to jako dowód, zostanie wyśmiany, a zarzut odrzucony.

– Wiem, wiem – wymamrotała Ulrike. – W takim razie co z tym zrobimy?

– Nic nie zrobimy, ani ty, ani ja. Ale jestem pewien, że komisarz Radovic już ma jakiś plan. A tak na marginesie, możesz do niego zadzwonić i poprosić go o adres tego brata przyrodniego w Nowej Zelandii? Coś mi mówi, że mógłby nam powiedzieć co nieco. Jeśli jeszcze żyje...

Ulrike Fremdli westchnęła.

– Ale że niby co? Że też zginął w płomieniach?

– Umrzeć można przecież od skrętu kiszek... – odpowiedział Van Veeteren. –

I na kilka innych dolegliwości.

Listopad 2012, Kymlinge i okolice

Spotkanie zaczęło się o dziesiątej w sali konferencyjnej obok gabinetu Stigmana. Oprócz komisarza obecni byli również inspektorzy Backman, Barbarotti, Borgsen i Toivonen oraz aspiranci Spjuth i Wennergren-Olofsson, a także prokurator Elisabeth Fredman, kobieta w wieku około trzydziestu lat, której Barbarotti nigdy wcześniej nie spotkał. Ponadto dwie grube muchy plujki, które najwyraźniej wykluły się w nocy, zważywszy na młodzieńczą energię, jaką wokół siebie roztaczały.

– Muchy w październiku – skomentował Spjuth. – Wszystko przez to cholerne globalne ocieplenie. Możemy otworzyć okno?

Pochodził z małej wioski na północ od koła podbiegunowego o fińsko brzmiącej nazwie składającej się z dwudziestu czterech liter i niedającej się łatwo powtórzyć.

– Nie, bo będziemy musieli wyłączyć klimatyzację – odparł Stigman. – Musisz to jakoś wytrzymać.

– Okej – powiedział Spjuth. – Dam radę.

– Świetnie. Wszyscy na miejsca i zaczynamy. Inspektor Borgsen jako pierwszy. Jak wygląda sytuacja?

Smutas popatrzył w notes, odchrząknął i zaczął:

– Jeśli chodzi o denata, to kiepsko. Nie wiemy o nim nic, poza tym że to mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat i być może nazywał się Kostadino. To ostatnie opieramy wyłącznie na jednej informacji, którą należy uznać za niepewną. Wiadomo już natomiast coś o przyczynie zgonu. Zmarł w wyniku

uderzenia siekierą w głowę. Śmierć nastąpiła natychmiast, według Holmberga leżał pod plandeką cztery do siedmiu dni. Możliwe, że już niebawem uda nam się ustalić dokładny czas zgonu. Zdjęliśmy odciski palców i pobraliśmy DNA, więc możemy je rozesłać po całej Szwecji i za granicę. Jego portfel wraz z zawartością został wysłany do analizy do Linköping.

– Skąd wiemy, że to jego portfel? – zapytał Toivonen.

– Odciski palców – wyjaśnił Smutas. – Ale nie ma stuprocentowej pewności. Jeszcze jakieś pytania?

Nikt nie miał żadnych pytań.

– Kontynuuj – powiedział Stigman. – Kontynuuj.

– Okej – rzekł Smutas. – Co nieco już wiemy o tej kobiecie, Birgitte Behrens, która wynajmowała domek w Vandelbo i która najprawdopodobniej знаła ofiarę. Informacje o niej mamy ze szpitala, w którym jest zatrudniona. Jest singielką. Urodziła się za granicą, ale od dwa tysiące dziewiątego jest obywatelką szwedzką. Bezdzienna, nie ma rodziny. Przyjechała do nas z Maardam w październiku dwa tysiące pierwszego i została zatrudniona w tutejszym szpitalu. Od tego czasu mieszka w Rocksta, cały czas pod tym samym adresem. Z zawodu pielęgniarka anestezyjologiczna, w Maardam też pracowała na anestezyjologii. Rozmawiałem z trzema jej koleżankami z pracy i wszystkie opisały ją jako kompetentną i życzliwą, ale jednocześnie bardzo chroniącą swoją prywatność.

– To znaczy? – zaciekał się aspirant Wennergren-Olofsson. – Stroni od ludzi czy co?

– Mniej więcej – odpowiedział Smutas. – „Nigdy nic nie mówi o swoim życiu”, cytując jedną z jej koleżanek. Prawdopodobnie nie ma przyjaciół. „Zamknięta w sobie i nieśmiała”, cytując inną. Nie zdążyliśmy porozmawiać jeszcze z innymi. Jej nazwisko wypłynęło dopiero wczoraj po południu.

– Przepraszam – wtrąciła się Eva Backman. – Pamiętajmy, że ta Birgitte Behrens wcale nie musi być w to zamieszana. Wprawdzie jako ostatnia wynajmowała domek w Vandelbo, ale nikt nie miał kontroli nad kluczami.

W biurze twierdzą, że od razu po wyprowadzce na początku września zwróciła wszystkie klucze.

– To pewna informacja? – zapytała prokurator i uniosła brwi.

– Przynajmniej według mojego informatora – wyjaśniła Backman.

– Odhaczone – skomentował Stigman, poprawił krawat i odchrząknął. – Hm. Krótko mówiąc, mamy do czynienia z morderstwem, które będzie wymagało rozszerzenia śledztwa. Musimy zebrać jak najwięcej informacji. Szczególnie o tej kobiecie. Wybierzemy się do niej jeszcze dzisiaj. Co na to pani prokurator?

Elisabeth Fredman skinęła głową i odgoniła muchę, która zamierzała usiąść jej na włosach. Miała więcej włosów niż reszta zebranych, włącznie z Backman, a Barbarotti pomyślał, że gdyby miał ze dwadzieścia lat mniej – i gdyby był zupełnie innym mężczyzną – prawdopodobnie zapytałby ją, czy zechciałaby zjeść z nim obiad. Albo coś w tym stylu. W końcu dopiero co się tu przeprowadziła, więc musi czuć się trochę samotna... Dość pokrętny sposób na określenie tego, że po prostu mu się podobała. Co właściwie wskazywało na to, że jest tu nowa?

– Gdzie, do diabła, jest ta cała Behrens? – Wennergren-Olofsson przerwał Barbarottiemu marzenia na jawie. – Na moje oko to ona jest najważniejszą postacią w całej tej sprawie.

– Brawo – powiedziała Eva Backman.

– To jest tak oczywiste jak to, że dwa razy dwa jest cztery – zgodził się Stigman. – Dlaczego nie ma jej w pracy?

Barbarotti się zastanawiał. Smutas przewrócił kartkę w notesie.

– Urlop.

– Urlop w październiku? – powątpiewał Stigman. – W październiku?

– Przecież to nie jest zabronione – odrzekł Smutas nieporuszony. – Ale podejrzane, że stało się to tak szybko.

– Szybko? – zapytał aspirant Spjuth. – Co masz na myśli?

– Że złożyła podanie o urlop zaledwie parę dni temu – poinformował Smutas.

– Jakby go nie planowała. Poprosiła o urlop w zeszły piątek, dwanaście dni

temu, i to na dwa tygodnie, licząc od poniedziałku, czyli od dwudziestego drugiego października. Nie podała żadnych powodów, jedynie przyczyny osobiste. W sobotę i niedzielę przed urlopem też już nie pracowała. Miała sporo nadgodzin, personelu nie brakowało, więc nie było żadnych przeszkód... Przynajmniej taką otrzymałem informację.

– Wczoraj po południu kilka razy dzwoniliśmy na jej domowy numer – powiedział aspirant Spjuth. – Bez rezultatu. Komórki najwyraźniej nie ma.

– Dość rzadkie w dzisiejszych czasach – zauważył Wennergren-Olofsson. – Żeby nie powiedzieć podejrzane.

– Podejrzane? – zapytała Elisabeth Fredman i uniosła brwi.

Barbarottiemu wydawało się, że Wennergren-Olofsson poczerwieniał na twarzy, ale była to wysoce niepewna obserwacja.

– I nie wiemy, gdzie teraz jest? – spytał Stigman po dwóch sekundach niepewnej ciszy.

– Od tygodnia nie ma jej w domu – odpowiedział Smutas. – Więcej będziemy wiedzieć, jak przeszukamy mieszkanie.

– Hm, no tak, oczywiście – zgodził się Stigman. – Oczywiście.

– Może leży martwa we własnym łóżku – rzucił Barbarotti. – Nie możemy wykluczyć i takiej możliwości.

– Powtarzam, że poszerzamy zakres poszukiwań – odparł Stigman. – Proszę nie spekulować.

– Wycofuję to, co powiedziałem – rzekł Barbarotti.

– Świetnie – odparł Stigman. – Coś więcej?

– Jeszcze jedno – powiedział Smutas. – Najprawdopodobniej nie opuszczała Szwecji z żadnego lotniska. Ale wciąż nie mamy pewności.

– Szkoda, że nie możemy sprawdzić jej roamingu – wtrącił Wennergren-Olofsson.

– Wielka szkoda – odparła Eva Backman i ziewnęła.

Smutas zamknął notes. Stigman podrapał się po szyi, po czym zwrócił się do Barbarottiego.

– A wy? Co ty i Backman o tym myślicie? Borgsen i Toivonen mają inną robotę. Brakuje nam ludzi, ale chyba nie muszę tego mówić?

– Nie, absolutnie – odparła Eva Backman.

– No więc? – zapytał Stigman. – No więc?

– Wrócimy na miejsce zbrodni – odpowiedział Barbarotti – jeśli rewizja w Rocksta nie przyniesie nic nowego. Ale zaczniemy oczywiście tam.

– A co może dać kolejna wizyta w Vandelbo? – chciał wiedzieć Stigman.

– Spróbujemy wyobrazić sobie, co tam się mogło stać – odpowiedział Barbarotti. – Na spokojnie zwizualizować... tak się to chyba nazywa? Chyba tak. Więc ja i Backman pojedziemy tam i zwizualizujemy morderstwo.

– Brzmisz jak jakaś wróżka – rzekł Stigman. – Jak jakaś wróżka.

– Mam swoje metody – odparł Barbarotti.

– Ale co, do cholery... – wtrącił Wennergren-Olofsson.

– Chodzi o to, że musimy poszerzyć zakres poszukiwań – wyjaśniła Eva Backman i uśmiechnęła się miło do swojego szefa. – Czekamy też na odpowiedź z Maardam, gdzie Birgitte Behrens mieszkała, zanim przyjechała do Szwecji. I jak już wspomnieliśmy, mamy nadzieję, że przeszukanie mieszkania przyniesie coś nowego... Może już czas jechać do Rocksta?

– Jasne – odpowiedział Stigman i przeszył Barbarottiego wzrokiem. – Poszerzenie zakresu poszukiwań to dobry pomysł. Ale nie róbcie mi tu cholernego Twin Peaks, bo nie stać nas na to. Pamiętajcie, że brakuje nam ludzi. Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać?

Prokurator podniosła palec do góry.

– Na razie oddaję sprawę w wasze ręce. Przynajmniej do momentu, kiedy będziemy mieli podejrzanego. Komisarz Stigman będzie mnie na bieżąco informował.

– Oczywiście – potwierdził Stigman. – Oczywiście.

– Mam pewną teorię... – zdradził aspirant Wennergren-Olofsson poważnym tonem, ale komisarz Stigman, zamiast dopuścić go do głosu, zakończył spotkanie.

– Jutro o tej samej porze. O tej samej porze. *Be careful out there!*

Barbarotti pomyślał, że kiedyś było lepiej. Kiedy żyła Marianne, a szefem był Asunander.

Birgitte Behrens nie leżała martwa we własnym łóżku czy innym miejscu w swoim mieszkaniu pod numerem 22c na Trubadurvägen w Rocksta. Backman i Barbarotti mieli do pomocy dwóch aspirantów i dwóch techników, nietrudno więc było zauważyć, że środki mieli ograniczone. W korytarzu tego dość czystego i schludnego mieszkania leżała poczta i gazety – najstarsza z datą sprzed jedenastu dni. Według Holmgrena mężczyzna w Vandelbo leżał pod plandeką najwyżej tydzień i było raczej mało prawdopodobne, żeby lekarz sądowy pomylił się o pięć czy sześć dni. Jeśli nawet jego analiza była wstępna, to ani Barbarotti, ani Backman nie pamiętali, żeby kiedykolwiek aż tak się pomylił.

Oczywiście, możliwe, że Birgitte Behrens wzięła urlop, żeby spędzić dwa tygodnie w Vandelbo, choć prawdopodobieństwo nie było zbyt wielkie. Wynajęła domek w drugiej połowie sierpnia, zanim wróciła do pracy po urlopie, ale żeby dwa tygodnie później znów tam jechać, i to bez porozumienia z firmą wynajmującą? Nie, Barbarottiemu raczej trudno było w to uwierzyć. Czy w ogóle jest zamieszana w tę historię? Czy są jakieś inne, sensowne powody, dla których trzeba przeszukiwać jej mieszkanie?

Z drugiej jednak strony miała związek z miejscem zbrodni, sąsiad też potwierdził, że martwy mężczyzna to ten sam, który ją odwiedzał.

No i jeszcze Bruce Springsteen... Na starym bilecie w portfelu znalezionym w Vandelbo i na T-shircie w Rocksta.

I prezerwatywa. Panna Behrens miała już ponad sześćdziesiątkę, nie było więc specjalnego ryzyka, że zajdzie w ciążę. Ale przecież ofiara mogła mieć kontakty seksualne z innymi kobietami...

– To trochę za mało jak na mój gust – powiedziała Eva Backman po pięciu minutach przeszukiwania, kiedy podeszła do Barbarottiego. – Musimy mieć coś

więcej. To nie wystarczy do zabrania komputera i narażania jej na to wszystko. Co robimy? Przerywamy?

Barbarotti zastanowił się przez chwilę.

– Może damy im jeszcze pół godziny, może coś znajdą... Oczywiście bez robienia niepotrzebnego bałaganu. Ufam Spjuthowi. Powiem, żeby nie zostawiali śladów. Pogadamy o tym jutro ze Stigmanem i naszą nową prokurator. Przecież Birgitte Behrens i tak musi się dowiedzieć, że przekopaliśmy jej mieszkanie.

Backman skinęła głową.

– A co z nami teraz?

– Do Vandelbo. Obiecałem przecież wizualizowanie morderstwa, zapomniałaś?

– Oczywiście, że nie – odparła Backman. – Z niecierpliwością czekam na rezultaty.

– Świetnie – powiedział Barbarotti. – Porozmawiam ze Spjuthem i zabieramy się stąd. Mam nadzieję, że Sören Brahmaputra nie wściubi tu swojego ciekawskiego nosa.

– Już dawno by to zrobił, gdyby tylko był w domu – powiedziała Backman. – A nawet przyszedł i pomógł, uwierz mi.

– Pewnie masz rację – odparł Barbarotti.

Listopad 2012, Maardam

Van Veeteren siedział w kanciapie antykwariatu i czuł się poirytowany.

Albo zniecierpliwiony. O ile to nie to samo... Minęło już półtora dnia od jego powrotu do Maardam, a od komisarza Radovica nie przyszły żadne informacje. Cisza. Ani słowa.

Ani jednego telefonu. Żadnego esemesa. Żadnego mejla.

Ani wczoraj, ani dzisiaj. Piętnaście po dwunastej, pora iść na lunch, na piwo i kanapkę, choć wcale nie był głodny.

Na jego kolanach leżała cienka książka, nowo odkryte i nowo opublikowane opowiadania Nescia *Pierwsze wzruszenie*. Powinny go zainteresować, ale znużyły. Zastanawiał się, czy Ulrike unika rozmowy o śledztwie, żeby go nie denerwować. Przedwczoraj przy śniadaniu miała parę przemyśleń, ale potem już zaległa cisza. Ani jednego słowa. Czy to nie dziwne? Przez dwa tygodnie, dzień i noc, nie mówiła o niczym innym, jak tylko o Molly Hansen, o pożarze, o Stowarzyszeniu Leworęcznych, o Leopoldzie Kranskym, a teraz nagle zamilkła. Tak jakby przestało ją to interesować.

Jest kuta na cztery nogi. To jasne jak słońce, że robi to świadomie – aby podrażnić się z nim i wystawić na próbę jego stoicką cierpliwość, ale ani myślał zginać przed nią karku. Ani myślał przyznać, że to wszystko przyczepiło się do niego jak jakiś złośliwy i bezlitosny rzep.

Przecież prosił Radovica, żeby go o wszystkim informował. A może wcale nie? Może Radovic postanowił, że tego starego i nudnego byłego gliniarza lepiej trzymać na dystans, bo... bo już raz zawalił sprawę i nie ma żadnego powodu, by

pozwalać mu wtykać nos w nie swoje sprawy i by dopuszczać jego i tę jego ciekawską żonę do śledztwa... Już wystarczy. Oczywiście, można sobie wyobrazić, że tak było. I oczywiście miało to swoje wytłumaczenie. Z policyjnego i z każdego innego punktu widzenia.

Niestety, do cholery!

Ale płaszczyć się?

A może jednak wykręcić numer i zadzwonić?

Jeszcze gorzej... Nigdy w życiu!

Van Veeteren westchnął i po raz czwarty zaczął czytać tę samą stronę o tokańskich obserwacjach Bavinka i Koekebakker.

Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, było wpół do drugiej, a on wciąż jeszcze nie jadł lunchu.

A ponieważ dopiero co się obudził, wydawało mu się, że spał już jakąś chwilę. Na drzwiach wisiała tabliczka „Zamknięte”, więc musiał wstać z krzesła i iść otworzyć.

To był Münster. Stał w deszczu bez kapelusza i parasola i wyglądał, jakby był przeziębiony.

– Spaleś? – zapytał. – Mogę wejść?

Zadał dwa pytania, jedno po drugim, ale Van Veeteren nie śpieszył się z odpowiedzią na żadne z nich. Pokazał natomiast Münsterowi, gdzie ma powiesić płaszcz, a potem zamknął drzwi.

– Herbata czy koniak?

– I to, i to – powiedział Münster i usiadł w fotelu w kanciapie. – Najchętniej w jednym kubku.

Van Veeteren pomyślał, że czasy się jednak zmieniły. Dwadzieścia lat temu nigdy by mu tak nie odpowiedział. Teraz co prawda tytułują go komisarzem, ale czy to miało jakieś większe znaczenie?

– Z czym przyszedłeś? – zapytał Van Veeteren i nastawił wodę.

– Oosterby – odpowiedział Münster krótko i zwięźle.

Świetnie, pomyślał Van Veeteren z niewzruszoną miną.

– Ach tak?

– Dzwonił komisarz Radovic. Rozmawialiśmy z godzinę i opowiedział mi pokrótce... co mają nowego.

– Mniej więcej się orientuję.

– Tak, mówił, że ty już wiesz.

– Hm – odparł Van Veeteren. – Ale kontynuuj, kontynuuj.

– To dość dziwna historia...

– W pewnym sensie tak.

– Daliśmy ciała... dwadzieścia lat temu.

– Jestem tego świadomy – odparł Van Veeteren – i dzięki, nie musisz mi o tym przypominać. Lepiej powiedz, po co dzwonił Radovic.

– Oczywiście – odpowiedział Münster. – A mogę najpierw zdjąć buty? Mam chyba dziurę w podeszwie... I nie chcę się jeszcze bardziej rozchorować.

– Nigdy nie rozumiałeś, po co się kupuje porządne buty – powiedział Van Veeteren. – Ale proszę bardzo, powieś skarpety na kaloryferze.

I Münster tak zrobił.

– Wydawało mi się, że mówiłeś coś o koniaku.

Tak, pomyślał Van Veeteren. To zdecydowanie nowe czasy.

– Ciekawie by było pogadać z tym młodym Kranskym – powiedział Münster i wziął porządny łyk z dymiącego kubka.

– Młodym jak młodym – odparł Van Veeteren. – Jest mniej więcej w twoim wieku.

– To by się zgadzało – rzekł Münster. – Jak długo go już szukają? Tydzień czy więcej...?

– Tak mi się wydaje – odpowiedział Van Veeteren. – Pamiętaj, że teraz może mieć inne nazwisko, a poza tym nie ma najmniejszej ochoty się ujawnić.

– Jasne – odparł Münster. – Według Radovica ślad po nim zaginął, odkąd wyszedł z więzienia w dziewięćdziesiątym pierwszym.

– Pomijając ten anonimowy list – zaznaczył Van Veeteren – ale to w sumie też dziewięćdziesiąty pierwszy.

– Tak, zakonnica i kochanka w jednym... Radovic z nią rozmawiał.

– Tak podejrzewałem. Ale pewnie niewiele to dało.

Münster skinął głową i wziął łyk.

– To dla niej kłopotliwe, ale starał się być dyskretny.

– Miejmy nadzieję – powiedział Van Veeteren i też się napił. – Ale dlaczego Radovic zwrócił się z tym do ciebie?

Münster uniósł brwi.

– Myślałem, że tak uzgodniliście?

– Co takiego uzgodniliśmy?

– Że będziesz o wszystkim informowany. To oczywiste, że nic nie może wyjść poza policję... No a ja w końcu brałem udział w tej obsuwie.

– To prawda – przyznał Van Veeteren. – I teraz też jesteś w to zaangażowany, tak?

– Mniej więcej – odparł Münster. – I denerwuje mnie, że wciąż uchodzi mu to na sucho. Jeśli ten skurwysyn załatwił pięć osób, to chyba jasne, że trzeba zrobić wszystko, żeby go złapać. Nawet jeśli minęło już tyle lat.

– Masz silne i godne pochwały poczucie sprawiedliwości – skomentował Van Veeteren. – W pełni się z tobą zgadzam.

Münster zrobił lekki grymas.

– I pomyśleć, że minęło już dziesięć lat, odkąd skończyłeś.

– Teoretycznie nawet więcej – sprostował Van Veeteren – tylko że cały czas próbowaliście mnie w coś wciągać. A ja już piętnaście lat temu miałem dość... Gównu mnie obchodzi, czy Radovic ma coś nowego, czy tylko opowiada o tym, co już dobrze wiem...

– Spokojnie – powiedział Münster. – Mam coś w zanadrzu. Ale najpierw parę pytań, jeśli nie masz nic przeciwko?

– Wal. Może jeszcze koniak?

– Chętnie, ale tylko kroplę – odparł Münster. – Tak żeby pozbyć się tego przeklętego przeziębienia.

– Skarpety już schną – rzekł Van Veeteren.

– Dzięki. A więc... Po pierwsze, spotkanie w pensjonacie. Po co się w ogóle odbywało? Jaki powód miał Leopold Kransky... czy ktokolwiek inny... żeby pozbawić życia pięć osób? Na żadne z tych pytań nie udało nam się znaleźć odpowiedzi dwadzieścia lat temu, kiedy myśleliśmy, że chodzi o cztery osoby. I te pytania wciąż pozostają aktualne. A jeśli chodzi o Kransky'ego, to można to powiązać...

– Myślisz o tym porwaniu?

– O porwaniu i morderstwie na Madeleine, tak. Za które siedział za kratkami aż do pożaru i co do którego twierdził, że nie miał współnika. A jeśli jednak był ktoś jeszcze?

– Nie sądzę, żeby działał sam – rzekł Van Veeteren. – Chcesz powiedzieć, że ta pozostała czwórka mańkutów była w to jakoś zamieszana?

– Tak – odparł Münster. – Właśnie to chcę powiedzieć. Radovic ma nowe informacje, które to potwierdzają. Siostry Behrens, obie, i ta, która zginęła, i ta, która przeżyła, dorabiały sobie jako opiekunki Madeleine.

Van Veeteren zaczął się krztusić centylitrem swojej herbaty z koniakiem, ale po chwili udało mu się przełknąć.

– Do diabła! I nikt na to nie wpadł poprzednim razem?

– Bo tak naprawdę nie mieliśmy powodu, żeby to zbadać – powiedział Münster. – Porwania nie łączyliśmy z Kranskym, prawda?

– Zawsze to jakieś usprawiedliwienie – wymamrotał Van Veeteren. – Jak Radovic się tego dowiedział? Że były opiekunkami?

Münster wzruszył ramionami.

– Dokładnie nie wiem. Musiał rozmawiać z kimś z rodziny Madeleine... nie pamiętam, jak się nazywali... albo z kimś, kto ich znał.

– Prawdopodobnie – zgodził się Van Veeteren. – Ale nie rozmawiał z tą siostrą, która przeżyła? Z tą, która nie była zbyt zaangażowana w to ich

stowarzyszenie?

– W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo – odparł Münster. – Właściwie to po co się zakłada takie stowarzyszenie?

– To były jeszcze dzieciaki – powiedział Van Veeteren. – Chłopcy zawsze lubią różnego rodzaju kluby, grupy, stowarzyszenia... Nigdy nie należałeś do żadnego, jak miałeś dziesięć lat?

Münster pokręcił głową.

– O ile dobrze pamiętam, to nie. Może klub kajakowy, ale to było dużo później, więc się nie liczy.

– No tak – odparł Van Veeteren. – O ile się orientuję, do wiosłowania używa się obu rąk, nie tylko lewej... I to była jedyna wiadomość od Radovica? Że siostry Behrens opiekowały się Madeleine? Dobrze, przyznaję, że istnieje prawdopodobieństwo, że ma to jakiś związek, ale nie miał nic więcej?

– Zostało może jeszcze parę kropli?

– A ty przypadkiem nie jesteś na służbie?

– Mam wolne popołudnie.

– To co innego – odparł Van Veeteren i znów nappełnił szklanki.

Münster wypił łyk i poprawił skarpety na kaloryferze.

– Jeszcze z dziesięć minut i będą suche.

– Jeśli o mnie chodzi, to mam dużo czasu – odpowiedział Van Veeteren. – Ale widzę, że masz jakiegoś asa w rękawie. Albo ci się wydaje, że masz. Nie zapomnij, że po tylu latach dobrze cię znam.

– Nie mam nic do ukrycia. – Münster uśmiechnął się i zaczął grzebać w kieszeni marynarki.

Wyjął plik zgiętych na pół kartek, potrzymał je przez chwilę w dłoni i pokiwał głową, zamyślony, jakby jeszcze nie wiedział, co zrobić. Czy pokazać je swojemu dawnemu szefowi i mistrzowi, czy nie... Właściwie to w czym problem, do cholery?

– Co to jest? – Van Veeteren nie chciał być ciekawski czy wścibski, ale sam słyszał, że brzmi jak jakiś dyrektor banku, który właśnie nakrył swojego

księgowego, jak ten okrada kasę.

– Wydruk mejla – odpowiedział Münster. – Z Nowej Zelandii. Dostałem to od Radovica dwie godziny temu, a on dostał to w nocy... U nich jest ładnych parę godzin do przodu. Przynajmniej tak twierdzą ci, którzy tam byli.

Van Veeteren zignorował ten przytyk.

– Brat przyrodni?

– Bingo. To trochę tłumaczy, ale raczej nie wszystko. Najwyraźniej Radovic jest odmiennego zdania, więc dobrze by było usłyszeć twoją opinię. Muszę już lecieć, ale daj znać, jak to przeczytasz i dojdiesz do jakichś wniosków. Mój numer masz.

– Daj mi to i zjeżdżaj – powiedział Van Veeteren i chwycił kartki.

– Pozwól mi najpierw włożyć skarpety i buty – odparł komisarz Münster.

Czy on ma dziury w obu butach? – przyszło do głowy Van Veeterenowi, ale postanowił przemilczeć sprawę.

Listopad 2012, Kymlinge i okolice

Z wyjątkiem pustej werandy domek wyglądał tak jak poprzedniego dnia. Szary i kanciasty, ponury i wciśnięty w skraj lasu. Jakby próbował się ukryć przed wzrokiem świata. Zatrzymali się dziesięć metrów dalej i patrzyli na niego.

– Chciałabyś tu mieszkać? – zapytał Barbarotti.

– O ile dobrze siebie znam, to nie – odparła Backman.

– Ja też nie.

– Ale ciekawa jestem tej twojej wizualizacji. Jeszcze nigdy o czymś tak dziwnym nie słyszałam. Chodziłeś na jakiś kurs czy co?

– Na wiele różnych – odpowiedział Barbarotti. – Ale nie mówmy o tym, dobrze? Skoncentrujmy się na czymś innym. W którym miejscu dokonano morderstwa? Na werandzie czy gdzie indziej?

– Na werandzie – odparła Eva Backman.

– Skąd wiesz?

– Są tam ślady krwi, przynajmniej wczoraj tam były. Poza tym ofiara musiała ważyć ponad osiemdziesiąt kilo, dlaczego więc zabójca miałby ją ciągnąć tylko po to, żeby zostawić w tak widocznym miejscu? Ciało przenosi się po to, żeby je ukryć. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Zgadza się – odrzekł Barbarotti. – A siekiera pochodziła stamtąd. –

I Barbarotti wskazał na małą stertę drewna pod niedbale skleconym zadaszeniem: cztery tyczki wbite w ziemię, a na nich metr kwadratowy blachy falistej. Zaraz obok stał pień.

– Już rozumiem – powiedziała Eva Backman. – Ofiara stoi na werandzie i czeka albo pali papierosa marki Bill, morderca podchodzi do pieńka i zabiera narzędzie zbrodni...

– Raczej Luky Strike albo Chesterfield – poprawił ją Barbarotti. – Ale mógł to zrobić wcześniej... przygotować się i trzymać siekierę w zasięgu ręki. To z kolei oznaczałoby, że morderstwo było zaplanowane, a wtedy musimy wykluczyć zabójstwo w afekcie. Wchodzimy do środka?

Eva Backman kiwnęła głową. Do domku musieli się dostać przy użyciu małego wytrychu, gdyż technicy po wczorajszych oględzinach bardzo skrupulatnie po sobie pozamykali.

Zaczęli od pomieszczenia, które nazywane było sypialnią. Skonstatowali to, co już wiedzieli: że oba wąskie łóżka były pościelone, ale tylko jedno z ich było używane. Morinder, jeden z techników, wczoraj wieczorem poinformował Evę Backman, że wzięli do badania kilka włosów, które nie należały do ofiary, ale prześcieradło i poduszka zostały. Może później je wezmą do analizy, a może technicy zamierzali jeszcze wrócić tego samego dnia; ich metody działania zawsze były owiane tajemnicą, szczególnie odkąd pięć lat temu stery przejął Sigge Morinder. Jednak nie można się skarżyć na rezultaty i efektywność. Jeśli się ich zapyta, odpowiedzą, a brak odpowiedzi oznacza, że nic nie znaleźli. Z reguły.

– Załóżmy, że albo ofiara, albo morderca spędzili tu trochę czasu przed zabójstwem – powiedział Barbarotti. – A ten drugi przyszedł tu pewnie w odwiedziny... Co o tym sądzisz?

– Brzmi sensownie – odparła Eva Backman, otwierając ciężkie drzwi szafy. – O ile nie przyjechali tu razem, żeby się zjeść. Zobacz, Morinder zostawił też ubrania... Może coś by na ciebie pasowało?

Po bliższej inspekcji okazało się, że chodzi o sześć sztuk odzieży, wszystkie męskie. Dwie koszule, brzydkie, niewyprasowane i zniszczone praniem, jedna szarozielona bawełniana marynarka, sweter w serek z dziurami na obu rękawach, szara kamizelka oraz ciemnoniebieska wełniana czapka z pomponem.

– Zdaje się – rzekł Barbarotti – że to rzeczy, których ktoś zapomniał zabrać. Mają różne rozmiary i zupełnie do siebie nie pasują. Myślę, że możemy założyć, że nie należały ani do ofiary, ani do sprawcy.

– Chyba zaczynam rozumieć te twoje wizualizacje... – powiedziała Eva Backman. – Sprawdzamy dalej?

Większy pokój nie sprawiał przytulnego wrażenia. Zupa gulaszowa została zabrana do analizy, podobnie jak butelka z winem i kieliszki. Lodówka była pusta i nieumyta. Nie miało to jednak nic wspólnego z technikami, bo dokładnie tak samo wyglądała dzień wcześniej. Kosz na śmieci pod wąskim blatem był pusty i brudny, sztuczna pelargonia na parapecie zebrała kurz z co najmniej pięciu lat, a ostatni numer tygodnika poświęconego gotowaniu, leżący na jednej z półek, na wierzchu nierównego stosu, pochodził z 2009 roku.

Kabel od telewizora był odłączony. Wzdłuż ściany po obu stronach drzwi leżały mysie odchody.

– Niecierpliwie czekam na ciąg dalszy, Sherlocku – powiedziała Eva Backman, kiedy w milczeniu przejrzała dwie szafki ściennie ze starą porcelaną z Ahlensa, dwie szuflady ze sprzętem kuchennym niewiadomego pochodzenia, w tym kilka brudnych garnków i tłustą patelnię z zepsutą rączką, a także latarkę bez baterii, talię z czterdziestoma dziewięcioma kartami, nieotwartą grę planszową, zdaje się chińczyka, domino, sześć dzierganych ściereczek, wyschnięte resztki jedzenia, metalowy moździerz bez tłuczka, cztery ususzone szare kwiaty w kubeczku na jajka oraz cztery nadgryzione szaro-żółte ołówki marki Staedtler w słoiku, w którym dwadzieścia lat wcześniej musiały być ogórki.

– O nie, nie mogłabym tu mieszkać. Właściwie najchętniej to już teraz, natychmiast bym stąd wyszła, gdyby nie to, że z niecierpliwością czekam na wniosek pana inspektora.

Barbarotti, zanim odpowiedział, podrapał się po głowie i rozejrzał dookoła.

– Co to jest? – I wskazał na coś wystającego między dwiema niepomalowanymi listwami.

Było niedużo większe niż mucha i tkwiło pod sufitem nad piecykiem. Eva Backman włożyła gumowe rękawiczki, stanęła na palcach i chwyciła przedmiot.

– Szpilka – stwierdziła. – Taka sama, jaką mężczyźni noszą w butonierce. Niektórzy mężczyźni.

Dokładnie ją obejrzała i podała Barbarottiemu. Faktycznie, to była mała, zielona, emaliowana szpilka z trójkątną główką na miedzianej pięciocentymetrowej nóżce. Główka była wielkości paznokcia małego palca i miała wygrawerowane trzy czerwone litery SSS.

– Tak – powiedział Barbarotti. – To szpilka z jakiegoś klubu... sportowego czy coś w tym stylu.

– Może masońska? – próbowała zgadywać Eva Backman. – Chociaż oni są na ogół zamożni... Ostoja społeczeństwa, o ile dobrze rozumiem. Ten typ ludzi nawet nie bywa w takich miejscach.

– Nie możesz tak myśleć – zaprotestował Barbarotti. – Pamiętaj, co nasz szanowny szef powiedział dzisiaj rano... Trzeba rozszerzyć zakres poszukiwań. Najmniejszy nawet ślad może być wart złota.

Eva Backman uśmiechnęła się. Podeszła i pocałowała go w policzek.

– Okej, mój książę. Zaopiekuj się więc tym arcyważnym elementem układanki i chodźmy stąd. Nie sądzę, żebyśmy dzisiaj działali coś więcej.

– Jesteś moją ulubioną współpracownicą. I to we wszystkim – odparł Barbarotti i włożył szpilkę do plastikowego woreczka. – Stigman może się teraz wypchać.

– Wspaniale – powiedziała Eva Backman. – Chyba ze czterdzieści lat nie słyszałam, żeby ktoś używał tego powiedzenia.

– Najwyższy czas – odparł Barbarotti. – Wyjdźmy już wreszcie na świeże powietrze.

Na świeżym powietrzu natknęli się na furgonetkę, w której siedział Morinder i jego dwóch ludzi.

– Co za niespodzianka... Odwiedzamy miejsce przestępstwa, co?

Morinder był znany z pewnego rodzaju uszczypliwości, niektórzy nawet twierdzili, że ma to związek z jakąś chorobą, która mu doskwiera. Że męczą go hemoroidy czy jakaś inna dolegliwość w jego prawie dwumetrowym ciele, ale ani Barbarotti, ani Eva Backman nie wiedzieli dokładnie, co to jest. Może po prostu był złośliwy.

– A czego wy szukacie? – zapytał Barbarotti.

– Wykonujemy tylko polecenia służbowe, jak zawsze – odparł Morinder i wsunął grudkę snusu pod wargę. – Może trzeba będzie sprawdzić wychodek, a może jakiś inny drobiazg nas zainteresuje...

– Czyje polecenie? – zapytała Eva Backman.

– A jak myślisz? – parsknął Morinder.

– Stigman, jak się domyślam – powiedziała Backman. – A jak sytuacja na froncie odcisków palców?

– Mamy ich sporo, dziękuję – odparł Morinder. – Od dziewiętnastu osób, żeby być dokładnym. Przynajmniej jak dotąd.

– Włącznie z ofiarą?

– Zgadza się. Nie został zabity gdzieś w lesie, a potem podrzucony na werandę...

– A jego było dużo? – zapytał Barbarotti.

– Odcisków palców?

– Tak.

– Sporo.

– W sypialni też?

– Nie.

– No tak – odpowiedziała Eva Backman.

– Nie wiem, co pani inspektor ma na myśli, mówiąc „No tak” – odparł Morinder – ale nie możemy tu stać i tracić czasu. A wy pewnie wybieracie się na

kawę?

– Powodzenia z wychodkiem – powiedział Barbarotti. – Wydaje mi się, że znajdziecie go tam, za szopą.

Sigge Morinder odwrócił się do niego plecami, nie dziękując za tę informację.

– Dowcipniś z niego – skwitowała Eva Backman trzy minuty później, kiedy już wsiedli do samochodu. – Trochę mi przypomina faceta, który przez dwadzieścia lat był moim mężem. Gdzie masz tę szpilkę?

Barbarotti wyciągnął ją z kieszeni koszuli, a Eva Backman ostrożnie wyjęła z plastikowej torebki.

– Taka mała, że nawet nie można jej schwycić – narzekała. – Ale... nigdy nic nie wiadomo.

– Święta prawda – zgodził się Barbarotti i wjechał na drogę prowadzącą do miasta. – Równie dobrze to może być seryjny morderca, który zostawia małe szpilki na miejscu zbrodni, bo chce być złapany. Słyszałem już o takich.

– No to wpadłeś na właściwy trop – powiedziała Eva Backman.

– Wiem. Kierują nim jego wewnętrzne demony i nie marzy o niczym innym, jak tylko o... przyznaniu się do wszystkiego kapelanowi więziennemu i otrzymaniu rozgrzeszenia. Prawdopodobnie ma na swoim koncie trzydzieści pięć ofiar, a ja miałem cholerne szczęście, że udało mi się znaleźć ten brakujący element układanki.

– Nieprzypadkowo to byłeś ty – rzekła Eva Backman. – Podziwiam twoją skromność, ale co według ciebie znaczą te litery, SSS?

– Smakuje Starą Skarpetą? – zaproponował Barbarotti.

– Nie. Raczej Stowarzyszenie Smętnych Seksoholików – odparła Eva Backman. – Musimy o tym porozmawiać ze Stigmanem, jak będziemy na miejscu. I gwarantuję ci, że natychmiast da nam podwyżkę.

– Nie sądzę, żeby to Stigman zajmował się naszymi pensjami. Ale ponieważ mamy tu do czynienia z seryjnym mordercą, to myślę, że...

Zanim jednak Barbarotti zdążył rozwinąć swoje zawile rozumowanie, zadzwoniła komórka Ewy Backman. Na ekranie wyświetlił się „Smutas”. Kobieta uniosła rękę i uciszyła eksperta od wizualizacji. Potem w pełnym skupieniu, bez zbędnych komentarzy, słuchała, powtarzając jedynie „rozumiem”, „ach tak”, „o jasny gwint”, „bardzo dziwne” oraz „a co to oznacza?”. I tak przez co najmniej osiem irytujących minut. Barbarotti próbował jej pokazać na migi, by włączyła głośnik, żeby on też mógł posłuchać, co to za sensacyjne informacje miał inspektor Borgsen, ale niestety nie został zrozumiany. Musiał więc się zadowolić prowadzeniem samochodu i westchnieniami. Kiedy mijali tory kolejowe w Lindhagen, Eva Backman skończyła rozmowę i zaczęła mu ją streszczać.

– Birgitte Behrens ma dość specyficzną przeszłość, o tym głównie mówił. A raczej smutną.

– Też chciałem posłuchać.

– Przepraszam, nie pomyślałam. Mamy informację z Maardam, że nasza zaginiona pielęgniarka była zamieszana w spektakularną sprawę dwadzieścia lat temu.

– Maardam?

– Tak, w okolicy Maardam, ale zawsze. W małej miejscowości Oosterby... jeśli dobrze zrozumiałam... w pensjonacie zostało zamordowanych pięć osób, między innymi siostra Birgitte Behrens.

– W Oosterby?

– Tak.

– Pięć osób?

– Najwyraźniej. Jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego. Ale najciekawsze jest to, że parę tygodni temu śledztwo zostało wznowione. Właśnie wtedy znaleźli piątą ofiarę... Czworo zostało spalonych, piąty zabity, o ile się nie mylę. Sprawa była wtedy bardzo głośna, co rozumiałe... No a teraz stoimy nad ciałem przykrytym plandeką pod lasem nad jeziorem Vandel.

W domku, który wynajmowała Birgitte Behrens. Siostra jednej z ofiar. Warto się nad tym zastanowić.

– Masz rację – zgodził się Barbarotti. – Maardam? Pamiętasz, byliśmy tam kilka lat temu?

– Ante Valdemar Roos, tak, pamiętam – odpowiedziała Eva Backman. – Który zniknął jak kamfora... I jeszcze ta dziewczyna... Jak ona się nazywała?

– Anna – odparł Barbarotti. – Anna Gambowska. Spotkałem ją w zeszłe wakacje. Nie mówiłem ci? W Sztokholmie. Ale to już zupełnie inna historia. Co robimy teraz?

Eva Backman spojrzała na zegarek.

– Spotkanie ze Stigmanem za dziesięć minut. A co myślałeś?

Listopad 2012, Maardam

Jeszcze raz sprawdził, czy drzwi są zamknięte i czy wywiesił tabliczkę „Zamknięte”, a potem zaczął czytać list skierowany do komisarza Radovica:

Szanowny Panie,

Pańską prośbę potraktowałem bardzo poważnie, dlatego też postanowiłem opowiedzieć wszystko, co wiem. Nazywam się Poul Hansen i jestem młodszym bratem Molly Hansen. A raczej bratem przyrodnim, dużo młodszym. Molly urodziła się w 1930 roku, a ja w 1942. Mamy tę samą matkę, ale różnych ojców. Ojciec Molly zginął na wojnie, wydaje mi się, że wiosną 1940 roku, w każdym razie w 1941 nasza matka powtórnie wyszła za mąż, za mojego ojca. Podejrzewam, że była już w ciąży, kiedy się pobierali.

Różnica wieku między mną a moją siostrą była za duża, żebyśmy mogli wychowywać się jak rodzeństwo. Molly wyprowadziła się z domu, kiedy ja miałem sześć lat, mieszkaliśmy wtedy na Assenaarstraat w Oosterby. Wtedy też zostawił nas ojciec. Był młodszy od matki i właściwie prawie nie miałem z nim kontaktu. Matka była już po czterdziestce, kiedy się urodziłem, a zmarła, kiedy miałem piętnaście lat. Ale zapewne nie to Pana interesuje.

Wydarzenia, o które Pan pyta, miały miejsce w 1947 i 1948 roku. Trochę dużo tu różnych dat i liczb, za co z góry przepraszam. Dość wcześnie zrozumiałem, że stosunki między moją matką a siostrą nie

były najlepsze. Molly była piętnastolatką o dość buntowniczym temperamencie. Sam mam dwie córki, więc wiem, co to znaczy. Często się kłóciły, moja matka i siostra, i jeśli jest coś, co najlepiej zapamiętałem z dzieciństwa, to właśnie te ich ciągłe sprzeczki. Krzyczały na siebie i często zdarzało się, że wieczorami Molly znikła z domu, trzaskając drzwiami, aż było słychać w każdym pomieszczeniu. Podejrzewam, że wszyscy sąsiedzi wiedzieli, co się u nas dzieje, ale nikt nigdy nie zwrócił nam uwagi. Byłem wtedy mały, nie chodziłem jeszcze nawet do szkoły, więc nie pamiętam szczegółów, może poza tym, że w takich chwilach chowałem się pod łóżko z kocem i poduszką. W każdym razie mam w pamięci taki obraz: leżę skulony pod łóżkiem i czekam, aż awantura się skończy.

Jednym z powodów tych awantur było to, że Molly często wieczorami przebywała poza domem, co matce się nie podobało i czego próbowała jej zabraniać, zresztą bez powodzenia. W tamtych latach, tuż po wojnie, niedaleko Oosterby stacjonował oddział wojsk amerykańskich, więc w mieście roiło się od żołnierzy z „over there”, jak to się wtedy mówiło. Dziewczyny nie marzyły o niczym innym, jak tylko o flirtowaniu z przystojnymi młodzieńcami, którzy mieli kieszenie pełne gumy do żucia, coca-coli i prawdziwych amerykańskich papierosów. No i dolarów. Moja siostra, bez wątpienia, była jedną z tych dziewczyn.

Wtedy jeszcze zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy, byłem po prostu za mały. Dopiero kilka lat później, kiedy miałem jedenaście czy dwanaście lat, zacząłem rozumieć, co się dzieje, choć niespecjalnie mnie to interesowało. Wpuszczałem to jednym uchem, a wypuszczałem drugim, krótko mówiąc: moja siostra zaszła w ciążę z jednym z tych amerykańskich żołnierzy. W tym samym czasie wyprowadziła się z domu, nie wiem dokładnie gdzie, ale z całą pewnością gdzieś w okolicy Oosterby. Jakimś przedziwnym sposobem udało jej się ukryć,

że jest w ciąży... Może ojciec dziecka jej w tym pomógł, jednak kiedy nadszedł czas porodu, on już wrócił do Ameryki. Co się stało z dzieckiem – nie wiem. Jako że nikt nigdy go nie widział, możliwe były dwa wyjścia: albo zmarło podczas porodu, albo je gdzieś zostawiła. Dopiero kiedy dostałem list od Pana, Drogi Komisarzu, zrozumiałem, co się musiało wydarzyć. Po prostu zostawiła je w klasztorze.

Od dawna wiem natomiast, że ojciec dziecka zachował się bardzo porządnie. Musiał utrzymywać kontakt z Molly i musiał być dobrze sytuowany. Po śmierci matki, zanim jeszcze wyprowadziłem się do Aarlach i zacząłem studia, mieszkałem kilka miesięcy z Molly w jej pensjonacie. Pewnego razu, kiedy siedzieliśmy i rozmawialiśmy, Molly trochę się upiła i wygadała się, skąd miała pieniądze na pensjonat. Twierdziła, że zakochał się w niej pewien Amerykanin, który obiecał jej, że wróci i wtedy wezmą ślub. Chciał razem z Molly prowadzić hotel, dlatego wysyłał jej pieniądze na kupno miejsca nadającego się do tego typu działalności. Więc to zrobiła. Jeszcze przed wojną mieścił się tu Hotel Huijvers, ale w trudnych wojennych czasach został zamknięty i dopiero koło roku 1952 czy 1953 moja siostra znów go otworzyła. Przypuszczam, że ludzie zadawali sobie pytanie, skąd Molly wzięła na to pieniądze, ale, jak już wcześniej pisałem, w czasach, kiedy mieszkałem w Oosterby, zupełnie mnie to nie interesowało.

Mimo iż byłem wtedy młody i niedoświadczony, czułem, że w opowieści Molly o bogatym Amerykaninie czegoś brakuje. Więc kiedy przypadkiem wymsknęło jej się coś o dziecku – nie pamiętam przy jakiej to okazji – przypomniało mi się, że już kiedyś o tym słyszałem. Pamiętałem jak przez mgłę. Że między moją siostrą a jakimś amerykańskim żołnierzem coś się wydarzyło. Że bardzo niechętnie się o tym mówiło, a już na pewno nie z moją matką.

Po wyprowadzce do Aarlach już nigdy więcej nie przyjechałem do Oosterby. I przez te wszystkie lata mieliśmy z Molly bardzo

sporadyczny kontakt. Pod koniec lat sześćdziesiątych firma, w której pracowałem, wysłała mnie do Nowej Zelandii i to tu spotkałem moją żonę, założyłem rodzinę i to tu do dzisiaj mieszkam. Oczywiście znam tę straszną historię, która się wydarzyła we wrześniu 1991 roku, ale jak wszyscy sądziłem, że sprawca został złapany, a dochodzenie zamknięto. Jeśli chodzi o syna Molly, to nic o nim nie wiem. Zapewne jest Pan ciekawy, czy Molly miała z nim jakiś kontakt, kiedy mieszkał w klasztorze i później, ale niestety i to pytanie muszę zostawić bez odpowiedzi. Nie mam pojęcia.

I to najgorsze: czy on albo Molly mieli coś wspólnego z tym okropnym pożarem? Nie, modlę się do Boga, żeby to nie okazało się prawdą. Byłoby to straszne. Ale jeszcze raz muszę powiedzieć: nie wiem. Bardzo prawdopodobne, że wiele lat temu moja siostra oddała dziecko do klasztoru pod opiekę zakonnicy, ale z całą resztą, obawiam się, nie będę mógł Panu pomóc. Jeśli ktoś inny, czy też Pan sam, dowie się czegoś więcej, będę bardzo wdzięczny za informację.

Z poważaniem

Poul Hansen

Wellington, 31 października

PS Stowarzyszenie Leworęcznych? Nigdy o nim nie słyszałem.

Van Veeteren przez resztę popołudnia przesiedział w fotelu w kanciapie. Wysłuchał sześciu suit na wiolonczelę i próbował czytać o Bavinku i Koekebakkerze, zatopił się jednak w rozmyślaniach. Rozmyślaniach i pytaniach.

Czy faktycznie tak było? Czy to wszystko trzyma się kupy? Molly Hansen jest matką Leopolda Kransky'ego, tego, który wrócił do Oosterby, żeby się zemścić na pięciu członkach Stowarzyszenia Leworęcznych, i wybrał do tego

pensjonat swojej matki – a zatem musiał wiedzieć, skąd pochodzi. Gdzie są jego korzenie. Ci, którzy spłonęli, musieli mieć coś wspólnego z tym porwaniem i morderstwem, które pozbawiło go wolności na ponad dwadzieścia lat.

Czy to tak wyglądało? Czy taki jest wynik tego ponurego równania? Na to wygląda, trudno znaleźć inne wytłumaczenie. Ale pozostaje jeszcze jeden znak zapytania, a mianowicie rola Molly Hansen. Czy wiedziała, kim jest Leopold Kransky? Jedynym sensownym wytłumaczeniem jest to, że wiedziała. A zatem czy była świadoma tego, co się miało wydarzyć owego wrześniowego popołudnia dwadzieścia jeden lat temu?

Dobre pytanie. Cholernie dobre pytanie. Van Veeteren próbował przywołać obraz tej zniedołężniałej, trochę agresywnej, trochę otępiełej kobiety w domu starców Jesienne Słońce. Która kiedyś, przed laty, przespała się z amerykańskim żołnierzem i tym samym zniszczyła sobie życie. Nigdy nie wyszła za mąż, nigdy nie miała więcej dzieci, a jedyne, co jej zostało, to ten pensjonat. No i na koniec, jako wisienka na torcie, ten makabryczny finał: pożar we wrześniu 1991 roku. Wzniesiony przez jej syna, którego urodziła i którego natychmiast się wyrzekła.

Podsumowanie życia?

Tak to można nazwać. Ale takie posumowania mają to do siebie, że mogą być opisane z różnych punktów widzenia (czy nie tak jak u Nescia?), stąd pewna dowolność. Coś na kształt błędu obserwatora, który nie zna specyficznego znaczenia poszczególnych elementów układanki.

Jednak główne znaczenie pozostało niezdefiniowane, a mianowicie pytanie: czy Molly Hansen była w zмовie ze swoim synem? Czy tę prawdę skrywa głęboko w swojej spowitej mgłę niechęci? Czy może to jej otępienie to tylko maska?

A co z wypłatą ubezpieczenia po pożarze? To również niebezzasadne pytanie – które prawdopodobnie zostało zadane i uzyskało odpowiedź już wtedy, kiedy on i Münster w 1991 roku pojechali do Oosterby. Ale Van Veeteren tego nie pamiętał. Jeśli się uczestniczy w dziesiątkach śledztw o morderstwo, to raczej

niemożliwe, aby pamiętać szczegóły jednego z nich. Zwłaszcza jeśli niedługo będzie się miało setkę na karku.

Ale może Münster coś pamiętać?

Może do niego zadzwonić? Tylko tak, żeby nie wypaść nazbyt natarczywie... Wprawdzie Münster jest rozwiedziony, ale mieszka z nową kobietą, więc może lepiej nie przeszkadzać? Ale co prywatne życie kolegi ma do całej sprawy?

Błądząc myślami po manowcach, Van Veeteren zauważył, że zaczyna tracić wątek. Pytania, które mu się kołatały po głowie, wydawały się coraz luźniej związane z tematem. Najważniejsze, by dorwać tego przekłętego Leopolda Kransky'ego, a potem to już pestka! O to teraz głównie chodzi, o nic innego. Dopiero kiedy on znajdzie się za kratkami, będzie można szukać odpowiedzi na pozostałe pytania.

Sprawca nazywa się Kransky – to było wiadomo, odkąd poznali treść listu zakonnicy, czyż nie? W każdym razie tak się kiedyś nazywał ten bezimienny podrzutek – ale, jak sam mistrz detektywów podkreślał parę dni temu, prawdopodobieństwo, że obecnie nazywa się tak samo, wynosi jeden do stu.

Gdzieś w całej tej historii pojawiło się jednak zupełnie inne nazwisko. Volker Hermann.

Kim, do cholery, był Volker Hermann?

Van Veeteren potrzebował dziesięciu sekund, żeby sobie uświadomić, że to wszystko przypomina opis Leona Rappaporta, jak dokonują się odkrycia matematyczne. Zrozumienie prawdy... Wstęp do *Determinanty*... Tak, dobrze to pamięta.

Listopad 2012, Kymlinge

Stig Stigman poprawił krawat i zaczął przeglądać swoich oddziałów.

Składały się z tych samych osobników co podczas porannego spotkania, z pominięciem pani prokurator, a więc: inspektorzy Barbarotti, Backman, Borgsen i Toivonen oraz aspiranci Wennergren-Olofsson i Spjuth. I w owym składzie najwyraźniej było coś, co powodowało, że komisarz przyjął lekko zde gustowany wyraz twarzy. Trochę jak trener reprezentacji narodowej, który nagle dowiaduje się, że siedmiu jego zawodników nie zagra w wieczornych eliminacjach do Mistrzostw Europy.

Gunnar Barbarotti miał podobną refleksję, czekając na rozpoczęcie zebrania. Stigman lubił, gdy na pięć, sześć minut przed każdym spotkaniem zapadała cisza. Za tym trikiem krył się prawdopodobnie jakiś ukryty cel, przypuszczalnie wyuczony podczas czterodniowego kursu dla nowoczesnych menedżerów w jakimś miłym, zabytkowym pałacyku w Dolinie Mälaren. W ramach dyskretnego protestu Eva Backman: a) ziewnęła szeroko, b) wysmarkała nos i c) ziewnęła jeszcze raz. Z kolei Barbarotti ze zmarszczonym czołem studiował uważnie swoją wyłączoną komórkę i snuł własne rozmyślenia.

– A więc tak, panie i panowie – zaczął Stigman. – Prawdopodobnie sytuacja nieco się zmieniła. Powtarzam: prawdopodobnie. Rozumiem, że nie macie doświadczenia w pracy ponad granicami, ale może się okazać, że mamy do czynienia z... – dwusekundowa pauza – ...komplikacjami natury międzynarodowej. Komplikacjami natury międzynarodowej. Tak więc musimy zewrzeć szeregi. Nie wiemy jeszcze, kim była ofiara, i nie mamy przestępcy.

Związek z Birgitte Behrens stanowi tylko cienką nić, nic więcej, i chcę, żebyście o tym pamiętali.

– Czy możemy poznać trochę więcej szczegółów dotyczących tych „kompliakcji natury międzynarodowej”? – zapytał Toivonen, który najwyraźniej był jeszcze mniej wtajemniczony niż Barbarotti. – Czy chodzi o tę kobietę ze śledztwa wieki temu?

– Dwadzieścia jeden lat temu – poprawił go Stigman ze złośliwą precyzją. – Wrzesień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego... I żeby nikt nie pominął żadnego szczegółu, zresztą dla każdego przygotowałem krótki raport. Słowo w słowo, jak to opisali koledzy z Maardam, po angielsku. Czy ktoś ma problemy z angielskim?

Mój jedyny problem teraz to mój szef, pomyślał Barbarotti. Stanął na mojej drodze ku wiedzy.

Stigman rozdał raport i zarządził pięć minut przerwy na zapoznanie się z jego treścią. Pięć minut.

Nie było w nim nic ponad to, co Eva Backman opowiedziała Barbarottiemu w samochodzie, podkreślono jedynie, że Birgitte Behrens nie była szczególnie aktywna w Stowarzyszeniu Leworęcznych. Clara natomiast, która zginęła w pożarze we wrześniu 1991, była pełnoprawnym członkiem, podobnie jak pozostała czwórka.

To naprawdę makabryczna i trudna do pojęcia historia.

W pensjonacie U Molly grupka znajomych zorganizowała sobie spotkanie po latach, które skończyło się tym, że pięć osób straciło życie. A precyzyjniej mówiąc, zostało zamordowanych. Sprawca wciąż pozostawał na wolności, ale mieli podejrzanego, poszukiwanego listem gończym w całej Europie. W ostatnim miesiącu sprawa przybrała nowy obrót, gdyż znaleziono ciało piątej ofiary, o której sądzono dotąd, że była sprawcą. Ona też, precyzyjnie mówiąc, została zamordowana. Birgitte Behrens niewiele miała wspólnego z całą sprawą, najprawdopodobniej zupełnie nic, jednak straciła w pożarze siostrę, poza tym

znała trochę ten dziwny klub – Stowarzyszenie Leworęcznych. Działo ono w latach sześćdziesiątych, a więc ponad dwadzieścia lat przed pożarem. Niewiele wiadomo o życiu Birgitte Behrens od 1991 roku aż do dzisiaj, czyli do października 2012. Po śmierci siostry kilka miesięcy spędziła w zakładzie psychiatrycznym, następnie pracowała w szpitalu w Sorbinowie i w Maardam, ale w roku 2000, z nieznanych powodów, wyjechała do Szwecji.

– Niewiele tego – podsumował Wennergren-Olofsson i wsunął na czoło swoje nowe okulary w dokładnie taki sam sposób, jak to robił w telewizji jego idol kryminalistyki. – Nie widzę tu związku z naszą ofiarą w Vandelbo.

– Nie wszystkie związki muszą być takie oczywiste – skonstatował filozoficznie Smutas i westchnął posepnie. – Istnieje natomiast oczywiste powiązanie między panną Behrens a naszym trupem.

– Święta prawda – powiedział Stigman. – Mamy odciski palców. Prawdopodobnie pomieszkiwał u niej przez jakiś czas. Przynajmniej w tym przypadku sąsiad się na coś przydał. Bengalpramavatna... gdyby ktoś zapomniał, jak się nazywa. Ben-gal-pa-ma-vat-na.

– Sören – dodał Barbarotti.

– A więc przyjmijmy hipotezę, że miał rację co do ofiary – powiedziała Eva Backman.

– Kostadina, o ile dobrze pamiętam, tak?

– Co za idiotyczne nazwiska – stwierdził Wennergren-Olofsson, który sam, aby się podpisać, potrzebował pół metra papieru. – Widać, że pracujemy ponad granicami. Ostrożna teoria byłaby taka, że ten Kostandino to właściwie...

– Kostadino – poprawiła go Eva Backman. – Dałeś jedno n za dużo.

– Bez znaczenia – odparł Wennergren-Olofsson. – Moja teoria jest taka, że...

– Teorie chowamy teraz do szuflady – przerwał mu Stigman i postukał długopisem w stół. – Od naszych kolegów z Maardam mamy informację à propos Kostadina... Być może to tylko ciekawostka, ale mimo wszystko... Pracował z nimi policjant kryminalny o takim imieniu. Kostadino Miller... w latach osiemdziesiątych... A ponieważ nie jest to częste imię w żadnym

języku, to łatwo je zapamiętać. Przynajmniej zapamiętał je komisarz Münster, który jest moim kontaktem i informatorem. Być może to bez znaczenia w tym kontekście, ale stoimy przed skomplikowaną sprawą, więc musimy...

– Poszerzać zakres poszukiwań – wystrzelił Toivonen, prawdopodobnie wykorzystując małą pauzę w wystąpieniu Stigmana. – W takim razie co dalej? Panna Behrens powinna się pojawić i wyjaśnić kilka kwestii. Najchętniej przyznać się, żebyśmy mogli to już odłożyć do akt. Czy wiemy coś o miejscu jej pobytu?

– Niestety nie – odparł Stigman i odchylił się na krześle. – Ale mam pewien plan. Zgodny z tym, co sugerują koledzy z Maardam. Przedyskutowałem to z komisarzem Münsterem tuż przed naszym spotkaniem i zgadza się ze mną.

– Plan? – zapytała Eva Backman. – Ekscytujące.

Stigman popatrzył na nią przez trzy sekundy i kontynuował:

– Wyślemy do nich dwie osoby – powiedział. – Współpraca zawsze układa się lepiej, kiedy ma się kontakt osobisty. Dwie osoby, ni mniej, ni więcej. Uwierzcie mi, mam w tym trochę doświadczenia.

Świetnie, pomyślał Barbarotti. To krzepiące, że w tym pokoju jest przynajmniej jeden gliniarz, który ma trochę doświadczenia.

– Ja odpadam – powiedział aspirant Spjuth, który milczał przez całe spotkanie. – Żona kończy w sobotę trzydzieści lat i zaprosiliśmy pięćdziesiąt osób. Byłaby...

– Nie, nie ty – przerwał mu Stigman. – Nie ty. Barbarotti i Backman. Lecicie jutro po południu... jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy. Dwa, trzy dni, a potem zobaczymy.

– Ale ja mam dzieci... – spróbował jeszcze Barbarotti.

– Nastoletnie, prawda? – odparł Stigman. – Jakoś to musisz rozwiązać.

– Jasne – burknął Barbarotti. – Obowiązek ponad wszystko. Dziękuję za zaufanie.

Komisarz Stigman przeszył go wzrokiem. Następnie wstał i ogłosił, że spotkanie dobiegło końca, ale Barbarottiego i Evę Backman poprosił, aby poszli

z nim przedyskutować szczegóły.

Zatrzymał się na skraju lasu, jak to często robił po śmierci Marianne. Zgasił silnik i przez chwilę patrzył na starą drewnianą willę, na dziki sad pełen jabłoni, prawie zupełnie ogołoconych i ciężkich od wilgoci o tej porze roku, na zatokę i na ciemną wodę. Było wpół do szóstej i prawie zupełnie ciemno, ale Barbarotti doskonale wiedział, gdzie co się znajdowało. Krzaki porzeczek, szklarnia. Zegar słoneczny, którego nigdy nie naprawił. Pomost i podparty dąb.

Przepracowywał żałobę, właśnie to teraz robił. Na kilka minut pozwolił sobie, tak jak polecił mu jego terapeuta Rönn, wejść we własny smutek całym sobą. Doświadcział go zwłaszcza tu, w tym miejscu, gdzie otwierał się krajobraz i ukazywał dom. To tutaj razem się wprowadzili i tutaj mieszkali przez te kilka lat, które dostali od losu. Które były im dane. To tutaj było ich miejsce na ziemi, tak, bez najmniejszych wątpliwości – już zawsze będzie łączył Marianne z tą willą nad jeziorem.

Nie ma również wątpliwości co do tego, że pewnego dnia i on się stąd wyprowadzi. Kiedy ich gromadka dzieci dorośnie. Prawdopodobnie na dobre wyjedzie z Kymlinge, tak mu się wydaje, i w tym najlepszym ze światów zwiąże się z Evą Backman. Już o tym rozmawiali podczas podróży po Europie, na razie pół żartem, pół serio. I jeśli nawet to było tylko maleńkie światełko w tunelu, to jednak światełko...

Siedział w samochodzie i rozmawiał z Marianne i z Panem. Właściwie było to jedno i to samo, bo zakładał, że obecnie oboje znajdują się w tym samym miejscu. „Pan jest moim pasterzem”, tak brzmiały słowa modlitwy, którą odmawiał również i tego wieczoru; bardziej dotyczyła dzieci tam, w domu – jego własnych i Marianne – niż jego samego.

Uchroń mnie od wszelkiego zła świata, jeśli masz czas i ochotę, ale jeśli miałbyś wybierać, o Mój Panie, to pamiętaj, że to one są najważniejsze!

„Wiem”, wydało mu się, że Pan mu odpowiedział. „Dziękuję, że mi o tym przypominasz”.

Dwoje najstarszych wyfrunęło już z domu, Sara i Johan, ale wracali z dużą regularnością. Zupełnie z własnej woli, jak mu się wydawało. I miał nadzieję, że któreś z nich albo oboje i tym razem to zrobią. Kiedy będzie musiał jechać w podróż służbową do Maardam. Trojga nastolatków między czternastym a siedemnastym rokiem życia nie można jeszcze było nazwać trzema mędrkami, i to pod żadnym względem. Żadnym. Już sobie wyobraża, jak w gazetach pojawią się tytuły, że willa spłonęła, podczas gdy ich opiekun, w dodatku policjant i ostoja społeczeństwa, wyjechał sobie za granicę, zostawiając dzieci na pastwę losu.

I tak oto myśli zawiodły go nagle do innego pożaru. Jak nazywało się to miejsce? Oosterby? Pensjonat U Molly?

Tak, właśnie tak.

Stowarzyszenie Leworęcznych?

Okropne, pomyślał, zapalił silnik i powoli zaczął pokonywać ostatnie sto metrów, które dzieliły go od domu.

Niewyobrażalne.

Ale to minie. A z pomocą inspektor kryminalnej Evy Backman i Barbarottiego z Kymlinge sprawa oczywiście się rozwiąże i znajdą się odpowiedzi na wszystkie pytania.

To pewne jak amen w pacierzu.

Listopad 2012, Berlin

Volker Hermann planował ten napad od miesiący.

A dokładniej mówiąc, ta myśl pojawiła się u niego jakoś latem, ale na poważnie dojrzała w połowie września. Mniej więcej pięć, może sześć tygodni temu. Bez pracy był od piętnastego maja, kiedy ten gnój Ali zwinął tę swoją głównianą restaurację w Wilmersdorfie i uciekł. Z pensjami czterech mężczyzn i jednej kobiety o imieniu Eivor, Norweżki, trzydzieści lat młodszej od Alego i trzydzieści kilo lżejszej niż jego żona Belladonna. A ponieważ okazało się, że czynsz za restaurację Sambesi nie był płacony przez ostatnie osiem miesięcy, prawdopodobieństwo, że się znów pojawi, było niewielkie. Poczł pismo nosem.

Volker Hermann pracował w Berlinie jako kucharz w ośmiu różnych restauracjach, odkąd to na początku 2000 roku przeprowadził się do tej metropolii po separacji z Rigi, jedyną kobietą, z którą żył w związku przypominającym małżeństwo. Przynajmniej w naszych czasach. Wynajął w Neuköln ciasne mieszkanie. Z czysto finansowych powodów dzielił je z nierozumianą polską artystką, która nie mogła wyżyć ze swojego malarstwa, dlatego handlowała lekkimi narkotykami na Dworcu Zoo.

Volker bywał już wcześniej bez pracy. I bez pieniędzy, co zdaje się wpisane w życie, jeśli ktoś nie był w czepku urodzony. Jednak w jego przypadku było zdecydowanie inaczej. Skończył już sześćdziesiątkę i wkurzało go, że życie wciąż tak sobie z niego kpi. Był tym po prostu zmęczony, lata zrobiły swoje. Czy spokojna i wolna od problemów starość to za dużo po życiu pełnym bolesnych upadków?

Najwyraźniej tak. Bo w życiu nie ma nic za darmo. Trzeba wziąć sprawy w swoje ręce – zawsze tak było i tak będzie.

Chwilowo chodziło o mały rabunek, który utrzymałby go na powierzchni przez jakiś rok, przynajmniej, a w najlepszym razie dwa albo trzy lata. Ale... nie chwálmy dnia przed zachodem słońca.

Ofiara nazywała się Lewenthal. Przynajmniej takie nazwisko było wygrawerowane ozdobnymi literami na szklanych drzwiach butiku z biżuterią. Volker mijął go wiele razy, a dwukrotnie był w środku – na rekonesans. Dla pewności, w odstępie kilku tygodni i w różnym przebraniu. Udawał, że szuka czegoś dla żony na dwudziestą piątą rocznicę ślubu czy coś w tym stylu. Miał tę gadkę przygotowaną w głowie na wszelki wypadek, gdyby padło takie pytanie, co się dotychczas nie zdarzyło. Za każdym razem chudy właściciel butiku, z wypolerowaną na błysk łysą głową i w zielonkawych okularach, siedział za kontuarem na wysokim taborecie i milczał. Ledwo raczył spojrzeć na swojego klienta, może po prostu domyślał się, że żadnego interesu z nim nie ubije.

Naprzeciwko ciasnego butiku z biżuterią na Goltzstrasse znajdowała się kawiarnia i to właśnie tutaj, przy samym oknie, z doskonałym widokiem na ulicę, Volker Hermann spędził wiele popołudni na obserwacjach i układaniu planu. Lewenthal nie miał zbyt wielu klientów, jednego czy dwóch na godzinę, i prawie zawsze byli to mężczyźni, nieco zdeprawowani, roztaczający wokół siebie coś w rodzaju zwietrzałości. Było oczywiste, że Lewenthal niezupełnie ma czyste sumienie; handlował kradzionym towarem różnego pochodzenia. Volker Hermann zaś miał głowę na karku i umiał dodać dwa do dwóch. „Skup i sprzedaż. Tylko gotówka”, tak było napisane odręcznie w oknie wystawowym, no to przecież z góry wiadomo, o co chodzi.

Gotówka. Wkrótce w ogóle nie będzie się jej używać... To wspaniałe marzenie, że w jakimś małym, anonimowym hoteliku w wielkim mieście otworzy się walizkę pełną pieniędzy... tak, już za kilka lat przejdzie do historii.

Niewyobrażalnej i niezrozumiałej dla nowoczesnego człowieka. Obecnie pieniądze to jedynie cyfry w... jak na to mówią?... w cyberprzestrzeni?

Volker Hermann miał w dupie, jak to się nazywa. Za jego życia pieniądze jeszcze będą. Prawdziwe pieniądze. Banknoty. Przecież, do cholery, prawdziwego bogactwa nie mierzy się cyframi w cyberprzestrzeni, ale w monetach. *Cash is king* – i choć może nieco przestarzały monarcha, to *still going strong*.

Na szczęście wciąż jeszcze żyją ludzie, którzy patrzą na to podobnie jak Volker Hermann. Na przykład ten mały, zasuszony handlarz biżuterią Oscar Lewenthal z Goltzstrasse w Berlinie. Ale nieszczęście jednego jest szczęściem drugiego – to powiedzenie nadal chyba, do cholery, obowiązuje? Pewne rzeczy nie nadążają za postępem. I dobrze! Przecież siedząc w Café Louise w te deszczowe październikowe dni, nie planuje się morderstwa spokojnie, bez obaw. Chociaż odebranie człowiekowi życia to też kawałek historii Volkera Hermanna. Jednak nie tym razem. A jeśli chodzi o lekkie uszczuplenie majątku monsieur Lewenthala, to przecież jak ukraść dziecku cukierek. Takie rach-ciach, że aż trudno się z tego nie śmiać. Że nikt do tej pory nie wpadł na to, by obrabować tego Żyda (Volker Hermann nie miał nic przeciwko Żydom, chętniej by oskubał jakiegoś Araba, Chińczyka, a nawet Duńczyka), było czystym przypadkiem – a może ten nędzny butik jest tak mały i zapyziały, że nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi. Po prostu. Jeśli się handluje kradzionymi świecidełkami, to nie ma się czym chwalić; dyskrecja to sprawa honoru, tak jakoś się kiedyś mawiało w wyższych sferach. Bułka z masłem.

Oscar Lewenthal to mężczyzna, który ma swoje zwyczaje i nie potrzeba żadnych specjalnych badań, żeby to stwierdzić. Przychodzi codziennie kilka minut przed dziesiątą, podnosi kratę przed wejściem i zmienia tabliczkę na drzwiach, informując, że butik jest otwarty. Zamyka o piątej po południu, kiedy to powtarza całą procedurę, tylko w odwrotnym kierunku. Znika w miejscu, w którym rano się pojawia, prawdopodobnie zmierzając w stronę stacji metra na Nollendorfplatz. Ale to bez znaczenia. Volkera Hermanna nie interesowało,

gdzie mieszka Oscar Lewenthal; nie miało to żadnego związku z jego planem. Najważniejsza była regularność i przewidywalność, no i jeszcze ten mały wyłom – piątek.

Bo w piątek butik zamyka Lewenthal już pół godziny po drugiej (w każdym razie Volker Hermann zaobserwował to w trzy piątki) i po opuszczeniu krat nie idzie w kierunku Nollendorfplatz. Idzie w przeciwną stronę, skręca za rogiem w Hohenstaufenstrasse i kontynuuje dwieście metrów do Landesbank przy Eisenacher Strasse. Wchodzi do środka tuż przed zamknięciem i całotygodniowy utarg wpłaca na konto. Albo zamyka w schowku bankowym, bez różnicy.

Spacer ze sklepiku do banku zajmuje mu pięć minut i to właśnie podczas tego krótkiego spaceru Volker Hermann zaplanował swój atak. Tak wyglądał jego prosty plan. Tym prostszy, że tygodniowy utarg z podejrzanych transakcji Lewenthala był przechowywany – i transportowany – w plastikowej torbie.

W zwykłej plastikowej torbie. Zapewne nie w tej samej za każdym razem, ale tak samo wygniecionej, z najnormalniejszego sklepu spożywczego czy skądkolwiek indziej, wszystko oczywiście zgodnie z zamysłem naszego „jubilera”. Bo komu przyjdzie do głowy, że jest w niej coś wartościowego? Może jakieś pranie, para butów do podzelowania czy książki pożyczone z biblioteki.

Jakby ukraść dziecku cukierka. Szturchnięcie w plecy, wyrwanie torebki i nogi za pas. Przecież to nie może się nie udać.

Ale żeby być pewnym, że w torbie będzie wystarczająco dużo pieniędzy, Volker Hermann wymyślił jeden mały szczegół. We wtorek w „Tygodniu D”, bo tak go nazwał, zadzwonił do Lewenthala i sprzedał mu zmyślną historyjkę.

Cholernie zmyślną, jeśli miał być szczery. Wręcz genialną, można powiedzieć. Przedstawił się jako pan Adler i powiedział, że jest w posiadaniu biżuterii, którą niestety z powodu trudnych czasów musi upłynnić. Chodziło mianowicie o obudowany w złoto szafir „Serce Wisznu”.

Informację o nim znalazł w sieci. Został skradziony w Zurychu pod koniec lat dziewięćdziesiątych i od tej pory ślad po nim zaginął. Raczej niemożliwe, żeby Lewenthal odmówił, szczególnie że cena była dość niska, śmiesznie niska: sto tysięcy euro.

Oczywiście gotówką. Dyskrecja to sprawa honoru.

Piątek o drugiej po południu pasuje?

Oscar Lewenthal odpowiedział, że jak najbardziej, próbując ukryć swoje podekscytowanie, co zresztą nie bardzo mu się udawało.

Volker Hermann opuścił swój stolik w Café Louise za dziesięć druga w piątek drugiego listopada. Od dwóch godzin siedział i przeglądał gazety, obserwując jednocześnie butik po przeciwnej stronie ulicy.

W tym czasie wszedł tam tylko jeden klient, jeden z tych typowych, nieco wyliniałych dżentelmenów, który spędził u Lewenthala jakiś czas, po czym wyszedł. Nic szczególnego się nie wydarzyło, mimo to Volker czuł, tak, a nawet widział oczami wyobraźni, jak jubiler kręci się w kółko niczym szczur i co chwila zerka na zegarek, zastanawiając się, dlaczego pan Adler nie pojawia się ze swoim drogocennym „Sercem Wisznu”, tak jak było umówione.

Kiedy Volker wyszedł na ulicę, rzucił okiem na prawo i lewo, by się upewnić, że w związku z oczekiwaną transakcją Lewenthal nie zaangażował kilku swoich kompanów. A skoro uznał, że nie, szybko, acz bez zbytniego pośpiechu, ruszył przed siebie. Zatrzymał się w bramie, około stu metrów od Landesbank na Hohenstaufenstrasse. Podczas tego krótkiego spaceru wyjął z plecaka przebranie: ciemnoniebieski płaszcz przeciwdeszczowy, czarną wełnianą czapkę i szalik. Wystarczy, żeby zatrzeć ślady. Zaczął zacinać deszcz, okoliczność nader sprzyjająca. Nieliczna gromadka przechodniów nie zwracała na niego uwagi, śpiesząc się do domu. Czekać, Volker Hermann zajął się swoją komórką; stał w bramie, do połowy schowany przed deszczem i wiatrem, i udawał, że wysyła esemesa... A co, kurwa, nie wolno mu? Uświadomił sobie, że wcale się nie denerwuje, choć od czasu, kiedy parał się tego typu działalnością, minęły już

całe wieki. Tak jak się spodziewał, punktualnie o wpół do trzeciej na rogu Kyffhäuserstrasse pojawiła się drobna postać Oscara Lewenthala.

Szybki, nieco nierówny krok. Lekko pochylona do przodu sylwetka, kapelusz naciągnięty na czoło, w prawej ręce bladozielona torba.

Volker Hermann schował telefon i naprężył mięśnie.

Jeszcze trzydzieści metrów.

Dwadzieścia.

W pobliżu żadnych świadków. Idealnie.

Dziesięć metrów.

Teraz.

Poszło lepiej, niż się spodziewał. Lekkie popchnięcie, mocne szarpnięcie, mizerny krzyk ofiary, która straciła równowagę i upadła na ulicę – i plastikowa torba zmieniła właściciela.

Szybki bieg w kierunku Eisenacher Strasse.

Potem szybki spacer do następnej ulicy, wejście w bramę i zmiana ubrania. Plastikowa torba, płaszcz przeciwdeszczowy, czapka i szalik do plecaka i znów szybki spacer w kierunku Winterfeldtstrasse.

I ani śladu po małym jubilerze. Żadnego pościgu.

Tak, to jak kradzież cukierka. Ja pierdołę, pomyślał Volker Hermann. Perfekcyjne uderzenie! Poszło całkiem gładko. Krew w nim kipiała jak za dawnych czasów.

Godzinę później był już w domu w Neuköln. Wyjściem, jak zwykle, był Dobrowolski. Przecież kręcił się po Dworcu Zoo ze swoimi prochami, ścierwo bez fantazji. Najwyższy czas, żeby go wykopać z mieszkania na amen, tak, najwyższy czas.

Volker Hermann wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Zrzucił z nóg przemoczone buty i usiadł na łóżku z plastikową torbą w rękę. Wyjął zawartość

i położył obok siebie. Po drodze z Schöneberg nie sprawdził łupu. Niełatwo było się oprzeć, ale jakoś się udało.

Poplamiony ręcznik i kilka okazałych plików banknotów. Popatrzył na nie kilka sekund i zaczął liczyć.

Sto szesnaście tysięcy czterysta euro.

Sto szesnaście tysięcy!

Jeśli Volker Hermann nie miałby silnego charakteru i samozaparciu, natychmiast zaczęłby krzyczeć z radości. Albo wyć ze szczęścia. Albo tańczyć czy nawet stanąłby na głowie.

Niech to szlag! Sto szesnaście tysięcy czterysta euro!

Przeliczył jeszcze raz. Zgadzało się co do centa.

Wysmarkał się w ręcznik i z podekscytowania uronił kilka łez.

W tym samym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Co, do cholery? – pomyślał Volker Hermann. O co, kurwa, chodzi?

Zgarnął banknoty i ręcznik z powrotem do plastikowej torby i wrzucił ją pod łóżko. Poszedł otworzyć drzwi.

– Volker Hermann?

Dwaj masywni policjanci w mundurach.

– Tak...

Poczuł, jak robi mu się ciemno przed oczami. Aż musiał się chwycić klamki u drzwi, żeby nie upaść.

– Proszę z nami, na komisariat. Mamy do pogadania.

– Ale...

– Żadnego ale. Albo idziesz dobrowolnie, albo użyjemy innych metod. Twój wybór.

– Ja... ja... ja... – zaczął się jąkać Volker Hermann.

– Tak?

– Znalazłem tę cholerną torbę na chodniku. Właśnie chciałem do was dzwonić...

– Torbę? – zapytał drugi dryblas.

– Idź i przynieś tę torbę – powiedział ten pierwszy. – Weźmiemy ją do samochodu.

Volker Hermann miał zamęt w głowie i rozumiał tylko to, że kompletnie nic z tego nie rozumie.

Jak to się, do diabła, stało?

Zrobił to, co mu kazali. Przyniósł tę cholerną torbę i poszedł za funkcjonariuszami jak przykładowy obywatel.

Życie to jednak jakiś cholerny żart.

Wrzesień 2001, Maardam

Dziennik

Jutro minie dziesięć lat od tego, co się stało. Wydaje się, jakby minęło sto, a jednocześnie jakby to było wczoraj.

Wciąż o tym myślę. Mimo że unikam tego, jak mogę. Nie chcę o tym pamiętać, nie chcę tego zrozumieć, nie chcę się nad tym zastanawiać.

Łatwo powiedzieć...

Poza tym jestem kimś innym. Już nie Clarą Behrens. Nie jestem też jej siostrą, choć mam jej imię. Jestem kimś trzecim.

Upłynęło dużo czasu, odkąd coś napisałam; kiedy przeglądam kartki, widzę tylko jakieś osiemnaście wpisów z Maardam. A przecież mieszkam tu już od czterech lat. Moje życie nie daje mi powodów do zapisywania, po prostu. Oprócz koleżanek w pracy, w szpitalu Gemejnte, nie spotykam nikogo innego. Mój syn, dla którego jestem teraz ciotką, skończył już szesnaście lat i mieszka ze swoim ojcem i jego nową kobietą. Zawsze na urodziny i święta wysyłam mu jakiś mały upominek, ale nie widziałam go już trzy lata. Tak to wygląda... Czasami chce mi się wyć, ale kiedy pomyślę, że musiałabym powiedzieć mu całą prawdę, to od razu mi przechodzi. Nie, nie przechodzi, czuję tylko lekką ulgę, ale ból wciąż czai się gdzieś w kącie, jak zbity pies.

Dla kogo ja to piszę? A może w głębi duszy wciąż mam nadzieję, że ktoś to przeczyta? Preczyta i zrozumie. Jeśli nawet, to dopiero po mojej śmierci, po mojej drugiej śmierci...

Jeśli chodzi o koleżanki, to mam z nimi dzienne i nocne zmiany, ale poza szpitalem nie spotykam się z żadną z nich. Traktują mnie jak odludka, i nie bez powodu. Naprawdę nie wiedziałam, że to się tak potoczy; jeśli porównam siebie jako nastolatkę i siebie teraz, kiedy jestem dorosłą kobietą, to jakbym próbowała przyrównać niebo i ziemię. Teraz jestem pięćdziesięcioletnią kobietą i nikt nie poznałby we mnie tej otwartej i pewnej siebie Clary Behrens, która czerpała z życia pełnymi garściami; z życia, które skończyło się w tym strasznym pożarze w Oosterby. Mój obecny stan ducha dużo lepiej pasuje do mojej siostry Birgitte Behrens, czyli tej, która niby przeżyła. Właśnie tak, czy to nie oczywiste?

Do tej pory mi się udawało.

Przynajmniej tak sobie wmawiałam do zeszłego miesiąca – że skrywam to szczelnie – i tak też myślałam do zeszłego miesiąca. Ale wtedy znów się pojawił. Po dziesięciu latach. Powód tak długiego milczenia był prosty, żeby nie powiedzieć trywialny: inna kobieta, związek, który teraz się skończył.

I co wtedy robi? Odnajduje siostrę jedynej kobiety, którą naprawdę kochał. Zaprasza ją do restauracji, zasypuje słowami, by po czterech czy pięciu kieliszkach wina chwycić jej dłoń.

A ona, ta głupia gęś, pozwala mu na to. Ona też wypła cztery czy pięć kieliszków, poza tym nie była z żadnym mężczyzną od czasu, kiedy to właśnie z nim spała, w tym samym mieście, sto lat temu. Ale on o tym nie wie, wie tylko ona.

I teraz znów ma się to wydarzyć, ale w ostatniej chwili udaje jej się tego uniknąć. Zrzuca to na swoją siostrę, że byłoby to nie porządku wobec niej, wobec pamięci o niej, że to się nie może wydarzyć, nie można jednego zastąpić drugim i inne bla, bla, bla.

Żegnają się, on mówi, że rozumie, ale ona widzi... ja widzę, że wcale tak nie jest. Mówi, że jeszcze wróci. Że to tylko odroczenie.

A może coś podejrzewa.

Jeśli znaleźliby się w tym samym łóżku, jego podejrzenie by się potwierdziło. Prawda?

Dlatego znikam. To dziwne, jak rzeczy mogą się zazębiać, ale kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno. To było motto mojej matki, a biorąc pod uwagę ostatnie lata jej życia, trzeba przyznać, że poniosła klęskę.

Ale nie w moim przypadku. Następnego dnia – tak, to musiało być jakoś wieczorem, po wizycie w restauracji, kiedy to wszystko wywróciło się do góry nogami – siedziałam w dyżurce w szpitalu razem z inną pielęgniarką, Lisą Bergman ze Szwecji. Rozmawiałyśmy. Zbliżała się północ i niewiele było do roboty. Powiedziała mi, że przyjechała do Maardam dla mężczyzny, ale miłość się wypaliła i teraz zamierza wracać do domu. Pozwoliłam jej się wygadać, słuchałam, tak jak to teraz robię, a potem zapytałam, czy łatwo dostać pracę w służbie zdrowia w jej kraju. Powiedziała, że nie ma z tym żadnego problemu. Że potrzebują tam wykształconych pielęgniarek i lekarzy. I tak ziarno zostało zasiane. Kiełkowało szybko. W ciągu kilku dni zbadalam sprawę, a po kolejnych rozmawiałam już telefonicznie z trzema szpitalami w Szwecji. Zaproponowali mi pracę we wszystkich trzech, więc rzuciłam kostką i od następnego miesiąca zaczynam pracę w szwedzkim szpitalu w mieście, które się nazywa Kymlinge... Trudno mi wymówić tę nazwę. Mieszkanie też już mam załatwione. Kiedy pierwszy raz od dawna śni mi się ta stacja kolejowa, budzę się i myślę sobie, że to musi być moja stacja końcowa. Zupełnie nieznanne miejsce w kraju, w którym nigdy przedtem nie byłam, nawet przejazdem.

Tak, czuję, że to musi być mój ostatni przystanek.

Dzwonił jeszcze dwa razy i chciał się ze mną spotkać. Żeby porozmawiać. Powiedziała mu, że nie najlepiej się czuję, a poza tym jestem trochę zajęta, i zaproponowałam, że się odezwę.

Zaakceptował moje nie, bo jest cywilizowanym samcem, jednak tym, jak to zrobił, przyprowadził mnie o gęsią skórkę. Przyszło mi do głowy, że tak musi

brzmiąc, kiedy wykonuje swoją pracę. W taki sposób prywatny detektyw dobiera słowa i ton głosu, kiedy szuka w mętnej wodzie. Chce po prostu potwierdzić swoje podejrzenia. Chce mnie mieć w łóżku, żeby sprawdzić, czy mam pieprzyk w prawej pachwinie.

Qvintus Maasenegger wciąż jest na wolności. Już przestali pisać o Oosterby, o pensjonacie U Molly i pożarze, ale to normalne. Minęło już przecież dziesięć lat i od tamtej pory zostały zamordowane dziesiątki ludzi – choć oczywiście byłaby sensacja, gdyby złapali Qvintusa. Ma przecież cztery życia ludzkie na swoim sumieniu i szczerze mówiąc, to dość dziwne, że udaje mu się tak długo ukrywać. Ale może to nie jest takie trudne, może włóczy się jako brodaty hippis gdzieś w Urugwaju czy Argentynie, wśród nazistów i innych zbiegów. Od czasu do czasu myślę o tym, co się stało i dlaczego to zrobił. Pożar – i cały jego plan – to dzieło szatana, ale skrupulatnego i przebiegłego, dlatego wciąż trudno mi sobie wyobrazić, że to Qvintus Maasenegger. Jeśli dobrze pamiętam, to po zniknięciu Madeleine widziałam go jeszcze jeden raz, kiedy się dzieliliśmy pieniędzmi. Później słyszałam, że wyjechał do Niemiec i zaczął pracę w browarze... A potem? Mija dwadzieścia lat, Zink siedzi w więzieniu, a my mamy spotkanie w Oosterby. Po co?

Nie znam odpowiedzi. Czasami śni mi się Zink, ale nigdy Qvintus. Raz się przespałam z Zinkiem, tylko raz. Udawałam, że mam orgazm, bo się go bałam. Wcześniej nigdy tego nie robiłam, chciałam tego, byłam młoda i napalona. Wtedy prawie zawsze miałam ochotę, ale kiedy wziął mnie od tyłu i jednocześnie zaciskał swoje dłonie na mojej szyi, moje podniecenie zamieniło się w strach.

I to ten strach wciąż powraca. W snach.

Ale bardzo sporadycznie. Kilka razy do roku; wtedy budzę się, odganiem go i znów zasypiam. To nie Zink jest teraz problemem, tylko Kosta... Nie lubi, kiedy się skraca jego imię, ale przecież nigdy tego nie przeczyta.

To z powodu Kasty przeprowadzam się do Szwecji. Ostatni przystanek? Mam nadzieję.

CZĘŚĆ TRZECIA

Listopad 2012, Maardam

– Co o tym myślisz? – zapytała Eva Backman. – Ale tak z ręką na sercu.

– Co o tym myślę? – powtórzył pytanie Barbarotti, wyglądając przez okno kabiny samolotu na ciężkie szare chmury. – Myślę, że tak musiało być, że spędzimy kilka dni razem, gdzieś w Europie... kilka dodatkowych dni, oczywiście.

– Może – powiedziała Eva Backman i się uśmiechnęła. – Ale teraz nie myślę o palcu Bożym, tylko o śledztwie.

– Ach, o tym... – odparł Barbarotti. – Nie wiem. To ciekawe.

– Co jest ciekawe?

– Wszystko, ale zwłaszcza to, czy to się trzyma kupy. Zamordowany mężczyzna gdzieś w Szwecji i coś, co się wydarzyło dwadzieścia lat wcześniej w zupełnie innym miejscu, w zupełnie innym kraju. Birgitte Behrens jest tu jedyną łączącą nicią, o ile się nie mylę. W dodatku bardzo słabą.

– Hm – westchnęła Eva Backman i zamilkła na chwilę.

– Kiedy mówisz „hm”, oznacza to, że twój mózg pracuje na najwyższych obrotach – stwierdził Barbarotti.

– Zawsze pracuje na najwyższych obrotach – odcięła się Eva Backman. – Myślałam, że po tylu latach to zauważyłeś. Jeśli jesteś ciekawy, to zastanawiam się, kto komu ma tak naprawdę pomóc.

– Co? – zapytał Barbarotti.

– Czy my mamy pomóc im rozwiązać starą sprawę z pięcioma trupami, czy oni mają pomóc nam w rozwiązaniu ciepłego jeszcze śledztwa z jedną tylko

ofiara?

Barbarotti znów spojrział na chmury.

– Może i to, i to?

– Tak, ale tylko wtedy, jeśli mają ze sobą coś wspólnego. A wydawało mi się, że powiedziałaś, że nie...

– Nic takiego nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że mam wątpliwości. Zresztą niektórzy twierdzą, że wszystko ma ze sobą coś wspólnego, dokładnie każde zdarzenie, wszystko. Wszystko można połączyć ze wszystkim, jeśli tylko ma się odpowiednią wiedzę. A poza tym...

Barbarotti znów spojrział w okno. Jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu nie było na ziemi ani jednej osoby, która mogłaby oglądać chmury z wysokości, z góry, pomyślał Barbarotti. Chyba że ktoś mieszkał na wysokiej górze i spojrział w dół, w dolinę... Ale to co innego...

– A poza tym?

– O czym to mówiliśmy? Straciłem wątek...

– Powiązania. Chociaż to tylko ty o nich mówisz...

– No właśnie. Tak, najdziwniejsze jest to, że aby powiązać ze sobą dwie rzeczy, potrzeba nie więcej niż siedmiu nici. Nawet jeśli chodzi o... no, na przykład... nos Stalina i Most Westchnień.

– Ten w Wenecji?

– Tak.

– Siedem nici?

– Zgadza się. Najwyżej. Inny przykład: ciało i talerz zupy szpinakowej... Dopóki nie poznamy całego łańcucha, poruszamy się po omacku... Rozumiesz? Choć może to nie był najlepszy przykład... Może nie chcesz o tym mówić...

– Może innym razem. Czy podadzą w końcu jakieś jedzenie? Jestem głodna.

– Ja też. Trudno myśleć na głodniaka. Chyba zamówię też lampkę wina, to może pośpimy z pół godziny. Myślisz, że będziemy mieli dyżur dziś wieczorem?

– Na pewno. Będzie czekał na nas jakiś gliniarz, który na kogucie przewiezie nas prosto na komisariat... Dlaczego ziewasz?

– Brak tlenu. Przecież wiadomo, że w samolocie jest mniej tlenu niż na ziemi. To dlatego siedzimy i gadamy głupoty. Nawet jeśli twój mózg pracuje na najwyższych obrotach, to i tak ma za mało pożywienia.

– Okej, w takim razie ja też wezmę lampkę wina.

– Pewnie podadzą w takich malutkich butelkach...

– Przecież wiem.

– Okej, okej.

Ale to nie komisarz Münster czekał na nich w hali przylotów, tylko młody aspirant o nazwisku Martinus. Na początku wyjaśnił, że nie ma pojęcia, w jakiej sprawie Barbarotti i Eva Backman przyjechali do Maardam. Dostał tylko polecenie, żeby ich odebrać z lotniska, zawieźć do hotelu, poczekać, aż się zameldują, a następnie przetransportować na komisariat, gdzie zajmie się nimi bardziej wykwalifikowany personel.

To ostatnie powiedział z gustowną autoironią, a Barbarotti wyjaśnił mu, że sprawa dotyczy podejrzanych śladów tu i tam i że bardzo się cieszą, że będą mogli spędzić parę dni w tym miłym mieście.

Pierwszy raz w Maardam?

Skądże znowu. Oboje byli już tu służbowo kilka lat temu.

Hotel nazywał się Amarant i był położony nad kanałem o dość złowieszczej nazwie Moerkergraacht, ale poza tym był zadowolający. Ich pokoje znajdowały się blisko siebie, co dla Barbarottiego było wysoce zadowolające.

– Macie na komisariat pięć minut spacerem – poinformował ich Martinus, kiedy już zostawili walizki w Amarancie. – Ale oczywiście samochodem najbezpieczniej, szczególnie pierwszego wieczoru.

– Potem będziemy chodzić pieszo – powiedziała Eva Backman. – Jeśli tych wieczorów będzie więcej...

– Teraz pada – rzekł Martinus – choć w inne wieczory pewnie też będzie padać. To taki znak rozpoznawczy tego miasta. I tak aż do maja. Na ogół.

Było w pół do ósmej, kiedy usiedli w zimnym pokoju konferencyjnym komisariatu w Maardam, żeby wreszcie zająć się tym, po co tutaj przyjechali.

Pozarem pensjonatu U Molly w Oosterby, małym miasteczku położonym nad morzem, trzy godziny drogi samochodem od Maardam. W sobotę dwudziestego ósmego września 1991 roku. Minęło już trochę czasu.

Oprócz gości ze Szwecji obecni byli jeszcze komisarz Münster i jego koleżanka Ewa Moreno. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety, pomyślał Barbarotti; sześćdziesiątka naprzeciwko pięćdziesiątki, jak mu się wydawało. W bardziej sprzyjających warunkach (tudzież innych okolicznościach) pewnie poszliby na obiad – ta myśl przyszła mu do głowy, bo miał ochotę na kieliszek czerwonego wina.

Zazwyczaj mu się to nie zdarzało. Przypuszczał, że to z powodu podróży, zmiany miejsca, deszczu i żółtawego światła latarni, które przenikało przez żaluzje w oknie i rzucało delikatne cienie. No i jeszcze z powodu Ewy Backman.

– Witamy – zaczął Münster. – Pomyśleliśmy z Ewą, że może zjemy dzisiaj razem kolację... Zamówiliśmy stół na dziewiątą. Ale najpierw mała wymiana informacji i przemyśleń, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Świetny plan – powiedziała Ewa Backman. – Ewa i Ewa, na szczęście mamy inne nazwiska.

Ewa Moreno zaczęła się śmiać.

– Ja mam też trochę krótszą drogę do emerytury, jeśli już jesteśmy takie szczegółowe.

– Szczegółowi to my będziemy w pracy – rzekł Münster. – Wygląda na to, że sprawa tego wymaga. Ale przecież byliście tu już wcześniej... to znaczy służbowo, prawda?

– Zgadza się – odpowiedział Barbarotti. – Kilka lat temu przyjechaliśmy po pewną dziewczynę. Wpadła tutaj w jakieś szemrane towarzystwo... po trudnym dzieciństwie, trzeba jeszcze dodać.

– I jak to się skończyło? – zapytała Ewa Moreno.

– Dobrze – odparł Barbarotti. – Studiuję medycynę. Czasami życie potrafi zaskakiwać... że się tak wyrażę. Ale teraz wy opowiadajcie. O co chodzi tym razem? Dlaczego tu siedzimy i rozmawiamy?

I Münster zreferował sprawę. Czasami wtrącała się Ewa Moreno, ale to głównie komisarz opowiadał. Zresztą osobiście był zaangażowany w to katastrofalne (jego własne określenie) śledztwo z 1991 roku, kiedy to wytypowano niewłaściwą osobę jako sprawcę – osobę, która, jak się okazało miesiąc temu, była jeszcze jedną ofiarą. Ofiarą przestępcy, który wciąż pozostawał na wolności i który od kilku dni poszukiwany jest na całym świecie przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Który ma na sumieniu życie pięciu osób (plus ewentualnie kilka osób niezwiązanych z tym dochodzeniem) i który z dużym prawdopodobieństwem nazywa się Leopold Kransky. Czy raczej kiedyś tak się nazywał.

Ale powstały pewne komplikacje.

– W przeciwnym razie nie siedzielibyśmy tutaj? – dodała Eva Backman.

– W przeciwnym razie nie siedzielibyście tutaj – potwierdziła Ewa Moreno.

Münster kontynuował. Opowiadał o osobliwym życiu domniemanego mordercy nazwiskiem Kransky, o jego osobliwej matce Molly Hansen i jej ewentualnej roli w całej tej historii. O starym klasztorze i o zwierzeniach byłej zakonnicy. O tym wrześnieowym popołudniu (przynajmniej to było wiadomo), kiedy to pięć osób straciło życie, i w końcu o dawnym koledze i nauczycielu.

Komisarz emeritus Van Veeteren. Pewnie znacie?

Backman i Barbarotti potwierdzili, że znali. Ale tylko z imienia i nazwiska... i bardziej jako pojęcie samo w sobie.

– Czy on jeszcze żyje? – zapytał Barbarotti.

– Tak – zapewnił Münster. – I trzeba dodać, że cieszy się jak najlepszym zdrowiem, chociaż obdarłby mnie ze skóry, gdyby to słyszał. Trzyma też rękę na pulsie, jeśli chodzi o tę sprawę, mimo iż ostatnio stuknęło mu już siedemdziesiąt pięć lat.

– Naprawdę? – zdziwiła się Eva Backman. – W jakim sensie trzyma rękę na pulsie?

– W najnormalniejszym, że się tak wyrażę – odparł Münster, a Ewa Moreno z miną osoby wtajemniczanej przytaknęła. – Minęło wiele lat, odkąd się wycofał z czynnej służby, i muszę przyznać, że od tego czasu nie mieliśmy zbyt częstego kontaktu. Ale widać nadszedł czas... Przecież razem popełniliśmy ten okropny błąd w Oosterby dwadzieścia jeden lat temu, Van Veeteren i ja.

– I trudno mu się z tym pogodzić – wtrąciła Ewa Moreno. – Porażka to po prostu nie jego bajka.

– No właśnie – rzekł Münster. – Zupełnie nie jego bajka. Tak na marginesie, to ja go w to znowu wciągnąłem, kilka tygodni temu. Uznałem to za swój obowiązek. Spotkacie go jutro. Muszę dodać, że wczoraj wieczorem też dołożył swoją cegiełkę. Chodzi o kucharza, ale ten temat będzie dobrze pasował do naszej kolacji. Teraz chciałbym zapoznać was z dwiema innymi rzeczami: ze Stowarzyszeniem Leworęcznych oczywiście, ale przede wszystkim z pewnym porwaniem, które wydarzyło się w tym samym miejscu co pożar... tyle że wiele lat wcześniej.

– I które ma coś wspólnego z pożarem, tak? – zapytała Eva Backman.

– Tak się nam wydaje – odpowiedział Münster.

– A potem zobaczymy, czy to ma coś wspólnego z naszym morderstwem w Szwecji – dodał Barbarotti. – Podczas podróży rozmawialiśmy o tym... jak to prawie wszystko można ze sobą połączyć, jeśli tylko ma się wystarczająco duży worek ze szczegółami i mocne okulary na nosie.

Inspektor Moreno spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Przepraszam za mojego kolegę – powiedziała inspektor Eva Backman. – Pewnie zostanie filozofem, jak dorośnie. Opowiedzcie więcej o tym porwaniu i o Stowarzyszeniu.

Komisarz Münster się zaśmiał i zrobił to, o co go poproszono.

Listopad 2012, Maardam

– Wyglądasz na zadowolonego – powiedziała Ulrike Fremdli.

– Zadowolonego? – zdziwił się Van Veeteren.

– No to wyglądasz jak kot, który właśnie upolował kanarka – poprawiła się Ulrike.

– *Mon dieu* – rzekł tylko Van Veeteren.

Był sobotni poranek. Jak zwykle poszli na śniadanie do Rinckler's Café przy Hellengraacht; to był zwyczaj, który zapoczątkowali kilka lat temu, i nie było powodu, aby z niego zrezygnować. Niewiele rzeczy na świecie jest stałych i niezmiennych, tego nauczyło go życie, ale jedno wiedział na pewno: że raz w miesiącu będzie grał z Mahlerem w szachy, dopóki ten stary poeta będzie żył. I że w każdy sobotni poranek będzie jadał śniadanie z Ulrike u Rincklera. Dopóki mu zęby nie wypadną.

Jeśli oczywiście nie będą na jakimś wyjeździe. Na przykład w Nowej Zelandii czy gdziekolwiek indziej.

Dobre towarzystwo i kawiarnia Rincklera to więcej niż zwyczaj, nazwałby je raczej gwiazdą przewodnią. A nawet dwiema.

– Po rozmowie z Radovicem. Dzisiaj rano.

– Ale co po rozmowie z Radovicem?

– Chodzi o twoją zmianę humoru. Poprawił ci się po rozmowie z nim.

– Poprawił mi się humor? Nie śledzę swojego humoru. Jestem raczej smętnym typem. Poza...

– Tak?

– Poza sytuacjami, kiedy myślę o tobie.

– *Mon dieu* – tym razem to Ulrike wypowiedziała te słowa. – Mówisz jak sprzedawca odkurzaczy.

– Miałem wujka, który handlował odkurzaczymi – przypomniał sobie Van Veeteren. – W latach pięćdziesiątych... Nie mówiłem ci? Lorenzo Moerk... Popełnił samobójstwo. Przy czwartej próbie, o ile się nie myłę.

– Odchodzimy od tematu... – zauważyła Ulrike. – Co ciekawego Radovic miał ci do powiedzenia?

– Chyba powiesił się na kablu. W każdym razie taka była wersja oficjalna. A w ten sposób cała historia staje się dużo ciekawsza.

– Co ci powiedział Radovic?

Van Veeteren dolał sobie kawy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Dwie rzeczy – zaczął w końcu. – Po pierwsze, ten kucharz, Volker Hermann, o którym mówiłem...

– Kucharz?

– Tak, kucharz. Znaleźli go wczoraj w Berlinie... Jest w drodze na przesłuchanie.

– A ty uważasz, że...?

– Nie wiem. Nie przyznał się, ale nie zrobi tego, dopóki go nie przycisną.

– To jeszcze go nie przesłuchali?

– Nie.

– Ale to on?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Najwyraźniej. Mimo że nie ma małego tatuażu na szyi... ale przecież mógł go usunąć. Przyznał się, że pracował w pensjonacie U Molly tamtego lata... i tamtego wieczoru. I że już złożył zeznanie. Jest tym Volkerem Hermannem, nie ma co do tego wątpliwości. Ale nie był jeszcze porządnie przesłuchany, ta przyjemność czeka go tutaj.

– Tutaj? W Maardam?

– Tak.

– Nie odstawią go do Oosterby?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Radovic tu przyjedzie. Wciąż dowodzi śledztwem, ale potrzebuje naszej pomocy.

– Naszej? Powiedziałeś „naszej pomocy”...?

– Nie łap mnie za słowa. Radovic robi nam tę przyjemność również z innego powodu...

– Ach tak. A z jakiegoż to?

Van Veeteren odchrząknął.

– To jest jeszcze dziwniejsze. Dużo bardziej. Na pewno chcesz wiedzieć? Myślałem, że już cię to przestało interesować...

– Nie pleć bzdur – westchnęła Ulrike. – To ciebie przestało interesować, nie mnie. Prawdę mówiąc, zależy mi, żeby ten pożar w pensjonacie został wyjaśniony, żeby... żeby wreszcie można było postawić kropkę nad i.

– No, wspaniale! – odparł Van Veeteren. – Po prostu wspaniale. Może nawet załatwię dla pani psycholog wejście na przesłuchanie, kiedy kucharz już przyjedzie z Berlina.

– Pozwól, że się zastanowię – powiedziała Ulrike Fremdli. – Teraz powiedz mi lepiej, co takiego jest jeszcze dziwniejsze. Dużo bardziej. Zamieniam się w słuch.

– Chętnie. Ma to związek z tą sprawą w Szwecji. Historia, w której pojawia się Birgitte Behrens... przynajmniej gdzieś na obrzeżach, bo jej udział jest jeszcze dalece niewyjaśniony. Mówiłem ci o niej, prawda?

– To ta siostra, która przeżyła?

– Właśnie.

Ulrike Fremdli pokiwała głową.

– Więcej szczegółów poproszę. Im więcej, tym lepiej.

– Ma się rozumieć. A więc... Jakiś tydzień temu, w południowo-zachodniej Szwecji, w domku letnim pod lasem, znaleziono ciało mężczyzny. Miał jakieś

powiązania z Birgitte Behrens... tyle wiadomo, jak również to, że to ona wynajmowała ten domek. Nie od razu udało się ustalić jego tożsamość, ale według zeznań sąsiada nosił dość niezwykle imię Kostadino.

– Kostadino?

– Właśnie tak. Szwedzka policja rozesłała list gończy za Birgitte Behrens, która zniknęła dwa tygodnie temu, oraz rysopis ofiary... tego Kostadina. Rozumiesz?

– Jasne.

– Oczywiście obaj, i Münster, i Radovic, nadstawili uszu na nazwisko Birgitte Behrens, ale Münstera zastanowił też ten Kostadino. Nie ma za dużo osób o tym imieniu, a stary dobry Münster przypomniał sobie, że miał kiedyś kumpla, który tak samo się nazywał. A zatem tutaj, w Maardam, ów kolega musiał być również kolegą mojej skromnej osoby. Przynajmniej przez jakiś czas. Na początku lat osiemdziesiątych, ściślej mówiąc. Kostadino Miller. I co ty na to?

Ulrike Fremdli wzięła łyk herbaty i zaczęła się zastanawiać.

– Co ja na to? Ja na to, że to zwykły zbieg okoliczności. Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że to on jest tym zamordowanym?

Van Veeteren popatrzył w niebo, a potem na żółto-czerwone lipy za oknem, zanim odpowiedział:

– Tak, moja droga. Właśnie to chcę powiedzieć.

Temat wciąż daleki był od wyczerpania.

– Jaki on był?

– Ten Miller?

Ulrike Fremdli westchnęła.

– Oczywiście. Kostadino Miller, który kiedyś był twoim kolegą po fachu i który dostał siekierą w głowę gdzieś w szwedzkim lesie trzydzieści lat później... No więc... jaki był?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Specyficzny...

– To znaczy?

– Mój Boże, skąd mam pamiętać jakiegoś policjanta, który pracował pewnie u nas... niech zgadnę... przez półtora roku? No, najwyżej dwa lata... i to nie cały czas w kryminalnym. Münster pewnie go pamięta.

– Ale mówisz przecież, że był specyficzny. Więc coś masz na myśli, prawda?

– Tak.

– A więc?

– Daj mi pomyśleć... Coś mi się kojarzy, że odszedł z pracy z hukiem... Jakieś nadużycia... czy coś w tym rodzaju.

– Nadużycia?

– Tak. Ale nie wiem, co się potem z nim działo. Chyba został prywatnym detektywem... Jestem pewien, że Münster i Moreno już to ustalili. Co innego mają do roboty w sobotę?

– A z tymi nadużyciami to o co chodziło?

– Krótko mówiąc, o miłość.

– Poważna sprawa.

– Zdaje się, że zakochał się w kobiecie, przeciwko której toczyło się dochodzenie.

– Była wmieszana w jakieś przestępstwo?

– Tak.

– Ja też byłam wmieszana w przestępstwo, kiedy się poznaliśmy... Już nie pamiętasz?

Jeśli Van Veeteren łatwo by się rumienił, to teraz byłby pąsowy jak róża.

– To zupełnie co innego.

– Czyżby? A to dlaczego?

– Ty byłeś w pewnym sensie ofiarą, a ta kobieta była zamieszana w przestępstwo. Wykorzystała łatwowierność Kostadina... owinęła go sobie wokół palca... *Honey trapping*, na Zachodzie nawet istnieje takie pojęcie.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby zrobić coś takiego.

– Oczywiście, że nie. Przecież właśnie próbuję ci powiedzieć, że ty i ona to jak niebo i ziemia.

Ulrike Fremdli uśmiechnęła się. Potem zmarszczyła brwi i milczała przez chwilę. Van Veeteren znów wyjrzał przez okno i zastanawiał się, czy podczas tych wszystkich lat, odkąd są razem, wyszedł z dyskusji zwycięsko.

Ale co to właściwie znaczy „zwycięsko”?

I co to znaczy „dyskusja”?

– A nasz kucharz z Berlina... – Ulrike zmieniła temat. – Przecież chyba można sprawdzić, czy to Kransky, czy nie? Są zdjęcia i pewnie jakieś inne rzeczy, prawda?

Van Veeteren potrząsnął głową.

– Nie w przypadku Kransky’ego... Żadnych zdjęć. W każdym razie nie tych najnowszych. Jak się siedzi w więzieniu, to nieczęsto biega się do fotografa... Ostatnie, jakie zdobył Münster... a może Radovic... są z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. To trzydzieści siedem lat temu, więc sama rozumiesz... Ale oczywiście można to ugryźć z innej strony. Są na przykład...

– ...odciski palców.

– Albo DNA. Tak, zanim dzień dobiegnie końca, będziemy wiedzieć, czy mamy do czynienia z jedną, czy z dwiema osobami.

– Ale...?

– Co?

– Jaki jest sens ściąganie go z Berlina, skoro nie wiadomo, czy to Kransky?

– Hm... – Van Veeteren się zadumał. – Bardzo zasadne pytanie. Istnieje jednak trzecia możliwość, że się tak wyrażę. Wiesz, o czym mówię?

Ulrike Fremdli zamyśliła się na chwilę.

– Taaak. Może nas zaprowadzić do Kransky’ego. Możliwe nawet, że zrobili to razem.

– Właśnie – odparł Van Veeteren. – A może... w tym najgorszym ze światów... on sam to zrobił.

– Ten kucharz?

– Tak.

– A Kransky?

– Nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale... dlaczego? Co ten nieszczęśnik miałby mieć wspólnego z „leworęcznymi”? Czy to ma sens?

Van Veeteren rozłożył ręce.

– Zgoda. Prawdopodobieństwo nie jest wysokie, ale nie można tego wykluczyć. W każdym razie nie do chwili, kiedy usiądziemy z nim i pogadamy w cztery oczy.

Van Veeteren odwrócił się i zawołał kelnera, wytatuowanego bywalca więzień o artystycznym imieniu Djingiz Khan, który się nawrócił i z którym Van Veeteren znał się już ponad czterdzieści lat.

– Jeszcze jeden dzbanek, panie komisarzu?

Van Veeteren zrobił grymas, a dzbanek wylądował na stole.

– „W cztery oczy”? – zapytała Ulrike Fremdli. – „Usiądziemy z nim i pogadamy”?

Van Veeteren spojrział na zegarek.

– Wpół do czwartej na komisariacie. Jeśli samolot się nie spóźni. Münster da znać... Będą tam też ludzie ze szwedzkiej policji.

– A psycholog policyjny będzie mile widziany?

– Jeśli dobrze zrozumiałem Münster, to jak najbardziej.

Październik 2012, Szwecja

Dziennik

Muszę to zapisać. Może to już ostatni raz.

To Kosta przyszedł z tą nowiną. Któż by inny?

Qvintus Maasenegger został zakopany w lesie pod Oosterby. Kilkaset metrów od pensjonatu U Molly. Zadzwoił i opisał to bardzo dokładnie... Nie ominął ani jednego szczegółu, ale to do niego podobne.

Ciało leżało tam wiele lat. Nic nie przeczyło teorii, że zostało zakopane dwudziestego ósmego września 1991 roku. Obecny komendant policji w Oosterby nazywa się Radovic i zgodnie z tym, co powiedział w „Het Journaal”, odkrycie to rzuca zupełnie nowe światło na pożar w pensjonacie dwadzieścia jeden lat temu.

„Ten skurwysyn ma rację”, skomentował Kosta. A ja słyszałam w jego głosie, że jest pijany i podekscytowany. I jeszcze coś... coś w jego głosie, co trudno mi było zidentyfikować. Czy to był strach?

„Przyjadę”, powiedział na zakończenie rozmowy. „Musimy coś z tym zrobić”.

Próbowałam go od tego odwieść, ale na próżno.

My? Zaczęłam się zastanawiać. Czy naprawdę powiedział „my”?

Szok przyszedł, kiedy odłożyłam słuchawkę. Próbowałam nie wpuszczać tej informacji do mózgu, poszłam do toalety i zwymiotowałam. Czulałam, że to

działanie adekwatne do sytuacji; piszę „działanie” zamiast „reakcja”, bo bez najmniejszych wątpliwości była to moja własna wola.

Musiałam to zwrócić. Oczyszczyć się. Pozbyć się tej starej, klejącej mazi. Otworzyć oczy.

À propos oczu, to ostatniej nocy nie zmrużyłam oka ani na minutę. O północy się poddałam i wyszłam na spacer. *Kymlinge by nigh*. Mieszkam tu od kilku lat, ale to był pierwszy raz, kiedy spacerowałam nocą. Równie dobrze mogłoby to być Tokio czy Valparaiso *by night*, bo nic nie widziałam. Kompletnie nic. Szłam i szłam, jak w ciemnym, martwym tunelu, i próbowałam uspokoić myśli.

Ktoś inny.

To ktoś inny tamtej nocy zamordował moją siostrę i pozostałe trzy osoby w pensjonacie U Molly. No i Qvintusa Maaseneggera.

Ale kto?

Była tylko jedna odpowiedź. Jest tylko jedna odpowiedź.

I tylko jeden kandydat.

Cały ten natłok myśli był zbędny, przesadzony, bo w rzeczywistości była tylko jedna i ta sama myśl, uparcie powracająca, wciąż i wciąż, i wciąż.

Pamiętam jego piękne usta i gęste włosy.

Pamiętam jego dłonie wokół mojej szyi.

Zastanawiałam się tylko: co on teraz zrobi? Czy wciąż żyje?

Czy policja się domyśli?

Czy Kosta się już domyślił? I czy całej prawdy?

Kosta tak bardzo się zmienił... Czasami zachowywał się, jakby był opętany... na moim punkcie oczywiście, ale też opętany czymś dużo głębszym, mocniejszym. Bardziej fundamentalnym... Pomyślałam, że rośnie w nim jakiś rodzaj nowotworu, jakaś udręka duszy, która pojawia się i znika, ale wciąż rośnie.

A teraz jego opętanie ma przynajmniej godny cel.

Przeraża mnie, kiedy pomyślę, do czego to może prowadzić.

„Jeśli policja domyśli się, kim jesteś, będziesz podejrzana. Jesteś tego świadoma?”

To jego pierwsze słowa po wejściu na korytarz. Trzy dni po telefonie. Nie przyszło mi to do głowy, zupełnie, ale natychmiast sobie uświadomiłam, że on ma rację.

Przez dwadzieścia jeden lat udawałam własną siostrę. Wszyscy myśleli, że jestem Birgitte Behrens i że to ja, Clara Behrens, zginęłam w pożarze.

To już wystarczająco dużo. A jeśli człowiek pogrzebie trochę głębiej i zada sobie (i mnie) pytanie dlaczego – dlaczego jesteśmy zdolni do takiego czynu? – to po odnalezieniu ciała Qvintusa Maaseneggera pytanie to ukaże się w nieco innym świetle. W nowym i dużo jaśniejszym świetle. „Złowieszczym”, jak powiedział Kosta... to jedno z jego ulubionych słów.

Mogłam to zaplanować. To, co do tej pory można było wytłumaczyć otwartym oknem, teraz nabiera zupełnie innego, dużo gorszego znaczenia.

Jakie mam alibi na tamtą noc?

Dlaczego powiedziałam mężowi, że jadę na spotkanie do Oosterby, jeśli miałam zupełnie inne plany? Dlaczego moja siostra się tam znalazła? A raczej dlaczego podszyła się pode mnie?

I tak dalej...

Gdyby wtedy Kosta nie było u mnie, prawdopodobnie znów bym poszła do toalety i wyrzuciłabym to wszystko z siebie. Ale on siedział w korytarzu na skrzyni i rozwiązywał buty... w jednym zaplątało się sznurowadło... i nagle cała ta sytuacja stała się absurdalnie zwyczajna, codzienna. Pomyślałam wtedy, że równie dobrze mógłby być moim mężem, który właśnie wrócił z pracy, i że zaraz usiadziemy do kolacji i będziemy sobie opowiadać, jak minął dzień.

Nawet się trochę ucieszyłam, że on już wie o wszystkim. Naprawdę. Nawet jeśli był tym, kim był, to w tamtej chwili pomyślałam sobie, że to dobrze, że mam kogoś zaufanego. Przynajmniej jedną osobę na całym świecie, która już wie, kim jestem.

Która zaraz potem zobaczy mój pieprzyk i wyciągnie oczywisty wniosek.

Minęły już dwa lata, a ja nawet nie wspomniałam o innych sprawach. O Madeleine. O Zinku. O pieniądzach.

A jakie miałam alibi na dwudziestego ósmego września 1991 roku, on dobrze wie. Bo to on miał być moim alibi, gdyby wtedy przyszedł, tak jak obiecał. Właściwie więc nie mam żadnego alibi, rozmawialiśmy już o tym wiele razy...

Usiedliśmy w kuchni przy stole. Poprosił o lampkę czerwonego wina. Kosta za dużo pije, ale wtedy to nie był ani czas, ani miejsce, żeby o tym rozmawiać. Wręcz przeciwnie, uległam, wyjęłam ser, krakersy i jeszcze jakieś przekąski. Siedzieliśmy tak przez wiele godzin i opróżnialiśmy butelkę po butelce.

Bardzo się rozluźniłam. Po prostu dałam za wygraną; jeśli zna jedną prawdę, to równie dobrze może poznać i drugą, tak rozumowałam odurzona alkoholem. Opowiedziałam mu więc o porwaniu – po ponad czterdziestu latach! Oczywiście umniejszałam nieco swoją rolę, jednak nic nie ukrywałam. Poznał całą prawdę. Oboje byliśmy już porządnie pijani, kiedy poszliśmy do łóżka, ale jestem pewna, że zapamiętał każdy szczegół naszej rozmowy. Głównie rozmawialiśmy o Zinku. Kosta go znał pod nazwiskiem Leopold Kransky – tak się nazywał, kiedy poszedł do więzienia. Nie wiem, skąd wziął to nazwisko, i nie wiem, jak naprawdę się nazywa. To dziwne, że wszyscy zaakceptowaliśmy przydomek Zink bez żadnych pytań (nikt z nas go nie zapytał)... Ale właśnie tak było. Tak naiwni i łatwowierni wtedy byliśmy.

A jeszcze dziwniejsze było to, że wszystko wziął na siebie. Spędził za kratkami ponad dwadzieścia lat i nigdy nikt się nie dowiedział, że miał współników. Oczywiście nie mam na myśli morderstwa (jeśli w ogóle było to morderstwo), tylko porwanie.

Jeśli istnieje słowo lub wyrażenie, które najlepiej by go opisywało, to właśnie słowo „dziwny”.

„Okropny”, „niebezpieczny”, „nieprzewidywalny” – też dobrze do niego pasują. Kosta się wściekł, kiedy się dowiedział, że spałam z Zinkiem, ale potem

mu przeszło. Druga opowieść, o mordercy, który wciąż pozostaje na wolności, była mimo wszystko ważniejsza i to na jej punkcie miał obsesję.

„Byłem policjantem przez dziesięć lat, detektywem ponad dwadzieścia. Co ty, kurwa, sobie wyobrażasz?”

Powiedziałam, że rozumiem.

„I całe to gównno, cały ten żałosny, pieprzony klub mańkutów, i ta mała Kettener... Policja nic o tym nie wie?”

Odpowiedziałam, że o ile dobrze rozumiem, to nie.

„Przecież opiekowałyście się nią. Byłyście za nią odpowiedzialne, kurwa mać”.

Powiedziałam, że wiem, ale... miałyśmy wtedy po dziewiętnaście lat...

„To gównno, a nie usprawiedliwienie”.

Miał rację. Dziewczynka nie żyła i moja siostra nie żyła. Czy on sobie wyobrażał, że to mnie nie prześladowuje przez te wszystkie lata, całe wieki?

„Okej”, wymamrotał Kosta. „Kurwa mać, okej. Ale teraz nadszedł czas spojrzeć w przyszłość”.

Choć sporo wypiliśmy i poszliśmy do łóżka bardzo późno, Kosta wstał już przed siódmą i wziął prysznic. Na szczęście tego dnia miałam nocny dyżur w szpitalu, więc nie musiałam dzwonić i prosić o zwolnienie. Ale Kosta wciąż był nakręcony. Twardo obstawał przy tym, co powiedział: że „musimy coś z tym zrobić”. A kiedy zapytałam, co ma na myśli, mówiąc „my”, odpowiedział: „Ty i ja. Clara Behrens i ja”.

Potem zaczął coś mówić o Molly Hansen. Coś z nią było nie tak. Nie bardzo wiedział co, ale jak się pracuje w branży więcej niż połowę życia, to takie rzeczy się czuje. Ma się po prostu intuicję.

Zapytałam go, czy naprawdę podejrzewa, że ona maczała palce w tym pożarze, a on odpowiedział, że o tym też musimy porozmawiać.

I znów to „musimy” i znów to „my”. Kiedy próbowałam mu tłumaczyć, że policja w Oosterby na pewno zaangażowała wszelkie możliwe środki, żeby to

rozwiązać, tylko parsknął poirytowany.

„Policja? Już zapomniałaś, jak się zbłąznili poprzednim razem? Jak ci się wydaje, dlaczego z nimi skończyłem? Powiem ci tylko tyle, że jako prywatnemu detektywowi udało mi się rozwiązać dziesięć razy więcej spraw, niż gdybym został z nimi”.

Nigdy go nie zapytałam, dlaczego odszedł z policji w Maardam, widziałam, że to nieodpowiednia pora. Siedziałam przy stole jakby wyczerpana. Miałam lekkiego kaca i czułam się winna. Nie miałam siły zaprotestować ani się postawić.

I mimo jego obsesji przyznawałam mu i przyznaję rację w jednym: staliśmy i wciąż stoimy po tej samej stronie. Pozwoliłam mu tym kierować, jakby to jego „my” już do nas przyłgnęło i jakbyśmy faktycznie razem musieli coś z tym zrobić, Kosta i ja. I nie ma najmniejszych wątpliwości, kto trzymał stery. Kto trzyma stery.

Raz już od niego uciekłam, teraz sytuacja jest zupełnie inna.

Powiedział, że zostanie jeszcze parę dni, żeby przemyśleć dalszy plan. Zrobił się z tego tydzień.

Co najmniej tydzień, dokładnie już nie pamiętam. W końcu to ja się poddałam, nie on. Kiedy piszę te słowa, siedzę w pociągu jadącym na południe. Mam zadanie do wykonania, wzięłam dwa tygodnie urlopu i czuję się, jakbym była w drodze do czegoś niejasnego, nieokreślonego. Jednocześnie wiem, że to konsekwencja tego, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu – taka bomba, która bardzo długo czekała i tykała, żeby wcześniej czy później wybuchnąć. Nigdy się nie zastanawiałam nad przeznaczeniem i wolną wolą, ale dzisiaj, kiedy wyglądam przez okno pociągu na ponure, mokre świerki, nie mogę się opędzić od myśli, że jestem tylko małym pionkiem. Pionkiem w grze, której rozwoju nie umiem przewidzieć.

Mniej rozmyślałam nad rezultatem mojej podróży i mojej misji (należał, żeby to nazywać „misją”) niż nad tym, co Kosta kombinuje. On też ma misję do

wykonania, choć nie powiedział jaką. Ma się z kimś spotkać... już się nawet umówił... Tyle powiedział. Cały tydzień wisiał na telefonie i mejlował, wyglądał jak detektyw ze starych amerykańskich filmów, jak jakiś Humphrey Bogart w wersji *light*, a jego zdenerwowanie rosło z dnia na dzień. Ale kiedy go zapytałam, czy to Kransky, czy to rzeczywiście Leopold Kransky, i czy to z nim się próbuje umówić, pokiwał tylko głową i przyłożył palec do ust.

„Lepiej, żebyś nie wiedziała, uwierz mi”.

Przesłuchał mnie w związku z porwaniem, i to naprawdę było przesłuchanie. W żadnym razie nie czułam się jak jego współpracowniczka czy partnerka w pracy. Wręcz przeciwnie – jak podejrzana, a w najlepszym razie... świadek koronny, tak to się chyba nazywa. Kto jakie miał zadanie? Jakie mieliśmy role? Jacy byli poszczególni członkowie rodziny Kettenerów? Czy moja siostra wiedziała, co się dzieje, czy była zupełnie poza tym?

I tak dalej...

Odpowiedziałam na wszystkie jego pytania tak dokładnie, jak to tylko było możliwe; tym razem już nawet nie próbowałam umniejszać swojej roli... Czuję, jakby czas wstydu i poczucia winy minął. Jeśli istnieje jakieś inne życie, po tym ziemskim, to wiem, że będę tam przesłuchiwana przez nieprzekupnego sędziego... Ale żeby całą tę procedurę przechodzić przed władzą doczesnego życia...? Nie, na to nie jestem gotowa. I Kosta to zaakceptował. Celem naszej współpracy nie jest posadzenie mnie na ławie oskarżonych. Celem jest posadzenie tam mordercy.

I jeszcze jeden szczegół, który mnie niepokoi (zaraz muszę zmienić pociąg, potem już nie chcę więcej pisać): Vandelbo. Byliśmy tam dwa razy, pierwszy raz w maju, drugi raz pod koniec sierpnia, i z jakiegoś powodu zapomniałam zwrócić klucze od domku. I z jakiegoś innego powodu wspomniałam o tym Koście. Wczoraj rano, tuż przed wyjściem do pracy, zapytał mnie, gdzie mam ten klucz. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że wisi na tablicy w kuchni, razem z innymi kluczami.

„Świetnie”, odparł. „Może go pożyczę. O tej porze roku nikt tam pewnie nie mieszka, jak sądzisz?”

Wzruszyłam ramionami i powiedziałam, że domek pewnie stoi pusty, a zanim zdążyłam zadać więcej pytań, Kosta uniósł palec wskazujący do góry i wwiercił się we mnie swoim obsesyjnym wzrokiem. Pomyślałam, że coś się z nim dzieje. Że w drzwiach stoi szalony człowiek i wypluwa z siebie swoje credo życiowe.

„Im mniej wiesz, tym lepiej”.

Żałuję, że nie pokazałam mu mojego pieprzyka.

Ale „im mniej wiesz...”. Tak, może rzeczywiście ma rację.

W każdym razie wygląda to tak, jakbym od czegoś uciekała. Od wszystkiego, co było. Od mojego życia.

Co oczywiście nie znaczy, że nie wykonam swojej misji.

Listopad 2012, Maardam

Gunnar Barbarotti patrzył na miasto spowite mgłą. Była sobota, piętnaście po dziesiątej. Spał trzy godziny w łóżku Evy Backman i trzy godziny we własnym. Tylko w odwrotnej kolejności. Nie uprawiali seksu.

Rano w restauracji hotelowej zjedli porządne śniadanie, potem przez pięć minut Barbarotti rozmawiał przez telefon z dwójką swoich dzieci w Kymlinge. Najpierw z Martinem, który był zbyt zaspany, żeby cokolwiek powiedzieć, potem z Jenny, która też zaspana powiedziała, że wszystko jest w totalnym porządku. Wszystkie latorośle – oprócz Johana, który skończył już dwadzieścia lat i był pełnoletni – były w domu, w Willi Pickford, i wczoraj wieczorem oglądały film. Do drugiej w nocy – no, może do wpół do trzeciej – poza tym nikt nie pił nic mocniejszego niż cydr i z nikim nic się złego nie dzieje. Oprócz tego, że potrzebują pospać jeszcze parę godzin. Kurczę, przecież jest sobota, nie? A jaka jest pogoda w Maardam?

– Nie wiem – odpowiedział Barbarotti zgodnie z prawdą. – Nic nie widać, bo jest mgła.

Chociaż nie, dwie wieże kościelne, teraz dopiero je zobaczył. Zastanawiał się, ile takich wież jest w sumie na świecie i czy nasz Pan zajmuje się w ogóle takimi sprawami. A jednak istniało tyle namacalnych dowodów tu, na ziemi. Wzniesione w trudzie i znoju, potem spalone, zbombardowane i znowu odbudowane, odrestaurowane, i tak w kółko, przez wieki. Ich iglice, niczym spiczaste palce, z lekką dozą zarozumiałości wskazują na nieskończenie odległe

niebo. To tam się wybierzemy w podróż, kiedy nadejdzie czas. Jeśli sobie na to zasłużymy. „I zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy”.

Nie, nie chodzi o to, żeby sobie zasłużyć. Chodzi o łaskę.

Przynajmniej czegoś się nauczył, odkąd na poważnie zaczął się zadawać z naszym Panem.

Oczywiście, to dusze powinno się liczyć, nie wieże kościelne. Jeśli to w ogóle jest coś policzalnego.

Mgła nieco opadła i Barbarotti zobaczył, że jedna z domniemanych wież to po prostu dźwig budowlany. Uświadomił sobie, że nie po to tu przyjechał, żeby z hotelowego okna na dziesiątym piętrze gapić się na to zasnute mgłą miasto i oddawać metafizycznym rozważaniom.

Lepiej iść do łazienki i umyć zęby. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut będą z Evą Backman czekać w lobby na oprowadzanie z przewodnikiem po komisariacie w Maardam. Wszystko ma swój czas.

Czas przed lunchem poświęcono fenomenowi Kostadina Millera. Młody, pełen entuzjazmu aspirant wydziału kryminalnego Cronenberg z pedagogiczną dokładnością przedstawił – w PowerPoincie – szczegółowe informacje na temat zamordowanego prywatnego detektywa, byłego śledczego.

Kostadino Eduardo Miller. Urodzony w 1947 roku w Genewie, w Szwajcarii, zmarł w 2012 roku w Vandelbo, niedaleko Kymlinge, w Szwecji. Ojciec Szwajcar, matka pochodzenia portugalskiego, jedynak. Na początku lat sześćdziesiątych rodzina wyemigrowała do Kanady, ale kilka lat później Kostadino wrócił do Europy i zamieszkał w Brugii, w Belgii. W 1976 roku ożenił się z Cassandrą Waites, pracował w dziale ekonomicznym w firmie należącej do jej rodziny (Waites & Spinster International Watercraft Solutions FG; Barbarotti próbował odgadnąć, jakie towary czy usługi świadczyła firma, ale po chwili się poddał), w roku 1980 rozwiódł się. Bezdzienny. Przeniósł się do Maardam, gdzie mieszkał w latach 1980–1987, doksztąpił się i przez kilka lat pracował jako policjant kryminalny.

Tutaj komisarz Münster – który uczestniczył w prezentacji razem z Ewą Moreno i z inspektorem, którego nazwiska Barbarotti nie pamiętał – przerwał i wyjaśnił, że osobiście pracował z Kostadinem Millerem ponad rok i że wróci z komentarzem, kiedy aspirant Cronenberg skończy.

W sierpniu 1987 roku Miller odszedł z policji z nieznanych powodów, kontynuował Cronenberg. Wyjechał z miasta i osiadł w Loewingen, gdzie założył biuro detektywistyczne. W 1991 roku znów się przeprowadził, tym razem do Oostwervingen, tam związał się z Ursulą Mosel i kontynuował pracę jako prywatny detektyw, rejestrując swoją działalność pod nazwą TPE, The Penetrating Eye. Pod koniec 2000 roku rozstał się z Ursulą Mosel i wrócił do Maardam, gdzie mieszkał przez trzy lata, następnie przeniósł się do Aarlach i to tam mieszkał oraz pracował przez ostatnią dekadę.

Cronenberg zakończył swoją prezentację stwierdzeniem, że Miller nie miał dzieci ani innych spadkobierców i że trzeba się zastanowić, po co w ogóle pojechał do Szwecji, gdzie dokonał żywota na werandzie położonego na pustkowiu domku letniego... I że być może to pytanie jest prawdziwym powodem, dla którego spotkali się w tę mglistą listopadową sobotę.

– Zgadza się – powiedziała Ewa Moreno z westchnieniem. – I zanosi się na to, że jeszcze tu trochę posiedzimy.

– Jeśli chodzi o osiągnięcia Millera jako prywatnego detektywa w ramach działalności TPE – dodał Cronenberg – to udało mi się zgromadzić małą dokumentację na ten temat. Leży na stole, po egzemplarzu dla każdego, do samodzielnego przeczytania.

Zgasił ekran i zapalił światło. Münster podziękował za prezentację i powiedział, że Cronenberg jest wolny i może iść do domu do swoich bliskich (trójka dzieci poniżej pięciu lat, ciężarna żona i dwa niezwykle aktywne szczeniaki, jak zdradził aspirant Cronenberg z trudnym do odczytania uśmiechem).

Jeśli oczywiście goście ze Szwecji nie mają pytań.

Goście ze Szwecji aż się dławili od pytań, ale odpowiedzi nie leżały w gestii Cronenberga.

– Co on, do diabła, robił w Szwecji? – zastanawiała się Ewa Moreno, kiedy sprzęt aspiranta Cronenberga został zastąpiony kilkoma butelkami wody mineralnej i tacą z owocami. – Bo chyba nie był tam na wakacjach, co?

– Fakt, to dość niezwykle, że ktoś spędza wakacje w naszym kraju w październiku – zgodziła się Eva Backman. – Ale Münster ma jeszcze trochę informacji o zamordowanym... o jego specyficznym charakterze, prawda?

– Musimy jednak pamiętać, że mają dwadzieścia pięć lat – zaznaczył Münster. – Ale tak, zgadza się, to był bardzo specyficzny facet, ten Kostadino Miller. Wszyscy tak uważali... wszyscy, którzy z nim pracowali.

– Specyficzny? – zapytał inspektor bez imienia. – Ja też od czasu do czasu czuję się specyficzny. Czy można prosić o więcej szczegółów?

Barbarotti uświadomił sobie, że przekroczyli granicę, za którą nie wypada już pytać, jak się nazywa ów inspektor, miał więc nadzieję, że to wypłynie przy okazji.

– Spróbuję – odparł Münster. – Jeśli powiem, że Miller był chorobliwie dogmatyczny, to nie przesadzę. Był wściekły na wszystko i na wszystkich, jakby cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Przestępcy, koledzy z pracy... cała ludzkość... wszyscy byli przeciwko niemu.

– Sympatyczny gość – powiedziała Ewa Moreno. – Ja przyszedłam tu rok po jego odejściu.

– Zgadza się – rzekł Münster. – Trzeba dodać, że jeśli zdarzyło się, że coś się udało, coś dobrze wyszło, to tu też nie znał umiaru. Mógł obwołać geniuszem ślepą kurę, której udało się znaleźć ziarno... Zwłaszcza jeśli tą kurą był on sam...

– Lubił Springsteena – powiedziała Eva Backman.

– Nie tylko lubił – sprostował Münster. – Bruce to był dla niego nie tylko the Boss... To był Bóg.

– Dlaczego odszedł? – zapytał Barbarotti.

– To było w jego stylu – odpowiedział Münster. – Po pierwsze, uważał, że my wszyscy jesteście idiotami... no może z wyjątkiem komisarza Van Veeterena, którego będziecie mieli przyjemność spotkać po lunchu... Po drugie, zakochał się w najpiękniejszej i najwspanialszej kobiecie świata. Była zamieszana w morderstwo, ale Miller zrobił wszystko, żeby ją oczyścić z zarzutów... Prawdopodobnie chciał się z nią ożenić, jak tylko uda jej się uniknąć długich ramion sprawiedliwości. Już tu przekroczył wszelkie granice. Można go było zwolnić dyscyplinarnie, ale jego szef przedkładał miłosierdzie ponad prawo i zaproponował mu odejście za porozumieniem stron.

– Hm... – Eva Backman westchnęła. – Następnie przez dwadzieścia pięć lat pracował jako detektyw, a potem skończył żywot z siekierą w głowie u nas w Szwecji, tak? Całkiem interesujące życie.

– Dokładnie – powiedziała Ewa Moreno. – I możliwy związek z naszą starą porażką: z morderstwem w Oosterby. Muszę przyznać, że mam sporą satysfakcję, że nie uczestniczyłam w tym śledztwie. A jak to wygląda z waszej strony? Wczoraj wieczorem próbowaliśmy trochę o tym rozmawiać, ale nie było z nami inspektora Junga, a wiadomo, że facet ma głowę na karku.

Wielkie dzięki, pomyślał Barbarotti. A więc Jung.

– Dziękuję – odpowiedział inspektor Jung. – To dla mnie coś nowego i przyznam, że jestem ciekawy.

– Ty czy ja? – zapytała Eva Backman i popatrzyła prosto w oczy swojemu koledze po fachu, a jednocześnie partnerowi w łóżku.

– Ty zacznij – odparł Gunnar Barbarotti.

I Eva Backman zaczęła.

W szczegółach opowiedziała o ciele na werandzie w Vandelbo, o tym, że przeleżało tam kilka dni i że podczas przeczesywania domku poza pustym portfelem nie znaleziono nic, co miałoby jakikolwiek związek z Kostadinem Millerem – ani jednej sztuki ubrania, żadnych rzeczy osobistych, co może

wskazywać na to, że morderca wszystko dokładnie usunął. Być może chciał ukryć tożsamość ofiary, a przynajmniej opóźnić jej zidentyfikowanie. W mieszkaniu Birgitte Behrens też nie było żadnych jego śladów, mimo iż przed śmiercią bywał tam od czasu do czasu.

Świeże odciski palców i DNA, w obu miejscach, świadczą natomiast o tym, że sprawca miał dostęp do miejsca, w którym dokonano morderstwa. Najprostszy scenariusz jest taki, że sprawcą była kobieta, sama Birgitte Behrens. Jednak te wnioski muszą jeszcze poczekać. Wrócą do tej konkluzji.

Głos zabrał Barbarotti i przedstawił to, co oni – szwedzcy śledczy – wiedzieli już o tej kobiecie. Że z Maardam do Kymlinge przeniosła się jesienią 2001 roku i że wtedy zaczęła pracę w szpitalu. Była to kobieta samotna, bez żadnych znajomych; przynajmniej tak wynika z informacji, jakie udało się zebrać podczas rozmów z jej koleżankami w szpitalu. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Kostadino Miller spotkał swojego mordercę w Vandelbo, Birgitte Behrens poprosiła o dwa tygodnie urlopu; wszystko wskazuje też na to, że wtedy opuściła swoje mieszkanie. Dokąd pojechała, do tej pory nie wiadomo, w każdym razie w mieszkaniu nie znaleziono ani jej paszportu, ani komputera, to z kolei wskazuje, że planowała wyjazd, być może nawet poza granice kraju. W pracy ma się pojawić za dwa dni, czyli w najbliższy poniedziałek. Jeśli w ogóle wróci.

– Ona i Miller byli razem w tym domku letnim? – zapytała Ewa Moreno. – Czy to pewne?

Barbarotti skinął głową.

– Najprawdopodobniej. Ale czy to ma jakiś związek z morderstwem, tego nie wiadomo.

– Znali się od dawna?

– Na pewno parę lat – odpowiedziała Eva Backman. – Rozmawialiśmy z sąsiadem, który to poświadczył.

– W każdym razie musimy ją traktować jako główną podejrzaną – skonstatował Münster. – Jedyne, co brzmi w moich uszach nieco fałszywie, to

fakt, że zadała sobie trud, by wziąć urlop... Jeśli się planuje kogoś zabić, to się ucieka, a nie bierze urlop.

– Ale nie wiemy, czy zrobiła to przed morderstwem, czy po morderstwie – zaznaczył Barbarotti. – Mam na myśli to, kiedy wzięła urlop. Równie dobrze mogło być tak, że wyjechała z Kymlinge jeszcze przed morderstwem. Jeśli tak, to jest niewinna. I nawet może o niczym nie wie. Mogę sobie wyobrazić, że siedzi gdzieś na Gran Canarii i popija sangrię.

– Nie – zaprotestowała Eva Backman. – Jeśli w ogóle wyjechała ze Szwecji, to na pewno nie samolotem. Tyle wiemy. Czy macie jakieś pytania co do sytuacji u nas?

Rozejrzała się wokół stołu i zobaczyła, że inspektor Jung macha długopisem.

– Skoro zdaje się, że mam głowę na karku... – zaczął – to tak, mam kilka pytań... a właściwie jedno. Dotyczy tak zwanego związku jednego z drugim... Dla mnie to się po prostu kupy nie trzyma.

Ewa Moreno pokiwała głową.

– Zgadza się. Też się nad tym zastanawiam. Ale szanowny inspektor Münster zaproponował, żebyśmy połączyli siły z tymi sympatycznymi Szwedami, prawda Münster?

– W pewnym sensie – odpowiedział Münster tajemniczo.

– Dziękujemy – odezwał się Barbarotti i odwrócił się do Junga. – U nas jest tak, że jeśli nie jesteśmy w stanie sobie poradzić ze śledztwem, to przynajmniej staramy się być mili.

– Taką macie politykę w Szwecji? – zapytał Jung.

– Zamykamy tyle śledstw, ile dajemy radę – dodała Eva Backman. – Fakt. A jeśli chodzi o to, czy jesteśmy mili, to pracujemy nad tym.

– Ale mówiąc poważnie, komisarzu – wtrąciła się Ewa Moreno. – To nie jest to chyba najmocniejszy dowód, co?

Münster siedział w milczeniu i nad czymś się zastanawiał.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, Kostadino Miller nie miał nic wspólnego ze sprawą Oosterby, tak? – rozwinął swoją myśl Jung. – Birgitte Behrens też nie

była w to zamieszana, tak? Jest tylko siostrą jednej z ofiar, to wszystko. A to znaczy...

– Wiem, o co ci chodzi – przerwał mu Münster. – To prawda, równie dobrze mogli się spotkać przypadkiem... w końcu przypadki chodzą po ludziach. Ale Kostadino został zamordowany i być może ona to zrobiła. Przecież zniknęła, a jeśli pakuje się komuś siekierę w głowę, to raczej dobrym pomysłem jest się ulotnić.

– No tak, ale – inspektor Jung nie dawał za wygraną – gdzie związek między jednym a drugim?

– Hmm... – Münster westchnął. – Moim zdaniem to możliwe. Zwłaszcza że Maasenegger nie ma nic wspólnego z pożarem, jak się okazało... Ale tak, zgadzam się... związek jest dość mizerny. W każdym razie musimy wziąć pod uwagę inną okoliczność...

– Jaką okoliczność? – zdziwiła się Eva Backman, a Barbarottiemu wydało się przez moment, że Münster poczerwieniał na twarzy. A przynajmniej wydał się zakłopotany.

– Naszym gościom ze Szwecji może się to wydać trochę irracjonalne, i nawet to zrozumieć – powiedział i złożył ręce w przepaszającym geście – ale rozmawiałem z Van Veeterenem o tym, co się u was wydarzyło, i przekonywał mnie... z dużym zapalem... że jednak istnieje związek między jedną sprawą a drugą. Wy nie poznaliście Van Veeterena, prawda?

Powiódł wzrokiem po Barbarottim i Evie Backman, którzy potrząsnęli głowami.

– Dużo o nim słyszałam – odpowiedziała Eva Backman. – To legenda. Mówiłeś, że ile ma teraz lat?

– Właśnie skończył siedemdziesiąt pięć – odparł Münster. – Z wiekiem wcale nie złagodniał, a jego intuicja wciąż jest ostra jak brzytwa. Van Veeteren to pojęcie samo w sobie, pewien koncept, idea...

– I jeśli twierdzi, że jedno z drugim ma coś wspólnego, to znaczy, że ma, tak? – zapytał Barbarotti.

– Mówiąc w skrócie – odpowiedział Jung. – Cofam swój sprzeciw.

Ewa Moreno zaśmiała się.

– Pewnie jesteście go ciekawi. Już niedługo spotkacie się z naszą legendą. Pojawi się tu po południu, żeby zająć się tym kucharzem z Berlina.

– Volkerem Hermannem, zgadza się – powiedział Münster. – W tym najlepszym ze światów będzie to Leopold Kransky i wtedy sprawa zostanie wyjaśniona.

– Nie dla nas – zauważył Barbarotti.

– Nie, nie dla was – zgodził się Münster. – Coś mi mówi, że to jest trochę bardziej skomplikowane. Z drugiej strony przecież może być w to wszystko wmieszany, nie będąc Kranskym.

– Wspólnik? – zapytał Jung.

Münster kiwnął głową.

– Możliwe.

– A odciski palców? – zapytała Eva Backman. – Przecież musicie mieć odciski Kransky’ego?

– Oczywiście – odparł Münster. – Weźmiemy też Hermanna.

– Jeszcze tego nie zrobiliście?

Münster wzruszył ramionami.

– Nie. W Oosterby występował w roli świadka. A od świadków nie bierzemy odcisków palców. Z kolei w Berlinie nie był o nic oskarżony... nawet jeśli miał przy sobie dość dużą sumę pieniędzy, z których nie był w stanie się wytłumaczyć. Jest w drodze tutaj, bo może mieć decydujące dla dochodzenia informacje... i oczywiście weźmiemy jego odciski, jak tylko się pojawi.

– Nie od razu Rzym zbudowano – skostatował Barbarotti.

– To ty go przesłuchiwałaś w Oosterby? – zapytała Eva Backman. – Prawda?

– Dwa razy – westchnął Münster. – Oczywiście miał w zasięgu ręki wszystkie możliwości, mógł na przykład otruć całe towarzystwo czy podpalić pensjonat. Ale nie odniosłem takiego wrażenia.

– Intuicja? – zapytał Barbarotti.

– Uczyłem się od mistrza – przyznał Münster i spojrział na zegarek. – Ale proponuję, żebyśmy zjedli lunch, bo po południu będziemy musieli zabrać się ostro do roboty. Komisarz Radovic też jest już w drodze.

– Silna ekipa – skomentował Barbarotti.

– Przynajmniej na papierze – powiedział Jung i się podniósł. – Ale lunch ważna sprawa. To jedyne, czego jestem naprawdę pewien po trzydziestu latach w tym zawodzie.

Listopad 2012, Maardam

Morderca poszedł na dworzec i kupił trzy paczki westów.

Palił tylko jednego papierosa dziennie, ale miał w zwyczaju kupować nową paczkę po otwarciu ostatniej. Zawsze przed południem, zawsze na dworcu, zawsze w kiosku między dziewiątym a dziesiątym peronem. To tutaj kupił swoją pierwszą paczkę dwadzieścia trzy lata temu; tego samego dnia, kiedy władza przyznała mu rentę na resztę życia. To nie był przypadek. Papierosy kosztowały wtedy o połowę mniej niż dzisiaj, cała reszta się nie zmieniła. Kiosk stał tam, gdzie kiedyś, asortyment był taki sam: słodyczne, gazety, książki i wyroby tytoniowe. W lodówce podobny wybór napojów i podobne ekspedientki na kasie. Teraz tylko jedna z trzech – dwie ciemne i jedna blondynka, ale to jedna z ciemnowłosych i blondynka pracowały tu dłużej, więc obie uśmiechały się do niego nieśmiało i kiwały mu głową na powitanie.

Mimo iż przychodził tu tylko raz w miesiącu, a one pewnie obsługiwały ponad tysiąc klientów dziennie. Oczywiście możliwe, że kłaniały się tak komu popadło. Że to wchodziło w zakres ich obowiązków. Młodszą, ciemną, która najprawdopodobniej miała w żyłach azjatycką krew, widział tylko raz uśmiechniętą i nie był to uśmiech skierowany do niego, lecz do klienta, który stał przed nim i kupował tabletki na gardło i gazetę. Może to był jej krewny albo przyjaciel.

Dzisiaj obsługiwała blondynka. Uśmiechnęła się i skinęła głową. Pomyślał sobie, że gdyby był zupełnie innym człowiekiem, mógłby to odczytać jako dobry znak i nawet się trochę zdziwił, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy.

Nie wyobrażał sobie – ani nie próbował tego zrobić – jak ludzie w takiej sytuacji się zachowują, więc ta myśl znikła z jego głowy tak samo szybko, jak się pojawiła. Nie wierzył w żadne znaki, ponieważ nie istnieje nic takiego jak znaki. Czy ostrzeżenia. Albo magiczne myślenie. To tylko złudzenia i niewiedza. Życie to konkret i rzeczywistość.

Grzecznie podziękował, wziął resztę i włożył papierosy do torby. Wszedł z dworca tą samą drogą, którą wszedł, spojrzał na duży, żółty zegar przed wejściem i skonstatował, że może jeszcze zdąży pójść do Bistro Langemaar na Zwille i zjeść lunch. W soboty jadał lunch w Langemaar, ale nie zawsze, może trzy razy na pięć. Pomyślał, że dobrze znów się znaleźć na starych śmieciach; nie lubił podróżować, ale nie miał wyboru – sytuacja go do tego zmuszała.

Wolny wybór to też iluzja. Zrozumiał, doświadczył empirycznie, że każdy człowiek pojmuje to inaczej, choć w sumie to nieistotne. Mamy tylko własne życie, tylko własną egzystencję, i to do niej należy się odnosić, co w jego przypadku nietrudno było zrozumieć, kiedy przeanalizował wszystkie przesłanki. Okresy niepokoju pojawiały się zawsze wtedy, kiedy owa analiza nie była jeszcze gotowa. Wtedy świat wydawał się niepewny i niestabilny.

Palił papierosa, jak zwykle. Na balkonie, po wiadomościach o dziewiątej wieczorem. Stał i z góry patrzył na miasto; mgła wciąż się utrzymywała, a teraz jeszcze zgęstniała, tak że nic nie można było zobaczyć. Ani spiczastej wieży kościoła Keymer, ani żurawia na Krugerplejn, ani oświetlonego przystanku tramwajowego. Uświadomił sobie, że to lubi. Im mniej się widzi, tym lepiej... Przez chwilę zastanawiał się, czy myślałby tak samo, gdyby był niewidomy.

Prawdopodobnie nie. Porządek jest ważny, jakiś stały punkt w życiu, ale ten porządek musi być kontrolowany zmysłem wzroku.

Przynajmniej pewien rodzaj porządku. Codzienny, ten, który go otacza. Istnieją jeszcze inne porządki, wyższego rzędu. Przejawiają się poprzez działania i konsekwencje, poprzez przyczynę i skutek, poprzez kompleksowość. Owe działania powinny być adekwatne do sytuacji, aby nie naruszyć równowagi,

balansu. Poznał je już we wczesnym dzieciństwie, choć wtedy był ich świadomy w pewien niedojrzały sposób. Ów wyższy porządek zaburzała w nim jakaś niejasna irytacja, która czasami rosła do silnego, niemalże dławiącego zniechęcenia. To trwało aż do dorosłości, dopiero wtedy potrafił ją sformułować. I dzięki temu znaleźć sposób, jak prosto ominąć problemy, a jeżeli już się pojawiły, jak rozwinąć metody radzenia sobie z nimi.

Dopóki nie zobaczymy równania, dopóty nie będziemy umieli go rozwiązać.

Równanie, które chwilowo – właściwie to przez cały ostatni miesiąc – go absorbowało, nie miało jeszcze swojego ostatecznego rozwiązania. Podróż do Szwecji i to, co się wydarzyło w domku pod lasem, stanowiły krok w dobrym kierunku, ale nie ten ostateczny. Został jeszcze jeden, mniejszy. Zrozumiał to, kiedy rozmawiał z nią przez telefon, a dekonspiracja w Szwecji nie zostawiała mu innych dróg.

Nie była tą, za którą się podawała.

Była kimś innym. Kimś przepelnionym winą; ta nierównowaga leżała i tykała przez dwadzieścia jeden lat, a teraz nagle ujrzała światło dzienne. Rzeczy są takie, jakimi je widzimy – tego nauczyło go życie. Życie jest pełne takich defektów, ukrytych dysproporcji, ale możemy i musimy poradzić sobie tylko z tymi, które znamy i których jesteśmy świadomi. Na szczęście. Szukanie istniejących przeszkód to najbezpieczniejsza obrona przed otchłanią szaleństwa.

Szczególnie dla takiej osoby jak on.

Ja to tylko ja, myślał. Inni niech sobie żyją na własnych warunkach, to nie moje zmartwienie. Mój świat jest moim światem, ich jest ich światem.

Zgasił papierosa w doniczce z piaskiem. Czyścił ją z petów i sypał świeżego piasku – zawsze tego samego dnia, kiedy kupował nową paczkę papierosów. Był to piasek dla kotów marki Missy, najmniejsze opakowanie, które w całości mieściło się w doniczce. Miał jeszcze cztery paczki w szafie w sypialni; wystarczy do wakacji.

Wrócił z balkonu do mieszkania. Sprawdził, czy zgasił światło w pokoju do ćwiczeń, i usiadł za biurkiem. Założył słuchawki i zaczął słuchać płyty z odgłosami natury – fal odbijających się o brzeg. To idealne tło, kiedy trzeba się skoncentrować. Wydawało mu się wtedy, że szum fal działa podobnie jak narkotyk, że otwiera umysł. Czytał o tym co nieco, bo to oczywiście pokrywało się z jego kompetencjami. A jednak czuł, że to trochę wbrew jego woli, że to do niczego nie prowadzi, a tylko odciąga od ważniejszych rzeczy. Chociaż tak jest z niektórymi myślami; rodzą się jak niechciane dzieci i nie można się od nich odciąć, dopóki wystarczająco nie urosną. Oprócz codziennego papierosa nigdy nie próbował żadnych narkotyków, tak więc ta powracająca myśl była zaledwie gołą, bezużyteczną spekulacją.

Odrzucił ją jeszcze tego samego wieczoru.

Słuchając fal, zaczął szkicować plan.

Najwyższy czas. Tak, najwyższy czas.

Listopad 2012, Maardam

Z powodu warunków pogodowych samolot z Berlina wylądował na Międzynarodowym Lotnisku w Maardam z dziewięćdziesięciominutowym opóźnieniem.

Komisarz Münster ubolewał nad tym, ale zaproponował, że jeśli i tak wszyscy są na miejscu, to można wykorzystać okazję i jeszcze raz przejrzeć materiał dowodowy. Czy ktoś ma coś przeciwko temu?

Nikt nie miał. Barbarotti rozejrzał się wokół stołu i pomyślał, że jest dokładnie tak, jak powiedział przed lunchem. Mocna brygada.

Dziewięć osób: on i Eva Backman. Münster, Moreno i Jung. Komisarz Radovic z Oosterby. I jako wisienka na torcie: osławiony Van Veeteren w towarzystwie żony – Barbarotti nie mógł zrozumieć powodu jej obecności. Była piękną, ciemnowłosą kobietą w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat.

Jeśli dotąd nie pojmował zakresu i znaczenia tego śledztwa, to teraz na pewno zrozumiał. Czuć to było w całym pokoju. W gęstym powietrzu unoszącym się nad owalnym, pobejcowanym na ciemno stołem. Z jakiego powodu osiem osób, wszystkie związane z policją w ten czy inny sposób (żona Van Veeterena stanowiła znak zapytania w tym kontekście), spotyka się i obraduje w zimnej, bezosobowej i niegościnniej sali konferencyjnej w listopadowe sobotnie przedpołudnie? Jeśli nie chodziło o sprawy życia i śmierci, to o co?

Spotkanie zaczął Radovic.

– Doceniam tak szeroką współpracę – powiedział. – Zobaczymy, co wyniknie ze spotkania z Volkerem Hermannem. Jeśli się okaże, że to faktycznie nasz

poszukiwany, Leopold Kransky, to będziemy w połowie drogi. A jeśli jest sobą... że tak się wyrażę... to może jednak ma jakieś ważne dla nas informacje. Szczerze mówiąc, nie szukaliśmy go, dopóki... dopóki Van Veeteren nam go nie wskazał...

Van Veeteren zamruczał coś pod nosem i spojrzął w okno.

– W ostatnich dniach sporo się wydarzyło – kontynuował Radovic. – Rozmawiałem na przykład z panem Bloewe, dyrektorem więzienia w Würgau od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, to znaczy przez ostatnie czternaście lat, czyli trzy czwarte kary Leopolda Kransky'ego. Obecnie Bloewe jest na emeryturze, ale potraktował sprawę z największą powagą... Rozmawiałem z nim przez telefon kilka godzin w zeszłą środę.

– Przepraszam, ale czego sprawa dotyczyła? – zapytał Jung. – Charakteru naszego potencjalnego mordercy czy czegoś innego?

– Tego też – odpowiedział Radovic. – Ale głównie tego, z kim Kransky utrzymywał kontakty w więzieniu i poza jego murami.

– Rozumiem – powiedział Jung. – I?

Radovic otworzył notes i wyjął kartkę.

– Jak twierdzi Bloewe, Leopold Kransky był wzorowym więźniem. Był zamieszany tylko w jeden incydent, tuż po tym, jak Bloewe został dyrektorem. Jednemu ze współwięźniów... swoją drogą był to wyjątkowo nieprzyjemny typ, lider... złamał oba kciuki. Sprawę wyciszono, a po tym zdarzeniu Kranskyego nikt już nie tykał w tych wewnątrzwięziennych walkach o władzę i przywództwo, niestety nadal obecnych we współczesnych placówkach... Cytuję tu Bloewego słowo w słowo.

– Wzorowym więźniem? – wystrzeliła Ewa Moreno. – Myślałam, że to drań bez skrpułów.

– Jedno nie wyklucza drugiego – skonstatował Van Veeteren z westchnieniem. – Każda moneta ma dwie strony.

– Zgadzam się – powiedział Radovic. – W każdym razie Kransky był przykładem cichego, silnego więźnia, tak go przedstawił Bloewe. Nie miał

żadnej potrzeby bratania się ze współwięźniami, nie utrzymywał żadnych kontaktów. Ani na zewnątrz, ani wewnątrz więzienia. Nigdy nie wychodził na przepustki, nigdy nie przyjmował żadnych gości. Do czasu. To się zmieniło sześć miesięcy przed wyjściem na wolność... – Radovic zrobił krótką przerwę i spojrzał w kartkę. – Piętnastego grudnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym miał pierwszą wizytę od dwudziestu lat. Mężczyzna, który przedstawił się jako Juliusz Ignati, odwiedzał go zimą i wiosną, aż do maja, kiedy Kransky wyszedł na wolność, w sumie aż szesnaście razy. Podawał się za pracownika organizacji charytatywnej zajmującej się pomocą więźniom po odbyciu kary... Sporo jest takich organizacji, więc niestety Bloewe nie zapamiętał nazwy. Zapamiętał natomiast, że w księdze gości zawsze podpisywał się inicjałami S.L.

– S.L.? – przerwała żona Van Veeterena. – Poczekaj... Czy to możliwe? Stowarzyszenie Leworęcznych...? Tak?

Rozejrzała się dookoła, szukając potwierdzenia. I natychmiast je znalazła u swojego męża – pod postacią przekleństwa.

– Cholera jasna!

– Właśnie – powiedział Radovic. – Niestety, w tym więzieniu odwiedzający nie musieli się legitymować, nie było to normą... przynajmniej wtedy. Oczywiście, może to fałszywy trop, może Juliusz Ignati rzeczywiście chciał pomóc Kranskyemu w ułożeniu sobie życia po wyjściu na wolność, ale, fakt faktem, nie udało nam się znaleźć nikogo o tym nazwisku...

– Jeszcze raz, jak się nazywał? – zapytała Eva Backman.

– Juliusz Ignati. Juliusz z „sz” na końcu... Jakieś słowiańskie nazwisko.

– *Ignati* znaczy „iskra” – wymamrotał Van Veeteren. – Dokładnie to, czego potrzebujemy, żeby oświecić nasze duchowe ciemności.

Możliwe, że powiedział coś innego, ale Barbarotti to właśnie usłyszał. I żeby chociaż w niewielkim stopniu rozproszyc te duchowe ciemności, skorzystał z okazji i dołożył swoją cegiełkę.

– To on – powiedział.

– Co? – zapytał komisarz Radovic.

– Przecież to oczywiste, jak dwa razy dwa cztery, że to nie jego prawdziwe nazwisko – tłumaczył Barbarotti. – Wydaje mi się, że ten gość to morderca, którego szukacie... przepraszam, którego szukamy.

Na trzy sekundy zapanowała cisza.

– Skąd wiesz? – zapytał Münster.

– Nie powiedziałem, że wiem – odparł Barbarotti. – Ale czuję to.

– Czujesz? – zdziwił się Jung. – Nieźle. Możesz to jakoś wyjaśnić?

– Chyba nie – odpowiedział Barbarotti i zaczął się wiercić. – Muszę to przemyśleć, żeby trzymało się kupy... ale to na pewno on.

Barbarotti zauważył, że reszta zaczęła kiwać głowami. Van Veeteren spojrzał na niego z uniesioną brwią i czymś, co przypominało uśmiech.

Może też się zastanawiał nad tym, jak to się dzieje, kiedy coś zaczyna się składać w całość, pomyślał Barbarotti. A może po prostu bolał go ząb i próbował to ukryć... Przecież na świecie jest tak wiele min, że trudno je wszystkie odczytać.

– Chyba powinniśmy wrócić do... – zaczął komisarz Radovic, ale otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł starszy policjant i poinformował, że niejaki Volker Hermann jest już na miejscu.

W przesłuchaniu uczestniczyli Münster i Van Veeteren. Pozostała szóstka czekała w pokoju za lustrem fenickim, skąd mogli obserwować ten pojedynek. Arena wyglądała dokładnie tak, jak powinien wyglądać pokój przesłuchań – potwornie smutno. Stół. Trzy krzesła. Zamknięte drzwi i głucha, wroga ściana ze szkła. Ostre i nieprzyjemne światło z trzech jarzeniówek na suficie.

Pokój, który doprowadza do szaleństwa.

– Nazwisko i adres, poproszę – zaczął przesłuchanie Van Veeteren.

– Nie powiem ani słowa bez mojego adwokata – wypalił Volker Hermann.

– Nie baw się z nami w kotka i myszkę – odparł Van Veeteren. – To nie amerykański serial kryminalny, tylko europejska rzeczywistość.

Volker Hermann ugryzł się w język i pomyślał chwilę.

– Okej – odpowiedział. – Ale jeśli zaczniecie się mnie czepiać, będę milczał.

– Ja się nigdy nie czepiam – stwierdził Van Veeteren. – No to słucham.

– A jakie było pytanie? – odparował Volker Hermann.

– Powiesz nam, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz – powtórzył Van Veeteren.

– Volker Hermann. Mieszkam w Neuköln, w Berlinie.

Wygląda na przybitego, pomyślał Barbarotti. Starszy mężczyzna, bliżej siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki, ze śladami ciężkiego życia, w całej swojej istocie. Wychudzony, siwe włosy, mizerna twarz zarośnięta szczeciniastą brodą, niedomyta skóra. Szara, zniszczona kamizelka na rozciągniętej koszulce polo. Dżinsy i sfatygowane trampki.

Nieszczęsny skurczybyk, pomyślał Barbarotti. Gdyby to był mecz bokserski, zaliczyłby nokaut już w pierwszej rundzie.

Ale to nie był mecz bokserski. Nawet jeśli sprawa dotyczyła życia i śmierci.

– To twoje prawdziwe nazwisko? – zapytał Münster.

– Prawdziwe jak cholera – odpowiedział Volker Hermann. – Ale może byście powiedzieli mi, po co tu jestem, co?

– Dowiesz się w swoim czasie – odparł Van Veeteren. – A jak myślisz?

Volker Hermann pokręcił głową.

– Gównno myślę. Złapaliście nie tę osobę. Jestem niewinny...

– Pensjonat U Molly – przerwał mu Van Veeteren. – Dlatego tu jesteś.

– Co takiego? – powiedział Volker Hermann.

– Dwudziesty ósmy września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy – dodał Münster. – Ale chyba nie musimy ci o tym przypominać, prawda?

– Znów ta cholerna historia? – Volker Hermann nie dowierzał. – Jeszcze w tym grzebiecie?

Barbarotti zauważył, że Volker Hermann był autentycznie zaskoczony. Jego uwadze nie uszedł również fakt, że Münster i Van Veeteren już nieraz to robili. Pewnie siedzieli w tym pokoju setki razy i przesłuchiwali zbłąkane owce, jedną

po drugiej. I jeśli nawet okaże się, że Volker Hermann nie jest żadnym mordercą, to z całą pewnością należał do stada zbłąkanych owiec.

– Mów, co wiesz o Leopoldzie Kranskim – powiedział Van Veeteren.

– O kim?

– Nie rźnij głupa – znów wtrącił się Münster. – Leopold Kransky.

– Pierwszy raz słyszę – odpowiedział Volker Hermann, wzruszając ramionami. – Kto to jest?

– Pensjonat U Molly – przypomniał mu Münster. – Byłeś tam, kiedy to się stało, i Leopold Kransky też tam był. Czy tak?

– Przecież mówię, że nie mam pojęcia, kto to jest! I nie wiem, po co mnie tu ściągaliście. Nie skrzywdziłem nawet muchy, a tu nagle pojawiają się gliny i...

– Jak długo pracowałeś u Molly? – przerwał Van Veeteren.

– Aa... chodzi o tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy, tak?

– Tak, chodzi o tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. A pracowałeś tam dłużej?

– Nie... nie, do diabła. To był tylko ten jeden raz.

– Jak się nazywa twoja matka?

– Co?

– Pyta cię o nazwisko matki – powtórzył Münster. – Masz problemy ze słuchem?

– Co... co ma do tego moja matka? Już nie żyje od... tak, od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. Zwinęła się w sylwestra pół godziny przed nowym rokiem. Cholerny pech, ale co zrobić.

– A więc? Jak się nazywała?

– Adele. Adele Buijs. Ja mam nazwisko po ojcu... był Niemcem... ale go nie pamiętam.

– Okej – powiedział Münster. – Wróćmy jednak do Leopolda Kransky'ego... Odwiedził Molly tamtej jesieni. Możliwe, że nazywał się wtedy inaczej. Rozumiesz, o co nam chodzi?

– Nie... nic nie rozumiem.

- Ale Molly chyba pamiętasz, co?
- Jasne, że tak.
- I chyba pamiętasz, czy krótko przed pożarem działo się z nią coś szczególnego, co?
- Nie mam pojęcia... Ale właściwie o co konkretnie wam chodzi?
- Pytam, czy Molly Hansen, twoja pracodawczyni, zachowywała się normalnie tuż przed tym pożarem.
- Tak... i nie, nic szczególnego się z nią nie działo.
- Dużo rozmawialiście o tych ludziach, którzy mieli przyjechać?
- Nie... no może trochę, musieliśmy przecież wszystko zaplanować...
jedzenie i tak dalej.
- Dlaczego zdecydowaliście, że zostaną sami i będą się sobą zajmować?
- Dlaczego?
- Tak, dlaczego?
- A skąd mam wiedzieć? To ona tak postanowiła. Może żebym nie musiał siedzieć do późna w nocy? Wynajmowałem pokój w mieście. To...
- Tak?
- To było dość naturalne.
- Czy organizowaliście takie przyjęcia wcześniej?
- Nie pamiętam... chyba nie, to był pierwszy raz. Ale było już po sezonie. Mieliśmy właściwie zamknąć, a że nie miałem żadnej innej fuchy, to mi nie zależało...
- A więc nie miałeś nic przeciwko temu, żeby pracować w tamten weekend?
- Nie. To była sobota... Śniadanie miała podać dziewczyna, która pomagała.
- Dziewczyna?
- Tak, dziewczyna... Jak jej tam było, do cholery?
Münster zadał mu całą serię pytań, a potem przyszedł czas na Van Veeterena.
- Co było do jedzenia?
- Do jedzenia?
- Tak. Przecież ktoś je musiał przygotować.

– Co?

– Czy to byłeś ty, czy ktoś inny?

– O co, kurwa, chodzi?

– Goście zostali podtruci. I dlatego nie byli w stanie się wydostać, kiedy wybuchł pożar... Więc pytam: w jaki sposób podano im narkotyki?

– Nie mam pojęcia. Wyszedłem parę godzin przed pożarem. Skąd mam wiedzieć?

– To pomyśl. Jak ci się wydaje, w jaki sposób?

Van Veeteren odchylił się na krześle i dał Münsterowi znak, żeby się nie odzywał. Barbarotti zastanawiał się, jaką taktykę obrali, ale jego rozmyślenia przerwał telefon Radovica, który rzucił okiem na ekran, przeprosił i wyszedł z pokoju. Eva Backman położyła Barbarottiemu rękę na ramieniu i przysunęła się bliżej niego.

– To nie działa – wyszeptała. – Czy ten nieszczęśnik nie ma nic do powiedzenia?

– Absolutnie nic – wyszeptał Barbarotti. – Ma coś na sumieniu, ale to nie dotyczy tej sprawy.

W pokoju przesłuchań nie działo się nic przez ponad pół minuty. Van Veeteren wstał i odwrócił się plecami do swojej ofiary.

– Skąd masz sto tysięcy w gotówce, które znaleźli u ciebie w domu?

– Dostałem w spadku – odpowiedział Volker Hermann.

– W spadku! – wykrzyknął Münster.

– Tak. To chyba nie jest zabronione, co?

Van Veeteren zakasłał, żeby ukryć śmiech.

– Miałeś całą dobę, żeby wymyślić jakąś historyjkę – skonstatował, wciąż odwrócony tyłem. – I jedyne, co ci przyszło do głowy, to spadek, tak?

Volker Hermann nie odpowiedział, ale jakby się skurczył na krześle.

– *All right* – odezwał się Van Veeteren. – Tym się zajmie policja w Berlinie. Teraz zrobimy przerwę... Nie, nie, ty zostaniesz... Aaa i jeszcze jedno... tu nie wolno palić. Spotkamy się za chwilę i pobierzemy odciski palców.

– Odciski palców...? A po co?

Volker Hermann nie otrzymał odpowiedzi. Van Veeteren i Münster opuścili pokój, a pięcioro widzów swoje miejsca.

– Niezłe widowisko – wyszeptał Barbarotti do Ewy Backman. – I stracony czas.

Wszyscy zebrali się w pokoju konferencyjnym, gdzie na stole czekała już taca z muffinami i termos z kawą. Wszyscy usiedli na swoich starych miejscach i Barbarotti pomyślał, że człowiek to jednak zwierzę, które lubi rutynę. Zauważył, że Radovica wciąż nie ma, ale zanim ktokolwiek zdążył dokonać analizy przebiegu przesłuchania, komisarz pojawił się w drzwiach.

Wciąż trzymał w ręku telefon, jakby to była jakaś broń.

– Mam nowe wieści – zaczął. – Ważne – zaznaczył. – Dowiedziałem się właśnie, że Leopold Kransky nie żyje.

– Nie żyje? – powtórzyła żona Van Veeterena i odłożyła zgniecionego muffina z powrotem na talerz.

– Zmarł w więzieniu w Ohio, w Stanach Zjednoczonych, sześć lat temu.

– A niech to diabli... – odezwał się ktoś, nie wiadomo kto.

– I jeszcze jedno... – powiedział Radovic i schował telefon do kieszeni marynarki. – Wydaje się, że miał alibi na noc, kiedy wybuchł pożar. Dwudziestego siódmego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku... czyli dzień przed pożarem... przyleciał na lotnisko Newark w Nowym Jorku. A amerykańskiej kontroli granicznej można ufać, takie jest przynajmniej moje doświadczenie.

Van Veeteren wziął głęboki wdech. Barbarotti pomyślał, że zabrzmiało to, jakby ktoś ciągnął ciało po chropowatym betonie na parkingu podziemnym w Baltimore. A ponieważ nigdy nie był w Baltimore, uznał, że musiał coś takiego widzieć w telewizji.

Listopad 2012, Maardam

Dziennik

Ta mgła. Zaczynam już od niej wariować.

Mam oczywiście wiele innych powodów, żeby zwariować, mocnych, niemalże powalających, łagodnie mówiąc, ale to ta mgła mnie łamie. Jej wroga obojętność czy cokolwiek to jest.

Dzisiaj mija piąty dzień. Przedwczoraj miałam wsiąść do pociągu i zacząć podróż do domu, ale kiedy się pakowałam, zadzwonił Kenneth.

Mam telefon na kartę. Tylko trzy osoby na całym świecie znają mój numer. Mój syn, Kostadino Miller i Kenneth Wilhelmsson. Szpital ma mój numer domowy i adres mejlowy, którego nigdy nie używam.

Kosta nie żyje. To dlatego Kenneth zadzwonił. Musi chodzić o Kostę. Znaleźli go tam, w domku, na werandzie, a ja byłam ostatnim gościem. „Co ty sobie, do diabła, myślisz?” Co ja sobie, do diabła, myślę, chciał wiedzieć. „Dlaczego nie zwróciłaś klucza?”

Choć był środek dnia, on był pijany, słyszałam to przez telefon. Nie pamiętam, żebym dawała mu swój numer. Musiało się to stać, kiedy brałam od niego klucz. Pewnie zapisał gdzieś na papierze w swoim zabałaganionym biurze i znalazł przez przypadek.

Sama nie wiem, po co o tym piszę. Może po to, żeby odsunąć od siebie inne myśli. Kostadino nie żyje. Ten zadufany w sobie idiota pojechał do domku pod lasem i tam spotkał swojego mordercę. Siedział i dyskutował z nim, a potem został zabity.

Siekierą w głowę, jak twierdzi Kenneth Wilhelmsson. Żebym miała jasność. Jak my to teraz komuś wynajmiemy, pomyślałaś o tym?

Miałam zostawić klucz, a on miał mi wysłać rachunek. Dlatego dzwonił. Ostatnie słowa, jakie zdążył wypowiedzieć, zanim przerwało rozmowę, brzmiały: „To będzie kosztowało. Mówię, żebyś wiedziała”.

Od tej chwili jestem spowita mgłą. Czuję się jak sparaliżowana. Mój pokój jest na siódmym piętrze, właściwie to mogłabym otworzyć okno, wejść na parapet i postawić kropkę nad i. Ale mój paraliż nie pozwala nawet na to. Leżę na łóżku i piszę te słowa. Kontynuuję życie, życie mojej siostry. To prawie jak obowiązek. Wzięłam za nie odpowiedzialność i nie mam wyjścia.

Może ona też by wybrała okno w tej sytuacji? Nie wiem, nie mam z nią kontaktu.

Śniadania jem w pokoju, *room service* zamawiam wieczorem, a potem wywieszam na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Powiadomiłam recepcję, że zostanę parę dni dłużej... nie było żadnego problemu. W Maardam o tej porze roku nie ma wielu turystów. Żadnych konferencji, więc mogę zostać tyle, ile chcę.

A czego chcę?

Komisariat leży naprzeciwko hotelu. We mgle wygląda jak bezkształtna bryła. Jeśli nie wyskoczę z okna, może wezmę windę, zjadę do lobby, przejdę przez ulicę i pójdę do słabo oświetlonego wejścia, poproszę o rozmowę z funkcjonariuszem. Powiem, że posiadam pewne informacje, które mogłyby zainteresować policję. Na przykład, że nazywam się Clara Behrens i że nie zginęłam w pożarze dwadzieścia jeden lat temu.

Ale zanim się tam wybiorę, muszę zadzwonić do mojego syna. Złapać go i wyjaśnić, że nie jestem jego ciotką... Że jestem jego matką. Tyle że taką rozmowę jeszcze trudniej jest mi sobie wyobrazić niż krok przez okno.

Myślę o mordercy. I o tym przeklętym Koście. Jak opętany i szalony musiał być. Było to po nim widać, bałam się go już wtedy, w Kymlinge, a mimo to zgodziłam się na jego plan. Kiedy było już jasne, że Qvintus Maasenegger jest niewinny, wszystko stanęło na głowie. Kiedy się o tym dowiedziałam, pomyślałam, że moje życie po tym, co się stało, po tej listopadowej sobocie milion lat temu, jest... no właśnie czym? Złudzeniem? Fantazją? Koszmarem sennym?

Rozumiem, że Kosta nie chciał iść na policję. Nienawidził policji, a poza tym niemożliwe było wyłożenie kart na stół bez ujawniania mojej historii. Musiał to załatwić inaczej. Na własną rękę. Uznał, że tak będzie najlepiej... Pewnie tak samo rozumują wszyscy prywatni detektywi.

A więc usiąść oko w oko z Zinkiem i obarczyć go odpowiedzialnością. W domu na odludziu. Jakim szaleńcem trzeba być?

Tak, rozumiem, że Kostadino miał przy sobie broń. Ale Zink na pewno też. No i była tam siekiera.

Czy mnie szukają?

Czy jestem ścigana? Kenneth Wilhelmsson nic o tym nie wspominał, ale zakładam, że może tak być. Policja pewnie szybko znajdzie powiązania między mną a Kostą, zwłaszcza teraz, kiedy nie mogą mnie znaleźć. To musi ich zastanawiać, przecież nie są głupi.

Znajdą mnie, wcześniej czy później. W hotelu zapłaciłam z góry, gotówką, tak jak poinstruował mnie Kosta. Teraz dopłaciłam jeszcze za kolejne cztery noce. Nie mają mojej karty kredytowej, ale mają moje nazwisko i mój adres. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ostatecznie mnie to nie obchodzi. Po prostu przyszło mi to do głowy.

Żeby tę mgłę i szaleństwo trzymać w ryzach. Zostało jeszcze ponad pięćdziesiąt stron do zapisania w pamiętniku, który jest dla mnie jak lina ratunkowa.

Co zdążyli sobie powiedzieć Kosta i Zink?

To następne pytanie, które nie daje mi spokoju.

A może nie z Zinkiem miał się spotkać? A jeśli tak, to z kim się umówił w Vandelbo? Był tak cholernie tajemniczy... chociaż jest w tym też trochę mojej winy. Nie naciskałam. Nie chciałam wiedzieć. Parę tygodni temu byłam w stanie rozkładu... co więc teraz można o mnie powiedzieć? To cud, że udaje mi się wydobyć z siebie te słowa. W tej duszącej mgłę, w tym mieście, które kiedyś było moim domem, a teraz jest jak obca planeta.

Czas płynie. Minuty, godziny, dni. Już dawno powinnam nie żyć, dokładnie tak, jak wszyscy sądzą.

Nieco później.

Jeśli przez tę mgłę dobrze widzę, to chyba jest wieczór. To też się zgadza z moim zegarkiem. Ktoś dzwonił z nieznanego numeru. Nie wiem, czy to tylko pomyłka, czy powinnam się zacząć niepokoić. Niepokoić bardziej niż dotychczas. Wypiłam dwie buteleczki wina, które znalazłam w minibarze, dlatego trzymam nerwy na wodzy. Zastanawiam się, czy nie wyjść na dwór... ale chyba nie. Dzwonię na *room service* i zamawiam sałatkę Cezar. I lampkę wina, to chyba dobry pomysł.

Może oddzwonię na ten numer, ale za jakiś czas. Najpierw się trochę prześpię, może przyśni mi się mój syn.

Jeszcze później.

Rzeczywiście wyszłam. I już wróciłam. Kiedy znów mogę się zamknąć w pokoju, czuję się, jakbym odniosła małe zwycięstwo.

Zwycięstwo nad czym? Dobre pytanie. Włóczyłam się we mgłę wzdłuż kanału i po uliczkach, które kiedyś były mi dobrze znane. Doszłam aż do Deijkstraakvarteren i Armastenstraat, weszłam do baru U Harry'ego, który wciąż jest otwarty, mimo iż sam Harry już dawno nie żyje. Zjadłam jakiś makaron

z sosem i wypiliśmy kieliszek wina, więc dziś wieczór niepotrzebny mi żaden *room service*.

Kiedy wróciłam do hotelu, w lobby siedział jakiś mężczyzna. Siedział sam, na jednej z wielu skórzanych miękkich sof, z gazetą w ręku. Odniosłam wrażenie, że już go gdzieś widziałam. Coś znajomego było w jego pociągłej, szczupłej twarzy, w jego wąskich jak brzytwa ustach i głęboko osadzonych oczach. Najpierw pomyślałam, że to jakiś aktor albo inna znana osoba, na widok której człowiek się ekscytuje.

Ale kiedy odpoczywałam na łóżku, uświadomiłam sobie, że to chyba nie to. To był ktoś znajomy, z dawnych czasów. Ktoś, kogo spotkałam wiele lat temu.

I kiedy teraz, jeszcze trochę później, piszę te słowa, dociera do mnie, kto to jest, kto to kiedyś był, i nagle wszystko zaczyna mi się układać w całość.

Boże, pomóż mi.

Listopad 2012, Maardam

– Aha – powiedziała Eva Backman. – A więc przeczucie, tak?

– Zdarza się – odparł Gunnar Barbarotti. – Tobie nigdy?

– No jakoś nie – odpowiedziała Eva Backman. – Ale teraz chodzi o osobę, o której tylko słyszałeś i która odwiedziła kogoś w więzieniu ponad dwadzieścia lat temu. To imponujące.

– Dziękuję – rzekł Barbarotti. – Ale jeśli się mylę, to już nie będzie tak imponujące.

Barbarotti zwolnił kroku. Byli w drodze z komisariatu do hotelu i albo minęli go, nie zauważywszy w gęstej mgle, albo poszli w złym kierunku.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał Barbarotti i się zatrzymał. – Nie poznaję.

– Ja też nie – przyznała Eva Backman. – Koło tego baru na pewno nie przechodziliśmy. Zapamiętałabym.

Barbarotti spojrział w słabo oświetlone okno, w którym ujrzał zwisający męski manekin z okazałym wzwodem.

– Wejdziemy? – zapytał. – Na drinka.

– Chyba nie – odpowiedziała Eva Backman i chwyciła go za ramię. – Za kilka godzin mamy spotkanie, a chciałabym jeszcze wrócić do hotelu. Musimy to porządnie przegadać. Przecież nie przyjechaliśmy tu po to, żeby przesiadywać w barach, prawda?

– Okej – zgodził się Barbarotti. – Wygrałaś. O, taksówka, może byśmy...

I zanim dokończył zdanie, Eva Backman kiwnęła na szofera, który zamigał światłami i zatrzymał się przy chodniku. Wsiedli na tylne siedzenia i podali

nazwę hotelu.

– *Holy cow* – westchnął kierowca. – Przecież to dwieście metrów...

– Moja żona skręciła kostkę – powiedział Barbarotti po szwedzku. – Jedźmy!
Barbarotti pocałował Evę Backman w policzek, żeby pokazać swoją troskę.

– Bar hotelowy jest prawie pusty – powiedziała Eva Backman, rewidując swój stosunek do drinka.

– A odrobina alkoholu poprawia pamięć – odparł Barbarotti, kiedy znaleźli najbardziej odległy stolik. – Tak czytałem.

– Nigdy nie przeczyłam – rzekła Eva Backman – ale bądź tak miły i wytłumacz mi, co ci chodzi po głowie.

– Wszystko – skostatował Barbarotti. – Jest tu wiele powiązań, ale to, które prowadzi do kucharza, możemy pominąć. Przynajmniej na początek... Co o tym sądzisz?

– Chyba masz rację – powiedziała Eva Backman. – Wygląda na to, że nie ma nic wspólnego z tym pożarem. Nic poza jedzeniem, które przyrządzał tamtego wieczoru. Poza tym to definitywnie nie monsieur Kransky.

– Zgadza się – powiedział Barbarotti. – Nawet jeśli trochę zużyty, to na martwego na pewno nie wyglądał. Kransky’ego też możemy pominąć. Pomyśl tylko: podejrzewają faceta, który nie żyje już od kilku lat. Paskudna sprawa.

– Paskudna – zgodziła się Eva Backman. – Ty i ja nigdy nie popełnilibyśmy takiego błędu.

– W życiu – powiedział Barbarotti. – Ale tego typka, tego Ignatiego... co to odwiedzał go w więzieniu... jego absolutnie nie powinniśmy pomijać.

– Zgadza się. Kto to w ogóle jest?

– Nie mam pojęcia – powiedział Barbarotti. – Ale pozwól mi chwilę pomyśleć.

– A nasz trup w Vandelbo? Czy on ma z tym w ogóle coś wspólnego?

– Jak ty uważasz?

Eva Backman zamyśliła się na trzy sekundy.

– Yes – powiedziała. – I nawet wiem, komu bym chciała zadać kilka pytań.

– Birgitte Behrens?

– Właśnie. Wyobraź sobie, że ona nie ma komórki. Chyba jako jedna z dziesięciu ostatnich osób w Europie.

– Nie wiemy, czy nie ma komórki – zaprotestował Barbarotti. – Może ma tylko dla swoich najbliższych.

– Nie ma żadnych najbliższych. Zapomniałeś?

– Racja. W takim razie na zdrowie.

Wypili trochę i siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Myślisz, że ona żyje? – zapytał Barbarotti.

– Nie – odpowiedziała Eva Backman. – Nie mam stuprocentowej pewności, ale nie sędzę. A ty?

– Też nie sędzę, choć mam nadzieję, że się mylimy.

– Myślisz, że to ona zabiła Kostadina Millera?

– Głowy za to nie dam, ale... A ty co uważasz?

– Nie sędzę, że to ona.

Eva Backman odchyliła się do tyłu i spojrzała na Barbarottiego przeszywającym wzrokiem. To trwało zaledwie kilka sekund.

– Cholera!

– Coś ci przyszło do głowy – rzekł Barbarotti. – A nie mówiłem... trochę alkoholu nigdy...

– Muszę zadzwonić – powiedziała Backman. – Bądź teraz cicho.

Wyjęła telefon, wykręciła numer do informacji i czekała na połączenie. Barbarotti wpatrywał się we mgłę za oknem; w świetle latarni wyglądała chorobliwie żółto, a wrażenie potęgował jeszcze chwiejący się jegomość, który stał pod latarnią i sikał. Eva Backman połączyła się już po trzydziestu sekundach, zadała kilka pytań i sięgnęła po długopis. Na serwetce zapisała numer telefonu, podziękowała i zakończyła rozmowę.

– Kto? – zapytał Barbarotti.

– Nieruchomości Radość Życia – odpowiedziała.

- A to co takiego?
- Właściciel tego domku letniego. On miał do niej numer telefonu.
- No to na co czekasz, dzwoń – zachęcił Barbarotti.

Van Veeteren już nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak poirytowany.

- Ten cholerny kucharz to niewypał – powiedział.

Ulrike Fremdli przytaknęła.

- Leopold Kransky to też niewypał.

- Na to wygląda – zgodziła się Ulrike.

- Byłoby dużo prościej, gdyby nie zakopali tego pieprzonego Maaseneggera.

– Wtedy nawet byś nie wiedział, że pozwoliłeś mordercy uciec, tak? – zapytała Ulrike.

- Kurwa mać – przeklął Van Veeteren.

- Klniesz jak szewc. Może wejdziemy na drinka?

Van Veeteren zatrzymał się.

- Ale nie tutaj.

Zajrzał przez marnie oświetlone okno i dostrzegł zwisający z sufitu męski manekin z wręcz groteskową erekcją.

– Tam dalej, za rogiem, jest Hieronimus. Tam będzie cicho i spokojnie. Jest jeszcze wcześniej.

– To chodźmy – powiedział Van Veeteren. – Odrobina alkoholu to jest właśnie to, czego mi teraz trzeba. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego poszedłem do szkoły policyjnej.

– To było ponad pięćdziesiąt lat temu – stwierdziła Ulrike Fremdli i chwyciła go za ramię. – Trochę za późno na taką refleksję.

Bar był prawie pusty. Złożyli zamówienie i usiedli na kanapie w rogu. Van Veeteren nawet nie zdjął płaszcza. Kiedy przyszedł kelner z kieliszkami i małą miseczką oliwek, Van Veeteren zapytał, czy może mają wykałaczki. Kelner szybko wrócił ze słóiczkiem, prawdopodobnie sądząc, że cienkie drewniane

patyczki posłużą do nadziewania oliwek. Ale nie takie miało być ich przeznaczenie. Kiedy kelner powoli wycofał się na swoją pozycję za barem, zobaczył ze zdziwieniem, że starszy gość, którego skądś znał, jak mu się wydawało, włożył do ust trzy czy cztery wykałaczkę naraz i zaczął je żuć.

– Jesteś jak chmura gradowa – powiedziała Ulrike Fremdli. – Na zdrowie.

Van Veeteren wypluł wykałaczkę i opróżnił kieliszek.

– Co to jest?

– Whisky – powiedziała Ulrike. – Jeszcze jedna?

– Nie, do diabła – odparł Van Veeteren. – Teraz się skupmy i zobaczmy, co mamy.

– Okej. Od czego chcesz zacząć?

Van Veeteren pomyślał ze trzy sekundy.

– Ty coś zaproponuj.

Ulrike skinęła głową i zastanawiała się przez chwilę.

– Ta zakonnica – powiedziała. – Czy to mógł być blef?

– Nie – odparł Van Veeteren. – Radovic się z nią spotkał. Jej historia jest jak najbardziej prawdziwa, niezależnie od tego, jak dziwaczna by się mogła wydawać.

– I widziała Kransky'ego w Oosterby na kilka tygodni przed pożarem, tak?

– Najprawdopodobniej. Mogła się pomylić, ale załóżmy, że jednak nie. Co wtedy wiemy?

– Wyjechał do Ameryki na kilka dni przed...

– Tak. I?

– Myślisz, że miał wspólnika, prawda?

– Ja tego nie powiedziałem.

– A jeśli nawet, to kto mógł nim być? Molly Hansen? Jego matka?

Van Veeteren potrząsnął głową.

– Być może jest jego matką... ale na razie to zostawmy. Wspólnik to chyba jednak za dużo powiedziane. Ale czy pójdę fałszywym tropem, jeśli uznam, że to

ten skurwysyn, który przychodził do więzienia? Ten cały inspektor Bara... Baro... jak on się, do cholery, nazywa?

– Barbarotti – podpowiedziała Ulrike. – Gunnar Barbarotti.

– Tak, Barbarotti – powiedział Van Veeteren. – No więc ten drań twierdzi, że mordercą jest właśnie gość z więzienia...

– Zgadza się, tak powiedział. I co ty na to?

Van Veeteren odchrząknął i poprawił płaszcz.

– Uważam, że ma rację. Ale jak on, cholera jasna, do tego doszedł... Na dodatek mówił tak, zanim jeszcze się dowiedzieliśmy, że Kransky nie żyje.

– Może... intuicja? – podpowiedziała Ulrike.

– Właśnie. Istne przedstawienie. Ciekawe, czy czytał Rappaporta... Nie, pewnie nie. Chociaż Rappaport dość długo działał w Szwecji, więc nie można tego wykluczyć...

– Ten problem możemy na razie odłożyć na bok – powiedziała Ulrike. – Jeśli założymy, że Barbarotti ma rację, to czy i tak nie drepczemy w miejscu? Kim był ten Juliusz Ignati?

– Dobre pytanie – westchnął Van Veeteren. – Masz jakieś propozycje?

Ulrike zaczęła się zastanawiać. A ponieważ znów pojawił się kelner, Van Veeteren skorzystał z okazji, żeby napełnić pusty kieliszek. Kelner skinął głową i znikł.

– Stowarzyszenie... – powiedziała Ulrike.

– Mhm?

– Czy możliwe, że pominęliśmy jednego członka?

– Co? – zapytał Van Veeteren.

– Może mieli jeszcze jednego członka. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli zobaczyć listę członków czy coś w tym rodzaju, ale pewnie nie jest to możliwe...

– Jeszcze jeden członek, mówisz? – Van Veeteren zamruczał pod nosem i włożył do ust nową wykałaczkę, tym razem tylko jedną. – Tak, tak, słucham cię...

– W każdym razie... – kontynuowała Ulrike. – Jeśli przez moment pobawimy się tą myślą, to czego się możemy dowiedzieć?

Van Veeteren westchnął.

– Stowarzyszenie Leworęcznych istniało w latach sześćdziesiątych. I żaden z jego członków nie żyje. I tak, do cholery, jeśli miałbym przeżyć życie jeszcze raz, to nigdy nie poszedłbym do szkoły policyjnej... Ale to już pewnie wiesz?

– Wiem – odparła Ulrike. – W następnym życiu będziesz antykwariuszem... A wracając do tematu... to jest ktoś, kto może trochę wiedzieć o tym słynnym stowarzyszeniu. Mam na myśli...

– Birgitte Behrens – dokończył za nią Van Veeteren. – Oczywiście. A więc to nie była tylko moja fanaberia, kiedy zaproponowałem Münsterowi, żeby ściągnął tu tych Szwedów. Istnieje wyraźny związek między śmiercią Kostadina Millera a wydarzeniami w dziewięćdziesiątym pierwszym. Czyli to nie był tylko pusty strzał. Ale jak chcesz znaleźć Birgitte Behrens?

– Ja?

– Na przykład – powiedział Van Veeteren.

Ulrike włożyła oliwkę do ust.

– Jeśli dobrze rozumiem, to nikt jej nie widział od dwóch tygodni – odparła. – Myślę, że musi mieć powód.

– I to bardzo znaczący powód – zgodził się Van Veeteren. – Tak, musimy poprosić naszego przyjaciela Barbo... co za cholera, że nie mogę zapamiętać jego nazwiska... w każdym razie musimy go poprosić, żeby znów użył swojego daru intuicji.

– Gunnar Bar-ba-rot-ti – powiedziała Ulrike, sylabizując całe nazwisko. – Myślę, że mógłbyś się w końcu nauczyć.

– Dlaczego? – zapytał Van Veeteren.

Ulrike spojrzała na zegarek.

– Dlatego, że za dwie godziny przychodzą do nas na wino.

– Co?... To znaczy świetnie!

Kiedy kelner przyniósł nowy kieliszek whisky, Van Veeteren odstawił go na bok.

– Dwa drinki, zanim przyjdą goście? Nie ma mowy. Wylej to i przynieś rachunek!

Listopad 2012, Maardam

Morderca myślał o ciałach.

O tej czwórce, która spłonęła, o tym, które zakopał, i o tym, które zostawił na werandzie.

Zwłaszcza o nim. Między poprzednimi a tym ostatnim minęło sporo czasu. Założył, że sprawa jest zakończona, ale się mylił. Nie zakopał wystarczająco głęboko tamtej nocy, kiedy płonął pensjonat, dlatego ciało pojawiło się w świetle dziennym i dlatego musiał wbić siekierę w głowę tego prywatnego detektywa.

Tego wężyciela.

Kiedy pomyślał o siekierze, drgnął mu lewy koniuszek ust; gdyby był z innej gliny, może nawet by się uśmiechnął. Nie spodziewał się, że tak to się skończy... To była chwila, moment, wciąż był tym zaskoczony. Że podjął decyzję w biegu, tylko dlatego, że siekiera stała na widoku, oparta o ścianę, i tylko dlatego, że ten wężyciel odwrócił się do niego tyłem na dwie czy trzy sekundy. Sam się sobie dziwił, że był zdolny do tak spontanicznej reakcji.

Czy dlatego drgnął mu kącik ust? Czy dlatego niemalże się uśmiechnął? Bo mimo wszystko miał w sobie pewną spontaniczność, która pozwalała mu na niewielkie odstępstwa od wcześniejszych planów. Tak, na pewno. A może nigdy do końca siebie nie znamy? Nigdy w pełni nie jesteśmy panami własnych motywów i możliwości, nie jesteśmy świadomi swojej wielkości. To fenomen, który przyprawiał go o lekki zawrót głowy i który był... nawet przyjemny.

I może też trochę niebezpieczny. Ale przyjemność przeważała, przynajmniej na chwilę, przynajmniej wtedy, kiedy budził się w środku nocy, bo coś mu się przyśniło. Miał problemy ze snem, tak płytkim, że łatwo go było obudzić; często zdarzało się, że wstawał i szedł do pokoju treningowego albo czytał przez kilka godzin, podczas gdy cała reszta świata smacznie spała. Ale lepsze to niż leżeć i nie móc zasnąć. A mimo to nie było takiego budzika, który rano by go dobudził. Odkąd przeszedł na rentę, rozkoszował się każdą chwilą, każdą minutą. Inni pewnie uważali to za przywilej, ale ci inni nie znali całości obrazu.

Tak niewiele wiedzą, tak niewiele rozumieją.

A on niewiele się tym przejmował. Istniała tylko jedna osoba, która cokolwiek znaczyła, jedna jedyna. Była jego siłą napędową. Była jego supernową w galaktyce.

Tej nocy też wstał. Poszedł do pokoju treningowego i zaczął ćwiczyć.

Program czterdziestopięciominutowy wystarczy, żeby się zmęczyć o tej porze.

Podczas ćwiczeń wciąż miał przed oczami obraz tych ciał. Tej czwórki i tego piątego. A teraz też tego szóstego. Cofnął się pamięcią do Maaseneggera i przypomniał sobie, że wtedy, w Oosterby, miał wobec niego inne plany. Że rozważał bardziej wyrafinowane potraktowanie jego ciała; to przecież on najbardziej zawinił i to on zasługiwał na karę wielokrotnie większą niż pozostali. Kransky miał bardzo zdecydowany pogląd na ten temat, więcej, miał nawet pewne propozycje.

Ale wszystko spaliło na panewce z powodu braku czasu. Najważniejsze było to, żeby Maaseneggera usunąć z drogi. Naprowadzić policję na fałszywy trop. Nie było miejsca na żadną finezję, a i tak im się udało.

Zgodnie z planem.

Nie, niezupełnie. Zakopanie trochę nie wyszło, ale był po temu powód. Nie dał rady przeciągnąć ciała tak daleko, jak to było w planach; martwe ciało jest ciężkie, taką naukę wyniósł z tamtej nocy. W pełni rozumiał morderców, którzy

decydowali się na poćwiartowanie swojej ofiary, ale nawet jeśli miałyby potrzebne do tego narzędzia, to ćwiartowanie świeżego ciała, w lesie, w środku nocy, byłoby raczej odrażające.

Niewyobrażalnie odrażające.

Dzisiaj, z kondycją, jaką wypracował regularnymi treningami, dałby sobie radę. Mimo iż jest dwadzieścia lat starszy. Jeśli byłoby to dzisiaj – dzisiejszej nocy, tej długiej, mglistej listopadowej nocy – dałby radę dźwignąć swoje brzemię tak daleko, jak to było zaplanowane, i zadbałby o to, żeby Maasenegger leżał pod ziemią na wieki wieków. A wtedy ominęłyby go turbulencje ostatnich miesięcy.

Węszyciel i Birgitte.

Ale Birgitte nie jest Birgitte. To Clara jest Birgitte. Węszyciel to odkrył, zanim dostał siekierą w łeb. A przynajmniej się domyślał, bo pod wpływem trucizny jego mózg i język nie działały, jak powinny. Jedna czy druga? B czy C? Szczerze mówiąc, to bez znaczenia. Ona będzie ostatnim ciałem, niezależnie od tego, jakie ma imię. Siódmym i ostatnim.

Węszyciel był szalony. Domyślił się już wtedy, kiedy się z nią skontaktował, a pewności nabrał, gdy się spotkali. Jednak zna się na ludziach, musi to sam przed sobą przyznać. Nie rozumie ich, ale potrafi ich rozgryźć. A to, notabene, olbrzymia różnica.

Czy ludzie się wzajemnie rozumieją?

W każdym razie bardzo lubią tak o sobie myśleć. To przekonanie jest wszechobecne. Mami hołotę iluzją nadziei i sensu. Tak myślą i tego się kurczowo trzymają.

Ci inni.

Znalezienie jej zabrało mu trochę czasu, ale nie było trudne. Na swojej liście miał osiemnaście hoteli – udało się przy trzynastym.

Słucham, odebrał młody kobiecy głos, tak, mają gościa o tym nazwisku. Czy chciałby zostawić wiadomość?

Odpowiedział, że nie trzeba. Sam się skontaktuje ze swoją siostrą. Ale bardzo dziękuje.

Nie ma za co.

To był czterogwiazdkowy hotel na Baderslaan. Naprzeciwko komisariatu, co nawet by go trochę bawiło, gdyby... gdyby był kimś innym.

Ale nie jest. Jest tym, kim jest. Wczoraj, dziś i jutro.

Duże lobby z miękkimi fotelami i sofami. Usiadł z gazetą w ręku, trochę niepewny, czy ją pozna. Czy ją jeszcze pamięta. Węszyciel miał w portfelu jej zdjęcie, ale kiedy po mniej więcej godzinie pojawiła się w lobby, zdziwił się, że tak niewiele się zmieniła. Młoda dziewczyna, która stała się dojrzałą kobietą. Na granicy starości, ale to, co stanowiło jej istotę, wciąż w niej było. Zupełnie niezależnie od tego, czy była tą siostrą, czy tą drugą. Tą z przeszłości czy tą teraźniejszą.

Na moment ich spojrzenia się spotkały. Czy go poznała?

Raczej mało prawdopodobne, a jeśli nawet, to bez znaczenia. I tak wszystko się skończy w jeden możliwy sposób.

Zastanawiał się, czy znów użyć trucizny. Były tego plusy i minusy. Wciąż jeszcze nie podjął decyzji, a był już najwyższy czas. Może dlatego znów się obudził. Bo czas się kurczył. Bo musiał wreszcie zabrać się do działania.

Lubił to wyrażenie. „Zabrać się do działania”. Trudno powiedzieć, co go w tym tak pociągało, ale nosił to w sobie; i w Oosterby, i dwa tygodnie temu, w tym szwedzkim lesie.

Zabieram się do działania.

Może tak wygląda życie. Mamy zadania, które musimy wykonać. Nie musi być ich wiele, a jednak są konieczne.

Ale jeśli w szerszej perspektywie istotnie tak jest – a może wcale nie – to i tak nie warto się nad tym teraz zastanawiać. Absolutnie nie.

Trzeba było natomiast podjąć decyzję co do metody – i im więcej o tym myślał, tym bardziej przemawiała do niego trucizna. Znał temat jak nikt inny; nawet jeśli już nigdy nie dostanie zatrudnienia na żadnym uniwersytecie czy w laboratorium naukowym, to jego praca doktorska plasuje się wysoko w rankingach. *A Theory of Toxicological Implementation from Three Types of Endemic Funghi in the Kalahari Desert*. Wciąż jest lekturą na uniwersytetach tu i tam, przynosi trochę pieniędzy, ale jeśli nawet nauka sama w sobie ma dużą wartość, to oczywiście wiedza stosowana ma wartość znacznie większą.

A więc trucizna, pomyślał i tym razem skupił się na mięśniach tułowia.

Proste, bezbolesne, definitywne. Bez przemocy, bez siekiery, bez zakopywania.

Zadzwoni do niej jeszcze raz, jutro rano. Coś mu mówi, że tym razem odbierze.

Umówią się.

A jeśli nie będzie zainteresowana, to już jego w tym głowa, żeby zmieniła zdanie.

Listopad 2012, Maardam

– W każdym razie możemy uznać, że związek jest oczywisty – powiedział Van Veeteren. – Dobrze i to.

Eva Backman skinęła głową.

– Wydawało mi się, że już to ustaliliśmy. Inaczej byśmy tutaj nie siedzieli, prawda?

– Trafna uwaga – odparł Van Veeteren. – Wydawało mi się, że to była tylko intuicja, ale w takiej sytuacji nie odważę się użyć tego słowa. Słowo „fanaberia” jest tu właściwsze.

Ulrike Fremdli uśmiechnęła się i naląła więcej wina.

– Mojego kochanego małżonka spotkała chwilowa nieśmiałość. Ale to przejdzie.

– A to, że ten nasz wszytkowiedzący detektyw miał truciznę w ciele, to już pewne, tak?

– Na to wygląda – odpowiedział Barbarotti, otworzył w swoim telefonie szczegółową informację od Smutasa i streścił ją pokrótce.

Z obdukcji wynikało, że Kostadino Miller miał w organizmie ślady nietypowej trucizny – to był aksetylenandromedol. Śmiertelny w większej dawce, usypiający i odurzający w dawkach mniejszych. W latach pięćdziesiątych XX wieku przez pewien czas wykorzystywany w niektórych szpitalach na świecie, ale zrezygnowano z niego z powodu poważnych skutków ubocznych. Pozyskiwany głównie z korzenia pewnego rodzaju roślin wrzosowatych. Wciąż

wytwarzany w niektórych laboratoriach w Europie i sporadycznie używany do doświadczeń na zwierzętach.

– Gdzie on mógł zdobyć tę truciznę? – Ulrike Fremdli była ciekawa. – To nie jest lek, który tak po prostu kupuje się w aptece.

– Raczej nie – odpowiedział Van Veeteren. – Mamy do czynienia z mordercą, który zna się na rzeczy.

– I dokąd to nas prowadzi? – zapytała Eva Backman. – Trucizna w sprawie Oosterby to tylko hipoteza?

Van Veeteren popatrzył na nią przez chwilę, zanim odpowiedział. Zmarszczka na czole i kiwanie głową w zadumie.

– Zgadza się. Ale dość prawdopodobna hipoteza. Wybuchła pożar, a cała czwórka, zamiast uciekać, postanawia zostać w środku, w dodatku na parterze. Nie byli w najwyższej formie.

– Żadnych innych śladów? A czy morderca nie mógł ich zabić, a dopiero potem podpalić? Kulka w łeb?

– W takim razie cztery kulki – poprawił ją Van Veeteren. – Ale raczej nie. Kule się nie palą, a nie znaleziono ani jednej. Może pchnął ich nożem, tyle że wtedy byłoby czworo przeciwko jednemu, więc to raczej też niemożliwe. Najprawdopodobniej zostali podtruci... i ubolewam nad tym irytującym „prawdopodobnie”.

– Jest jak jest – powiedziała Eva Backman. – Ale akurat ten problem... to znaczy trucizna... może nie jest najważniejszy w tej chwili, co?

– Raczej nie – skonstatował Van Veeteren gorzko. – Jeśli chodzi o mnie, to ma już trochę lat na karku. Podobnie jak ja.

Na kilka sekund przy stole zapanowała cisza. Gunnar Barbarotti zrobił kleksa z marmolady na kawałku gruyère'a i wziął go do ust. Żuł i rozglądał się po pokoju, na moment porzucając wszelkie myśli na temat tego, po co tu przyszli. Skonstatował, że mógłby tak mieszkać. Spore, wypełnione książkami mieszkanie w dużym, tłoczonym mieście. Razem z Evą Backman... za kilka lat czy coś takiego... Dlaczego nie?

Musi pamiętać, żeby jej to zaproponować. Ale może nie w tym momencie. Bo teraz... tak... teraz był raczej czas na dołożenie własnej cegiełki do śledztwa.

– A więc kogo właściwie szukamy? – zapytał.

– Świetnie sformułowane pytanie – odparł Van Veeteren.

– Może szóstego członka Stowarzyszenia? – wtrąciła Ulrike Fremdli. – Leworęcznego specjalisty od trucizn... Pewnie jest ich kilku, ale chyba znowu nie tak wielu, co?

Van Veeteren pokręcił swoim kieliszkiem i przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

– Jeśli on... albo ona, bo przecież żyjemy w wyemancypowanym świecie... jeśli więc osoba, o której mówimy, wyrosła i wychowała się w Oosterby, to liczba ewentualnych kandydatów radykalnie się kurczy. Nie, nie wydaje mi się, żebyśmy mieli do czynienia z jeszcze jednym członkiem tego cholernego stowarzyszenia... Ale to tylko domysły, które kołaczą mi się po głowie. A co na to młoda inteligencja ze Szwecji?

Eva Backman zrobiła grymas.

– Czeka, aż znajdziemy Birgitte Behrens – powiedziała. – Zdobyliśmy jej numer telefonu. Przy odrobinie szczęścia, za pomocą małych satelitów, może uda nam się dowiedzieć, gdzie teraz jest. W ciągu godziny powinniśmy coś wiedzieć.

– Miejmy nadzieję, że są w tym samym miejscu, ona i jej telefon – dodał Barbarotti. – Nie odebrała, kiedy zadzwoniliśmy, ale numer nie jest martwy.

– A to wskazuje na to, że ona też nie – wymamrotał Van Veeteren. – To znaczy... też nie jest martwa.

– W tym najlepszym ze światów żyje – powiedziała Eva Backman. – A jeśli spróbujemy wymazać część popełnionych błędów... i fałszywych tropów... ze starego śledztwa, co mamy wtedy?

– Po pierwsze... – powiedział Van Veeteren.

– Może faktycznie od tego zacznijmy – odparła Eva Backman. – Co wiemy na pewno?

Siedemdziesięciopięciolatek zmarszczył czoło.

– Mamy sześć trupów – powiedział. – Sześć, które są ze sobą powiązane... plus ten prywatny detektyw, który prawdopodobnie tak skończył, bo za dużo węszył. Pewnie znalazł to i owo...

– Mordercę? – zapytała Ulrike.

– Możliwe – powiedział Van Veeteren i zrobił grymas.

– Skreśliliśmy z naszej listy kucharza, Molly Hansen i Leopolda Kransky'ego – rzekła Eva Backman.

– Żadne z nich nie było w Szwecji i nie wykończyło Kostadina Millera – dodał Barbarotti. – Kransky nie żyje, jeśli się nie mylę. A to dość poważne alibi, choć ma związek z... z samą historią.

– Jaki? – zapytała Eva Backman.

– Zakonnica napisała prawdę – odparła Ulrike. – Kransky zabił tę dziewczynkę. To nasz punkt wyjścia. Ale musi być jakieś zdarzenie, które jest trzonem całej tej historii. Ci leworęczni musieli być jakoś w to wmieszani... Czy chociaż tego jesteśmy pewni?

– Tak, u diabła! – wybuchnął Van Veeteren. – Nie możemy negować wszystkiego tylko dlatego, że gdzieś nam coś zaczyna pękać. A w twoją intuicję, inspektorze Barbarotti, nie wątpię ani przez moment. Ten, który odwiedzał Kransky'ego w więzieniu, jest tym, którego szukamy.

– Dziękuję najserdeczniej – powiedział Barbarotti. – Tutaj nie zmieniam swojego zdania. W takim razie, kim jest Juliusz Ignati? Przecież musiał mieć jakiś powód, by odwiedzić Kransky'ego w więzieniu, prawda?

– No raczej – powiedziała Eva Backman. – Zaplanował zemstę na leworęcznych?

– Czyli musiał wiedzieć, że są zamieszani w porwanie tej dziewczynki – wtrąciła się Ulrike. – Tylko jak, jeśli mogę zapytać...

– Hm – mruknął Barbarotti i wziął kolejny kawałek sera.

– Hm – mruknął Van Veeteren i wziął łyk wina.

Eva Backman potrząsnęła głową.

– Tyle że nie mamy pewności, że tak jest. On... albo ona... mógł mieć inny powód odwiedzin u Kransky'ego. Spotkali się przecież tyle razy w ciągu roku, że... że ich relacje mogły się zmienić.

– Zmienić? – powiedział Barbarotti. – A dokąd to nas prowadzi? Brzmisz, jakbyś za chwilę miała dokonać jakiegoś odkrycia.

– Sama nie wiem – odparła Eva Backman. – I kolejne pytanie: kto mógł mieć powód? Mógł to być ktoś z tego całego klubu dla leworęcznych, ale wtedy pada nasza teoria, że ten, kto przychodził do więzienia, to przestępca...

– Ale musiały przecież być inne osoby, które brały udział w tym porwaniu – powiedział Barbarotti. – Co się... co się stało na przykład z rodziną tej dziewczynki?

Van Veeteren rozłożył ręce.

– Nie wiem. Pamiętajcie, że nawet jeśli i ta część historii ma ponad czterdzieści lat, to dla nas jest relatywnie nowa. Połączyliśmy to z tym pożarem zaledwie kilka dni temu. Ale zgadzam się... coś w tym musi być. Porozmawiam z Radovicem, powinien to sprawdzić.

– Dobry pomysł – rzekła Ulrike Fremdli. – Od razu idź i zadzwoń do niego. A my w tym czasie wypijemy jeszcze po jednym kieliszku, co?

Gunnar Barbarotti powątpiewał. Eva Backman potrząsnęła głową.

Van Veeteren przeprosił na chwilę i opuścił pokój.

Rozmowa zabrała trochę czasu, więc Barbarotti wykorzystał okazję i poszedł do łazienki. Kiedy wycierał ręce, usłyszał kliknięcie w telefonie. To był esemes od Smutasa, który i tym razem – choć znajdował się setki kilometrów na północ, a w Kymlinge także był sobotni wieczór – okazał się niezastąpiony. Jak zwykle.

Birgitte Behrens znajduje się w Maardam. W każdym razie tam jest jej telefon.

Ach tak, pomyślał Barbarotti. A więc pętla się zacieśnia. I w czasie, i w przestrzeni. Wiedział, że jest podchmielony, bo nigdy w ten sposób nie

myślał. W czasie i w przestrzeni?

Po rozmowie z Radovicem Van Veeteren przybrał minę starego żółwia. Tak pomyślał Barbarotti i sam nie wiedział, czy to wróży dobrze, czy źle. Może to jego mądrość, która nareszcie, choć trochę wbrew woli, wyszła na powierzchnię, a może po prostu zmęczenie. Skorzystał z okazji i zanim Van Veeteren zdążył coś powiedzieć, Barbarotti poinformował wszystkich o esemesie od Borgsena i przez dobrych kilka minut cała czwórka wymieniała się rozważaniami na temat możliwych kroków i ewentualnych konsekwencji.

Maardam? Co ona robi w Maardam? Czy sobie z nas kpi? Czy była też w Oosterby?

Dobre pytania. Trzeba do nich wrócić.

Gdzie dokładnie jest? U znajomej? W końcu mieszkała tu przez wiele lat.

Chociaż z drugiej strony ma w sobie coś z pustelnika. Może w tym zamglonym mieście nie ma przyjaciół, podobnie jak nie miała ich w Szwecji?

W hotelu?

Możliwe.

Żyje?

Prawdopodobnie.

Namierzyli ją?

Znajdą ją?

Przypuszczalnie. Zadanie dla Münstera i Radovica.

Tak więc nowa rozmowa i nowe rozkazy od starego.

Ale wszystko w swoim czasie. Teraz jest sobotni wieczór i dzwony w kościele Keymer wybiły jedenastą, a potem kwadrans po jedenastej wieczorem.

Najpierw sprawozdanie z rozmowy z Radovicem. Van Veeteren odchrząknął, uniósł kieliszek z winem, ale w pół drogi pożałował.

– Istnieje jedna możliwość.

Przesunął wzrokiem wzdłuż stołu, uważnie i powoli. Jak żółw. Zatrzymał spojrzenie na Ulrike, skinął głową i znów zaczął mówić:

– Popieprzyło się w tej rodzinie... po prostu. Radovic zrobił dobrą robotę i zbadał sprawę. Boris Kettener zmarł na Riwierze dziesięć lat temu, był alkoholikiem. Louise wzięła sprawy w swoje ręce już dużo wcześniej... popełniła samobójstwo w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym.

– A gdzie przebywał Boris Kettener w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku? – zapytała Eva Backman.

– Nie wiadomo – odpowiedział Van Veeteren. – Przebywał w klinice na Florydzie w maju tego samego roku, kiedy zmarł. Alkohol, jak już powiedziałem. Jak się ma pieniądze, to można sobie na to pozwolić. Jednak Radovicowi nie udało się ustalić, co się z nim działo potem.

– A więc miał pieniądze, tak? – zapytała Ulrike.

– Najwyraźniej. I to cały stos.

– To wszystko?

Van Veeteren potrząsnął głową.

– Niezupełnie. Boris Kettener miał motyw, jeśli założymy, że udało mu się znaleźć związek z tym klubem dla leworęcznych. Ale nie mógł wsadzić siekiery w głowę Kostadina Millera, bo nie żyje od dwa tysiące drugiego roku.

– Szkoda – powiedział Barbarotti, nie mając jasności, z jakiego powodu czy raczej z powodu czyjej śmierci jest mu przykro.

– Może – odrzekł Van Veeteren. – Ale jest jeszcze syn, starszy brat Madeleine... Ludvig Kettener. Radovic wygooglował go w trakcie naszej rozmowy, dlatego to zabrało tyle czasu.

– Ach tak? – zdziwiła się Ulrike.

– Jest zameldowany w Aarlach, pytanie tylko, czy rzeczywiście tam mieszka. Radovic bada sprawę, kiedy my tu siedzimy i spekulujemy. Ale w Internecie znalazł coś bardzo interesującego... A mianowicie Ludvig Kettener jest docentem biologii. Na początku lat osiemdziesiątych obronił pracę doktorską na temat roślin trujących.

– Roślin trujących? – powiedział Barbarotti.

– Właśnie tak – odpowiedział Van Veeteren. – Dość znane nazwisko w świecie nauki, trzeba przyznać. A przynajmniej do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Bo wtedy zostawił uniwersytet i przeszedł na rentę. W wieku trzydziestu sześciu lat.

– Powód? – zapytała Ulrike.

– Tego już nie ma w Internecie – skonstatował Van Veeteren – ale Radovic jeszcze szuka, jak już powiedziałem.

Na parę sekund zaległa cisza.

– To on – powiedziała Eva Backman.

– Prawdopodobnie – odparł Van Veeteren.

Listopad 2012, Maardam

Dziennik

Obudziły mnie ptaki i krzyk.

Nie skrzek. Krzyk.

Przez moment myślałam, że jestem w ogrodzie. Że mam jedenaście, dwanaście lat i leżę w łóżku w moim domu w Oosterhejde. Nad polami krzyczały mewy czy jakieś inne ptaki, nie wiem. Były dni, że przylatywały znad morza całymi gromadami i robiły taki hałas, jakby nadchodziła wojna.

Moja matka tak mówiła; być może tylko przy jakiejś okazji, ale myślę o tym zawsze, kiedy ptaki zaczynają krzyczeć.

Ma się wtedy wrażenie, jakby nad nami toczyła się wojna.

Ale nie ma wojny, a ja nie jestem w Oosterhejde. Jest niedzielny ranek w Maardam, pięćdziesiąt lat później i moje życie się skończyło. Nie wiem, dlaczego mewy krzyczą w tym dużym, spowitym mgłą mieście, może straciły orientację. Może się czegoś boją.

Ja też straciłam orientację, to jest we mnie w środku i tylko ja to czuję. Leżę w łóżku w anonimowym hotelu i myślę sobie, że gdybym mogła się cofnąć w czasie, gdybym mogła odmienić to, co zgotowało mi życie, to odmieniłabym prawie wszystko. Na każdym rozstaju dróg poszłabym w innym kierunku. Wydawało mi się, że w Szwecji znalazłam bezpieczną kryjówkę, ale nawet to okazało się nieprawdą. Nie można uciec od przeszłości. Nie na dłuższą metę, a czuję wyraźnie, że znajduję się na końcu drogi.

Jaką to ja miałam misję na końcu drogi?

Stoję przez chwilę w oknie. Wyglądam przez szarżółtą mgłę. Wydaje się gęstsza niż wcześniej. Jest rano, w pól do szóstej rano, nie później. Nawet czas się zatrzymał. Nie ma żadnego znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Ptaki ucichły. Odkładam długopis i zamykam dziennik.

Tak. Wciąż coś się dzieje. Przez pól godziny spałam niespokojnym snem. Śniła mi się dziewczynka. Ten sen powraca już od dawna, przez pierwsze lata śniła mi się mniej więcej co noc. To, co przed chwilą napisałam o rozstajach dróg, to niezupełnie prawda – dokładnie rzecz biorąc, dotyczy tylko jednego rozstaju. Ale tak to już jest: jeden błędny krok i życie leży w gruzach. Konsekwencje jeszcze się nie skończyły. Mogły, nawet sobie wyobrażałam, że tak właśnie jest, ale przez cały ten czas gdzieś we mnie drzemała wina – żeby się zbudzić do życia i dostać skrzydeł tej jesieni, wiele lat później.

Ptaki winy? Wrzeszczące we mgle.

Ale dzisiaj i tak jest ostatni dzień, prawda?

Przeklęty Kosta. Jeśli umrę i spotkam go po drugiej stronie, to wytrząskam go po pysku. Powiem mu, że jest egoistycznym dupkiem i że nie chcę go już więcej widzieć.

I powtarzam: dzisiaj i tak jest ostatni dzień, prawda?

Czy ja dobrze widziałam w lobby? Z każdą godziną jestem coraz bardziej niepewna. Przecież to wcale nie musiał być on. Ale chcemy, żeby wszystko nam się zgadzało. Chcemy znaleźć brakujący kawałek naszej układanki. Czy to w ogóle możliwe, żeby poznać człowieka... ile to już minęło?... po czterdziestu trzech latach?

Może mi się tylko wydaje? Bardzo łatwo wpaść w paranoję, kiedy jest się zamkniętym w pokoju hotelowym, we mgle, która nigdy nie zwalnia uścisku.

Trochę później.

Ktoś do mnie dzwonił. Dwa nieznane numery. Nie „zastrzeżone”, tylko „nieznane”. Wczoraj późnym wieczorem i dzisiaj rano.

Zastanawiam się, jak bardzo są mi nieznane osoby, które z nich dzwonią. Zastanawiam się, czy następnym razem odebrać. A może oddzwonić.

Pcha mnie do tego jakaś absurdalna pokusa. Żeby przynajmniej wykonać jakiś konkretny krok. Leżę na łóżku z telefonem w ręku i nie mogę się zdecydować.

Odkładam telefon. Jest tuż po dziewiątej. Wciąż jeszcze jest niedziela rano. Wciąż świat jeszcze śpi, spowity mgłą.

Tylko nie ci, którzy szukają kontaktu.

Będę myśleć o jakimś kroku. Siedzimy w Jaskini. Najpewniej zimą 1967–1968, jeszcze zanim pojawił się Zink. Jestem tylko ja i ci trzej muszkietierowie. Myślę o nich w ten sposób, bo są tak ze sobą zespawani, w jakiś chłopięcy, staromodny sposób: Marten, Rejmus i Kuno. I jeszcze Birgitte, prawdopodobnie jest wtedy ostatni raz. Wydaje mi się, że to był sobotni wieczór; w każdym razie następnego dnia nie mieliśmy szkoły. Popijamy piwo, ale nie palimy, przynajmniej ja tego nie pamiętam. Słuchamy *Sgt. Pepper's...* taaak, słuchaliśmy tego całą jesień. Rejmus i ja siedzimy spleceni razem; spaliśmy już ze sobą, niedużo, kilka razy, i nie jest to żadna tajemnica. Marten próbuje trochę dostawiać się do Birgitte, ale jest zbyt nieśmiały, a ona po prostu nie chce.

Nagle słychać pukanie do drzwi. W te ciężkie stalowe drzwi, które zawsze zamykaliśmy i do których klucz miała tylko nasza piątka. Nie, Birgitte już nie ma klucza, ale to nieważne. Wydaje mi się, że to Qvintus chce wejść do środka, lecz najdziwniejsze jest to, że nie zapukał według umówionych znaków: trzy szybkie, przerwa, cztery szybkie. Widzę, że wszyscy myślą tak jak ja, siedzimy w ciszy i czekamy na następne pukanie. Pojawia się po kilku sekundach i też nie jest to trzy plus cztery. A więc to ktoś nieznany, kto chce wejść, ale żadne z nas nie robi nic, żeby iść otworzyć. I nikt nic nie mówi, tylko Marten potrząsa głową, a my się z nim zgadzamy w milczeniu. Wymieniamy się spojrzeniami

i nie chcemy nikogo wpuszczać. Nagle Kuno mówi: „To Śmierć stoi za drzwiami i chce wejść”.

Dziwnie to brzmi, tym bardziej że powiedział to Kuno. Nie był gadatliwy i może dlatego te złowieszcze słowa tak okropnie wybrzmiały w tej ciszy. Mam wrażenie, że to Śmierć tam stoi, i pewnie inni czują tak samo. Robi się zupełnie cicho, aż wstrzymujemy oddech, przynajmniej ja.

Czekamy na trzeci sygnał, ale się nie pojawia. Wciąż nikt nic nie mówi, ale po kilku minutach Marten idzie i otwiera drzwi.

Nikogo tam nie ma, wszyscy podchodzimy i sprawdzamy. Najdziwniejsze jest to, że na wąskich schodkach, które prowadzą z ulicy, nie ma żadnych śladów. Przez cały wieczór prószył śnieg, nasze stare ślady sprzed kilku godzin są zasypane. Wtedy Kuno znów się odzywa i mówi coś nieoczekiwanego: „Za dwadzieścia pięć lat większość z nas nie będzie już żyła”.

Jego głos nie brzmi tak jak zwykle, choć gdy mówił, że za drzwiami stoi Śmierć, też brzmiał dziwnie. Nagle dochodzi do mnie, że jest po prostu pijany.

Moje podejrzenia się potwierdzają, kiedy idzie do toalety i rzyga, a potem przez długi czas wyśmiewamy te jego przepowiednie. I to, że Kuno wypił parę piw za dużo, co mu się nigdy nie zdarza. Ale to pusty, wymuszony śmiech, i bardzo dziwny wieczór, więc szybko kończymy, choć zostało jeszcze sporo piwa i papierosów.

Nigdy wcześniej nie myślałam o tym wieczorze – aż do teraz. Dzisiaj, tego wczesnego ranka, kiedy siedzę zamknięta w tym zamglonym mieście, widzę go jak jakiś film wyświetlany we wnętrzu mojej głowy. I niemal czuję obecność swoją i pozostałych. Muszkieterów. Birgitte. I moją.

Ciekawe dlaczego.

„Większość z nas”, powiedział.

Nie wszyscy.

Tak, Śmierć jest jak niezmierny olbrzym. Życie zaś to mizerny karzeł.

Patrzę na rękę, która zapisuje te słowa.

Moją lewą rękę.

Czy gdybym była praworęczna, wszystko potoczyłoby się inaczej? To ohydna myśl... Być może istnieją inne drogi – tak różne jak prawa i lewa ręka – które wszystkie nieuchronnie prowadzą do katastrofy.

Tak, to brzmi nawet sensownie.

Godzina później.

Wzięłam prysznic i podjęłam decyzję.

Niech będzie, co ma być.

Listopad 2012, Maardam

Pomyślał też o sztylecie.

Pochodził ze spadku i występował nawet w jakimś filmie. Prawdopodobnie już wtedy jako narzędzie zbrodni. Może w *Lawrensie z Arabii*, choć nie interesował się filmem jako takim. Może trochę dobrym dokumentem, ale nie tymi fabularnymi, długometrażowymi produkcjami.

Sztylet był długi, wąski i miał ostrze po obu stronach; kiedy go wypróbował, przeszedł przez twardą poduszkę jak przez masło. Wyobraził sobie, że jedno pchnięcie wystarczy, a potem minie oczywiście trochę czasu, aż wypłynie cała krew i nastąpi śmierć. Zależy, gdzie się trafi; w sytuacji awaryjnej był przygotowany na kilka pchnięć. Ale tylko w sytuacji awaryjnej.

Do sztyletu należał futerał z ciemnego, egzotycznego drewna, wyściełany aksamitem; ułożył go pieczołowicie w starannie wytłoczonym miejscu i zamknął wieko. Włożył futerał do teczki i zastanawiał się, jak ta nowa procedura będzie funkcjonować. Najlepsza byłaby broń zawieszona na pasku, w każdej chwili pod ręką, jak w starych filmach. Ale to tylko uwaga na marginesie, nic znaczącego. Jest wysportowany i mógłby udusić swoją ofiarę gołymi rękami, choć ta metoda do niego nie przemawiała. Z drugiej strony to już ostatni raz, więc może nie ma co wybrzydzać.

Idealnie by było, gdyby wystarczyła tylko trucizna. To oczywiste. Tym razem trochę większa dawka, bo nie chodzi tylko o uśpienie.

Sztylet to wariant numer dwa. Uduszenie – numer trzy.

Plan A, plan B, plan C.

Kiedy sobie to wszystko obmyślał, nagle poczuł, że coś się dzieje z jego prawą ręką. Nieprzyjemne uczucie kłucia i swędzenia, jakby coś uciskało na nerw. Zgiął palce w pięść kilka razy i poczuł, jak cienki strumień bólu przepływa mu aż do ramienia. Wykonał jeszcze kilka ruchów dłonią, wyprostował rękę nad głową, uniósł kilka razy rękę do góry jakby ćwiczył z hantlami, ponaciskał pod pachą, na przegubach, ale nic nie pomagało. Swędzenie i kłujący ból nie ustępowały, wręcz przeciwnie – ze zdziwieniem zauważył, że ręka zaczyna drżeć. Nie bardzo, ale widocznie. Przestała, kiedy coś chwycił, ale znów zaczęła, kiedy puścił przedmiot.

Postanowił jednak, że to zignoruje. Na pewno samo przejdzie, a jeśli nie, to trudno. I tak nie zrezygnuje ze swojego planu. A raczej planów. A, B lub C.

Zamiast tego zajął się przebraniem.

Było proste, ale nie bezcelowe. Para dużych okularów ze szklami w kolorze bladozielonym, czarna peruka, która też pochodziła ze świata filmu, oraz dwie rolki przezroczystej taśmy, którą nakleił poziomo na policzki, żeby zmienić rysy twarzy. Obejrzał rezultat w lustrze łazienkowym i pomyślał, że tak niewiele potrzeba, żeby zmienić wizerunek człowieka. Kilka małych chwytów i już jest się brany za kogoś innego.

A jednak swojej tożsamości nigdy się nie pozbedziemy. To krzyż, który musimy dźwigać przez całe życie.

Ból i drżenie ręki nie ustępowały, ale nie zwracał na to uwagi i wyszedł tuż przed dwunastą. Kiedy znalazł się na ulicy, a ciężkie dzwony kościoła Keymer zaczęły bić we mgle, pomyślał, że to nawet pasuje do całej tej sytuacji. Zarówno dźwięk dzwonów, jak i ta szarozółta mgła, która ani myślała ustąpić w ten monotony listopadowy dzień. Poszedł w kierunku Minderstraat, skręcił w Keymerplejn, minął kolos komisariatu policji i szedł wzdłuż kanału do hotelu. Przy wejściu siedział żebrak oparty o ścianę, mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, z kartką, na której było napisane, że jest spłukany i potrzebuje pieniędzy na jedzenie dla dzieci. Coś mu w tym mężczyźnie przeszkadzało: mimo zniszczonej

powierzchności nie wyglądał na żebraka. Nie mogąc jednak stwierdzić, co mu w nim nie pasuje, wszedł do lobby przez ogromne wahadłowe drzwi.

Przy recepcji tłoczyła się gromadka Japończyków; minął ich niezauważony i skierował się do wind. Czekwały tam dwie starsze pary, ale nie zwróciły na niego uwagi, więc zgodnie z planem otworzył ciężkie szklane drzwi i krętymi schodami obitymi grubą, wzorzystą wykładziną poszedł na górę. Kiedy chwycił się prawą ręką zdobionej metalowej poręczy, żeby odciążyć nogi przy wchodzeniu po schodach, klucie znów dało o sobie znać. A raczej rwący ból. Kiedy naprężył mięśnie ręki, poczuł ból aż do ramienia – na tyle duży, że musiał się zatrzymać w połowie stopnia. Puścił poręcz i stał przez chwilę z ręką uniesioną przed siebie; rozczapierzył palce i otworzył dłoń. Drzenie stało się jeszcze większe.

Wpatrywał się w rękę i próbował trzymać ją nieruchomo. Ale czuł, jakby egzystowała niezależnie od niego. Jakby była przedmiotem, który nie ma nic wspólnego z resztą jego ciała czy z sygnałami, jakie wysyła mózg. Jasnymi sygnałami, które nawoływały rękę, żeby skończyła z tym absurdalnym drzeniem, które zresztą obejmowało większą jej część, kiedy stał i dawał rozkaz do czegoś całkiem przeciwnego.

Opuścił rękę. Wszystkie myśli skierował na to, co wymagało jego woli. Podziałało. Wziął kilka głębokich wdechów i zaczął wchodzić dalej.

Szóste piętro. Pokój 612. Między czwartym a piątym piętrem minął kobietę – pewnie w drodze na jogging, sądząc po jej czerwonym dresie i butach do biegania. Czterdzieści lat, wysoka, blond włosy, wysportowana. Kiwnęła do niego głową, a on się jej odwzajemnił tym samym.

Numer 612 na końcu korytarza z tym samym wzorzystym dywanem co na schodach. Zanim zapukał, stał przez chwilę przed drzwiami, żeby odpocząć. Zwolnić oddech i zmniejszyć puls do stanu spoczynku. Czuł, że prawa ręka wciąż drży, ale się nie przejął. Sprawdził, czy ma w torbie sztylet i dwie ampułki trucizny.

Zapukał do drzwi i usłyszał zaproszenie do środka.

Postarzała się. Taka była jego pierwsza refleksja. Stara i krucha. Życie źle się z nią obeszło, więc zabicie jej nie powinno stanowić żadnego problemu.

Ale najpierw chwila rozmowy, kilka wyjaśnień, by zrozumiała, że dostanie to, na co zasłużyła. Tak jak pozostali. Nie ten wężyciel, tam w lesie, ale cała grupa z pensjonatu. To ważne. Jeśli człowiek nie zrozumie, dlaczego jego życie właśnie się kończy, to coś zostaje utracone.

– Jestem wdzięczny, że zgodziłaś się ze mną spotkać. I bardzo mi przykro, że Kostadino nie żyje.

Skinęła głową.

– To...

Najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć. Wskazała więc ręką na sofę przy oknie. Dwa małe fotele i okrągły szklany stolik kawowy, a na nim dwie filiżanki. Na biurku pod telewizorem stał przygotowany czajnik z wodą. Pokój nie był mały, więc pomyślał, że musi jej się całkiem dobrze powodzić; pokój w takim hotelu trochę kosztuje. A może wiedziała, co ją czeka, więc pieniądze nie grały już roli.

Powiesił płaszcz na wieszaku przy drzwiach. Wziął torbę i usiadł w fotelu.

– Może herbaty? To jedyne, co tu mam...

Rozłożyła ręce w przepraszającym geście.

– Wystarczy. Dziękuję.

– Czarna czy zielona? Mam tylko dwa rodzaje.

– Czarna.

Włożyła torebki z herbatą do obu filiżanek i zalała wodą. On siedział z rękami na kolanach. Lewa na prawej, żeby powstrzymać drżenie. Wciąż czuł, że to, co się dzieje w jego ręce, tak naprawdę nie należy do niego, że siedzi z jakimś małym nieokiełznanym zwierzątkiem w ramionach. Pomyślał, że będzie musiał iść do lekarza, jeśli to nie minie. Tak, jak będzie już po wszystkim, to w drodze powrotnej wstąpi do poradni na Alexanderstraat i zarezerwuje sobie termin. Może nawet na jutro, na pewno mają otwarte w niedziele.

– No tak – powiedziała i spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

Uświadomił sobie, że pogрузił się we własnych myślach, więc wyprostował się w śliskim fotelu. Pochylił się do przodu, zdjął okulary i schował do kieszeni. Otworzył teczkę, która stała oparta o nogę stołu. Odchrząknął.

– Jestem pewien, że już się gdzieś spotkaliśmy...

Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego smutnym wzrokiem. Nie znał się za bardzo na tych sprawach, ale wydawało mu się, że widzi w niej jakiś niepokój.

– Czy może się mylę?

Łyżeczką wyjął torebkę herbaty z filiżanki. Nie było to łatwe lewą ręką, ale jakoś mu poszło. Zauważył, że kobieta unika jego wzroku. Było w tym coś nieprzyjemnego, jakiś rodzaj zarzutu czy cokolwiek. Zaczęło go to irytować – przecież to nie on ma być ukrzyżowany; to ona siedzi na ławie oskarżonych, nie on. Próbował sobie przypomnieć, czy podobny dyskomfort czuł w tym szwedzkim lesie. Nie przypominał sobie. Gra z wężycielem przebiegła tak, jak powinna... może oprócz siekiery, ale ten detal to tylko bonus.

– To było tak dawno temu. Bardzo mi przykro z powodu twojej siostry.

Przykro? Siedzi tu i twierdzi, że jej przykro! Ona, która ponosi największą odpowiedzialność. Ona i Maasenegger, dowiedział się tego od Kransky'ego. Tylko jedna z sióstr miała dopilnować, żeby Maasenegger wsadził Madeleine do samochodu, wtedy, w to zimowe popołudnie, sto lat temu, kiedy wszystko się popsuło... Nie, nie wszystko, bo potem to Maasenegger pozbawił ją życia, ale Clara Behrens to zaczęła. Tylko która z sióstr siedzi tu teraz naprzeciwko niego? Może to ta druga, choć ona też jest winna, poza tym jak niby miałyby odróżnić jedną od drugiej? Wtedy potrafił, nikt inny nie potrafił zgadnąć, która jest która, ale nigdy nie przywiązywał do tego wagi. Nigdy nie było to ważne, ale on wiedział, która to Clara, a która Birgitte...

A ta starsza kobieta?

– To nie tak miało być.

– Nie tak miało być?

– Zabiłeś sześć osób i pewnie teraz przyszedłeś, by zabić też mnie, ale chcę, żebyś wiedział, że to nie tak miało być.

Nie odpowiedział. Uświadomił sobie, że znów zatopił się w myślach. Dlaczego tak trudno mu było się skoncentrować?

Nieważne.

Ale nie powiedział tego, tylko pomyślał.

– Dlaczego nie zabiłeś Kransky'ego?

Kransky? No tak, teraz ona zamieniła się rolami.

Zadaje mu pytania, a miało być odwrotnie. Co ją łączyło z Kranskym. Kransky odpokutował za swoje, wziął na siebie winę za wszystkich, chociaż to Maasenegger... Czyżby tego nie wiedziała? Oczywiście, że wie. Pieprzona cholera. Sięgnął ręką do teczki.

– Pozwoliłeś Kransky'emu żyć, a zabiłeś Kostadina.

– Tak, tak...

Chwycił ampułki i wziął się w garść.

– Pieprzysz głupoty.

– Pieprzę głupoty?

– Tak, posłuchaj, teraz ja ci coś powiem...

Odwróciła głowę i spojrzała przez okno. Jakby próbowała coś wypatrzeć we mgle.

– Przepraszam, ale muszę iść do toalety. Powiesz mi, jak wrócę.

Siku możesz zabrać ze sobą do piekła, pomyślał i o mało nie wybuchnął śmiechem. Ugryzł się w język i skinął głową.

– Proszę.

Wstała i podeszła do drzwi, które musiały prowadzić do łazienki. A on zmienił pozycję w tym niewygodnym fotelu i wziął parę głębokich wdechów. Wyjął ampułki i bladobrazowy proszek szybko wsypał jej do herbaty. Nie miał żadnego problemu ze zrobieniem tego chorą ręką. Upiła nie więcej niż jedną trzecią. Jeden łyk powinien wystarczyć. Potem przyjdzie tylko czekać. Piętnaście, może dwadzieścia minut, będzie miał więc dużo czasu, żeby jej wszystko powiedzieć. Raczej nie będzie musiał używać ani sztyletu, ani rąk.

Czy w ogóle dałby radę pchnąć sztyłem lewą ręką? W prawej wciąż czuł kłucie i uznał, że faktycznie musi jutro iść do przychodni na Alexanderstraat. Może najpierw zadzwoni i zamówi wizytę; zdaje się, że tak nawet trzeba.

Długo nie przychodziła. Nagle usłyszał krzyk wyłaniający się z mgły i minęło kilka chwil, zanim się zorientował, że to ptaki. Pewnie zabłąkały się w tej cholernej mgle, pomyślał. I nie wiedziały, gdzie są.

Po chwili otworzyło się jednocześnie dwoje drzwi: te od łazienki i drugie, z tyłu, za jego plecami, których wcześniej nie zauważył. Nie zdążył zareagować, zanim został otoczony przez trzech mężczyzn. Stali w rozkroku i trzymali broń skierowaną w jego głowę.

– Policja – powiedział jeden z nich. – Jeśli się ruszysz, będziemy strzelać.

Chciał skinąć głową, ale uświadomił sobie, że taki ruch nie mieści się w określonych mu właśnie granicach.

Siedział spokojnie i ze zdziwieniem patrzył na swoją prawą rękę. Drżenie ustało.

Listopad 2012, Maardam

– A więc przyznaje się do wszystkiego?

Van Veeteren przyglądał się złamanej wykałaczce. Münster skinął głową.

– Nie tylko się przyznaje, ale też nie chce, żeby ominął nas jakikolwiek szczegół. Jakby czekał na ten moment.

– Żeby zrzucić kamień z serca? – zapytała Eva Backman.

Radovic się zaśmiał.

– Raczej nie. Zachowuje się jak nauczyciel, który próbuje coś wyjaśnić swoim uczniom... jakieś skomplikowane procesy chemiczne czy coś w tym rodzaju. Dowiemy się czegoś więcej, kiedy zrobimy mu małe badanie psychiatryczne. A tak naprawdę to duże, bo wiemy już, że ma jakieś zaburzenia, przynajmniej jeśli chodzi o empatię.

– I wszystko ma źródło w porwaniu i śmierci siostry, tak?

– Bez wątpienia – odparł Radovic.

– Wydaje mi się, że już przedtem było z nim coś nie tak – powiedział Münster. – W każdym razie tak twierdzi Birgitte... przepraszam, Clara Behrens. Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych Clara i jej siostra opiekowały się Madeleine, chłopak był zamknięty w sobie i nieśmiały. Widać było, że Madeleine była dla niego ważna, ale nikt nie przypuszczał, że aż tak ważna. Jej zniknięcie musiało być dla niego wielką traumą. Ojciec i matka pogrążyli się w rozpacz... każde w swoim świecie... To na pewno miało niebagatelne znaczenie. Rodzina, która była dla niego oparciem, punktem odniesienia, nagle

się rozsypała. Tak, to sprawy, z którymi terapeuci i psychologowie jeszcze długo będą mieli sporo do zrobienia.

– A Kransky? – zapytał Barbarotti. – To przecież Leopold Kransky odgrywał tu największą rolę, nie ci pozostali.

Münster spojrzał na Radovica, który rozłożył ręce.

– Trzy godziny – powiedział. – Rozmawialiśmy z nim prawie trzy godziny i do tej pory tego nie rozgryźliśmy. W każdym razie ja nie. A ty, coś z tego rozumiesz?

Münster się zawahał.

– Niezupełnie – przyznał i rozejrzał się po sali, w której dzień wcześniej siedział cały zespół. – Twierdzi, że to Maasenegger zabił dziewczynkę. Jest o tym przekonany.

– Ale my wiemy, że to nie Maasenegger był winien jej śmierci, prawda? – zapytała Ulrike. – Czy jeszcze nie wiemy?

– Niestety, to nie jest jasne – westchnął Münster. – Ale niezależnie od wszystkiego Kransky musiał przekonać Ludviga Kettenera, że nie on to zrobił. Moim zdaniem Kettener zaczął odwiedzać go w więzieniu z innego powodu. Prawdopodobnie chciał go zabić, jak tylko go wypuszczą... a odwiedziny były częścią planu. Kettener milczy, ale dlaczego w takim razie Kransky dobrowolnie siedział w więzieniu ponad dwadzieścia lat, skoro to Maasenegger zabił dziewczynkę?

– Dobre pytanie – odparła Eva Backman.

– Tak, jeszcze parę rzeczy musimy wyjaśnić. Może nawet razem zaplanowali ten pożar. Kettener stanowczo zaprzecza, a najdziwniejsze jest to, że... – Zamilkł i podrapał się w szyję.

– Co jest najdziwniejsze? – zapytała Ewa Moreno.

– Hm – mruknął Münster. – Najdziwniejsze jest to, że nie kłamie. W każdym razie ja odniosłem wrażenie, że mówi szczerą prawdę. Prawdę w jego mniemaniu, ma się rozumieć.

– Zgadzam się – dodał Radovic. – Ale uważam, że Kransky go po prostu oszukał. Przekonał, że to Maasenegger zabił Madeleine, a on z jakiegoś powodu wziął na siebie całą winę. To wcale nie takie nieprawdopodobne... Musimy jeszcze raz dokładnie przeczytać śledztwo w sprawie zaginięcia Madeleine. Tak czy owak, obaj przestępcy już nie żyją.

– Dziewczynka też – odezwała się Ulrike.

– Dziewczynka też.

Van Veeteren odchrząknął.

– To już ponad czterdzieści lat – skonstatował. – Cholernie to nieprzyjemne i smutne. Może znajdziecie odpowiedzi na wszystkie pytania... A jeśli chodzi o pensjonat U Molly... to popełniliśmy błąd. Cholerny błąd.

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Barbarotti uświadomił sobie, że ten słynny komisarz w całej swojej karierze – tak przynajmniej głosiła plotka – nie zaliczył takiej wtopy, więc trudno się dziwić, że sprawa nie dawała mu spokoju.

– Trudno wygrać maraton, jeśli się biegnie w złym kierunku – powiedział. – Leopold Kransky nie był naszym strzałem w dziesiątkę, ale co by było, gdyby ta zakonnica postanowiła nic nie mówić?

Musiało minąć kilka sekund, zanim ktoś odważył się odezwać.

– Wtedy nie siedzielibyśmy tutaj zadowoleni z siebie – powiedziała Ulrike i uśmiechnęła się przelotnie. – To przecież ona powiązała pożar z tą biedną dziewczynką, jeśli się nie mylę, prawda?

– Prawda – odparł Radovic. – Była pewna, że to jej kochanek z klasztoru jest tym przestępcą, i zrobiła to, co podyktowało jej sumienie. Powiem jej, że Kransky nie miał nic wspólnego z pożarem... jeśli tylko uda mi się zrobić to tak, żeby jej mąż się nie dowiedział.

– To on wciąż o niczym nie wie? – zapytała Ewa Moreno.

– Nic kompletnie.

– Ale fakt, że Kransky ucieka do Ameryki na dwa dni przed pożarem, wskazuje na to, że wie, co się święci, prawda? – zapytała Eva Backman. – Nie kupuję innego wytłumaczenia.

Radovic wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Z naszym przyjacielem Kettenerem jeszcze nie skończyliśmy i trochę to może potrwać, ale cały czas mam wrażenie, że on mówi prawdę. Sam dał się oszukać.

– Prawdopodobnie dał się oszukać – poprawił go Münster.

– Zgadza się – powtórzył Radovic. – Czy jeszcze jakieś uwagi, czy posłuchamy, co siostra Behrens miała do powiedzenia? Już sam się gubię, która to z nich.

– Clara Behrens – odpowiedział Barbarotti. – Ma znamie w pachwinie, którego nie miała jej siostra, ale ani ja, ani moja koleżanka tutaj nie sprawdziliśmy tego.

– I chyba słusznie – odparła Ewa Moreno. – A co powiedziała?

– W sumie sporo – rzekła Eva Backman. – Brała udział w porwaniu Madeleine, ale w mniejszym stopniu. Podobnie jak pozostali ze Stowarzyszenia Leworęcznych, oprócz jej siostry, oczywiście. A ponieważ wszystko to było już tak dawno temu, to sprawa uległa przedawnieniu. To, że zamieniła się z siostrą, to czysty przypadek, jak twierdzi i moim zdaniem brzmi to prawdopodobnie. Nie wiedziała, co miało się wydarzyć na tym spotkaniu, a poprosiła siostrę, żeby pojechała tam za nią, bo chciała się spotkać ze swoim kochankiem... Kostadinem Millerem, który obecnie leży w kostnicy w Szwecji.

– Dostała szansę od losu, by stać się kimś innym – wtrącił Barbarotti. – I ją wykorzystała. A potem już było za późno, żeby to naprawić.

– Czas leczy rany – powiedział Van Veeteren.

– Czy żałuje? – zapytała Ulrike.

– Jest jednym wielkim żalem – odpowiedział Barbarotti. – Pojechała do Oosterby na polecenie Kostadina Millera, żeby dowiedzieć się, co tak naprawdę wie Molly Hansen o... o jej związku z Kranskym i tak dalej. I jeśli nawet się nie dowiedziała, to tak przestraszyła tę nieszczęsną kobietę, że ta prawie wyzionęła ducha. Ale trudno mi uwierzyć, że przycisnęła jej poduszkę do twarzy. A tak w ogóle, to jak ona się ma?

– Bez zmian – powiedział Radovic. – Jest w śpiączce.

– Ciekawe, co detektyw Miller kombinował – przerwała mu Eva Backman. – Clara Behrens twierdzi, że miał obsesję na punkcie całej tej historii... na jej punkcie, zresztą... Nadal do końca nie wiadomo, czy wiedział, z kim ma się spotkać tam, w tym domu w Szwecji. Może myślał, że to Leopold Kransky się tam pojawi, ale już się raczej tego nie dowiemy. Wydaje mi się, że Clara Behrens bała się swojego byłego kochanka, a on umiał ją podejść. Wiedział, kim jest i w co była zamieszana.

– Niełatwe życie sobie wybrała – powiedziała Ewa Moreno. – Gdyby się z nami dzisiaj nie skontaktowała, pewnie już by nie żyła.

– Bez wątpienia – odrzekła Eva Backman. – Tak, odniosłam wrażenie, że ulżyło jej, że to wszystko już się skończyło. I wątpię, żeby chciała wracać do Szwecji. Nie jestem pewna, czy w ogóle zostaną jej postawione zarzuty. Porwanie uległo przedawnieniu, a jakie macie prawo, jeśli chodzi o kradzież tożsamości... to nie wiem.

– Zbadamy sprawę – zapewnił ją Münster. – Tak, Jung?

Inspektor Jung milczał przez całe spotkanie, ale teraz zamachał długopisem, żeby zabrać głos.

– Volker Hermann, jego chyba już skreśliliśmy, prawda?

– Skreśliliśmy i odesłaliśmy do Berlina – powiedział Van Veeteren. – Będę wdzięczny, jeśli nikt już o nim nie wspomni...

– Przepraszam – przerwał mu Jung – mam pewne spostrzeżenie... może trochę akademickie, ale.... Jeśli założymy, że ta smutna historia jest już zakończona, to byłoby dobrze dowiedzieć się, jak to wszystko się zaczęło. Co było punktem wyjścia, że się tak wyrażę? Jak myślicie?

– Zaczęło się od tego... – odpowiedziała Ulrike, palec wskazujący przykładając do ust, i chwilę pomyślała, zanim znów zabrała głos. – Zaczęło się od tego, że młoda dziewczyna poszła do łóżka z amerykańskim żołnierzem... jeśli się nie mylę. Jakieś, mniej więcej, sześćdziesiąt lat temu...

– Masz rację, moja droga – skonstratował Van Veeteren. – Jak zwykle trafiłaś w sedno. – Następnie odwrócił głowę i spojrział przez okno. – No, nareszcie. Zdaje się, że mgła znika.

– Zaczynamy porządki – powiedział kilka godzin później, kiedy wreszcie znaleźli się w łóżku po tej nieskończonej długiej niedzieli.

– Porządki? – zapytała zdziwiona Ulrike.

– Tak, porządki. Musimy tę cholerną historię wyrzucić wreszcie z głowy. Jeśli tego nie zrobimy, oszalejemy.

– Złota myśl w ustach kogoś, kto przez kilka lat bez przerwy o tym myślał...

– Mówię poważnie – odpowiedział Van Veeteren. – Jeśli będziemy magazynować w świadomości wszystkie ludzkie tragedie... to będziemy jedną wielką depresją zamiast...

– ...zamiast swojej zwykłej, radosnej osobowości, tak? Czy to szanowny pan komisarz ma na myśli?

– Pani psycholog policyjna w mig pojęła, o co mi chodzi. Czy nie mamy gdzieś butelki porto?

– Przecież już leżymy w łóżku... Po co nam porto?

– Pomaga w porządkach – odrzekł Van Veeteren cierpliwie. – Taką oczyszczającą kąpiel już raz przeszedłem. Ale ty leż, ja pójdę i przyniosę.

Listopad 2012, Kymlinge/Maardam

Siedzieli w samochodzie w drodze z lotniska Landvetter. Było poniedziałkowe popołudnie, lało jak z cebra i zrobiło się ciemno, mimo iż dopiero była za piętnaście piąta.

– Dobrze wrócić do domu – powiedział Gunnar Barbarotti.

– Świetnie – odparła Eva Backman. – Chociaż uważam, że powinniśmy dostać od Stigmana dwa dni ekstra. Szybko rozwiązaliśmy sprawę.

– To prawda – powiedział Barbarotti. – Zupełnie nie rozumiem, jak oni sobie tam dają radę bez nas. Na co dzień, oczywiście.

– Teraz mają już nasze telefony. Na wszelki wypadek. Ale to faktycznie dziwne, że akurat tutaj przyjechała... ta cała Clara Behrens... Ciekawe, co będzie z nią dalej.

– Polubiłaś ją?

Eva Backman zawahała się na chwilę.

– Właściwie... sama nie wiem. Ale jest tak, jak powiedziałeś: żałuje całego swojego życia. Może dlatego, mimo wszystko, trochę jej współczuję. Chyba już nie wróci do Kymlinge.

– Też nie sądzę – odparł Barbarotti. – Pamiętasz, co powiedziała Ulrike Fremdli? Co zacytowała z przesłuchania?

– Kiedy człowiek zamyka drzwi, Bóg otwiera okno – odparła Eva Backman.

– To masz na myśli?

– Właśnie – odparł Barbarotti. – Ale trzeba z tym uważać. To, że okno jest otwarte, wcale nie oznacza, że nasz Pan miał z tym coś wspólnego.

– W takim razie znasz naszego Stwórcę lepiej niż ja – rzekła Eva Backman. – Czyli każdy może otworzyć okno, tak? Ktokolwiek?

– Zgadza się – powiedział Barbarotti. – Właśnie to mam na myśli.

– Co z tą szpilką? – zapytała Eva Backman po krótkiej przerwie. – Masz jakieś dobre wytłumaczenie?

– Jaką szpilką?

– Tą, którą znalazłeś w Vandelbo. Z inicjałami SSS.

– Aaa, o tym mówisz. Tak, Smutas się tym zajął. Na niego zawsze można liczyć. Daj mu kawałek sierści psa, a w ciągu godziny znajdzie ci dyplom ukończenia studiów jego właściciela.

– Świetne porównanie. No i czego się dowiedział?

– To był klub sportowy – odpowiedział Barbarotti.

– Klub sportowy?

– Tak. Sportowe Stowarzyszenie Siatkarzy.

– Matko Boska! – wykrzyknęła Eva Backman.

– Tak jak powiedziałem.

Resztę drogi pokonywali w milczeniu, jadąc w deszczu i w ciemnościach. Barbarotti wyciągnął rękę i czule położył ją na ramieniu Ewy Backman.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– He?

– Dziękuję, że pojawiłeś się w moim życiu.

– Chcesz, żebym w nim został?

– Oczywiście, że tak.

– Proponuję, żebyś przyjechała do nas jutro na kolację.

– Ale przecież jutro jest wtorek.

– Okej, w takim razie w piątek. Ale muszę się do czegoś...

– Przyznać?

– Tak. Dostałem pieniądze.

– Co takiego? Jakie pieniądze?

– Niewiele, ale nie wiem, czy mogę je zatrzymać.

– Gunnar, o czym ty, na litość boską, mówisz? Ile?

– Pięćdziesiąt euro.

– Dostałeś... pięćdziesiąt euro? Od kogo?

Barbarotti westchnął.

– Kiedy siedziałem przed hotelem i udawałem żebraka...

– Serio?

– Przechodziła tamtędy kobieta i dała mi pięćdziesiąt euro.

– W takim razie musiałeś robić dobre wrażenie.

– Raczej wyglądać żałośnie, ale czy to będzie w porządku, jeśli je zatrzymam, skoro byłem na służbie?

Eva Backman przez chwilę się zastanawiała.

– Sprytnie – powiedziała. – Możesz kupić za to porządne wino na piątek.

Wtedy będę milczała jak grób.

– I będziemy to mieć na sumieniu oboje?

– Zgadza się. *Partners in crime...* Nie, nie możesz całować mnie i jednocześnie prowadzić.

– I jak było w Nowej Zelandii?

Mahler ustawił pionki i zapalił cygaro.

– Nieźle – odpowiedział Van Veeteren. – Ale porozmawiajmy o czymś innym.

– O czym na przykład?

– Na przykład o tym – odparł i delikatnie pogłaskał palcami cienką książkę leżącą obok szachów. – A to niespodzianka! Nic nie wspomniałeś, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

– Musiałem zapomnieć – odparł Mahler.

– Do cholery, nie zapomina się zbioru wierszy, które się samemu napisało!

Nawet jeśli to już dwunasty z kolei...

– Trzynasty – uściślił Mahler. – To tylko słowa.

– Nie tak znowu tylko...

– Możliwe. To ostatnia rzecz, jaka nas opuszcza. Kiedy ciało się już rozpadnie, szum słów w głowie to jedyne, co nam zostaje, zanim opadnie kurtyna... nie uważasz?

– A co innego mielibyśmy jeszcze robić? – spytał Van Veeteren. – Skąd ten tytuł?

– *Kromka chleba i inne wiersze*? – Mahler wypuścił obłok dymu. – Miał być *Plaster kielbasy i inne wiersze*, ale nie chciałem zniechęcać wegetarian.

– Zawsze jakieś wytłumaczenie – odpowiedział Van Veeteren. – Tak, trzeba myśleć o swoich czytelnikach.

– Zawsze – zgodził się z nim Mahler. – Twój ruch, przyjacielu.

Van Veeteren zamyslił się na moment, a potem przesunął pionek.

– Proszę, proszę – zdziwił się Mahler. – To coś nowego.

– E dwa na e cztery nazywasz nowością?

– Nie. Przesunąłeś go lewą ręką. Nigdy wcześniej tego nie robiłeś.

– To czysty przypadek – odpowiedział Van Veeteren. – Proszę, teraz ruch drogiego poety.